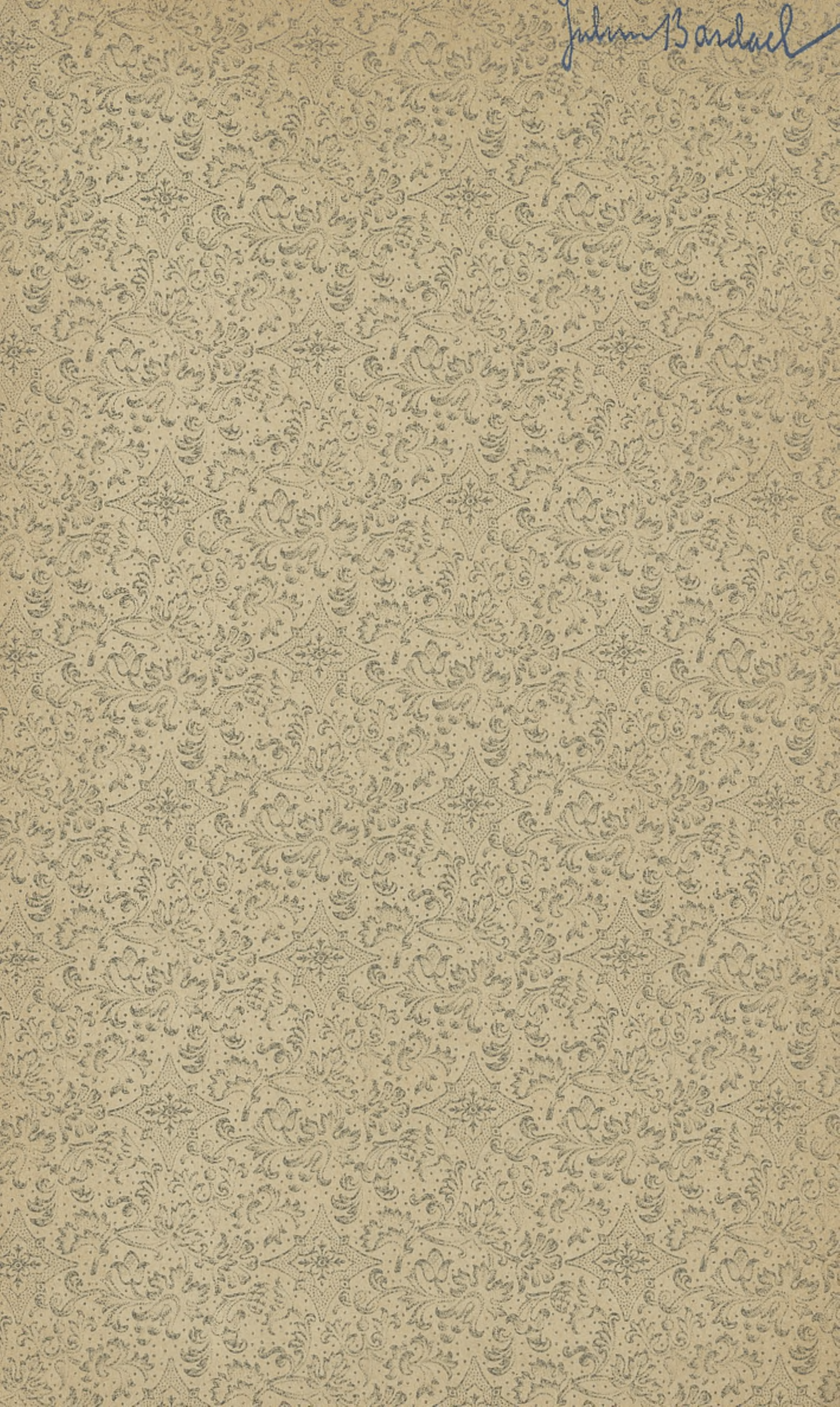



Julius Bardach

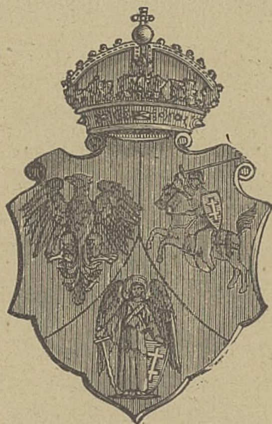
W CZTERDZIESTĄ ROCZNICĘ

POWSTANIA STYCZNIOWEGO

1863 — 1903.

Więc tobie wielka święta przeszłości,
i tobie krwi ofiarna niech będzie chwała
i cześć po wszystkie czasy.
(*H. Sienkiewicz* — *Krzyżacy*).

A z kości naszych powstaną mściciele!
(*Wirgiliusz* — *Eneida*).



LWÓW.
NAKŁADEM KOMITETU WYDAWNICZEGO.
1903.



Czcionkami Drukarni Ludowej we Lwowie.

PRZEDMOWA.

Uwydatniające się w publicystyce naszej czasów ostatnich chłodniejsze, objektywniejsze i bezstronniejsze zapatrywania na przyczyny, dzieła i skutki powstania z 1863/4 roku, — ogólna myśl uroczystego święcenia 40-lecia tegoż powstania, jako pamiątki narodowej, pozwalają żywić przekonanie, iż zbliża się godzina sprawiedliwości, w ocenieniu ostatniej naszej próby zrzucenia kajdan niewoli.

Widać, że młodsze pokolenie uwalnia się z pod wpływów, interesów i namiętności chwilowych, zachowując więcej spokoju i równowagi w swych sądach o wypadkach z przed 40 laty i że uważa powstanie, nie za „dzieło szaleństwa“, ale za wynik konieczności dziejowej, zmuszającej naród, pod groźbą zamarcia, do odnowienia się przez wpuszczenie krwi wieśniaczej w swe żyły, a to kosztem choćby największych ofiar i poświęceń!

W tym stanie rzeczy, Komitet w przekonaniu, iż wszelkie obchody i wszystkie uroczystości mogą mieć tylko doraźne znaczenie, powziął myśl utrwalenia wypadków z przed lat 40-tu, przez wydanie Księgi zbiorowej, spisanej przez uczestników tychże wypadków i ofiarowanie takowej młodszemu pokoleniu; dla dania świadectwa prawdzie, dla nauki, i zachęty ku ukochaniu ideałów, na ołtarzu których, oni wszystko w ofierze złożyli.

Myśl ta widocznie była dobrą, bo nietylko z trzech zaborów kraju, lecz i z emigracyi napłynęły i datki pieniężne na wydawnictwo i prace przewyższające znacznie środki i ramy tegoż wydawnictwa. Komitet widział się zmuszonym usunąć zupełnie pewną liczbę prac, nieodpowiadających warunkom pierwotnej odezwy, z 15 Grudnia 1902 r. — a z wielu innych skorzystać tylko częściowo, za co on szanownych autorów naj-

serdeczniej przeprasza. Bez tego stałoby się niemożebnem wydanie obecnej Księgi, której cel patryotyczno-pouczający wyżej określiliśmy.

Ze względu to, na wzniosłość tego celu i pomimo tego, iż według założenia, czysty dochód z obecnej Księgi przeznaczony jest po połowie na Towarzystwo uczestników powstania we Lwowie, i na Skarb Narodowy w Rapperswyl; Komitet ustanawia cenę, możliwie najniższą tej Księgi.

Jedynem naszem życzeniem i ambicyą jest, aby ta Księga przyjętą została przez młode pokolenie takiem sercem i z taką miłością, z jakiemi jest ona ofiarowaną. Będzie to pociechą i nagrodą dla tych, którzy spełniwszy swój obowiązek, odejdą spokojni o los sztandaru, złożonego w dobre ręce!

Jeszcze Polska nie zginęła
Choć nas już nie będzie,
Czego starość nie dopięła
To młodość zdobędzie!

W pierwszej części Księgi naszej pomieściliśmy kilkanaście dokumentów urzędowych, które nam się udało zebrać, poprzedzając je trzema fundamentalnymi aktami Rządu Narodowego.

Druga część zawiera wspomnienia, listy i dokumenty prywatne uczestników powstania, w porządku alfabetycznym nazwisk autorów.

Znajdzie tu więc czytelnik: opisy rozmaitych walk, faktów, nędz i męczeństw w latach od 1860 do 1874, a których sceną jest przestrzeń od Paryża do Kamczatki — od Bosforu po Morze Lodowate.

Nie wiele tam przewag orężnych i zwycięztw, lecz nieprzebrana tam ilość bohaterstwa, ofiarności i poświęcenia! — Krew tych ofiar przesiąkła ziemię naszą, — a z prochu ich kości powstaną mściciele wiekowych krzywd naszych i zwycięzcy idei naszej!

Lwów dnia 22. Stycznia 1903 roku.

KOMITET WYDAWNICZY:

Bronisław Szwarce — *Józef Kajetan Janowski*
Henryk Czaplicki — *Ignacy Kinel*
Bolesław Anc.

CZĘŚĆ I.

Dokumenty urzędowe.



U w a g a. W dokumentach zachowano pisownię oryginałów.



Pieczęcie Rządu Narodowego.

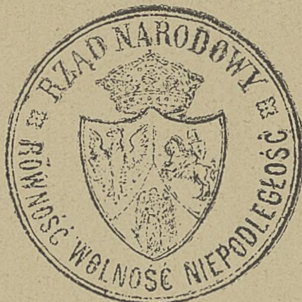
1. 2. 3.







4.



1. *Monogram* C. M. D. jako początkowe litery Chmielińskiego, Matuszewicza i Dąbrowskiego, członków Komitetu najczerwieńszych, przed majem 1861 r. — tj. przed ostatecznem ustanowieniem „Komitetu Centralnego Narodowego". Monogram ten został zatrzymany i przez tenże Komitet; znajduje się on na wielu dokumentach obok pieczęci Komitetu, a wyjątkowo i jedynie używany on był przez tenże Komitet do stęplowania niebieskich kwitów, na podatek narodowy.

2. *Właściwa pieczęć* „Komitetu Centralnego" używana i po wybuchu powstania, przez „Tymczasowy Rząd Narodowy" aż do 3-go maja 1863 r.

3. *Stampila*, która służyła jako dopełnienie poprzedzającej pieczęci, zbyt małej, aby godła stampili jeszcze mogła pomieścić.

4. *Pieczęć Rządu Narodowego*, która zastąpiła wszystkie poprzednie, począwszy od dnia 3-go maja 1863 roku.

Manifest powstania.

CENTRALNY NARODOWY KOMITET JAKO TYMCZASOWY RZĄD NARODOWY.

„Nikczemny rząd najezdniczy rozwścieklony oporem męczonej przezeń ofiary, postanowił zadać jej cios stanowczy: porwać kilkadziesiąt tysięcy najdzielniejszych, najgorliwszych jej obrońców, oblec w nienawistny mundur moskiewski i pognać tysiące mil na wieczną nędzę i zatracenie.

Polska nie chce, nie może poddać się bez oporu temu sromotnemu gwałtowi: pod karą hańby przed potomnością powinna stawić energiczny opór. Zastępy młodzieży walecznej, młodzieży poświęconej, ożywione gorącą miłością Ojczyzny, niezachwianą wiarą w sprawiedliwość i pomoc Boga, poprzysięgły zrzucić przeklęte jarzmo lub zginąć! Za nią więc narodzie Polski, za nią!

„Po straszliwej hańbie niewoli, po niepojętych męczarniach ucisku, Centralny Narodowy Komitet, obecnie jedyny legalny Rząd twój Narodowy, wzywa cię na pole walki już ostatniej, na pole chwały i zwycięztwa, które ci da i przez imię Boga na niebie, dać przysięga, bo wie, że ty, który wczoraj byłeś pokutnikiem i mścicielem, jutro musisz być i będziesz bohaterem i olbrzymem.

„Tak ty wolność twoją, niepodległość twoją zdobędziesz wielkością takiego męstwa, świętością takich ofiar, jakich lud żaden nie napisał jeszcze na dziejowych kartach swoich. Powstającej ojczyznie twojej dasz bez żalu, słabości i wahania wszystką krew, życie i mienie, jakich od ciebie zapotrzebuje!

„Wzamian Komitet Centralny Narodowy przyrzeka ci, że siły dzielności twojej nie zmarnieją, poświęcenia nie będą stracone, bo ster, który ujmuje, silną będzie dzierżyć ręką, złamie wszystkie przeszkody, roztrąci wszelkie zapory, a każdą nieprzy-

chylność dla świętej sprawy, nawet brak gorliwości ścigać i karać będzie przed surowym, choć sprawiedliwym trybunałem, obrażonej Ojczyzny.

„W pierwszym zaraz dniu jawnego wystąpienia, w pierwszej chwili rozpoczęcia świętej walki, Komitet Centralny ogłasza wszystkich Synów Polski, bez różnicy wiary i rodu, pochodzenia i stanu, wolnymi i równymi obywatelami kraju. Ziemia, którą lud rolniczy posiadał dotąd, na prawach czynszu lub pańszczyzny, staje się od tej chwili bezwarunkową jego własnością, dziedzictwem wieczystem; właściciele poszkodowani wynagrodzeni będą z ogólnych funduszów państwa. Wszyscy zaś komornicy i wyrobnicy wstępujący w szeregi obrońców kraju, lub w razie zaszczytnej śmierci na polu chwały, rodziny ich otrzymają z dóbr narodowych dział obronionej od wrogów ziemi.

„Do broni więc Narodzie Polski, Litwy i Rusi! do broni! bo godzina wspólnego wyzwolenia już wybiła, stary miecz nasz wydobyty, święty sztandar Orła, Pogoni i Archanioła rozwinięty!

„A teraz odzywamy się do ciebie, Narodzie Moskiewski! Tradycyjnem hasłem naszem jest wolność i braterstwo ludów, dlatego też przebaczamy ci nawet mord naszej Ojczyzny, nawet krew Pragi i Oszmiany, gwałty ulic Warszawy i tortury lochów cytadeli. Przebaczamy ci, bo i ty jesteś nędzny i mordowany, smutny i umęczony. Trupy dzieci twoich kołyszą się na szubienicach carskich, prorocy twoi marzną na śniegach Sybiru. Ale, jeżeli w tej stanowczej godzinie nie uczujesz w sobie zgryzoty za przeszłość, jeżeli w zapasach z nami dasz poparcie tyranowi, który zabija nas a depcze po tobie, biada ci, bo w obliczu Boga i świata całego przeklniemy cię na hańbę wiecznego poddaństwa i mękę wiecznej niewoli, wyzwiemy na straszny bój zagłady, bój ostatni europejskiej cywilizacyi, z dzikiem barbarzyństwem Azji!“

Dan w Warszawie 22 Stycznia 1863 r. (Ruch Nr. 12).

(Pieczęć Komitetu Centralnego Narodowego z orłem i pogonią).

Dekret uwłaszczenia.

CENTRALNY NARODOWY KOMITET JAKO TYMCZASOWY RZĄD NARODOWY.

Zważywszy: że uwłaszczenie włościan pomimo ogólnej chęci kraju, z powodu stawianych przez rząd najezdziczy przeszkód, dotąd do skutku nie doszło: obok tego, zważywszy: że oddanie gospodarzom rolnym na własność gruntów, dotąd przez nich tytułem czynszów, pańszczyzny, lub innych obowiązków posiadanych, zmniejsza mienie dotychczasowych właścicieli;

postanowił i stanowi:

Art. 1. Wszelka posiadłość ziemska jaką każdy gospodarz dotąd tytułem pańszczyzny, czynszu lub innym tytułem posiadał, wraz z należnemi do niej ogrodami, zabudowaniami mieszkalnemi i gospodarskiemi, tudzież prawami i przywilejami do niej przywiązanemi — od daty niniejszego Dekretu staje się wyłączną i dziedziczną dotychczasowego posiadacza własnością, bez żadnych jakichkolwiekbądź obowiązków, danin pańszczyzny, lub czynszu, z warunkiem jedynie opłacania przypadających z niej podatków i odbywania należnej służby krajowi.

Art. 2. Dotychczasowi właściciele nadanych gospodarzom rolnych gruntów, otrzymają odpowiednią wartości tychże indemnizacyę z funduszów narodowych, za pośrednictwem długu Państwa.

Art. 3. Zasady do oznaczenia wysokości szacunku ziemi, oraz rodzaj instytucyi kredytowej w osobnych dekretach wskazane będą.

Art. 4. Wszelkie ukazy, reskrypta, przez rząd najezdniczy w przedmiocie tak zwanych stosunków włościańskich wydane, znoszą się, a tem samem nikogo nie obowiązują.

Art. 5. Dekret niniejszy stosowany być winien tak do własności prywatnych, jako też i do własności rządowych, donacyjnych, kościelnych i wszelkich innych.

Art. 6. Ogłoszenie i wprowadzenie w wykonanie niniejszego Dekretu Centralny Narodowy Komitet, jako tymczasowy Rząd Narodowy, Naczelnikom wojskowym i wojewódzkim poleca.

Dan w Warszawie 22 stycznia 1863 r. (Ruch N 12).

(Pieczęć Komitetu Centralnego narodowego z orłem i pogonią).

---

*

Dekret nadania bezrolnym.

CENTRALNY NARODOWY KOMITET JAKO TYMCZASOWY RZĄD NARODOWY.

Zważywszy: że zrzucenie obcego jarzma wymaga jak największej liczby walczących i nikt od pełnienia służby wojskowej wymówić się nie może;

zważywszy nadto: że każdy obywatel z pracy rąk utrzymujący się, skoro pójdzie na wojnę, mieć winien zapewniony byt tak dla siebie, jak i dla swej rodziny;

postanowił i stanowi:

Art. 1. Chałupnicy, Zagrodnicy, Komornicy, Parobcy i w ogóle wszyscy Obywatele z zarobku jedynie utrzymanie mający, którzy powołani do broni, w szeregach wojska narodowego za Ojczyznę walczyć będą, otrzymają, a w razie ich śmierci, żony i dzieci na własność po ukończeniu wojny z dóbr narodowych dział gruntu najmniej mórg trzy przestrzeni zawierający.

Art. 2. Ogłoszenie i wprowadzenie w wykonanie niniejszego Dekretu Centralny Narodowy Komitet jako tymczasowy Rząd Narodowy Naczelnikom wojskowym i wojewódzkim poleca.

Dan w Warszawie 22. stycznia 1863 r. (Ruch N. 12).

(Pieczęć Komitetu Centralnego narodowego z orłem i pogonią).

N. 683.

KOMITET CENTRALNY JAKO RZĄD NARODOWY DO JENERAŁA MICHAŁA CZAJKOWSKIEGO.

Jenerale!

Doszło niewątpliwie do Twej wiadomości, że już od trzech miesięcy Polska toczy zacięty bój z odwiecznym a nieubłaganym swym wrogiem, carską moskwą — bój na śmierć i życie, którego ostatecznym celem musi być i będzie Niepodległość i Wolność całej Ojczyzny naszej od Baltyku do Czarnego morza, od Odry do Dniepru i Dźwiny. Na dane hasło powstał Naród cały, a Trąba wojenna zagrzmiała w Koronie, Litwie i Rusi. Waleczna i bohaterska młodzież skupia się pod Sztandarem Wolności a liczba Obrońców Ojczyzny z dniem każdym powiększa się i wzmaga. Jenerale! Ojczyzna wzywa Cię przez usta Rządu Swego, byś stanąwszy na czele swych mężnych i walecznych szyków, powiększył liczbę dzielnych jej Obrońców. Ojczyzna

wzywa Cię, jako prawego i wiernego Swego Syna, bo ma do tego prawo, bo ma to przekonanie, że w Twem sercu, chociaż okrytem dziś obcej narodowości suknią, goreje święty ogień Twej synowskiej dla Niej miłości; że odgłos Ojczystej Trąby wojennej, znajdzie w nim odbicie: Śmierć wrogom — Polsce zwycięztwo. — Do boju więc spiesz dzielny wodzu — Ojczyzna Cię czeka — wróg Cię czeka.

Dan w Warszawie dnia 29 kwietnia 1863 roku.

(Pieczęć z napisem Wolność, Równość, Niepodległość). (Pieczęć Komitetu Centr. Nar. z orłem i pogonią).

Uwaga: Nie doręczono z powodu, iż podobne wezwanie przez kom. Zarembę Perłowskiego od Komitetu Ziem Ruskich wręczone zostało. — *Br.*

(Ze zbioru Wgo Karola Brzozowskiego. P. R.).

N. 660.

KOMITET CENTRALNY JAKO RZĄD NARODOWY DO WALECZNYCH SZYKÓW JENERAŁA MICHAŁA CZAJKOWSKIEGO.

Officerowie i Żołnierze!

Od trzech już miesięcy bracia Wasi toczą walkę z wrogiem, który Ojczyznę ujarzmił a Was skazał na wygnanie i tułactwo. Niedawno, gdy promyk nadziei zaświecił dla naszej Świętej Ziemi, zebraliście się pod obcym sztandarem, by choć pośrednio nieść Jej pomoc swoją. Sposobność znikła a Wy wraz z swoim dzielnym wodzem, zostaliście nieopodal od granic Ojczyzny, by być gotowymi na każde Jej wezwanie. Chwila nadeszła! Officerowie i Żołnierze! Dziś macie otwarte pole, by na własnej ziemi i pod własnym Sztandarem uderzyć piersią w pierś wroga, w niej utopić spisy swoje a miecze stępić na jego karkach. Ojczyzna Was wzywa do walki na śmierć i życie — mężne hufce braci Waszych już Was czekają na równinach Podola. Spieszcie się więc bracia, spieszcie co prędzej, by z mieczem w dłoni wspólnie z nami zawołać: Niech żyje Polska! Śmierć wrogom!

Dan w Warszawie dnia 29 kwietnia 1863 roku.

(Pieczęć z napisem Wolność, Równość, Niepodległość). (Pieczęć Komitetu Centr. Nar. z orłem i pogonią).

Uwaga: Nie doręczone z powodu, iż przez Komisarza Zarembę Perłowskiego podobne wezwanie od komitetu Ziem Ruskich wręczone zostało. *Br.*

(Ze zbioru Wgo Karola Brzozowskiego. P. R.)

No 4. dnia 20. Maja 1863 r.

RZĄD NARODOWY. ROZKAZ DZIENNY DO WOJSK POWSTAŃCZYCH.

1) Rząd Narodowy rozkazuje wszystkim Naczelnikom Oddziałów, ażeby polecili odczytanie odezwy Rządu do Wojska Narodowego z dnia 13 Maja r. b. przed szeregami kompanij i szwadronów jazdy. Odezwa ta powtarza się tu w całości.

Do Wojska Narodowego.

„Żołnierze!"

„Powodowani miłością Ojczyzny, a nienawiścią moskiewskiego jarzma, rozpoczęliście walkę. Młodzi, niezwyczajni do trudów, nieznający sztuki wojennej, bez karabina, bez szabli, bez amunicyi, z gołą prawie ręką, kosztem życia zdobywać sobie oręż przymuszeni, rozpoczęliście walkę wśród zimy z stutysięczną wyćwiczoną i we wszystko zaopatrzoną armią, złożoną w większej części z wyborowego moskiewskiego żołnierza.

„I walczycie trzy już miesiące, nieugięci, niezachwiani niczem, z dniem każdym silniejsi, z dniem każdym groźniejsi wrogom!

„I walczycie szlachetnie, jak szlachetnym żołnierzom przystało. Barbarzyńskie okrucieństwa, spełniane przez moskali na waszych rannych towarzyszach, rozbudzały w was tylko zapał, nie rozbudziły nigdy żądzy odwetu...

„Żołnierze! cześć wam za to!

„Nie mogąc poznać was, Car ośmielił się wam, wam żołnierzom polskim, udzielić amnestyę! Jak na żołnierzy polskich przystało, daliście mu w odpowiedzi nowe bitwy, nowe zwycięstwa!

„Żołnierze! naród jest dumnym z was!

„Idźcie dalej tą piękną drogą chwały, która wam i Ojczyźnie waszej wolność i niepodległość powróci. W kurzawie boju, w gromie wystrzałów, miejcie w pamięci, że każde zwycięstwo godzinę wolności przybliża, — każda przegrana wtrąca nas w grób!

„Przed laty trzydziestu kilku, na polach Stoczka, Grochowa, Igania, na szańcach Woli, walczyli Ojcowie wasi, a świat podziwiał ich męstwo...

„Żołnierze! Wy jesteście synami tych bohaterów, krwią krwi i kością kości ich jesteście. Będziecież mieli mniej od nich męstwa? Pozwolicież, aby te drogie ojczyste sztandary, chwałą i kurzem tysiąca bitew okryte, w waszych rękach splamione zostały?

„Nie — stokroć nie!

„Naród jest o to spokojnym, a młodzi bohaterowie Węgrowa dali dowód światu, że Polska rodzi takich, jak i dawniej synów, że w piersiach waszych to samo bije serce, jakie biło w rycerzach z pod Samo-Sierra, w nieustraszonych wojownikach Grochowa.

„Żołnierze!

„Jesteście mężni — bądźcie karnymi, nieugiętymi w znoszeniu trudów, nieustraszonymi niczem. Od waszego męstwa waszej karności, waszego poświęcenia, przyszłość Ojczyzny zawisła, — a jak chwała i wdzięczność narodu czeka walecznych, — tak wzgarda powszechna czeka tych, którzy nikczemnie z pola bitwy pierzchają.

„Naprzód więc! Na placu boju, wśród gradu kul, młodzieży polska szukaj sobie chwały, — a kiedyś, gdy dzień już wolności zabłyśnie, osiwiali w bojach Ojcowie przycisną was do piersi i powiedzą z dumą: „Zaprawdę, to są synowie nasi, prawdziwi polscy żołnierze!

„W imię Boże! naprzód! Niech żyje Polska! zwycięstwo lub śmierć!“

Warszawa, d. 13. maja 1863 r.

2) Rozkazuje się Naczelnikom sił Wojewódzkich i Naczelnikom Oddziałów, aby po otrzymaniu niniejszego rozkazu, bezzwłocznie wobec wojska złożyli przysięgę na wierność Ojczyźnie i posłuszeństwo Rządowi Narodowemu; po wykonaniu zaś tego aktu, aby przysięgę przyjęli od całego wojska zostającego pod ich komendą. Rota przysięgi dla żołnierzy chrześcian jest następująca:

„Przysięgam Panu Bogu Wszechmogącemu w Trójcy Świętej Jedynemu, iż będę walczyć do ostatniej kropli krwi i do ostatniego tchnienia za całość i niepodległość Polski, Ojczyzny mojej, — że szeregów Wojska Narodowego pod żadnym pozorem nie opuszczę, chociażbym pewną miał zginąć śmiercią, —

że będę posłusznym i uległym Rządowi Narodowemu i Dowódzcom przez tenże Rząd ustanowionym. Tak mi Boże dopomóż i niewinna Syna Jego męko!“

Dla żołnierzy niechrześcijan stosuje się ta sama rota przysięgi, za wypuszczeniem na początku słów: „w Trójcy Świętej Jedynemu,“ — i na końcu „i niewinna Syna Jego męko!“

3) Pułkownik Taczanowski, przeznacza się na Naczelnika W-twa Kaliskiego, Pułkownik zaś Jaworski, na szefa sztabu sił tegoż Województwa.

4) Kapitan Doliński z Województwa Sandomierskiego za szczególne odznaczenie się w potyczce pod Grabowcem, mianowany został Majorem, z pozostawieniem przy siłach tegoż Województwa.

5) Z raportu urzędowego jednego z Naczelników sił Województwa, Rząd Narodowy dowiedział się, iż pewien oddział pomimo zakazu zformował się i z słabemi siłami czynnie wystąpił do boju, nieoczekując organizacyi innych oddziałów, przez co naraził się na klęskę. Gdy podobna samowolność szkodę zawsze sprawie powstania przynosi, ogłasza się niniejszem, iż nadal bez zezwolenia Naczelnika sił Wojewódzkich, żadne organizowanie miejsca mieć nie może; gdzie zaś takowe jest dozwolone lub polecone, winno się odbywać koniecznie za wiedzą, z współudziałem i pod kontrollą Naczelnika Powiatowego. Zorganizowany wedle tych formalności, koniecznych dla porządku oddział, ani wcześniej ani później nie może się ujawnić tylko wtedy, kiedy będzie do tego upoważnionym. Niestosowanie się do tego rozkazu, leżyć będzie na odpowiedzialności Naczelnika formującego się oddziału, który za nieposłuszeństwo prawu doraźnemu ulegnie.

(Ze zbioru Wgo J. Lanikiewicza. P. R.).

No 9. Dnia 3 lipca 1863 r.

WYDZIAŁ WOJNY RZĄDU NARODOWEGO. ROZKAZ DZIENNY DO WOJSK NARODOWYCH.

1) Rząd Narodowy, którego zadaniem głównem jest ogólny spraw kierunek, zarzucany bywa taką ilością podań pojedynczych osób i urzędów niższych, że gdyby skrupulatnie zajął się ich przedmiotem, nie mógłby i chwili czasu poświęcić rzeczom nagłym, a ogół sprawy na celu mającym; aby nadal uniknąć po-

dobnych podań — i pojedynczych Oficerów i niższych komend, Wydział Wojny poleca, ażeby odtąd Oficerowie ściśle trzymali się zwyczajnego postępowania i zachowania się we wszystkich armjach, i podania swoje przedstawiali po komendzie Naczelnikowi Oddziału, ci Naczelnicy — Naczelnikowi Wojskowemu Województwa, a ci ostatni, jeżeli przedmiot będzie wagi przechodzącej ich attrybucje, żeby przedstawiali Wydziałowi Wojny.

2) Jeszcze i dotąd, ani doświadczenia kilkumiesięczne, ani instrukcye wydane przez Wydział Wojny, nie zdołały zaprowadzić należytego zorganizowania się Oddziałów, po jakiegobądź rodzaju klęsce, jeszcze podkomendni Oficerowie nie wszyscy zrozumieli swoje obowiązki i odpowiedzialność przed Narodem za swoje działania, i zdarza się, że zamiast sprawę posuwać naprzód, najspieszniejszem zebraniem zdezorganizowanego oddziału, wynikłego najczęściej z powodu śmierci dowódzcy, jedni usuwają się na urlopy, inni starają się o dowódzcę u Rządu Narodowego, inni znowu starają się sami o takie dowództwo, nie uznając za dowódzców tych, którzy z kolei starszeństwa podług stopnia powinni zająć podobne stanowisko. Aby na przyszłość usunąć podobny nieład, rodzący zupełny rozstrój i zrywający nić organizacyjną Oddziałów, Wydział Wojny z upoważnienia Rządu Narodowego ogłasza, że starszy Oficer, który nie przyjmie natychmiastowego czasowego dowództwa nad oddziałem, po śmierci naczelnika, i Oficerowie, którzyby takiemu Dowódzcy odmówili posłuszeństwa, będą karani jako wichrzyciele.

3) Gdyby Oficer starszy po poległym Naczelniku, nie czuł w sobie sił do kierowania Oddziałem, dozwala Mu się zdać dowództwo następnemu po sobie z kolei starszeństwa Oficerowi, poddając się pod Jego rozkazy; gdyby zaś uważał za stosowne wybrać niższego Oficera, zbiera wtedy radę wojenną, która zadecyduje, komu powierzyć czasowo Oddział. W obu tych razach, Naczelnik donosi Wydziałowi Wojny, i przesyła kopją o zaszłych zmianach Naczelnikowi Wojskowemu Województwa, oczekując zatwierdzenia lub przysłania nowego Naczelnika Oddziału.

4) Podaje się do wiadomości powszechnej Wojska Narodowego i dla zaszczytu małego oddzialiku z 80 ludzi złożonego, pod przywództwem Of. Sankiewicza, że tenże w Powiecie Augustowskim, w Grudach, dnia 11 Czerwca napadnięty z kilku stron przez półtoratysiączną siłę nieprzyjacielską, zręcznym obrotem potrafił ocalić Oddział od zagłady, broni nie uroniwszy.

5) Surową naganę otrzymuje głównie 17-y pluton jazdy pod dowództwem ś. p. Pułkownika Bończy, który to pluton w potyczce zaszłej w Krakowskiem dnia 20 Czerwca, nieruchomie przypatrywał się walce ochotników wybiegłych naprzód z szeregów za swoim Naczelnikiem.

6) Na przedstawienie Jenerała Jordana ogłasza się, że oficerowie Szeliski i Sławiński nie stawili się w szeregi na jego wezwanie do Oddziałów, które wkraczały na lewy brzeg Wisły, w d. 22. Czerwca r. b.

7) Rząd Narodowy wydał następującą odezwę do Pułkownika Czachowskiego:

Pułkowniku!

Od samej chwili rozpoczęcia krwawych naszych zapasów o niepodległość, Ojczyzna Cała z wytężoną uwagą śledzi każdy ruch, w najmniejszych nawet oddziałach walczących Jej Synów. Cieszy się każdą pomyślnością, współboleje nad każdem niepowodzeniem, chlubi się każdym walecznym czynem.

Wiadomo to Wam dobrze jak i nam; czujemy się jednak w obowiązku oświadczyć w Imieniu Ojczyzny i Narodu, którego Wolę najwyższą wypadło nam prezentować, że z pomiędzy wielu, bohatersko pasujących się z wrogiem, Wy i Oddział Wasz potrafiliście się wyróżnić długiem przeciągiem nieustannych obrotów, ilością stoczonych potyczek, nieustraszonem męstwem i wytrwałością. To też pomimo klęski Waszej, oświadczamy Wam Pułkowniku, Oficerom, Podoficerom i Żołnierzom Waszego Oddziału, żeście się dobrze zasłużyli Ojczyźnie".

8) Mianowany został z Województwa Sandomierskiego Ob. Ludwik Wodzicki, na Podporucznika.

(Pieczęć drukarni Rządu Nar.
z orłem, pogonią i archaniołem).

(Ze zbioru Wgo J. Lanikiewicza. P. R.).

No 23.

ROZKAZ DZIENNY, NACZELNIKA MIASTA

Z wyjazdem carewicza Konstantego moskwa zamierza rozpocząć nową epokę prześladowań, grabieży, więzień, zsyłek i mordów. Rzucając na pastwę prassy europejskiej czczą obietnicę, mniemanej Konstytucyi dla wszystkich ziem wiernopoddańczych,

chce rozpocząć w granicach kongressówki drugą edycją, Murawjewowskich rządów, jako podstawę i jako gwarancyą tych liberalnych reform przyszłości.

Mieszkańcy Warszawy! Taka taktyka moskwy nie od dziś wam jest znaną. Te obietnice repressji, te zapowiedzie, że barbarzyństwo jeszcze dzikszem się stanie, są miotaniem się siły tygrysiej, która czuje, że jest niedostateczną, że się wyczerpie niezadługo, że czynem zwalczyć nas nie może, a więc chce groźbą i postrachem pokonać. Ta zaś lisia zapowiedź, że car barbarzyniec, skoro tylko wytępi w swym państwie wszystek żywioł pojmujący swobodę, bojujący o wolność, zrzucający pęta ciemnoty i despotyzmu, nagle się zmieni w liberalnego władcę i pozostałej, wycieńczonej i ogłupionej rzeszy, przyzna prawa człowiecze w jakiejkolwiek cząstce, — to nędzna farsa, którą moskwa może wyłudzić tolerancję Europy dla swoich gwałtów, rabunków i rzezi, która może jej nawet zjednać sojusz z despotami, ale którą nie kupi ani poddaństwa Polski, ani posłuszeństwa Warszawy!

Półtrzecia roku przeszło, koleją coraz szerszych i liberalniejszych obietnic, stwierdzonych i wypróbowanych na coraz srоższym i bardziej zwierzęcym ucisku, moskwa starała się zgnębić ducha wolności i niepodległości, co Narodowi broń podał do ręki. Przez półtrzecia już roku te wszystkie jej wysiłki były bezowocne.

Mieszkańcy Warszawy! po tak długiej próbie ogniowej, którąście wraz z Narodem przebyli, nie zwątpicie o sobie wobec nowych pogróżek, a nawet nowych prześladowań. Stać będziecie mężnie i wytrwale, słuchając hasła, które wam dotąd przewodniczyło. Nikt z was najmniejszym czynem nie przyłoży ręki do dzieła moskwy, lecz owszem każdy w swoim zakresie paraliżować będzie jej usiłowania. Nikt z was nie da najmniejszej cząstki swego mienia na opłatę ciemięzców, na zasilenie pustych kass najazdu, — a jeżeli przemoc wojskowa wydrze komu krwawo zapracowany zasób, nie będzie to danią poddańczą, lecz łupem dzikich rabusiów. Nikt z Was, nawet pod grozą największego niebezpieczeństwa, nie porzuci stanowiska zajmowanego w pracy około wyjarzmienia Narodu, nie odstąpi niedokończonej roboty, lecz każdy chętnie pójdzie na ofiarę, gdy ofiar będzie potrzeba.

Rząd Narodowy i wszystkie władze pod jego sterem zostające pełnić będą swe czynności bez przerwy, czuwając nad regularnym biegiem pracy powstańczej, pracując nad tem, aby

każdy z kroków najazdu, każde z rozporządzeń moskiewskich, każdy akt przewidzianego barbarzyństwa, dla sprawy narodowej spożytkować i na zgubę moskwy obrócić.

Rząd Narodowy liczy na niezachwianą jedność, na bezwarunkowe posłuszeństwo, na nieograniczone zaufanie mieszkańców Warszawy i kraju, a na takich podstawach wsparty zdoła stanąć oporem przeciw wszelkim konwulsyjnym miotaniom, dogorywającej carskiej potęgi.

Warszawa dnia 11 Września 1863 roku.

(Pieczęć trójherbowa Naczelnika miasta Warszawy).

(Ze zbioru Wgo J. Lanikiewicza. P. R.).

ORGANIZACYA SZTABÓW WOJSK NARODOWYCH POWSTANIA W R. 1863.

Tytuł 1. — Skład sztabów.

§. 1. Sztab Naczelnego wodza lub Naczelnika wojskowego 2-ch Województw:

a) Naczelny Wódz lub Naczelnik Wojskowy 2-ch Województw, Jenerał brygady, dywizyi lub broni	1
b) Komisarz Wojskowy Rządu	1
c) Szef Sztabu, Pułkownik lub Jenerał brygady, dywizyi	1
d) Podszef Sztabu — Major, Podpułkownik lub Pułkownik	1
e) Inżynier — Major, Podpułkownik lub Pułkownik	1
f) Dwaj Adjutanci. Major i Kapitan	2
g) Obożny. Major	1
h) Dowódzca Szwadronu Krakusów — Kapitan	1
i) Pisarzy	3
Osób	12

§. 2. Sztab Naczelnika Wojskowego Województwa:

a) Naczelnik Wojskowy Województwa — Pułkownik lub Jenerał Brygady	1
b) Komisarz Wojskowy Rządu	1
c) Szef Sztabu. Podpułkownik lub Pułkownik	1
d) Starszy podszef Sztabu. Major lub Podpułkownik	1
e) Młodszy podszef Sztabu. Major lub Podpułkownik	1
f) Inżynier. Kapitan lub Major	1
g) Intendent	1

h) Obożny. Kapitan	. . . .		1
i) Dowódzca Szwadronu Krakusów. Kapitan	. . .		1
k) Naczelny Kapelan	. . . .		1
l) Pisarzy	. . . .		3
		Osób . . .	13

§. 3. Sztab Oddziału:

a) Dowódca — Major, Podpułkownik lub Pułkownik	. .		1
b) Dwaj Adjuntanci. Kapitan i Porucznik	. . . .		2
c) Podintendent	. . . .		1
d) Kapelan	. . . .		1
e) Pisarzy	. . . .		2
		Osób . . .	7

Tytuł 2. — Obowiązki Osób Sztaby składających.

§. 4. Do Sztabu Naczelnego Wodza:

a) Naczelny Wódz, łączy w sobie najwyższą Władzę Wojenną i Administracyjną siły zbrojnej powierzonych mu Województw, działa zupełnie niezależnie, stosując się tylko do instrukcyi Rządu, z którym zostaje w bezpośrednich stosunkach. Kierunek działań Wojennych i wszystkie rozporządzenia, tyczące się siły zbrojnej, bezpośrednio od niego zależą; — Zatwierdza Wyroki Sądów Wojennych i nakazuje ich wykonanie; — odbywa osobiście lub przez Szefa Sztabu przeglądy Wojsk, przyczem na miejscu kontroluje czynności wszystkich Urzędników; — przekonywa się o utrzymaniu i wojennem ukształceniu Żołnierzy, a także bada wiadomości i zdolności Oficerów. Mianuje Oficerów na placu boju do Kapitana włącznie. — Oficerów wyższych przedstawia Rządowi do nominacyi. Zawiesza czasowo lub usuwa od obowiązków wszystkich podwładnych Oficerów za wyłączeniem Naczelników Wojskowych Wojewódzkich i Szefów Sztabu — o usunięciu zaś wyższych Oficerów bezzwłocznie zawiadamia Komisarza Wojskowego Rządu.

b) Komisarz Wojskowy Rządu. Atrybucye jego określone oddzielnym Dekretem z dnia (18 maja 1863).

c) Szef Sztabu — jest Doradcą i głównym pomocnikiem Naczelnego Wodza tak pod względem Wojennym jak i Administracyjnym a także najbliższym Zwierzchnikiem wszystkich Urzędników Sztabu.— Rozpieczętowuje urzędowe listy adresowane do Naczelnego wodza i stosownie do ich wagi albo sam załatwia albo przedstawia Naczelnemu Wodzowi. — Wszystkie rozporządzenia Naczelnego Wodza powinny być stwierdzane pod-

pisem Szefa Sztabu, który wraz z Naczelnym Wodzem odpowiedzialnym jest za wszelkie skutki, z rozporządzeń wynikłe. W razach, kiedy uważa rozkaz Naczelnego Wodza za szkodliwy lub nieprawny, może go niepoświadczyć i wtedy unika odpowiedzialności, lecz w takim wypadku Komisarza Wojskowego Rządu zawiadomić powinien. — W razie śmierci lub choroby Naczelnego Wodza, Szef Sztabu pełni jego obowiązku do nowego rozporządzenia Rządu. — Szef Sztabu układa raporta o stanie Wojska, ruchach i bitwach.

d) Podszef Sztabu: jest pomocnikiem Szefa Sztabu, w jego ręku koncentrują się wszystkie rozporządzenia, tyczące się działań wojennych — utrzymywanie i systematyzowanie wiadomości ściąganych o nieprzyjacielu — poprawki map — wskazanie kierunku pochodu — rozlokowanie Wojsk do niego należą.

e) Inżynier — zajmuje się poprawianiem i psuciem dróg i mostów, urządzaniem polowych fortyfikacyi na pozycyi dla boju przez wojska zajętej a także ufortyfikowaniem obozu — dla wszystkich tych prac organizuje stosowną komendę Saperów, której jak najprędszem wyuczeniem obowiązanym jest się zająć.

f) Adjutanci; — Starszy Adjutant jest Naczelnikiem Kancelaryi — załatwia wszystkie interesa, tyczące się kompletowania Wojska; translokat, urlopów, zawieszeń i nagród. Utrzymuje Spisy Wojsk i robi wyciąg ze składanych raportów o stanie oddziałów; w tem wszystkiem pomaga mu Młodszy Adjutant.

g) Obożny — zajmuje się Wojenną Policyą, wyszukuje przewodników, szpiegów, dogląda porządku w obozach i bitwach, a także w ruchu pociągów w pochodzie; utrzymuje stosunki z Oddziałami Okręgowemi Strzelców konnych.

h) Dowódca Krakusów — jako Naczelnik eskorty Sztabowej odpowiedzialnym jest za osobiste bezpieczeństwo Naczelnego Wodza i jego Sztabu.

i) Pisarze — załatwiają czynności kancellaryjne.

§. 5. Do Sztabu Naczelnika Wojskowego Województwa:

a) Naczelnik Wojskowy Województwa; — W Województwach, gdzie niema Naczelnego Wodza, ma atrybucye i obowiązki, wyżej temuż przepisane. W Województwach zaś, mających już Naczelnego Wodza, Naczelnik Wojskowy Województwa zachowuje zwierzchnictwo wojskowe i administracyjne

nad swemi Oddziałami. W działaniach wojenych uległym jest rozkazom i instrukcyom, przez naczelnego Wodza wydanym, któremu składa o wszystkiem raporta.

b) Komisarz Wojskowy — jak wyżej.

c) Szef Sztabu, d) i e) Starszy i Młodszy Podszefowie.

f) Inżynier, h) Oboźny, i) Dowódca Krakusów, l) Pisarze mają te same atrybucye i obowiązki jak wyżej przy Naczelnym Wodzu.

g) Intendent. Do niego należą: żywność, odzienie i efekta Wojskowe — układa spis artykułów, niezbędnych dla zaspokojenia potrzeb Wojska, a po zatwierdzeniu takowego przez Naczelnika Wojskowego Województwa, komunikuje Władzom Cywilnym z oznaczeniem miejsca i czasu dostawy tych artykułów, na odebranie których odbiera od Władzy cywilnej stosowne mandaty. Kontroluje czynności i rachunki Podintendentów, jest płatnikiem Wojskowym Województwa. — Składa Naczelnikowi Wojskowemu Województwa raporta ze swych czynności.

k) Naczelny Kapelan — jest kapelanem głównej kwatery i kontroluje czynności Kapelanów Oddziałowych.

§. 6. Do Sztabu Oddziału:

a) Dowódca Oddziału — wydaje rozporządzenia, tyczące się boju, obozowania, marszu, mianuje podoficerów i przedstawia Naczelnikowi Wojskowemu Województw Oficerów do nominacyi, zatwierdza dekreta Sądu Wojennego i wykonywać je każe. — Odpowiedzialny jest za wyćwiczenie, całość i karność swego Oddziału. — Składa raporta Naczelnikowi Wojskowemu Województwa.

b) Adjutanci, są pomocnikami Dowódcy Oddziału, Starszy pod względem Sztabowym a Młodszy jest Naczelnikiem Kancellaryi.

c) Podintendent, ma takież obowiązki względem swego Oddziału jak Intendent w Województwie — z czynności składa raporta Dowódcy Oddziału i Intendentowi Wojewódzkiemu.

d) Kapelan, spełnia wszystkie posługi duchowne przy Oddziale.

Tytuł 3. — O Krakusach.

§. 7. Przy każdym Naczelniku Wojskowym Województwa, jakoteż przy Naczelniku 2-ch Województw, lub Naczelnym Wodzu zostawać ma Szwadron lekkiej Kawaleryi „Krakusów“. — Służy on za eskortę dla Naczelnika Wojskowego i jego Sztabu

w razie przenoszenia się tegoż z jednego Oddziału do drugiego. W czasie boju użytym być tylko może w razach nadzwyczajnej potrzeby i to część jego zostawać zawsze winna w miejscu, gdzie Sztab ma stanowisko.

§. 8. Szwadron Krakusów ma być uorganizowanym na zasadzie ogólnego Regulaminu jazdy. — Składać się ma z wyborowych Oficerów i Żołnierzy jazdy całego Województwa. Uzbrojenie jak najlepsze, składać się winno, dla pierwszego szeregu: lance z chorągiewką, pałasz i pistolety — dla drugiego szeregu: Sztućce, pałasze i pistolety. Oficerowie i Podoficerowie: Pałasz i rewolwer. Umundurowanie wskazane w innych ogólnych przepisach o mundurach.

§. 9. Dowódca Krakusów: Kapitan, winien być dzielnym i doświadczonym kawalerzystą, aby Szwadron swój w jak najkrótszym czasie mógł postawić na stopie wzorowej jazdy.

§. 10. Dowódca Krakusów, jak wyżej powiedzano, należy do Sztabu i jest odpowiedzialnym za jego bezpieczeństwo.

W Warszawie, dnia 12 maja 1863 r.

(Ze zbioru Wgo J. Lanikiewicza. — P. R.

INSTRUKCYA DLA OFICERÓW. O POSTĘPOWANIU WOJSKOWEM W OBOZACH.

I. Stosunek władz wojskowych.

§. 1. Każdy wojskowy, czy to żołnierz czy Oficer obowiązany jest dokładać wszelkich starań do wywalczenia Wolności Ojczyzny — bronić Rządu Narodowego, o ile to od niego zależeć będzie, od wszelkich grożących mu niebezpieczeństw i zamachów, wypełniać jak najdokładniej i najstaranniej wszelkie powierzone mu obowiązki, sumiennie wykonywać istniejące postanowienia, instrukcye i rozkazy swych Zwierzchników. — We wszelkich wypadkach postępować powinien z godnością, męztwem i wytrwałością, jak Polskiemu Żołnierzowi i Obywatelowi przystoi.— Oficerowie szczególnie w tej mierze dawać winni z siebie przykład przez dokładne wykonywanie wszelkich rozkazów bądź ważnych i trudnych, bądź mniej na pozór wagi mających.

§. 2. Każdy Wojskowy powinien spełniać rozkazy nietylko najbliższego swego dowódcy, ale i wszystkich wyższych od siebie stopniem; jeżeli rozkaz zdaje się mu nieprawnym lub szkodliwym, może zrobić stosowną uwagę, lub też jeśli jest czas

potemu, donieść starszemu dowódcy; gdyby uwaga usłuchaną nie była, rozkaz wypełnić należy; odpowiedzialność leży na tym, co dał rozkaz, a nie na tym, co go wykonał. — Dla Wojskowych wyższych stopniem potrzeba zachować na służbie i w życiu prywatnem należny szacunek.

§. 3. Naczelnicy zważać powinni, żeby rozkazy były dokładnie i w właściwym czasie wykonywane; ociągających się w spełnieniu swych obowiązków przestrzegać i w razie potrzeby do odpowiedzialności pociągać mają, winnych dyscyplinarnie karać lub przed sąd właściwy stawić powinni. Przestrogi, uwagi i rozkazy powinny być dawane z powagą, grzecznością i bez najmniejszej obrazy godności Obywatelskiej; za karę niewłaściwą lub za obrazę osobistą, naczelnicy do odpowiedzielności pociągani będą.

§. 4. Oficerowie w postępowaniu swem z Żołnierzami powinni pamiętać, że tylko zyskaniem przyjaźni i szacunku u podwładnych, wyrobią z nich prawdziwego żołnierza, którego nie zatrwożą żadne trudności i który wznieść się potrafi do najszczytniejszego heroizmu. Dlatego Oficerowie powinni starać się o to, aby postępowaniem swem zyskali zaufanie Żołnierzy; mianowicie ciągłem obcowaniem z niemi, łagodnym poprawianiem omyłek, strofowaniem przekraczających. — Winnych obowiązani są pociągać do odpowiedzialności, ale zawsze z właściwą powagą i bez używania słów obelżywych, godności żołnierza ubliżających; działać zawsze raczej radą niż groźbą, krzykiem i łajaniem, gdyż środki te zamiast podnosić powagę, tylko gorsze o dowódcy dają wyobrażenie, jako o człowieku, który panować nad sobą nie umie. Obelga czynna i kary cielesne najsurowiej się zabraniają. Oficerowie baczyć mają, żeby podoficerowie w swem postępowaniu z żołnierzami trzymali się tychże zasad. Powinni oni nowozaciężnych obznajmić z obowiązkami służby i w postępowaniu z niemi starać się raczej radą i przestrogą, niżeli srogiemi karami oduczyć od złych nałogów i obyczajów.

§. 5. Żołnierz przy spotkaniu oficera powinien dla oddamu wojskowego honoru przyłożyć prawą rękę do daszka czapki, na co Oficer takimże położeniem ręki odpowie. Toż samo wykonywają Oficerowie wszystkich stopni przy spotkaniu Jenerałów lub swych Dowódców. Jeśli Dowódca podchodzi do oddziału, stojącego wolno w szeregu, to na komendę: „baczność“ żołnierze wyrównają się, staną według formy i broń u nogi trzy-

mać będą; w razie skinienia ręką Dowódcy na znak, aby pozostali w dawnem położeniu, żołnierze honorów czynić nie będą.

II. Moralność.

§. 6. Dowódcy oddziałów zwracać mają uwagę, ażeby obrządki religijne nie były zaniedbywane i sami wraz z Oficerami w tym względzie przykład dawać powinni. Z rana i wieczorem żołnierze Pacierz mówić mają, w Niedzielę zaś i Święta jeśli okoliczności wojenne pozwolą, kapelan oddziałowy mieć będzie Mszę Świętą dla oddziału, który wtedy sformuje się w czworobok naokoło ołtarza. Wzbrania się najsurowiej niedozwalania Żołnierzom modlitwy przed bitwą; Modlitwa ta naturalnie powinna być krótka. Trzeba także zachęcać żołnierzy do śpiewania religijnych hymnów narodowych. Żołnierze wszelkich wyznań, obrządki religijne według swych przepisów odbywać powinni.

§. 7. Każdy wojskowy wykona przysięgę według roty w rozkazie dziennym Nr. 4 podanej. Przysięgę tę żołnierz zawsze winien mieć w pamięci i w najtrudniejszych chwilach nieodstępować od zasad w niej zawartych.

§. 8. Kapelani oddziałowi obowiązani są odprawiać Mszę Świętą, miewać nauki, dawać swem życiem przykład moralnego postępowania; uczyć żołnierzy pacierza, zasad religii, nieść pomoc lekarską i moralną chorym i rannym; pełnić obowiązki religijne nie żądając żadnej zapłaty; w czasie boju znajdować się winni z Krzyżem przy szeregach i swym przykładem zachęcać do wytrwałości i męztwa.

§. 9. Przestrzegać należy, ażeby postępowanie Żołnierzy zawsze nacechowanem było moralnością i szlachetnością; zalety te są wrodzone naszemu żołnierzowi, potrzeba tylko zważać, żeby życie obozowe nie pouczyło ich do jakowych złych nałogów. Za pierwsze, małoważne przekroczenia ograniczyć się należy przestrogą; powtórzone, karę za sobą pociągać powinny; Żołnierze, którzy częstemi przekroczeniami kilkakrotnie na karę zasłużyli, powinni być wyrokiem sądowym z wojska wypędzeni, aby swym przykładem innych żołnierzy nie psuli. — Nad postępowaniem żołnierzy podoficerowie czuwać powinni i mają zawiadamiać swych oficerów o zaletach i wadach każdego poszczególnie żołnierza.

III. Porządek.

§. 10. Życie obozowe powinno być jak najlepiej uregulowane, ażeby wszystkie czynności odbywały się we właściwym czasie, jeśli tylko wojenne okoliczności nie będą wymagać zmiany lub zaniedbania czasowego tego porządku. Wstawać się ma o 4-tej lub 5-tej zrana w lecie, a o 6-tej w zimie. Dla budzenia dobosz lub trębacz gra marsza na pobudkę. — Po wstaniu wszyscy żołnierze powinni się umyć, usta wypłukać i zaczesać się, a po zmówionym pacierzu zabrać się o uporządkowania swej odzieży i amunicyi. W godzinę po wstaniu Podoficerowie sprawdzają na apelu, czy wszyscy podkomendni im żołnierze są przytomni; chorych odprowadzają do Doktorów; feldfebel czy wachmistrz obchodzi swą komendę i donosi o jej stanie kapitanowi.

§. 11. Po śniadaniu naznacza się 2 do 3 godzin na musztrę t. j. naukę ewolucyi wojskowych i celnego strzelania. Po skończeniu musztry zostawia się czas wolny żołnierzom do swobodnego rozporządzenia; wtedy można pozwalać im pójść do kąpieli, jeśli ta jest blizko obozu, uważać jednak należy, aby w bliskości nieprzyjaciela mała tylko część obozu się oddalała do kąpieli. Potrzeba, żeby żołnierze często zmieniali bieliznę, a brudną żeby w wolnych chwilach sami prali. — Wogóle żołnierze utrzymywać się powinni czysto i ochędożnie, czego Oficerowie doglądać mają.

§ 12. Między 12-tą a 1-szą naznacza się obiad. Zaleca się wszystkim Oficerom, żeby obiad jedli zawsze przy swych plutonach, nie odróżniając się ani w tem ani w innych wygodach od prostych żołnierzy, którzy są takimiż obywatelami Kraju i takież ofiary życia i mienia niosą na Ołtarz Ojczyzny; w liczbie prostych żołnierzy jest zawsze wielu ludzi do wygód życia przyzwyczajonych, jednakże oni przymuszeni są do ciągłego obcowania z innymi żołnierzami. Oficerowie powinni z siebie dawać zawsze przykład zaparcia się i poświęcenia. Oficerowie starsi, Dowódcy Oddziałów i Oficerowie Sztabowi, jak tylko czas pozwalać im będzie, do obiadu siadać mają wraz z żołnierzami kolejno w różnych kompaniach lub szwadronach.

§. 13. Oficerowie wyżsi i niżsi obowiązani są zawsze być przy Obozie i zabrania im się najsurowiej wyjeżdżania z obozu do obywateli na noc albo na obiad, herbatę lub kolację.

§. 14. Po obiedzie daje się żołnierzowi 3 godziny odpoczynku, który to czas użyją na własne zajęcia; uważać tylko należy, aby w obozach nie zaprowadziła się gra w karty i pi-

jatyka. Przed wieczorem naznacza się znów musztra szczególnie dla nowozaciężnych i dla tych, którzy są mniej ze służbą frontową obznajomieni; jednakże i z innemi choć na krótko musztrę odbywać należy. Wieczorem dają kolacyę, po której najpóźniej o 9-tej godzinie wszyscy w obozie spać powinni, za wyłączeniem szyldwachów i straży obozowej; deżurni Oficerowie i Podoficerowie, a także Dowódzcy różnych części Oddziału, obchodzić powinni w nocy swe komendy dla sprawdzenia czujności szyldwachów i dla przekonania się, czy porządek w Obozie jest zachowany.

§. 15. Do gospodarstwa domowego, do porządkowania w obozie, na warty obozowe tak zewnętrzne jak i wewnętrzne, do robót fortyfikacyjnych naznaczają się kolejno wszyscy żołnierze, tak jazda i piechota, tak strzelcy jak i kosyniery. Oficerowie baczyć mają, żeby kolej we wszystkich robotach Obozowych była zachowaną, nie obrażając żadnej broni lub osoby. Do robót wymagających więcej wprawy n. p. na kucharzy, cieśli, kowali i t. p. wybierać będą ludzi, więcej do tego uzdolnionych, którzy za stałe pełnienie tych obowiązków uwolnieni być mają od innych kolejnych robót.

§. 16. W wielu oddziałach dotąd Kosynierzy we wszystkiem byli upośledzani i na nich patrzano tylko jako na robotników przy obozach; przez to upada moralnie ta broń, która ma stanowić większą połowę naszej narodowej armii; dlatego dotąd Ojczyzna nie miała z kosynierów takiej korzyści, jakich po nich spodziewać się może. Dla zaradzenia temu złemu, Dowódzcy Oddziałów baczyć mają:

1) ażeby Oficerów w kosynierskich kompaniach naznaczać w takiej samej liczbie, jak i do strzeleckich kompanii;

2) ażeby nie grupować w kosynierach samych tylko włościan, a ludzi średniej i wyższej klasy w strzelcach; owszem starać się, żeby i w jednej i w drugiej broni pomięszane były wszelkie klasy ludności, co tem łatwiej wykonać można, że pomiędzy włościanami jest wielu umiejących dobrze strzelać;

3) ażeby nie używać wyłącznie kosynierów do robót obozowych, lecz uważać, żeby praca równo na wszystkie bronie rozłożoną była;

4) ażeby żywność kosynierów dostarczoną była w równej obfitości i dobroci, jak żołnierzom innych broni;

5) Dowódzcy Oddziałów dołożyć powinni wszelkich starań do podniesienia moralnego usposobienia kosynierów.

§. 17. W obozach nie powinny znajdować się kobiety, z wyjątkiem kilku markietanek, które powinny być żonami żołnierzy w tym obozie zostających; liczba markietanek rozkazem dziennym Nr. 1 oznaczoną już została.

§. 18. Z miejscowemi obywatelami bądź to włościanami, bądź zamożniejszymi posiadaczami ziemskiemi, tak Oficerowie jako i Żołnierze obowiązani są zachować się grzecznie, nie obrażając ich w niczem, nie robiąc im żadnej szkody i nie przeszkadzając ich zwykłym domowym zajęciom; wzbrania się wojskowym bez pozwolenia miejscowych obywateli oraz władzy wojskowej łowić ryby w stawach lub rzekach, polować na zwierzynę, puszczać konie na paszę, brać frukta lub ogrodowiznę, niszczyć lub palić płoty i zagrody, słowem robić jakiekolwiek szkody miejscowym obywatelom — pod zagrożeniem stosowną karą. Wszelkie kłótnie między miejscowemi Obywatelami i Wojskowemi, Oficerowie a szczególniej Dowódzcy oddziałów, starać się powinni zgodnie zakończyć. W razach ważniejszych Sąd wyrokuje.

§. 19. Dla zebrania żywności i furażu posełać się ma do najbliższej wsi lub też do kilku wsi stosowną liczbę furjerów i furażerów przy intendencie lub podintendencie; a jeśli w pobliżu jest nieprzyjaciel, to ze stosowną liczbą wojska dla obrony od niespodziewanego napadu. Intendent udaje się do miejscowej władzy i wskazuje jej, jaką ilość żywności i furażu wojsko potrzebuje, wyznaczone przez tę władzę przedmioty, furjerowie i furażerowie zabierają i do obozu odwożą; intendent należne za to bony lub kwity wydaje. W razie, gdyby miejscowe władze nie dawały zapotrzebowanych przedmiotów, to intendent rozporządzi się, żeby siłą potrzebna ilość ich wziętą była; przytem dla zachowania porządku i sprawiedliwości postępować się ma w ten sposób:

1) Wyznaczy się na każdych kilka domów osobny starszy furażer, który odpowiada za wszelkie zaszłe nadużycia.

2) W jednem lub w kilku miejscach wsi postawią się warty, dokąd furażerowie potrzebne przedmioty zwożą.

3) Intendent sam osobiście a także przez wysełane patrole przekonywa się o zachowaniu porządku i przestrzega, ażeby brano tylko to i w takiej ilości, jak furażerom wskazano.

4) Żołnierze, którzyby przy furażowaniu wzięli więcej potrzebnych produktów nad ilość wskazaną a tembardziej ci, któ-

rzyby wzięli rzeczy, do żywności i furażu nie należące, jak najsurowiej i bez zwłoki przez Sąd karani być powinni.

§. 20. Kary dyscyplinarne naznaczone być mają za mniejsze wykroczenia, wymierzane sprawiedliwie i stosunkowo do winy popełnionej; wykonanie kary powinno nastąpić jak najprędzej po samem wykroczeniu. Za wszelkie ważniejsze przestępstwa niezwłocznie winnych przed Sąd Wojenny stawić należy.

§. 21. Dyscyplinarne kary dla wojskowych wszelkich stopni są następujące:

1) Uwaga lub wymówka słowna albo w rozkazie dziennym publikowana.

2) Naznaczenie na służbę nadkolejną lub też do cięższej pracy.

3) Areszt z pełnieniem lub bez pełnienia obowiązków.

4) Czasowe lub zupełne usunięcie od pełnionego obowiązku.

Wszystkie te kary Dowódzca batalionu lub szwadronu może naznaczyć wszystkim, pod jego komendą zostającym; Oficerowie mają takież prawo nad Podoficerami i Żołnierzami, a Podoficerowie nad Żołnierzami. Starsi Dowódzcy winni zwacać uwagę, żeby ich podkomendni nie nadużywali swej władzy. Wykroczenie kilku wojskowych razem (więcej nad 5 osób) zawsze Sąd rozpoznaje; najbliższy Dowódzca dopilnuje tylko, ażeby winni przed Sądem jak najprędzej stawieni byli.

IV. *Musztra.*

§. 22. Dowódzca powinien zwrócić uwagę, żeby Żołnierze wszystkich broni, Strzelcy, Kosyniery i Jazda — mieli postawę żołnierską. Żołnierz powinien stać niewymuszenie, jednak prosto i rześko; broń, amunicya i odzienie, jakie ma na sobie powinno być utrzymane w należytej czystości i porządku.

§. 23. Muszfra odbywać się powinna według regulaminu wydanego przez Rząd Narodowy; mianowicie, w piechocie:

1) Przy mustrze, po jednemu; zwracać należy uwagę na postawę żołnierza wyuczyć go maszerować, powracać i robić bronią.

2) Przy mustrze szeregami; należy przyuczać żołnierza do marszu w takt, równym krokiem; do dokładnego zachowania prawideł służby frontowej i do punktualnego wykonania obrotów.

3) Przy mustrze kompaniami; oprócz wyżej wskazanych prawideł dla mustry szeregami, uczyć należy żołnierzy formowania kompanijnych kolumn i czworoboków prędko i dokładnie.

oraz rozwijania tychże w szeregi krokiem zwyczajnym albo biegiem.

4) Przy mustrze tyralierskiej należy szczególną zwrócić uwagę, aby żołnierze rozumieli podawane sygnały, aby przyuczyli się do korzystania z każdego ukrycia, do bystrości i zręczności w ruchach, do przeskakiwania przez rowy, płoty, do dostawania się na strome góry i t. p. Wogóle przy musztrach tyralierskich trzeba się starać wyrabiać w żołnierzu samodzielność, pewność, ufność w własne siły i odwagę. Dobrze byłoby, gdy jest czas potemu uczyć żołnierzy gimnastyki i fechtowania.

§. 24. W jeździe — mustra odbywać się powinna:

1) Po jednemu konno.

2) W szyku plutonem lub szwadronem.

3) Pieszo według wyżej wskazanych prawideł.

4) Ujeżdżanie młodych koni.

5) Nauka sygnałów — a jeśli są instruktorowie, fechtowanie konno i pieszo i woltyżowanie.

Wogóle w jeździe szczególnie zwracać należy uwagę, aby żołnierze mocno i śmiało siedzieli na koniach, a wszelkie ruchy podane w regulaminie, prędko wykonywali; w samym żołnierzu trzeba wyrabiać dziarskość i pewność siebie, które w jeździe szczególnej wynagrodzić ma brak zupełnego militarnego wyrobienia.

§. 25. Dowódzcy przy zarządzeniu musztry nie powinni zbytnio męczyć ludzi i koni. Porządek musztry tak układać, aby zachowaną była rozmaitość — a to dlatego, żeby szczególnie młodego żołnierza zbytnio monotonną jednostajnością nie zniechęcać.

§. 26. Oficerowie powinni dokładać wszelkich starań dla nabycia dostatecznej wprawy w komenderowaniu i wogóle wiadomości wojennych. Pożądanem byłoby, żeby oficerowie specyaliści znajdujący się w Oddziałach wykładali kolegom wiadomości wojskowe w pewnych godzinach.

Wszystko, co wyżej powiedziano o Oficerach, stosuje się i do Podoficerów i żołnierzy mających wyższe ukształcenie.

Nie umiejącym czytać żołnierzom, Oficerowie i Podoficerowie powinni ustnie tłómaczyć regulamina i przepisy wojskowe.

§. 27. Po obznajmieniu Żołnierzy i Oficerów z wyżej podanemi prawidłami musztry, należy zbierać ich w bataliony i szwadrony i przyuczać do wykonania wszelkich ruchów i zmian szyku, podanych w regulaminach.

§. 28. Jednym z najważniejszych środków działania wojska jest celne strzelanie. Dowódzcy Oddziałów na ten przedmiot szczególniejszą powinni zwrócić uwagę. Najlepszym środkiem niezaprzeczenie w dojściu pod tym względem do doskonałości jest jak najczęstsze strzelanie do celu, przy obecnym jednak braku amunicyi w naszych obozach nie jest praktycznym. Potrzeba więc starać się sformować celnych strzelców, tracąc jak można najmniej amunicyi na ich ukształcenie. Dla tego:

1) Każdy żołnierz powinien być jak najlepiej obeznany ze swoją bronią, umieć ją rozbierać, składać i czyścić.

2) Na celnych strzelców powinni być dobierani ludzie już obznajmieni z palną bronią.

3) Należy wprawiać strzelców do zgadywania na oko z jak największą dokładnością, na wiele kroków od nich znajduje się jakikolwiek wskazany przedmiot.

4) Obznajomić żołnierzy z prawidłami, jakie zachować należy przy nabijaniu, celowaniu i strzale na różne odległości.

5) Żołnierze posiadający wyżej nadmienione strzeleckie ukształcenie, powinni przed użyciem swej broni w boju, wypróbować ją kilkoma przynajmniej strzałami do celu.

6) Zalecać należy mniej wprawnym żołnierzom, żeby na daleką metę w boju nie strzelali, a wszystkim wogóle, aby amunicyę jak można najwięcej szanować.

W Warszawie dnia 22 maja 1863 roku.

(Ze zbioru Wgo J. Lanikiewicza. P. R.).

INSTRUKCYA DLA FORMOWANIA PARTYZANCKICH ODDZIAŁÓW STRZELCÓW KONNYCH.

W każdym Okręgu zebrać i uzbroić konny partyzancki oddział, podług następującej formy: Naczelnik Powiatu ustanowi w każdym okręgu Naczelnika partyzantów, którego się zaliczy do wojska w stopniu porucznika. Naczelnicy Powiat. będą pośrednikami partyzantów w stosunkach tychże z Naczelnikiem Wojsk: Województwa. Partyzanci mają utrzymywać policyę w swym Okręgu.

Oddziały partyzanckie zostawać mają pod rozporządzeniem Naczelnika Powiatu, od niego odbierać rozporządzenia ogólne, i jemu o działaniach dokonanych tygodniowe lub w razie potrzeby częstsze zdawać raporta; od niego pobierają broń, amu-

nicją, rekwizyta wojenne (ładownice, tornistry, pasy), odzież, żołd, i jeśli potrzeba zajdzie, pomoc pieniężną, na mogące się wydarzyć potrzeby oddziału.

Oddział partyzantów użytym ma być jedynie w granicach Okręgu, do alarmowania nieprzyjaciela, do przecinania mu dowozów żywności, do niszczenia małych komend, chwytania kurerów i szpiegów, niszczenia komunikacyj i telegrafów, zbierania wiadomości o miejscach pobytu i ruchach nieprzyjaciela, służenia za przewodników w granicach okręgu, dla wojska powstańczego, czuwanie nad bezpieczeństwem publicznem w okręgu, i w razie potrzeby dawanie pomocy władzom cywilnym.

Na wybór ludzi do tych oddziałów największą należy zwrócić uwagę, nie wybierać jak tylko ludzi młodych, przedsiębierczych, silnych, trzeźwych, znanych z poczciwego prowadzenia się, dobrych strzelców i dobrych jeźdźców. Pod żadnym pozorem nie przyjmować ludzi dwuznacznej moralności lub pijaków. Karność w oddziale partyzantów zaprowadzić taką, jaką przyjęto w ogólnej instrukcyi dla wojska powstańczego.

Oddział partyzantów składać się ma z jednego plutonu, czyli 28-u ludzi; w tej liczbie jeden oficer, 3-ch podoficerów i 24-ch żołnierzy. Starszy podoficer jest Wachmistrzem, który utrzymuje listę oddziału, urządza kolej służby podoficerów, dozoruje broń, amunicyę i rekwizyta wojskowe.

Drugi podoficer jest kurjerem, ma staranie o odzieży i żywieniu oddziału i układa kwity na żywność. Strzelcy konni uzbrojeni będą w broń myśliwską i pałasze, a jeżeli można, to i w pistolety. Na oddział daje się 4 siekiery i 2 szpadle, które się noszą przy siodłach. Żywność partyzanci pobierają o ile można za pieniądze, znajdujące się na ten cel u dowódzcy oddziału.

Dziennie na żołnierza jednego, bez różnicy stopnia, dawać groszy pol. 40; oficerowi zł. p. 4. W razie pobierania żywności w naturze, liczy się mu dziennie żołdu gr. 15 i na racye:

Chleba	funtów	2
Mięsa baraniego, wołowego lub cielęcego . .	„	1
Słoniny	„	1/4
Kaszy lub grochu	„	1
Soli	„	1/30
Wódki	kwarty	1/4

Dziennie na konia jednego.

Owsa	garncy	4
Siana	funtów	10
Słomy jak potrzeba	„	10

Dowódzca oddziału partyzantów okręgowych, w razie niedostatku pieniędzy na zakupienie żywności, może pobierać takową od mieszkańców, za okazaniem upoważnienia od Nacz. Cyw. Powiatu, w ilości nie większej jak na dni dwa. Na odebraną żywność i furaż, dowódzca wystawić ma kwit podług wzoru Nro. 3 za własnoręcznym podpisem. Dowódzcy partyzantów pod najsurowszą odpowiedzialnością nie wolno pobierać pieniędzy od mieszkańców, gdyż takowe tylko od Nacz. Cyw. Powiatu wydawane będą.

Listę żołdu układa Wachmistrz i podpisem stwierdza porucznik. Listy te, na których u spodu pokwituje się z odebranego, oddaje się Naczelnikowi Cywilnemu Powiatu.

Porucznik odpowiedzialnym jest za oddział mu powierzony, rozporządza nim wedle otrzymanych rozkazów, lub jak sam widzi tego potrzebę; sprawy z tego nigdy swoim podkomendnym nie zdaje, owszem, winien o przedsięwzięciach swoich ścisłą zachować tajemnicę, którą objawi dopiero w chwili wymarszu, lub krótko przed działaniem. Tak samo odpowiedzialny jest, i tak samo się zachowa z oddziałem, z jakim od głównego wykomenderowany być może Podoficer, lub żołnierz doświadczeńszy od drugich, któremu nad niemi czasowo dowództwo poruczono.

Dowódzca oddziału pod żadnym pozorem od niego oddalać się nie może; w ubytku dowódzcy przez śmierć, chorobę nagłą lub ranę, najstarszy stopniem partyzant, natychmiast z prawa, bez narady, obejmuje dowództwo i zawiadamia o tem bezpośredniego swego zwierzchnika.

Dowódzca opuszczający samowolnie oddział, i odwrotnie oddział opuszczający samowolnie dowódzcę, podlegają sądowi wojennemu i karani będą jak zwyczajne zbiegi.

NB. Załącza się tutaj wzory do sprawozdań tygodniowych (Nro. 1) i nadzwyczajnych (Nro. 2); a także kwity na racye (Nro. 3) i na żołd (Nro. 4).

(Pieczęć drukarni Rz. Nar. z orłem,
pogonią i archaniołem).

(Ze zbioru Wgo J. Lanikiewicza — P. R.).

RZĄD NARODOWY. WYDZIAŁ WYKONAWCZY NA LITWIE. DNIA 7/19 PAŹDZIERNIKA 1863 R. DO RZĄDU NARODOWEGO.

No 2986. Rapport.

Uprzedniemi rapportami naszemi donosiliśmy Rządowi Narodowemu o środkach przymusowych, któremi władze moskiewskie wyzyskiwały podpisy obywateli wszystkich stanów i wyznań do wiernopoddańczego adresu. W miarę oporu jaki Moskwa napotykała w kraju w urzeczywistnieniu tych chęci swoich i środki przymusowe stawały się coraz surowsze i dziksze. Wybór ich zostawiony był przez Murawiewa woli wojennych naczelników powiatowych, obdarzonych uprzednio prawem życia i śmierci nad mieszkańcami kraju; to też były one różnorodne, stosownie do miejscowych okoliczności i osobistego charakteru wojennych naczelników, w tem do siebie podobne, że wszędzie szerzyły bezprzykładny w dziejach terroryzm. I tak: w niektórych powiatach województwa Wileńskiego, wojenni naczelnicy rozjeżdżali z komendami wojskowemi od obywatela do obywatela, przedstawiali im gotowy akt do podpisania, zapowiadając niezwłoczne zniszczenie i spalenie domostwa i wyrżnięcie całej rodziny w razie odmówienia podpisu. W innych powiatach tegoż województwa aresztowano pojedynczo obywateli, stawiano przed wojennych naczelników, gdzie im dawano do wyboru podpisanie nienawistnego aktu, albo oddanie pod sąd wojenny, jako jawnie wypowiadających posłuszeństwo rządowi moskiewskiemu. Gminy żydowskie uległy podobnemu losowi, a starostom gmin wiejskich nakazano pod groźbą kary cielesnej stawić się w dzień oznaczony w Wilnie dla obecności ich na sali Murawiewa, i wręczenia jakoby od gmin adresu napisanego w biórze gubernatorskim w Wilnie. W województwie Kowieńskiem i Grodzieńskiem podobnychże środków wszędzie używano, z tym dodatkiem, że w niektórych powiatach, wojenni naczelnicy zgromadziwszy obywateli do miasta powiatowego, i zamknąwszy w czasowem więzieniu, otaczali dom wojskiem i tak zamkniętych trzymali, dopóką głodem nie wymogli podpisów. W Mińsku kilkuset obywateli w turmie osadzonych ze zbrodniarzami, wybierać musiało między utratą wszystkich praw stanu i wygnaniem na Syberję a podpisaniem adresu. W województwie Mohilewskiem i Witebskiem wzięto się teraz do tychże sposobów dla wymożenia adresów. Wszystkie te pogróżki spełniane były zawsze literalnie

i niezwłocznie nad stawiającymi opór władzom moskiewskim. Nie był to więc płonny postrach, ale straszna rzeczywistość, która niechybnie czekała każdego, co niechciał przyłożyć podpisu do niecnego aktu.

W obec tak rozwiniętego terroryzmu przez Moskwę, zważywszy po 1-sze, że wzbranianie się od podpisania adresu, pogrążając w nieszczęście tysiące rodzin, pozbawia zarazem kraj cały najdzielniejszych i najszlachetniejszych mężów; powtóre, że adres takiemi środkami wymuszony w niczem podpisujących go obowiązywać nie może i nie ma żadnej politycznej doniosłości; potrzecie, że pozorne zaparcie się uczuć narodowych przed wrogiem, w celu uniknienia bezowocnego męczeństwa, nie może być poczytanym za odstępstwo; ale że owszem sam zmysł polityczny doradza, aby się wrogowi wywnętrzeniem tych uczuć w ręce nie oddawać; Wydział wykonawczy na Litwie przesłał okólne pismo z d. 3 Września (22 Sierpnia) do Naczelników cywilnych, wojewódzkich i powiatowych zalecając, aby podpisujących pod takim naciskiem adres, za nieulegających odpowiedzialności w obec Rządu Narodowego uważać.

Pomimo tego obwieszczenia w każdem jednak województwie znalazło się osób kilkanaście, które z tej powolności czynionej im przez Władze Narodowe korzystać niechciały i wolały straciwszy całe swoje mienie skazać się na wygnanie niż podpisując adres, pozornie nawet wyprzeć się uczuć Polaka i potępić najszlachetniejszych rycerzy Litwy walczących za Niepodległość Ojczyzny. Naród zaś cały nie chcąc przyjąć na swe sumienie hańby chociażby pozornego odstępstwa, i zostawić w ręku przewrotnego wroga akt piśmienny głoszący całość nierozdzielną Litwy z Moskwą i potępiający bohaterską walkę; — w miarę wyzyskiwania podpisów przez Moskwę, przesłał do wydziału protesta przeciw wymuszonym przez Moskwę adresom, w których wszystkie stany i wyznania w kraju zarówno udział biorą, odpychając z całą energją uczucia patryotycznego wszelki sojusz z najezdniczą Moskwą, a ponawiając uznanie Rządu Narodowego za jedyną prawą na Litwie Władzę, rozporządzeniu jego mienia swe i życie oddają celem wyjarzmienia Ojczyzny.

Liczba podpisów wzrosła spiesznie i doszła obecnie do 249,646 a chociaż jeszcze z każdym dniem się powiększa, zważywszy wszakże, że i teraz już liczba obywateli biorących udział w tym uroczystym akcie narodowym jest niewymownie znacząca, Wydział wykonawczy dalej zatrzymywać go w ukryciu

nie chce, i kopję protestów, za których autentyczność ręczy Rządowi przesyła.

Uroczyste to oświadczenie uczuć całego kraju, z własnego popędu samorzutnie uczynione, w pośród najokropniejszego prześladowania Moskwy ścigającej z dziką wściekłością i karzącej jak największą zbrodnią nietylko udział, ale nawet samo z powstaniem współczucie, uwydatnia do najwyższego stopnia jakie jest usposobienie Litwy, jaki zapał niczem niestłumiony ogarnia wszystkie serca jej mieszkańców. Nowy ten objaw ducha narodowego jest naturalnem dopełnieniem tych objawów, które na całej Litwie poprzedziły zbrojne powstanie; dopełnieniem samejże bohaterskiej walki toczącej się od ośmiu miesięcy na wszystkich punktach Litwy, jest on jeszcze doniosłym dowodem tego uznania, jaki Rząd Narodowy ma w kraju i niewymownego zaufania jakie kraj pokłada we władzach przez Rząd Narodowy ustanowionych.

Z tego Rząd Narodowy bardziej się jeszcze może utwierdzić w tem przekonaniu, że 70-letnie rządy Moskwy w województwach Wileńskiem, Grodzieńskiem, Kowieńskiem i Mińskiem a 90-letnie w Inflandzkiem, Witebskiem i Mohilewskiem, nietylko się tu nie dały wkorzenić, ale dziś bardziej jeszcze niż w chwili rozbioru są krajowi obce i znienawidzone przez wszystkie warstwy społeczeństwa. Moskwa czuje sama usuwający się grunt pod stopami swemi; a w braku wszelkiej na Litwie historycznej tradycji, wszelkiej prawnej podstawy, usiłuje wytworzyć sobie gwałtem pozorne stanowisko prawne. Ztąd to ów dziki terroryzm rozwinięty w celu wyzyskiwania adresu przeciwnego wszystkim poczuciom mieszkańców kraju. Moskwa ulega tu temu koniecznemu prawu wszechświata, mocą którego każde tylko dzieło utrzymać się może temi środkami, przez które powstało. Zdobycz wzięta podstępem i przemocą tylko przemocą i podstępem zachować się daje - i to jest, można powiedzieć treść dziejów Litwy od rozbioru Polski, treść tej walki nieustającej, a prowadzonej różną bronią — walki cywilizacji zachodniej z barbarzyństwem Azji, której polem jest Litwa blisko od wieków.

Różne fazy, przez które walka ta przechodziła rzucają wielkie światło na stan obecny Litwy i charakter jej mieszkańców. Wydział przeto wykonawczy uważa się w obowiązku przesłać Rządowi Narodowemu w ogólnym zarysie niektóre mniej wiadome szczegóły odnoszące się do dziejów Litwy, mianowicie z ostatnich lat kilku poprzedzających powstanie zbrojne r. b.

Zajmujący to obraz społeczeństwa, którego wróg mimo wysileń różnego rodzaju blisko od stu lat czynionych nietylko pochłonąć nie może, ale z każdym dniem czuje się słabszym, z każdym dniem jest zmuszany rozwijać większe okrucieństwa (tę broń słabości) w celu zachowania wyrywającej się zdobyczy.

DO RZĄDU NARODOWEGO. OD OBYWATELI WOJEWÓDZTWA WITEBSKIEGO.

My niżej podpisani Obywatele Województwa Witebskiego, nagleni całą siłą przemocy i podstępu rządu moskiewskiego o wiernopoddańczy adres do cara, niniejszem oświadczamy przed Bogiem, własnym krajem i Europą: jako z Ojców i przodków naszych Polakami jesteśmy i takiemi w dzieciach i potomkach naszych na wieki być chcemy, jako wszelki sojusz i sprzymierzenie z Moskwą odrzucamy, jako najświętsze ofiary ostatków mienia, utraty najdroższych osób, krwi przelanej, dla tej miłej Ojczyzny naszej Polski ponosimy i nowe ponieść gotowi jesteśmy. Ruś Biała, jako i inne Rusi, była integralną częścią średniowiecznej i pogańskiej jeszcze Litwy. W r. 1413 wolą absolutnego jej księcia Władysława Jagiełły, a raczej wolą Boga chcącego udarować te kraje wiarą świętą, połączona została z Polską. Po upływie półtora wieku 1569 w mieście Lublinie zjednoczyła się z nią dobrowolnie, węzłem braterstwa i swobody za sprawą ostatniego Jagiełły Zygmunta Augusta, który kwoli zjednoczeniu temu zrzekł się absolutnej i dziedzicznej władzy nad Litwą. Odtąd upłynęło przeszło trzy wieki, w ciągu których Litwa podzielając z Polską swobody, sławę i nakoniec ostatnią niedolę, zlała się z nią w jeden naród polski. W r. 1861, który był rokiem odrodzenia nastąpiło trzecie i najuroczystsze połączenie Litwy z Koroną w Aleksocie i Horodle. Adres carski wymaga, żebyśmy się zaparli tych faktów, żebyśmy się nazwali Rossjanami, żebyśmy się wyrzekli i potępili braci i synów naszych poległych i pomordowanych jako i uwięzionych w fortecach i wysłanych na Sybir.

Dla kogo jest potrzebny adres i protest? W ukazie Murawiewa okładającym wszystkich bez wyjątku posiadaczy ziemskich podatkiem nadzwyczajnym powiedziano: jako karę za udział w powstaniu. Ten ukaz Aleksander II. zatwierdził, więc nas wszystkich bez wyjątku nazwał buntownikami a tem samem Po-

lakami. Z drugiej strony dla czego chcą od nas protestu w słowach kiedy protestujemy krwią i męczeństwem.

Wiadomo jakim sposobem przeprowadzają się adresa. Powywożono nam wszystkich niemal Marszałków, ich miejsce zajęli moskale, lub zdrajcy naznaczeni od rządu i taki Marszałek przy pomocy wojennego naczelnika postrachem lub podstępem wymoże pewną liczbę podpisów, i oto staje adres mający potępić naszą sprawę przed światem.

My wszakże ufni w Boga i w świętość naszej sprawy o krok jeden z drogi obowiązku i poświęcenia nie zboczym, protestując zarówno przeciw złej woli naszych fałszywych przyjaciół, ufni że wszystko co zacne i prawdziwie chrześcijańskie w Europie, z nami jest i sprawy naszej choćby tylko w znaczeniu moralnem nie odstąpi.

29 Sierpnia (10 Września) 1863 r.

Następują podpisy 17.610 obywateli zaświadczone przez Zarząd Cywilny wyżej wymienionego Województwa.

DO RZĄDU NARODOWEGO. OD OBYWATELI WOJEWÓDZTWA WILEŃSKIEGO.

W pośród krwawej z Moskwą walki o niepodległość której wszystkie warstwy społeczeństwa Litwy bohaterski biorą udział, były Marszałek Województwa Wileńskiego wystósował do cara moskwy adres z wymienieniem od szlachty wierno-poddańczych uczuć. Poczem władze moskiewskie zawezwały szlachtę do stwierdzenia niecnego aktu podpisami swemi.

Szlachetni mężowie w odmówieniu podpisów, poświęcili się na utratę mienia i wygnanie na Syberją lub na śmierć męczeńską, doniosłe światu dali już świadectwo; jakich środków używa moskwa do wymożenia podpisów, krew ich niewinnie przelana, ofiary bez granic uwydatniły z jednej strony do jakiego stopnia moskwa czuje się sama pozbawioną na Litwie wszelkiej prawnej podstawy; i jak w niedostatku rzeczywistego prawa, pragnie wytłoczyć sobie zmyślone, jak nawet tego otrzymać nie może inaczej jak rozwijając najdzikszą przemoc; — z drugiej strony adresem i podpisem wymuszonym siłą zbrojną, groźbą szubienicy i Syberji, groźbą mordu i pożogi lub osadzaniem po więzieniach, odjęły resztę znaczenia jeśli jakiekolwiek mieć mogły.

Ale duszę Polską, w której miłość Ojczyzny stała się religią boli nawet terroryzmem pozorne odstępstwo od sprawy Ojczystej. Dla tego my niżej podpisani Obywatele Województwa Wileńskiego, tak ci, cośmy srogą moskwy przemocą do podpisania nienawistnego aktu zmuszeni byli, jak ci cośmy jeszcze na tę straszną próbę narażeni nie byli, niniejszem protestujemy przeciwko duchowi i literze podanego adresu; podpisy nasze jako gwałtem od nas wymuszone odwołujemy i za nieważne ogłaszamy; wszelki sojusz tak przymierze z najezdniczą moskwą, jako duchowi naszemu narodowemu wstrętnie, z rozwojem naszej cywilizacji i potrzebami kraju niezgodne odrzucamy, wierność naszą dla Polski, z którą połączeni jesteśmy nierozerwanym nigdy węzłem, przez ojców naszych w Horodle i Lublinie zaprzysiężonym, a pięcio-wiekowem z nią życiem, wspólną chwałą i szczęściem, jak wspólną niedolą wzmocnione, na nowo zaprzysięgamy, służyć tej miłej niepodległości, Rządowi Narodowemu, jedynej Władzy jaką w kraju naszym za prawą uznajemy, osoby nasze, mienie i krew naszą w rozporządzenie oddajemy i te oświadczenia nasze w obec Boga w Trójcy Świętej jedynego, w obec kraju własnego i Europy czyniąc, świadczymy własnoręcznemi podpisami.

13 (25) Września 1863 r.

Następują podpisy 89,315 Obywateli zaświadcza przez Zarząd Cywilny niżej wymienionego Województwa.

DO RZĄDU NARODOWEGO. OD OBYWATELI WOJEWÓDZTWA KOWIEŃSKIEGO.

My Obywatele Województwa Kowieńskiego, wydani na całą srogość władz najezdniczego rządu, które szerząc po kraju naszym spustoszenia i mordy chcąc nas zmusić do podania adresu do cara, przez co mamy się zaprzeć swojej narodowości i potępić tysiące braci i synów naszych, którzy walczą z wrogiem lub giną męczeńsko w więzieniach za wiarę i swobody narodowe, niniejszem w obec wszechwidzącego Boga, w obec całego Narodu i wszystkich ludów i rządów Europy, uroczyście zeznajemy i oświadczamy, że walkę podniesioną przeciw najeźdcy uważamy za świętą, sprawiedliwą i konieczną, wszech-władze obecnego najazdu nieprawą i przemocą nam narzuconą odpychamy, wszelkie przymierze, wspólnośc i jednoczenie się z mo-

skwą, bezwarunkowo odrzucamy, dopóki choć jeden nieprzyjaciel na ziemi naszej pozostanie; a jako przez dobrowolne połączenie z Polską wszystkich ziem naszych, od wieków utworzyliśmy jedno i nierozdzielne polityczne ciało, tak i nadal w nierozerwanej jedności trwać chcemy, przed własnym Narodowym Rządem polskim. Wszelkie przeto akta z rozkazu władz moskiewskich tworzone, wszelkie adresa do cara jako niepochodzące z wolnej woli naszej lecz pod naciskiem najsroższego prześladowania, na pojedynczych osobach wymożone, są nieprawne, nieważne i w niczem nas obowiązywać nie mogą.

Niniejsze oświadczenie nasze Rządowi Narodowemu, którego jedynie za swą prawą uznajemy władzę przedstawiamy i jesteśmy pewni, że rządy i ludy Europy nie w sformowanych przez Murawiewa adresach, lecz w spełnionych przez nas ofiarach, w bohaterskich czynach wojowników naszych dotąd walczących za Polskę i krwią swoją znaczących jej granice, czerpią i czerpać będą o nas swe sądy i zdanie; a my ufni w świętość naszej sprawy i w pomoc sprawiedliwego Boga, wszystkośmy poświęcić gotowi dla odzyskania drogiej Ojczyzny naszej, jedynej całej niepodległej Polski.

18 (30) Września 1863 r.

Następują podpisy 96,432 Obywateli, zaświadczone przez Zarząd Cywilny wyżej wymienionego Województwa.

DO RZĄDU NARODOWEGO. OD OBYWATELI WOJEWÓDZTWA GRODZIEŃSKIEGO.

Oszukaństwo, ucisk, gwałt, konfiskata majętności i więzienie ze strony najazdu przy złej wierze kilku wyrzutków naszego społeczeństwa, dały możność moskwie zebrania kilkuset podpisów na adres odstępstwa narodowego i najzupełniejszego zaparcia się siebie samych.

W obec tego hańbiącego faktu, my Obywatele Województwa Grodzieńskiego podpisani i niepodpisani na adresie niniejszym, świadczymy, że nigdy niemieliśmy nic wspólnego z moskwą, że ona nigdy nie uwzględniła naszych miejscowych potrzeb, że cały czas jej panowania jest to czas gwałtu, okropnego ucisku, najohydniejszej dążności, ostatecznym celem, którego było najzupełniejsze wynarodowienie i zagłady u nas cywilizacji europejskiej. Rząd moskiewski widząc w nas wszystko wrogie i obce

Jednej, Nierozdzielnej Polski składamy. Co w obec świata całego dla wiadomości wszystkich ludów i rządów własnemi podpisami stwierdzamy.

Dnia 29 Października 1863 r.

Tu następują podpisy 29,372 Obywateli Inflant Polskich stwierdzone przez Zarząd Cywilny Województwa Inflanckiego.

(Dodatek do „Niepodległości" Nr. 10 z dnia 7 Listopada 1863 r. zawiera sześć poprzedzających dokumentów).

N. 73. dnia 10 Maja 1863 r.

NACZELNY DOWÓDZCA SIŁ ZBROJNYCH WOJEWÓDZTWA LUBELSKIEGO I ZIEM RUSKICH.

Jenerała Menotti Garibaldi mianuję Naczelnym Dowódzcą całej wyprawy Wschodniej. — Wszyscy dowódzcy oddziałów mają się poddać pod jego rozkazy.

J. Wysocki

Naczelny Sekretarz Adjutant N. Małuja.

Pieczęć Dowódzcy naczelnika sił zbrojnych Wojew Lubels. i ziem Rusk. z orłem i pogonią.

(Ze zbioru Wgo Karola Brzozowskiego. — P. R.)

N. 70. 10 Maja 1863 roku.

NACZELNY DOWÓDZCA SIŁ ZBROJNYCH WOJEWÓDZTWA LUBELSKIEGO I ZIEM RUSKICH.

Jenerała Menotti Garibaldi upoważniam do wkroczenia ze swoim oddziałem do polskich prowincyj, zostających pod zaborem Moskiewskim, wspólnie z oddziałami Polskiemi, formującemi się w Konstantynopolu i Tulczy.

J. Wysocki

Naczelny Sekretarz Adjutant N. Małuja.

(Pieczęć Dowódzcy Naczelnika sił zbrojnych Wojew. Lubels. i ziem Rusk. z orłem i pogonią).

(Ze zbioru Wgo Karola Brzozowskiego. — P. R.).

Wydział Wojny.
Nr. 57.

RZĄD NARODOWY. DO OB. BARANCEWICZA ANTONIEGO.

Wydział Wojny zawiadamia Was, że postanowieniem z dnia 23 Marca 1864 r. Rząd Narodowy mianował Was Majorem. Wojsk Powstańczych, z zaliczeniem do Sił Zbrojnych I-go Korpusu Armii polskiej.

Warszawa dnia 24 Mca Marca 1864.

(Pieczęć trójherbowa
w otoku u góry: Rząd narodowy
na dole: Wydział wojny).

NACZELNIK SIŁ ZBROJNYCH WOJEWÓDZTWA LUBELSKIEGO DOWODZĄCY ODDZIAŁEM III.

Udziela się niniejszem Józefowi Lanikiewiczowi, sierżantowi wojsk narodowych, urlopu na jeden miesiąc, po upływie tegoż czasu, tenże ma się niezwłocznie do obozu stawić. Wzywa się obywateli krajowych o ułatwienie temuż podróży.

Obóz dnia 11 Listopada 863.

W zastępstwie Naczelnika wojennego
Major Marecki.

(Pieczęć trójherbowa
z napisem Wojew. Lubelskie
Dowódzca Oddziału III).

Nr. 16.

WOJEWÓDZTWO LUBELSKIE ODDZIAŁ IIIci WOJSK POLSKICH

(Herb potrójny)

STAN SŁUŻBY

W POWSTANIU 1863 64.

Lanikiewicz Sierżant IIIciej Kompa. Strzelc. Piesz.

Wyszczególnienie stanu służby: Wstąpił w szeregi Wojsk Narodowych dnia 29go sierpnia 1863 r. do Oddziału Pułkownika Lelewela recte Borelowskiego Marcina w Województwie Lubelskiem; po zniesieniu tego Oddziału pod Batożem przybył dn. 10 Września r. b. do Oddziału Dowództwa podpułkownika Ruckiego Władysława pełn. obowiąz. Naczel. Wojen. Wojewódz. Lubelsk. mianowany przez Tegoż dn. 29go Września r. b. podoficerem a dn. 28go Paździer. t. r. Sierżantem; następnie pozostawał pod zastępcą pomienionego Naczelnika Dowódzcą Majorem Mareckim Michałem do dn. 18go stycznia 1864 roku.

Odbyte kampanie: Brał udział w bitwach następujących z Wojskami Moskiewskiemi: dnia 2go Września 1863 r. pod Zwierzyńcem. — dn. 5go Września r. b. pod Batożem. — dn. 20go Listopad. b. r. w zdobyciu miasta Puhaczewa. — dn. 8go Grudn. b. r. pod Wolą Korybutową. — dn. 8go Styczn. 1864 r. pod Wolą Przybysławską. — dn. 16 Styczn. t. r. pod Wolą Skromowską.

Odniesione rany:

Uwagi: Gorliwy w spełnieniu swych obowiązków z całą akuratnością jak również przytomny; odważny w boju.

Rysopis:

Lat: 20

Wzrost: słuszny

Twarz: okrągła

Oczy: piwne

Nos: średni

Usta: mierne

Włosy: ciemnoblond

Znaki szczególne: żadne.

Dan w Mnichowie dnia 30go Grudnia 1864 roku.

Podpułkownik:

Władysław Rucki.

(Pieczęć trójherbowa
z napisem: Województ. Lubelskie
Oddział III.).

Porucznik adjutant:

Marceli Wojde.

(Oryginał w formacie dyplomowym na wielkim arkuszu — P. R.).

CZĘŚĆ II.

Wspomnienia, listy i różne osobiste dokumenty.



Uwaga. Krzyżyk (†) położony przy nazwisku autora oznacza śmierć tego autora przed oddaniem do druku niniejszej księgi.



BOLESŁAW ANC.

Zygmunt Chmieliński.

(Urywek ze wspomnień).

Zygmunt Chmieliński — to jedna z najwybitniejszych postaci powstania z 1863 r., a nie wielu wodzów powstańczych porównanie z nim wytrzymać może. To wzór dowódzcy partyzanckiego narodu, który dąży do zrzucenia jarzma wroga, wzór wytrwałości w klęskach i niepowodzeniach, którym nigdy pokonać się nie dawał, a czy w zwycięstwie, czy w odwrocie, zawsze bez bojaźni i strachu!

I czyż ja mogę dodać choć jeden listek wawrzynu do wieńca chwały, który otacza pamięć jego? — zaprawdę, że nie! ale zetknąwszy się z nim w życiu kilkakrotnie, postaram się dorzucić na męczeńską, a zdeptaną przez wroga mogiłę bohatera i moją grudkę ziemi, zlepioną ze wspomnień o moich z nim stosunkach.

Nie mam zamiaru pisać monografii Chmielińskiego, bo do tego uzdolnionym się nie czuję i materyałów odpowiednich nie posiadam, a całą przeszłość odczytuję w mej pamięci i dlatego to tylko do luźnych o nim wspomnień ograniczyć się muszę.

Chmieliński był młodzianem nie więcej jak dwudziestopięcioletnim, gdy dla walki za Ojczyznę porzucił szeregi wojska moskiewskiego. Czy on tam był junkrem czy „praporem“? — tego nie wiem, lecz całe jego wzięcie się i maniery naprowadzały na myśl, że on od dzieciństwa w korpusie kadeckim wychowanie odebrać musiał.

Czy był w wojsku Dyktatora? tego także nie wiem, ale to wiem, że Chmieliński był jednym z najpierwszych oficerów powstania, którzy po klęsce Langiewicza (bo już w początkach maja, zdaje mi się) zaczęli formować oddziały w kraju.

Przybył on z Krakowa w stopniu kapitana, a dzięki współdziałaniu zacnego i dzielnego organizatora wojennego województwa, którego nazwiska z żalem wymienić nie mogę, oddział jego naprzód w Miechowskiem, a potem Jędrzejowskiem urósł do jakich 400 ludzi, dobrze uzbrojonych.

W czerwcu już stoczył on kilka potyczek z Moskalami, trzymając się zawsze taktyki rozdzielania oddziału na drobniejsze części, wobec zbyt silnego nieprzyjaciela, i napadania na wroga, gdy tylko ten ośmielił się być choć w równej mu sile.

Zwyczajnie rozdzielał on oddział na kompanie, które w promieniu paru mil się lokowały, — a na znak dany przez wodza, oddział z kilkuset wyćwiczonych ludzi do boju stawał. Przez długie miesiące ulubionem siedliskiem Chmielińskiego był trójkąt pomiędzy Kielcami, Włoszczową i Jędrzejowem, a pomimo, że pracowałem w organizacyi województwa, aż do końca sierpnia z oddziałem Chmielińskiego się nie spotkałem. Prawda i to, że lipiec i sierpień w kozie przesiedziałem.

Już w czerwcu sława Chmielińskiego głośną była, a Moskale z nim, tak jak z Czachowskim, liczyć się musieli.

Żołnierze jego bardzo go kochali, choć był wielce surowym dla nich, a nahajka, która go nie odstępowała, często w robocie była. Szlachta w początkach skarżyła się na niego bardzo, jako na mierosławczyka i „jakobina“, śmiał on bowiem tchórzów, skrywających się po dziurach, zabierać przemocą do oddziału, a czasami opornego młodzieńca szlacheckiego i nahajem pokropił! Ale i to się utarło, gdy poznano, że było to wynikiem tylko gorącej miłości ojczyzny, połączonej z wrodzoną krewkością i szorstkością wojskową.

Nie lubił on także pochlebstwa i nigdy w nienależne mu tytuły nie ubierał się, jak to czynili chętnie inni dowódzcy oddziałów.

Po śmierci Bończy, (Błeszczyński) oddział Chmielińskiego powiększył się o stokilkadziesiąt koni, jako resztę oddziału Bończy. Charakterystycznem było przyjęcie tej resztki przez Chmielińskiego, nie pamiętam, czy w Obiechowie, czy w Secyminie. Ustawiwszy ów oddział konnicy, otoczyć go kazał swoją piechotą, a potem wypowiedział mówkę do tych, którzy wodza swego na polu bitwy haniebnie odbiegli, zwymyślał ich, tak polskimi, jak moskiewskimi wyrazami, a następnie zakonkludował, iż nie są oni godni siedzieć na koniach i że powinni naprawić swą sławę kosami.

Zakomenderował więc; „z konia“, a rozbroiwszy uciekinierów, kosy im dać kazał.

. . . .

Po wydobyciu się z pazurów Czengerego, niedługo popasałem u moich zacnych przyjaciół i poręczycieli Siergielewiczów. Na trzeci dzień, pożegnawszy ich wyjechałem, a zacni ci ludzie, wiedząc co ich mój wyjazd kosztować będzie, nie próbowali nawet wstrzymywać mię od spełnienia mego obowiązku. Odwiedziwszy więc matkę moją w Jędrzejowie, a w Pinczowie Adolfa Pieńkowskiego, który komisarstwo pełnomocne województwa już innemu ustąpił, udałem się do nowego wojewody w Węchadłowie, w Szkalmierskiem. Był nim wtedy właściciel tej wioski Mieczysław Chwalibóg, któremu, kilkunastoletnie wygnanie na Syberyi, nietylko serca nie ostudziło, ale nawet wręcz przeciwny skutek wywarło. Wojewoda posłał mnie w Olkuskie, aby tam zająć opróżnione stanowisko naczelnika powiatu. A było to w ostatnich dniach sierpnia.

Przez trzy miesiące mojego naczelnikowania w Olkuskiem, przebywałem najwięcej w północnej części powiatu, pomiędzy Szczekocinami, Lelowem, Żarkami i Pilicą, tam mię najmniej nachodzili Moskale, gdy w okolicach Olkusza i Dąbrowy przemarsze ich częste bywały.

Nie mając dostatecznych lasów, powiat olkuski mało się nadawał do partyzantki, czasami tylko Oxiński z Wieluńskiego, a Chmieliński z Kieleckiego tam się zapędzali. Moskale zaś stacyonujący w Olkuszu i Miechowie, pilną uwagę zwracali na granicę, aby przeszkodzić wejściu oddziałów powstańczych od Krakowa.

Organizacyę narodową zastałem w świetnym stanie: naczelnicy okręgowi i miejscy urzędowali pilnie. podatki napływały, poczty narodowe świetnie urządzone były. Dzięki temu, jakoteż wytrwałej działalności organizatora powiatowego, aptekarza, p. Kreczmera (zmarł w Drohowyżu 24/3 1903 r.), sprowadzano broń, mundury, organizowano oddziały powstańcze.

W owym czasie formował się w Olkuskiem oddział Ottona, Węgra, którego nazwisko prawdziwe było Esterhazy. Był to człowiek około 35 lat wieku, wykształcony, brunet, dobrego wzrostu i tuszy. Po polsku jednak nie mówił ani słowa, i to stanowiło ważną dla niego trudność, z podkomendnymi bowiem tylko po francusku lub po niemiecku porozumiewać się musiał. Znał się on na służbie wojskowej, był wymagający, ale w miarę

surowy. Dla żadnych uczt obozu nigdy nie opuszczał. W końcu sierpnia dokończył on formacyi swego oddziału w lasach około Białej-Błotnej, gdzie go w obozie odwiedzałem.

Jednocześnie w okolicach Cierna i Popowic w Jędrzejowskiem uformował się oddział majora Iskry (Sokołowski), a to po bitwie, którą on stoczył z Moskalami, około Małogoszcza. Chmieliński zaś wtedy przebywał w okolicach Włoszczowy, rozdzieliwszy swój oddział na części, które kwaterowały po różnych miejscach.

Pomiędzy dowódzcami tymi nie było żadnej łączności, a nawet między Iskrą i Chmielińskim wyrodził się prawie antagonizm. Źródło tego leżało w niewłaściwej nominacyi z przyczyny zmian i fluktuacyj, jakim podlegał sam Rząd Narodowy. Chmieliński, który od kwietnia, jak lew i lis zarazem, walczył z Moskalami, przez długi czas był tylko „kapitanem“, gdy Iskra w czerwcu przybył formować swój oddział, ze stopniem „majora“.

Ogół obu nazywał pułkownikami, lecz Chmieliński, tego tytułu nie przyjmował, gdy Iskra chętnie weń się ubierał i nim podpisywał. Iskra poszedł dalej, bo jako starszy stopniem i niby „pułkownik“ posyłał polecenia do „kapitana“ Chmielińskiego, których ten ostatni przyjmować nie chciał. Sprawa narodowa najwięcej cierpiała na tem, bo nieraz zamiast zwycięstwa, ponieśliśmy klęskę!

Stosunki te, niestety, tak się zaostrzyły, że przyszło do jawnych niechęci pomiędzy dwoma dowódzcami.

Rząd Narodowy w części temu zaradził, nadając Chmielińskiemu, w lipcu zdaje się. stopień majora, ale antagonizm dwóch ludzi nie osłabł. W początkach września, o ile mi się zdaje, przyszła na ręce moje z Warszawy nominacya dla Chmielińskiego na pułkownika i naczelnika wojennego województwa krakowskiego. Uważając to za ważny krok dla zaprowadzenia ładu pomiędzy dowódcami, sam tę nominacyę Chmielińskiemu zawieźć postanowiłem. Puściłem się więc na poszukiwanie nowego naczelnika, a przez Szczekociny i Secemin, dotarłem do wsi Kozłowa pod Włoszczową, gdzie odszukałem moją zgubę.

Pomimo podarunku, jaki mu przywiozłem, a który nie mógł być Chmielińskiemu nieprzyjemnym, przyjął on mnie chłodno, surowo, a nawet dość opryskliwie. Oblicze jego dopiero się wyjaśniło, gdy wszedł do pokoju adjutant jego, major Piotr Doliński, a uściskawszy mnie serdecznie, przedstawił pułkowni-

kowi, jako swego kolegę uniwersyteckiego, który z przyczyny krótkiego wzroku, musiał żołnierkę na służbę organizacyjną zamienić. Chmieliński zmienił się wtedy zupełnie, a przeprosiwszy mnie za swoje przyjęcie, rzekł:

— Myślałem, obywatelu, żeś ty młody szlachcic, który z tchórzostwa „dyplomacyą“ się zajmuje.

„Dyplomacyą“ nazywał on wszelką służbę poza obozem, żartował z niej, pojmując tylko w części i nie będąc w stanie ocenić niebezpieczeństwa, na jakie sumiennie pełniący obowiązki tej „dyplomacyi“ się narażał!

Do późnej nocy gawędziliśmy z Chmielińskim, jego adjutantem i gospodarzem. Pułkownik się ożywił, rozgadał, a nazajutrz rano wydał rozkazy dla koncentrowania jego oddziałków; w kilka dni już potem poturbował Moskali gdzieś koło Rakówka.

Z długiej wtedy rozmowy widziałem, że Chmieliński nie łudzi się co do położenia. Jako szczery, głęboki demokrata, w ludzie tylko widział ocalenie Polski, lecz uznawał swą niemoc, by ten lud poruszyć. Chciałby on był jednak, żeby powstanie ogarnęło jak najszersze kręgi i cierpiał nad tem, iż wyglądało ono, jakby jaka zbrojna demonstracya.

— Żalą się na mnie, mówił, że jestem szorstki i grubijański ze szlachtą, lecz czyż mogę być innym, gdy powstanie tak mało się rozwija, a młodzi szlachcice po domach siedzą. Cóż więc chcieć od chłopów? Oddziałów mało, a uciekinierów wielu! Co z Bończą zrobiono? I czyż tych tchórzów nie miałem ukarać? Powinienem był ich rozstrzelać, lecz niestety, zbyt wielu ich było!!

— Kraków jest naszą zgubą, mówił, tam się szerzy zgnilizna i demoralizacya, które do obozów przechodzą! Raz tam byłem, lecz wyjechałem stamtąd do obozu, przysięgając sobie, albo zwyciężyć, albo zginąć, a do Krakowa nie wrócę!

Zginąć więc muszę, a czy to w bitwie, czy też na rynku w Kielcach, lub w Radomiu, to mi jest wszystko jedno, bylebym spełnił mój obowiązek!

. . . .

Oto wyznanie wiary, oto wizerunek moralny Zygmunta Chmielińskiego.

Co rzekł, to dotrzymał!

Wygląd Chmielińskiego nie był wcale nakazujący: szczupły, prawie że chuderlawy, z włosami czarno-kasztanowatymi, wyglądał na lat 25 lub 26 i nie miał wcale rycerskiej miny.

Fizyognomia jego również nie była odznaczającą się, a ruchy szorstkie i obozowe znamionowały wychowanie wojskowe. W obcowaniu jednak z sympatycznemi mu osobami był uprzejmy, miły i serdeczny, — mówiąc o sprawach narodowych, wpadał w zapał, a w oczach cała jego pełna poświęcenia i odwagi dusza się malowała.

— „Wiem, że zginąć muszę, a więc mi wszystko jedno, gdzie zginę, bylebym spełnił mój obowiązek“, z całem zrozumieniem tych wyrazów i stałem postanowieniem ich dotrzymania, słowa te były przez niego wypowiedziane!

Dlaczego tak nie myślały miliony naszych rodaków?

. . . , ...

Objaśniony przezemnie o szczegółach formacyi oddziału Ottona, prosił o najspieszniejsze uzupełnienie tej formacyi, przewidując, iż wkrótce pomocy tego oddziałku, potrzebować będzie.

*
* *

W kilkanaście dni potem Chmieliński zebrawszy swój oddział przekroczył Pilicę i stanął obozem we wsi Drochlinie, własności braci Zwierzchowskich, na północy powiatu olkuskiego położonej. Pojechałem tam powitać miłych gości i, jako gospodarz powiatu, zarządzić odpowiednie dostawy.

Chmieliński przyjął mię jak starego przyjaciela, a w oddziale jego oprócz kolegi Dolańskiego, odnalazłem kolegę z dzieciństwa, to jest ze szkół kieleckich, Jana Biechońskiego, który mię nie poznał.

Po raz pierwszy wtedy widziałem i podziwiałem ćwiczący się oddział Chmielińskiego, złożony o ile pamiętam z czterech kompanii piechoty i szwadronu jazdy — razem około 600 ludzi.

Prawie cały tydzień stał Chmieliński w Drochlinie. Ćwiczył on, dopełniał i organizował tam swój oddział, a Moskale jakby o nim nie wiedzieli. Od Kielc zasłonięty był oddziałem Iskry, garnizon częstochowski zajęty był Oxińskim i Lüttichem, a Olkusz obserwował granicę.

Drugiego dnia jego tam pobytu przywiozłem mu depeszę z Warszawy. Po przeczytaniu rzekł on do mnie.

— Mam polecenie od Rządu Narodowego, oddać pod sąd wojenny Iskrę, za jego gwałty i rozpustę. Czybyś się nie podjął jechać do niego, z wezwaniem, aby się tu stawił, dla porozumienia w sprawach wspólnego działania?

Wymówiłem się od tego innemi zajęciami, gdyż znając cel prawdziwy misyi, wydała mi się ona zbyt judaszowską; — sąd wojenny w postaniu, — to śmierć, a choć konieczność tego wymagała, to posłannictwo takie wstrętnem mi było.

Już dawno żalono się na swawolę Iskry, cytowano wsie, w których tenże dowódca ze swoim sztabem publicznie oddawał się rozpuście i gwałtom pod osłoną swoich żołnierzy! Skargi te doszły do Warszawy, a stamtąd nakazano sąd wojenny, który mię niemile dotknął dlatego, iż wykonawcą jego miał być Chmieliński.

Wiedziałem, że Rząd Narodowy nie miał go kim innym zastąpić, a jednak bolało mię to, iż Chmieliński posądzony będzie o osobistą zemstę.

Tak też rzeczywiście było.

Ja odmówiłem poselstwa, lecz znalazł się ktoś inny.

Iskra odmówił stawienia się, lecz, zaskoczony przez Moskali z Kielc, zbliżył się do Drochlina i z konieczności tam pomaszerować musiał.

Dwa dni przedtem nowo uformowany oddział Ottona, już tam był ściągnięty, w sile trzech kompanij i kilkudziesięciu koni, razem około 400 ludzi.

*　*
*

Na przyjęcie Iskry, oddziały Chmielińskiego i Ottona, ćwicząc się na błoniu, zostały sformowane. (Nadjechałem w parę godzin po wypadkach, które tu opisuję).

Oddział Iskry ustawiony został przed tamtymi a po sprezentowaniu broni przed pułkownikiem Chmielińskim, przystąpił do majora Iskry kapitan z niemieckiem nazwiskim, którego zapomniałem, i ten rzekł:

— Majorze Iskro! w imieniu Rządu Narodowego aresztuję cię!

Iskra zbladł, zawahał się, szmer przebiegł po jego oddziale, lecz jednocześnie przy oddziale Chmielińskiego rozległa się komenda gotowości do strzału, a donośny głos Chmielińskiego dał się słyszeć.

— Przy najmniejszej chęci oporu rozstrzelać każę!

Iskra oddał pałasz i pod strażą udał się do pokoju, na areszt przeznaczonego.

Ten sam los spotkał majora Denisiewicza i kapitana Bogusza (moich znajomych z Cisowa), oskarżonych o współudział w gwałtach.

Oddziałowi Iskry kazano broń złożyć w kozły, a Chmieliński oznajmił mu wolę Rządu Narodowego, powierzając komendę oddziału tymczasowo majorowi Zarembie.

Sąd wojenny niezwłocznie się zebrał i obradował przy drzwiach zamkniętych we dworze.

Smutek i przerażenie opanowały cały obóz, żołnierze Iskry zgłodnieli, zmęczeni, bez broni, pod strażą wojskową dwóch innych oddziałów się znajdowali.

* * *

Sąd wojenny przeciągnął się późno w noc — twarze wszystkich były zasępione, a sędziowie milczeli.

Wieczorem odjechałem z Drochlina, a gdy tam nazajutrz znowu powróciłem, już było po wszystkiem.

Oto, co mi powiedziano:

Sąd wojenny skazał w nocy majora Iskrę na karę śmierci przez rozstrzelanie, a dwóch innych więźniów na publiczną naganę przed frontem.

O świcie trzy oddziały sformowały się na błoniu.

Przyprowadzono nieszczęsnego Iskrę, który do końca zachował się przytomnie i odważnie.

Prosił on, by mu oczu nie zawiązywano, a gdy mu przeczytano wyrok, rzekł:

— Tak, winien jestem, zasłużyłem!

A potem, rzucając w górę swą czerwoną krakuskę, zawołał:

— Jeszcze Polska nie zginęła! Strzelajcie!

I padł, ugodzony dwunastoma kulami!...

Szkoda, wielka szkoda młodzieńca, którego może inni popchnęli do rozpusty, a który jak bohater umrzeć umiał.

Czy wie kto dziś w Drochlinie o jego mogile?

* * *

Chmieliński tego dnia był wielce ożywiony i zajęty wyprawianiem w pochód swej małej armii, liczącej około 1200 piechoty i około 200 koni. W ożywieniu tem znać było gorączkę, spowodowaną smutnymi wypadkami dnia tego.

Naturalnie, że ja z nim tych wypadków nie poruszałem.

Dawał on rozporządzenia swoim podwładnym, a zwracając się do mnie, rzekł:

— Moskale z Kielc idą — jutro mamy bitwę, patrz tu, tu — rzekł wskazując na mapę.

— Tu w lesie Mełchowskim na tej polanie ich przyjmiemy; ja z moimi w środku, Otto na lewem skrzydle, Zaremba na prawem. Moskali nie wiele, bo sześć „rot“ (kompanii), dragoni i kozacy — to tyle co nas. — Ale nasza pozycya dobra i jeżeli żołnierze nie zawiodą, to się ich zwycięży...

Jak rzekł, tak się stało, lecz nie przeczuwał on paniki, jaka obejmuje żołnierzy, na widok śmierci wodza.

Nazajutrz rano t. j. 30 września pułkownik moskiewski Schuman, następca Czengerego w dowództwie pułku, zaatakował Chmielińskiego na stanowiskach naprzód wskazanych.

Walka tyralierska trwała już parę godzin, gdy Moskale atakujący cofać się zaczęli.

— Naprzód! zabrzmiała komenda i dzielny Otto i Zaremba na czele swoich posuwać się zaczęli — gdy pierwszy, trafiony kulą w skroń, padł na miejscu, a drugi, z dwoma kulami w brzuchu, na bok odprowadzony być musiał.

Zamięszanie i popłoch powstały na obu skrzydłach, których środek już powstrzymać nie był wstanie.

Chmieliński musiał się cofać, zasłaniając swym oddziałem odwrót. Moskale jednak nie śmieli bardzo nacierać, tak, że nasi ranni i zabici na polu nie zostali.

Pogromu nie było, ale była klęska przez śmierć dwóch wodzów i rozproszenie właściwe partyzantce.

Chmieliński się wycofał przez Łgotę, Wzdów, Białę-Błotną i Szczekociny w Jędrzejowskie, gdzie oddział swój na drobne części znów podzielił.

Moskale za nim podążyli, lecz w lasach około Secymina i Radkowa wszelkie ślady dla nich się zatarły.

* * *

Drugiego czy trzeciego dnia na cmentarzu w Lelowie pochowaliśmy zwłoki dwóch poległych dowódców w jednym grobie, obok siebie złożone.

Otto miał tylko małą trójkątną rankę na prawej skroni, a Zaremba po dostaniu dwóch kul, przybył jeszcze na koniu do zajazdu w Lelowie, żądając pokoju, a zsiadając z konia, padł, by więcej się nie podnieść.

Czy też tradycya tych dwóch grobów przechowała się dotąd w Lelowie?

* *
*

Co Mełchów popsuł, trzeba było naprawić. Lecz na to trzeba było znów parę tygodni.

Zdemoralizowany oddział Iskry przestał istnieć jako całość. Chmieliński reorganizował się w lasach, między Włoszczową a Jędrzejowem, a my w Olkuskiem zbieraliśmy do kupy były oddział Ottona w lasach Białej-Błotnej.

Na miejsce poległego dowódzcy, przysłano z Krakowa majora Faustyna Grylińskiego.

Był to młody człowiek, około lat 30, wzrostu dobrego, brunet, z wąsikami i napoleonką, elegancki, wymuskany; — wcale na obozowca nie wyglądał. Był on uczniem owej szkoły wojskowej w Genui, a potem w Cuneo, założonej dla Polaków, pod przewodnictwem Mierosławskiego a potem Wysockiego.

Walczył on pod Langewiczem i Czachowskim, a sam nawet miał oddział w lasach Świętokrzyskich.

Co do charakteru, Gryliński był uprzejmy i przyjacielski.

Było dobrze pod jesień, bo noce były chłodne a czas dżdżysty, gdy oddział Chmielińskiego się zreorganizował, a pułkownik powziął myśl zrobienia niespodzianki Moskalom, poszukującym go przez napad, którego podejrzewać nie mogli.

Nadesłał więc rozkaz Grylińskiemu wymaszerować i zbliżyć się do siebie. Gryliński chciał odmówić, lękając się, że z nim toż samo się stanie co i z Iskrą.

Rozdrażnienie dwóch dowódzców podniecało się i mogło doprowadzić do katastrofy. Postanowiłem więc interweniować.

Ułagodziwszy Grylińskiego, pojechałem do Chmielińskiego, którego, zdaje mi się, w Obiechowie znalazłem. Wściekły był i rozdrażniony, lecz udało mi się go udobruchać i dostałem od niego słowo, że włos z głowy Grylińskiego nie spadnie, jeżeli nazajutrz do wieczora przybędzie na wskazane miejsce.

Cztery mile nas dzieliły, pojechałem więc na noc, a wiele perswazyj użyłem, aby Grylińskiego skłonić do zawierzenia mnie i Chmielińskiemu.

Biedak! jechał ze mną jak w gorączce, trzymając dalekowidz w jednej ręce a rewolwer w drugiej.

Nietyle bowiem spotkania z Chmielińskim, ile z Moskalami się obawiał.

— Słuchaj — mówił — jeżeli się Moskale pokażą, to tobie naprzód, a potem sobie łeb rozwalę!

Już szaro było, kiedyśmy Chmielińskiego w Chwilinie pod Kosowem dopędzili.

Prawdziwie szczęśliwy byłem z rezultatu mej interwencyi. Obaj wodzowie słowa dotrzymali i podali sobie ręce.

Gryliński się wytłumaczył, a Chmieliński dobrze to przyjął.

Przy skromnej obozowej przekąsce, dowiedziałem się, że Chmieliński zamierza napaść niespodzianie na włóczący się w tamtych stronach oddział moskiewski majora Bentkowskiego, Polaka, zaprzańca, opoja, zbója i podpalacza Małogoszcza.

Zostawiłem więc dowódzców, zastanawiających się nad sposobami uskutecznienia planu, a około północy wyruszyłem z Grylińskim na spotkanie jego oddziału, który nadchodził.

Powróciłem w Olkuskie, i już więcej Chmielińskiego nie widziałem.

* * *

Następnej nocy t. j. 19 października wykonano umówiony napad na wieś Oksę, lecz czy z przyczyny niejednostajności ataku, czy też z przyczyny silnej pozycyi moskiewskiej — napad ten był odpartym.

Grylińskiego widziałem, jak wracał do Krakowa z ręką przestrzeloną przez kulę, a jego oddział więcej się w Olkuskiem nie pokazał.

Chmielińskiego wkrótce Rząd Narodowy mianował pułkownikiem i szefem sztabu generała Bosaka, jako naczelnika wojennego dwóch województw: Sandomierskiego i Krakowskiego, a z tem środek ciężkości działalności jego przeniósł się w góry Świętokrzyskie.

Dwie krwawe bitwy, pod pamiętnemi dla mnie Ociosenkami, utrwaliły sławę jego imienia!

Walczył on jak lew, a zginął po bohatersku, dotrzymując słowa, bo i na polu bitwy pod Bodzechowem 16 grudnia będąc ciężko rannym, został ujęty i prawie umierający, 19 grudnia 1863 r., przez wrogów w Radomiu rozstrzelanym został.

Cześć i sława mu!

* * *

O tragicznym końcu Chmielińskiego w grudniu, dowiedziałem się, gdy byłem w Lubelskiem.



JÓZEFA Z ZAGÓROWSKICH ANC.

Kwesta.

Wspomnienie z lat dziecinnych 1863 roku.

Piękny czerwcowy dzień miał się ku schyłkowi, jasne promienie słońca złociły jaskrawo falujące łany zboża, przetkane bławatami, — łąki w połowie skoszone, rozsiewające ostry, aromatyczny zapach macierzanki, mięty i krwawniku, — i niebotyczne bory sosnowe, wydające tę cudowną, upajającą woń żywicy, bory otaczające jak pierścieniem równinę, na której widniało kilka wiosek.

Cudzoziemiec świeżo przybyły, patrząc na ten cichy zakątek, nie przypuściłby nigdy, że w tę ziemię wsiąka krew męczenników, że w tych lasach szuka schronienia tysiące bohaterów, idących na pewną śmierć.

A jednak, — to był Czerwiec 1863 r.!

. . . .

Pani Z. wyszła na ganek „białego dworu“ (tak był zwany dwór w Ksawerynowie przez powstańców, znajdujących tu schronienie w gorących czasach), który otoczony włoskiemi topolami, strzelającemi w niebo, jak wysmukłe wieżyce gotyckie, tulił się do wielkiego sadu.

— Józieńko — rzekła do swej córeczki, pogrążonej w czytaniu — czy chcesz iść ze mną na kwestę do Glinianek, dziś na nie kolej?

— O, mamusiu, wiesz, że ja zawsze chcę chodzić z tobą, aby zbierać dla naszych bohaterów; tym sposobem zdaje mi się, że i ja dla nich coś robię.

Czemuż ja teraz nie jestem dorosłą!...

Pani Z. wzięła tackę i maleńką serwetkę, a włożywszy to w koszyczek, udała się z Józią do Glinianek, sąsiedniej wioski, którą na równinie dostrzedz można było, o jaki kilometr, na skraju lasu.

Dla skrócenia drogi, wybrano ścieżynę, wijącą się wśród pól pokrytych kłoszącem się zbożem, Józia szła naprzód i to tu, to tam uszczknęła modry bławatek, lub liliowy kąkol, układając z nich wiązankę; cisza zalegała dokoła, przerywał ją tylko świegot ptaków, lub z oddali dolatujący brzęk kos, ostrzonych na łąkach przez kosiarzy.

Dochodząc do pierwszej chaty, pani Z. wyjęła z koszyczka tackę, pokryła ją serwetką i położyła na niej papierowego rubla, twierdząc, że pieniądz jest magnesem, przyciągającym inne. To zrobiwszy weszła do chaty ze słowy: „Niech będzie pochwalony“...

— Na wieki — odrzekła gospodyni chaty, krzątająca się około wieczerzy dla czeladzi.

Wsie bowiem okoliczne „białego dworu“ były to wsie gospodarskie, zamieszkałe przez włościan, mających po kilka, lub kilkanaście morgów gruntu.

— Przyszłam tu do was, Maciejowa po kweście, zbieram pieniądze, płótno, co kto da, dla naszych żołnierzy, wy wiecie, trzeba dla nich broni, żywności, ubrania...

— O, nasa złocista pani, cemubym nie dała, toć to nasi, oni się biją z Moskalami i mój brat Bartek posed i Franek mojej kumy, ćterech z nasej wsi posło, chłop w chłopa, jak dąbcaki — a jesce kielo pódzie! [1])

I gosposia poszła w kąt izby, otworzyła malowaną skrzynię, wydobyła węzełek malutki, a z niego dwa złote polskie i położyła na tacce.

— Dam jesce i na kosulę, moja Maryś psędła a ja tkałam, cieniuśkie płótno dla swoich, ale po prawdzie powiedziawsy, to i to swoi, bidaki — tak się tułają po lasach!...

Z temi słowy Maciejowa zbliżyła się do otwartej skrzyni, wyjęła sztukę płótna, odmierzyła i odcięła na dwie koszule, a wyszedłszy na próg chaty, zawołała dziesięcioletniego Wojtusia, aby niósł płótno za panią Z., która pożegnawszy kilku serdecznemi słowy Maciejową, poszła dalej od chaty, do chaty witana wszędzie z radością, miedziaki i złotówki piętrzyły się coraz wyżej na tacy, a kawałków płótna już mały Wojtuś nie mógł unieść, zastąpiły go hoże dziewoje, które z łąk od siana powracały.

Słońce już dawno zaszło, na ciemnym szafirze nieba, miliony gwiazd się zapaliły, wielka tarcza księżyca wysunęła się powolnie z za lasu, rzucając srebrzyste, tajemnicze blaski na równinę, zroszoną niegdyś krwią bohaterów kościuszkowskich.

I cicho było dokoła, zdala dolatywało tylko szczekanie psów, skrzyp żórawi przy studniach i szum odwiecznego lasu, który

---

[1]) Gwara ludu z okolic Maciejowic.

tajemniczo szeptał coś, — jakby pacierz wieczorny, — jakby modlitwę za zmarłych, których tyle, tyle tysięcy ta ziemia, zlana krwią i łzami wówczas utuliła!

Pani Z. w towarzystwie dziewcząt, niosących zebrane płótno i gromadki wiejskich dzieci, wesoło gwarzących, wracała do domu drożyną, jakie zwykle łączą nasze wsie między sobą. Gdy cała gromadka doszła do przydrożnego krzyża, którego ramiona wyciągnięte, jakby chciały ochronić od ciosów tę nieszczęsną ziemicę, Józia przyklękła i złożyła u stóp krzyża swą wiązankę bławatów, za nią uklękli wszyscy i z tych piersi gorąco kochających Ojczyznę, popłynęły w dal wieczorną, ku niebu usianemu brylantami gwiazd, słowa tej rzewnej modlitwy „Boże Ojcze“... i „Ojczyznę, wolność, racz nam wrócić Panie!“... a na zakończenie słowa pełne skargi, łez, krwi i buntu „Z dymem pożarów“...

. . . .

W ten sposób ś. p. matka moja zebrała pomiędzy włościanami w wioskach okolicznych, paręset rubli i kilkanaście sztuk płótna, jako ofiarę ludu; — a duch wielkiego Naczelnika, unoszący się ponad równiną Maciejowicką, radował się, widząc w tem żniwo kos racławickich.



MAJOR ANTONI BARANCEWICZ.

Ostatnie dnie konnego litewskiego oddziału.

Po ostatnich potyczkach w listopadzie, w dniach 17 pod Russoszą, 18 pod Kolanem, i 26 pod Starościnem, Moskale przez przeszło miesiąc pozostawili nas w spokoju. Zdawało się im prawdopodobnie, że nadchodząca zima, z nią trudność zaprowiantowania ludzi i brak paszy dla koni, a przedewszystkiem mrozy i niewygody, przerzedzą prędzej niż kule, bagnety i stryczek, szeregi buntowników. Obrachowania ich do pewnego stopnia okazały się uzasadnione. — Kruk chory, rozpuścił swój oddział i wyjechał za granicę. Krysiński i Kozłowski, również po rozpuszczeniu swych oddziałów, poszli śladami Kruka. Pozostały tedy w lubelskiem tylko oddziały litewskie: konny pod

Waleryanem Wróblewskim i pieszy pod Bogusławem Ejtminowiczem. Oddział Rylskiego i Jankowskiego jeszcze snuły się także. Szeregi tych oddziałów zapełniała wyłącznie młodzież litewska, resztki rozbitych lub rozproszonych oddziałów Ducheńskiego, Wróblewskiego. Trauguta, Waszkiewicza, Tołkina, Sasulicza, Włodka, Waszkiewicza, Narbuta, Strawińskiego, Chodakowskiego, Jundziła, Juliana i Bogusława Ejtminowiczów i Barancewicza. Była to młodzież bitna, zahartowana w ciągłych marszach, od kwietnia 63 r., znosząca bez szemrania trudy życia obozowego, przy braku częstokroć najniezbędniejszych potrzeb do życia. Każdy z nich miał wspomnienie z kilkunastu potyczek z Moskalami, to też spotkania z wrogiem ich nie zastraszały. Powrót do ognisk domowych, już im się nie uśmiechał, ogniska te bowiem, za ich udział w powstaniu zostały do szczętu zniszczone przez Murawjewa-Wieszatela. O opuszczeniu oddziału i ucieczce za granicę, wątpię, czy który pomyślał; poczucie honoru i obowiązku względem ojczyzny, w imię których za broń chwycili, nie dozwalały opuścić obozu. Zginąć więc było ich przeznaczeniem.

W grudniu oba te oddziały t. j. konny Wróblewskiego i pieszy Bogusława Ejtminowicza w ciągłych marszach, to się chwilowo oddalały od siebie, to się znowu zbliżały, by nieść sobie pomoc w razie potrzeby. Tak upłynął cały grudzień.

Dnia 30. grudnia oddział konny po uciążliwym marszu, w dniu mroźnym, przybył, jeźli się nie mylę, do Małej Bukowy, własności p. p. Bielskich. Przyjęci z całą serdecznością przez gospodarza i jego rodzinę, wkrótce wypoczęliśmy trochę i zaspokoili głód dokuczliwy. Po posiłku jeden z powstańców siadł do fortepianu i za chwilę dwór cały rozbrzmiewał muzyką i piosnką obozową. Potem mazur. Stanęło do niego, zdaje mi się pięć par, tyle bowiem panien znalazło się w domu. Rozochocona młodzież całą noc spędziła na tej improwizowanej zabawie, przeplatając taniec piosnką, zapominając o grozie swego położenia. A przecież dla wielu, bardzo wielu uczestników tej zabawy, noc ta miała być ostatnią nocą w życiu.

Świtało już, gdy naczelnik Wróblewski otrzymał zawiadomienie, o zbliżających się dragonach moskiewskich, w liczbie 1100 ludzi. Nasz oddział liczył 146 powstańców. Mimo to, że Moskale liczbą i uzbrojeniem tylekroć nas przewyższali, mieliśmy im stawić czoło.

Do przyjęcia bowiem walki, zniewalała Wróblewskiego ta okoliczność, iż w pobliżu znajdował się pieszy litewski oddział, który naczelnik chciał ochronić, ściągając na siebie całą nawałę. Na razie mu się to udało, z wielką jednak stratą dla konnego oddziału.

Niedługo jednak istniał pieszy nasz oddział. Dnia 6. stycznia 64 r. gdy furmankami zdążał do Uścinowa zaskoczony przez kawaleryę moskiewską, po krótkiej a rozpaczliwej walce został w pień wycięty. Z innymi legł na placu boju i dowódca Bogusław Ejtminowicz, a naczelnik konnicy operującej z tym pieszym oddziałem, starzec 70 letni hr. Poniński, major wojsk belgijskich, cudem prawie ocalał z tego pogromu.

Z jaką ufnością byliśmy do miejscowej ruskiej ludności, i jak na tę ufność zasługiwała, dowodzi następujący fakt: oto po owej nieszczęsnej porażce pod Uścinowem Franciszek Longchamps, adjutant Ponińskiego, znalazłszy się w pobliskiej wsi, z której Moskale nakazali dostarczyć podwód, pod ich bagaże i pod zabitych, zdaniem ich, wybitnych osobistości, Longchamps porozumiawszy się z włościaninem, przebiera się po chłopsku i jedzie z podwodą, by się przekonać, co się stało z jego dowódzcą hr. Ponińskim, którego widział spadającego z konia. Nie znalazłszy go między zabitymi nabrał otuchy, że jego ukochany naczelnik, dla którego był z prawdziwie synowskiem uczuciem, nie zginął. — Dowódca i adjutant znaleźli się na tułaczce.

Wogóle w ciągu 6 miesięcznego krążenia po Podlaskiem i Lubelskiem, widziałem tylko dowody przychylności i życzliwości tak duchowieństwa ruskiego, jak i całej ludności, a nie słyszałem o żadnej z ich strony zdradzie.

Wracam do opowieści dziejów oddziału konnego.

Po wyjściu z dworu, oddział przeszedł wieś i cofał się ku lasowi, położonemu o jakie 500 kroków od wsi. Pozostałem w aryergardzie, jakiś czas u wylotu uliczki, która wnet zapełniła się nadciągającymi dragonami, ci po wyjściu z opłotków, zaczęli formować się w linię frontową. Pospieszyłem za oddziałem, byłem świadkiem ataku frontową linią na las, w którym prawdopodobnie Moskale spodziewali się zasadzki. Opowiadano mi później, że dragoni zbliżywszy się do lasu, zeskoczyli z koni i rozpoczęli gwałtowną strzelaninę, naturalnie do drzew, bo zasadzki nie było.

Niebawem złączyłem się z tylną częścią oddziału i jakiś czas jechałem obok porucznika Szajby, dzielnego jeźdźca, na ładnym arabczyku. Wtem koń pod Szajbą poślizn.ąwszy się pada; to spowodowało, żem się obejrzał i widząc o jakie 50 kroków za nami dragonów, ruchem mimowolnym powstrzymując konia, wystrzeliłem wszystkie pięć naboi, jakie miałem w rewolwerze. Dragoni chwilę się zawahali, z chwili tej skorzystał Szajba, wskoczył na konia, który znowu zerwał się do biegu. Moskale ławą ruszyli naprzód. W mgnieniu oka odcięty zostałem od swoich. Po wystrzeleniu nabojów z rewolweru, czułem się prawie bezbronnym. Bo lekką szabelką nie obiecywałem sobie utorować drogi wśród żołdaków, dobrze uzbrojonych, a przytem okrytych grubym samodziałowym płaszczem, naciągniętym na kożuch i kaskiem, któryby się z pewnością oparł cięciom takiej jak moja szabelki. Udało mi się jednak przemknąć między dragonami i wpaść na ścieżynę leśną. Byłem odcięty od oddziału. Długi czas błądziłem po lesie. Przed wieczorem dopiero spotkany wieśniak, doprowadził mię do jakiegoś woru, w którym zastałem Jul. Ejtminowicza i kilku innych z rozbitego oddziału.

Tu się dowiedziałem, jak bolesne wspomnienie zostawiliśmy gościnnym gospodarstwu, u których przepędziliśmy noc ostatnią. Państwo Bielscy prócz kilku córek, mieli jedynaka syna, chłopca 18 letniego. Chłopak rwał się do powstania; rodzina chcąc go ochronić, wysłała za granicę. W końcu grudnia sądząc, iż powstanie już upadło, pozwolili chłopcu wrócić do domu. Gdy oddział nasz wychodził z dworu, chłopak dosiadł konia, bez wiedzy rodziców, i z nami się połączył. W kilka godzin później znaleźli go rodzice na drodze pod krzyżem, strasznie porąbanego.

Na drugi dzień, 1. stycznia 64 r. połączyliśmy się z Wróblewskim, przy którym było kilkunastu niedobitków z ostatniej potyczki. Byliśmy bardzo słabi liczebnie. Straże z włościan okazały się niedostatecznie, czego dowodem niespodziany napad nocny przez Kozaków dnia 3 i 4 stycznia. Tylko ciągłemu pogotowiu zawdzięczamy, iż zdołaliśmy w czas napady te odeprzeć. Gdy się oddział zwiększył, przybywającymi niedobitkami z ostatniego pogromu, w interesie bezpieczeństwa oddziału, trzeba było podjąć służbę obozową, zostawiając wedety na traktach głównych. Grożące niebezpieczeństwo zatarło stopnie. Prócz dowódcy Wróblewskiego, z kolei wszyscy pełniliśmy służbę obozową.

Czując ciągle Moskali poza sobą, ze świtem opuszczaliśmy nocleg i byliśmy w ciągłym ruchu.

Noc z 18 na 19 stycznia spędził oddział w jakiejś wsi (nazwy nie pamiętam). Noc ta utkwiła mi dobrze w pamięci. Spędziłem ją na placówce przy 20 stopniowym mrozie i silnym wietrze. Świtać poczynało, gdy major Kwapiszewski ściągnął mię z placówki. Oddział już wyruszył, o ogrzaniu się mowy nie było.

Z powodu mrozu i silnego wiatru, niektórzy w czasie pochodu złazili z koni, by się rozgrzać, idąc pieszo. Byli i tacy, którzy wsiadali w sanie, idące z tyłu za oddziałem, z kilku rannymi.

Gdyśmy mijali wieś Wojciechów, posłyszeliśmy strzały z tyłu i niebawem pokazali się kubańscy kozacy. Aryegarda nasza została w pień wycięta. Sanie idące tuż za oddziałem powstrzymały nieco impet kozaków i tam padło kilkanaście strzałów, od broniących się. Oddział pomknął naprzód, by się wydostać z opłotków. Wróblewski widząc, że to cofanie się w nieładzie, wnet obrócić się może w ogólny popłoch i ucieczkę, stanął w poprzek uliczki i na miejscu chciał dać opór nieprzyjacielowi. Lecz cięty dwukrotnie w głowę i w prawe ramię, spadł z konia. Życie swe zawdzięczał któremuś z włościan tej wioski, który skorzystał z pogoni kozaków za rozproszonymi i wciągnął rannego do swej stodoły. Przy Wróblewskim legło kilkunastu naszych. Reszta oddziału spychana coraz dalej i cięta przez tylekroć liczniejszego nieprzyjaciela, poszła w rozsypkę. Moskale rozdzielili się na mniejsze oddziały i rozpoczęli pościg za rozproszonymi. Wyparty wraz z innymi z opłotków znalazłem się za wsią, wśród rzadkich krzaków. Tu koń mój pośliznąwszy się upadł. Zaledwiem się podniósł, widzę pędzących kozaków, z chorążymi na czele. Podniosłem rewolwer i dałem do nich dwa strzały. Przemknęli obok mnie galopem, nie zatrzymując się wcale. Wziąwszy konia za cugle wszedłem w gęsty las. Po kilku godzinach znalazłem się w jakimś dworze, gdzie mnie bardzo niechętnie przyjęto. Uważałem to za naturalny objaw. Moskale przy końcu powstania stosowali i w Kongresówce system Murawjewa-Wieszatela. Dobijali rannych, a za przytułek dany powstańcowi, dwór rabowali i palili, a właścicieli sądem administracyjnym, właściwie bez sądu, skazywali na Sybir. Nie dziwną więc mi była kwaśna mina gospodarza, na mój widok. Chciał mię wystraszyć, zapowiadając przybycie Moskali. Zbyt znieczu-

lony byłem głodem i znużeniem, by ta groźba gospodarza mogła oddziałać. Odpowiedziałem mu więc, że się na razie z dworu nie ruszę, a gdyby Moskale rzeczywiście nadeszli, bronić się będę, nie chcąc zawisnąć na szubienicy, coby mnie jako byłego oficera moskiewskiego niechybnie spotkało, — jeśli chce mnie się pozbyć, niech mię odeszle do resztek naszego oddziału. Na drugi dzień znalazłem się między czterema niodobitkami z ostatniej potyczki. Był między nimi Ejtminowicz i Kwapiszewski.

Aramowicz wspomina wprawdzie w swym pamiętniku, że pod Wojciechowem legło naszych ośmnastu, przypominam sobie jednak dobrze, że po starościńskiej klęsce, zebrało się nas 45, w tej też liczbie doszliśmy do Wojciechowa. Tu ponowna klęska oszczędziła tylko 14, a i z tych 9 odniosło rany.

Po wycięciu w pień piechoty Bogusł. Ejtminowicz i po rozbiciu konnego oddziału Wróblewskiego, powstanie w Lubelskiem upadło, bo prócz tych dwóch, innych oddziałów powstańczych w tych stronach nie było.

Zdążaliśmy więc w pięciu ku granicy, by przejść do Galicyi. Dziewięć dni od 19. stycznia do 1. lutego zeszło nam na ciągłych pochodach i przemykaniu się wśród krążących moskiewskich wojsk i straży. Na dobitkę rana Ejtminowicza na udzie, niezaopatrzona wcale, a rozogniona wskutek ciągłej jazdy i tarcia o samodziałowe spodnie, zmusiła nas, ułożyć go na saniach przewodnika. Dlatego też posuwaliśmy się dalej zwolna, jadąc stempo przy saniach. Po kilkudniowym marszu, prawie bez wytchnienia wśród głodu i chłodu, uczuliśmy się wreszcie bardzo wyczerpani, a i konie nasze głodne i znużone długą drogą, ledwie się wlokły. Postanowiliśmy więc wytchnąć parę godzin. Przewodnik nasz ruszył po pożywienie do pobliskiej wioski. Niebawem ujrzeliśmy przed sobą małe saneczki, w nich dwie hoże panienki, jak się później dowiedzieliśmy, córki ruskiego księdza z tej wioski, te nie bacząc, na jakie narażają się niebezpieczeństwo, spieszyły dobrowolnie ku ściganym powstańcom. W saniach znalazło się jadło i kilka butelek miodu, z których dwie wypiliśmy sami, reszta wlana do blaszanki pokrzepiła i dodała sił do dalszej drogi naszym koniom. Pożegnawszy serdecznie szlachetne Rusinki, ruszyliśmy dalej. Tu przed potrójnym kordonem straży i objeżczyków, którymi Moskale obsadzili granicę, Ejtminowicz mimo bolu i osłabienia, dosiadł konia i z rewolwerem w jednej, a szablą w drugiej ręce ruszyliśmy dobrym kłusem naprzód. — Przebyliśmy szczęśliwie gra-

nicę i w kilka godzin później spoczęliśmy w Deniskach, pod gościnnym dachem p. Solemirskiego. Gospodarz zaraz po naszem przybyciu przedstawił nas, jako swych kuzynów, bawiącym właśnie u niego huzarskim oficerom austryackim. Tu po raz pierwszy od niepamiętnych czasów, zwlekliśmy z siebie odzież, bielizna dawno już w strzępach zleciała z naszych grzbietów, a i ubranie wierzchnie w łachmanach, pełne robactwa, ledwie się trzymało na wynędzniałem ciele.



LUDOMIR BENEDYKTOWICZ.

Smutno mi Boże[1].

Smutno mi Boże, żeś mi młodość moją,
Zbroczoną we krwi nieszczęściem naznaczył,
Żeś jej hartowną przed tym ciosem zbroją
Okryć nie raczył,
Aleś ją rzucił na Prokusta łoże,
Smutno mi Boże.

Smutno mi Boże, że ta krew przelana
Żadnej ojczyźnie nie przyniosła sławy,
Ani, przykutej łańcuchem tyrana,
Piastowej nawy
Na pełne dziejów nie wywiodła morze,
Smutno mi Boże.

Że w tej ojczyźnie najlichsi z narodu,
Na cudzych ziemiach trwoniący dostatki,
Spychają w przepaść, ginących dziś z głodu,
Obrońców Matki,
Że ich sumienia Twój piorun nie porze,
Smutno mi Boże.

Że nie wiem Panie, za jakie Ty winy,
W bolu i w pocie strudzonemu srodze
Nigdy wytchnienia nie dałeś godziny
W tej życia drodze,

---

[1]) Autor w 1863 r. utracił obie ręce w obronie Ojczyzny. (P. R.).

Że Twych wyroków nademną się trwożę,
Smutno mi Boże.

Tysiąc mi pragnień zaszczepiłeś w duszę,
Myślom do lotu dałeś skrzydła chyże,
Aby mnie skazać na sroższe katusze,
Na cięższe krzyże,
Że los me czyny w twardą skuł obrożę,
Smutno mi Boże.

Nieraz gdy wspomnę druhów serca bliźnie,
Co zmilkły z dawnych sztandarów szelestem,
Czuję, żem obcy we własnej ojczyźnie
I że w niej jestem
Jako samotny żóraw na ugorze,
Smutno mi Boże.

Że praca moja i męczeństwo moje
I te westchnienia z za więziennej ściany
Przejdą bez śladu w mogilne podwoje,
Że zapomniany
Strudzone kości na spoczynek złożę,
Smutno mi Boże.

Że dzieciom moim w spuściźnie zostawię
Żywot rozbitków i gorycz wątpienia,
Nie mogąc myślą przeniknąć na jawie
Dróg przeznaczenia,
Ni wiedzieć jakie zabłysną im zorze,
Smutne mi Boże.

Kraków dnia 23 stycznia 1903 r.



JÓZEF BENZ.

Panasówka — Batoż.

Jako 18-letni chłopak, uciekłszy z domu, wraz z garstką towarzyszy, przekradłem się przez granicę galicyjską, w okolicy Józefowa, gdzie w pobliskim lesie był punkt zborny, dla formującego się oddziału. Codziennie tedy przybywały gromadki

ochotników, wśród których nie brak było austryackich żołnierzy, zbiegłych do nas w pełnym rynsztunku, zjawiali się też dowódzcy, którzy dzielili nas na kompanie i obejmowali komendę. Nazwiska mego kapitana nie pomnę, natomiast pamiętam doskonale sympatyczną postać Czaplickiego, dowódzcy 3 kompanii, i szefa 2 kompanii Gutowskiego. Z szeregowych, jako o osobliwości, wspomnę o dwóch żydkach samborskich: jakimś synu handlarza win i nieoszacowanym, poczciwym Abrahamie Guttmannie, który porzuciwszy handel zapałkami, chwycił za karabin powstańczy. Był to — jak się później okazało — dobry duch całego oddziału: wesół, obrotny, a nadewszystko jedyny do zdobywania środków żywności. Na każdym postoju wymykał się do najbliższej wioski, skupował jaja, chleb, ser, ziemniaki, które następnie dzielił sumiennie między towarzyszy broni. Z innych kolegów zapamiętałem, jakiegoś Hołubowicza z sanockiego, który w marszu stale kroczył przedemną, za mną zaś wlókł się słaby i mizerny ochotnik, o bladej, piegowatej twarzy. Przekonaliśmy się później, że ochotnik ten, był dziewczyną, po tem odkryciu usunięto ją natychmiast z oddziału. Mówiono, że prócz niej znajdują się w oddziale jeszcze trzy kobiety w męskiem przebraniu.

Przez kilka dni pracowaliśmy ciężko przy odkopywaniu skrzyń z bronią, którą natychmiast rozdzielano między żołnierzy, aż pewnego poranku pojawił się Lelewel, naczelny dowódzca oddziału. Na oko podobał się nam, choć przez skórę czuliśmy, że brak mu było potrzebnej energii. Natomiast towarzysz jego, podpułkownik Grudziński, eks-oficer rosyjski, trzymał nas żelazną ręką. Baliśmy się go jak ognia. Pamiętam wybornie, że w marszu przez wsie i osady, żaden z nas nie śmiał zerwać ani jednej śliwki by zwilżyć spiekłe usta, bo Grudziński srogo zakazał.

Przez kilka dni posuwaliśmy się w głąb Lubelskiego, odbywając mustry, przy każdej sposobności i rosnąc w siły, bo po drodze rekrutowaliśmy parobczaków wiejskich, których natychmiast wcielano do oddziału. Dnia 3 września, we czwartek, cały oddział liczący około 1200 głów, zatrzymał się obozem na obszernej polanie leśnej, pod wsią Panasówką. Zmęczeni wytężonym marszem, myśleliśmy z rozkoszą o odpoczynku, humory były wyborne, zwłaszcza, że wydobyto skądś kilka beczułek piwa. Właśnie wyciągałem rękę, po przeznaczony dla mnie kubek, gdy padł strzał armatni, a za nim rozbrzmiała komenda: do broni! W oka mgnieniu stanęliśmy w szeregach, w porządku

wyszliśmy na brzeg lasu i znaleźliśmy się na małem wzniesieniu, przedzielonem odkrytą kotlinką, na której rosła samotna sosna, a w oddali jakaś maćkowa grusza. Na przeciwległem wzniesieniu, opierając się jednem skrzydłem o folwark, rozłożyła się piechota i artylerya moskiewska. Zrozumiałem, żem miał odbyć prymicyę żołnierską i krew poczęła żwawiej krążyć w żyłach. Przed frontem pojawił się kapłan w białej komży, pobłogosławił nas, poczem kapitanowie dawszy krótką instrukcyę, kazali się nam rozsypać w tyralierkę. Widziałem ze stanowiska, krzątających się naszych dowódzców, wśród których zwrócił moją uwagę węgier Nyary, na koniu, w białym płaszczu z czerwonym kołnierzem, który — jak się później dowiedziałem, oddawszy wielkie usługi, w tej potyczce zginął. Wtem z obu stron wykwitły długie smugi dymu, rozległ się grzechot strzałów karabinowych i grzmot armat — bitwa zawrzała na całej linii. Była wówczas 4 godzina po południu. Pamiętam, że z początku stało mi się jakoś nieswojsko, wiem, że nie analizowałem swych wrażeń — byłem jak gdyby oszołomiony. Machinalnie zabrałem się do strzelania, aż — rzecz dziwna — widok pierwszego trupa, przyprowadził mię do zupełnej równowagi. Był nim Francuz, znany w oddziale pod przezwiskiem Horwata. Biedaczysko, zaledwo odciągnął kurek karabina, okręcił się wkoło i padł tuż koło mnie, brocząc we krwi. Myśl, która najbardziej mię denerwowała, widziałem urzeczywistnioną. Ot, co czeka mię w najgorszym razie — pomyślałem i z zimną krwią zabrałem się do strzelania. Ale po dwudziestu może strzałach, stał mi się *casus fatalis* którego omal nie przepłaciłem życiem; mianowicie stempel uwiązł w lufie mego sztućca belgijskiego, tak, że nawet przy pomocy kolegi, nie mogłem go wyciągnąć. Po krótkiej naradzie, poskoczyliśmy do lasu i oparłszy się nogami o drzewo, zaczęliśmy oburącz ciągnąć nieszczęsny stempel, gdy przypadł do nas na koniu, któryś ze starszyzny i sądząc zapewne, żeśmy urządzili rejteradę, chciał mię ciąć szablą. Szczęściem uskoczyłem w bok, i wytłumaczyłem, co się stało; wówczas jeździec rzucił mi swój karabin, który miał na ramieniu, i z nową bronią zająłem dawną pozycyę.

Dwie godziny trwała walka, z widoczną przewagą po naszej stronie, bo strzały moskiewskie przenosiły naszą linię tyralierską, tak, że ustawicznie słyszeliśmy za sobą trzask gałęzi w lesie, obłamywanych przez kule armatnie. Mimo to, liczebna przewaga nieprzyjaciół, a nadewszystko artylerya moskiewska,

nie pozwalała na energiczny i decydujący atak z naszej strony. Wtem ni stąd ni zowąd, jakby wyrósł z pod ziemi, pojawił się oddział Ćwieka, złożony — rzekłszy nawiasem, z samych starych zawadyaków i paliwodów, pozbieranych Bóg wie skąd, którzy nie dawali pardonu butelce, ale też z prawdziwem zuchwalstwem, rzucali się na Moskali. Ten tedy oddział podszedłszy z boku nieprzyjaciela, podpalił folwark, w którym tenże ulokował armaty. To rozstrzygnęło o losach potyczki; Moskale zaczęli się cofać pospiesznie, my rzuciliśmy się za nimi, lecz po chwili rozbrzmiała komenda: stać! O godzinie 6-tej wieczorem, po dwugodzinnej zażartej walce, byliśmy panami sytuacyi. Nastąpił przegląd kompanii, poczem po kilkunastu przeznaczono na widety, wśród których znalazłem się i ja. Pomnę, że zaledwie stanąłem na posterunku, przemknęła w galopie nasza konnica, ku lewemu skrzydłu, skąd po chwili, w oddaleniu doszły mię strzały i szczęk oręża. Do dziś nie zdaję sobie sprawy, z tego nieoczekiwanego epilogu.

Dzień ten, mimo błogiego uczucia tryumfu, zakończył się dla mnie niezbyt przyjemnie. Ściągnięty z widety, dostałem rozkaz, wraz z kilkudziesięciu towarzyszami zająć się zbieraniem trupów i rannych. Jęki konających, żałosne błagania „dobij“, widok ran, cierpień i nędzy ludzkiej denerwowały mię tak, że wolałbym był stać pod najgorętszym ogniem nieprzyjacielskim



MIKOŁAJ WASYLIEWICZ BERG [1])
urzędowy historyograf rosyjski.

Bitwa pod Żyżynem.

(Wyjątek z III. tomu „Zapisków o powstaniu Polskiem 1863 i 1864 roku“ str. 249, 251—257 i 258 tłóm. przez K. J. wydane w Krakowie 1900 r.).

. . . .

Naraz stoczono bitwę tak niepomyślną, rzucającą tak ponure światło na organizacyę i siłę rosyjskiej armii, że wszystkie

---

[1]) Redakcya nie otrzymawszy od nikogo z naocznych świadków, dostatecznie wyczerpującego opisu bitwy pod Żyżynem, widziała się zmuszoną uciec się do opisu tego wybitnego faktu powstania, sporządzonego przez historyografa wrogów naszych. Opis ten przyznać należy, jest dość objektywnym i jeżeli czytelnik zmniejszy do połowy siły powstańców, podane przez Berga, a podwoi siły moskiewskie,

rosyjskie serca poruszyły się do głębi. Wszyscy, jak długa i szeroka święta macierz Rosya, spojrzeli z zadziwieniem po sobie. Co to jest? garstka powstańców, dzieciaków i obdartych kosynierów, umiejących zaledwie broń w ręku utrzymać, zdobywała na regularnej, po europejsku zorganizowanej i wyćwiczonej armii, furgony i działa! Tu już nie pomagały żadne złagodzenia i upiększenia. Niepodobna było tego wypadku pokryć tajemnicą urzędową. Zresztą i czasy coraz bardziej się zmieniały...

. . . .

. . . .

Dnia 7 lipca komendant twierdzy Dęblina otrzymał z Lublina następujący rozkaz: „dziś wieczorem nadejdzie do Kurowa kolumna wojska, z którą wasza ekscelencya może wysłać etap 79 ludzi, przeznaczony do Lublina“. — Uwaga. „W tej chwili otrzymałem z Garwolina wiadomość, że dnia 5 sierpnia wyprawiono stamtąd pod eskortą pocztę warszawską (2 furgony). Przypuszczając, że takowa stanęła wczoraj w twierdzy, upraszam o wyprawienie jej do Kurowa wraz z etapem dnia 8 sierpnia“.

Ani dowódzca twierdzy, ani jenerał Chruszczew nie wiedzieli jeszcze o zjawieniu się w okręgu silnych oddziałów powstańczych. Zaraz jednak po wysłaniu rozkazów do Dęblina nadeszły do sztabu okręgowego sprawozdania pułkownika Miednikowa o bitwie pod Chruśliną i od pułkownika Ćwiecińskiego, że postępuje za „silnymi oddziałami“. Jenerał Chruszczew wysłał wskutek tego natychmiast szyfrowaną depeszę do Dęblina, polecającą wstrzymanie ekspedycyi. Depeszę tę powstańcy przejęli. Lecz komendant Dębliński i bez depeszy nie wyprawiłby poczty, gdyby był otrzymał rozporządzenie namiestnika o eskortowaniu poczt, gdyż nie miał pod ręką dostatecznej liczby kozaków. W twierdzy albowiem znajdowało się w tej chwili tylko 36, gdy rozporządzenie mówiło wyraźnie o całej sotni.

Rozkazy te, jak już powiedziano, gdzieś się zaprzepaściły i nie otrzymano ich na czas ani w Dęblinie, ani też w Radomiu i Lublinie. Wszystko się więc złożyło na to, że poczta, wioząca przeszło 200,000 rubli sr. i etap, prowadzący 79 ludzi, wyruszyły z Dęblina w nocy z dnia 8 na 9 sierpnia pod opieką 2

———

to będzie bardzo bliskim prawdy; należy również liczyć się, z wrogiemi insynuacyami, które autor stara się zaszczepić w czytelniku, co do uczciwości tak żołnierzy, jak wodzów naszych, w kwestyi zabranych Moskalom pieniędzy.

kompanii piechoty, 2 dział i 14 kozaków. Kolumną dowodził zdolny i śmiały, lecz jeszcze za mało doświadczony porucznik, Laudański, Polak. I tu fatalność zrządziła, że nie było w danej chwili w twierdzy żadnego starszego i doświadczeńszego oficera, a mogący go zastąpić major fortecznego batalionu, dopiero dnia 10 sierpnia powrócił z Kozienic do Dęblina.

Tymczasem silne oddziały powstańcze posuwały się w kierunku północnym bez ściśle wytkniętego celu. Nie mogły się zwrócić przeciwko Ćwiecińskiemu, gdyż cierpiały na dotkliwy brak amunicyi, szczególnie niedostawało kapsli. Siły ich były znaczne i składały się: a) z oddziału jenerała „Kruka", liczącego 200 koni; b) z oddziału Grzymały, 500 ludzi piechoty; c) z oddziału Jankowskiego, 800 ludzi piechoty, nadto z mniejszych oddziałów: Ruckiego, Lutyńskiego, Jarockiego, Krysińskiego i Wierzbickiego, razem do trzech tysięcy strzelców, kosynierów i jazdy.

Brak amunicyi przyprowadzał Kruka do rozpaczy i już zamyślał rozpuścić piechotę, a z jazdą przebić się do Galicyi. Nikt z naczelników oddziałów temu się nie sprzeciwiał. Jednak, gdy dowiedziano się o wysłaniu z Warszawy znacznej poczty pieniężnej, naczelnicy oddziałów a szczególniej Grzymała i Jankowski, zaczęli nalegać na wojewodę, by wstrzymał się jeszcze czas jakiś z rozpuszczeniem oddziałów i korzystając z zebranych sił, popróbował szczęścia w zdobyciu dla powstania tak znacznych funduszów.

Mówią, że właściciel Opola, bogaty obywatel Wydrychiewicz, słysząc od Kruka o tym braku amunicyi, pojechał do Lublina i tam za pośrednictwem usłużnych żydków, płacąc przytem, co sami zażądali, nabył znaczną ilość rosyjskich ładunków i kapsli (podobno 15,000 sztuk) i to wszystko przywiózł do obozu Kruka na trzy godziny przed bitwą! Jeżeli to prawda (a zdaje się, że w istocie prawda), to Rosyanie zostali rozgromieni zapomocą swej własnej amunicyi!...

Lecz mniejsza skąd się wzięły naboje, dosyć że nadeszły i oddziały nie miały powodu rozchodzić się, lecz owszem z całym zapałem wykonali zasadzkę dla opanowania zapowiedzianego transportu pocztowego. Dla uskutecznienia napadu, wybrano lesistą miejscowość pod wsią Żyżynem, gdzie porobiono zasieki i silnie je obsadzono. Pułkownik Ćwieciński w sile dziewięciu kompanii piechoty nocował o 24 wiorsty, major zaś Lebedyńskij z dwoma kompaniami piechoty tylko o 13 wiorst od Ży-

żyna, o czem Kruk doskonale wiedział i rozliczał, że potrafi rozprawić się z samą eskortą, i ujść, nie zawiązując walki z innemi kolumnami. Z tych też względów postanowił tylko do godziny 5 rano oczekiwać na nadciągającą pocztę, a gdyby do tego czasu kolumna się nie zjawiła, powstańcy mieli się cofnąć w dalsze lasy.

Porucznik Laudański tymczasem spokojnie maszerował od Dęblina, i na 18-tej wiorście od tej twierdzy przychwycił dwóch zbrojnych powstańców, którzy wózkiem gdzieś spiesznie jechali. Na zapytanie skąd i dokąd jadą odpowiedzieli, że pospieszali za oddziałem Jankowskiego, który o świcie przeszedł do Baranowa, odległego o milę od miejsca, w którem ich przychwycono. Laudański podejrzywał, że ci panowie nie mówią prawdy: (jakoż istotnie jechali do Kruka), że oddział Jankowskiego, mający liczyć niespełna 250 ludzi, mógł być daleko silniejszy i wcale nie Jankowskiego; chciał się zatrzymać w miejscu, i nim zbierze dokładniejsze wiadomości, tymczasem zawiadomić o wszystkiem komendanta w Dęblinie, lecz przyszło mu na myśl, że jest Polakiem, że, jeśli zatrzyma się na samą wiadomość o blizkości powstańców, „zostanie posądzony przez żołnierzy o zdradę, że mogą mu odmówić posłuszeństwa i dopuścić się ekscesów, które w następstwie mogą mieć gorsze następstwa, niż śmiały marsz naprzód“. Wzgląd ten przeważył i skłonił go do działania wbrew kombinacyom zdrowego rozsądku i obowiązującym, w podobnych razach, przepisom wojskowym. Sformował tylko kolumnę w bojowy porządek i ruszył dalej.

Była to ostatnia fatalna okoliczność.

Już było po piątej rano, gdy Laudański zbliżył się do lasu Żyżyńskiego. Oddziały, mające rozkaz oczekiwania tylko do godziny piątej, zaczynały się już niepokoić, i dowódzcy z trudnością powstrzymywali je na miejscu. Nareszcie kolumna rosyjska się ukazała...

Gdy artylerya i furgony zrównały się z zasiekami, zostały przywitane morderczym ogniem, który odrazu prawie wybił wszystkie konie z pod dział i furgonów. Kolumna stanęła. Działa odprzodkowano i skierowano w stronę, skąd szły najgęstsze strzały. Laudański rozrzucił w tyraliery pluton saperów i pluton Dęblińskiej załogi, po prawej ręce, po drugiej zaś stronie wykonał toż samo chorąży Toll.

Reszta wojska pozostała dla przykrycia dział i furgonów, lecz żołnierze Dęblińskiej załogi, przeważnie rekruci, pokładli

się do rowów przydrożnych i żadna siła nie była w stanie ich stamtąd poruszyć. Dowodzący etapem, major Siemionow, rąbał leżących szablą, jeden z kozaków okładał nahajką, sam Laudański groził bagnetem, wszystko napróżno!

Mała tylko garstka żołnierzy wzięła czynny udział w odpieraniu ataków powstańców, a i ci tak stracili przytomność, że przy nabijaniu broni kładli do luf ładunki kulami na dół, tak, że jak potem sprawdzono u tych, którzy wrócili z bronią do Dęblina, znaczna część karabinów była zagwożdżoną fałszywem nabijaniem.

Artylerya i sapery po bohatersku spełnili swą powinność. Po pierwszych strzałach armatnich powstańcy nieco się cofnęli. To umożliwiło Laudańskiemu wykonanie prawem skrzydłem małego ruchu naprzód. Lewe jednak skrzydło, strasznie cierpiało pod celnym ogniem powstańców, a wkrótce też zginął chorąży Toll. Gdy to spostrzegł Laudański, i widząc zarazem, że działa i furgony pozostały bez przykrycia, zaniechał wszelkich pokuszeń zaczepnego działania i wszystkie swoje siły skupił na obronę furgonów. Odparł 8 gwałtownych ataków przeważających sił powstańczych.

Była już godzina 10 rano, pozostali żołnierze oświadczyli, że amunicya im już wyszła, (mieli po 60 ładunków); z dział dano 140 strzałów. Ostatnie strzały osobiście uskuteczniał oficer Nikolskij, gdyż artylerzyści wyginęli. Dla braku dalszej amunicyi i działa umilkły. Laudańskiemu pozostała jedyna droga ratunku, przebić się z bagnetem w ręku przez otaczających go powstańców, kazał więc zagwoździć działa i przemówiwszy słów kilka do żołnierzy, sformował kolumnę do ataku i poprowadził ją przez gęste, lecz bezładne tłumy powstańców. Z resztką tą dotarł szczęśliwie do majora Lebedyńskiego, który dopiero o godzinie 10 rano wystąpił z Kurowa, mimo że w Kurowie słyszano doskonale strzały i już o godzinie 7 rano żołnierze rwali się „na pomoc swoim“. Do opuszczonych furgonów pocztowych dopadli pierwsi ludzie z oddziału Krysińskiego. Gdy przybył Kruk, oświadczył mu Krysiński, że „pieniądze ma przy sobie, w sumie 140 tysięcy rubli sr.“ Kruk polecił je oddać do rąk obywateli: Deskura i Gustawa Zakrzewskiego, by je odwieźli do Lwowa, jakoż wpłynęły one wkrótce do kasy komitetu lwowskiego do rozporządzenia Kruka.

. . . .

. . . .

W raporcie, przesłanym rządowi narodowemu, Kruk podaje straty Rosyan na 181 zabitych, 132 rannych i 150 wziętych do niewoli. Dalej podaje: „po tem zwycięstwie zostałem prawie bez amunicyi, i przez to nie mogę skorzystać, z drugiej, jaka się nadarza, sposobności, ponownego rozgromienia Rosyan“. O sumach zabranych powiada: Zdobyliśmy co najmniej 140 tysięcy rubli sr., do 60 tysięcy zaś przepadło.



DR. JAN BOBEK.

Z wyprawy Dunajewskiego.

W roku 63, byłem studentem w 3 gkl. gimnazyum w Tarnowie, jako 16-letni, biedny student, brałem wraz z innymi udział we wszelkich demonstracyach, chociaż nie wiadomo mi było, kto tem wszystkiem kierował. Ciągłe raz dobre, to znowu niepomyślne wiadomości rozogniały młodzieńczą wyobraźnię. Zbierano ochotników do tarnowskich oddziałów Jordana i Dunajewskiego. Ja zaciągnąłem się i dostałem się pod Dunajewskiego. Zbierano się w Pastyniu — stamtąd podwieziono nas do granicy. Ochotników umundurowano, zaopatrzono w lekkie belgijskie sztućce, mieliśmy każdy sporo patronów, do tego dostaliśmy zaledwie po kilka kapsli (ja n. p. ani jednej nie dostałem). Po nocy, nad granicą, w lesie przebytej, oddział wyruszył ku Wiśle, konwojowany w niewielkiej odległości przez oddział austryackich huzarów. W krzakach nadwiślańskich pogubiło się sporo ochotnika. Wisłę przebyliśmy wbród, konwojujący husarzy dali za nami salwy — równocześnie z tem, po drugiej stronie, wystąpił przeciwko nam oddział kozaków i zaczął razić strzałami z karabinów. Ciężej, lub mniej rannych padło koło mnie kilku — mnie dostała się kontuzya w prawe ramię, kula też trafiła w koniec bagnetu i zgięła mi go. Co dalej się działo, dokładniej nie pamiętem, w miejsce kozaków wystąpiła ku nam piechota, jacyś starzy Moskale. Skupiliśmy się koło (prawdopodobnie) dowódzcy na koniu, szliśmy jakiś czas równolegle z krzakami wzdłuż Wisły, prawdopodobnie celem zbliżenia się do oddziału Jordana, z którym mieliśmy się połączyć; następnie zapewne z rozkazu dowódzcy, pod Szczucinem wróciliśmy się przez Wisłę, na galicyjską stronę.

Woda tu była głęboka, chociaż nie umiem pływać, z karabinkiem dostałem się na tę stronę, gdzie na nas huzarzy już oczekiwali — broń poodbierali i aresztowali. Przewieziono nas do Tarnowa — z początku umieszczono w wojskowej ujeżdżalni — następnie, kto stamtąd nie uciekł, do kryminału. Z początku siedziałem ze zwykłymi zbrodniarzami, coś po 2 tygodniach dostałem się między towarzyszy powstania i było już znośniej — wysiedziałem się całe 6 tygodni.



MAJOR ROMAN BOCHEŃSKI.

Mój udział w powstaniu.

Służąc w wojsku rosyjskiem, jako oficer praporszczyk, w III dragońskim noworosyjskim pułku, pod pułkownikiem Szydłowskim (Rosyanin) doczekałem się wybuchu powstania styczniowego 1863 r.

Pułk nasz wówczas stacyonowany był w Stopnicy, gubernia Radomska.

Dnia 27. stycznia 1863 pod komendą majora Stanisława Krasińskiego, wymaszerowaliśmy do Radomia, na Kielce dwoma szwadronami w 288 żołnierzy.

Dnia 31 stycznia, do dnia zostałem odkomenderowanym z awangardą (36-ciu żołnierzami, i trębaczem); a na gościńcu pod Bzinem zostałem zaatakowany przez oddział powstańczy; który usłyszawszy sygnał alarmowy, rozproszył się po lesie, przytykającym do gościńca.

Major Krasiński idąc za awangardą, kazał dragonom, jako piechocie udać się w szyku bojowym w las, gdzie po zabiciu kilku powstańców, odkomenderował ich na swoje miejsce, skąd pomaszerowaliśmy do Bzina, aby połączyć się z jenerałem Maroko, który na nas tam oczekiwał (1000 piechoty, sotnia kozaków i 8 dział).

Dnia 2 lutego pod dowództwem jenerała Maroko wyruszyliśmy pod Wąchock, gdzie spodziewano się zetknąć z Langiewiczem. Langiewicz zaś widząc większą siłę Moskali, wysunął się na chwilę z lasu, i zniknął nam. Jenerał Maroko kazał bombardować i spalić miasto, kozakom zaś pozwolił pohulać; którzy to nad bezbronnemi kobietami pastwili się.

Po nieudałej potyczce, powróciliśmy do Bzina na noc, a na drugi dzień pomaszerowaliśmy do Radomia. Wtedy to nie mogąc już stłumić uczuć patryotycznych, oświadczyłem swemu kapitanowi szwadronowemu Czutia, że zmuszony jestem podać raport o swej chorobie; kapitan spojrzał na mnie, i wyrzekł te słowa: „rozumiem Was — i ja to samo bym uczynił, gdybym był na Waszem miejscu, dobrze, raport przyjmuję“.

Od tej pory w służbie nie byłem czynny, staraniem zaś mojem było, jak najprędzej dostać się do szeregów powstańczych. Tak przesiedziałem cierpliwie prawie cztery tygodnie w Radomiu, dopóki nasze szwadrony nie zostały odkomenderowane do Kielc, tam to koncentrowały się oddziały powstańcze (w górach Ś-to-Krzyskich). Na czele naszej polskiej organizacyi w wojsku rosyjskiem stanął Dobrogojski sztabskapitan Witebskiego pułku, Polak, zagorzały patryota; chciał on z Kielc wyprowadzić oddział, składający się z 200 żołnierzy piechoty rosyjskiej i siedmiu oficerów, którzy mieli być zaopatrzeni w amunicyę z magazynu moskiewskiego, lecz wskutek przejścia jenerała Langiewicza przez Wisłę i oddania się władzy austryackiej, duch wojska osłabł. Dobrogojski nie chciał zaś brać odpowiedzialności za prostych żołnierzy, przeto wyjechaliśmy obydwaj dnia 26 marca 1863 r. z Kielc, na swoich koniach wojskowych, do Bodzentyna, skąd mnie i Dobrogojskiego przeprowadzono do oddziału pułkownika Czachowskiego, w góry Ś-to-Krzyskie pod Słupią. Czachowski był to starzec 70-letni, żołnierz z 1831 r., bardzo dobry patryota, gdyż dwóch synów poświęcił Ojczyźnie, lecz brak mu było energii i zasadą jego było cofanie się przed małymi oddziałami moskiewskimi.

Oddział pułkownika Czachowskiego zastaliśmy w opłakanym stanie, gdyż nie tylko brak broni palnej było, lecz nawet ładunki nie nadawały się do kalibru karabinów. Szeregowiec był niedoświadczony, wielką zasługą Dobrogojskiego było ćwiczenie tego żołnierza całymi dniami w mustrze i strzelaniu, a nocami lał kule do broni.

Będąc przez trzy tygodnie w oddziale pułkownika Czachowskiego, przybył Antoni Wielobycki z 36-ciu ułanami umundurowanymi, przeto swoich ułanów oddałem jemu, sam zaś poszedłem do oddziału pułkownika Kononowicza organizować kawalerzystów.

Dnia 26 kwietnia zaatakowani zostaliśmy, przez Moskali pod Wąchockiem i tam to otrzymałem ranę w nogę i konia

straciłem – skąd odwieźli mnie rannego do Łapczynejwoli — gdzie przeleżałem ośm tygodni; po wyzdrowieniu udałem się do oddziału Aleksandra Lüticha.

Dnia 4 lipca 1863 r., napadliśmy pod Kaszewem na sotnię kozaków, rozbiliśmy cały oddział moskiewski, i tam mi konia zabili kozacy, po utarczce, wróciliśmy do Chorzenic koło Radomska — dnia 5 lipca do dnia napadły na nasz oddział dwie sotnie kozaków, ja jako rotmistrz nawołując swoich ułanów, do wsiadania na koń, zostałem otoczony przez kozaków, porąbano mnie szaszkami, pokłuto pikami, zadano mi 18 ran; myśląc, że jestem zabity, zostawili mnie na placu bitwy; dopiero w kilka godzin fura pani Pstrokońskiej, właścicielki Chorzenic, przywiozła mnie do dworu, gdzie trzy miesiące byłem w kuracyi, po wyleczeniu się, wyjechałem za granicę, otrzymawszy od Rządu Narodowego nominacyę na majora wojsk polskich.



JENERAŁ BOSAK. (†)
(JÓZEF HR. HAUKE).

List pisany do kapitana Junoszy

z zachowaniem błędów i właściwości tak stylistycznych jak ortograficznych. Oryginał listu znajduje się w przechowaniu u pani Nowackiej, wdowy po ś. p kapitanie Junoszy, (P. R.).

Dnia 14. czerwca 1867.
Bröelberg (Zurich).

Dzielny i Kochany mój kapitanie.

Przedewszystkiem pozwól mi Cię ścisnąć od całego serca jako prawdziwego bo wytrwałego patriotę i do końca mego towarzysza — i wyznać ci z całym szacunkiem i uznaniem, że za moje dowództwo byłeś w liczbie najdzielniejszych mnie podkomendnych i w liczbie tych bardzo mało, którzy jak najdzielniej aż do końca dowodzili powierzony im oddział.

W odpowiedzi na Twój list z dnia 1. b. m., a z treści swej baczny na zewnętrzne zawikłania i na zbliżające się wypadki i zmiany w Europie, pytasz mię: co słychać, co myślę i co powiem?

Wielebym chciał i mógł Ci odpowiedzieć, ale Tobie i takim braciom i wiernym synom ojczyzny jak Ty kapitanie, któ-

rego duch obowiązkom i miłości ojczyzny nietylko nie słabnie, ale coraz potęguje — takim i parę słów wystarczy.

W samej rzeczy jakżesz mamy upadać na duchu i skarżyć się na niepowodzenia odwiecznych wysileń naszych, gdyż jeszcze ani razu nie użyliśmy ani setnej części tych milionowych sił: które jednak tylko zwycięstwo zapewnić nam mogą. Czyż możemy się użalać na jakiś fatum? O nie! i szyderczo nato odpowiedziećby nam można! A więc naturalnie, iż prawy i gorący patriota nie boleje ale owszem ale z rozkoszą i niezłomną wiarą... z zachwytem przyszłości się przypatruje i jakby już widzi, że gdy garstka tych zdołała, iż przez 16 miesięcy z moskiewską siłą walczyła, siły, której cała Europa się obawia i przeciwko której nawet przymówić nieśmie, to jakże świetne, zupełne i uroczyste dla wszystkich ludów Europy będzie zwycięstwo nasze, gdy całym ludem o wolność i niepodległość Polski się upomniemy!

Ale wracam do zapowiedzianych parę słowach. Otóż co do zewnętrznych wypadków czyli ogólnie europejskich — to niezawodnie — że się zbliżają! i nikt temu nie zaprzeczy, iż aby prąd cywilizacyj postępu i rozwoju dalej mógł dźwigać i posuwać naprzód ku przyszłości ludy i kraje Europy — to musi obalić stojące przeszkody... a święcić nowe zasady... załatwić najżywotniejsze kwestyj... ale jak? kiedy? i czy już? a może jeszcze i potrwa? a może i przyszłe wypadki jak zeszłoroczna wojna niemiecka będą tylko zapowiedzią i przygotowaniem... tem wszystkim przesądzać trudno — to tylko pewno że co do nas czyli co do Polski — to zyskamy z wypadków tylko o tyle o ile warci będziemy! Tak jest!

Lud milionowy, któren tylko kilku tysięczne garstki wystawia dla wyzwolenia, nie jest wart wolności i niepodległości! Wszystkie powstania nasze zacząwszy od Kościuszki aż do 63 r. są raczej zupełną negacyą niż objawami uroczystemi milionowego ludu domagającego się ojczyzny! Zapewne my wiemy jaka na wieki i od wszystkich ludów przynależy się cześć i chwała tym garstkom i wiemy na pociechę i chwałę naszą, że te garstki czyli powstania nasze coraz potężnieją a ostatnie 63 daleko już pospolitsze, ale jeszcze hańba wyznać — że to ma się nazywać objawem uciemiężonego ludu! objawem Polski!... to też taki jak Bismark nie może inaczej się wyrazić jak tylko o środkach... „ku odświeżeniu patriotyzmu“.

Otóż jeżeli chcemy aby przyszłe wypadki w Europie z korzyścią dla nas wypłynęły lub aby niezależnie od wypadków — aby przyszłe nasze powstanie byłoby zwycięskim to należy nam milionową siłą zadania i bój nasz wesprzeć. Pytanie więc: jakże masy ludu ku temu poruszyć, jak je z ciemnoty obudzić, jak z hańby i obojętności ocknąć, jak do życia i współpracownictwa powołać? Odpowiedź: Trzeba je zainteresować ku przyszłości. P. Jakże zainteresować? Od. Bardzo proste: wykazać im rzetelnie a bez przesady — wszelkie korzyści, życie, szczęście, rozwój, wolność i dobrobyt, któren im wyczekuje w przyszłej Polsce i niezwyciężone siły ku osiągnięciu tej przyszłości — w milionowem łonie ich leżą! P. Jakże ku temu wykazaniu przystąpić i rozpocząć? Od. Przez zmowę ludową od chaty rozpoczętej! P. Naczym te wykazania czyli te prace oprzeć i czym urok, powodzenie i środki zyskiwać? Od. Na zmowie ludowej i przez zmowę ludową wciąż takową rozszerzając!

Otóż i wszystko drogi mój bracie co tylko me serce i rozum umie przedstawia i mówi. W tych słowach zawiera się całe moje rozumienie cała moja wiara i nadzieja. Po zatem w nic nie wierzę i nic nie rozumiem, bo nie rozumiem jakim sposobem być polakiem bez ludu polskiego, któren polskim się nie czuje — może być Polska! A dziś polaków na palcach wyliczyć można!

Zapewne trudna ta praca o której mówię i na kilka lat się zaciągnie! Ale cóż — gdy, bez tego nic! i wszelkie wysilenia daremne! Z nią zaś zwycięstwo w końcu niechybne.

To też nic inszego nie widzę i nierozumuję, (chyba wyczekiwanie cudów politycznych, które czasem się zdarzają, ale na które polegać nie można a nawet zbrodnią) — wylałem te moje rozumienia i myśli w ludowem pisemku pod tytułem: „Listy do gromady o zmowie ludowej“ i którego dziesięć pierwszych listów już wyszły i są do nabycia u Adama Koberskiego (Zurich Nord-ost Bahn 100 exempli 50 franków — jeden 70 centymów). Skończyłem me słów parę, i chyba tylko: amen — mam do dodania.

Jeżeli jednak i po tym amen jeszcze o doradę mię pytasz jako brata i patriotę to już nie dziw się, gdy nic inszego na dziś nie powiem, jak tylko będę prosił Ciebie i Was wszystkich sprowadźcie sobie „Listy do gromady“ i stosujcie się do nich.

Jeżeli zaś odwołując się do mnie jako do brata ale i jako, do Bosaka do tego żądam! tak jest żądam abyście nalegali na krajowych księgarzy iżby listy do gromady sprowadzali lub sami oto się postarajcie; żądam abyście takowe rozpowszechniali i do nich się stosując rozpoczęli zmowę ludową, a to od chaty nieinaczej jak od chaty gromad — niech Ci Was zrozumieją a wszystko potem już jak z ręki pójdzie.

Niech tylko tych niewielu piśmiennych pomiędzy chłopkiem naszym i Ci co codziennie z nim stosunki mają (czy oficyaliści czy gospodarze dworu, czy mieszczanin, czy ksiądz i t. d.) przeczytają te listy o zmowie a uznają ich za dobre?) — a zapragną — to niebawem zmowa stanie.

Wybaczcie, że tak kategorycznie żądania me stawiam, ale nie mamy czego w bawełnę obwijać i tak, jeżeli zaś ani prośby ani żądań słuchać nie chcecie — to pocóż pytacie?

Co zaś do cudów politycznych o których wyżej wspomniałem, to jestem z tych którzy w nie wierzą, bo wierzę w Opatrzność, która od czasu do czasu do dziejów ludzkich się miesza! Mówiąc zaś stylem pojemnym — wierzę, iż okoliczności mogą doprowadzić do tego, iż czy Napoleon, czy jaki Habsburg do tego stopnia zmysł utracą, iż na swoją biedę (t. j. na biedę tronów i monarchów) Polskę odbudują. Wierzę, iż może z przyszłych wypadków Europy — Polska dostanie się nam tak cudownie — jak Kwadrylater Włochom! I w samej rzeczy, czyż to nie cudo z Kwadrylatem, bo któż temu rok śmiał pomyśleć, że prawie bez strzału Włochom się dostanie — a jednak tak się stało. Polegać zaś na to jest samobójstwem, jak nasze wiekowe wyczekiwanie — a więc zbrodnią — bo dodam z naciskiem, że i powyższe cuda tylko w miarę zasług się stają.

Ściskam Cię od całego serca dzielny i kochany kapitanie i łączę wyrazy szacunku i pozdrowienia wszystkim braciom i patriotom, którzy jak ty w pracach nie ustają. Jeszcze raz ściskam Ci dłoń, brat i sługa

Józef Bosak-Hauke.

P. S. Co do Zejfryda to naturalnie, iż upoważnienie moje wydane mu w maju 1864 ustało jak tylko on wyjechał z Krakowa i dziś go niema.

Niebawem przyszlę ci exemplarz Listów do Gromady (drugie wydanie) z okładką chromolitograficzną, Co wiesz o Dawidowiczu a także o Panu Zorze, — a może to jeden i ten sam.

Adres mój: Madame Marie Legouvé, Kilehberg près Zurich — villa Bröelberg.

Wogóle i raz na zawsze, jeżeli ktokolwiekbądź będzie działał lub odzywał się w moim imieniu to nie wierzcie, nim upoważnienia odemnie i podpisem moim stwierdzone nie przedstawi.



MAJOR WŁADYSŁAW BRANDT

Mój udział w powstaniu.

Jako oficer armii rosyjskiej — w Białymstoku — wraz z kilkunastu wojskowymi wzięliśmy czynny udział w powstaniu 1863 r. w m. kwietniu (dnia nie pamiętam) — udaliśmy się na punkt zborny pod Białymstokiem do puszczy Białowiejskiej, gdzie miało być kilka batalionów zorganizowanej i uzbrojonej piechoty — niestety nic nie było.

Na hasło, że tylu oficerów bierze udział w powstaniu, w 2-ch dniach zebrało się młodzieży (przeważnie z Grodna) przeszło 400 prawie bezbronnych — jak mogliśmy tak zorganizowaliśmy ten oddział — objął nad nim dowództwo weteran z r. 1831 pułkownik Duchiński (brat historyka) w 4 czy 5 dniu musieliśmy przyjąć bitwę, tak zwaną pod Wawiłami, bijąc się przez cały dzień niemało naszych zginęło, a reszta poszła w rozsypkę.

Po nieszczęśliwej bitwie, udałem się do Królestwa — w Augustowskie i od Andruszkiewicza weterana z r. 1831 objąłem świeżo sformowany oddział około 70 ludzi i w krótkim czasie doprowadziłem do 110 piechoty i 18 kawaleryi pod nazwiskiem oddział Brandta — brałem udział w bitwach pod Gruszkami, Kadyszem, Balwierzyszkami i w innych mniejszych potyczkach, zawsze szczęśliwie. Ostatnich dni lipca siły moskiewskie wyparły oddziały powstańcze z Augustowskiego do powiatu Łomżyńskiego — w czasie tym zostałem skaleczony przez konia, tak że musiałem opuścić mój oddział i 4 tygodnie leczyłem się. Potem udałem się na Kurpie i sformowałem oddział piechoty z samych Kurpiaków do 120 ludzi i 20-tu kawaleryi — d. 18 września zaatakowałem komorę 1-ej klasy Wincenta — zdobyłem takową — Moskali co nieuszło za granicę, resztę za-

brałem do niewoli a całą komorę t. j. różne składy, zapaśną broń i prochownię wysadziłem w powietrze — jeńców puściłem, z oddziałem cofnąłem się i przez 4 dni z rzędu ścierałem się z 5-ciu sotniami kozaków i objeszczyków, szczęśliwie wywinąłem się bez żadnej straty z naszej strony. Na nieszczęście nasze wywiązała się w oddziale egipska choroba, byłem zmuszony rozwiązać oddział, broń zakopałem, przy pomocy miejscowych mieszkańców. Ja także zachorowałem na oczy i przez trzy tygodnie byłem niewidomy. Po wyleczeniu się, powróciłem na Kurpie — Moskale prawie w każdej wsi, granica była obsadzona przez Moskali — nie można było uzbrajać się — w końcu listopada chłopi dają znać, że objeszczyki rabują ich stogi siana — wezwałem na ochotnika, zebrało się do 40 dzielnych strzelców, napadłem Moskali, którzy nie uciekli za granicę, dostali się do niewoli — i dzielnych 40 koni, ale co miałem robić, musiałem to tałatajstwo puścić i sam schronić się. W 2-iej połowie grudnia ledwie przebyłem granicę — i dostałem się do Drezna — przed przejściem granicy byłem zmuszony moje 3 nominacye Rządu Narodowego — mapy topograficzne i moją osobistą broń zakopać — bo przewodnicy nie chcieli przeprowadzić przez granicę uzbrojonego i z dokumentami...



KAROL BRZOZOWSKI.

Bitwa pod Kostangalią.

Ilekroć na szerokiem polu wspomnień myśl moja zatrzyma się choćby na chwilę na 1863 r., zawsze staje przed mem okiem jasna, szlachetna postać Fuada paszy, wielkiego Wezyra. Widzę go i teraz i od niego te parę kartek rozpoczynam.

Mając się udać do Tulczy, gdzie się nasz oddział zorganizował, poszedłem pożegnać się z Wielkim Wezyrem, którego przed paru laty poznałem w Syryi jeszcze, jako „effendiego“, ale już jako nadzwyczajnego komisarza Sułtańskiego, w czasie francuskiej wojskowej okupacyi, po strasznych rzeziach w Damaszku i części Syryi Maronickiej. Udało mi się wówczas oddać pewne usługi państwu, w którego byłem gościnie, lecz nie tu miejsce mówić o tem.

Ledwie słońce zeszło, korzystając ze zwyczaju tureckiego, byłem już w mieszkaniu Wielkiego Wezyra. Zastałem go samego. Powiedziałem mu dokąd się udaję — i przyszedłem z nim się pożegnać.

Fuad Pasza rzekł mi na to: nie myślę ci jakichkolwiek robić uwag, ani odradzać. Wiem jakiem wielkiem, świętem hasłem jest u Was „Ojczyzna“! Idź z Bogiem! a gdyby znowu miały zmusić cię okoliczności szukać na obczyźnie gościnności, powracaj do Turcyi a znajdziesz zawsze i gościnność i pracę. Podziękowałem za życzliwość i pokłoniwszy się z uszanowaniem, zbliżyłem się do drzwi, ale gdy rękę kładłem na klamkę, rzekł Fuad: słowo jeszcze!

Stanąłem z uszanowaniem, tuż przy jego siedzeniu; nastąpiła chwila milczenia — czekam długo, co mi powie; — nareszcie Fuad westchnąwszy „słuchaj! rzecze, to co teraz odemnie usłyszysz, jest strasznem — ale mężem jesteś, więc słuchaj! Wiedz o tem, że ci, którzy tam idą, nie powracają! Gdy przyjdzie twoja ostatnia godzina, umieraj przynajmniej o tyle spokojny, że żona twoja i twoja mała dziecina mają ojca — tym ojcem jestem ja!“

Pochwyciłem w obie dłonie szlachetną rękę i całując ją oblałem łzami. Fuad zerwał się z siedzenia, przycisnął mnie do piersi mówiąc: „te łzy moje, to pieczęć mych słów a zmięszana z twojemi, to węzeł nigdy nierozerwalny dusz naszych!“

Z Zygmuntem Miłkowskim poznałem się w końcu 1853 r. w Stambule, przed wojną krymską i od tego czasu zawiązały się między nami ściślejsze stosunki przyjacielskie. Ja, a utrzymuję to bez obawy zaprzeczenia, popchnąłem niezaprzeczony jego talent pisarski, na pole powieści. Nie jedną garść soli zjedliśmy razem i po gorżkich zawodach, wzajemnie pocieszaliśmy się na obczyźnie; nic więc dziwnego, że pułkownik Miłkowski w Tulczy mnie, jako najlepiej z pomiędzy tu zgromadzonych rodaków, władającego językiem tureckim, z pełnem zaufaniem używał we wszystkich sprawach z miejscowemi władzami.

Kajmakamem w Tulczy, był niedawno ze Stambułu przysłany Reszad Bej. Ten poprostu mi powiedział: Wielka Porta nie sprzeciwia się bynajmniej, aby Polacy przybywali do Tulczy. My wszyscy bardzo to dobrze rozumiemy, że tu, jako w najbliższym punkcie placu bojów w waszej ojczyźnie, najprędzej mo-

żecie się dowiedzieć co się tam dzieje i tu do Tulczy będziecie przybywali. Ja przysłany tu jestem dla utrzymania porządku i dziwię się tylko, że was tak mało, bo spodziewałem się nie na setki was liczyć. Zbierajcie się bez obawy — ale to wiedzcie, że was stąd do boju nie wypuszczę, bo taki mam rozkaz.

Rozporządzenie Rządu Narodowego zalecało, w bezpiecznem jakiem ustroniu, założyć zbrojny obóz. Szef Sztabu Fr. Zima i ja udaliśmy się w okolicę, dla wyszukania odpowiedniej miejscowości; tej nie znaleźliśmy, ale przy tej sposobności zrekognoskowaliśmy dokładnie wyspę Dunaju, utworzoną przez główne koryto Dunaju i wąską jego odnogę, dosyć głęboką lecz o słabym prądzie wody. Wyspa ta leży pod Tulczą, pułkownik Miłkowski bardzo słusznie osądził, że wyspa ta jest dla nas bardzo ważnym punktem, podstawą naszego przyszłego ruchu i że potrzeba mieć mostek na owej odnodze Dunaju.

Poszedłem do Beja i powiedziawszy mu, że przy słabych naszych zasobach, chcielibyśmy zarobić na życie, zapytałem go, czyby nie pozwolił zbudować mostku w miejscu, gdzie co dnia pastuchy z Tulczy wpław z bydłem przeprawiają się na pastwiska; pobieralibyśmy jak najskromniejsze myto, z którego jednak mielibyśmy jakiś zarobek.

Bej się uśmiechnął i rzekł: wcale niezły pomysł! Stawiajcie sobie mostek, nawet budkę dla waszego strażnika. Bardzo dobrze robicie, prosząc o pozwolenie, bo to teraz bywają różni ciekawcy... cóżbym odpowiedział, gdyby mnie z nich który o mostek zapytał.

W parę dni po tem wezwał mnie Bej do siebie i powiedział mi, że dla łatwiejszego utrzymania porządku, którego tak my jak i on zarówno pragnąć musimy, radzi nam, abyśmy się zorganizowali w kompanje, odbywali ściśłe appele i t. d. ale zarazem uprzedza, że do wyprawy nie dopuści i przemocą orężną ją powstrzyma. Przyjęliśmy propozycyę. Pierwsza i trzecia kompanja zostały w Tulczy. Druga o pół mili od miasta na wsi, gdzie w dogodnem utroniu swobodnie się mustrowała.

Największe kłopoty i trudności były z bronią, którą miano nam ze Stambułu wyprawić. Dzisiaj, po tylu latach, kreśląc te kilka kartek, nie mogę się powstrzymać od oburzenia, wobec niedołęstwa, niedbalstwa lub oszustwa bezwstydnych spekulantów!

Turcy nam sprzyjali; telegraf był na nasze usługi; komora celna z góry pouczona, była dla nas dobrze usposobioną. Gdy

byłem jeszcze w Stambule, zawiadomiono nas, że broń, jako materyał telegraficzny wyprawioną, trzeba odebrać wprost ze statku, by uniknąć celnej komory. Wiadomość nadeszła w parę godzin po przyjściu owego parowca; Sokulski popędził natychmiast do portu — i czegoż się dowiedział? Oto że paki ze zgniłych desek pękały, z nich wyłaziły zardzewiałe stare bagneciska. Broń tak publicznie występującą skonfiskowano, przy czem nie obeszło się bez gorzkich wyrzutów opieszalstwa i niedołęstwa, które Sokulski musiał wysłuchać.

Mnie się udało doskonały proch turecki z komory celnej wyprawić do Tulczy. Gdy już przesyłkę oplombowano i odchodziłem, urzędnik cicho zapytał: a proch? — Poszedł. „Jak to?“ — W tych baryłkach i damżanach (wielkie butle, przyp. red.), w których patyczkiem sprawdziłeś oliwę. — „Afferim“! tęgi z ciebie przemytnik!“

Broni nie mogliśmy się doczekać, ani się dowiedzieć, jaki jej kaliber. Szczęściem, był w Tulczy wyborny ślusarz Ratyński i ten przygotował nam kilkadziesiąt form do lania kul małego kalibru, który mógł być powiększonym po nadejściu broni.

— „Nareszcie!“ rzekł do mnie, Pułkownik Miłkowski, wesoło zacierając ręce, — jest broń! Pojadę po nią z wozami“. I w trzy dni po tem w nocy z nią przybył.

Któż opisze nasze rozczarowanie na widok tej tak upragnionej broni! Stare, liche jakieś karabiniska, i kilkadziesiąt nie lepszych gwintowanych karabinów, przedtem przeznaczonych dla Czerkiesów, na Kaukaz. Pułkownik kazał mi natychmiast zająć się tą bronią. Odwodząc kurki, czułem pod ręką słabość sprężyn, i przekonałem się, że ani jedna nie rozbijała kapiszona i że trzeba bez wyjątku, wszystkich zamków, sprężyny hartować. Jak mógł robił to Ratyński, ja zabrałem się do lania kul i robienia ładunków.

Raz od tej pracy oderwał mnie Reszad Bej wzywając do siebie. Wchodząc do niego, spotkałem się z jakąś urzędową figurą moskiewską, w białej czapce.

„Coż to, rzecze Bej, wykupiliście w mieście wszystek ołów, tak że nie byłoby go nawet na lekarstwo“. — Prawda, tylko nam żal, że go było tak mało.

„I na co wam ten ołów? — Na kule, które jak orzechy pochowamy sobie w kieszeniach. — „Czemuście mi o tem nie powiedzieli? czy żebym się o tem, od kogoś tam, z wymówka-

mi dowiedział. Z kulami, czy bez kul z Tulczy was nie wypuszczę".

— A my wyjść musimy, i to wkrótce nastąpi. Mówiłeś, żeś tu umyślnie z powodu nas wysłany i pewno już telegrafowałeś, że jesteśmy na wyjściu i nie odebrałeś odpowiedzi; — zatelegrafuj — i teraz i odpowiedzi nie będzie.

„I cóż z tego?"

— To że my wyjdziemy a na ciebie za to cała spadnie odpowiedzialność; jako niedołęga stracisz miejsce; po tem gdzieś stąd daleko zostaniesz paszą i pójdziesz wyżej i wyżej! Rozśmiał się Bej i rzekł: muszę wiedzieć dokładnie, którego dnia wyruszycie.

Natychmiast złożyłem o tem raport Miłkowskiemu i Zimie. W dwa dni potem trąbiąc i bębniąc hałaśliwie, zwolna, tryumfalnie przez miasto przeciągały dwie kompanje piechoty tureckiej do koszar. Ten pochód, wyraźna dla nas pogróżka, przygnębiająco spadł na nasze serca. Pod koszarami trzeba było nam przechodzić, — a dziś ich załoga więcej niż do bataliona podniesioną została.

Zima jeździł kilka razy do Suliny, gdzie ostatecznie wynalazł mały parowiec, którego komendant zgodził się na przewiezienie nas, ale mieliśmy odegrać komedyę rewolwerowego przymusu; prosił tylko, żeby rewolwery nie były nabite.

Mając zapewniony statek, mogliśmy dzień naszego wymarszu nocą z Tulczy ściśle oznaczyć i z tem poszedłem do Beja, który mi rzekł krótko: tego dnia ściągnę z koszar do miasta całą moją siłę zbrojną, żebyście się bronić nie śmieli; wszystkich was, wyjąwszy oficerów, schwytać i uwięzić każę... a wieczorem, gdy dobrze już się ściemni, wypuszczę. Powiedzcie gdzie pójdziecie, abym was ścigał w innym kierunku. Zapewniłem Beja, że gdy się dowie o naszym wymarszu, będziemy już za Dunajem i wskazałem miejsce, gdzie się mamy uzbroić, prosząc go, żeby tam żadnych patrolów nie wysyłano.

Rano umówionego dnia, cała siła zbrojna turecka z koszar wpadła niespodzianie do miasta; uwięziono wszystkich naszych żołnierzy. Przerażeni oficerowie zaułkami przekradali się do pułkownika, gdzie i ja się znajdowałem i prawdę mówiąc, i nas nie w lepszem znaleźli usposobieniu; mówiliśmy im tylko, żeby się w mieście nie pokazywali, ale gdy się ściemni, bezwarunkowo wszyscy tu się stawili.

*

Ciężki, smutny a strasznie długi był to dzień dla Pułkownika i dla mnie. Czy można zawierzyć Bejowi czy nie? to pytanie ciągle nas dręczyło; pocieszaliśmy się tylko tem, że nie było innego wyjścia i że tak czy owak, byliśmy na łasce i niełasce Beja.

Dotrzymał Bej słowa; — uzbroiliśmy oddział i znacznie już po północy, opuściliśmy miasto. Pułkownik nasz osądził, że obejść potrzeba magazyny i budynki komisyi, regulującej ujście Dunaju, w których mieszkali i reprezentanci Rosyi i Prus. Okrążanie tego niebezpiecznego miejsca przez rozdroża, rowy, kukurudzą zarosłe pola, zmęczyło nas i zabrało wiele czasu, tak, że było już słońce wysoko na niebie, gdy przebywszy nasz mostek, zadyszani i oblani potem, stanęliśmy nad Dunajem i tu się zatrzymaliśmy, aby czekać na Zimę z parowcem, gdyż Pułkownik osądził, że nie ma już czasu zdążyć pod Satanowo, dokąd mieliśmy się przeprawić za rzekę.

Około południa ujrzeliśmy mały parowiec, — był to nasz spodziewany; poczęliśmy powiewać białemi chustkami i zdumiony Zima przybił do brzegu. Przejście ludzi na statek, przeprowadzenie koni, wozu, uporządkowanie tego wszystkiego na pokładzie, potrzebowało znowu dłuższego czasu.

Odbiliśmy nareszcie od brzegu, ale zaledwie z parę upłynęliśmy kilometrów, spotkaliśmy pocztowy parowiec pełen podróżnych, którzy na nasz widok tłumnie zalegli pokład. To nieszczęsne spotkanie się, było strasznym dla nas ciosem. Wiedzieliśmy, że na wypadek potrzeby ścigania nas, wojenny statek turecki pod parą był w pogotowiu; na wiadomość przyniesioną o nas, choćby przez samych podróżnych, poczciwy nasz Bej, rad nie rad, zmuszonym będzie spełnić swój obowiązek. Nasz parowczyk o słabej sile i potrzebujący znacznych napraw w machinie, nie miał żadnej szansy za sobą. Zima więc natychmiast zarzucił kotwicę przy rumuńskim brzegu i jeszcze w oczach, zdaleka już przyglądających się ciekawców, pocztowego parowca, rozpoczął wylądowanie.

I znowu ciężki i znojny pochód. Trzeba było co chwila brnąć po kolana w błocie; dźwigać drągami wóz ugrzęzły, — stanęliśmy nareszcie, już po zachodzie słońca w Satanowie, gdzie zakwaterowaliśmy w wielkim klasztorze prawosławnym, który Mikołaj I. postawił, na pamiątkę przeprawy tu swej armii 1828 r. pod dowództwem generała Dybicza, późniejszego Kniazia Zabałkańskiego.

Przeor mnichów gościnnie przyjął niespodziewanych i z pewnością wcale niepożądanych przybyszów. Znalazła się dla nas żywność dostatkiem a nawet i wino. Mieliśmy nocleg wygodny, ale za krótki do odzyskania sił, tak już naprężonych w walce z trudami przebytej drogi. Chociaż nie wątpiliśmy, że przeor nie omieszkał dać znać Rumunom w Izmajłowie i Galacu o naszem tu pojawieniu się, Miłkowski złożył hojną na ołtarzu obiatę i ruszyliśmy naprzód ku Prutowi, który przebywszy, dążyć mieliśmy ku Jassom. Stąd na terenie lesistym łatwiej byłoby przewinąć się i znaleść się u granic Austryi i na placu krwawego boju za Ojczyznę.

Dzień 12 Lipca zeszedł nam na marszu; posuwaliśmy się szybko. Na noclegu dowiedzieliśmy się, że wieśniaków przestrzeżono, żeby się kryli, bo Polacy rabują, za nic nie płacąc. I rzeczywiście wsie, przez które przechodziliśmy 13 Lipca były jak wymarłe, co nas zasmuciło i zatrwożyło, bo żadnego nie mieliśmy zapasu żywności. Dzięki Przewłockiemu udało się kupić na ustroniach trochę mąki kukurudzianej, chleba i bułek.

Nazajutrz 14 Lipca wieś Etulikej zostawiwszy za sobą, ujrzeliśmy przynajmniej pięćkroć liczniejszych Rumunów, w szyku bojowym, rozwiniętych, idących za nami. Widząc to, pomyślałem sobie: dobrze odegrana komedya, bo czyż można mały jak nasz oddział w ten sposób dognać? Omyliłem się; zjawił się rumuński parlamentarz z oświadczeniem, że komendant pułkownik Kalinesko, żąda rozmowy z komendantem polskim. Z obu stron marsz wstrzymano, wyjechali przeciw sobie komendanci i nastąpiła dowódzców rozmowa. Pułkownik Kalinesko żądał, abyśmy złożywszy broń, powrócili do Turcyi; jaką odebrał odpowiedź, opowiadać nie potrzeba. Szybko poszliśmy i w krótce Rumunów straciliśmy z oczu.

Nazajutrz rano Pułkownik Miłkowski wiedząc, że bitwa jest nie uniknioną, zatrzymał się pod Kostangalią, której budynki i winnice otoczone rowami i łańcuchem starych wierzb, słusznie ocenił jako pozycyę wyborną, tak do obrony jak i do ataku. Ledwie stanęliśmy i zabraliśmy się do gotowania mamałygi, ujrzeliśmy w chmurze kurzawy kupę wozów i wyskakujących z nich rumuńskich żołnierzy, których jakby dla przerażenia nas, powolnie, długo w bojowym szyku rozstawiano. My tymczasem zjedliśmy naszą mamałygę i pod wierzbami przy w kozły ustawionej broni czekaliśmy, co będzie dalej...

I znowu rumuński parlamentarz i znowu w pół drogi między rumuńskiem a naszem stanowiskiem zjazd pułkownika Kalineski, otoczonego adjutantami, z naszym pułkownikiem, któremu towarzyszyli Zima, Przewłocki, Czajkowski i Akkord Józef.

Kalinesko, jak pod Etulikej, żądał złożenia broni i powrotu pod eskortą do Turcyi; jako odpowiedź odebrał krótkie, stanowcze nigdy!

— Sama ludzkość, rzekł Kalinesko, nakazuje otworzyć wam oczy, które szaleństwo zaślepia; patrzcie! I z dumą wskazując swój zastęp w szyku bojowym zawołał: „czem wasza garstka wobec sił moich? Zduszę was! zgniotę was! i bez wyrzutu sumienia, bo zrobiłem wszystko, aby was na drogę rozsądku sprowadzić. Zgniotę was!“

— Być może! — odparł spokojnie Miłkowski i lekko skłoniwszy się na pożegnanie, szybko zwrócił się do odjazdu.

W czasie owej wodzów rozmowy spostrzegłem, że na prawem skrzydle Rumunów, w szyku bojowym rozwiniętych, jest silna kolumna nierozwinięta, gotowa do pochodu; pomyślałem więc sobie: to do obejścia nas i wzięcia nam tyłu; a że kompanja moja była właśnie na tem skrzydle, nie spuszczałem z oka owej kolumny.

Cwałem przypadł nasz Pułkownik i krzyknął: pod broń! w szeregi wiara!

— Hurra! niech żyje Polska! zagrzmiała odpowiedź.

W kilka minut rozkaz był wykonanym. Nie mogę powstrzymać się od wzmianki, o Włochu niby to Garibaldczyku, który był przy naszym oddziale, ale nie chciał żadnego niższego oficerskiego stopnia przyjąć; ten rycerz skrył się pod wóz i kolbami karabinów nie można było go stamtąd wyprosić.

Szybko z gromkiem, niech żyje Polska! hurra! posunęliśmy się naprzód, mając przed sobą tyralierów pouczonych, żeby nie ważyli się strzelać dopóki Rumuni nie dadzą ognia. Nie długo czekaliśmy na niego — a był on straszliwie gęsty. Tyralierzy rumuńscy byli tak blisko swych szyków, że każda kula naszych tyralierów, jeśli chybiła swego celu, zabijała lub raniła kogoś ze ściśniętej linii przeciwnika.

Kompanja moja przyrzekła mi, że bez wystrzału pójdzie na bagnety i święcie dotrzymywała słowa. Na naszem lewem skrzydle mieliśmy łańcuch wzgórz, który o kilkaset kroków od stanowiska nieprzyjaciela się poczynał, — otóż spostrzegłem, że owa kolumna, której nie spuszczałem z oka, ruszła naprzód;

rozumiejąc co to znaczy, natychmiast zakomenderowałem: prawe ramię naprzód! a sam co nóg starczy wybiegłem na grzbiecik wzgórza i znalazłem się nie dalej jak ośmdziesiąt kroków przed obchodzącą nas kolumną. Komendant jej widząc, że manewr się nie udał, szybko się rozwinął, stanął i przywitał mnie strasznym rotowym ogniem. Nie śmiałem z miejsca ruszyć się wstecz, by tem nie zachwiać odwagi dzielnej mej kompanii, i stałem jak słup wyprostowany, z podniesionym w górę pałaszem, wśród gradu świszczących kul. Spostrzegł i nasz Pułkownik manewr Rumunów, przypadł galopem, porwał z sobą moją kompanję, i gdy już równał się ze mną, padłem prawie pod kopyta jego konia, ugodzony w piersi jakby rozpalonym żelaznym drągiem. Nie wiem, jak długo tak leżałem; aż czując gorący uścisk szlachetnego Fuada paszy i ostatnie jego do mnie słowa; podniosłem głowę w górę i ujrzałem na dalekich wzgórzach w popłochu uciekających Rumunów a naszych po zwycięztwie raźno uwijających się na pobojowisku. Odetchnąłem radośnie, z wysiłkiem podniosłem się i usiadłem; niebawem przyszło kilku wiarusów przysłanych przez Miłkowskiego i Achmetowicz wśród nich na koniu. Ten ze łzami politowania rzekł: siadaj na mego konia, biedny mój Karolu! — Nie siądę i ty z niego zsiądź, żebyś sobie pod padającym nóg nie połamał; koń twój na wylot przestrzelony. Achmetowicz zeskoczył z siodła a koń buchnął krwi strugami i runął na ziemię. Mnie na ramionach zaniesiono pod wierzby, gdzie natychmiast opatrzono ciężką moją ranę.

W cieniu, na wygodnem złożony posłaniu, widziałem jak przyprowadzano, znoszono rannych Rumunów, a było między nimi i czterech oficerów; widziałem jak rzucano na kupę zebraną broń na pobojowisku. Co chwila słyszałem w gwarze wiarusów: dzielny nasz pułkownik! dzielny nasz Major Jagmin! Słyszałem opowiadających sobie z podziwem co to za chwat ten Zima; jak pod nim konia ubito, jak go w czoło liznęła kula a on z zimną krwią dawał rozkazy. — Wielka sztuka, a od czegoż jest on, zima? odezwał się jakiś wiarus, zgłuszony wybuchem śmiechu. Humor ten wiarusa i moje usta zmusił do uśmiechu.

Wyciągnięty na łożu boleści cieszyłem się, że i ja należę do garstki ludzi zmęczonych ciężkimi pochodami, którzy nie mogąc mieć nawet cienia nadziei, oprzeć się siedmkroć liczniejszemu i dobrze uzbrojonemu nieprzyjacielowi, poszli na

śmierć niechybną z taką odwagą i męstwem. I, zaprawdę! mało jest narodów, których historya mogłaby dać świetniejszy dowód tego, co może zdziałać prawdziwa, gorąca miłość Ojczyzny. Nie! jeszcze Polska nie zginęła! i nie zginie!

Smutnym, zgnębionym musiał być Kalinesko, który miał przeszło 140 rannych i zabitych, a daleko jeszcze więcej żołnierza zbiegłego w gęstwy kukurudzy, z której nie spieszno mu będzie się wynurzyć.

Ku wieczorowi nastąpiło widzenie się Miłkowskiego z Kalineską, a następstwem tego spotkania się, zawieszenie broni na trzy doby, dostarczenie nam żywności, zwrócenie Rumunom przeszło 150 zebranych na polu bitwy karabinów. Kalinesko święcie przyrzekł wziąć naszych rannych pod swą opiekę i odesłać z swoimi do szpitala w Galacu.

Co się później działo z naszym oddziałem do chwili złożenia broni w Renzeszti, nie opowiadam, bo piszę tylko o tem, co sam robiłem lub widziałem.

Ranni, przewiezieni do Galacu byliśmy pielęgnowani iście z macierzyńską pieczołowitością. Odwiedziła nas małżonka księcia Kuzy i dzięki jej staraniom, stół nasz, stosownie do przepisów lekarskich, dla każdego z naszych rannych był obfity a nawet i wykwintny. Zmarłych naszych chowano z honorami wojskowymi, z pożegnalną salwą karabinów.

Pragnąc przekazać pamięci przyszłości, nazwiska dzielnych, opowieść moją zamykam listą mej kompanii III-ej, w stanie jej sprawdzonym przy ostatnim apelu przed bojem. Z wdzięcznością i poszanowaniem piszę: Porucznik Golczewski Aleksander; ten bez zaprzeczenia lepiej był taktycznie wyrobionym odemnie; nigdy tego nie dał mi uczuć i z zaparciem się samego siebie, był prawą moją ręką. Kompania III. liczebnie najsłabsza, na sześciu zabitych, miała ich aż czterech. Kładąc krzyżyki przy ich nazwiskach, słyszę głos sumienia wołający: mów, mów wszystko! — i powiem.

Na parę tygodni przed wyjściem z. Tulczy, przyszło kilku wiarusów, którzy mi krótko oświadczyli: Kapitanie! nie chcemy w naszej kompanii Piwarskiego, Sztancelera, Jackowskiego i Swaryczewskiego. — Czy opoje jak Jackowski? — „Gorzej!“ — Czy złodzieje? — „Gorzej!“ — Morderce, rozbójniki? — „Gorzej!“ — Cóż więc? mówcie... — „Jednej czystej nitki nie zostawiają na Przenajświętszej Pannie! nie chcemy ich! nie chcemy kapitanie!“ — Słuchajcie bracia! jak wy, jestem oburzony

ale pytam was, czy Polska, Ojczyzna nasza potrzebuje żołnierzy i czy bić się będziemy? — „Potrzebuje i bić się będziemy“. — A więc słuchajcie, zawołałem: nie wolno nam Polsce odbierać żołnierzy! nie wolno nam wyprzedzać sądu Boga! Niech On, Pan Wszechmogący na polu bitwy wypowie swój wyrok“. I tylko tych czterech bluźnierców miałem zabitych, a padli wszyscy czterej, jednakowo w głowę kulą ugodzeni. Czy to prosty tylko przypadek? pytam was łaskawi czytelnicy?

Kompania III.

Kapitan: Brzozowski Karol (ciężko ranny); Porucznik: Golczewski Aleksander; Porucznik nadliczbowy: De Rivoire (z oddziału Rochebruna); Podporucznik: Lochman Ewaryst; Sierżant: Krzeczkowski Marcin (lekko ranny); Furyer: Młodzianowski.

1. Pluton.

Śliwiński Jul., podoficer (prawe skrzydło). Furtek Franciszek. Choiseul Teobald. Kaczanowski Aleksander. Jasiński Jan.[1] Wasicki Juliusz. Rossowski Mateusz. Bielański Wilhelm. Suchock Wincenty (lekko ranny). Kompański Eugeniusz (lekko ranny) Rozwadowski Franciszek. Manowski Józef. Grecki Wojciech. Rzędzicki Ludwik. Skietniewski Adam. Krupiewski Franciszek. Jaroszek Łukasz. Żukowski Stanisław. Szmit Marcin. Jackowski Jan. (†) Kłom Szczepan. Sochaczewski Bazyli. Ikniewicz Aleksander. Swaryczewski Mikołaj. (†)

2. Pluton.

Iwanicki Henryk. Jaworowski Wincenty. Stanceler Leon. (†) Piwowarski Paweł. (†) Siwiński Karol. Staszewski Bronisław. Dobrowolski Wincenty. Ustemecki Wojciech. Szydłowski Wiktor (ranny, amput. ręka). Giedrojć Romuald. Kaźmirowski Józef. Wojciechowski Roman. Ostrowski Adolf. Czyżewski Franciszek. Matkowski Antoni. Dobrzański Benedykt. Hermanowski Karol. Motyliński Antoni. Jaworski Antoni. Linkiewicz Wojciech. Łaguna Mikołaj. Baranowski Jakób. Wielopolski Edward, podof. (lewe skrzydło).

Lwów 18. Marca 1903.



M. CHEŁMOŃSKI.

Po Miechowie.

Siedmnastego lutego, 1863 roku po krwawej bitwie Miechowskiej.

W odległości nie większej nad trzy kilometry od Miechowa, przy trakcie od Wolbromia-karczma.

Przed karczmą garstka jezdnych pozsiadała z koni i karmi je sianem. To resztki niedobitków z 2-go plutonu jazdy. Smutni, przygnębieni, u niejednego łza w oku świeci, patrzą na miasto w którem przed chwilą toczyła się walka krwawa, w którem tylu kolegów grób znalazło!

Naraz buchnął w górę słup czarnego dymu — za chwilę drugi, tam trzeci, — Miechów się pali! Moskwa swoim zwyczajem, nie tylko morduje, ale pali i grabi.

Miasto w kilku punktach podpalone, dym gęsty i czarny kłębami wzbija się w górę. Słychać szum ognia, trzask palącego się drzewa, jakieś dziwne, dzikie, przerażające głosy, które lekki wiatr donosi do uszu naszych.

To jęki i płacz mordowanych, to wycie pijanej krwią i wódką tłuszczy żołdactwa, któremu starszyzna rozkazała „pohulać". Więc hula, dopóki czuje świeżej krwi zapach, dopóki nie zastygną trupy dzielnych Ojczyzny obrońców! A garstka bladych, zrozpaczonych niedobitków, ze łzą w oku, z sercem bobolającem, zapatrzyła się w ten obraz pełen grozy i smutku, zasłuchała w te jęki ponure i głuche. Rwie się dusza i serce tam, gdzie na ulicach walają się jeszcze trupy poległych kolegów, gdzie jęczą ranni wleczeni do dołu przed kościołkiem św. Barbary; tam znajdą wspólny grób!

Naraz: „n a k o ń, d o b r o n i" krzyknięto przed karczmą. Podbiegają podoficerowie, Fryzowicz, Potocki i Chełmoński. W ganku stoi podporucznik A. Fibich, i podoficer Zakrzewski. N a k o ń, n a k o ń, wołają obaj. Bracia, koledzy mówi Zakrzewski, Moskwa pijana pali i rabuje, wpadniemy do miasta i pomścimy naszych braci! „N a k o ń k o m u m i ł y B ó g i O j c z y z n a!

Rozbiegli się podoficerowie do swoich sekcyj; popręgi ściągnięto, mundsztuki założono i dwudziestu kilku ludzi, dwudziestu kilku niedobitków siadło na koń, gotowych pomścić braci lub prawdopodobniej... zginąć jak oni.

Przed karczną tymczasem Fibich, Zakrzewski i jeszcze dwaj inni — radzą. My na koniach przy swoich sekcyach czekamy, słuchamy.

— Z czemże pójdziemy, — czy jest chociaż kilka pistoletów, choć kilkadziesiąt ładunkow, — toć i lance porzucili, bo nie umieją niemi władać — zawadzały tylko.

— Mamy ręce, mamy zęby, aby szarpać i gryźć, odzywa się Zakrzewski.

— A iluż nas? — pytano — garstka, może dwudziestu pięciu lub trzydziestu. Czyż nie znajdzie się jeszcze tyluż Moskali w Miechowie na tyle trzeźwych, by nas przed wejściem do do miasta wystrzelać?

— Mieszkańcy nam pomogą; przy ich pomocy wyrżniem do nogi pijanych.

— A czemże, bracie rżnąć będziemy?

— To zgińmy jak inni, woła dzielny Zakrzewski.

— Zgińmy, ale drogo życie nasze sprzedamy, — zgoda. Tymczasem ani czem walczyć, ani czem bronić się nie mamy.

Rozmowa ta, którą całą wysłuchaliśmy stojąc, gotowi do marszu, — ostudziła nieco pierwszy zapał. Spojrzeliśmy po sobie znacząco. — Ani pistoletów, ani ładunków. Jedyna broń pałasz, którego powiedziawszy prawdę, nie bardzo użyć umieliśmy.

— Pójść do Miechowa dla tego by się dać zabić, to nie zasługa.

— Jeżeliśmy wyszli cało, to dla tego, by póki sił i życia służyć Ojczyźnie — doszło znów do naszych uszu.

— Złączymy się z jakim oddziałem, i zaopatrzeni w broń i ładunki, znajdziemy nie raz sposobność pomścić klęskę dzisiejszą. Obrońców Ojczyzny nie tak wielu jeszcze dzisiaj. Życia nam lekceważyć nie wolno.

Były to ostatnie słowa narady, jakie nas dochodziły, poczem zakomenderowano marsz i ruszyliśmy drogą ku Ojcowu, jadąc stępo i w największym porządku,

Czy ta garstka niedobitków zasługiwała na nazwisko „uciekinierów“ z pod Miechowa? — Nie!

Do Ojcowa przybyliśmy już prawie o zmierzchu. Tu już zastaliśmy pierwszy pluton jazdy — i rannych przywiezionych z pod Miechowa.

Gdybyśmy w chwili odpoczynku przed karczmą mieli ze dwadzieścia strzelb jakich takich, i ze trzydzieści kos, śmierć kolegów byłaby strasznie pomszczoną.

Moskwa była tak pijaną, tak przejęta rabunkiem i grabieżą, że oficerom wydającym sprzeczne rozkazy, przykładała bagnety do piersi, podczas gdy reszta bez broni, tarzała się pijana po rynku, z pianą na ustach, bełkocąc przekleństwa na buntowników.

Niestety ani jednego karabina, ani jednego ładunku, ani jednej błyszczącej kosy — jaka była rzeczywiście postrachem Moskali.

Umieściwszy konie nasze w stajni stojącej tuż przy rzeczce, nie rozkulbaczając jednakże, czekaliśmy jakiegoś rozkazu, niespokojni tem więcej, że nie widzieliśmy ani naszego dowódzcy plutonu, Gaszyńskiego Józefa, ani podporucznika Fibicha, który z nami przybył z pod Miechowa. — Zdani byliśmy na łaskę Opatrzności, — sami sobie pozostawieni. W takiem położeniu pytaliśmy jeden drugiego, co będzie dalej, czy zostaniemy w Ojcowie nadal, czy nas poprowadzą do innego oddziału.

Upatrywaliśmy naszych oficerów — bezskutecznie. Podobno zebrali się na radę w domu „pod Łokietkiem“.

W takiem oczekiwaniu, w tej niepewności zeszła może godzina, może i więcej, gdy naraz podniosła się jakaś wrzawa, bieganina, nawoływania, słowem gorączkowy ruch jakiś, którego nie mogliśmy zrozumieć.

Wtem od strony domu „pod Łokietkiem“ słyszymy komendę: „n a k o ń, n a k o ń“. Wpadamy do stajni, poprawiamy siodła i mundsztuki, i w oka mgnieniu wyprowadzamy konie na drogę.

Dosiadłszy koni, czekamy co będzie dalej. W szeregach słychać głosy: Moskale za nami; Bagration z piechotą i dwoma działami już w Owczarach.

Łączy się z nami pierwszy pluton; stoimy czwórkami, podczas gdy słychać wrzawę wzrastającą i turkot wozów, którymi wywożą rannych.

Nareszcie powraca spokój; ciemno już dokoła, rusza i nasz pluton powiększony do czterdziestu kilku ludzi z pierwszego plutonu, którym dowodził porucznik Rose. Maszerujemy czwórkami, drogą ku Piaskowej skale, i na łączce u podnóża „pałki Herkulesa“ stajemy. Tu rozstrzygnąć się miały losy naszego oddziału jazdy.

Na przodzie stał pluton pierwszy — nasz za nim. Stałem na lewem skrzydle w ostatniej czwórce naszego drugiego plutonu. Na przodzie radzono; a widocznie nie było zgody, gdyż narady zbyt długo trwały. Robiło się coraz ciemniej, powietrze było łagodne, niby wiosenne, w powietrzu cisza jakaś złowroga przerażała nas, jak przerażała niepewność rezultatu narady.

Nareszcie zdecydowano. „Mamy przejść granicę“ powiada jeden drugiemu. „Idziemy do Galicyi, — do Krakowa, czy gdzieindziej — dosyć, że za granicę Austryacką“.

Nie potrafię dziś opisać, co się działo ze mną w chwili, gdy mi tę wiadomość dano. Zabolało ciężko serce, trząsłem się cały jak w febrze. Co się stanie po przejściu granicy? Wspomniałem rodziców, i braci, i naszą ukochaną wioskę, z tym poczciwym, zacnym, polskim ludem — i młodszego brata, który walczył w szeregach, w okolicach Łodzi. Czy jeszcze Was ujrzę kiedy? Ból straszny jakiś czułem w piersiach, który zdało mi się, że je rozsadzi, serce się ścisnęło, z oczu puściły się łzy.

Płakałem jak dziecko; nie miałem siły stłumić tego płaczu, ani powstrzymać głośnego łkania.

Spostrzegł mię w takim stanie, nadjeżdżający od pierwszego plutonu Czerny Kazimierz — i zapytał o przyczynę.

— Więc po to tu przyszedłem, aby zamiast się bić, uciekać za granicę — odpowiedziałem z płaczem jeszcze. — Wam co innego w głowie, macie tam rodzinę, swoich, stosunki i znajomości. Ja tam obcy; mam rękę wyciągać i szukać pomocy. Nie, idźcie tam, ja się wrócę, może się dostanę gdzie do oddziału — wreszcie wrócę w moje strony.

— Czy znasz okolicę? zapytał Czerny.

— Nie znam — ale to mi wszystko jedno, pójdę gdzie oczy poniosą — odparłem już spokojnej.

— Zaufaj mi — mówi Czerny, podając mi rękę. — Wpadniesz łatwo Moskalom w ręce, nie znając drogi — i po nocy zwłaszcza. W Ojcowie nie możesz zostać, bo Bagration z wojskiem i armatami nadciąga. Jedź z nami, ja Cię nie opuszczę. W Krakowie dostaniemy broni, zbierzemy jeszcze ochotników i wrócimy do Królestwa.

Cóż było począć samemu i w takich warunkach. Serdeczne słowa Czernego, i serdeczny uścisk dłoni rozbroiły mię. Uspokoiłem się zupełnie wyrzekłszy w duchu: „Boże dziej się wola Twoja!“

Wkrótce potem wyruszyliśmy. Smutny to był pochód. Jechaliśmy milcząc, przygnębieni, przybici.

Noc była cicha, a ciemna; czasami padał śnieg wielkiemi płatami, powietrze było łagodne.

Ciszy tej nie przerywały rozmowy, milczeliśmy jak głazy, tylko czasami koń parsknął, lub pałasz o strzemię uderzył.

Przebyliśmy granicę. Dobrze po północy przybyliśmy do Czerny. Mieszkańcy przyjęli nas nie zbyt gościnnie. Odmawiali chleba, nawet za dobrą zapłatą, ledwie użyczyli garści słomy, aby wypocząć można.

A kiedy znużeni zasnęliśmy twardo, gospodarze nasi, na naszych własnych koniach popędzili nadedniem do Krzeszowic, dając znać o naszem przybyciu.

Za nimi z powrotem zjawił się oddział węgierskich huzarów, i kompania piechoty, którzy nas traktując jak opryszków, łapali, obdzierali nawet z koców, któreśmy wyjęli z pod siodeł, gdy nam chłopi konie zabrali — Czerwoną tasiemkę, znak podoficerski, z rękawa mi zdarli nawet.

Dostawiono nas do Krzeszowic, następnie wieczornym pociągiem przywieziono do Krakowa i umieszczono w forcie przy rogatce warszawskiej gdzie przebyliśmy do godziny 4 rano.

O czwartej zajechały wojskowe cztero-konne, wozy do których nas wsadzono, otoczono eskortą i przy odgłosie dzwonów zegarowych, wprowadzono na Wawel.

Matko moja jedyna, co od niemowlęcych lat moich mówiłaś mi ciągle tyle pięknych rzeczy o Krakowie, coś mi śpiewała u kołyski: „W siedmdziesięciu kościołach Polak czoło zginał“, co w młode serce i umysł wpajałaś uczucie miłości wszystkiego co nasze, co nauczyłaś mię kochać ten gród z marmurową historyą narodu, — oto jestem w tym grodzie, jestem tu, gdzie spoczywają prochy Królów i bohaterów, w tych komnatach królewskich, gdzie przez tyle wieków ważyły się sprawy Ojczyzny!

To było przed laty czterdziestu!

Prądnik czerwony pod Krakowem, w styczniu 1903.



HENRYK CZAPLICKI.

Na drogach tułaczki.

Z końcem 1861 r. więzienie żytomierskie napełniło się młodzieżą gimnazyalną i uniwersytecką, nie brakło również urzędników, ex-wojskowych, właścicieli ziemskich i mieszczan.

W murach więziennych, w oczekiwaniu wyroków, pozbawiono nas wszelkiego zajęcia.

Największą rozrywką było — gdy pod bagnetami prowadzono nas do komisyi śledczej, bo spotykało się krewnych i znajomych, — a przekupiwszy bagnety, można było na kilka chwil i do domu zawitać.

Rzadko się jednak to zdarzało.

Dla zabicia bezczynnego czasu wpadła myśl szczęśliwa wydawać z za krat więziennych pisemko pod tytułem „Strażnica“.

Brać więzienna zasilała to pisemko artykułami treści społecznej i literackiej; podawane były także wiadomości bieżące na czasie, o których mieliśmy wieści z miasta, lub sprawy zaszłe w więzieniu i przy komisyi śledczej. — Tak złożony numer był odpisywany w kilku egzemplarzach — i rozchodził się ukradkiem po mieście.

Zachował mi się w pamięci wiersz, napisany przez kolegę Telesfora Święcickiego, studenta uniwersytetu kijowskiego, charakteryzujący ówczesny nastrój, tak kółka więziennego, jako też i ogółu młodzieży, — a o ile mi wiadomo — nastrój ten i do dnia dzisiejszego pozostał w żyjących towarzyszach.

W jednym z numerów marcowych 1862 r. pojawił się wiersz następujący:

Precz chłodne zwątpienie! precz z duszy na wieki,
Żyć warto — jest szczęście tu na tym padole;
Znużone na nowo odkryjmy powieki,
Ideał nam błysnął — w nim koniec niedoli.

Z ruiny wiekowej — z rodzinnych popiołów
Wyrasta olbrzymia idea przyszłości,
I ludzkość na odgłos wybawców-aniołów
Znów zmartwychpowstaje w niebiańskiej czystości.

O! rośnij — olbrzymiej szlachetny zapale
Oczyszczon krwią, łzami i znojem na nowo,

Ach! szybciej przeważaj zwątpienia nam szalę,
Dosięgnij niebiosów i sercem i głową.

My życie oddamy na ołtarz ofiarę
Lecz niech się oczyści świat w słońca promieniu,
Z uśmiechem dopijem goryczy swej czarę,
Lecz, Panie, błogosław naszemu natchnieniu!

Podając ten wiersz — nie mogę pominąć krótkiego streszczenia losów mego więziennego współtowarzysza.

Studenci uniwersytetu kijowskiego pod kierownictwem Antoniego Jurjewicza, późniejszego dowódcy partyi Sołowijowieckiej, zorganizowali wówczas pocztę, w celu ułatwienia ucieczek skazanym. — Kilka takich ucieczek z drogi na wygnanie, jak Krawczenki, Wachowskiego i Kryłowskiego, znakomicie się powiodły, — a każda tak była obmyślaną, że rząd moskiewski nie mógł przewidzieć, użytych środków, dla ich udaremnienia.

Ostatnia szczególnie wydobyła z samego więzienia aż siedmiu skazanych, między którymi znajdywał się Święcicki [1]).

Dnia 15. czerwca st. st. 1862 odczytano nam siedmiu wyrok, skazujący na 15 łat do karnych Orenburskich batalionów, z pozbawieniem wszystkich praw. — Wyrok przesłany został do jenerał-gubernatora kijowskiego do potwierdzenia.

Zanim nadeszło potwierdzenie, w dniu 27. czerwca st. st. ku wieczorowi pożegnaliśmy mury więzienne, skierowując się trzema wehikułami w rozmaite strony. Gubernator żytomierski, Kniaź Druckoj-Sokolnickoj, wraz z całym zastępem wojennej i policyjnej władzy — po fakcie dokonanym — potracili głowy i byli bezradni; — a my tymczasem w ciepłą i pogodną noc czerwcową zdążaliśmy tam, gdzie najmniej spodziewano się nas przyłapać — do Kijowa, siedziby konfirmatora naszych wyroków — lecz zarazem i naszych opiekunów.

Gdy przeszły pierwsze wrażenia po ucieczce i nieco się uspokoiło, po jednemu lub dwóch, z odpowiednią opieką wysyłano nas za granicę, przez Galicyę do Mołdawii.

Święcicki w drodze przez Ukrainę, zachorował obłożnie na tyfus, przez co zmuszony był przez 6 tygodni przechowywać się u ludzi życzliwych i oddanych sprawie.

---

[1]) Pobieżne opisanie tej ucieczki było drukowane w odcinkach Gazety Narodowej w roku 1883 NN. 214—215 i 216.

Po powrocie do zdrowia, wraz z Augustynem Kwaśnickim, przez Odesę przybył do Jass i połączył się z naszą gromadą — bośmy tam obrali tymczasową siedzibę.

Tu nawiasem nadmieniam, że w czasie naszego pobytu w Jassach, przyjeżdżał tam we wrześniu jenerał z r. 1831, Breański, znany ajent ks. Czartoryskiego; ale co miał za cel — i do czego nas namawiał, tego objaśnić nie mogę — bom siedział na szarym końcu. — Misya widocznie nie udała się — bo wyjechał bez rezultatu.

Święcicki w Jassach przed wyjściem do powstania, zniszczył spory plik swoich utworów literackich.

Po wybuchu powstania, partyami zdążaliśmy do Galicyi celem wzięcia udziału w walce z wrogiem. W jednej z pierwszych partyi był Święcicki, a przybywszy do Galicyi zastał organizujący się oddział Jeziorańskiego, do którego wstąpił jako szeregowiec. W bitwie pod Kobylanką 3-go czy 6-go Maja został śmiertelnie ranny, a przewieziony do Cieszanowa zmarł i pogrzebion na tamtejszym cmentarzu.

Cześć pamięci zacnego patryoty, który w przytoczonym wierszu przekazał niejako testament swój, dla przyszłych pokoleń.

Pobyt mój, z kilkoma szkolnymi kolegami, w Galicyi przez czas powstania w organizujących się oddziałach Artura hr. Gołuchowskiego i jenerała Edmunda Różyckiego, nie przedstawia żadnych świetnych epizodów. „Rok 1863 na Rusi“ Fr. Rawity-Gawrońskiego Tom I. bardzo dokładnie opisuje działalność ówczesnego komitetu i organizacye rozmaitych oddziałów; ja, jako szeregowiec, nie mogłem być wówczas wtajemniczony, w działalność mej władzy, a jedynem naszem życzeniem było, aby jak najprędzej być powołanymi do wymarszu na pole bitwy. Tymczasem, w przyjeździe z Mołdawii, utknęliśmy z końcem kwietnia w Łosiaczu, — i dłuższy czas tam przebywaliśmy, lejąc kule i robiąc ładunki; następnie przewożono nas z dworu do dworu.

Przez długie, — długie miesiące nie przychodziło niestety, do wymarszu. Łudzono nas ciągle nadzieją, wystąpienia do boju, rozkaz niby już był dany, potem znowu cofnięty, i tak naprzemian. Najwybitniejszą częścią mojej służby było odkomenderowanie w końcu lipca do zawiezienia ważnych depesz z Raszto-

wiec do Kutyszcz, pod Panasówką, na ręce Kunaszowskiego. — Towarzyszył mi szlachcic z Podola rosyjskiego Jastrzębski. — Aby się puścić w podróż, trzeba było być zaopatrzonym w świadectwo z pieczątką: „Rząd Narodowy — ekspedycya pocztowa“, inaczej narodowych koni nie można było dostać, a było wielkie niebezpieczeństwo, być przyłapanym przez żandarmeryę austryacką — co jednego z moich kolegów, Antoniego Pawłowskiego, spotkało.

W ostatnich czasach tej smutnej organizacyi, już ku późnej jesieni, byłem wcielony do oddziału Adama Wyleżyńskiego, konnych kozaków, w którym najwięcej miałem kolegów i bliskich przyjaciół.

Tu również skończyło się na wyczekiwaniu.

Nastąpił stan oblężenia w Galicyi; tak jak inne oddziały, ciągle się formujące, tak też i nasz był zagrożony więzieniem austryackiem — a obcokrajowcom groziło wydanie władzom moskiewskim; właśnie czterech nas jako obcokrajowcy: Edmund Dąbrowski, Bronisław Hadajkowski, Stankiewicz i ja stacyonowani w Baryszu, znalazło się w tem miłem położeniu.

Dnia 4. marca 1864 ze świtem wyprawił nas Michał Nadachowski do Koropca, skąd połączywszy się z innymi kolegami, po przeprawieniu się przez Dniestr, na ostatkach zamarzłej rzeki, zdążaliśmy dość spiesznie ku granicy mołdawskiej, bo już nocleg zaskoczył nas w Czerniowcach.

Dnia następnego nocą byliśmy po za obrębem stanu oblężenia, przekroczywszy granicę Bukowiny.

Pierwszy etap na Mołdawii był u jakiegoś Bojara, który przyjął nas bardzo gościnnie; ale niema karesu bez interesu, bo poczciwiec ten kaptował nas, abyśmy ofiarowali swoje usługi, na odebranie od Austryi, Bukowiny, dla przyłączenia jej do księstwa Mołdawo-Wołoszy. — Wytłumaczyliśmy mu, że jako szeregowcy nie możemy wchodzić w jakiekolwiek układy i zobowiązania, — może jednak w tym kierunku porozumieć się z naszymi przełożonymi, którzy niezawodnie będą tędy przejeżdżać. Czy ten poczciwiec robił jakie starania, do zrealizowania swych projektów — nie wiem.

W parę dni ściągnęliśmy się do Botuszan, gdzie już była spora garstka wiary z nadzieją, że mamy tu pozostać czasowo, aby wkrótce, po należytem zorganizowaniu oddziału, wyruszyć do Polski

Tą nieszczęsną organizacyą ciągle nas łudzono, bo nadzieja powrotu na pole walki nie opuszczała nas, chociaż z wyższego rozkazu w parę tygodni przewieziono nas w głąb Mołdawii, do Romania.

O parę kilometrów od Romania jest wioska Trefeszti, własność księcia Ghiki; tam w starej dworskiej ruderze umieszczono wiarę zgromadzoną, przeszło 150, z rozmaitych oddziałów — przeważnie Różyckiego i Chranickiego. Sztab mieszkał w Romaniu.

Rząd mołdawski nie robił nam wstrętów, pomimo Kostangalii, i dawał prawdopodobnie na nasze utrzymanie; zajmował się naszem zaprowiantowaniem komisarz Rządu Narodowego, Michał Mrozowicki.

Życie były próżniacze, bo nie zanosiło się na poważną organizacyę, a z każdym dniem nadzieje słabły; w końcu wkradły się rozmaite nieporozumienia, między sztabowcami, co wywołało podział na stronnictwa i między szeregowcami — na co rzucam zasłonę.

Z czynności służbowych reformującego się oddziału w Trefesztach — jedna pozostała mi w pamięci, mianowicie straż nad dwoma więźniami.

Raz kolega, Józef Królicki, w roli żandarma sztabowego, przywiózł z Romania do naszego obozu, dwóch facetów posądzonych o jakieś szpiegowstwa, nazwiska delikwentów wyleciały mi z pamięci. Byli to jacyś rodacy, emigranci, którzy dłuższy czas przebywali w Anglii, więc między sobą rozmawiali po angielsku; tak się przejęli zwyczajami Anglików, że zalawszy pałkę, stawali w obec siebie do walki, na sposób wytrawnych bokserów; czubili się do upadłego, jak dwa koguty — aż do krwi i sińców; wówczas następowała zgoda i podawali sobie dłonie. Kolejką odbywaliśmy wartę przy nich. Koniec końców, podejrzenia rozwiały się — a więźniowie zostali uwolnieni. Nie wiem co się z niemi stało.

Po paru tygodniach takiej bezczynności, rozwiązano formujący się oddział, pozostawiając każdemu wolność udania się, gdzie mu się żywnie podoba. Garstka bliższych znajomych i kolegów z ław szkolnych, w liczbie około 40-tu, udała się do Galaczu, gdzie z końcem kwietnia znalazła się literalnie na bruku, bez żadnych zasobów.

Potrzeba było myśleć o zarobku jakimkolwiek, a w mieście portowem łatwo było go znaleźć. Więc jedni stanęli, jako najem-

nicy, do wiosennego obrabiania ogrodów, drudzy do rąbania drzewa, — inni do noszenia i ładowania ciężarów w porcie, — słowem gdzie się trafiło. Po pierwszej próbie takiego zarobkowania, zgromadziwszy się w garkuchni grubej Francowej, małżonki rodaka tu zamieszkałego, lub w herbaciarni Popowa, opowiadano wzajemnie o wrażeniach dnia i o uzyskanym zarobku. Gorżki był to zarobek — a nadto doraźny i nie zawsze można było zdobyć robotę, na wyczekującem stanowisku.

W tej ostateczności wpadliśmy na myśl, zadziwienia mołdawskiej publiczności naszymi śpiewackimi talentami; urządziliśmy na prędce chór, pod przewodnictwem kolegi Kompańskiego, który się znał na muzyce i wcale dobrze grał na fortepianie.

Konsulowie francuski i angielski zajęli się szczerze rozsprzedaniem biletów; rżnęliśmy z zapałem chóralne powstańcze pieśni, przeplatane grą na fortepianie, duetami kolegów Kleczewskiego i Wasickiego i tańcem kozaka przez jakieś małżeństwo z podupadłej trupy baletu; ten szczęśliwy pomysł gorąco oklaskiwany przez Mołdawian, uratował nas od głodowej śmierci, przynosząc nam około 4 dukatów na brata.

Ale taka sztuka raz się tylko udaje.

Trafem doszła nas wieść, że buduje się droga wzdłuż Dunaju z Galaczu do Reni, przez jakieś towarzystwo angielskie pod kierunkiem inżyniera Mac-Kanini.

Mając w naszem gronie kolegę, Alfreda Szyca, ex-marymontczyka, władającego biegle językami francuskim i niemieckim, wysłaliśmy go jako naszego delegata, do owego inżyniera, aby ofiarował usługi trzydziestu kilku robotników. Przyjął nas na próbę, wyznaczając robotę tygodniową, na wymiar.

Właśnie po sławnym koncercie nazajutrz stanęliśmy do roboty.

Po tygodniowej robocie i obliczeniu, kierujący inżynier przekonał się, że robota poszła nieźle, jak na nowicyuszów w tym fachu; zaproponował więc robotę nadal, za dziennem wynagrodzeniem — co wynosiło około 2 koron, na dzisiejszą monetę.

Była to z jego strony pewna kurtuazya, w obec inteligentnej a wykolejonej młodzieży, szukającej zarobku, za każdą cenę. Postąpił w tym razie względem nas, jak prawdziwy gentleman — bo dał nam pewną autonomję, nie wyznaczając żadnego dozorcy, nad dziennym robotnikiem a pozostawiając wzajemną kontrolę

— na czem się nie zawiódł, bo jeden drugiego sumiennie pilnował — a każdy brał na ambit.

Dla zagospodarowania się, dał nam bidkę i konia, dla przewozu wiktuałów z miasta, a dwóch kolegów, kolejką wybieranych, płatnych również przez towarzystwo budowy, byli przeznaczeni: jeden w dziale kulinarnym i pomywania naczynia — a drugi w dziale ekonomicznym, którego zadaniem było jeździć po żywność do miasta, porządkować w baraku, dla nas zbudowanym i pomagać kuchmistrzowi w rąbaniu drzewa, noszeniu wody i w innych czynnościach.

Tym sposobem mieliśmy byt zapewniony, przynajmniej do późnej jesieni.

Żywo mi stoją dotychczas w pamięci te czasy, w których odbywałem pierwsze praktyki przyszłego mego zawodu inżynierskiego. Szkoła ta nauczyła mnie, a może i innych, oceniać i szanować ciężką fizyczną pracę robotnika, zarabiającego prawdziwie w pocie czoła, na kawałek chleba. — To ciągłe kopanie ziemi, pchanie taczkami — a dla rozmaitości tłuczenie kamienia na skwarze słonecznym, lub na deszczu w dnie słotne, nieraz dały się nam dobrze we znaki; pomimo to robota szła raźnie. Wiara była dobrej myśli, wesoła i ciągle dowcipkująca w nadziei, że stan ten w końcu musi się zmienić; mało było malkontentów.

Po pracy fizycznej, należało się także nieco ku potrzebie duchowej; to też po robocie — przy spożywaniu wieczornego posiłku, przy ognisku, (dla odpędzenia dręczącej plagi w postaci plejad komarów) były pogawędki i dysputy na temat ostatnich wypadków w Polsce, literatury ojczystej, kwestyj społecznych i filozoficznych. W dysputach tych brali żywy udział: Augustyn Kwaśnicki, mój starszy brat Celestyn, Antoni Pawłowski, Władysław Sydorowicz, Stankiewicz i inni; biesiada ta kończyła się zwykle chóralnemi śpiewami, w których trzymali prym Edward Żuliński, Bronisław Hałajkowski, Edmund Dąbrowski, Kleczewski i Wasicki, bracia Wicek i Zygmunt Longchamps — a sekundowali wszyscy, nie wyłączając naszego atamana, Adama Wyleżyńskiego.

Przy robocie każdy miał swego socyusza.

Moim socyuszem był Józef Sabatowski, zwany chłopem. Dziwne są losy tego socyusza. — Oto streszczenie:

Przed powstaniem emigrował i zaciągnął się do Sadykowskich kozaków, skąd w czasie powstania umknął; po powstaniu

był właśnie taczkowcem, później powrócił do Galicyi, gdzie praktykował gorzelnictwo; w czasie wojny Prus z Austryą, zaciągnął się do „frajkurów", a po wojnie dalej fabrykował gorzałkę. Ta żyłka wojenna ciągle się w nim odzywała, bo w czasie wojny Francuzko-Pruskiej poszedł na wojenkę, a wstąpiwszy do wolnych strzelców jenerała Lipowskiego, pod Chateaudun, za waleczność zdobył order wojskowy.

Po wojnie zamienił miecz na szydło szewskie, a kunszt ten ulepszał w Ameryce; po powrocie do Europy w r. 1872 wstąpił do szkoły medycznej w Paryżu, gdzie uzyskawszy stopień Doktora wszech nauk lekarskich, tam praktykował. W roku 1882 wyjechał do Australii i tam, w parę lat z nieznanych mi przyczyn, wystrzałem z rewolweru burzliwe życie zakończył.

Niedziele były odpoczynkiem, po tygodniowych trudach; zwykle odświąteczniwszy się — z zarobkiem tygodniowym była gremialna wycieczka do miasta; przedtem jednak każdy z swego zarobku, obowiązany był złożyć naprzód z góry, na ręce dostawcy żywności, kwotę na owo tygodniowe utrzymanie, gdyż powrót z miasta wypróżniał do cna nasze kieszenie.

Z początkiem września otrzymałem list ze Stambułu od brata, który przed kilkoma tygodniami tam wyjechał, abym, zebrawszy trochę grosza, niezwłocznie przybywał.

Zaoszczędziwszy kilka dukatów z mej pracy, z końcem września, pożegnany przez zacnych kolegów, wsiadłem na statek parowy Towarzystwa Lloyda — na falach Dunaju i bałwanach Czarnego Morza odpłynąłem do Stambułu.

W parę dni ze wschodem słońca, statek wpłynął na wody Bosforu, defilując przed przedmieściami Stambułu, aż pod brzegi Galaty.

Opis tego siódmego cudu świata, godny pióra mecenasów literackich, pozostawiam — bo to przekracza moje siły; wówczas omnia mea mecum porto, z jednym dukatem w kieszeni, inne mnie zajmywały myśli — jak podziwianie brzegów uroczych Bosforu; nie znając języka, przemyśliwałem jak w tym chaosie dopytać się, tam gdzie należy?

Zapłaciwszy 5 piastrów za kaik, wylądowałem na przedmieście Galata i stanąłem na brzegu, zawoławszy w duchu jak ów civis ruthenus z okolic Humania: Iwane a hde ty! Co spytam którego hamała (posługacz publiczny) „Thomas

horloger“ (był to adres znanego zegarmistrza rodaka Kwiatkowskiego na przedmieściu Galata, gdzie można było zasięgnąć języka) otrzymuję lakoniczną odpowiedź „Vilmes“ — (nie rozumiem). I tak od samego rana, do południa, włóczyłem się po ciasnych zaułkach, jak w prawdziwym labiryncie. Straciłem w końcu wszelką nadzieję, dobicia się do upragnionego celu, i już mnie rozpacz ogarniała, — gdy wtem, jak deskę zbawienia, spotykam Wiaruskiego, pułkownika z r. 1831, którego poznałem przed powstaniem w Tulczy; radość moja była nie do opisania. Ten mój zbawca wybawił mię z kłopotu i zaprowadził, gdzie należy. Znalazłem się wkrótce między swoimi.

W Stambule także potrzeba zarobić na życie, ale gdzie tu znaleść zajęcie — i jakie?

Opatrzność zrządziła, że w kilka dni otrzymałem ciekawą posadę — Mussafira t. j. rezydenta, u jednego z bardzo zamożnych Turków i znacznego urzędnika przy Wysokiej Porcie, nazwiskiem Subhy-bej-Effendi.

Taki Mussafir dostaje całe utrzymanie, niema żadnych obowiązków względem gospodarza, może nic nie robić, oddając się kontemplacyom, na sposób wschodni.

Miałem czterech takichże Mussafirów, za towarzyszy: dwóch braci Arabów, z których jeden był „Hadżi“ t. j. taki co odbył pielgrzymkę do Mekki — a drugi heretyk, bo ukradkiem spijał „szarap“ (wino) ze mną, następnie młody jakiś facet i jeden emigrant Czerkies.

Żyć w podobnych warunkach niema sposobu, bezczynność doprowadza do waryacyi. Zdobywam się na odwagę i z wielkim trudem ciężką francuszczyzną, jaką ze szkół wyniosłem, porozumiewam się z Effendim, aby jako wysoki urzędnik, dał mi jakiekolwiek zajęcie. Otrzymuję! — ale jak zaszczytne — oto cywilizowanie Stolicy.

Na zielonych tabliczkach blaszanych, białym drukiem olejnym, wypisywać nazwanie ulic, brzmienia tureckiego, alfabetem łacińskim. Wprawiwszy się w drukowanie, zarabiam około 10 franków dziennie, dzielę się robotą z towarzyszem Sosnowskim, mieszkającym na Pera i poprawiam moje finanse. Niedługo się tem cieszę — bo naraz robota ustaje z tego powodu, że Turcy nie życzą sobie, aby wypisywano nazwy ich ulic alfabetem giaurów.

Pozbywszy się tak rentownego zajęcia, jestem w nowym kłopocie. Znowu w prośby do Effendi'ego, by dał jaką inną robotę.

Jest! — Dalszy ciąg wprowadzania cywilizacyi w Stambule. Do owego czasu w stolicy prawie milionowej, domy w ulicach nie były numerowane; postanowiono w Wysokiej Porcie zaprowadzić europejski porządek i na danej ulicy, każdy dom numerem zaopatrzyć.

Poznałem już pierwej liczby tureckie, więc złożywszy egzamin z tej znajomości liczb, staję do roboty.

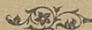
Z rana dostaję na danem stanowisku, pewną ilość tabliczek z numerami, młotek, paczkę gwoździ i drabinę, a na wskazanej ulicy, szukam nad każdemi drzwiami domu, numeru naprzód tymczasowo oznaczonego; odpowiedni numer znajduję w mej paczce, przystawiam drabinę i numeruję dom.

Mam za socyusza, kolegę Czerkiesa, współ-Mussafira, przygważdżamy numera od rana do wieczora, z należytym odpoczynkiem po turecku „jawasz" (powoli),[1]) — za to dzienna płaca „jermelika" (5 franków) wcale dobrze.[2])

Przez listopad i grudzień tak numerowałem, od Stambułu aż do Bujuk-dere — prawie wzdłuż całego Bosforu, po stronie europejskiej.

Zarobek ten dał mi możność, zaoszczędzenia nieco grosza, a w połowie stycznia 1865 r., pożegnałem kochany Stambuł, który dla turysty z pełnym trzosem jest bardzo zajmujący, ale dla mnie, przygważdżającego numera na domach; stał się obmierzłym.

Wkrótce potem, przez Genuę i Turyn, znalazłem się na paryskim bruku, i na ławie szkolnej.



M. DALBOR.
(ĆWIKLIŃSKI).

Z naszej martyrologii.

Było to rankiem, któregoś z dni późnej jesieni 1865 roku, kiedy po całorocznem już zamknięciu w jednej z kopalń rudy

---

[1]) Przysłowie tureckie powiada: „Jawasz, jawasz tauszan araba totlerym" znaczy: Powoli, powoli — zająca wozem dogonimy.

[2]) Jermi znaczy 20, — Dwadzieścia piastrów, stąd Jermelik.

srebrnej Nerczyńskiego okręgu — „smotritiel“ Akatui, dyrektor więzienia, a zarazem komendant załogi więziennej, wzywał nas do udania się na robotę do kopalni. Postanowiliśmy nie pójść, przedstawiwszy oficerowi powody, a mianowicie: niedostarczenie przez władze miejscowe należnych a niezbędnych nam artykułów odzienia i pożywienia, a nadto zupełnego braku odpowiednich narzędzi, do wykonywania wyznaczonych nam robót w kopalniach, które notabene już od całego szeregu lat, z powodu swej nierentowności — nie były zupełnie eksploatowane.

Było nas wszystkich więźni wyłącznie politycznych przeszło stu, umieszczonych po 8-iu i 4-ch w celach, zamykanych na noc grubemi, żelaznemi sztabami. Wszyscy naturalnie w kajdanach na nogach, podtrzymywanych rzemiennym paskiem. Kajdany te z czasem nauczyliśmy się zdejmować na noc.

W krytycznym dniu — po wyjściu z cel — umówiliśmy się, aby celem uniemożliwienia straży zmuszenia nas pojedynczo lub po kilku do pójścia na robotę — nikt nie zachodził do cel, tylko aby wszyscy trzymali się razem na dziedzińcu więziennym. Nastąpiły pertraktacye i nawoływania komendanta do rozejścia się po celach. Napróżno. Przez niejaki czas opór trwał solidarnie. Niezadługo jednakże — jak to zwykle niestety u nas bywa — solidarność została złamaną przez większość, którą stanowili księża i zaczęto się rozchodzić po celach, które zaraz straż zamykała. Wówczas komendant, widząc garstkę opornych, bo około 30-tu tylko, kazał nas otoczyć strażą, która nas wparła w jeden koniec korytarza, wołając, abyśmy się rozeszli po celach. Postanowiliśmy nie rozejść się, dopóki nie przybędzie główny komendant jenerał żandarmeryi Szyłow. Oficer zagroził użyciem broni i kazał nabijać broń. Staliśmy ściśnieni, urągając żołnierzom.

Niektórzy z kolegów pozdejmowali kajdany, gotowi niemi bronić się, inni wyłamywali cegły z pieców. Jeden z kolegów — Twarowski — chłop rosły, barczysty, wysunął się na sam przód, odkrył pierś gołą i krzyknął: strzelajcie. W tej chwili, feldwebel z kilku żołnierzami przyskoczyli do Twarowskiego, chwycili go za rękę i zaczęli ciągnąć do siebie, my znów za drugą rękę ku sobie. Dopiero gdy krzyknął: „puśćcie, bo mnie rozerwiecie“, puściliśmy go, lecz zarazem z całą wściekłością rzuciliśmy się na żołnierzy, bijąc kajdanami, rzucając cegłami i wyrywając nastawione karabiny. Uderzenie było tak gwałtowne, że straż stłoczona w wązkim korytarzu, nie dawszy ani jednego strzału,

nie zraniwszy nawet bagnetem nikogo, uciekła do swej strażnicy, pozostawiwszy na placu z pośród siebie 3-ch stratowanych, którym karabiny wydarto. Zwycięstwo było zupełne. Lecz co dalej?!... Weszliśmy z tryumfem do jednej z cel. Tutaj rozpoczęły się narady co dalej począć? Zapaleńsi proponowali, natychmiast się zabierać i uciekać do Chin, od granicy których byliśmy tylko kilkadziesiąt wiorst oddaleni. Roztropniejsi przedstawiali jednak zamiar ten jako rzecz niemożliwą do wykonania. Z czem i o czem pod straszną zimę? Mieliśmy wprawdzie 3 karabiny, ale ani jednego ładunku... Niepoprawni marzyciele! — Podczas gdy tak radzimy, straż, ocknąwszy się z przestrachu — wpadła cichaczem na opustoszały korytarz, a założywszy sztabą naszą celę, przez otwór w drzwiach zażądała na razie wydania jej: „zaczynszczyków“ t. j. przywódzców buntu w osobach: Rittera, żyda — Czechowicza i piszącego te słowa. — Reszcie, jak mówiono, nic się nie stanie. Wyłoniła się więc kwestya co robić?

Postanowiono nie wydawać nikogo lub wszystkich. Oficer zażądał stanowczo wydania przywódzców, grożąc przemocą. Rozważywszy, że stawianie dalszego oporu nie miałoby najmniejszego sensu, a przeciwnie naraziłoby tylko wszystkich na prześladowanie i teror — postanowiliśmy się sami oddać władzy i w tym celu podstąpiliśmy w 3-ch do drzwi. Widząc to kolega a nasz s t a r o s t a d' Arturi, rozkrzyżował się we drzwiach i krzyknął: „chyba po moim trupie!“ Odsunęliśmy go łagodnie i oddaliśmy się straży. Idąc tak pomiędzy dwoma szeregami rozwścieczonego żołdactwa, poczuliśmy na sobie skutki wywieranej kolbami zemsty, i gdyby nie obawa przed powtórzeniem się wybuchu więźni, wątpię, czy który z nas ujrzałby był kraj rodzinny. Zaprzestano wreszcie pastwienia się, lecz za to odprowadzono do kuźni i zakuto „j a k s i ę p a t r z y“. To znaczy, na ręce i nogi ciasno na nity i wtrącono do ciemnicy. Tak przesiedzieliśmy o chlebie i wodzie, nie rozbierając się wcale, spiąc na podłodze — blisko miesiąc, t. j. do przybycia sędziego śledczego w osobie jakiegoś kapitana. Tylko koledzy dostarczając nam chleba i wody, niekiedy w środek bochenka wkładali kawałek mięsa lub zamiast wody podawali herbatę. Jaka to wówczas była uczta! Resztę kolegów trzymano pod ustawicznem zamknięciem na $^1/_2$ porcyi zwykłej racyi. Po przeprowadzeniu śledztwa, odstawiono nas 4-ch do Aleksandrowska, głównej siedziby władz okolicznych kopalni, w której to miejscowości

w 4-ch budynkach mieściło się około 400 więźni naszych. Tam stawiono nas przed sąd wojenny. Pomiędzy członkami sądu, znajdował się także lekarz wojskowy, który, przed rozpoczęciem rozprawy zbadał każdego z nas i zaopiniował przed sądem ile — w razie zasądzenia na chłostę — każden z nas znieść może razów.

Po nader krótko trwającej rozprawie, a jeszcze krótszej naradzie zasądzono nas: Rittera na 50 razów pletnią[1]) z dodaniem 3-ch lat robót, Twardowskiego i piszącego te słowa 40 razów i po 2 lata robót. Czechowicza na 20 razów i rok robót. Resztę kolegów na $^1/_2$ roku noszenia kajdan na rękach i nogach i $^1/_2$ porcyi pożywienia. Sądziliśmy, że wyrok chłosty zostanie doraźnie wykonany, chociaż koledzy w Aleksandrowsku postanowili *coûti-que-coûte* nie dopuścić do wykonania. Tymczasem odstawiono nas z powrotem do Akałui i umieszczono w osobnej celi, postawiwszy przy drzwiach wartę, która nie dopuszczała nikogo z kolegów. Tak przesiedzieliśmy około 2-ch miesięcy, wyglądając codziennie, rychło się zjawi „pałacz“ (oprawca) dla zaaplikowania wyznaczonych razów, a aby się stać możliwie odpornymi, biczowaliśmy się wzajemnie, śpiewając przytem — zamiast psalmów — „niewiem jaka spadnie kara“. Nereszcie pewnego rana, spostrzegliśmy przez okno wielki ruch na dziedzińcu. Najprzód wkroczyła załoga więzienna w odświętnem ubraniu i ustawiła się w dwa szeregi. Następnie kroczył dobrze nam znany pułkownik — obecnie jenerał — Iwanow z świtą, w której poznaliśmy z czasu sądu, lekarza wojskowego. Wszyscy w paradnej formie. Spoglądamy po sobie i przyrzekamy sobie wzajemnie, że podczas egzekucyi – prócz złorzeczeń na cara i jego zbirów — żaden z nas nie jęknie. Nie widzimy jednakże ani oprawcy, ani żadnego przyrządu, a natomiast widzimy wychodzących na dziedziniec wszystkich kolegów. To nas zdziwiło, a zarazem przeraziło, gdyż byliśmy pewni — znając postanowienia kolegów i sądząc z ich spojrzeń — że w razie egzukucyi przyjść musi do krwawego zaburzenia. Nakoniec i nas wyprowadzono. Szliśmy z hardo podniesionemi głowami. Wówczas

---

[1]) Pletnia jest to rodzaj bata rzemiennego splecionego w kant grubości małego palca, długości około 70 cm. osadzonego na krótkim trzonie. Chłosta odbywa się na umyślnie do tego przyrządzonej ławie, na którą delikwenta układają obnażonemi plecami do góry. Kark i nogi ubezwładnione za pomocą pasów, przyciągniętych do ławy. Razy zadaje „pałacz“ rodzaj kata — wzdłuż od karku

po komendzie „prezentuj broń“, jeden ze świty zaczął czytać bardzo długo, coś w rodzaju manifestu, w którym przy końcu powiedziano: że w imieniu jego carskiej Mości, jenerał-gubernator wschodniej Syberyi w swej nieprzebranej dobrotliwości, raczył nam darować karę chłosty, za to jednakże raczył takową zamienić na 5, 4 i 2 lata ciężkich robót dodatkowo, przez cały czas w kajdanach na rękach i nogach. Co zaś do kary dla reszty kolegów, pozostawić wyrok w swej mocy. Odetchnęliśmy.

Gdy ucichł głos czytającego, znany nam z swej bezgranicznej głupoty bałwan i złodziej w jeneralskim mundurze Iwanow, który od kilku dopiero dni został mianowany naszym komendantem w miejsce inteligentnego — a jak na żardarma — porządnego człowieka jenerała Szyłowa — popatrzył na nas, a widząc ironicznie uśmiechnięte twarze, zdumiony zawołał: „I wy nie krzyczycie „hurra“ na podziękowanie caru i jenerał-gubernatorowi?

Wówczas nasz starosta z godnością i pogardą odrzekł: „myśmy o nic prosili, nie mamy więc za co dziękować, ale natomiast domagamy się należnych nam półszubków, za któreś pan — jako entreprener – dostawca, — pieniądze zabrał. Miałeś nam je jeszcze w roku zeszłym dostarczyć, a dotąd nie dostarczyłeś“. Na to p. jenerał jakby nigdy nic z głupio-dobrotliwym uśmiechem, odwrócił się do swojej świty z wyrazami: „w o t g o r d y j n a r o d!“ (Oto hardy naród). I tak się skończyła szczęśliwie cała ta awantura. Zyskaliśmy na niej tyle przynajmniej, że nas już nie używano do robót podziemnych. Tutaj dla scharakteryzowania tamtejszych stosunków — kilka słów o wspomnianym jenerale Iwanowie, zwierzchniku wszystkich więźni politycznych, zgromadzonych wówczas w Nerczyńskim okręgu. Przed naszem przybyciem był on pułkownikiem miejscowych kozaków, na którem to stanowisku za przepuszczenie 20.000 rs. pułkowych pieniędzy, został oddany pod sąd, który zasądził go tylko na zwrot skarbowi, skradzionych pieniędzy. Aby mu więc dać możność zdobycia potrzebnej kwoty, oddano mu w przedsiębiorstwo budowę i restauracyę wszystkich budynków potrzebnych dla naszego pomieszczenia. Po naszem znów przybyciu zrobiono go dostawcą odzieży dla nas. On zaś widząc, że większość naszych posiada własne ubranie, wszedł z nami w pertraktacye i targi, co do wymiany mających nam być dostarczonych przedmiotów odzieży na pieniądze. I tak w miejsce

szub i półszubków zaproponował dostarczenia nam tylko półszubków a za każdą szubę po 5 rubli na rękę. Zgodziliśmy się. Po 5 rs. wprawdzie zapłacił, lecz natomiast ani szuby ani półszubków nie otrzymaliśmy.

Lwów w marcu 1903.



BRONISŁAW DESKUR. (†)

Usiłowanie szlachty uwłaszczenia włościan.

(Wyjątek z pamiętnika).

W kilku młodych, a gorętszych obywateli, posiadaczy większej własności, postanowiono w Warszawie, że wszyscy po powrocie do domów, z posiedzeń Towarzystwa rolniczego, zwołamy gromady włościańskie i ogłosimy uwolnienie od pańszczyzny. Tak też się stało. 3 marca 1861 r. do zwołanych z mego majątku włościan przemówiłem ; jak potrafiłem najserdeczniej, mniej więcej w te słowa: „Bracia kochani! Od dziś panowie zebrani na zjeździe w Warszawie, jednozgodnie postanowili znieść pańszczyznę na zawsze, zwracamy wam na własność ziemię, którą posiadacie, a która się wam od dawna należy, pracą i trudem waszym zdobyta, że zaś sprawiedliwość nie została wam dotąd wymierzona, przyczyną tego jest rząd obcy, który do tego nie dopuszczał, a od którego dotąd wszystko zależało. Wielu z tych panów, którzy się ośmielili bez wiedzy rządu oddać włościanom grunta na własność, wywieziono na Sybir. Dziś wszystkich nie wywiozą, bo mieli sposobność zebrać i zgodzić się na równoczesne uwłaszczenie włościan, czy rząd zatwierdzi to postanowienie dziedziców, lub nie, to zaręczyć wam mogę, że na pańszczyznę wołać was więcej nie będę, jeżeli potraficie bronić praw swoich i nie dopuścicie, aby się ktoś w nasze sprawy mięszał“.

Jakież było moje zdziwienie i żal, kiedy usłyszałem odpowiedź: „Proszę pana, niech lepiej będzie tak, jak było dotąd“. Nie chcąc okazać żalu mego, że ofiara i przemowa moja z taką nieufnością zostały przyjęte przez gromadę, usunąłem się z ganku, skąd mówiłem do włościan, nie mogąc więcej mówić dla wzruszenia, którego nie potrafiłem opanować. Dwa lata dopiero, jakem nabył ten majątek, powiedziałem więc sobie, widocznie nie

pozyskałem jeszcze zaufania tego ludu. Spostrzegli zapewne włościanie, kiedym odchodził, moje zaalterowanie i wysłali wójta i dwóch innych z gromady, którzy przyszli mnie przepraszać, mówiąc: „Niech się pan nie gniewają za to, co Iwan powiedział, bo to człowiekowi trudno uwierzyć tak zaraz, aby się znalazła taka dusza dobra, coby dla nas dobrze chciała; dotąd tylko krzywda nam się działa. Ot ja (powiada wójt Bartosz Sołoń) niedawno temu, bo trzy lata, za rządcy, co tu był od pana Szlubowskiego, dawniejszego dziedzica, siedziałem w lochu pod tym magazynem, co przed oknami, dziesięć dni o chlebie i o wodzie za to tylko, żem się upomniał, że mi już trzeci raz potrącają z zarobku za parę wołów, które wziąłem ze dworu na odrobek, bom nie miał czem pańszczyzny sprzężajnej odrabiać. Jakżeż dziś mamy uwierzyć, że za darmo dostaniemy grunta, jakie posiadamy". Po dłuższej rozmowie, poczciwy Bartosz uwierzył w szczerość słów moich i od dnia tego nikt więcej na pańszczyznę nie przychodził i nie był wołany. Najemnika miałem dostatek ze wsi własnej; swoją robotę rzucali i szli do dworu na zawołanie.

Przykład to jednak, jaką nieufność nie jeden ze szlachty, bądź sam, bądź przez swych oficyalistów, wzbudzał u włościan swem postępowaniem. Czy w takich warunkach była możność zbliżenia się do ludu? Czuła to cała partya ruchu doskonale i była przygotowana zdobyć, choćby największą ofiarą uwłaszczenie włościan, a tem samem przełamać zaporę, która dzieliła lud od inteligencyi w ogóle.

Jak u mnie tak prawie na całem Podlasiu do końca kwietnia 1861 r. pańszczyzna ustała nie tylko u tych, którzy się do tego zobowiązali w Warszawie, ale w ogóle i u nieobecnych w Warszawie na zebraniu, a to pod presyą opinii publicznej. Wszelkie dalsze układy z włościanami zostały w zawieszeniu (była bowiem mowa o przejściu przez oczynszowanie do własności, na co się zgodzono, a do czego rząd sam się skłaniał). To samo mniej więcej działo się i w innych województwach, co i u nas na Podlasiu. Jeden znów tylko wypadek w Lubelskiem, gdzie właściciel opierał się uwłaszczeniu. Włościanie tego majątku, widząc, że w okolicy nikt na pańszczyznę nie woła z dziedziców, sami zaprzestali wychodzić na robotę. Dziedzicem pomienionej włości był K. Zalewski, niesłychanie interesowny, i bez charaktoru człowiek, obojętny na opinię; udał się on do gubernatora w Lublinie z żądaniem, aby ten przysłał mu wojsko

dla poskromienia zbuntowanych chłopów i zmuszenia ich do odrabiania pańszczyzny. Wojsko na żądanie Zalewskiego natychmiast wysłano z Lublina, do majątku jego, Woli Skromowskiej.

Spędzono gromadę pod karczmę i tam więcej winnych według wskazówek p. Zalewskiego, kazał, dowodzący oficer wojskiem, powiązać, do czego użył noszonych przez włościan wełnianych pasów, które wojsko zdzierało ze wszystkich obecnych włościan. Skutkiem tego po okolicznych wsiach rozeszła się wieść, że Moskale w Woli Skromowskiej drą z chłopów pasy, co nabawiło trwogi okolicznych włościan.



SEWERYNA DUCHIŃSKA.

Noc styczniowa.

W górę dziś serca! w górę dziś oczy!
Duch nasz w potężną urasta moc!
Acz ból tułactwa pierś naszą tłoczy,
Uczcijmy wielką styczniową noc.

Noc ta poczyna, o mój narodzie!
Nieznane szlaki w żywocie twym,
Nowa to era w dziejów pochodzie,
W tę noc tyś nowym skąpał się chrztem.

Długo dzierżyli ojczystą szalę
Wybrańcy ufni w naddziadów czyn,
Dziś w to, co przeszło, nie patrzym wcale,
Kto służy Polsce, ten Polski syn.

Przeszłość promienną świeci nam sławą,
Lecz i grzech ciężki w jej łonie tkwi;
Dzić rządzić krajem ten zdobył prawo,
Kto kosztem własnej je kupił krwi.

Kto tobie Polsko w boleści ducha
Z wiarą poświęca ofiarny znój,
Kogo nie trwoży poszczęk łańcucha,
Kto dzielnie trzyma proporzec twój.

Styczniowa nocy! twa gwiazda święta!
O! jak nam cudnie jej promień błysł,

Przy niej to pękły przesądów pęta,
    Przy niej wytrzeźwiał nasz polski zmysł.

Styczniowa nocy, twoje to dzieci
    Łódź polską w nowy popchnęły prąd,
One z barłogów podjęły kmieci,
    Gdzie ich pogrążył praojców błąd.

Twoje to dzieci sercem przeczyste,
    Choć kłamstwem w oczy bluzga im wróg,
Dziś odnowiły kresy ojczyste,
    Jakie sam Polsce zakreślił Bóg.

Krwią ściekły wody Dniepru i Niemna,
    Z Wisłą krwi potok do morza ściekł,
I tej krwi bratniej siła tajemna
    Sprzęgła, co rozprzągł niewoli wiek.

I po szerokim powiał obszarze
    Jedności bratniej wspaniały znak,
Archanioł Rusi błysł na sztandarze,
    Z nim stara Pogoń i lacki ptak.

Nocy styczniowa! twoje to dzieci,
    W rycerzy barskich wstąpiły tor,
Pieśń ich pobożna w niebiosa leci
    Przez gruby tuman stuletnich chmur.

Te dźwięki pieśni, te serc ofiary,
    Położył Anioł przed Boży tron,
Oni spłacili ojców dług stary,
    Dla nich tułactwo — boleść i skon.

Rozżartą paszczą Moskwa w nich godzi,
    Chmary stepowych napędza tłuszcz,
Już na mogiłach tej dzielnej młodzi
    Z trawą zielony porasta bluszcz.

* * *

Wypiła ziemia tę krew ofiarną,
    Lecz Bóg nie skąpi słońca i ros,
Na żyznej roli złożone ziarno
    Przyszłość w stokrotny rozrodzi kłos.

Cześć tym, co legli w rodzinnej ziemi,
Co dług Ojczyźnie spłacili już,
Niech im nad głową skrzydły białemi
Dzwoni otuchą nasz Anioł Stróż!

Cześć tym, co depczą Sybiru lody,
Orle pisklęta wyparte z gniazd,
Co z pod bieguna jęk piersi młodej
Ślą ku Ojczyźnie w promieniach gwiazd.

Cześć wam tułacze, garstko rozbita,
Wyrwana cudem z niedźwiedzich paszcz,
Na waszę imię wróg w zęby zgrzyta,
Gdy się pod cudzy tulicie płaszcz.

Ciężkoż wam, ciężko w doli sierocej
Ten krzyż tułactwa na barkach nieść,
Szlachetne syny styczniowej nocy,
Piastujcież godnie narodu cześć.

Wasz święty sztandar chrońcie od skazy,
Kiedy nad braćmi znęca się wróg,
Wy tu, wśród obcych jak drogoskazy,
Wiernie ojczystych pilnujcie dróg!

Niech was nie zraża ten chłód, co wieje
Od piersi skrzepłych w grobowy lód,
Co rozbudzone mrozi nadzieje,
Serca z młodzieńczych odziera złud.

Próżno urąga zimny szyderca;
„Byłoż szalonym porywać miecz?
Posłuszni zdradnym poszeptom serca,
Sprawę ojczystą cofnęli wstecz“!

Tak to pokwila puszczyk grobowo;
Niech u cmentarnych pokwila bram,
A my, uczcijmy tę noc styczniową,
Co nowe drogi rozwarła nam!

W górę więc serca! w górę dziś oczy!
Duch nasz w potężną niech wzrasta moc,
Choć ból tułactwa pierś naszą tłoczy,
Uczcijmy wielką styczniową noc!



WŁADYSŁAW BOŃCZA DYGULSKI.

Wspomnienie Sandomierzaka.

W nocy z dnia 21 na 22. stycznia, lat temu 40, w lasach Ćmielowskich zgromadzała się młodzież, na punkcie zbornym.

Na drugi, zdaje mi się, dzień, w liczbie już około może 300-tu, wyruszyliśmy z lasów Ćmielowskich, w góry Ś-to-krzyzkie do Wąchocka, gdzie mieliśmy dostać broń i wojskowo się zorganizować.

Rozlokowano nas po kwaterach, w domkach mieszczan.

Po kilku dniach, odgłos bębnów wywołał nas wszystkich na dość obszerny rynek Wąchocka, gdzie ustawiono nas w szeregi.

Na dany znak, nastała cisza, przed frontem stało kilkadziesiąt osób, z pośród których, wystąpił komisarz Rządu Narodowego i donośnym głosem odczytał manifest Rządu Narod. wzywający do walki z wrogiem i przedstawił nam Langiewicza jako naczelnika w woj. sandomierskiem.

Langiewicz, niskiego wzrostu, lat około 40, brunet z brodą przystrzyżoną, w kurtce powstańczej, z wstęgą trójkolorową przez ramię i konfederatką czarną na głowie, otoczony sztabem, przechodził szeregi, wybierając z nich niższych oficerów.

Ja stałem w 1-szym szeregu, — wywołany przed front, po krótkim egzaminie i porozumieniu się sztabu, zostałem zaraz na placu mianowany porucznikiem plutonu kosynierów. Oddano mi 50-ciu ludzi, których stosownie do rozkazu, spisałem i spis do głównej kwatery o oznaczonej godzinie odniosłem.

Tak się odbywała dalsza organizacya wojskowa w Wąchocku, jak się jednak później przekonałem, mieliśmy także kilkunastu oficerów, już to starych wiarusów z r. 1831, już to młodych ze szkoły w Cuneo, między którymi był zmarły niedawno śp. Gustaw Reutt, którego wówczas poznałem bliżej, jako adjutanta Langiewicza i zarazem instruktora.

Drugim adjutantem była Henryka Pustowojtow, ubrana po męsku, w szarawarach i konfederatce; na koniu lepiej niż pieszo się przedstawiająca.

Z rzutu oka, na stojące w rynku szeregi i z podziału ich na 4 oddziały wnoszę, że było nas wówczas w Wąchocku przeszło 2000.

Uformowane tak oddziały wzięli w dowództwo — Langiewicz 1-szy, Czachowski 2-gi, Dawidowicz 3-ci; ja dostałem się

do 4-go najmniejszego, najgorzej pod względem broni i oficerów obsadzonego oddziału, pod dowództwo Klimaszewskiego, który przed powstaniem był podobno dyrektorem fabryki żelaznej w pobliskim Wąchocka Suchedniowie.

Bardzo prędko przekonaliśmy się, że Klimaszewski oprócz najlepszych chęci, nie miał zgoła żadnych zdolności potrzebnych dowódzcy powstańczego oddziału. Ale nie uprzedzajmy faktów.

Wszystkie 4 oddziały jednocześnie opuściły Wąchock, w kierunku ruchów Moskali.

Tu nadmieniam, że żaden z tych 4-ch oddziałów nie miał karabinów.

Nasz oddział liczący około 400 ludzi, miał 30 do 40 dubeltówek, w $^3/_4$ był uzbrojony w kosy, reszta z kijami.

Kawalerya nasza miała z 10 koni.

Tak uzbrojony oddział, otrzymał rozkaz uderzyć na Moskali pod Suchedniowem i odbić rekrutów, których prowadzili tamtędy z Kielc do Radomia.

A więc marsz na Moskali. Wchodzimy do Suchedniowa przez niewielką rzeczkę w bród.

Suchedniów okropny przedstawiał widok, jakby miasto umarłych, zaledwie kilkunastu ludzi stało miejscami w osłupieniu, bo wszystko uciekło do pobliskich lasów, po dopiero co dokonanym rabunku Moskali. Okna, drzwi, obrazy, meble, sprzęty, słowem wszystko potłuczone, porąbane, poniszczone, a pierze z potarganych pościeli, unosiło się jeszcze nad miastem, jakby płaty śniegu.

Moskale stali o parę wiorst w lesie, na szosie i zapewne musieli nas dobrze widzieć i nasze siły rozpoznać, bo w krótkim czasie, zwrócili się ku nam, mając podobno 2 sotnie kozaków i 3 roty piechoty.

Widząc te siły, po dwukrotnych gęstych salwach, które jednak tylko dźwiękiem kos się zaznaczyły, Klimaszewski nakazał odwrót, jak na początek dość spokojnie wykonany, przez tę samą niewielką rzeczkę, która wystarczyła jednak, aby po raz drugi nalało się w buty tak, żeby już nigdy nie wyschły.

Ośmieleni Moskale naszym odwrotem, zaczęli silnie nacierać, zdołaliśmy jednak dotrzeć do pobliskiego lasu, pod którym rozłożyliśmy obóz.

Moskale pozostali w Suchedniowie, — mrok już zapadał, w tem widocznie na komendę podpalili miasto, bo wszystkie

domy naraz stanęły w płomieniach i za chwilę nie było już Suchedniowa.

Przy dopalających się zgliszczach, nadciągnął do nas Langiewicz, z mocno przerzedzonym swym oddziałem.

Po krótkiej naradzie, nasz oddział wysłano zaraz do odległej o kilkanaście wiorst wsi Parszowa, którędy inny oddział Moskali miał przechodzić, udając się także do Radomia.

Po forsownym marszu, przybyliśmy na miejsce około północy.

Oznaczone szczupłe ramy księgi pamiątkowej, nie pozwalają na dłuższe szczegółowe opisy, krótko się więc sprawię.

Rozbici pod Parszowem, zaledwie w połowie odnaleźliśmy się w Ś-to-krzyzkich lasach.

Klimaszewski kazał nam rozejść się do domów, na moją propozycyę, rozeszliśmy się jednak po kilku i kilkunastu, aby szukać gdzieś Langiewicza, lub jakiego innego oddziału.

Po 3-ch dniach błądzenia w lasach Ś-to-krzyzkich, i literalnie o głodzie, a nawet tytoniu nie mieliśmy, w liczbie 12-tu dotarliśmy do miasteczka Słupi, położonego u stóp gór Ś-to-krzyzkich, gdzie zastaliśmy już Langiewicza i rozbitków z wszystkich 4-ch oddziałów.

Dano mi kwaterę, gdzie spałem 24 godzin. Widząc mnie, doktor obozowy, chorego i niewygodami wyniszczonego kazał mi bezzwłocznie udać się do domu i tam się wyreperować.

Pojechałem więc i kochana matka (lekarka całej okolicy) różnemi ziółkami i ciepłem łóżkiem w 14 dni kompletnie mnie wykurowała.

Podczas mego pobytu u rodziców w Tarłowie, przybył wyparty z Lubelskiego oddział Zdanowicza z Leonem Frankowskim, który był komisarzem Rządu Narodowego.

Zaproponowałem Frankowskiemu, aby się połączyli z Langiewiczem, i że gotów jestem zaraz zaprowadzić ich w Ś-to-krzyzkie lasy.

Ale Frankowski i słyszeć o tem nie chciał.

W parę dni wyszli z Tarłowa, otoczeni jednak przez Moskali, zostali po prostu pod Sandomierzem wymordowani.

Frankowskiego rannego, leżącego u szarytek w Sandomierzu, porwali Moskale i wywieźli do Lublina, gdzie wyleczonego z ran, jenerał Chruszczew kazał powiesić.

O! Leonie! poznałem Cię, jako jednego z najgorętszych synów Polski.

Cześć Twojej pamięci!



MICHAŁ FUSEK.

Bitwa pod Panasówką.

W sierpniu 1863 oddział Lelewela (Borelowskiego) krążył w okolicy: Biłgoraja, Janowa, Józefowa, Panasówki i innych miejscowości. Dnia 3 września 1863 po kilkugodzinnym marszu, stanął oddział obozem pod Panasówką. Teren był falisty, z dwóch stron zamknięty lasami.

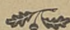
Broń złożyliśmy w kozły, wiara zaś zabrała się do gotowania obiadu. Wtem padły pierwsze strzały karabinowe, nie było czasu myśleć o obiedzie; w małą chwilkę cały oddział stał już pod bronią w szyku bojowym a na daną komendę, zawrzała na całej linii walka zacięta, na śmierć lub życie.

Moskale strzelali do nas i z armat a strzały armatnie huczały bez przerwy, tak, że zdawało się, iż nie zostanie kamień na kamieniu, że cały teren bojowy zrówna się. A jednak ta kanonada nie czyniła nam prawie żadnej szkody. Moskale bili z dział, jak gdyby chcieli hukiem wystraszyć nas z placówki bojowej: a tymczasem walka toczyła się do ciemnej nocy i zakończyła się zwycięstwem polskiego żołnierza. gdy oddział Ćwieka uderzył z boku na Moskali.

W tej bitwie miało być rannych i zabitych powstańców około stu, Moskali miało być znacznie więcej.

Między zabitymi powstańcami polegli: hr. Nyary major węgierski, Tytus Peszyński syn właściciela Kobylan, Roman Ciechocki ranny w ramię. Poległo jeszcze wielu innych, których nazwisk dziś nie pamiętam, poległ i jeden żydek, ja zaś straciłem prawą rękę od kuli karabinowej. Nas rannych umieszczono po domach w Zwierzyńcu (ówczesny główny zarząd ordynacyi Zamoyskich).

Po kilku dniach urządzono prowizoryczny szpital w jakimś piętrowym budynku, stąd nas przewieziono do Cieszanowa w Galicyi, gdzie był urządzony szpital.



AGATON GILLER. (†)

Z ostatnich prac przedśmiertnych.

I. Przedwczesny wybuch powstania.

Położenie narodu naszego od roku 1831 poczynając, było przez wszystkie te lata niezmiernie trudnem. Swobody żadnej, rząd militarno-policyjny, broń odebrana, możność pracy dla dobra publicznego i szerzenia oświaty nie istniała, lub była ograniczona do minimum. Cała Polska była jakby w więzieniu zamknięta. Dla przeprowadzenia choćby najniewinniejszej sprawy narodowego znaczenia, trzeba było zawiązywać tajemne spiski. W takiem położeniu, wśród tysiąca na każdym kroku przeszkód, domaganie się swobody i samorządu narodowego było wypadkiem nadzwyczajnym, który wszystkich zdumiał.

Ruch narodowy w latach 1861 i 1862 podniósł wysoko umysły, rozgrzał serca i moralne przygotowanie narodu uczynił zupełnem; — z powodu jednakże, że powstanie orężne nie było w prędkim czasie zamierzonem, nie poczyniono do niego materyalnych przygotowań. Istniała wprawdzie w kraju narodowa organizacya, która obejmowała przeszło 100.000 ludzi — poważny ten atoli co do liczby zastęp nie był wojskowo wyćwiczonym i nie miał wcale żadnej broni.

Istnienie organizacyi narodowej nie było tajemnicą. Przy zaaresztowaniu w Warszawie Xawerego Obarskiego i kilkudziesięciu jego towarzyszy, uczących się na Krzywem Kole wojskowych obrotów, wpadła w ręce rządu moskiewskiego część statutów organizacyi narodowej. Zaaresztowanych oskarżono o formowanie wojska polskiego i oddano pod sąd wojenny.

Z procesu, który się jawnie odbywał w pałacu Paca przy Miodowej ulicy, widocznem było, że rząd wiedział wprawdzie o istnieniu organizacyi, lecz się nie domyślał jej rozległości i liczby. Margrabia Wielkopolski naczelnik cywilnego rządu w Królestwie Polskiem, sądząc, iż organizacya obejmuje tylko młodzież, zaproponował jako sposób jej rozbicia, wychwytanie młodzieży pod pozorem branki do wojska. Wiadomość o tej niezwykłej brance z charakterem proskrypcyjnym, która miała kraj pozbawić najdzielniejszej młodzieży, wywołała między starszymi przygnębiające wrażenie. — młodzież zaś postanowiła raczej zginąć, byle na ojczystej ziemi, w walce o swobodę,

niż pójść w szeregi moskiewskie, dopomagać carowi, w nakładaniu jarzma na karki słabych i mniej licznych narodów.

Komitet atoli Centralny Narodowy, który stał na czele organizacyi, nie chciał z powodu branki rozpoczynać walki z Moskwą, bez poprzedniego nagromadzenia broni. Uchwalił więc na jednem z swoich posiedzeń, nie dać Moskalom spisowych i ochronić ich od branki przez dyslokacyę.

Dyslokacya, czyli przenoszenie zagrożonej młodzieży w coraz to inne miejsca, miało być środkiem nie dopuszczającym z powodu branki do powstania. Wykonanie go przy ówczesnej potędze Komitetu Centralnego i rozgałęzieniu organizacyi nie przedstawiało wielkich trudności. Komitet przypuszczał, że Moskale zdołają porwać co najwięcej kilka tysięcy młodzieży, resztę jednak zdoła ocalić. Jednocześnie z tą uchwałą powziął inną: sprowadzenia do kraju na wszelki wypadek broni.

Godlewski, członek Komitetu Centralnego, wysłany został za granicę z pieniędzmi, po zakupno broni. W Paryżu był aresztowany razem z Ignacym Chmielińskim, W. Milowiczem i J. Ćwierciakiewiczem z powodu, iż na ostatniego padło podejrzenie znoszenia się w Londynie z Mazzinim, co w oczach ówczesnej policyi francuskiej uchodziło za karygodną zbrodnię. Przy Golewskim znaleziono wielkiej wagi papiery, jak instrukcye i rozkazy Komitetu Centralnego w Warszawie. Po kilkunastu godzinach aresztowanych uwolniono, papiery oddano i policya przeprosiła ich, tłumacząc się pomyłką. Przy tych przeprosinach nie powiedziała im jednak o wielkiem nadużyciu, jakiego się dopuściła, mianowicie, że odpis tych papierów wręczyła moskiewskiemu ambasadorowi, Budbergowi, w Paryżu.

Fakt ten miał bardzo ważne następstwa, stał się bowiem powodem do przedwczesnego wybuchu powstania.

Rząd moskiewski i Wielopolski, wiedząc z papierów przesłanych przez Budberga o zakupywaniu broni, przypuścił, iż zamierzone jest powstanie i postanowił takowe wywołać czemprędzej, zanim broń do kraju sprowadzoną zostanie. W tym to celu brankę, która się miała odbyć dopiero na wiosnę, postanowił wykonać 15 stycznia 1863 r., pewny, iż da ona powód do walki; Wtedy to Wielopolski wyrzekł te słowa: „Trzeba się postarać, żeby wrzód wezbrany pęknął. Powstanie w tydzień uśmierzą wojska cesarskie i ja będę mógł potem rządzić bez przeszkody“.

Srodze omylił się w swojej rachubie, bo wojska cesarskie nie w tydzień, lecz zaledwo w ośmnaście miesięcy zdołały uśmierzyć powstanie, gdy zaś uśmierzyły, Moskale odrzucili Wielopolskiego. jak skórkę po wyciśnięciu cytryny i zaczęli bez niego, sami po swojemu rządzić.

Gdy Zygmunt Sierakowski przywiózł z Paryża do Warszawy wiadomość, o wręczeniu Budbergowi papierów Godlewskiego, członkowie Komitetu Centralnego zagrożeni wykryciem i aresztowaniem ustąpili z swoich posad — a miejsca ich zajęli zastępcy. Przed ustąpieniem komitet ponowił uchwałę, że powstania nie będzie z powodu branki — tylko dyslokacya spisowych, i w wykonaniu tej uchwały, rozpoczęła się wkrótce potem wędrówka warszawskiej młodzieży do lasów Serocka i do osad w Kampinowskiej puszczy.

Tymczasem 15 stycznia władze moskiewskie rzuciły się na pozostałą młodzież i zdołały, jak przypuszczano, kilka tysięcy uprowadzić, zwłaszcza ze wsi. W Warszawie przy porywaniu spisowych, asystował syn Wielopolskiego.

Margrabia zadziwiony, że nie znalazł oporu i do wybuchu przy brance nie przyszło, napisał ów prowokujący artykuł o radości, z jaką młodzież, znużona bezcelowemi agitacyami, szła do wojska cesarskiego, jako do szkoły porządku.

Artykuł ten był jakby policzkiem wymierzonym narodowi! Czego nie mógł dokonać gwałt i prześladowanie, to wywołała obraza godności narodu i naigrawanie się nad nieszczęśliwymi.

Artykuł nietylko oburzył, lecz wyprowadził z cierpliwości najspokojniejszych i najrozważniejszych ludzi. Zaczęły się sarkania i narzekania na Komitet Centralny, że nie zarządził powstania.

Naprężenie stosunków doszło do ostatecznych granic. Komitet Centralny wzywany do odparcia obelgi i do stanowczego działania, uczuł, że się nie utrzyma przy uchwale dyslokacyi. Jednocześnie nadeszło do Warszawy od komisarzy wojewódzkich pismo, wzywające Komitet do wydania rozkazu powstania, w przeciwnym bowiem razie prowincye same się ruszą. Gdy już w rzeczy samej zapowiedziane ruchy rozpoczynały się tu i owdzie, wtedy Komitet Centralny Narodowy dłużej nie zwlekał i uchwalił wydać hasło do powstania.

W kilka więc dni potem na dane hasło, w nocy z dnia 22 na 23 stycznia rozpoczęła się nierówna walka z Moskalami.

II. Sołowiówka i uwłaszczenie.

Z jaką dobrą wolą, z jakiem poczuciem braterstwa dla pracującego ludu, przeprowadzała uwłaszczenie wyższa intelegencyjnie szlachecka klasa, przekonywa następujący fakt bezprzykładnego poświęcenia i ofiary, jaki się wydarzył na Ukrainie, gdzie lud ruski od dawna był przeciwko Polakom podburzany przez niesumiennych carskich ajentów i urzędników. Dekret uwłaszczenia nazywał się na Rusi Złotą hramotą. Dla ogłaszania Złotej hramoty ukraińskim włościanom sformowano osobną drużynę, złożoną z synów szlacheckich, kształcących się w Uniwersytecie Kijowskim.

Było ich kilkunastu. Pod naczelnictwem Antoniego Jurjewicza szli od wsi do wsi i w każdej, zwołanemu ludowi odczytywali Złotą hramotę.

Zbliżyli się wreszcie do wsi Sołowiówki, nie wiedząc o przygotowanej tam przez carskiego asesora zasadzce na nich. Chłopi podpici wystąpili nieprzyjaźnie. Napróżno do nich przemawiał Jurjewicz po bratersku. Rzucili się na przynoszących im wolność i uwłaszczenie.

Młodzież ta mogła się bronić. Kilkanaście strzałów byłoby rozpędziło tę tłuszczę. Oni jednak nie chcieli do ludu strzelać.

I jakże w tak trudnym i niebezpiecznym razie postąpili synowie szlacheccy? „Nie chcemy Was zabijać, rzekli do chłopów, bo wy jesteście naszymi braćmi, wolimy zginąć z rąk waszych, niż stać się winnymi wobec was. Krwią naszych braci, rąk swoich nie zmażemy“. I złożyli broń przed chłopami.

Widok wzniosły takiego zaufania, takiej miłości, byłby zapewne w jednej chwili rozproszył uprzedzenia, gdyby nie szatańska podmowa i przykład obecnego asesora. Podbudzeni przez niego, rzucili się na apostołów wolności i w okrutny sposób bezbronnych wymordowali.

Jurjewicz jednak ocalał, bo okrytego ranami i niedającego znaku życia uprowadzono i z ran wyleczono po to, aby go powiesić. Podkopem jednak uciekł z fortecy kijowskiej i w kilka lat potem z ran sołowieckich umarł w Paryżu.

Mogiła sołowiecka na Ukrainie — to mogiła przebłagania.

Przykładów takiego poświęcenia, takiej wierności zasadzie miłości i braterstwa, niewiele znają dzieje powszechne.

Zaprawdę, jeżeli szlachta polska wiele zawiniła wobec ludu polskiego, to też i wiele odpokutowała. W żadnym kraju

szlachta nie poniosła tyle ofiar, ile ich poniosła szlachta polska dla podniesienia i obywatelskiego zrównania pracującego wiejskiego ludu.

Sprawa włościańska, której rozwiązaniu stale i uporczywie rządy rozbiorcze opierały się, została więc ostatecznie załatwioną przez powstanie polskie 1863.

Uwłaszczenie było już faktem dokonanym, gdy w rok potem, car Aleksander II. pod presyą tego faktu zostając i nie mogąc go cofnąć, wydał dnia 2 marca 1864 roku ukaz o uwłaszczeniu. Ukaz ten był tylko potwierdzeniem dekretu Rządu Narodowego, na to wydanem, ażeby przywłaszczyć najazdowi korzyści, jakie z załatwienia kwestyi uwłaszczenia wyniknąć mogły i musiały dla sprawy polskiej.

Gdyby nie powstanie, nie byłoby ukazu. Sam Rząd moskiewski przyznał to w artykule urzędowego Ruskiego Inwalida z dnia 9 marca 1864 r.

Powiada w nim bowiem, jeżeli z przeprowadzenia ukazu wyn ikną jakie niekorzyści dla szlachty polskiej, niechaj sama sobie winę własnej ruiny przypisze, gdy bowiem rząd polski rewolucyjny wydał dekret uwłaszczenia, ani jeden protest ze strony tej szlachty nie nastąpił, ani jednego nie było odwołania do prawowitego, carskiego rządu o pomoc i osłonę.



HIPOLIT GLISZCZYŃSKI.

Mielęcki — Taczanowski.

Około połowy lutego 1863 r. wyszliśmy z Księstwa Poznańskiego w 15-cie koni, pod komendą oficera wojsk sułtańskich Władysława Myśkiewicza do Królestwa.

Granicę przeszliśmy pod Pyzdrami. Nad ranem ruszyliśmy do Słupcy, gdzie jest komora celna, zabrawszy wszystek magazyn wojskowy na fury, magazyn ten należał do „obieszczyków“, pociągnęliśmy w lasy Kaźmierskie.

Tam zaraz spotkaliśmy partyę gener. Mierosławskiego, która po bitwie pod Krzywosądzą i Nowowsią, cofała się pod Śleszyn.

Po połączeniu się z ową partyą, zaczęły się jakieś niesnaski, pomiędzy gen. Mierosławskim, a pułkownikiem Mielęckim; które skończyły się tem, że gen. Mierosławski zdał komendę na

pułk. Mielęckiego, a sam z całym swoim sztabem, który się składał z uczniów szkoły Cuneo i ludzi różnych narodowości, przeszedł granicę, wyjechał do Księstwa, i już go więcej nie widzieliśmy.

Stamtąd na całą noc wyruszyliśmy lasami, aż pod Kłodawę w Łęczyckiem.

Około Kłodawy jest majorat pułk. Federeńki, otóż tam zabraliśmy konie, burmistrza za jakieś nielojalne postępowanie powieszono; wreszcie spotkaliśmy kozaków, których po krótkiej utarczce, przegnaliśmy.

Niedługo zaszliśmy do klasztoru Bieniszewa.

Jestto klasztor wśród lasu, blisko Konina (miasto pow. gdzie stało kilka pułków piechoty, kawaleryi i artyleryi pod dowództwem gen. Kostendy).

Pod Bieniszewem zaczęli się znów pokazywać kozacy i ciągłe mieliśmy z nimi utarczki, cofając się ku Mieczownicy, gdzieśmy się zatrzymali, dogonieni przez piechotę moskiewską i kilka szwadr. ułanów.

Pułkownik Mielęcki nakazał nam piechotą poobsadzać wszystkie stodoły i chaty, pagórki też nadawały się do zakrycia, i tam bawiliśmy się do wieczora z rozmaitem powodzeniem.

Koniec końcem, Moskale spalili budynki, wśród tego ognia, pod wieczór, cofnęliśmy się do pobliskiego lasu, ale tam zaczynała się pruska granica, więc jedni przeszli granicę, a drudzy przedarli się w lasy pod Kleczew, gdzie po kilku tygodniach pułkownik Mielęcki, znowu zebrał partyę około 500 ludzi, tylko już doskonale uzbrojonych, całe nasze wojsko miało karabiny francuskie.

Zapuściliśmy się w lasy Kaźmierskie, abyśmy mieli trochę czasu do sformowania się, i stanęliśmy koło młyna zwanego Olszakiem. Punkt był dobry, przepływała tam rzeczka, a po jej drugiej stronie na kilka mil lasy.

Po niejakim czasie, patrole zaczęły spotykać to kozaków, to czerkiesów, widocznie, że zaczęli się do nas przebierać.

Raz po północy ciemno było ogromnie, patrol około młyna posuwał się powoli, przez most na drogę krzakami zarosłą. Naraz słyszymy salwę rotowego ognia. Patrol wbiega do obozu „Moskale“ tyle tylko było czasu, żeśmy zdążyli obsadzić młyn i most, wnet zaczęła się pukanina. Moskale chcieli sforsować przejście przez most, ale się im nie udało, i tak bawiliśmy się do godziny 2-giej po obiedzie, ale nas ta zabawka krwawo ko-

sztowała. Pułkownik Mielęcki został ranny i w krótce z tej rany umarł. Pułk. Callier ranny, a cały obóz zdziesiątkowany.

Moskale, którymi dowodził ks. Witgenstein, sami nareszcie zaprzestali ognia. Myśmy pozbierawszy naszych biedaków rannych, ruszyli w lasy.

Tak dotarliśmy do wsi Mikorzyna, należącej do Mileskich, tam też ulokowawszy naszych rannych, po krótkim wypoczynku, ruszyliśmy dalej.

Zaledwo wyjechaliśmy za wieś, chcąc się dostać do lasu, co przed nami w dali majaczył, gdy naraz patrzymy, aż tu kozaki zastępują gęsiego, a za nimi na furmankach strzelcy, jakeśmy się potem dowiedzieli, pułkownika Nelidowa.

Rotmistrz Myśkiewicz, o którym wspomniałem, że razem wyszliśmy z Księstwa, rzekł: Musimy odegnać kozaków od lasu, abyśmy się do niego przedostali, bo inaczej nas wszystkich wystrzelają; rozpędziwszy konia, krzyknął „za mną!“ my za nim. Prawda, że to była prawie wszystko kawalerya z wojska pruskiego, ale jakeśmy dopadli tych kozaków, cóż to za kotłowanina się zrobiła, jeszcze nam nigdy tak gorąco nie było. Dość, że odpędziliśmy ich, a nasze niedobitki tymczasem doskoczyły do lasu. W lesie odetchnęliśmy, idziemy naprzód, a za nami grad kul świszcze, a my tylko się im odstrzeliwamy. Rotmistrzowi Myśkiewiczowi zabijają konia, tęgi koń, biały arab, cośmy go zabrali Federeńce. Biedny rotmistrz łapie się strzemienia, koło niego jadącego, Antosia Budziszewskiego, syna pułkownika jeszcze wojsk napoleońskich, ciągle małym truchtem postępujemy naprzód, a na pięty następują nam Moskale.

Antoś Budziszewski krzyknął — Jezus Marya — wali się z konia, złapaliśmy go, złożyli w jakiejś małej chatynce, która stała w lesie, a rotmistrz tymczasem siadł na jego konia i znów ustępujemy.

Tymczasem widzę kolegę mojego, olbrzymiego wzrostu Pieniążka, jak w długich butach z karabinem, co ujdzie parę kroków, to się odwraca i wali, ale już ostatnich sił dobywa. Patrzę, zdala jakiś postrzelony koń goni, poskoczyłem, schwytałem go i doprowadziłem do Pieniążka, i w ten sposób on się uratował. Gdy mu konia podaję, pada kula, Pieniążek woła — kolego bądź zdrów — mnie się też jakoś gorąco zrobiło, ale jakoś nic. On wsiada na konia, jedziemy; ale oto co się stało, kula trafiła w dziób od mojej kulbaki, odbiła się i podziurawiła mi płaszcz.

Zmówiłem „Pod Twoją Obronę“ i tak szczęśliwie w kilkunastu dostaliśmy się do granicy, a cała partya zniesiona.

Po kilkutygodniowym wypoczynku, zebrała się znów partya w Pyzdrach, pod generałem Taczanowskim, dochodziła do 1000, ale tak dzielnej partyi jeszcze nie mieliśmy, wszystko kapitanowie, oficerowie i żołnierze z wojska prukiego.

Mieliśmy nawet trzy armatki, tą artyleryą dowodził, zdaje się, Stefan Zakrzeski, oficer artyleryi. W jakiś czas dają znać, że idą Moskale.

Z muzyką, z całą paradą wychodzimy za Pyzdry, i daliśmy im taką odprawę, że o mało swoich armat nie pogubili. (Muszę nadmienić, że w szarży kawaleryi, na ustępujących Moskali, zginął od kartacza Staś Budziszewski, brat zabitego Antosia). Ale ponieważ coraz większe siły Moskali się zbierały, trzeba było dalej ruszać.

Szliśmy przez miasteczko Zagórze, gdzieśmy przydybali 40 „obieszczyków“, wszyscy oni wraz z kapitanem zginęli, a trzech wzięto do niewoli. Tak doszliśmy pod wieś Dąbroszyn, gdzieśmy obóz rozbili w lesie. (Dąbroszyn wówczas należał do Kazimierza Potworowskiego, zmarłego przed paru laty w Koropcu w Galicyi, który także był z nami w obozie).

Tam jak zaczęli Moskale z wieczora grać z armat, tak całą noc trwała ta przygrywka, nad ranem wyruszyliśmy do Koła, miasta leżącego nad rzeką Wartą.

Moskale ciągle tuż za nami.

W Kole przyjmowano nas uroczyście illuminacyą.

Niegolewski, poseł, zajął ratusz, i zaczął urzędować, zaledwośmy się roztasowali, aż tu z tyłu za miastem, słychać rotowy ogień. Odkomenderowano kapitana Unruga z kompanią, i tam całą noc szła ta pukanina, której rezultatem było, że Moskale siedzieli za rzeką, ale nasz kapitan Unrug został raniony, wkrótce umarł.

Nad ranem skoro świt, ruszyliśmy za Koło, most na Warcie za sobą spaliliśmy, i zwróciliśmy się znów ku lasom lubstomskim. Stanęliśmy pod Ignacewem, jest to kolonia pod samym lasem, tu okopaliśmy się, czekając, co dalej będzie.

Było to w miesiącu maju, rankiem słyszymy pukaninę.

Major szef Strzelecki, inni go nazywali Raczkowski, rozstawił strzelców za okopami, a wszystkie chałupy zostały zamienione na strzelnice.

Na dobre zaczęło się o dziewiątej rano. Była to bitwa jedna z cięższych, każdy dom zdobywano, a po części podpalano. Broniliśmy się jak stara wiara, ale siła złego na jednego.

Zebrali się Moskale: generał Kostenda z Konina, Brener z Kalisza i Krasnokutski. W naszych szeregach już nie było szefów, majorów, kapitanów, każdy z karabinem w ręku, walczył jak prosty żołnierz, z zapałem pełniąc swój obowiązek.

Jak dziś widzę: major szef Strzelecki ugodzony w samo czoło pada.

Niegolewskiemu posłowi kula nogę strzaskała. — Turno, cudownej urody mężczyzna, kapitan gwardyi berlińskiej, ozdoba salonów, pada martwy.

I tak wozy za wozami wywożą rannych, hr. Jan Działyński z Kórnika, jak prosty szeregowiec, składa ciągle karabin, a będący przy nim żołnierz, co raz to nowy nabija i podaje.

Tak ciągnie się ta rzeź straszna, do godziny piątej, albo i dłużej.

Nareszcie kartacze zaczęły świdrować las na przestrzał. Taczanowski gdzieś znika...

Resztę niedobitków uprowadza hrabia Działyński ku Kleczewowi.

Tu w Kaźmierskim lesie stajemy o północy. Co począć? Otoczeni ze wszystkich stron nieprzyjacielskiemi wojskami, rannych masa, amunicyi brak.

Hr. Działyński wtenczas zapłakał.

Mówi do nas: No bracia, nic nam nie pozostaje innego, jak broń przechować, aby jej Moskale nie zabrali, tymczasem niech się każdy gdzie ukryje, zanim się trochę uspokoi. Staliśmy w milczeniu, czując okropne bez wyjścia położenie. A hr. Działyński znów — kto się podejmie na ochotnika przechować broń.

Najlepiej niech hrabia sam wyznaczy. Odwraca się i mówi: Rotmistrz Myśkiewicz, Pieniążek, Gliszczyński, weźcie tę broń i zachowajcie ją dobrze, aby jeszcze kiedyś ojczyzna miała z niej pożytek. A czy w złych, czy w dobrych czasach, proszę zawsze na mnie rachować!

Pożegnaliśmy się z wszystkimi, wzięliśmy broń, która była złożoną, coś na pięciu furgonach i puściliśmy się w lasy.

W lesie napotkaliśmy jakiś szałas, prawdopodobnie służyło to w lecie za postój dla bydła, i tam, zdawało się nam, będzie najlepiej ją ukryć, z wozów poskładaliśmy broń do owej szopy.

Myśkiewicz miał odprowadzić fury do Złatkowa, majątku Ulatowskiego, chociaż na pewno nie pamiętam, ale tak mi się zdaje. Odjeżdżając powiedział: — Czekajcie, niedługo wrócę z łopatami, zakopiemy i gnojem przywalimy.

Pieniążek i ja zostawieni w lesie przy broni, czekamy i czekamy nadaremno, już dzień się robi, a tu Myśkiewicza nie widać. Co tu robić? zaczęliśmy rękami rozgarniać i pod spód broń pakować.

Gdy w tem słyszymy tentent... wyglądamy, zdala migają huzarzy.

— Wojtek — powiadam do Pieniążka — konie mamy doskonałe, cały pułk by ich nie dogonił, w konie, ruszajmy! albo nie, to w łeb sobie palnąć...

Pieniążek uchwycił za rewolwer. Nie — powiada — podjęliśmy się ukryć broń, mamy nie dotrwać, aby potem powiedzieli, żeśmy broń zostawili i sami uciekli, niech się dzieje co chce, a my musimy wytrwać na swoim posterunku, nie nasza wina, żeśmy broni nie uratowali.

Cóż dalej — gen. Kostenda wpada na nas; z Grodzieńskimi huzarami, i zbitych, zmaltretowanych do niemożebności zabierają nas do Konina. A tam współczucia dużo, ale koniec końcem odczytują nam wyrok śmierci.

Tymczasem towarzysz nasz, rotmistrz Myśkiewicz, został mianowany dowodzącym tak zwanych: konnych latających oddziałów.

Około miasta Koła miała donacyę niejaka baronowa Krajcowa, której mąż był generałem adjutantem przy carze, ona zaś z domu Polka. Wpadł do niej Myśkiewicz, zaczął molestować, ona obiecała wstawić się za nami, i rzeczywiście zamienili wyrok śmierci, na posielenie na Sybir.

Wtenczas to Pieniążka wywieziono na Syberyę, a mnie, ponieważ wylegitymowałem się jako pruski poddany, wysłano do Prus.

Tam w Poznaniu w więzieniu siedziałem przez pół roku. Następnie jako „Unsiecher kantonist“ wysłano do Szczecina do „Arbeits companie“, a w końcu na wojnę duńską.

Sarańczuki d. 1. lutego 1903 r.



RAFAŁ HIRSCH.

Z oddziału Jagmina.

(Wspomnienie).

W grudniu 1863 r. przed świętami Bożego Narodzenia, a więc w pięć miesięcy po fatalnej kampanii pod Radziwiłowem, wyruszyliśmy z punktu zbornego w lasach poturzyckich, własności ś. p. Włodzimierza hr. Dzieduszyckiego, pod dowództwem majora Jagmina w stronę Hrubieszowa. Oddział liczył około 130 ludzi; 50 jazdy, w płaszczach ciemnobrązowych z obszewką czerwoną, zbrojnych w pałasze pistolety i sztućce, i 80 piechoty w płaszczach siwych obszytych czerwono, uzbrojonych sztućcami belgijskimi, wszyscy w czapkach białych z wyłożeniem czerwonem w górę. Major Jagmin, uczestnik wyprawy pułkownika Miłkowskiego z Turcyi i utarczki z wojskiem mołdawskiem, liczył około 66 lat, słuszny, z małą głową na szerokich barkach, ruchliwy. Ze starszyzny pamiętam: rotmistra Jaszewskiego, żołnierza z pod Miechowa i Radziwiłowa, lat 30, wysoki dwa metry, utykał z rany z pod Miechowa; porucznika plutonowego jazdy Czudowskiego (sotnik kozaków ros.) i adjutanta sztabu Kozieradzkiego, wychowanka akademii wojskowej petersburskiej, lat 26, miły, energiczny; kapitanów Wojnę, Pogorzelskiego i Etnera; porucznika Teofila Chudzikiewicza, księdza bazylianina z pod Radziwiłowa i sierżanta Zarębę. Oddział składał się przeważnie z Litwinów, z Galicyi około 46, przeważnie rzemieślników. Ja 19-sto letni chłopak, byłem szeregowcem jazdy.

Wśród ostrej zimy, trudno było prowadzić pamiętnik kolegów, wypadków i miejscowości, niepewny jutra, nie troszczyłem się o to.

Na kordonie u słupów pogranicza dwóch zaborów, wstrzymano wieczorem pochód. Jagmin otoczony nami, po komendzie „baczność“, wskazał granicę i zawołał: — „O krok tam przygody, kto z odwagą, za mną, kto jej niema niech się cofnie! Dyscyplina wojskowa, bez litości, posłuszeństwo bez granic. O kroków kilka za tym płatem ziemi, co nas dzieli, szukamy wroga w szynelach, a oni szukają nas. Ręka w górę kto za mną!“ Sto kilkadziesiąt rąk wyrosło nad głowami. „Dobrze! Czapki w dół, uklęknąć!“ Kapelan ukląkł w pośrodku, zmówiwszy modlitwę, spowiedź, obozowa komunia, potem uroczyste złożenie

przyrzeczenia, adjutant Kozieradzki odczytał regulamin, rozdano ładunki, „nabij broń“ i „w pochód“.

Gdzie odbyły się potyczki, nie pomnę. Dotarliśmy aż po Brześć litewski przechodząc przez okolice Zamościa, Krasnostawu, Lublina i Chełma. Utarczki z wojskiem rosyjskiem były raczej nękaniem, mróz zabierał wiele ofiar; z powodu świeżej baraniny, biegunka. Oddział posuwał się uciążliwie, po kilku bitwach, jeśli je tak nazwać można, zmniejszył się. Po dwóch lub trzech tygodniach Jagmin zachorował, a dowództwo po nim objął major Rylski. Z nim to odszukaliśmy grupami 60 żołnierzy z sławnego oddziału Ćwieka, zbiedzonych, ale dobrze uzbrojonych, walczących już dziewięć miesięcy. Nie myśleli o złożeniu broni; głodny, nie marzy tak o chlebie, chciwiec o złocie, jak każdy z nich choćby o jednym naboju. Znali się dobrze, a do boju szli jak w taniec. Wzmocniony nimi, liczył nasz oddział około 160 ludzi.

W dwa lub trzy tygodnie później po zasłabnięciu Rylskiego, objął dowództwo major Lutyński przyłączywszy się z 36 ułanami, na których jeszcze świeciły szczątki mundurów. Mundurami tymi obdarował Rząd Narodowy oddział Krysińskiego. Lutyński w wieku około czterdziestki, blady, brunet z zarostem, energicznie utrzymywał karność. W tym czasie (druga połowa stycznia) rozstrzelano jednego z szeregowców; rotmistrz Jaszewski uśmiercił wachmistrza; sierżant Zaręba miasto kuli dostał 24 ladsztoków, tenże kiedy wkrótce potem ubił kilku kozaków, wydobyty z pod kopyt końskich, został napowrót sierżantem. Starszyzna radzi nad usunięciem pomruku. Wezwany przybywa major Rylski i obejmuje dowództwo. Lutyński oddzielił się ze swymi, a w kilkanaście dni potem odczytano nam raport, iż został zniesiony przez Moskali.

Rocznicę powstania obchodziliśmy w jakiemś miasteczku, w powiecie zamojskim? Zebrały się oddziały Rylskiego, Lutyńskiego i Karolego, po nabożeństwie gościli nas mieszczanie suto w rynku. W lutym stoczyliśmy bitwę pod wodzą Rylskiego na dworze pod jakimś folwarkiem. U nas poległo dwóch, rannych siedmiu. Kozaków ubiliśmy czterech, atak odparty, rannych swych Moskale zabrali.

Odtąd ścigani przez Moskali, otoczeni, nie mamy chwili spoczynku. Oddział uszczupla się, jednak się wymykamy. Około połowy lutego dopadły nas nad ranem w jakimś dworze trzy kompanje piechoty, szwadron dragonów i pół sotni kozaków.

Kawalerya nasza tyralierką z koni wstrzymuje ataki, tymczasem piechota zajęła pozycyę w sosnowym lesie, my lokujemy się za linią bojową w tyle piechoty, wszystkie natarcia odparliśmy. Pod wieczór zabieramy zabitych i rannych na podwody, kilkunastu „Ćwieków“ pozostawionych na stracenie, broni pozycyi. Jazda flankeryą zasłania odwrót. W pierwszem napotkanem siole pozostawiamy niezdolnych. Nocą niespodziewanie dzielą nas na sześć małych oddziałów, a to: Ćwieków na dwa, Jagmińczyków pieszych na dwa i kawaleryę na dwa. Ja z oddziałem 36 ludzi pod rotmistrzem Jaszewskim, wymykamy się z matni. Po dwóch dniach stanęliśmy na popasie w folwarku otoczonym lasem, na stromej wyżynie. Nim się jadło dogotowało, zaalarmowani gwizdawką, stajemy do pochodu; przed frontem rotmistrz oznajmia nam, że jesteśmy otoczeni, a ratunek w rozsypce, albo za nim. Ruszyliśmy w pochód za rotmistrzem. Były nadto z nami dwie podwody, na jednej furaż, na drugiej kapelan i kapitan Etner ranny. Po pół godzinie czujnego marszu ujrzeliśmy dragonów, którzy nas zaatakowali z wrzaskiem strzałami. Pomknęliśmy kupą, w bagnisku leśnym większa część naszych ugrzęzła. Pamiętam, dwóch huzarów austryackich Istwan i Boruta także tam śmierć znaleźli. Ja wleczony strzemieniem za nogę, odrywam się i staczam w jar z śniegiem. Huragan przelatuje nademną. Potem słyszałem jeszcze strzały i rozpaczliwą obronę naszych. Nieszukany przechowałem się do nocy. Czapkę, but z lewej nogi straciłem, pałasz i pistolet ocalały. Nocą wybrnąłem, z jednej strony miałem szlak boju, z drugiej wzniesienie do lasu; wybrałem ostatnie. Po dwóch dniach przybyłem nocą do wsi, wszedłem do oświetlonej chaty, tam gospodarz z gospodynią nakarmili mię i obdarowali berlaczami i czapką. Ukryty na strychu usnąłem. W godzinę obudził mię jeden z rozbitków oddziału Karolego. Dwóch ich przybyło po żywność i „języka“. Nie znalazłszy nic prócz mnie, zabrali mię na koniu za kulbaką do oddziału w lesie, składającego się z dziewięciu ludzi. Głód i zimno przerywaliśmy opowiadaniem przygód. Za rozkazem starszego o północy, ja i Maciejowski wyjechaliśmy, aby dotrzeć do dworu lub wsi po „język“ i żywność. Maciejowski, kongresowiak, był już 11 miesięcy pod bronią, poszedł do powstania z paniczem swoim, który został zabity pod Kockiem (dowodził generał Kruk).

Nie uzyskawszy nic, wracaliśmy do swoich, gdy wtem z pod lasu wysunął się oddział kozaków. Po kilku strzałach i okrzyku „kto idiot“ natarli na nas. Uciekając w kierunku przeciwnym od

naszych, uszliśmy kontrmarszami, a na noc ulokowaliśmy się w młodniku sosnowym. Nad ranem spostrzegliśmy dym, Maciejowski złożył broń prócz pistoletu, poszedł w stronę dymu, a w pół godziny powrócił, opowiadając, że znalazł trzech chłopów i żyda kręcących wici do spławu na Wieprz.

(Przypomiałem sobie tu, że uchodząc pod Jaszewskim przeszliśmy byli w 36 koni Wieprz, lód jednak był już podmyty i trzech utonęło).

Znaleźliśmy więc posiłek dla siebie i koni i odpoczywaliśmy cały dzień. Nazajutrz o świcie, jeden z chłopów ofiarowawszy się poprzednio, miał nas zaprowadzić do jakiego dworu. Po czterech godzinach marszu, znaleźliśmy w lesie maziarnię, przy niej stał wóz zaprzężony w dwa bułane konie, a do wozu przywiązane cztery piękne siwki. W maziarni zastaliśmy woźnicę ze dworu, który opowiedział nam, że dziedzic tych lasów przysłał go tu z czteremi arabskiemi klaczami, gdyż Moskale zabierają wszystkie konie po dworach, by powstańcy nie mieli na czem „wojować“.

Było to schronisko, gdzie od początku powstania noga „sołdata“ nie stanęła. Młodszy fornal wrócił do dworu, aby zawiadomić pana, o naszem przybyciu i prosić o pomoc i radę. Pod wieczór przybył młody pan i przywiózł mapę, szynkę całą, chleb i flaszkę wódki. Skreśliłem szkic mapy i szlaki dróg do granicy Galicyi, oddalonej około mil dwanaście. Prosiłem o zmianę 10 złr. na ruble, dał 10 rubli, moich pieniędzy nie przyjął.

Posileni, w wesołem usposobieniu, ułożyliśmy się do snu; ja, Maciejowski, woźnica i przewodnik, który nie chciał wracać, aż odjedziemy bezpiecznie. Około pierwszej w nocy, zaalarmowało nas dobijanie się do bramy, szczęk broni i parskanie koni. Po długich a ostrych naleganiach otworzyłem bramę, szukając równocześnie drogi do ucieczki, ale mowa ojczysta przybyłych rozbudziła mię do reszty. Poznałem głos czternastoletniego kolegi Żelesławskiego, syna burmistrza z Krasnostawu, dzieciaka prawie. — „To ty Żelesławku“, zawołałem. — „Ja“! — „A tyś kto“? — „Rafał“! — „A myśmy cię widzieli wlokącego się za koniem, zabitego...“ — „Boża ręka, jam zdrów“. — „To ty rotmistrzu kochany?“ — „Tak!“ Zapałka zajaśniała i rzuciliśmy się w objęcia. Przybyło ich 14, przeważnie Litwinów i Żmudzinów nieznanych mi, z Jagmińczyków było nas czterech, rotmistrz Jaszewski, Żelesławski, ogrodniczek hr. Dzieduszyckiego Jasiek i ja. Dowiedziałem się, że z naszego oddziałku ani jeden nie ocalał.

*

Wskazałem mapę, a na niej drogę do Galicyi. Rano wyruszyliśmy a w dwa dni z przeszkodami przeszliśmy w szesnastu granicę. W pierwszym dworze odebrali nasi konie i broń, wsadzili nas na podwody i zawieźli do Poddubiec, gdzie ulokowano nas w pałacu hr. Lanckorońskich.

Po kilkunastu tygodniach walk i trudów stanęliśmy znów w Galicyi, z początkiem marca, tu zastaliśmy stan oblężenia. W Poddubcach nad ranem otoczyli nas Austryjacy „Stefanki“ z komisarzem i dwoma żandarmami. Wymknąwszy się z pałacu przebrałem się w kredensie za parobka i przetrwałem szczęśliwie rewizyę. Sześciu Litwinów aresztowano, inni koledzy ukryli się. Nie widziałem się już z nimi, wprost bowiem ze stajni odesłano mię furą do sąsiedniego dworu. Odmówiono mi tu jednak wszelkiej pomocy, z powodu stanu oblężenia. Wyminąwszy wszystkie przeszkody dostałem się szczęśliwie do domu rodzicielskiego. Kiedy mi odebrano konia i broń, dostałem pisemne uwolnienie potwierdzone pieczęcią województwa grodzieńskiego i podpisem generała Kruka, z wezwaniem do obywateli, o udzielenie mi pomocy dla wyleczenia z ran, jako żołnierzowi walecznemu i w boju przytomnemu.

Po latach trzydziestu doszły mię wiadomości, że porucznik piechoty Teofil Chudzikiewicz żyje i jest we Lwowie szefem bióra, przy krakowskiem Towarzystwie ubezpieczeń. Odnalazłem go; intrygowany wspomnieniami poznał mię wreszcie. Opowiedział mi, że po rozdzieleniu oddziału, prowadził trzydziestu kilku ludzi. Zbiedzonych zaatakowała sotnia Kozaków; porąbano ich. Tu schyliwszy się wskazał na głowie pięć zabliźnionych ran od pałasza, które zrosiłem łzami, całując. Z lazaretu wysłano go na Sybir, skąd po latach sześciu powrócił do Galicyi. Przed kilku laty zmarł, pozostawiwszy rodzinę.

Do dziś z żadnym innym towarzyszem opisanych przejść nie zetknąłem się.

W Garbkach obok Rohatyna 4. I. 1903.



JÓZEF JANKOWSKI.

Na Żmudzi.

(Wspomnienie).

Na początku 1863 roku byłem w Moskwie, na 3-cim roku fizyczno-matematycznego fakultetu. Na uniwersytecie moskiewskim było wtedy przeszło 500 studentów z Litwy i Kongresówki, przeważnie jednak z Litwy, ponieważ „Koroniarze“, — jak ich nazywaliśmy, — udawali się zwykle na uniwersytet w Petersburgu. Ci wszyscy Polacy należeli do jednego stowarzyszenia, oczywiście tajnego, zwanego „Ogół“. O przygotowaniach do powstania nic nie wiedzieliśmy, tak, że wiadomość o wybuchu dnia 22. stycznia 1863 była dla nas niespodzianką. Gdy ogłoszono plakatami, przesadzone wiadomości o wyrżnięciu Moskali w rozmaitych miejscach Królestwa Polskiego, — położenie nasze w Moskwie stawało się niebezpiecznem, tembardziej, że wielu z naszych ubierało się w czamarki i sukmany chłopskie, ponieważ dawniejsze mundury były już od paru lat zniesione. Moskale zaczynali się odgrażać. Na razie jednak niewiadomo było co robić, czy zaraz jechać, czy czekać wezwania z kraju i najprzód się porozumieć z organizacyą, jaka zapewne istniała na Litwie. Wysłano w tym celu Tytusa Dalewskiego (później powieszonego) do Wilna. Po powrocie jego dowiedzieliśmy się, że kazano młodzieży czekać. Jednak było to widocznie polecenie od partyi „Białych“. Polecenia tego mało kto posłuchał, widząc, że powstanie wzrasta i w marcu zaczęło się na Litwie. Większość młodzieży powyjeżdżała. Ja wyjechałem w kwietniu przed samemi Świętami Wielkanocnemi. Dostałem do przewiezienia 5 większych rewolwerów (system Adamsa). Umieściłem je w małej ręcznej walizce, ażeby nie oddawać na wagę, bo ciężar byłby podejrzanym.

Podróż koleją do Wilna odbyłem bez przeszkody. Zdawało się, jakby Moskale nie zważali wcale na to, że młodzież z uniwersytetów udawała się, czyli wracała do kraju, chociaż to nie były jeszcze wakacye. Jechaliśmy pojedynczo, aby nie zwracać uwagi. W Wilnie miałem adres K. (byłego studenta w Moskwie, który należał do organizacyi i podobno został następnie zesłany na Sybir). Przyjechawszy do Wilna na dworzec kolejowy, wziąłem dorożkę i kazałem jechać według adresu K., mieszkającego w pobliżu ogrodu botanicznego. Była godzina 10-ta lub 11-ta

w nocy, w mieście ruchu żadnego, tylko patrole kozackie. Gdy dojechawszy na miejsce, nie mogłem znaleść wskazanej bramy i dostukać się, nadjechali kozacy z zapytaniem, dlaczego stoimy na ulicy. Myślałem, że będzie źle ze mną, ponieważ w razie najmniejszego podejrzenia — zabierali na policyę, a tam rewizya odkryłaby rewolwery. Dorożkarz jednak, widocznie domyślał się kogo wiezie, bardzo się ostro stawił kozakom i ci odjechali, nic nie mówiąc.

Będąc jeden dzień w Wilnie, widziałem na placu przed katedrą przegląd wojska po wyprawie na oddział Narbutta. Gubernatorem był wtedy — jeszcze Nazimow. Z jakiem uczuciem patrzałem na tę paradę, można sobie wyobrazić.

Z Wilna wyjechałem do Kowna, mając adres członka komitetu, który miał mi ułatwić dostanie się do obozu powstańców. Udałem się pocztą obywatelską pod miasteczko Kiejdany, unikając spotkania z Moskalami, do Zastasina, należącego do dóbr Kiejdańskich hr. Maryana Czapskiego. Tam nasza rodzina szukała schronienia, ponieważ Zastasin położony jest w lasach, a wszystkim się zdawało w początku powstania, że tam będzie bezpieczniej niż w miasteczku. Okazało się wkrótce, że było przeciwnie: partyzantka 1863—64 roku toczyła się przeważnie w lasach, gdzie się powstańcy chronili i organizowali, tak, że wsie i dwory położone pod lasem były najwięcej narażone. Z Zastasina, gdzie znalazłem kilku towarzyszy broni, dostałem się d. 2-go kwietnia do małego oddziału powstańczego, około 30 ludzi, należącego do partyi Kuszłejki, który chwilowo — po bitwie pod Lenczami — podzielił ją na kilka oddziałów, w celu łatwiejszego wyżywienia ludzi. W ten sposób dostałem się do Tomasza Kuszłejki, który jako major wojska moskiewskiego — brał udział w kampanii Węgierskiej 1849 roku, potem osiadł w Bortkuniszkach, w majątku, który nie był jego własnością w całości, a o który potem procesował się z braćmi, będąc na emigracyi. Na wezwanie powstańców zgromadzonych pod Lenczami, Kuszłejko objął dowództwo, lecz — jak wiadomo — potyczka tam stoczona, byłaby przegraną, gdyby w czas nie przybył Jabłonowski (Dłuski) z oddziałem poniewieżskim.

W oddziale Kuszłejki d. 8. maja zostałem dowódzcą plutonu t. j. oficerem, a potem jego adjutantem. Po zebraniu się mniejszych partyj, Kuszłejko pilnie mustrował i organizował oddział, kazał pisać wezwania do ludności. Mieliśmy pieczątkę „Pułk nadniewiażski“. Obozowaliśmy w lasach po kilka

dni w jednem miejscu. Oddział liczył około 400 ludzi, ale z tego było więcej niż połowa kosynierów. Niektórzy, zamiast kos, mieli dzidy do kłucia. Brakowało broni t. j. karabinów, mieliśmy tylko kiepskie strzelby myśliwskie, często dawne „skałkówki“ przerobione na pistonówki. Wyjątkowo miałem sztucer belgijski i rewolwer, który przywiozłem z Moskwy.

Brakowało także oficerów i inteligencyi, ponieważ oddział składał się przeważnie z miejscowych chłopów.

Gdy oddział został zorganizowany, zaczęliśmy wychodzić z lasu i przeciągać przez wsie. Ochotników nie brakło, ale nie było ich czem uzbroić.

Na Żmudzi, o ile mi wiadomo, pod hasłem „za wiarę i Ojczyznę“ można byłoby uformować korpus wojska, bo chłopi „skarbowi“ t. j. z dawnych dóbr królewskich, których bardzo wiele było na Żmudzi, poszliby wszyscy. — Natomiast chłopi, którzy jeszcze należeli do dworów i pańszczyznę odrabiali, — byli albo obojętni t. j. niedowierzający, albo występowali otwarcie przeciw powstaniu, ponieważ Moskale ich bałamucili. Wyjątki te jednak były rzadkie.

„Pułkownik“ Kuszłejko, mając już oddział zorganizowany, nie wiedział, co z nim robić. Chciał mieć rozkazy i według tego postępować. Dwa razy urządzał wyprawę na zasadzkę, ale bez skutku: pierwszy raz, była wysłana tylko część oddziału, drugi raz cały oddział maszerował nocą ku gościńcowi z Kiejdan do Bejsagoły. O świcie byliśmy w pobliżu Bejsagoły, ale Moskale nie przyszli. Gdy doszła nas wiadomość, że oddział powstańczy zastępcy wojewody t. j. naczelnika sił zbrojnych województwa Kowieńskiego, Laskowskiego (nosił pseudonim „Ignacy Zgorszczyzna“) i księdza Mackiewicza — ma nocować w lasach sąsiednich, Kuszłejko postanowił udać się do nich po rozkazy. W towarzystwie kilku kawalerzystów udałem się razem z Kuszłejką. Przybyliśmy o świcie. Było to, zdaje mi się, na początku czerwca 1863 r. Po forsownym marszu wszystko w obozie spało. Dostawszy się do sztabu, czyli do naczelników, zamiast rozkazów, usłyszeliśmy radę, aby z oddziałem naszym udać się gdziebądź, w celu uniknienia spotkania z Moskalami. Kuszłejko zastosował się oczywiście do tej rady. Dnia 8. czerwca 1863 ciągnęliśmy przez wieś Worniany w powiecie Szawelskim. Zatrzymaliśmy się tam w południe i dobrze się udało, bo znaleźliśmy żywność przygotowaną dla oddziału ks. Mackiewicza; ale za to nadciągnęli na nas Moskale, którzy szli śladem tego oddziału.

Gdy po wyjściu ze wsi, zbliżaliśmy się do lasu, spostrzegliśmy z tyłu Moskali z kozakami na przodzie. Kuszłejko polecił oddziałami zejść z drogi do lasu, który był gęsty i niski przy drodze, a dalej wysokopienny. Po wyciągnięciu linii wzdłuż drogi, nie widzieliśmy nic przed sobą. Moskale zaczęli strzelać, lecz kule ich nie były nam szkodliwe, tylko obcinały gałęzie wyżej naszych głów. My strzelać nie mogliśmy, ponieważ las zasłaniał nieprzyjaciela. Po pewnym czasie zakomenderowano — dalej w las. Odstąpiliśmy w porządku i zebraliśmy się w miejscu bezpiecznem. Okazało się potem, że oprócz paru ludzi zabitych czy ranionych, żadnych strat nie było. Ale oddział nasz dużo stracił pod względem moralnym, bo utracił ducha.

Na tem skończyła się wojenna działalność pułkownika Kuszłejki. Wkrótce potem, dla ułatwienia utrzymania oddziału, podzielił go na kilka części, a sam zaczął się ukrywać osobno, komunikując się z oddziałem za pomocą kawaleryi. Mnie zatrzymał przy sobie, jako adjutanta. Przypominam sobie, że otrzymaliśmy rozkazy „Rządu Narodowego“, ażeby unikać starć z Moskalami i przelewu krwi. Nic dziwnego więc, że Kuszłejko nie zdobył się na wydatniejszą czynność. Ukrywanie się moje wspólnie z Kuszłejką niedługo trwało, na początku sierpnia Kuszłejko odprawił cały swój sztab, zapewne w tym celu, aby ukryć się lepiej. Od tego czasu nie widziałem go więcej, aż do spotkania w Szwajcaryi w 1864 r.

W fejletonie Gazety Narodowej w 1879 roku podano „historyę pułku Nadniewiażskiego“, w której czynność pułkownika Kuszłejki przedstawiono z wielką przesadą: było nas około 400 ludzi, tam podano 4200 i t. d. Po ustąpieniu Kuszłejki zostało przy mnie około 30 ludzi, którymi musiałem się zaopiekować, jako najstarszy oficer i doprowadzić ich do większego oddziału powstańczego. Zkomunikowanie się było bardzo trudne, Moskale byli już w tym czasie t. j. w sierpniu, wrześniu i październiku 1863 r. gęsto rozsiani po całym kraju, stali we wszystkich miastach i miasteczkach. Czynność nasza była wtedy tylko alarmującą: posyłaliśmy wieczorem ludzi na ochotnika pod Kiejdany, oraz inne miejscowości w celu dania kilkunastu strzałów, a w nocy maszerowaliśmy w przeciwną stronę. Po długich staraniach, dowiedziałem się o miejscu pobytu wojewody Laskowskiego i w końcu października lub może w listopadzie dotarłem z mymi ludźmi do jego obozu w puszczy Kowieńskiej zwanej „Tyszkinia“ (las Tyszkiewicza pod okolicą Gojżewką).

W obozie Laskowskiego było zaledwie około 50 ludzi. Laskowski czynność swoją ograniczał na ukrywaniu się i unikaniu spotkania z Moskalami: żywność, t. j. przeważnie kartofle, sprowadzał z dworów za pomocą zaufanych ludzi. Chleba w obozie wcale nie było. W tym czasie, ks. Mackiewicz z Kognowickim uwijali się ze swoją kawaleryą w powiatach poniewieżskim i kowieńskim i zostali rozbici w tak zwanej „Powiatówce“ t. j. w lesie niskopiennym, który przytykał do lasu Tyszkini. Ks. Mackiewicz, Kognowicki oraz inni umknęli. Aleksander Domaszewicz, pokłuty bagnetami, dostał się w niewolę do Kiejdan, skąd się jednak potrafił wydostać, po wyleczeniu się z większych ran. W tym to czasie, ks. Mackiewicz postanowił emigrować, ponieważ dalsze utrzymywanie powstania narażało kraj na coraz gorsze prześladowania i przed wyjściem za granicę był w naszym obozie wspólnie ze swoim kasyerem Dertiuzim. O pojmaniu ks. Mackiewicza i o powieszeniu dowiedzieliśmy się wkrótce, ale nie wszyscy wierzyli.

W listopadzie wypadły śniegi, coraz trudniej było z żywnością. Laskowski zryzykował posłać ludzi do wsi okolicznej po chleb, słoninę, oraz inne potrzeby, spodziewając się jednak, że to sprowadzi Moskali, bo wieśniacy — pod grozą wypędzenia na Sybir — byli obowiązani zawiadamiać Moskali o bytności powstańców. Było to przy końcu grudnia 1863 r. Wieczorem, idąc śladem zrobionym na śniegu przez posłańców po chleb, Moskale z łatwością trafili do obozu. Był już zmrok: usłyszeliśmy strzał na pikiecie. Nie wiem dlaczego, Laskowski nie przygotował oddziału na przybycie Moskali. Czekałem z moim sztucerem na rozkaz strzelania. Było już prawie ciemno. Widziałem konnego, który wołał „nie strzelać, to nasi“. Potem okazało się, że to był kozak. Bez potyczki cofnęliśmy się w głąb lasu i mając dobrych przewodników, pomaszerowaliśmy na drugą stronę gościńca Kowieńskiego do „Orłowskiej puszczy“. Nad ranem byliśmy jeszcze w niewielkim i rzadkim lesie. Licząc na to, że Moskale wkrótce nadejdą, a chcąc dać odpoczynek oddziałowi, Laskowski rozstawił nas w tyralierkę i posłał po żywność. Dostaliśmy mięsa wieprzowego, świeżo bitego, ale bez chleba i bez soli. Moskale jednak nie przyszli, ruszyliśmy więc dalej w głąb lasów. Wieczorem na drugi dzień usłyszeliśmy na pikiecie strzał i krzyk pod samym obozem. Nie wiem dotychczas w jaki sposób Moskale podeszli pod obóz, zdaje mi się, że mieli chłopów na przodzie. Cały nasz oddział, za przykładem naczelnika, począł uciekać,

chociaż, prawdopodobnie, można było powstrzymać napastników bardzo łatwo, bo las był gęsty, a dużo drzew zawalonych, co zowią „zawałami“. Noc wkrótce zapadła, pościg ustał, Laskowski był z nami i oświadczył, że niema sposobu utrzymania się w większych oddziałach. Laskowski szczęśliwie przeszedł granicę, widziałem go w 1865 r. w Paryżu. Miał to być zdolny wojskowy, ale kiepski partyzant.

Ja się przyłączyłem do małej partyi z 7 osób złożonej, do której należeli Wacław Ibiański (były dowódzca Robak), ksiądz Piotrowicz, Iliasiewicz i Bolesław Selens. Udaliśmy się do lasów pod Datnowem i przepędziliśmy tam całą zimę, przypuszczając, że na wiosnę 1864 r. znowu powstanie wybuchnie. Z tego obozowania w lesie, — mniej więcej w tem samem miejscu, — jest to ciekawe, że, jak to potem dowiedzieliśmy się — cała wieś o nas wiedziała, a nikt nie doniósł Moskalom. To najlepiej wykazuje, jakie było usposobienie włościan na Żmudzi. Komunikowaliśmy się ze światem za pośrednictwem znajomego chłopa Marcinka, który dostarczał nam za pieniądze mąki owsianej na kaszę, słoniny, wódki, cukru i herbaty. Chleba nie mógł dla nas piec, aby nie wzbudzić podejrzenia. Paliliśmy „wieczny“ ogień, jeden z nas czuwał. Z siedmiu partyzantów, wkrótce zostało tylko pięciu: Iliasiewicz i Selens odwiedzali rodzeństwo w pobliżu i zostali złapani przez Moskali.

Co to była za tęga dusza ten chłop Marcinek, który nam dostarczał pożywienia, najlepiej okazało się na wiosnę. Zjawił się któregoś dnia w nocy w naszym obozie spłakany i zbity okropnie. Moskale napadli na jego chatę i kazali pokazać, gdzie są powstańcy. Marcinek wyparł się stanowczo, ale został zbity i pokaleczony. Ten sam Marcinek ułatwił też nam skomunikowanie się z Kownem i przyniósł wiadomość, że nie pozostaje nam nic innego, jak ucieczka zagranicę. Kto tego nie doświadczył, zapewne nie potrafi sobie wyobrazić, jak to smutno kraj rodzinny opuszczać, szczególniej w obec okoliczności nieudałego powstania. Do ostatniej chwili, łudziliśmy się nadzieją, że powstanie znowu będzie, a emigracya była ostatecznością.



JÓZEF KAJETAN JANOWSKI.
(JERZY).

Biały Janek.

W organizacyi powstańczej Rządu Narodowego, bardzo ważną jej częścią była policya Narodowa.

Zadaniem Narodowej policyi, było przeważnie, a nawet śmiało rzec mogę wyłącznie, przeciwdziałać i paraliżować, tajemne i podstępne usiłowania policyi moskiewskiej, w staraniach odkrycia organizacyi powstańczej. Oprócz tego, podobnie, jak rząd moskiewski — przez swoją policyę, usiłował wcisnąć się w organizacyę narodową, i tą drogą dowiadywać się o działaniach i zamiarach Rządu Narodowego — tak samo i Rząd Narodowy — przez swoją policyę, musiał szukać zetknięcia, ze wszystkiemi urzędami i władzami nieprzyjacielskiemi, od najniższych do naczelnych. Były to zwyczajne wojenne miny i kontrminy. To podwójne zadanie policyi Narodowej, czyniło ją właśnie jedną z najważniejszych instytucyi powstańczych. Zorganizowanie jej było trudnem i niebezpiecznem. Wymagało bardzo wielkiej przezorności, przenikliwości i odwagi — obok rozumnej i rozważnej ostrożności.

W pierwszych miesięcach powstania, organizowanie i samo działanie policyi narodowej, było o wiele łatwiejszem. Z wyjątkiem władz czysto wojskowych — wszystkie inne władze i urzędy były polskie. Cała policya była przeważnie z Polaków złożona. Wypadki poprzedające powstanie, podniosły potężnie, ogólny nastrój i poczucie patryotyczne całej ludności, aż do najniższych jej warstw, szczególniej w miastach. W Warszawie nastrój patryotyczny doszedł do zenitu. To usposobienie mieszkańców, ułatwiało bardzo rozwój organizacyi powstańczej we wszystkich kierunkach. Wynalezienie ludzi chętnych i oddanych, nie było tak trudnem. Nie wtajemniczeni, i nie należący nawet ściśle do samej organizacyi, chętnie jednak spełniali, powierzane im pewne zadania i czynności. Posłuch dla Rządu Narodowego był niemal ogólny. Sama policya moskiewska, dostarczała policyi narodowej i wogóle powstaniu — chętnych i oddanych ludzi.

Jakoś w miesiącu kwietniu — jednej nocy, wyszło do powstania ośmdziesięciu żołnierzy policyjnych z oficerami. Ja sam miałem sposobność, zetknięcia się z nimi, i udzielenia im, po-

trzebnych instrukcyj i wskazówek, gdzie, jak i do którego oddziału udać się mają.

Zarodki organizacyi policyi narodowej istniały jeszcze przed powstaniem. Organizacya ta jednak nie miała charakteru ściśle ograniczonego. Organizacya, w tej formie, w jakiej przetrwała przez całe powstanie, została dokonaną już po jego wybuchu.

Nie miejsce tu, do szczegółowego opisu tej organizacyi. Nadmienię tylko, że w głównych zarysach, odpowiadała ona równolegle, organizacyi policyi nieprzyjacielskiej. Był więc naczelnik policyi z swoim pomocnikiem. Warszawa była podzielona na dzielnice odpowiednio cyrkułom — byli komisarze, rewirowi, ajenci. Oprócz tego w każdym urzędzie, nie wyjmując władz i urzędów wojskowych, nie wyjmując nawet jeneralnego sztabu i przybocznej kancelaryi namiestnika, byli ludzie, oddani zupełnie sprawie narodowej. Wszystkie nici tej organizacyi skupiały się w ręku naczelnika policyi - a prócz niego w ręku naczelnika miasta i jednego z członków Rządu Narodowego.

Trudne i niebezpieczne stanowisko naczelnika policyi narodowej — Komitet Centralny [1]) w początkach powstania oddał w ręce Jana Karłowicza, znanego jeszcze z organizacyi przedpowstańczej; pomocnikiem naczelnika był Jan Masson [2]). Karłowicz dla jasnych włosów nazywany był „Jankiem białym" — Masson zaś silny brunet „Jankiem czarnym". Obadwaj ludzie młodzi — nie mający nawet lat trzydziestu, obaj przyjaciele, mieli wiele cech wspólnych w charakterze i usposobieniu. Obaj gorący i gorliwi patryoci, energiczni, odważni aż do zuchwałości, gdy tego zachodziła potrzeba a przy tem roztropni mężni, rozumnie ostrożni, doskonale się uzupełniali. Janek biały, więcej stanowczy, szybko się orientujący, był rzeczywistym i doskonałym naczelnikiem. Janek czarny, posiadający więcej sprytu i przebiegłości — był wybornym wykonawcą.

---

[1]) Komitetem Centralnym, nazywała się naczelna Władza organizacyi ruchu przed powstaniem. Nazwa ta faktycznego rządu narodowego po wybuchu powstania utrzymała się i przetrwała aż do miesiąca maja 1863 r. — W tym bowiem dopiero czasie Komitet Centralny — przybrał tytuł Rządu Narodowego.

[2]) Jan Karłowicz był synem ubogich rodziców — w chwili powstania był kancelistą w magistracie warszawskim. — Jan Masson był synem zamożnych rodziców. — Ojciec jego był massarzem.

Dwaj ci ludzie założyli podstawy organizacyi policyi narodowej, która, jak powiedziałem, przetrwała do końca powstania, a po jego upadku — rozpłynęła się, że się tak wyrażę — najmniej stosunkowo dając ofiar Moskalom na pastwę. Składała się przeważnie z ludzi młodych. Jeżeli kto z jej członków, tak się na miejscu skompromitował, to jest ujawnił, że dalsza działalność jego, stawała się nietylko użyteczną, ale i niebezpieczną — to szedł do szeregów powstańczych walczyć z bronią. Walka z bronią, była niewątpliwie stokroć, można powiedzieć bezpieczniejszą, niż działanie w organizacyi cywilnej. — Na polu walki otwartej każdy widział nieprzyjaciela. Organizacya cywilna była też walką — ale z nieprzyjacielem ukrytym, chytrym, przebiegłym. Często członkowie organizacyi cywilnej znużeni i wyczerpani tą skrytą walką — sami domagali się wyprawienia ich do oddziału — w otwarty bój!

W krótkim czasie, oba te imiona „Janek biały" i „Janek czarny" — a szczególniej pierwszego z nich — stały się ogólnie znane, i były niemal na ustach wszystkich. Janek biały, jak powiedziałem, śmiały, odważny był wszędzie i nigdzie; — gdzie najniebezpieczniejsze było zadanie do spełnienia, tam szedł sam, nie dając się wyręczyć.

Prędko też policya nieprzyjacielska, słysząc to imie, nabyła przekonania, o ważności w organizacyi osoby imie to noszącej. Nie znała jednak nazwiska, że fotografia w owym czasie, nie była tak rozpowszechnioną — więc i wygląd osoby nie mógł być tak łatwo policyi znanym. Ktoś, gdzieś jednak mógł go wskazać. Rozpoczęło się zatem polowanie na owego „Janka białego".

W kwietniu już Janek biały, tropiony i ścigany, musiał się pozbawić własnego dachu — musiał się ukrywać, mieszkając i nocując przygodnie.

Podziwiać istotnie należało, odwagę i wytrwałość tego człowieka. Siłę mu dawała, jedynie głęboka i gorąca miłość Ojczyzny i to wysokie zrozumienie ważności pola działania, które mu przypadło w udziale.

Takie życie tułacze — z wiszącą nieustanną groźbą i niebezpieczeństwem — nie ustając ani na chwilę — prowadził aż do miesiąca listopada 1863 r.

Zdawało się nie raz Moskalom — że już go opętali w swe sieci — że już go mają — wpadają do domu, gdzie miał nocować — często zastają tylko ciepłe jeszcze łóżko; — wpadają

do kawiarni, do restauracyi, gdzie miewał schadzki i narady — ale już przyszli 5 minut zapóźno.

Janek biały zbierał osobiście owoce z przeprowadzonej przez siebie organizacyi. Wiedział on doskonale, o każdym kroku nieprzyjacielskim — prawie, że wiedział naprzód — nie to co nieprzyjaciel postanowił zrobić — ale to co dopiero zamyślał uczynić. Sieć jego organizacyi była zarzucona wszędzie — donoszono mu wszystko.

Należy tu oddać sprawiedliwość, już nie tylko Jankowi białemu, jako naczelnikowi — ale wszystkim jego podwładnym — bo wszyscy spełniali swoje trudne obowiązki, gorliwie i sumiennie. Janek biały umiał wszystkich natchnąć tym duchem, tą miłością Ojczyzny — która całą jego istotę ogarniała i przejmowała. Wszyscy go kochali, ufali mu, byli mu posłuszni i ulegli na skinienie.

Opowiem tu epizod, który najlepiej uwydatni, że tak powiem uplastyczni, postać tego prawdziwego bohatera — choć z wyglądu młodzieńca, małego wzrostu, wątłej budowy, jasnego drobnego blondyna.

Po wyjeździe z Warszawy W. K. Konstantego i objęciu rządów w Królestwie przez jenerała Berga, działanie organizacyi, stawało się coraz trudniejszem. Berg przedewszystkiem zreorganizował policyę. Obsadził najważniejsze posterunki Moskalami. Miało to dla nas pewną dobrą stronę — bo byli to ludzie nowi, obcy — zupełnie nie znający ani kraju, ani stosunków — a odznaczali się brutalstwem i dzikością — byli nimi prawie wyłącznie oficerowie gwardyi.

Ponieważ Ci przybysze, nie znali gruntu, na którym mieli działać — musiano pozostawić na stanowiskach, tak w jawnej jak w tajnej policyi — wielu Polaków — wybierając jednak takich, którzy odznaczali się niby najgorętszą służbą. — Wielu jednak z tych pozostawionych, należało do organizacyi narodowej — służyli oni i nadal tej samej sprawie, choć z większą ostrożnością. Byli tam jednak i tacy — którzy służąc przedtem wiernie nieprzyjacielowi, teraz tem gorliwiej, chcieli tę swoją służbistość i wierność okazać. Były także pomiędzy nimi charaktery słabe, zbłąkane; — obroża silnie zaciśnięta, przytłumiła w nich wszelkie jakieś szlachetniejsze uczucia — choć gdzieś tam w głębi duszy tlała jeszcze jakaś iskierka.

Jednym właśnie z takich, był w tajnej policyi moskiewskiej niejaki Zagórski. Był to człowiek bardzo niebezpieczny, zajadły

i nieubłagany tropiciel — posiadający nieograniczone zaufanie swoich przełożonych, używany do najtrudniejszych i najniebezpieczniejszych wypraw. Janek biały — usiłował wszelkimi sposobami, pozbyć się go, lub uczynić nieszkodliwym. Nie było jednak możności do niego trafić. Był zręczny, chytry, przebiegły, umiał zawsze się wymknąć — przewąchać niebezpieczeństwo i tem zajadlej jeszcze broił.

Janek biały postanowił jednak, za jakąkolwiekbądź cenę — jeżeli go nie zjednać — to przynajmniej ubezwładnić. Postanowienie takie mógł powziąć tylko człowiek tej miary, jakim był Janek biały. Przeczuł on w Zagórskim, owego człowieka zbłąkanego, w którego sercu tliła się jeszcze jakaś iskierka, lepsza, szlachetniejsza, do której należało trafić i rozdmuchać ją.

Janek biały, tak ścigany przez Moskali — przez tego samego Zagórskiego — za którego uchwycenie, nie wiem jaką by dali Moskale nagrodę — postanowił osobiście rozmówić się z Zagórskim.

Postanowił i wykonał.

Poszedł sam do Zagórskiego, przedstawił mu się, że jest Jankiem białym — którego tak szukacie. — Zagórski, wobec tej prawie tytanicznej odwagi człowieka, którego tak tropił, a który sam oddawał mu się w ręce — struchlał i oniemiał.

Janek biały miał w sobie tyle siły ducha, tyle potęgi, tyle zapału. które dać może tylko gorąca miłość Ojczyzny — że potrafił w przemowie swojej — u tego zdawało się skończonego zdrajcy, odszukać i rozniecić tę iskierkę szlachetności i miłości, tlejącą jeszcze w głębi jego serca. — Zagórski z płaczem rzucił mu się do nóg — Zagórski był już zjednany.

Pozostał on w służbie moskiewskiej — lecz odtąd wiernie służył sprawie Narodowej.

Moskale zachodzili w głowę — nie mogąc trafić na ślady zdrady.

W końcu padło podejrzenie na Zagórskiego. — Uwięziono go. — Zagórski jednak tak mądrze i przebiegle działał, że mu nic dowieść nie zdołano. Wysłano go jednak na Sybir i tam umarł.

Takim był Janek biały — cześć jego pamięci.

Jan Karłowicz na tem trudnem stanowisku naczelnika Narodowej policyi — wytrwał jednak aż do miesiąca listopada

1863 r. Znużony, zmęczony, nie mając gdzie głowy złożyć, choćby do chwilowego odpoczynku — ustąpił. — Do karabina nie był zdolnym — wyjechał więc za granicę. Po upadku powstania znalazł się w Paryżu. Tam musiał pracować, jak się dało na kawałek chleba. Na obczyźnie jednak nie było mu swojsko.

Przed samą wojną prusko-francuską — gdy stosunki w Galicyi. zaczęły się jakoś wyjaśniać — z wielu innymi przybył do Lwowa. Tu znalazł wielu znajomych i przyjaciół z powstania. Przy ich pomocy, zdołał uzyskać jakieś przedsiębiorstwo dostawy kamienia do budowy dróg krajowych. Praca ta szła mu nieźle, dawała mu nietylko środki do życia, ale mógł jeszcze coś odłożyć.

Wkrótce poznał przybyłą do Lwowa, młodą, piękną, zacną Litwinkę, pannę Maryę Reutt, siostrę zmarłego tak niedawno Gustawa Reutta — byłego partyzanta — a w chwili śmierci, dyrektora oddziału technicznego Wydziału krajowego — który prawie jednocześnie z Karłowiczem przybył z emigracyi do Lwowa. — Dwie szlachetne dusze łatwo przylgnęły do siebie. Jan Karłowicz i Marya Reutt — pokochali się i pobrali.

Karłowicz zebrał trochę grosza z przedsiębiorstwa, żona coś dołożyła — kupili wspólnemi siłami folwark Snopków, pod Lwowem. Karłowicz znalazł, nowe a nieznane mu zupełnie pole pracy — lecz przy wrodzonej energii — prędko się z tą nową pracą obeznał.

Niedługo jednak mógł się cieszyć żoną — dziećmi i pracą na swojej ziemi. Silny duchem był wątłego zdrowia. Zaczęły się objawiać symptomata suchot. Straszna choroba rozwijała się szybko. Z porady lekarzy — żona wywiozła chorego do Meranu. Oczekiwane nadzieje polepszenia zawiodły. Jan Karłowicz umarł w S. Remo dnia 19 listopada 1881 roku i tamże pochowany.

To gorące i szlachetne serce, co taką miłością pałało dla rodzinnej ziemi, przestało bić na ziemi obcej i obca też go ziemia przyjęła.

Lwów w kwietniu 1903 r.



STANISŁAW JARMUND (†)

W obozie Czachowskiego.

Około 2 lub 3 kwietnia 1863 r. zostałem wezwany przez Rząd Narodowy, abym się udał jako nadzwyczajny pełnomocny komisarz Rządu w województwa Sandomierskie i Krakowskie. Było to w jakie dni dziesięć lub dwanaście po haniebnej ucieczce Langiewicza i przejściu za granicę wszystkich kilkotysięcznych sił pod jego rozkazami zostających.

Wiadomo powszechnie, iż niespodziewane i nieprzewidywane przez nikogo ogłoszenie zaimprowizowanej i intrygą doprowadzonej do skutku dyktatury Langiewicza, wprowadziło zamęt w dotychczasowych działaniach Komitetu Centralnego, czyli Rządu Narodowego, Dziesięciodniowe trwanie dyktatury nie przyczyniło się do zaprowadzenia porządku, a haniebny jej upadek ostatecznie spowodował zupełne rozprzężenie młodej, dopiero zaczynającej się rozwijać organizacyi. Trudność komunikacyi spowodowała, iż przez kilka dni o upadku dyktatury najdziwaczniejsze krążyły wiadomości i ani obecni w Warszawie członkowie b. Komitetu Centralnego, ani nikt inny nie wiedział dokładnie, co i jak się stało. Była chwila, że powstanie żadnej naczelnej nie posiadało władzy. Wkrótce jednak dawny Komitet Centralny, zmieniwszy w części skład swój dotychczasowy, ujął jako Rząd Narodowy, kierunek spraw w swoje ręce. W tej to właśnie chwili otrzymałem powyżej wspomnianą misyę.

Powyższe okoliczności jakkolwiek niemające bezpośredniego związku z mojem opowiadaniem, przytoczyłem pobieżnie dlatego, aby wskazać w jakiem się znajdował położeniu wonczas świeżo zreorganizowany Rząd Narodowy i usprawiedliwić ogólnikowość instrukcyi, jaką mi udzielono.

Instrukcyę tę otrzymałem ustnie od Agatona Gillera, członka Rządu Narodowego, który świeżo powrócił z Krakowa i z całym przebiegiem sprawy dyktatury, dokładnie był obznajomiony. Giller następujące dał mi objaśnienie:

Po bitwie zwycięzkiej pod Grochowiskami, wszystkie zgromadzone tam siły powstańcze, idąc za haniebnym przykładem swego wodza, opuściły plac boju i uszły za granicę — jeden tylko major Czachowski[1]) z swym batalionem, około 300 ludzi

[1]) Bentkowski w swym pamiętniku tytułuje Czachowskiego pułkownikiem. Jest to błąd, który stwierdzi dalszy ciąg mego opowiada-

wynoszącym, poszedł w głąb kraju i podobno znajduje się gdzieś w okolicach gór Świętokrzyskich. Podobno zaczynają się tam pokazywać i inne jakieś oddziały. Dokładnych o tem wszystkiem nie mamy wiadomości, trzeba więc żebyć na miejscu zbadał położenie i zarządził co uznasz za stosowne, dla wprowadzenia ładu i porządku i dla przyspieszenia formacyi jak najliczniejszej nowych oddziałów. Trzeba powetować w jak najkrótszym czasie stratę, poniesioną przez ucieczkę Langiewicza i starać się podnieść na nowo upadającego w tamtych stronach, skutkiem zawodów, ducha narodowego. Jeśli znajdziesz na miejscu podobne osobistości, zamianujesz je naczelnikami wojennymi na województwa Sandomierskie i Krakowskie i im powierzysz dalszą organizacyę sił zbrojnych w tych województwach.

Następnie wręczył mi Giller nominacyę na Nadzwyczajnego komisarza pełnomocnego R. N. na wymienione powyżej województwa; wezwanie do wszystkich władz organizacyi o udzielenie wszelkiej pomocy i ułatwienie przejazdu, wreszcie kilka blankietów Rządu Narodowego, niewypełnionych, lecz podparafowanych i opatrzonych pieczęcią. Na blankietach tych miałem sam popisać nominacyę i rozporządzenia, jakie na miejscu uznam za potrzebne.

Wyrobienie paszportu moskiewskiego, które w tym czasie było dosyć trudnem, a bez którego ani Warszawy opuścić, ani podróżować po kraju nie było podobna, zabrało mi około trzech dni czasu, tak, iż wyjechałem dopiero 6 lub 7 kwietnia z Warszawy. Do Jezierny dojechałem własnymi końmi, a zatrzymawszy się na noc u znajomego mi dyrektora fabryki bankowej Henryka Segno nazajutrz puściłem się pocztą obywatelską w dalszą drogę ku górom Świętokrzyskim.

Naturalnie po drodze starałem się zebrać jak najwięcej potrzebnych mi wiadomości. W tym celu zbaczałem do ludzi, zajmujących jakiekolwiek w organizacyi stanowisko, jakoteż do znajomych mi, lub nie, ale takich, o których wiedziałem, że będą mi mogli dokładnych i bezstronnych udzielić objaśnień. Wszędzie spotykałem jednogłośne dla Czachowskiego pochwały i uwielbie-

---

nia. Zresztą wiadomo, iż Czachowski nie był wtajemniczony w intrygę która zaimprowizowała dyktaturę, trzymał się od niej z daleka, dlatego też grad awansów generalskich i pułkownikowskich, który się posypał w Goszczy, jego pominął jak najzupełniej. Został majorem jak był od początku powstania.

nia. Wychwalano jego odwagę, energię, sprężystość, ład i karność, utrzymywaną w oddziale, zręczność w obrotach, którymi zawsze Moskali w błąd wprowadzał, wreszcie dowiedziałem się, iż od czasu powrotu jego z wyprawy langiewiczowskiej w te strony, stoczył kilka zwycięzkich potyczek z Moskalami. Słowem wprzód, niżelim dotarł osobiście do Czachowskiego, mogłem sobie stanowcze o jego wysokiej wartości wytworzyć zdanie. Niestety, wiadomości zebrane w ten sposób o innych dowódzcach oddziałów bądź już istniejących, bądź dopiero się formujących, a mianowicie o Kononowiczu, Grylińskim i Dawidowiczu nie były tak korzystne.

Obwiniano ich o niedołęztwo. Nieład i rozprzężenie w dowodzonych przez nich oddziałach miały być do tego stopnia posunięte, że przy pierwszem starciu z Moskalami, wszystko pójdzie w rozsypkę, Blizka przyszłość potwierdziła to ocenienie.

Dnia 14 kwietnia dowiedziałem się od naczelnika powiatu (wsi i nazwiska nie pamiętam), iż następnego dnia w południe Czachowski będzie w Czerwonej Woli. Puściłem się natychmiast w tym kierunku, lecz przed wieczorem wpadłem w sam środek moskiewskiego oddziału w wiosce, której nazwiska sobie nie przypominam — zdaje mi się jednak, że była to Wola Pocztowa. Przytrzymany przez Moskali, których było dwa szwadrony dragonów i jeśli się nie mylę, cztery roty piechoty, po paru godzinach i odbytej indagacyi i rewizyi, jako opatrzony w legalny paszport, zostałem uwolniony, nie dozwolono mi jednak dalej jechać w zamierzonym kierunku. Zmuszony byłem powrócić do obywatela, od którego miałem konie i tam przenocowawszy, następnego dnia rano ruszyłem na nowo na ten raz bez przeszkód do Czerwonej Woli. Przybyłem tam około 11-ej lub pół do 12-ej. Spotkałem wysuniętą naprzód o kilkaset kroków placówkę, złożoną z kilku strzelców, a następnie na obszernem podwórzu przed dworem rozłożony cały obóz powstańczy. Gdym zajechał przed dwór, wyszedł naprzeciw mnie gospodarz, człowiek w późniejszym wieku. Powiedziałem mu, iż w ważnym interesie potrzebuję się widzieć z Czachowskim. Wprowadził mnie do obszernego jadalnego pokoju, gdzie kilkunastu oficerów, a pośród nich na pierwszem miejscu Czachowski, zasiadło właśnie do obiadu. Zbliżywszy się, powiedziałem Czachowskiemu, iż proszę go o kilka chwil rozmowy na osobności.. Wyszlimy więc do sąsiedniego pokoju — tam wykazawszy się swojem pełnomocnictwem, oznajmiłem mu cel mego przybycia i dodałem, że przedewszyst-

kiem głównie do niego wysłał mię Rząd Narodowy i przesyła mu podziękowanie za jego waleczność i uratowanie przynajmniej cząstki sił narodowych, z haniebnej langiewiczowskiej rozsypki.

— Chwała Bogu — zawołał — że przecie dowiedzieliście się i o mnie. Od czasu, gdym się oddzielił od rozpierzchającego się korpusu Langiewicza, nie odebrałem żadnej wiadomości, żadnego rozkazu od władzy wyższej i żadnej też prawie pomocy. Teraz kiedy Rząd Narodowy wie o mnie i zasługi moje ocenia, mam nadzieję, że pójdzie mi już łatwiej.

Oświadczyłem mu wtedy, iż Rząd Narodowy w uznaniu jego zasług upoważnił mię do wręczenia mu nominacyi na stopień pułkownika i nie wszczynając dalszej rozmowy, usiadłem natychmiast, aby na jednym z wręczonych mi blankietów napisać nominacyę pułkownikowską. Gdym wręczył takową, odezwał się Czachowski.

— Nie chodzi mi o stopień, gotówbym walczyć jako prosty żołnierz, dla sprawy naszej jednak spodziewam się, że przyniesie ona korzyść i przyjmuję ją z radością. Są tu dowódzcy oddziałów, jak n. p. Gryliński, Kononowicz i t. d., wzywałem ich po kilka razy do wspólnego działania, co mogłoby nam znaczne korzyści zapewnić, ale zawsze napróżno. Jako równy im w stopniu, nie miałem dosyć powagi, aby im nakazać posłuszeństwo. Po dzisiejszej nominacyi, mam nadzieję, że mi się to uda.

Opowiadał mi następnie dosyć szczegółowo o swoich dotychczasowych działaniach, kładąc szczególny nacisk na brak poparcia ze strony dowódzców innych oddziałów. W pierwszej chwili chciałem się zatrzymać, do bliższego rozpatrzenia się z nominacyą naczelnika wojennego Województwa Sandomierskiego, widząc jednak z opowiadania Czachowkiego, ile traci się na rozstrzelaniu sił, zupełnie bezwiednie, oddzielnie działających i mając już z zasiągniętych wiadomości dostatecznie wyrobione zdanie o zasługach Czachowskiego, oświadczyłem mu, iż mam jeszcze jedno zlecenie od Rządu, które mu niewątpliwie przysporzy więcej jeszcze posłuchu. Mam wręczyć Wam, pułkowniku, nominacyę na naczelnika Województwa Sandomierskiego.

Wiadomość tę przyjął z największą radością, a ja usiadłem natychmiast, dla napisania mu nominacyi, wyrażając w niej z naciskiem, iż wszelkie siły narodowe na terytoryum województwa się znajdujące, lub utworzyć się mające, pod jego podlegają komendę.

Odkładając na później dalszą rozmowę, wróciliśmy do przyległego pokoju, gdzie wszyscy oficerowie kończyli rozpoczęty

obiad. Czachowski przedstawił mię, jako komisarza Rządu Narodowego wysłanego z Warszawy, a następnie po kolei przedstawił mi wszystkich obecnych oficerów. Oświadczyłem wówczas o nadesłanej przez R. N. nominacyi dla Czachowskiego i podziękowałem w imieniu Rządu całemu oddziałowi za dotychczasowe zachowanie się, co ogólne wywołało okrzyki.

Gospodarz zatrzymał nas, abyśmy się posilili, a Czachowski tymczasem wydał rozkaz, aby oddział stanął pod bronią. Za kilka chwil wyszliśmy na dziedziniec. Czachowski przedstawił mnie, jako pełnomocnika Rządu, a po przemówieniu kilku wyrazów przezemnie, kazał całemu oddziałowi przedefilować przedemną jako reprezentantem Rządu.

Wkrótce potem oddział wyruszył w marsz, w kierunku miasteczka Grabowca, a ja towarzyszyłem mu na bryczce, którą oddał do mej dyspozycyi p. Piotrowski, właściciel Czerwonej Woli.

W drodze spotkaliśmy w jednej wiosce, zdaje mi się Ciecierówce oddziały Grylińskiego i Łopackiego. Ten ostatni tejże nocy przeszedł granicę i na podwodach dostał się w głąb kraju. Wszystkie trzy oddziały ruszyły razem do Grabowca, gdzieśmy na noc stanęli.

Czachowski, Łopacki i ja stanęliśmy kwaterą na probostwie. Wieczorem umówiliśmy się z Czachowskim, aby nazajutrz rano zwołać rodzaj rady, w której oprócz dowódzców trzech oddziałów mieli wziąść udział i starsi oficerowie. Celem tego zebrania miało być stanowcze uregulowanie stosunku Czachowskiego do innych dowódzców. Rada zebrała się około godziny dziewiątej. Z każdego oddziału wezwano oprócz dowódzcy po dwóch oficerów. Z oddziału Czachowskiego był major Kiciński i szef sztabu Eminowicz. Od Grylińskiego — Bohdan i Markowski. Z oddziału Łopackiego także dwóch, lecz tych nazwisk nie pamiętam — zdaje mi się, że jeden z nich nazywał się Rogojski.

Zebranym oświadczył Czachowski, iż otrzymał od R. N. nominacyę na Naczelnika wojennego województwa Sandomierskiego i że wszystkie siły powstańcze na terytoryum tego województwa się znajdujące, podlegają jego rozkazom. Wezwał następnie obecnych, aby się do tego zastosowali i swoich podkomendnych zawiadomili.

Pierwszy zabrał głos Łopacki, oświadczając, iż położenie jest tak jasno określone, że żadnej nie może ulegać dyskusyi.

Tak on jak i cały oddział pod jego dowództwem zostający bezwarunkowo przechodzi od tej chwili pod rozkazy Naczelnika.

W tej samej myśli przemawiało jeszcze kilku innych oficerów. Gdy przyszła kolej na Markowskiego, ten zaczął coś półgębkiem rozprawiać o wolności, jaką należy pozostawić ludziom, którzy za wolność życie swoje poświęcają.

Następnie zabrał głos Gryliński — elegancki kawaler w długich lakierowanych butach, jasnych glansowanych rękawiczkach, z wypomadowanymi i uperfumowanymi włosami i wąsikami, bardziej na jakiegoś salonowego dandysa, aniżeli na dowódzcę powstańców wyglądający. — Wyższe wiadomości wojskowe, rzekł on, jakie pracą swoją nabyłem. — Był przez czas jakiś w szkole wojskowej w Cuneo, urządzonej przez Mierosławskiego — zasługi położone przezemnie przy sformowaniu oddziału, który powstał tylko za mojem staraniem, zresztą szczęśliwy zbieg okoliczności, który pozwolił mi pozyskać spółudział, tak znakomitych oficerów jak n. p. Bohdan, a którzy tylko pod mojem dowództwem służyć będą, nadają mi prawo do zupełnie samoistnego niezależnego dowództwa. Od prawa tego odstąpić nie mogę.

Dowódzcę swego poparł gorliwie major Bohdan, w mowie łamanej, jakiejś mięszaninie polskiego z moskiewskim i ruskim, tak poplątanej, że trudno zrozumieć było, o co mu chodzi. Co chwila tylko wylatywały wykrzykniki: Nasz naczelnik Gryliński, my swobodny, my nie choczem i t. d. Widząc, iż cała narada, która miała doprowadzić do porozumienia, przybiera charakter jakiegoś niesfornego szlacheckiego sejmiku, oświadczyłem, iż przerywam dalszą dyskusyę, że rozkaz Rządu Narodowego, oddający najwyższą władzę w województwie Czachowskiemu, jest wyraźny, wszyscy się więc do niego mają zastosować, że wreszcie Czachowski ma polecenie w razie potrzeby nawet siłą zmusić do posłuszeństwa, a opierających się bez względu na stopień oddać pod sąd i stosownie do wydanego wyroku ukarać.

To stanowcze przemówienie wywarło skutek przynajmniej pozorny, Gryliński bowiem oznajmił, iż nie chce się opierać tak wyraźnemu rozkazowi, że poddaje się pod dowództwo Czachowskiego, że jednak odniesie się bezpośrednio do Rządu o cofnięcie postanowień, nieoględnie przez p. komisarza powziętych, zwłaszcza, iż ma plany daleko sięgające, które on tylko jeden wykonać może.

Po zakończeniu w ten sposób narady, wszyscy w niej uczestniczący, prócz tych, którzy kwaterę mieli na probostwie, rozeszli się, nam zaś wkrótce podano obiad. Mogło być około godziny jedenastej. Zaledwieśmy się zabrali do jedzenia, padł strzał. Czachowski wysłał adjutanta, dla dowiedzenia się o przyczynie, a my tymczasem kończyliśmy pospiesznie nasz obiad. W kilka minut dano znać, iż strzał dała nasza pikieta i że Moskale wysuwają się z lasu Wszyscy obecni rozbiegli się, dążąc na swoje stanowiska. Ja zapytałem Czachowskiego, czy nie ma dla mnie wolnego konia. Odpowiedział, że jest koń kozacki zdobyty przed dwoma dniami i kazał go przyprowadzić. Wyruszyliśmy razem z probostwa i przez cały czas trwania utarczki, ani na jedną chwilę nie opuściłem go, chciałem bowiem naocznie przypatrzyć się wszystkiemu, co się dziać będzie, a nadto nie znając zupełnie miejscowości, korzystałem z towarzystwa takiego przewodnika.

Poprzednio jeszcze, gdyśmy na chwilę sami pozostali, zapytałem.

— Będziemy mieli bitewkę?

— Nie — odpowiedział Czachowski. Z zasady nie przyjmuję bitwy we wsiach i miasteczkach, jeśli jej tylko uniknąć mogę, gdyż nawet w razie naszego zwycięztwa, my pójdziemy dalej, a Moskwa mszcząc się, spali miasteczko i mieszkańców wymorduje. Dziś mam oprócz tego drugi powód nie przyjmowania bitwy, doniesiono mi bowiem, że Moskwa drugim oddziałem nadciąga zc strony przeciwnej. Gdyby nadeszła podczas bitwy, mielibyśmy zupełnie odwrót odcięty i bylibyśmy otoczeni. Rozwinę się więc trochę przed miasteczkiem, żeby pozakać Moskwie, że się jej nie boimy, a potem pociągnę ku lasom Iłżeckim. Jeśli pójdą za nami, to są po drodze miejsca dogodne do stoczenia bitwy i może się spróbujemy, gdyż nawet w razie niepowodzenia, będziemy mieli odwrót zapewniony do lasów.

Opuściwszy probostwo, przejechaliśmy z Czachowskim i jego adjutantem przez całe miasto, kierując się w stronę, od której Moskale nas atakowali. Oddziały Grylińskiego i Łopackiego stały pod bronią w mieście. Oddział Czachowskiego był wysunięty cokolwiek po za miasto, kawalerya zaś wszystkich trzech oddziałów połączona, stała w małej uliczce, wychodzącej, zdaje mi się, po prawej stronie z rynku i prowadzącej w pole od strony ataku. Czachowski przybywszy na to miejsce, wysłał patrol

z kilku koni na trakt opatowski, dla przekonania się, czy stamtąd nie nadciąga nieprzyjaciel.

Gdyśmy wyjechali za miasto, spostrzegliśmy kolumnę wojska moskiewskiego w oddaleniu około $1^1/_2$ kilometra, posuwającą się zwolna i poprzedzoną łańcuchem tyralierów. Czachowski dał rozkaz swoim strzelcom, aby się również w linię tyralierską rozsypali. Ruch ten z naszej strony, zdaje mi się, iż powstrzymał chwilowo posuwanie się Moskwy. Tyralierzy ich utrzymywali wciąż ogień, który jednak żadnej nie przyniósł szkody. Wkrótce potem wysunęło się kilkudziesięciu kozaków i zbliżywszy się na paręset kroków, zaczęli strzelać.

Staliśmy wonczas z Czachowskim przy głównym trakcie, po za naszą linią tyralierską. Uliczka, na której stała nasza kawalerya, jak to już wspomniałem, znajdowała się po prawej stronie. Udaliśmy się przez pola i ogrody w tym kierunku. Przybywszy na miejsce, Czachowski dał rozkaz, aby kawalerya spędziła nacierających kozaków. Pod komendą Wielobyckiego wysunęli się nasi z owej uliczki dwójkami na pole, a rozwinąwszy się następnie w jedną linię, wykonali szarżę, przed którą kozacy w jednej chwili zniknęli. Szarża ta jakkolwiek nie trudna, gdyż wiadomo, że kozacy zwykle w takich razach pola nie dotrzymują, była jednak wykonana w dobrym porządku i dawała korzystne wyobrażenie o odwadze naszych ułanów. Wkrótce potem wrócił podjazd, wysłany na rekonesans, donosząc, iż jakaś kolumna ciągnie gościńcem od Opatowa, że jednak dla zbytniej odległości nie mogli dokładniej jej rozpoznać. Wyjechaliśmy na mały wzgórek, z którego był dokładny widok na całą okolicę i obserwując przez lunetę, przekonaliśmy się, że ową kolumnę stanowiło bydło pasące się po obu stronach drogi.

Strzelanie trwało ciągle, lecz nieprzyjaciel naprzód się nie posuwał. Wreszcie Czachowski wysłał adjutanta do miasta, aby Gryliński i Łopacki z swymi oddziałami udali się drogą, prowadzącą do lasów Iłżeckich, a gdy ruch ten został wykonany i my po ściągnięciu tyralierów, przechodząc znowu przez miasto, pociągnęliśmy za nimi.

Było wtenczas około w pół do pierwszej. Cała ta utarczka trwała nie wiele więcej, jak godzinę.

W marszu szedł naprzód oddział Grylińskiego, następnie Łopacki, a w końcu Czachowski ze swym oddziałem. Przy tym ostatnim jechaliśmy i my obadwaj. Wprawdzie Czachowski po kilka razy albo zwracał się w tył, albo wysuwał naprzód, a ja

na swoim dosyć lichym kozackim koniu nie mogłem za nim podążyć, to jednak wycieczki te trwały bardzo krótko, tak iż mogę powiedzieć, że przez cały ten czas prawie go nie odstępowałem.

Gdyśmy opuścili Grabowiec, Moskale prawdopodobnie w przekonaniu, że zrobiono na nich zasadzkę, dosyć długo sypali na miasto rzęsistym ogniem. Przekonawszy się jednak, że nas już tam nie ma, zajęli miasto i wkrótce potem wysunęło się za nami trochę kozaków, którzy strzelając odprowadzili nas z jakie dwa kilometry, następnie zniknęli tak, iż jużeśmy ich więcej nie widzieli i w dalszym marszu zupełnie nie byliśmy niepokojeni.

Wszedłszy do lasu, podążaliśmy na miejsce, w którem Czachowski już poprzednio po kilka razy obozował. Oddziały Czachowskiego i Łopackiego stanęły razem — Gryliński o jakie paręset kroków dalej.

Zaledwie oddziały miały czas się rozłożyć i zająć wskazane im miejsca, usłyszeliśmy od strony obozu Grylińskiego przeciągłe okrzyki i wkrótce dano znać, iż cały oddział wbrew otrzymanemu rozkazowi, wyrusza z obozu.

Wtedy Eminowicz odezwał się do mnie.

— Komisarzu, może twoja interwencya jeszcze doprowadzi do rozumu tego waryata. Ja znam miejscowość, możemy mu drogę zabiedz.

Naturalnie, iż przystałem na propozycyę. Podano mi konia, ale już nie mego kozaka, tylko dobrego oficerskiego, a w olstrach znalazłem jeden pistolet.

Puściliśmy się wązką ścieżką, a zwróciwszy potem na lewo, znaleźliśmy się na drożynie nad jakąś rzeczką czy błotem. Tą drożyną właśnie nadciągał Gryliński. Jechał naprzód on i Bohdan i zdaje mi się jeszcze jeden lub dwóch oficerów. Minęli oni już wspomnianą powyżej wodę, reszta zaś oddziału znajdowała się jeszcze po drugiej stronie.

Krzyknąłem: Stój! i zacząłem ostro wyrzucać Grylińskiemu, iż zobowiązawszy się z rana do posłuszeństwa względem nominowanego przez Rząd naczelnika, już teraz na nowo łamie swe przyrzeczenie.

Odpowiedział mi na to z przekąsem, iż nikt ani jego, ani jego podkomendnych nie może zmusić do służenia pod rozkazami takiego tchórza, który mogąc stoczyć zwycięzką bitwę z Moskalami, uciekł przed nimi tak haniebnie.

Bohdan i towarzysze okrzykami poparli to oświadczenie.

Widząc, iż potrzeba użyć ostatecznego środka, zawołałem :

— Oddziały Czachowskiego i Łopackiego stoją pod bronią i mają rozkaz na pierwszy znak z mojej strony, zmusić was siłą do posłuszeństwa. Ani kroku naprzód — to mówiąc wyciągnąłem mój pistolet z olstry i skierowałem go ku Grylińskiemu.

— Nie chcę wywoływać skandalicznej walki, zawołał wtedy Gryliński, jakkolwiek jej się nie obawiam — poddaję się rozkazowi i wracam do obozu, ale jak to już poprzednio oświadczyłem, odniosę się wprost do Rządu Narodowego i zażądam wymierzenia mi sprawiedliwości i ukarania winnych.

Jednocześnie wydał rozkaz, aby oddział powrócił na dawne stanowisko.

Wraz z Eminowiczem odprowadziliśmy zbiegów na miejce obozowiska, które przed chwilą opuścili. Gdyśmy tam przybyli, już się dobrze ściemniło.

W drodze rozmowa przybrała charakter przyjaźniejszy. Gryliński zapewniał, iż osobiście nie ma nic przeciwko Czachowskiemu, lecz cały jego oddział stanowczo się wzbrania służyć pod rozkazami człowieka tak gwałtownego, pozbawionego taktu i wyrozumiałości.

Zgoda ta i poddanie się były tylko pozorem. Gdy oddział rozłożył się na obozowisku, powróciliśmy z Eminowiczem do Czachowskiego, a Gryliński w parę godzin później już bez okrzyków, lecz w największej cichości, tak, iż nic nie wiedzieliśmy o tem, opuścił swe stanowisko i pociągnął w głąb puszczy. W parę dni potem, czy też na drugi dzień, cały ten oddział bez bitwy został przez Moskali rozproszony.

Oddziały nasze obadwa, jak to już wspomniałem, obozowały przy sobie. Zrobiono dla Czachowskiego szałas z gałęzi, czy namiot, lecz on nie korzystał z niego i razem z nami wszystkimi rozłożył się przy ognisku. Przy innych ogniskach żołnierze gotowali mięso z zabitej krowy, którą przyprowadzono wkrótce po naszem nadejściu do obozu. Nie wszyscy jednak jeszcze zdążyli spożyć w ten sposób przygotowaną wieczerzę, gdy padł strzał na jednej z naszych placówek. Czachowski kazał natychmiast pogasić ogniska i oddziałom stanąć pod broń. Grzmot (Dobrogojski) wziąwszy z sobą kilku kawalerzystów, pojechał w kierunku, w którym się strzał dał słyszeć dla zasięgnięcia języka. Wkrótce jednak wrócił i zaspokoił nas zapewnieniem, że strzał był tylko przypadkowy i że nigdzie w bli-

zkości niema nieprzyjaciela. Rozniecono na nowo ognie. Noc była bardzo chłodna, ale przeszła zupełnie spokojnie.

Oto jest wierny opis wypadków, jakie zaszły w obozie Czachowskiego w dniu 15 i 16 kwietnia 1863 r.



KAPITAN JUNOSKA.
(JAN NOWACKI).

Urywek z pamiętnika.

Kreców 19. listopada 1887 r.

Po ukończeniu szkół w Kielcach wyższych realnych miałem na ów czas lat 18. Kiedy rozpoczęło się powstanie, wstąpiłem zaraz do oddziału śp. Wiśniewskiego, który dowodził kawaleryą w Radomskiem. Służyłem jako szeregowiec, podoficer, a następnie zostałem podporucznikiem i adjutantem śp. Wiśniewskiego.

W czerwcu wysłany zostałem (nie przypominam sobie dnia), na rekonesans, a mój dowódzca pozostał na folwarku w Mechlinie w powiecie opoczyńskim. Po powrocie z rekonesansu, oddział zastałem rozbity, wskutek napadu dragonów pod dowództwem Asiewa. Dragoni znienacka napadli pikietę naszą i uderzyli na nieprzygotowanych wiśniewczyków. Po długiej zaciętej walce dragoni zwyciężyli, a przytem i Wiśniewskiego z sobą zabrali.

Resztki tego oddziału zebrałem i w kilkadziesiąt koni udałem się do śp. Czachowskiego w Opatowskie, który na ten czas był naczelnikiem sił zbrojnych województwa sandomierskiego — opowiedziałem o fakcie nieszczęśliwym i oddałem resztki tej kawaleryi — za co mianował mię porucznikiem i z raportem odesłał mnie do naczelnika cywilnego, wojewódzkiego, który dał mi polecenie i wskazał drogę do Krakowa, gdzie miałem się bezwłocznie udać.

Marszrutę miałem wytkniętą przez Częstochowę, gdzie zatrzymałem się przez dzień cały, aby zwiedzić klasztor cudowny; wysłuchałem mszy św., wyspowiadałem się z całą intencyą i nabożeństwem, skąd wyjechałem z wiarą i tą pewnością, że nic mi się stać złego nie może i tak rzeczywiście było, że od-

byłem całą kampanię bez żadnych złych przygód i wszędzie się mi wiodło.

Po przybyciu do Krakowa udałem się do plackomendanta Krakowa, który już był uprzedzony o mojem przybyciu. Oznajmił mi zaraz pan plackomendant, że po to jestem tu przysłany, abym objął oddział kawaleryi w Krakowskiem. „Chociaż jesteś młodym, zjednałeś sobie takie zaufanie Rządu Narodowego, że polecono mi, aby pana tu przez parę dni zatrzymać, a potem wysłać w powiat miechowski, gdzie otrzymasz broń, kóni czterdzieści i tyleż ludzi“.

Po upływie kilku dni wyjechałem z Krakowa do Królestwa i wprost zajechałem do organizatora wojewódzkiego, który także był uprzedzony o moim przyjeździe.

Ale wspomniany pan organizator, nie dowierzał moim zdolnościom, widząc mię tak młodego, po długiem egzaminowaniu dopiero, po kilku dniach wydał mi konie i oddał ludzi i broń potrzebną.

Zorganizowałem oddział składający się z 40-tu kawalerzystów i oficera podporucznika Karola Olewińskiego, który wiele był mi pomocnym, szczególnie w rekwirowaniu koni.

Z początkiem powstania — siłą zbrojną władze cywilne zarządzały i każdy oddział podlegał naczelnikom powiatowym i wojewódzkim*), a pomiędzy tą władzą wielu było ludzi poświęcenia, ale po większej części byli także dla honoru i sławy urzędu, nie mający pojęcia o administracyi, a tem mniej mieli pojęcia o wojskowości i o potrzebach oddziałów. W powiecie miechowskim i stopnickim pełniłem służbę żandarmeryi polowej. Różne odbierałem rozkazy tych władz, a pomiędzy tymi rozkazami, było rozporządzenie najpożyteczniejsze — polecono mi rekrutowanie ludzi zdolnych do służby wojskowej i dostarczanie dla nowoformującego się oddziału Rembajły.

Było to zadanie nielada! Z początkiem powstania każdy rozgorączkowany spieszył wstąpić w szeregi, lecz niestety naówczas nie było broni a później przeciwnie, każdy prawie unikał tego.

Trzeba było sztuką chwytać zdolnych młodzieńców i odstawiać pod eskortą pułkownikowi Rembajle, któremu paręset ludzi dostawiłem.

---

[1]) Oddziały strzelców konnych czyli żandarmów, (a takim był oddział Junoszy), zależały zawsze od władz cywilnych. (przyp. red.)

Najtrudniej było odstawić do obozu, później po kilku dniach każdy z takich rekrutów chętnie, a nawet z przyjemnością pozostawał.

W Radoszycach byli bardzo tędzy ludzie i wiele młodzieży wykazano mi do poboru w tym miasteczku, ale ani sposób było, którego z nich schwytać, tak się wystrzegali nadejścia mego, kiedy przedtem oni wynosili się w nocy lub w dzień na pole i lasy.

Pewnego czasu przyszedłem do Radoszyc przed wieczorem. Rynek tam jest wielki... kazałem rozłożyć ognie, sprowadziłem muzykę miejscową. Muzykanci wygrywali na skrzypcach, basach, klarnetach, cymbałach, przytem odbywały się uczty, jedzenie i picie. Noc była cicha i pogodna. Koło północy towarzystwo z przybywających ciągle się wzmagało, a następnie spostrzegłem, że już i ci łączyli się, którzy zwykle przedemną uciekali.

Widząc już liczbę dostateczną młodych ludzi, kazałem się wybierać do wymarszu. Kiedyśmy byli gotowi ściągnięto widety, nastąpiła komenda do wsiadania i wymarszu. Ruszyliśmy z miejsca ze śpiewem. W tej chwili zakomenderowałem otoczenie kołem tej publiczności znajdującej się w rynku.

Krzyk, hałas nastąpił. Starcy i kobiety, a szczególnie żydowstwo lamentowało i krzyczało w niebogłosy.

Wystąpiłem naprzód i zacząłem ich wszystkich uspokajać tem, że tylko młodych zatrzymam, którzy się ukrywają, a tem unikają bronienia ojczyzny.

I tak się stało, starców i kobiety i wszystkich niezdolnych wypuścić kazałem, a młodzieńców zabrałem koło 40-tu, chłop w chłopa jak dąb — i odstawiłem ich Rembajle, wedle polecenia władzy.

Po zorganizowaniu się zupełnem oddziału Rembajły, otrzymaliśmy uwiadomienie i rozkaz, aby z placu wyruszyć i udać się do Szczecna, gdzie miał tam nadejść nieodżałowany śp. Bosak, Chmieliński i inne oddziały i tam mieliśmy się po raz pierwszy przedstawić jenerałowi i pułkownikowi śp. Chmielińskiemu.

Rembajle byłem dodany na czas organizacyi jego oddziału, tembardziej, iż nie miał on kawaleryi swej, — ale zupełnie pod jego rozkazami nie byłem.

Stamtąd wymaszerowaliśmy. Rembajło z piechotą, a ja z swoją kawaleryą — mały hufiec składający się z 43 koni.

Umundurowani byliśmy, mój oddział na sposób kozacki, kurtki z sukna granatowego, kołnierze amarantowe, pantalony szerokie z lampasem amarantowym, czapki kepi — pałasze, w skórzanych pochwach szaszki — kompletnie jak po kozacku. Mój uniform odznaczał się szlifami srebrnemi i takież miał mój oficer Karol Olewiński. Przytem chłopcy dziarscy, konie doskonałe.

Było to już w późnej jesieni przed wieczorem stanęliśmy w Szczecnie, na dziedzińcu przed pałacem. Oddziałek mój stanowił awangardę samoistną. Na widok dziedzińca pokłusowałem i przed pałacem, to jest przed dworem stanąłem frontem, zameldowawszy się oficerowi dyżurnemu.

Wyszedł pułkownik Chmieliński, którego już dawniej znałem, wysłuchał raportu, kazał mi zejść z konia, podał rękę i uściskał, mówiąc, konia każ ulokować, a ze mną będziesz mieszkał, wymienił parę komplementów, dla mnie bardzo pochlebnych. W tym trakcie nadszedł naówczas jeszcze major Rembajło z rozwiniętym sztandarem, z bardzo pięknym oddziałem, w całym szyku okazałym, umundurowanym, uzbrojonym od stóp do głów, liczącym może koło 800 ludzi i oficerów.

Krótko mówił z nim pułkownik Chmieliński, gdyż niezasłużenie zawsze był uprzedzony do oficerów b. austryackich, chociaż Rembajło był wzorem dowódzców, jako organizator (w boju nie widziałem go później). W Szczecnie tam było gwarno, masa kawaleryi Chmielińskiego, piechoty Bogdana Rozenbacha, majorów innych.

A jenerał Bosak tam dopiero miał nadejść, wyszedłszy przed paru dniami z Galicyi z kawaleryą w charakterze jenerała sił zbrojnych województwa krakowskiego i sandomierskiego, a potem kaliskiego.

Godzina 12 o północy, a jenerała nie ma i nie nadszedł. Noc ciemna wicher straszny, zimny, dokuczliwy.

Zawezwał pułk. Chmieliński dowódzców do siebie i wydał każdemu z osobna rozkazy i marszrutę, aby o godz. 8-mej rano, każdy z tych oddziałów stawił się we wsi Cisowie.

Mnie polecił maszerować z pułkownikiem Bohdanem, który miał tylko samą piechotę, zatem kawalerya była mu bardzo na rękę, jako straż przednia. Wyszli po północy każdy oddział inną drogą, w Szczecnie pozostały tylko ognie porozpalane na polach, przez co Moskale byli pewni, że tam obozować bę-

dziemy do rana. Moskale na czele z jenerałem Czengerym stali o milę w Piotrkowicach i innych wsiach.

Rano równo ze świtem Moskale zaatakowali Szczecno i próżne nasze pozostałe ognie, a my już byli w Cisowie.

Prawie jednocześnie w Cisowie zeszliśmy się. Chmieliński wydał rozkaz bez odpoczynku wyjść z Cisowa, mnie tylko nakazał pozostać z konnicą w Cisowie i stać tam tak długo, dopokąd Moskale nie pokażą się. Wtenczas mam rozpoznać siłę nieprzyjacielską i bez straty czasu zdać raport Chmielińskiemu, który miał zatrzymać się po za Cisowem.

Zadowolniony byłem z tego rozkazu, gdyż mogłem konie i ludzi zmęczonych pokarmić, a miałem czas dwie godziny, zaczem ujrzałem kozaków kilkudziesięciu i dwie armaty na wzgórku na tej drodze, którąśmy przyszli.

Kiedy Moskale zobaczyli mnie, sądzili, iż tam znajdują się wszyscy z Chmielińskim, — strzelili z armat, sygnalizując Czengeremu, który ze Szczecna za nami gonił.

Jako młody żołnierz, niedoświadczony, sądziłem, że to będzie dostateczny raport, opowiedziawszy o tych kozakach i armatnich strzałach. Pospieszyłem za Chmielińskim, którego oddział z liczną kawaleryą i piechotą o milę zastałem rozłożonych koło wioski Jeziorka, a on sam ze sztabem mapę przeglądał.

Melduję, nie schodząc z konia, opowiadam com widział, ile kozaków, wiele armat, a na to Chmieliński odpowiedział, że to com zobaczył — to tylko jest rekonesans, a on potrzebuje wiedzieć rzeczywistość siły Moskali, zatem na lewo w tył zwrot i marsz po dokładny raport. Rozumie się, że on już innemi drogami, innych kawalerzystów był wysłał na zwiady.

Trudną była rada z Chmielińskim — rozkaz Jego święty, — musiałem wracać tam napowrót, ale już do wsi nie dojechałem, gdyż już tam byli dragoni, z góry schodziła piechota, artylerya, a kozacy byli już niewidzialni.

Zwróciłem się i już Chmielińskiego zastałem w pełnym marszu — zdając mu dokładny raport o sile i broni nieprzyjaciela — odpowiedział Chmieliński, że tego żądał etc.

Szły wszystkie oddziały razem, dopiero wieczorem każdemu z oddziałów polecił Chmieliński w różne strony się rozejść.

Ja zostałem przy Rembajle i daleko nie szliśmy, pozostawszy przez noc w lesie, z zamiarem powrotu skąd wyszliśmy po przejściu Moskali.

Tego samego wieczora słyszeliśmy przeciągających Moskali blisko nas, z którymi trudno było zaczepiać się, jeżeli ich było tysiące więcej od nas.

Szczególny był tam traf, — w nocy, szpica jenerała Bosaka trafiła na naszą wedetę — alarm, popłoch jednych i drugich. Dopiero dowiadujemy się, że to spodziewany w Szczecnie jenerał Bosak, zamiast tam, tu przyszedł, mając przeszkody w drodze, Moskali w Piotrkowicach.

Nastąpiło przedstawienie i rozkaz jenerała, pójścia razem za Chmielińskim. Drugiego dnia połączyliśmy się z Chmielińskim i innymi oddziałami.

Postać śp. jenerała Bosaka przedstawiała się wspaniale, — prawdziwie bohaterską, — ujrzawszy go, wierzyłem w zbawienie Polski, jeżeli tacy ludzie biorą udział.

Do tego kawalerya jego dzielnie przedstawiająca się, konie i umontowanie doskonałe. Tyle tylko, że świeże, dopiero wyszli z Galicyi, nie rozumiejąc naszej powstańczej doli i utrapień, a przedewszystkiem nie znając kraju i stosunków miejscowych.



FILIP SANBRA KAHANE.

Dzieje Żuawa.

W lutym 1863 roku, przybyłem z sanockiego do Krakowa, w intencyi zaciągnięcia się do najbliższej partyi powstańczej. Zabawiłem tam kilka dni w gościnnym domu pp. Szymkajłłów, gdzie poznałem się z braćmi Wędrychowskimi, Miłkowskim i kilkoma innymi młodymi ludźmi, z którymi niebawem wyruszyliśmy do Ojcowa, gdzie natenczas znajdowała się partya Kurowskiego. Miałem zamiar wstąpienia do żuawów, którymi dowodził pułkownik Rochebrune, Francuz.

Wiozłem z sobą 8 sztuk broni palnej i 2 pałasze — z tego powodu byłem pożądanym nabytkiem; różne też oddziały robiły starania, aby mnie pozyskać dla siebie, rozumie się razem z moim zapasem broni. Najgorliwiej werbował mnie kapitan strzelców, Jan Nepomucen Gniewosz, który oprócz namowy, serdecznych uścisków, chciał mnie nawet przekupić, ofiarując kawałek suchego bulionu, jeśli się zaciągnę do jego oddziału.

Oparłem się jednak mężnie pokusie i postąpiłem podług pierwotnego zamiaru, t. j. wstąpiłem do żuawów, składając przysięgę, że albo wrócę zwycięzcą — lub nie wrócę wcale z pola bitwy. Z tego to powodu, zwano nas „Żuawami śmierci“.

Rochebrune zajmował nas całymi dniami ćwiczeniami wojennemi; wkrótce jednak otrzymaliśmy rozkaz, wyruszenia pod Miechów, dla zaatakowania Moskali, którzy się tam w znacznej liczbie rozłożyli.

Po ciężkim, 17to godzinnym marszu, stanęliśmy 17 lutego rano pod Miechowem, gdzie bez chwili odpoczynku, uderzyliśmy na Moskali.

Nie porywam się do krytykowania Kurowskiego, jednak wspomnieć muszę, że potyczka ta, którą rzezią nazwać można, lekkomyślnie była prowadzoną, bez obliczenia siły nieprzyjaciela i jego dogodnej pozycyi, wśród murów kościelnych. Ponieśliśmy straty ogromne, szczególniej żuawi — i nie wyparliśmy Moskali z miasta.

Była to pierwsza potyczka, w której brałem udział, niektóre zatem jej szczegóły, utkwiły mi na zawsze w pamięci.

Strzały moskiewskie padały gęsto; kule ze świstem przelatywały koło uszu, a myśmy — stojąc na cmentarzu pod miastem — kropili ich też dzielnie. Co który łeb z za węgła, czy płotu pokazał, to go już więcej nie wystawił. Posuwając się naprzód wsród najgorętszej bitwy, spostrzegłem jednego z braci Wędrychowskich, leżącego z przestrzeloną nogą. Gdy mnie zobaczył, „ratuj bracie!“ zawołał. Zwróciłem się ku niemu, aby przyjść z pomocą, ale w tejże chwili zauważyłem, że nasz chorąży, ugodzony kulą, zachwiał się i upadł, wypuszczając sztandar z ręki. Podbiegłem, pochwyciłem chorągiew, a zamęt walki oddalił mnie od biednego Wędrychowskiego.

Do końca potyczki niosłem sztandar; potem, gdyśmy poszli w rozsypkę, zdjąłem chorągiew z drzewca — i jak relikwię ukryłem na piersiach. Oddałem ją później Rochebrunowi. Chorągiew tę z wizerunkiem Matki Boskiej i wierszem ułożonym przez Wincentego Pola, ofiarowała nam była hr. Muszyńska. (Nie wiem co się z nią potem stało).

Między rannymi ujrzałem na wozie Wędrychowskiego, podbiegłem uradowany, aby powitać go między ocalonymi. Po przemówieniu jednak przekonałem się, że to drugi brat; tamten niestety poległ, zamordowany przez Moskali.

Gdy nasze niedobitki zgromadziły się za miastem, dokoła Rochebruna i gdy ten dzielny pułkownik zobaczył, że ze 150 żuawów, zostało tylko kilkunastu, zasłonił sobie oczy — rzewnie zapłakał, wyrzekając na Kurowskiego.

Powiedział wtenczas, że z garstką pozostałych walczyć dalej nie może i że jeśli kto chce — może wrócić do domu.

Wielu z nas, a mianowicie strzelcy i kosynierzy udali się do Krakowa, my żuawi jednak — zostaliśmy przy Rochebrunie i jeszcze garstka innych przyłączyła się do nas, tak — że było nas wszystkich około 40-tu. Mieliśmy zamiar dostać się do lasów Świętokrzyzkich; ponieważ jednak dowiedzieliśmy się, że Moskale gromadzą się, aby na nas uderzyć, dowódzca kazał nam pójść w rozsypkę, aby bez zwracania uwagi, dostać się na miejsce przeznaczenia.

Do Działoszyc szło nas kilku razem, stamtąd pojedynczo puściliśmy się dalej. Drugiego dnia około północy, zziębnięty i głodny dotarłem do Pińczowa. Wszystkie drzwi pozamykane, na ulicy ani żywego ducha. Pukam do pierwszego lepszego domu; — daremnie; — nikt nie otworzył.

Idę dalej i znów pukam; nic — nikt się nie rusza. Próbowałem jeszcze dalej kołatać, ale nikt nigdzie się nie pokazał. Czy ludność wymarła? czy Moskale wymordowali wszystkich, lub też sen mają taki kamienny?

I co tu począć? postępując dalej jeszcze, spotkałem wkońcu straż nocną, złożoną z mieszczan, którzy mi doradzili udać się do restauracyi, która i w nocy jest otwartą — i wskazali mi do niej drogę. Zapukałem — czekam; za chwilę słyszę, że ktoś się zbliża do bramy, otworzył ją ostrożnie — i wyjrzał przez szparę. Byłem tak zmęczony i zziębnięty, że przemocą niemal wtargnąłem do sieni — mimo oporu restauratora.

Ten zaczął mnie prosić i zaklinać, abym poszedł sobie, abym nie sprowadzał na niego nieszczęścia, że Moskale mogą lada chwila przyjść do Pińczowa i t. d. Wyznaję, że okazałem się głuchym jak głaz na jego prośby — i wszedłem do pokoju. Zastałem tam bufet zastawiony różnemi przekąskami — i nie czekając zachęty, zabrałem się do jedzenia. Poczciwy gospodarz z własnej ochoty przyrządził prędko herbatę gorącą, mając nadzieję — że im prędzej nasycę się i rozgrzeję — tem prędzej on się mnie pozbędzie.

Ale i ta nadzieja go zawiodła. Gdym skończył jeść, zsunąłem kilka krzeseł i rzuciłem się na nie, tak jak byłem —

w ubraniu, a po chwili już by mnie chyba i strzały armatnie nie rozbudziły. Składało się na to 17 godzin marszu z Ojcowa do Miechowa, kilkogodzinna bitwa i dwa dni błąkania się, nim dotarłem do Pińczowa. Nazajutrz rano, przyszła delegacya z kilku poważnych mieszkańców miasta złożona, (były i panie między nimi) aby mnie powitać i radzić nad dalszym moim losem.

Idąc za ich radą udałem się z nimi do klasztoru Reformatów, prosząc o chwilowe schronienie, gdyż lada chwila, spodziewano się nadejścia Moskali. Ksiądz gwardyan zbladł ze strachu i powiedział, że to za nic być nie może, że zgubiłby klasztor, ukrywając mnie. Powiedział przytem, że raz już czuł stryczek moskiewski na szyi i tylko cudem został uratowany.

Po nowej naradzie z księdzem gwardyanem, udała się delegacya ze mną do urzędu gminnego i wyrobili mi paszport na imię Apolinarego Maksa. Wystarali się potem ci uprzejmi panowie o furę i wyprawili do poblizkiego dworu.

Ponieważ wszelkie inne drogi były przez Moskali zagrodzone, doradzono mi w Pińczowie, aby dostać się w Tarnowskie.

Na komorze moskiewskiej, gdzie Polak był naczelnikiem, pokazałem mój paszport — ten mu się przypatrzył, poznał, że jest fałszowany — i łapiąc się za głowę — zawołał: „Na Boga coś pan uczynił!“ Zwrócił się i wyszedł, wskazując ręką na klucze, zawieszone na ścianie. Strażnik je wziął, odemknął kłódkę, którą była łódź przymocowana — i przewiózł mnie na terytoryum austryackie. Podziękowałem mu słowami i dwoma rublami. Po drugiej stronie czekało już 2 żandarmów, którzy mnie z całą paradą zaprowadzili do swego naczelnika. Podałem paszport.

„Cóż to znaczy! paszport pana nie wizowany, jak się pan tu dostałeś?!“ Odpowiedziałem, że strażnik mnie przewiózł. „Odstawić tego pana natychmiast na drugą stronę“, zawołał do żandarmów. Zacząłem prosić, aby mi pozwolił jechać dalej, mówiąc, że mam chorego brata w Tarnowie — i że za dwa dni wrócę sam. Ani słyszeć nie chciał o niczem, tylko kazał wracać natychmiast. Był na komorze w tej chwili jakiś pan starszy — który z zajęciem przypatrywał się tej scenie. Zwróciłem na niego wymowne spojrzenie, prosząc gestem o interwencyę. Zrozumiał mnie i szepnął coś naczelnikowi. Chwilę trwała ich rozmowa — wkońcu pozwolono mi iść dokąd chcę.

Wyszedłem i pieszo skierowałem się w stronę Tarnowa. Niebawem dopędził mnie ów starszy pan z komory — zatrzymał się, proponując, abym z nim jechał. Przyjąłem z wdzięcznością ofiarowane miejsce — i ruszyliśmy kŭ Tarnowu, wstępując po drodze na obiad do Siedliszowic. Byli tam jako goście huzarzy austryaccy, z którymi jako gość również, swobodną prowadziłem rozmowę.

Jadąc dowiedziałem się, że mój protektor jest fizykiem w Tarnowie, a nazywa się Przykril. Przyjechaliśmy do Tarnowa, a po paru dniach uprzejmej gościny u pp. Przykrilów, udałem się do Krakowa — a stamtąd — z kilku innymi do Goszczy.

Zastałem tam już Rochebruna, a przy nim nowy oddział żuawów, który wzrósł w tym czasie do liczby 300. Zaciągnąłem się zaraz do ich szeregu. Poznałem wtenczas Grzegorzewskiego i Zwierkowskiego i odtąd my trzej byliśmy ciągle razem. Zastałem też wówczas w żuawach młodego chłopaka z klasy rzemieślniczej z Krakowa — który całkiem niezasłużenie z mej strony, tak szczerze przywiązał się do mnie, że miałem w nim odtąd opiekuna. On troszczył się o moje względne wygody, starał się o pożywienie, niósł podczas marszu prowianty, i na każdym kroku dawał mi dowody szczerej życzliwości. Dotąd nie rozumiem — czem zdołałem pozyskać tyle uczucia z jego strony.

Pod Goszczą leżeliśmy obozem dni kilkanaście, a w tym czasie odbywaliśmy ciągłe ćwiczenia, bo Rochebrune nie dał nam ani jednego dnia próżnować, a swoje gorące przemowy zachęcające do męztwa i wytrwałości zaczynał od słów: „Zouaves de la mort!“

Po ogłoszeniu Langiewicza dyktatorem — udaliśmy się do Chrobrza. Niektórzy z nas (i ja należałem do wybrańców losu), nocowaliśmy w pałacu Wielopolskiego, budząc zazdrość u innych, którym przeznaczenie poskąpiło przyjemności nocowania pod dachem, na miękkiej kanapie i kosztowania wina z piwnicy margrabiego. Obozowało wielu na dworze, przeklinając dowódzców i szczęśliwych towarzyszy.

Jednemu z oficerów, który przebrał miarę w swobodzie wyrażeń, a jakimś trafem Rochebrune się o tem dowiedział — odebrał szarżę degradując go na szeregowca — bez broni. Trzeba było widzieć rozpacz biednego chłopca, gdy przyszło do potyczki! Zdobył gdzieś jakąś starą wyszczerbioną siekierę, i z tą ruszył na Moskala. Będąc w pałacu, dostałem rozkwitłą

różę — którą ofiarowałem Pustowojtównie; ona zaś wywzajemniając się, dała mi kawałek kiełbasy.

Nazajutrz przeszliśmy rzekę Nidę, a widząc, że Moskale ciągną za nami, spaliliśmy most za sobą. Niebawem jednak napotkaliśmy oddział dragonów, z którymi mieliśmy potyczkę. Rochebrune uformował nas żuawów w dwa szeregi — i podczas gdy jeden szereg strzelał, drugi broń nabijał. Mieliśmy wtenczas już sztućce belgijskie. Dowódzca nasz zakomenderował: „en avant! au pas gimnastique!“ i sam na czele prowadził nas na dragonów. Ubito pod nim konia, on ani się obejrzał, tylko krokiem gimnastycznym pędził naprzód. Dragoni sądząc, że nas jest więcej, zaczęli się cofać, a my dalej na nich nacierać. Pościg krokiem gimnastycznym był uciążliwy — i niektórzy zaczęli zostawać, wtenczas Rochebrune zwrócił się do nas twarzą i postępując ciągle, wyciągnął rękę z rewolwerem, grożąc nim każdemu — ktoby ustał lub krok zmienił.

Zwyciężyliśmy wtenczas, ale też i wodza mieliśmy — pod którego rozkazami warto było służyć!

Bitwa ta nie przybrała większych rozmiarów, dla tego, żeśmy przez spalenie mostu utrudnili przeprawę ścigającemu nas wojsku.

Drugiego dnia stanęliśmy pod Grochowiskami. Wiara nasza zmęczona i wygłodzona, ustawiała broń w kozły, ciesząc się nadzieją spoczynku i widokiem dużych kotłów, pod którymi zapalono ogień, wrzucając do nich całe ćwierci wołu i sypiąc kaszę. Od paru dni nie mogliśmy nigdzie zdobyć pożywienia! nawet chleba zabrakło, a w obozie coraz większe objawiało się niezadowolenie i rozprzężenie.

Jeszcze się jedzenie nie zagotowało, gdyśmy usłyszeli strzały armatnie. Żegnaj więc nadziejo spoczynku i pożywienia.

Nie będę opisywał przebiegu bitwy, bo o niej, nie jeden zdolniejszy i lepszą pamięcią obdarzony kolega już opowiadał, wspomnę tylko o moim w niej wypadku.

Gdy moskiewskie armaty coraz większe spustoszenie zaczęły robić w naszych szeregach, wtenczas Rochebrune wezwał nas na ochotnika — by pójść na armaty. Wystąpiło nas kilkunastu żuawów, między nimi Zwierkowski i ja, i popędziliśmy naprzód — oddalając się od całego oddziału.

Naraz Zwierkowski — chcąc mnie powstrzymać i zwrócić w inną stronę, szarpnął silnie za ramię — żem się obrócił na miejscu; w tejże chwili kula kartaczowa zgruchotała mi prawą

rękę. Strzelba upadła naprzód, a ja doznałem uczucia — że i moja ręka gdzieś naprzód poleciała; wpatrzyłem się więc przed siebie, aby zobaczyć, gdzie się ona podziała. Słabo mi się zrobiło; usiadłem na zrębie, aby zebrać myśli i przecie dowiedzieć się — co się z moją ręką stało, bo jej przy sobie dostrzedz nie mogłem. Ona tymczasem zwisała bezwładnie za mną i dla tego jej na zwykłem miejscu znaleźć nie mogłem, a dowiedziałem się o tem dopiero gdym usiadł — a ręka zwisająca dotknęła ziemi. Uczułem wtenczas ból srogi, a przyciągnąwszy rękę naprzód — zobaczyłem strugę krwi. Wstałem i poszedłem między walczących; tam już czynnego udziału brać nie mogłem, ale chciałem poledz — i w tym celu wysuwałem się ciągle przed szeregi walczących, a zwracając się do Moskali — dawałem im znaki lewą ręką, aby we mnie celowali. Co mi po życiu, kiedy już bić się nie byłem zdolny! Snując się tak — spotkałem Rochebruna, który mi kazał pójść do ambulansu. Nie usłuchałem, bo co mnie tam po takiem życiu teraz, ot — lepiej skończyć odrazu. A tu jak na złość kule przelatują dokoła, brzęczą koło ucha, a żadna nie trafia! Ot — Zwierkowskiemu przeszyła lewą rękę. Tu, tu strzelajcie! — patrzcie — w ten krzyż biały — w ten fez czerwony!

Spotkałem Rochebruna raz drugi i trzeci, aż w końcu widząc moje nieposłuszeństwo, odkomenderował 2 żuawów, aby mnie odprowadzili do ambulansu, opodal za lasem. Lekarza nie było; — rozłupano tylko skrzynkę z amunicyi, odcięto rękaw od kożuszka, związano rękę w łupki, wpakowano nas po kilkunastu na wozy — i transport wyruszył na noc ku Tarnowu. Trzeciego dnia pod wieczór, przybyliśmy na miejsce.

Ilem podczas tej jazdy wycierpiał, tego do dnia dzisiejszego zapomnieć nie mogę! Kość zdruzgotana wrzynała mi się w ciało, łupki, którymi rękę skrępowano — gniotły, przy tem zimno mi było, bo rękaw był odcięty, a działo się to pod koniec marca 18—19-go. Błagałem otaczających, aby mi choć na chwilę rozwiązali rękę, ale nikt tego uczynić nie chciał.

Chustkę tylko u kogoś po drodze — konwojujący nas wyprosili, i tę mi zarzucili na rękę.

Na domiar okropności położenia, jęki rannych, brak miejsca, a między rannymi jeden, który umarł w drodze; lecz nim skonał, kopał w agonii wszystkich dokoła.

Wreszcie po torturach jazdy — przybyliśmy do Tarnowa; ale nim po bruku miejskim dostaliśmy się do szpitala, sądziłem

że i ja skonam w tym czasie. Wkońcu wóz stanął; zaraz też znalazł się przy nim niezrównanej dobroci doktor Przykril. Poznał mnie i z największą pieczołowitością przenieść kazał do wygodnie przygotowanega łóżka. Spełniło się na razie moje najgorętsze życzenie: rozwiązano mi rękę — i dostałem jeść. Myślałem wtenczas, że zostałem w niebo wzięty, tak mi było dobrze!

Nazajutrz skończyło się to błogie uczucie — gdy mi powiedziano, że rękę trzeba amputować, bo gangrena już się pokazała. Protestowałem i opierałem się dłuższy czas, wkońcu uległem namowie kochanego doktora Gilewskiego z Krakowa, który trafił mi do przekonania tym argumentem, że — gdy się odejmie chorą rękę, która taki ból sprawia, to przestanę cierpieć. Było to zupełnie jasne; nie mogłem się dłużej wachać. Sala operacyjna znajdowała się na piętrze, niesiono mnie więc tam na łóżku. Na schodach łóżko się zepsuło, a ja gruchnąłem na ziemię.

Po zwykłych przygotowaniach, uspiono mnie i rozpoczęto operacyę. Najpierwej mieli zamiar lekarze rękę skrócić, ale okazało się, że kość jest roztrzaskana aż do ramienia; wyłuszczono mi ją zatem. W chwili jednak gdy mi wiązano arterye, skonstatowali doktorzy, że mi serce bić ustało. Usunięto chloroform i wróciłem jeszcze do życia, aby czuć niezmiernie bolesny koniec operacyi.

Po kilku dniach, wskutek jakiejś niedokładności w opatrywaniu rany, zaczęła się ona zaprędko goić, a stąd nowe wynikło dla mnie niebezpieczeństwo. Musiano ranę rozcinać — ale już bez usypiania i na nowo wiązać arterye, co było najstraszniejsze. Po tej drugiej operacyi, stan mój pogorszył się do tego stopnia, że lekarze nie mieli już nadziei utrzymania mnie przy życiu. Rozeszła się nawet pogłoska, żem umarł, a mieszkańcy Tarnowa, którzy mi wiele łaskawych względów i współczucia okazywali, zaczęli podobno przygotowania do wspaniałego pogrzebu.

W tym czasie przyjechali moi biedni, stroskani rodzice. Ile oni wtedy przeszli, ile przecierpieli, trudno to słowami oddać!

Brat mój starszy Maurycy — będąc w partyi Jeziorańskiego, w bitwie pod Małgoszczem stracił palec u ręki i dostał strzał w nogę. Leżał ranny w Krakowie. Młodszy zaś Leon, adjutant Rębajły — poległ potem pod Iłżą. Ja byłem trzeci.

Trzy miesiące przebyłem w szpitalu; rana goiła się prędko i sił mi przybywało — przy troskliwej pielęgnacyi lekarzy i niestrudzonej opiece kochanej siostry mojej Ludwisi. A dobre i piękne panie tarnowskie, jakże mnie one psuły swymi względami, miłem towarzystwem i dostarczaniem różnych przysmaków. Zaciągnąłem wtenczas wiele długów wdzięczności — szczególnie wobec rodzin: Przykrilów, Rutowskich, Stojałowskich, Oskarów, Czyżewiczów i wielu innych.

Gdym już wstawał i pozwolono mi wyjść na miasto a było to w gorący dzień czerwcowy, wyszedłem bez okrywki, w samej tylko czamarce. Spotkało mnie coś takiego, co porównać mogę do uderzenia obuchem w głowę. Idę ulicą, wtem zakonnica jakaś przejęta uczuciem patryotycznem — klęka — i całuje mnie w rękę. Uciekłem jakby oparzony, bo owacya taka zażenowała mnie niesłychanie. A jednak, jeszcze raz w Tarnowie mnie to spotkało. Poszedłem do pp. Rutowskich, w sieni natknąłem się niespodzianie na owego poczciwego chłopaka, żuawa, mego opiekuna i powtórzyła się scena z ulicy. Potem już nie spotkałem go nigdy. Później przez długie lata — nie wychodziłem bez okrywki.

Gdy mnie uwolniono ze szpitala, pojechałem do rodziców gdzie jeszcze przeszło miesiąc trwała moja kuracya, którą mój ojciec — będąc lekarzem — sam przeprowadzał. Gdy zaś jednego dnia powiedział mi, że już ostatni raz opatruje ranę i uznaje mię za wyleczonego, wyjechałem nazajutrz z domu, w celu zaciągnięcia się do oddziału. O zamiarze moim nie mówiłem rodzicom, bo oni biedni staraliby się wyperswadować mi to teraz, gdym tylko jedną miał rękę. Byłoby to jednak daremne, gdyż czułem się związanym przysięgą wykonaną przy wstąpieuiu do żuawów; a oprócz tego myśl, że inni się biją — a ja miałbym siedzieć za piecem, była mi nieznośną.

Wierzyłem ślepo w zwycięstwo naszych, wierzyłem w dzielność wodzów, w ich rozum i doświadczenie, wreszcie w interwencyę Francyi i nie wytrzymałbym w domu.

Po przybyciu do Lwowa dowiedziałem się, że Komorowski zbiera oddział, chcąc z nim wkroczyć na Wołyń. Udałem się do niego — i ku mojej radości znalazłem w obozie mego dzielnego dawniejszego dowódzcę Rochebruna w randze jenerała. On mnie też poznał i powitał słowami: „Voilà-le brave-entre des braves!“ Hej! hej! — skrzydła mi urosły słysząc takie po-

witanie! Czułem się — silny i mężny — sam jeden poszedłbym na nieprzyjaciela.

Zaciągnąłem się rozumie się pod jego rozkazy na nowo, i zamianowany zostałem porucznikiem przy żuawach.

Krótki czas poświęciliśmy ćwiczeniom, ja zaś wprawiałem się w strzelaniu lewą ręką, potem przekroczyliśmy granicę, łącząc się z innymi oddziałami. Tu przyszło do nieporozumienia między Rochebrunem a rotmistrzem Rozwadowskim; sprawa oparła się o głównodowodzącego Kruka, który stanął po stronie Rozwadowskiego. Obrażony Rochebrune zdarł z siebie mundur jeneralski, oddał pałasz, ofiarowany mu przez Francyę — Komorowskiemu — i porzucił Polskę na zawsze.

Mówiono mi potem, że poległ podczas komuny francuskiej.

Skierowaliśmy się pod Poryck i mieliśmy tam starcie z Moskalami. Bitwę tę — jako i całą wyprawę wołyńską opisuje nieodżałowanej pamięci Grzegorzewski — w swoich wspomnieniach.

Słysząc o nowych siłach moskiewskich, cofnęliśmy się ku granicy, gdy nas huzarzy austryaccy powitali strzałami i niemal wszystkich zabrali do niewoli. Małej garstce tylko udało się umknąć. Rozbrojono nas i zaprowadzono do Sokala, gdzie nas w jakimś dużym budynku zamknięto. Gdy nas nazajutrz wypuszczono na dziedziniec, upatrzyłem sposobną chwilę i uciekłem. Żołnierz jednak zauważył moją ucieczkę i strzelił za mną; skręciłem w boczną uliczkę, dopadłem jakiegoś domku, prosząc o schronienie u napotkanej starej kobiety. Ta wprowadziła mnie do komory i ukryła w próżnej beczce, zarzucając na mnie jakąś szmatę.

Niebawem jednak odkryli mnie tam żołnierze, którzy się za mną puścili wpogoń — i zaprowadzili z powrotem.

Nie dałem jednak za wygranę i po południu uciekłem po raz drugi. Tym razem powiodło mi się lepiej. Napotkałem furmankę — i kazałem się wieść dalej. Dotarłem znów do Lwowa, a tam znalazłem Izydora Dzieduszyckiego, z którym na zlecenie Komorowskiego, ukrywającego się na wsi, zajęliśmy się zaraz formowaniem nowej partyi.

Mieliśmy już sporą listę zapisanych ochotników, gdy dnia pewnego zgłosił się ktoś, co się nazwał Redlem i prosił aby go też zapisać. Człowiek ten wydał się nam podejrzanym, na razie więc chcieliśmy się go pozbyć, nie przyznając się do naszej czynności; wkońcu jednak — podane przez niego nazwisko,

jako znane i szanowane, przemówiło za nim — i skłoniło nas do zapisania go. Ten jednak nas zdradził, bo nazajutrz, skradając się jak kot, zjawił się w naszej kancelaryi w hotelu Żorża, jakby z pod ziemi wyrosły — komisarz z policyantami — i zaaresztował nas.

Lista powstańców leżała przed nami na stole; Dzieduszycki porwał ją, strącił nieznacznie na ziemię i nadeptał nogą. Nic to jednak nie pomogło, bo komisarz zabrał nas i listę i zawiózł na policyę, osadzając każdego zosobna. Potem odstawiono nas do więzienia u Karmelitów, gdzie przebyliśmy pół roku.

Dalsze moje dzieje nie odnoszą się do powstania, które w tym czasie wygasło.

Łańcut, dnia 11 marca 1903.



DR. IGNACY KAMIŃSKI. (†)

Francesco Poma.

(Z wspomnień tułactwa).

Namiestnik hr. Mensdorf-Pouilly ogłosił stan oblężenia dla Galicyi i Księstwa Krakowskiego, obwieszczeniem we Lwowie dnia 27. lutego 1864 r.

Nie będąc pewnym osobistej wolności w Stanisławowie, uchyliłem się z pod czujnych oczu starosty Ostermanna i udałem się do Wiednia, gdzie miałem dopilnować dostawy broni, dla powstania w Królestwie Polskiem.

Broń ta była przeznaczoną dla oddziału Chranickiego, rozmieszczonego w brzeżańskim obwodzie, który liczył do 500 ludzi, i który czekał tylko na broń, aby wyruszyć w Lubelskie. Dostawca Szembera wysłał broń z Ołomuńca do Lwowa w beczkach frachtem jako cukier, pułkownik Struś zawiadomiony, że posyłka już nadeszła, udał się do naczelnika okręgu lwowskiego, aby nakazał naczelnikowi obwodu brzeżańskiego p. Jakubowiczowi, aby przyjął broń i przechował dla oddziału, który był rozlokowany w brzeżańskim obwodzie. Jakubowicz odmówił przyjęcia broni. Dostawca Szembera obawiając się wzbudzenia podejrzenia z powodu, iż nikt się po posyłkę nie zgłasza pomimo, że ze dwa tygodnie czekała na odbiór, polecił cofnąć towar do Ołomuńca. Tu zadenuncyowano i cały

transport został skonfiskowany. Policya wiedeńska o tem zawiadomiona udała się do pomieszkania Szembery, aby go aresztować. Spiorunowany strachem Szembera, prosił o pozwolenie zmiany bielizny, wszedł do drugiego pokoju, wypił przygotowaną truciznę i padł trupem na miejscu.

Śledztwo wykryło, że ja zamawiałem dostawę tej broni.

Wysłano za mną listy gończe po wszystkich inspektoratach policyi w Wiedniu. Przez tydzień zmieniałem co noc noclegi. Lecz nareszcie nie widząc żadnego wyjścia, zaopatrzony na ten wypadek paszportem na obce imię, w otoczeniu dwóch przyjaciół dr. Niedźwieckiego i Ignacego Burzmińskiego oficyała pocztowego, którzy patrolowali, czy nie ma czyhającej na mnie policyi, wyruszyłem koleją z Wiednia bez przeszkody, a przebywszy rewizyę paszportową w Salzburgu, zatrzymałem się w Monachium. Miałem żonę, czworo dzieci, interesa; chciałem w Bawaryi przeczekać burzę, żywiąc nadzieję, że ponieważ ruch ten nie był skierowany przeciw Austryi, nastąpi wkrótce amnestya.

Utrzymywałem z dr. Niedźwieckim ciągłą korespondencyę — pisaną chemicznym atramentem niewidzialnym, pismo dopiero występowało po pociągnięciu płynem reagencyjnym. Ze dwa tygodnie trwała ta korespondencya. Aż razu jednego otrzymuję list od dr. Niedźwieckiego, że pobyt mój w Monachium policya wiedeńska odkryła, że zawezwano policyę monachijską, aby mnie uwięziła i do Wiednia odstawiła.

Na tę wiadomość odjechałem bez zwłoki do Lindau koleją, a stamtąd statkiem parowym przez jezioro Konstancyjskie (Boden-See) do Szwajcaryi i w drugiej połowie maja 1864 znalazłem się w Zurychu.

Tu wpadłem jakby w kocioł kipiący od emigrantów, ofiar ostatniego powstania. Zaroiło się w całej Szwajcaryi od Polaków z rozbitych oddziałów, którzy z pogromu wynieśli nagie życie na gościnny brzeg Helwecyi. W całej Szwajcaryi były komitety szwajcarskie, które się zajmowały zbieraniem składek, aby nieść pomoc wyzutym ze wszystkiego tułaczom. Najgorliwsze kantony były St. Gallen, który mi potem ofiarował obywatelstwo szwajcarskie i kanton Zurychski.

Większa część emigracyi ściągała się do Zurychu. Rząd kantonu Zurychskiego, choć cała Szwajcarya niema domu na inwalidów żołnierzy, otworzył dla naszych braci wielkie przestronne koszary, które oddał pod komendę starego wiarusa, ka-

pitana Werpachowskiego. Komitet Zuchryski dostarczał tym, co potrzebowali i nie mieli własnych funduszów zasiłki na życie i ubranie.

Rząd Narodowy potworzył dla zastępstwa swego ajencye na Francyę i Anglię w osobie księcia Władysława Czartoryskiego, który w depeszy do Rządu Narodowego z Paryża dnia 24. lutego 1864 tak się odzywa: „Jeźli mi wolno, nietylko jako ajentowi Rządu Narodowego, ale jako polskiemu obywatelowi do panów się odezwać“ — książę Władysław Czartoryski na zapytanie rządu, czy popierać jeszcze powstanie, które dwie zimy wytrzymało — i już dogorywa, zachęcał jak najgoręcej do popierania wszystkimi środkami, wskazując na nadzieję bliskiej interwencyi mocarstw Anglii, Francyi i Austryi.

Na Szwajcaryę mianowany ajentem Rządu Narodowego hrabia Władysław Plater, poseł sejmu Królestwa Polskiego w r. 1831, później adjutant jenerała Skrzyneckiego, założyciel muzeum w Rapperswyl, który wydawał wtenczas w Zurychu dziennik w języku niemieckim „Der weisse Adler“, mąż dla spraw polskich wielce zasłużony.

Po przybyciu mojem do Szwajcaryi, zawezwał mnie hr. Władysław Plater do prac narodowych, mianując mnie sekretarzem ajencyi na Szwajcaryę. Przy innej sposobności podam obraz moich prac i zajęć w służbie narodowej, za które mnie zaczycił Rząd szwajcarski, nadaniem obywatelstwa szwajcarskiego, udzielonego mi „darem“ „schenkungsweise“.

Tu chcę skreślić jeden wypadek, który mnie, jako sekretarza ajencyi powołał do działania. Hr. Władysław Plater otrzymuje telegram z Krakowa, od osoby znanej mu z patryotyzmu i należącej do organizacyi popierającej powstanie, telegram tej treści: „Francesco Poma, Szwajcar, z Kantonu Tessin schwytany koło Olkusza, jako naczelnik oddziału, skazany na śmierć. Gdyby rząd szwajcarski za nim się wstawił, może być uratowanym. Pospiech, za sześć dni będzie zapóźno!“

Plater wręcza mi telegram i do kilku godzin tego samego dnia puszczam się w drogę, Kanton Tessin — kanton włoski, ma takie szczególne urządzenie, że siedziba rządu kantonalnego zmienia się co sześć lat, a siedzibą tą są miasta Belinzona, Lugano i Lucarno. Zasięgnąwszy wiadomości, że w r. 1864 kantonalne władze urzędują w Belinzonie, puściłem się przez Lucernę statkiem parowym, prześlicznem jeziorem czterech kantonów, do stacyi Fluel, gdzie siadłem do wozu pocztowego i przez górę

Św. Gotharda, której wnętrzności przerzyna teraz smok ognisty kolejowy, spieszyłem do Belinzony. Najcudowniejsze widoki roztaczały się przed mojemi oczyma. Lecz trwoga, że ten szlachetny Szwajcar zginie, zanim wstawienie się rządu szwajcarskiego nadejdzie, zasłania mój wzrok przed urokiem czarujących gór szwajcarskich. W siedm godzin stanąłem w Belinzonie.

Było to w lipcu. Nowa zwłoka! Nowe rozczarowanie! Urząd kantonalny już się przesiedlił był z Belinzony do Lugano. Na łeb na szyję spieszę do Lugano. Szczęście, że w półtory godziny jestem na miejscu. Nowe trudności! Naczelnik rządu kantonalnego każe przejrzeć księgi ludności, aby mógł poświadczyć, że Francesco Poma jest szwajcarskim obywatelem kantonu Tessińskiego. Przechodzą księgi ludności. Jest w nich kilku nazwanych Francesco Poma, między nimi jest jeden z zawodem pittore — malarz. Naczelnik pyta, za którym ma się rząd szwajcarski wstawiać, odpowiadam na chybił trafił: pittore. Naczelnik każe mi, jako obeznanemu z całą sprawą niebezpieczeństwa ułożyć w brulionie telegram do Rządu Związkowego Szwajcaryi w Bernie. Telegramu treść była: Rząd kantonu tessińskiego poświadcza, że Francesco Poma, malarz z zawodu, wziął paszport jako obywatel szwajcarski kantonu tessińskiego, udał się w podróż; jako naczelnik oddziału powstańców polskich schwytany koło Olkusza, skazany na śmierć. Rząd kantonalny prosi Rządu Związkowego, aby telegraficznie odniósł się do Rządu rosyjskiego w Warszawie, o darowanie mu życia.

Telegram wysłano — a ja wróciłem do Zurychu i zdałem sprawę hr. Platerowi.

Minęło kilka tygodni, od wysłania tego telegramu. W początkach września 1864 zaprosił mnie hr. Władysław Plater do swej willi znanej na Brölbergu. Ledwiem wstąpił, wita mnie hr. Plater uściskiem ręki i z radosną twarzą zwraca się ku mnie: „Dzieło Pańskie uwieńczone, Francesco Poma, uratowany! Wnet się Panu przedstawi". Za chwilę prowadzi hr. Plater za rękę młodego, do 30 lat liczącego człowieka i przedstawia mi go, jako Francesco Poma.

Ja zbieram całą moją znajomość włoskiego języka, aby mu wyrazić moją radość, lecz on mi przerywa i czystym polskim językiem przedstawia się jako Franciszek Wrotnowski, syn emigranta z r. 1830—31 — urodzony w kantonie Tessin. Tu zaczął nam opowiadać, jak go skazano na śmierć, nie przyznawał się, że jest Polakiem, mówił ciągle po włosku i powtarzał, że jest

Szwajcarem. Nagle scena się zmienia. Pułkownik, który komenderował pułkiem w Olkuszu, kazał więźnia przystawić do siebie, zdjąć mu kajdany, posadził go przy sobie i wobec kilku oficerów powtarzał ciągle: „A no prawda, wyście Szwajcar“ i trzymając jakieś pismo w ręku zapraszał więźnia, aby jadł i pił. Stół był sowicie zastawiony. Wrotnowski opowiadał dalej: Nie rozumiejąc, co to wszystko znaczy, nie mogłem przełknąć, dusza, była na ramieniu. Po uczcie zajechała kibitka, dwóch żołnierzy uzbrojonych siadło przy mnie. — Kibitka ruszyła, jechaliśmy różnemi wsiami i okolicami. Przyszło mi na myśl: że Moskale, aby lud przestraszyć, zwykli obwozić dowódzców oddziału skazanych na śmierć, temi okolicami, lasami, wsiami, przez które ów oddział z ruchawką przeciągał. Czekałem ostatniego aktu. Pożegnałem się z życiem. Aż tu stajemy na granicy okręgu krakowskiego, nie pomnę — jak się ta komora nazywa. Komisarz austryacki odbiera mnie z kibitki wraz z papierami i osadza pod telegrafem. W kilka dni odstawiają mnie do granicy szwajcarskiej. W Krakowie dowiedziałem się, komu zawdzięczam „życie i wolność“.

Oto jeden z epizodów mego życia na tułactwie w Szwajcaryi.



WŁADYSŁAW KARWOWSKI.

Moje walki i więzienia.

Do roku 1862 pozostawałem w sądzie w Płocku. Wskutek wypadków politycznych przed powstaniem, musiałem opuścić kraj. Rok 1863 sprowadził mię do kraju, w szeregi walczących.

Pamiętam, jak kilkunastu nas w Komorowie, w Prusach zachodnich, wyruszyło w zamiarze połączenia się z oddziałem powstańców, w Królestwie Polskiem. Po kilkudniowem, bezowocnem błąkaniu się po wsiach i lasach, wróciliśmy do Prus Zachodnich i otrzymaliśmy wezwanie udania się do Wlawska, pod Lidzbarkiem, gdzie pod dowództwem Pawła Suzina zbierał się oddział powstańców. Lecz i tu los, czy przeznaczenie, nie szczędziło przykrych doświadczeń. Suzina w drodze aresztowano. Zaledwie po całonocnej podróży, w liczbie kilkunastu, stanęliśmy w punkcie zbornym i ulokowaliśmy się na polanie w lesie, usły-

szeliśmy strzały. Prusacy otoczyli nas i do bezbronnych w ukryciu z za drzew strzelali. Raniono dwóch, i kiedy byliśmy zajęci unoszeniem rannych, otoczyli nas i wzięli do niewoli.

Z dokuczliwością znamionującą system pruskich więzień, wobec Polaków, trzymali nas przeszło trzy miesiące w Brodnicy (Strassburg) i dopiero wskutek starania obywateli Polaków, uwolniono nas i za przymusowym paszportem kazano jechać do Szwecyi.

Nie czekałem na wykonanie wyroku pruskiego i z innymi podążyłem pod sztandary oddziałów, organizujących się w gubernii Płockiej, powiecie Mławskim, a mianowicie do oddziału Orlika, zostającego pod komendą Schmeitza, byłego oficera austryackiego.

W znaczniejszej bitwie pod wią Chromakowem, gdzie kilka połączonych oddziałów polskich walczyło przeciwko liczebnie większym zastępom rosyjskim, postrzelony zostałem w mięśnie na wskróś. Ranny, leczyłem się początkowo w Królestwie, a następnie wyjechałem do Prus Zachodnich, skąd w marcu 1864 r. ponownie zaciągnąłem się w szeregi. Przy przejściu granicy pruskiej, pod wsią mazurską, Przełęki, oddział nasz w sile trzystu ludzi, zostający pod dowództwem znanego z męstwa kapitana wojska pruskiego Ewalda (znanego powszechnie w oddziale pod nazwiskiem „Bruder“, gdyż każdego powstańca mianował swym bratem) zaatakowany przez wojska pruskie, mężnie stawił czoło Prusakom.

W bród przeszliśmy wezbraną rzeczułkę, rozgraniczającą Prusy z Królestwem, pod gradem kul pruskich, a przemoknięci i strudzeni kilkumilowym nocnym marszem, wzięci zostaliśmy we dwa ognie, t. j. wojska pruskiego i rosyjskiego, zostałem raniony lekko w nogę. Rozrzuceni w tyraliery, pod wodzą dzielnego Ewalda, zwolna postępowaliśmy do sąsiedniego lasu. Zaledwie stanęliśmy, ażeby wykręcić zmoczone ubrania, w tem moskiewskie „hura“ „na sztyki“ (na bagnety) pomięszane z odłosem trąb i surmy wojennej, przerwało wypoczynek.

Napróżno nasz dowódzca wzywał do broni; przemokli i ziębnięci, a do tego i z zamoczonymi patronami, słaby stawiliśmy opór, do czego przyczynił się wiele upadek na duchu. Wiara, która tak dzielnie walczyła przeciwko Prusakom, straciła odwagę, powstał ogólny zamęt, a słowo „poddajmy się“ stało się ogólnem.

Kilkunastu nas zszeregowanych, przy boku dowódzcy, kapitana Ewalda, staraliśmy się przebić przez szeregi moskiewskie, a krzyki żołnierzy rosyjskich „nie ujdiosz“ podsycały nasze usiłowania.

Ze znaną zimną krwią, dowódzca nasz pałaszem torował drogę przez gęste szeregi Moskali, a bagnety kilku wiarusów, walczących obok niego, jak żądła os, wbijały się w cielska Moskali.

Otoczeni pierścieniem najeżonych bagnetów moskiewskich, uległiśmy przemocy — zostaliśmi jeńcami. Co się działo w umysłach naszych, trudno opisać. Upojeni żądzą wyzwolenia Ojczyzny, naraz staliśmy się niewolnikami tyrana, znęcającego się nad zwłokami poległych, które obdzierał do naga.

Myśl straszną, co dalej będzie, rozwiała smutna rzeczywistość. Dowódzca nasz, kapitan Ewald, został rozstrzelany w miasteczku Mławie. W ostatniej chwili swego życia okazał się mężnym i zginął jako żołnier-bohater, nie pozwalając zawiązać sobie oczu, przy egzekucyi. Jako przyczynek do martyrologii obrońców Ojczyzny i dzikiej brutalności Moskali, wspomnieć muszę, że kiedy adjutant moskiewski, nazwiskiem Szyło dowiedział się, kto był dowódzcą Polaków, przystąpił do zakutego w kajdany z rękami w tył, kapitana Ewalda, i uderzył go szpicrutą w twarz.

Ze mną krótka była procedura.

O! ironio losu! W tym samym gmachu więziennym, gdzie kiedyś sam byłem uczestnikiem wymiaru sprawiedliwości, odczytano mi wyrok sądu wojennego, skazujący mnie w roty aresztanckie, pod przybranem nazwiskiem Teodora Dembińskiego z Prus.

Biedna moja matka i siostra zamieszkałe w Płocku, cios ten bolesny przyjęły z rezygnacyą niewiast-Polek i nie zdradziły mego właściwego nazwiska, pomimo że ich ukochany jedynak rozstał się z niemi na zawsze. Wola Boża i cara — jak powiada Moskal — zawisła nad nami. „Poszoł skorej!“ (idź prędzej) wyraz ten stał się dla nas chlebem powszednim. Z etapu do etapu, przez Warszawę, Grodno, Wilno, Dynaburg, przybyliśmy koleją do Pskowa, gdzie nam ostatecznie określono miejsce przeznaczenia, ja dostałem się do 8-ej tulskiej roty.

W Petersburgu, tym grodzie carów, groźnym i zimnym jak wola jego założyciela, pozostawaliśmy kilka dni, poczem dalej w pochód, do matuszki Moskwy, brudnej, niechludnej, rozsia-

dłej na 7-miu wzgórzach z słynnym Kremlem, przypominającym czasy tyrana, cara Iwana Groźnego.

Duch jego widocznie błądzi w mieszkańcach miasta tego, gdyż zaledwie wkroczyliśmy do Moskwy, mieszczanie bez najmniejszego powodu rzucili się na nas i tylko silny konwój żołnierzy zdołał powstrzymać napastników.

Tuła, miasto fabryczne, wojskowe warstaty broni, stało się tylko dla nas dalszym etapem. Przeznaczeni zostaliśmy do budowy kolei. Wieś Rowki była naszym postojem.

Podlegli byliśmy komendzie wojskowej jenerała-lejtnanta Sinielnikowa. Był to człowiek surowy, jednakże wynurzał się, że jest przyjacielem Polaków; wzięty bowiem niegdyś do niewoli, na słowo, że nie będzie walczyć przeciwko Polakom, wypuszczony został.

Rotny nasz dowódzca Kint, pijanica jakich mało, z gruntu jednak poczciwy, a miałem sposobność poznania go bliżej, będąc zatrudniony w kancelaryi roty. Nie będę się wdawał w opisy, jak było i co było w rotach, gdyż słowa: „słuszaj“, „małczaj“ i „ispołniaj“ są illustracyą i katechizmem prawdziwego Moskala.

Po przeszło półtrzecia rocznym pobycie w rotach, jako „inostraniec“ (t. j. obcy poddany) uzyskałem amnestyę powrotu do Prus. I znowu etapy pod konwojem i z wszelkimi szykanami starych stupajków moskiewskich; przybyłem z innymi do Warszawy.

Myśl, co dalej będzie, jak wydadzą Prusakom, zrodziła we mnie nieprzepartą wolę ucieczki. Wraz z dwoma towarzyszami niewoli, o ile sobie przypominam, Pruchniakiewiczem i byłym huzarem wojsk pruskich Niemcem, Karolem, drapnęliśmy pod Otłoczynkiem, na granicy pruskiej. Mnie i Pruchniakiewiczowi powiodło się szczęśliwie, Karol padając, przebił sobie brzuch.

Długo błąkaliśmy się po przyległych lasach, a słupy czarno-białe, widniejące w pomroce nocnej, służyły nam za wskazówkę dalszej wędrówki, w głąb dzielnicy polskiej pod Toruniem. Słupy te, obleczone żałobnym narodowym pruskim kolorem, czarno-białym, odbiły się echem cmętarnem, na ziemi po której zakuty w zbroję, chytry Krzyżak depcze, a urągając prawom natury, ruguje język i wiarę.

Piosnka kujawska jadących fornali z pod Inowrocławia, zbudziła mię z letargu. Fantazya odbiegła — prosiłem ich, aby

nas podwieźli do jakiego dworu polskiego, gdyż ubrani w szynele (płaszcze) moskiewskie, nie mogliśmy bez obawy aresztowania dalej podróżować. Przyjęli nas chętnie i spełnili nasze życzenia, a dalszym naszym losem zajęli się poczciwi ludzie.

W Brzeżanach dnia 5. stycznia 1903.



PIOTR PAWEŁ KASPRZYCKI.

Pietnaście dni wojaczki.

Dnia 3. marca 1863 r. zbieraliśmy się w Giebułtowskim lesie, koło Krakowa, dokąd nasza broń i amunicya furami zostały przywiezione.

W drodze przyłączył się do nas jako powstaniec, austryacki żołnierz, t. j. strzelec, zupełnie uzbrojony i w mundurze wojskowym, tylko na głowie miał czerwoną rogatywkę.

W tym lesie otrzymawszy karabin, a raczej pojedynkę długą, arabską o srebrnej lufie, którą mi dostarczył śp. inżynier kolei Edw. Heppe, a do lufy której, był dorobiony żelazny bagnet, — przekonałem się, że kule, które poprzednio przygotowywałem, były za wielkie.

Inny powstaniec miał za małe kule, więc pomienialiśmy je. Moją pojedynkę znowu zamieniłem w obozie Langiewicza, za sztuciec belgijski, który mi ofiarował żołnierz moskiewski, dezerter, nazywający się Wasyl Tofil, — podobała mu się srebrna lufa.

Z nastaniem nocy przeszliśmy granicę do Królestwa i przenocowaliśmy w Szycach.

Na drugi dzień przyłączył się do nas z Galicyi nowy oddział powstańców, wyruszyliśmy w sile około 500 ludzi, pod wodzą kapitana Niewiadomskiego, do obozu Langiewicza, do Goszczy.

Ten pierwszy marsz trwający od 5-tej popołudniu, do 3-ciej godziny rano, był dla nas nieprzywykłych do takich trudów i to w rynsztunku, bardzo uciążliwym po śniegu i grudzie; dlatego też każdy z nas starał się ile możności rzeczy odkładać na chłopskie wozy, używane jako furgony.

Ja złożyłem na furę podczas marszu moją burkę długą i tornister.

Przyszliśmy do Goszczy o 3-ciej rano zupełnie pomęczeni. Langiewicz nas przywitał, życzył nam dobrej nocy.

Nasz oddział wyprowadzono za wieś i rozlokowano na nocleg na wzgórzu śniegiem zasypanem. Dla rozgrzania rozpaliliśmy ogniska.

Poszedłem do furgonu po rzeczy, tornister znalazłem, ale burkę ktoś wziął, woźnica śmiejąc się oświadczył, że nie zna tego, który ją zabrał.

Można sobie wyobrazić, jak zziąbłem, leżąc przy ogniu na słomie w palcie. Od ognia piekło, a z drugiej strony mróz, obracałem się peryodycznie, jak pieczeń na rożnie, ale spać nie mogłem, zazdroszcząc innym, chrapiącym w burkach.

Od czasu do czasu zajęła się słoma od ogniska w jakiem legowisku, gdzie dobrze spano; patrony w ładownicach zaczęły eksplodować, zrobił się krzyk, rwetes, potem śmiech i znowu kładziono się spać.

W stajni, gdzie była kawalerya, powstał pożar — cały obóz zaalarmowano, myśląc, że to może napad moskiewski, tymczasem rozrzucono stajnię i znowu każdy spał, — kto mógł.

Rano rozsortowano nas. Byłych wojskowych z różnych armii Langiewicz wysortował i przydzielał im różne komendy.

Ja, przydzielony zostałem do strzelców w pułku pułkownika Cieszkowskiego.

Jako szeregowiec nie miałem sposobności poznania, bliżej organizacyi sztabu.

O ile wiem, składał się oddział dyktatora Langiewicza z mniej więcej 5000 zbrojnych, podzielonych na pułki i bataliony, z których każdy miał parę kompanij, każda kompanja składała się z kosynierów i strzelców. Oprócz tego był batalion, żuawów Rochebruna, oddział kawaleryi (przeważnie nie wyćwiczonej) i dwie żelazne stare armatki. Oprócz tego było podczas pochodu mnóstwo furgonów.

Drugim pułkiem dowodził pułkownik Czachowski, stary „szlagon", trzymający w ręku zawsze nahajkę.

Dnie w Goszczy schodziły nam na organizacyi i mustrze w dzień, a w nocy na spaniu, przy setkach ognisk, na świeżem powietrzu w polu.

Podczas jednej śnieżnej nocy, wysłano naszą kompanję na tak zwaną grand-gardę t. j. daleko po za obóz na forpoczty. W mojem lekkiem palcie zmarzłem na posterunku, na wzgórzu podczas wielkiej śnieżnej zawiei, pomimo dwóch jedwa-

bnych koszul. Jakie 30 kroków dalej odemnie stał na posterunku prawie bosy kosynier. Oczekiwaliśmy jak zbawienia, żeby nas zluzowano, tymczasem podoficer prowadzący wartę, zziąbł, popijał wódkę, zaspał, a potem błądził, tak, że zamiast 2 godzin, staliśmy 4 godziny na warcie.

Gdy wreszcie patrol nadszedł, ledwie mogłem zawołać: „Stój! kto — tu! bo — to mógł być i rond moskiewski.

Zesłabłem tak, że mnie poprowadzono do szpitala.

Była — to izba chłopska, gdzie pełno było chorych i rannych. Dla mnie było tylko małe miejsce na ziemi przy drzwiach. Ale będąc młodym (25 lat) rozkosznie się tu wyspałem i nim wróciłem do kompanii, przypatrywałem się rano jakiś czas czynnościom lekarzy i felczerów.

Co chwila wchodził powstaniec jakiś mówiąc: „Proszę mi przewinąć ranę“, „mam postrzał w plecy“, albo „zostałem pchnięty bagnetem w pierś“. Felczer wymył ranę, zastrzyknął czemś i napchał szarpi, obwinął, a powstaniec zęby zaciskał — podziękował i wyszedł, kuracya była skończoną na dziś.

Dopokąd byliśmy w obozie, zaprowiantowanie było jakie jakie. Dostawaliśmy mięso z świeżo zabitych wołów, dla tego było po zgotowaniu niemożliwie twarde. Zamiast go jeść, rzucaliśmy niem na siebie, jak piłkami. Kto miał pieniądze, kupował sobie od przekupniów prowianty; gdyśmy atoli wyszli z Goszczy, tośmy przeważnie głodowali, bo i za pieniądze nie zawsze można było coś dostać. Przodem idące kompanje po wsiach wszystko wykupiły i zjadły, a później przechodzące nie miały co jeść. Czasem człowiek dostał garnek kapusty, a w drugiej chałupie garnek kwaśnego mleka na zakąskę — ot i był bal! a trawiło się doskonale. Czasem podczas marszu wywrócił się furgon z chlebem i zapasami, w takim razie takeśmy się zwinęli, że nim furgon postawili, to już nie było co wozić.

Przechodząc przez jednę wieś i odpoczywając, weszło nas kilkunastu do chałupy, prosimy, żeby nam gospodarz coś sprzedał do jedzenia, on przysięga na wszystko, że nic nie ma.

Siedliśmy na ławach, zaczęliśmy chłopa częstować wódką z manierki, cygarami i śpiewaliśmy i żartowali — ot jak młodzi. Chłop się udobruchał, a baba powyciągała z pieca różne chłopskie specyały i nakarmili nas.

Gdy nadszedł czas do pochodu, chcieliśmy płacić, ale chłopi nie chcieli brać pieniędzy, żegnali się z nami serdecznie, a w oczach ich świeciły łzy współczucia.

Dawniej nie była powszechna służba wojskowa, jak obecnie, dlatego też mało było właściwych żołnierzy między nami; wskutek tego bywały nieraz komiczne epizody.

Obok mnie maszerował jakiś chłopak, zauważyłem, że on często swoją strzelbę, pojedynkę zardzewiałą, nabijał, ale ponieważ nigdy nie wystrzelił, więc domyślałem się, że on może nigdy strzelby w ręku nie miał i że do lufy już kilka nabojów wpakował.

Zwróciłem uwagę oficerów, żeby się przekonali, czy każdy umie się obejść z bronią, i rzeczywiście przekonano się, że część strzelców nie umiała strzelać.

Wszystkich takich przydzielono do kosynierów.

Innym razem, podczas wypoczynku naszego w lesie, rozległ się huk, a chłopak wrzeszczał, trzymając się za prawe udo.

Opowiadał, że jego strzelba nie chciała wypalić, więc on lufę odśrubował, położył kominkiem do ogniska, a sam przykucnął przed lufą i przypatrywał się, co to będzie, oczywiście po rozgrzaniu się, kula przebiła mu udo; żeśmy się z tego powodu kładli ze śmiechu, to rzecz naturalna.

Pochody nasze były bardzo uciążliwe, po kilka mil dziennie po pobocznych drogach, ścieżkach, wertepach lub po przemokłych i śniegiem zasypanych ornych polach.

Wypoczywaliśmy w nocy, najchętniej w lasach, które nas najlepiej zabezpieczały przed niespodziewanym napadem, dlatego też nazywaliśmy lasy naszymi wujaszkami.

Doszedłszy jednego wieczora do takiego wujaszka okropnie pomęczeni, rozstawiono forpoczty wzdłuż szosy kieleckiej czatując na Moskali (pod Sosnówką). Mnie postawił na samym krańcu lasu, któryś z naszych sztabowców, jeżeli się nie mylę, jenerał Kruszewski mówiąc:

„Uważaj, żebyś nie usnął, bo tędy gościńcem będą się cofać Moskale do Kielc. Gdy usłyszysz, że idą, wypal na alarm, a sam cofnij się w głąb lasu“.

Po odejściu jenerała, stałem w śniegu i uważałem na każdy szmer, ale będąc niezmiernie zmęczony, siadłem, oparłem się o drzewo i w tejże chwili usnąłem, pomimo woli, dopiero kroki patrolu zmieniającego wartę przebudziły mnie.

Gdyby byli Moskale nadeszli, byliby mnie z pewnością zgładzili; ale jeszcze w nocy nadeszła wiadomość do obozu, że jakiś chłop zdradził i poprowadził Moskali inną drogą.

Kilku kawalerzystów z naszego oddziału pojechało sobie cichaczem do krewnych, na herbatę, do drugiej wsi, żeby się ogrzać, tymczasem nieszczęście chciało, że właśnie tamtędy Moskale się cofali, a zobaczywszy w podwórzu stojące konie osiodłane, wpadli do dworu i kawalerzystów formalnie w sztuki porąbali, a i gospodarzom nie przebaczyli.

Podczas pochodu należałem do pułku, który był tylną strażą.

Byłem także jako asekuracya prowadząca furgony i szpital. Widząc, że jestem bardzo zmęczony pochodem, wzięli mnie lekarze na furgon. Zagadaliśmy się, i niepostrzeżenie zbłądziło kilka furgonów, ponieważ śniegi puściły, a ogromne roztopy utrudniały jazdę, noc zapadła ciemniuteńka, nawoływać się było niebezpiecznie, zatem lekarze zadecydowali, że będą czekać na miejscu, a mnie powiedzieli: „Idźże strzelczę szukaj oddziału, niech po nas przyjedzie kawalerya". Idę więc po omacku, brnę po roztopach, nareszcie wylazłem na górę i znalazłem się we wsi. Szedłem ostrożnie, bo może tu Moskale stoją. Raptem otwierają się drzwi z karczmy i jakiś żołnierz, pobrzękując szablą, zbiega z pagórka prosto na mnie, myśląc, że to Moskal, zwróciłem karabin do niego, zawoławszy: „Stój! kto idzie?!" Pokazało się, że to swój, zatem opowiedziałem mu przygodę, nie było rady, oddział już przeszedł, więc szliśmy razem aż do Chrobrza, majętności margrabiego Wielkopolskiego, gdzie obóz nasz rozłożono, powiadomiłem komendę, żeby posłano kawaleryę dla odszukania furgonów

Przyszliśmy we dwóch późno w nocy do Chrobrza, kompanii swojej nie podobna odszukać, więc wstąpiliśmy do gospody chrześciańskiej, wszędzie pełno naszych, prosiliśmy, żeby nas przenocowano, ale wszystkie miejsca były zajęte, tylko poczciwa gospodyni widząc nasze zmęczenie, powiada: „Moje dzieci ja wam odstąpię moje łóżko". Podała nam dobrą wieczerzę i poszliśmy spać. Co za rozkosz! Pierwszy raz po prawie dwóch tygodniach zdjąłem buty. — Dopierożto rano był kłopot, żeby buty wdziać. Nie będąc przywykłym, jako mieszczuch, do noszenia wysokich butów juchtowych z cholewami — bo darło się chyba na balu lakierki, — miałem nogi pokrwawione, spuchnięte. To wdziewanie butów trwało przynajmniej godzinę, ale coby się było stało, gdyby nas byli w nocy Moskale zaatakowali — chyba byłbym poszedł na bosaka.

Rano poszliśmy oglądać park i pałac margrabiego, a potem rozeszliśmy się szukać naszych kompanij.

W Chrobrzu rozeszła się wieść, że Moskale nadciągają i dziś będzie bitwa. Uszykowawszy się, wyszliśmy ze wsi. Przed nami był most, na Nidzie, potem wielka równina, zakończona szeregiem wzgórz, z po za których co chwila wyjeżdżali pojedynczo oficerowie moskiewscy konno, obserwując nasze ruchy; nasz sztab przystanął i również lornetami obserwował Moskali. Potem rozkazano nam iść naprzód, a po przejściu mostu, porąbaliśmy i podpaliliśmy go za sobą. Idąc naprzód, widzieliśmy jak Moskale wyszli z po za wzgórz lewej strony, i ustawili się frontem do naszego lewego boku, zagrzmiały armaty i rotowy ogień, nasi odstrzeliwając się, przeszli pod tym frontem i zajęli wzgórza po prawej stronie.

Maszerując na ostatku pochodu, jako asekuracya przy furgonach z amunicyą, widziałem, że konie tychże się spłoszyły i kilka furgonów stoczyło się do rowu.

Kosynierzy przerażeni ogniem, a nie mając się czem odstrzeliwać, zaczęli uchodzić płaszczyzną na prawo. Zostało nas kilkunastu strzelców, dowodził nami były austryacki podoficer porucznik Trompeter, kazał nam cofać się krok za krokiem, rozsunąwszy nas po kilka kroków jednego od drugiego i grożąc: że ktoby zaczął uciekać, to mu łeb rozpłata; chodziło oto, żeby nie szerzyć popłochu i wstrzymać pościg. Tak maszerowaliśmy równiną krok za krokiem, jak na paradzie, pod gęstym ogniem karabinowym, a granaty pękały po za nami, bo wszystkie strzały górowały, tak, że nam się nic nie stało.

My cofając się, nabijaliśmy karabiny a stanąwszy odstrzeliwaliśmy.

Ja z mojemi nogami byłem bardzo biedny, a ponieważ szliśmy po oślizłej ornej roli, więc od czasu do czasu siadałem na ziemi, by odpocząć; należałoby było rzucić płaszcz wojskowy austryacki, który dostałem po wielkich staraniach od naszego majora, ale nie głupim dawać płaszcza i znowu marznąć, o nie! chyba razem z płaszczem pójdę do niewoli!

Siadając nabijałem, — bo to nie były odtylcówki, — więc nabijanie nie było szybkie — a wystrzeliwszy, widząc moich coraz bardziej się oddalających znowu powstawałem i cofałem się kilkanaście kroków, tak doszedłem aż za wzgórza na prawo.

Stąd siedząc, strzelałem do Moskali.

Gdy się ściemniło, poszliśmy dalej, a Moskale poszli swoją drogą i do późna w nocy puszczali w górę rakiety, prawdopodobnie dając znaki innym kolumnom moskiewskim, według umowy.

Idąc podczas zupełnie ciemnej nocy bez światła, żeby Moskalom nie zdradzić kierunku naszego pochodu, co chwila wpadaliśmy do rowów, klnąc lub śmiejąc się po cichu, wreszcie rozeszliśmy się partyami błądząc.

Nasza partya weszła do jakiejś stodoły, pokładliśmy się bez światła, powstańcy obok koni. Na jednym koniu zwisał przywiązany trup oficera ze szkoły w Cuneo, który raniony pod Chrobrzem w nogę, zmarł po drodze, bo nie było komu, żeby go należycie opatrzyć i krew mu uszła.

Gdy oddziały inne nadeszły, ruszyliśmy w dalszą drogę.

Po długim marszu, stanęliśmy w jakiejś wsi na odpoczynek. Gdyśmy nadeszli, już wszystkie miejsca w chałupach były przepełnione. Jeden chłop poradził, żebyśmy poszli spać na strych, dokąd prowadziła drabina nie mająca wszystkich szczebli. Ledwie zdrzemnęliśmy się trochę, dano hasło do pochodu.

Około południa dotarliśmy do ogromnego lasu w Grochowiskach i rozłożyliśmy się obozem.

Będąc zgłodniali, a bez zapasów, poszło nas kilkunastu do leśniczówki, stojącej pod lasem, aby kupić trochę ziemniaków.

Będąc w piwnicy usłyszeliśmy wołanie: „Moskale“, więc wybiegliśmy i wróciliśmy do kompanii.

Cały obóz stał już pod bronią. Przypadł do naszej kompanii adjutant i rozkazał: „Pięćdziesięciu na ochotnika, na zwiady“!

Poszedłem i ja, wyszedłszy z lasu przez polankę w zarośla, zobaczyliśmy maszerujące kolumny moskiewskie, wzdłuż lasu, oczywiście żeby nasz obóz otoczyć, wreszcie jedna kolumna zwróciła się frontem do nas, idąc szybkim krokiem, my leżąc pod krzakami, odwiedliśmy kurki do strzału, nasz komendant dał rozkaz, żeby nie strzelać pierwej, aż on oficera położy, wtem nadbiegł z tyłu adjutant i zawołał żebyśmy się natychmiast cofnęli, rozgorączkowani gotowi do strzału, nie chcieliśmy się cofnąć, ale adjutant powtórzył rozkaz i dodał, że Moskale nas otaczają. Wtenczas zaczęliśmy szybko wstecz biegnąć, a frontowa kolumna sypnęła na nas gradem kul.

Dobiegłszy do polany, zobaczyliśmy nasze oddziały wahające się, lub cofające, które jenerał Rochebrune do pochodu na-

przód zachęcał, a cofającym się groził rewolwerem, ale to nic nie pomogło, bo gdy się rozpocznie popłoch, to utrzymanie karności w każdem wojsku jest bardzo trudnem.

Cofaliśmy się, a Moskale strzelali i z armat do nas. Lasy w Grochowiskach to wielki kompleks różnego drzewostanu i z wieloma polankami.

Gdyśmy wbiegli w grubszy las, zastaliśmy wywrócony furgon z prowiantem, więc w jednej chwili rozebraliśmy prowianty, a jeden i drugi zaczął się zastanawiać: „Czego my właściwie uciekamy? Czyśmy tu po to przyszli?“ Dlatego też znaczna część cofających się przystanęła i zaczęliśmy się odstrzeliwać.

Gdy Moskale zwrócili się w innym kierunku, poszliśmy spokojnie dalej za cofającymi się. Doszliśmy do wielkiej polany, gdzie zastaliśmy w długim rzędzie ustawionych towarzyszy a w środku polany, stali skoncentrowani kosynierzy. Przed nami były zarośla.

Stanąwszy do szeregu spotkałem tam znajomego Stanisława Bursę, który mi oświadczył, że szykują się do ataku na armaty, a na kuraż poczęstował mnie wódką i szperką. Wtem za naszymi plecami w lesie, o który byliśmy oparci i skąd przyszliśmy. padły strzały. Kosynierzy, którzy w otwartem polu uciekają przed strzałami, mając wroga blisko w lesie z zaciętością się potykali; zobaczywszy Moskali tak blisko, ryknęli z wściekłością i nie czekając komendy rzucili się do walki. To wejście Moskali do lasu było ich zgubą, kosynierom trzeba tu przyznać główną zasługę, że wróg został zupełnie pobity, uciekł do Buska, i tam się zabarykadował. Dowodził Moskalami jenerał Czengiery, a twierdzą znawcy, że Moskale mieli znaczną przewagę liczebną i naturalnie dysponowali wyćwiczonym żołnierzem.

Ci którzy obecnie zwiedzali lasy w Grochowiskach powiadają, że tam pokazują wielkie kurhany, gdzie leżą pochowani przeważnie Moskale.

Gdy wieczór zapadał, a strzały zaczęły rzednąć i tylko po lesie polowano na rozpierzchłych Moskali, lub ich brano do niewoli, przystanęliśmy, ja z moim kolegą szkolnym Sewerynem Wiszniewskim i zapaliliśmy sobie papierosy.

Nagle wypadł z krzaków Moskal z karabinem w ręku, blady jak trup, a za nim pokazało się kilku kosynierów.

Moskal przypadł do nas dwóch i schował się między nas, widocznie przypuszczał, że strzelcy może zlitują się nad nim, bo kosynierzy życia mu nie darują.

Kilku kosynierów przypadło do nas, podniósłszy kosy zawołali „rozstąpcie się", ale myśmy im odpowiedzieli „dajcie mu spokój". Mazury zdarli z Moskala zbroję i odeszli mrucząc: „Widzisz! Psie krwie, ciarachy, przychodzą tu Moskali bronić".

Wzięto kilkudziesięciu Moskali do niewoli, zbieraliśmy rannych, a opatrzywszy ich, ruszyliśmy dalej w drogę; ale gdzie? tegośmy w szeregach nigdy nie wiedzieli, bo to decydował sztab.

Szliśmy, a raczej wlekliśmy się zmęczeni, zgłodniali, już bez amunicyi, koło południa doszliśmy do Wiślicy.

Tutaj dowiedzieliśmy się, że jesteśmy bez dowództwa, bo Langiewicz ze sztabem pojechał za granicę, do Galicyi.

Z Wiślicy i my poszliśmy do granicy, a złożywszy przedtem broń, którą miano zakopać, wróciliśmy do Galicyi.

W Galicyi dopiero dowiedzieliśmy się, że pułk Czachowskiego poszedł w lasy Święto-krzyzkie z pod Grochowisk i że Langiewicza aresztowano w Tarnowie.



SZYMON KATYLL.

27 Luty 1861 roku.

Dnia 27 lutego, t. j. na trzeci dzień po demonstracyi na rynku Starego Miasta, przybyłem na kursa rano o 8-mej jak zwykle. Poprzedniego dnia bowiem wstąpiłem do szkoły sztuk pięknych tylko na chwilę, a po uradzeniu z kolegami włożenia żałoby za uwięzionych: Cieleckiego, Nowakowskiego, Szachowskiego i Turowskiego, których brak wśród nas się okazał, udaliśmy się w kilku na miasto. Tutaj na życzenie spotkanego hr. Załuskiego, rozbiegliśmy się po domach, wyszukiwać rannych na Starem Mieście.

Otóż przybywszy rano na kursa, zastałem już na sali kilku kolegów, — później zjawiło się ich więcej, — ale o zabraniu się do pracy — z powodu wzburzenia umysłów, wskutek doznanych w ostatnich dniach wrażeń — i mowy nie było.

Najważniejszą kwestyą chwili dla nas, było smutne położenie naszych więźniów, którym trzeba było iść z pomocą. Nad

tem debatowaliśmy właśnie, a rezultat narady — jak zwykle u młodych — był krótki: wymódz na oberpolicmajstrze Trepowie ich uwolnienie. W tym celu, wszyscy ilu nas było — ruszyliśmy do ratusza.

Na Saskim Placu spotkaliśmy Bronisława Abramowicza, który nas zagadnął: — A dokądże to „młodźcy“[1]) tak ostro walą? Na naszą odpowiedź, że idziemy do „geroja“ (rycerz), co to: na Starym Rynku, „przy wodotrysku — dostał po pysku“ pokręcił głową i odparł: — po co prosić?! — chodźmy lepiej do Karmelitów na żałobne nabożeństwo za pomordowanych w 1831 r., w tamtejszem więzieniu, stamtąd przed ratusz, walić kamieniami szyby w mieszkaniu Trepowa, — a zmusimy go do uwolnienia „naszych“.

— Zgoda! zawołano chórem — poczem ruszamy do Karmelitów.

Ponieważ idąc na Leszno, musieliśmy przechodzić mimo ratusza, pochód nasz nie uszedł uwagi policyi, która też wkrótce po naszem przybyciu, zjawiła się przed kościołem w znacznej sile, z Trepowem na czele.

Kościół był po brzegi nabity pobożnymi i do środka nie można się było dostać — dużo więc ludzi stało na ulicy. Przeto i my stanęliśmy za nimi — mając za sobą „stróżów bezpieczeństwa“.

W jakiś czas potem spostrzegamy młodego człowieka, przeciskającego się przez tłum i bacznie rozglądającego się dokoła — jakby kogoś szukał, a zatrzymawszy wzrok w kierunku naszej gromadki i wymówiwszy z zadowoleniem dość głośno: „A! są sztuki piękne“! — dodał — proszę panów do środka.

Na te słowa, zwarta masa, tak na ulicy, jak i wewnątrz świątyni rozdzieliła się w jednej chwili, robiąc nam wolne przejście do środka. Znalazłszy się jednak w kościele, nie wiemy w jakim celu tu nas sprowadzono. Domyśliliśmy się wreszcie, że to zapewne Nowakowski, który urządzał patryotyczne śpiewy po kościołach i placach — wyrobił nam opinię „melomanów“, i stąd pochodzi ta niespodziana dla nas uprzejmość.

Na nieszczęście wśród nas nie ma ani jednego „kantora“. Położenie nieznośne, prawie bez wyjścia. Co tu począć?

---

[1]) „młodźcy“ jego specyalne wyrażenie, jako trawestacya moskiewskiego wyrazu: „mołodcy“ — zuchy. —

Znając słowa i melodye niektórych pieśni, śpiewanych przez Nowakowskiego, postanowiłem jak bądź ratować sytuacyę i na czele swoich sunę dalej. Przy prezbiteryum, oglądam się po za siebie i o zgrozo! prócz Lipińskiego i Balzera, żadnego z nich nie widzę: ulotnili się w tłumie. — Poty występują na mnie, a z nieszczęśliwych min znajdujących się przy mnie dwóch towarzyszów widzę, że i oni doznają podobnego uczucia. W tej tak przykrej sytuacyi, spostrzegam przy drzwiach zakrystyi ks. kanonika Steckiego, podchodzę więc ku niemu z zapytaniem: czy już po mszy, czy też dopiero będzie, bo od tego zależy rozpoczęcie śpiewów. — Dopiero ma się odbyć. Pytam go więc, czy nie byłby łaskaw pomódz nam po nabożeństwie zaśpiewać. Przystaje na to chętnie i idzie włożyć komżę. Po skończeniu mszy, organy milkną, w kościele robi się grobowa cisza. Ks. Stecki trąca mnie lekko łokciem, na znak, że czas już zacząć. Zmięszany i prawie bliski omdlenia — niemal jęcząc, rozpoczynam: „Boże, coś Polskę...“ i aż do bis „Przed Twe ołtarze“ wyciągam sam jeden. Nikt mi nie pomaga, nie znano bowiem jeszcze wówczas tej tak rozpowszechnionej potem pieśni. Dopiero przy bis „Przed Twe ołtarze“ zagrzmiały organy, a w ślad za tem tu i owdzie ozwały się nieliczne głosy. Następne strofki poszły już znacznie lepiej, gdyż prawie cały kościół wtórował. Na moją prośbę kanonik zaintonował „suplikacye“ które odśpiewano z różnymi dodatkami patryotycznymi, jak: „Królowo korony polskiej“ i t. p.

Nagle, przy głównem wejściu, daje się słyszeć niezwykły ruch, przyczem słychać głosy: „rozstąpić się“, a później: „tu dom Boży, tu niewolno robić gwałtu“ — i równocześnie przed wielki ołtarz wpada kilku mężczyzn z paltami na rękach; ściągają z nas płaszcze, wyrywają uniformowe czapki, wsuwając natomiast inne — i tak przebranych uprowadzają boczną nawą na ulicę. Tutaj uszykował się gęsty szpaler z publiki, odgradzając nas od policyi, wypartej już z kościoła.

W ciągu pochodu, idący obok mnie, sprawca, tak nieznośnej dla nas przed nabożeństwem sytuacyi i zarazem ten sam, który — jak chodziły słuchy — miał zawołać w Towarzystwie rolniczem niespełna w godzinę potem: „naszych mordują na ulicy a pp. siedzicie tu spokojnie“ — zainterpelował mnie o dalszy nasz program na ten dzień. Otrzymawszy zaś odpowiedź, że mamy iść do ratusza uwolnić kolegów więźniów, wyraził zdanie, że może lepiej byłoby udać się przed zamek królewski i z na-

miestnikiem traktować o to. Uznawszy słuszność jego zapatrywania, zgodziliśmy się na projekt pójścia do zamku, a chodziło o to, któremi ulicami iść — dodał: „najlepiej będzie skręcić na lewo, na ulicę Przejazd, to nastraszymy Muchanowa, który mieszka naprzeciw niej. Ja bowiem proponowałem tę samą drogę, którą przybyliśmy tu przed godziną, a to dlatego, aby dostać się do zamku Krakowskiem Przedmieściem i wywołać tym sposobem większy efekt.

Ruszyliśmy ulicą Przejazd, potem Długą. U wylotu ulicy Miodowej wstrzymał pochód na chwilę jakiś powóz, który stanął nam w poprzek, a z którego wychyliła się postać niewieścia rozpytując się: co to za procesya? dokąd i w jakim celu dąży? Z objaśnienia danego jej przez nas wyrozumiała, że powinna i ona przyłączyć się do pochodu; bez namysłu więc wysiadła, a stangretowi kazała się oddalić z powozem. Ale z objaśnienia tego skorzystał i Trepów, który asystując pochodowi przez cały czas z swoją komendą, stał w tej chwili na rogu ulicy i przysłuchiwał się uważnie całej rozmowie. Skoro bowiem dowiedział się o co idzie, uznał za stosowne odłączyć się od pochodu i galopem popędził ulicą Miodową do zamku, aby uprzedzić pana namiestnika o naszej do niego wizycie.

Na Starem Mieście, zjawienie się nasze sprawiło nadzwyczaj dobre wrażenie: z pootwieranych okien panie powiewają chusteczkami, a niektóre z nich posyłają nawet rączkami całusy, na znak wielkiego zadowolenia; z bram zaś sypie się lud na Rynek, jak mrowie. Ale idziemy dotychczas bez żadnych insygniów kościelnych, bo napotkany jedyny dotychczas kościół po Pauliński był zamknięty — śpiewem więc tylko budzimy czujność mieszkańców stolicy. Na rogu Rynku i ulicy Piwnej ukazuje się na balkonie jakaś pani z dość dużym obrazem, wyobrażającym Matkę Boską z dzieciątkiem Jezus, dając do zrozumienia, żeby go wziąść. Szepnąłem do idących obok mnie Leona Frankowskiego i Teodora R.(iegera), by poskoczyli tam, a równocześnie wysunąłem się naprzód i biegiem dopadłem do „Fary“ (katedra). Frontowe drzwi zamknięte. Pędzę więc do zakrystyi, zdobywam, po stoczonej z zakrystyanem walce, duży drewniany krzyż i po upływie kilkunastu sekund staję z nim na czele pochodu.

W chwili wyjścia z ulicy Ś-to Jańskiej na Plac Zamkowy, wysypuje się z bramy zamkowej kompania piechoty w pełnem pogotowiu bojowem i formuje do nas „front“, zasłaniając sobą

bramę. Uzbrojeni w świętości, nie zważamy na groźną postawę „kapuśniaków“, lecz z śpiewem na ustach, śmiało zbliżamy się ku szeregowi piechurów. Wtem daje się słyszeć tentent kopyt końskich — to z po za zamku od strony Nowego Zjazdu pędzi w pełnym galopie sotnia Kubańców, znanych w Warszawie pod nazwą „Czerkiesów“, którzy zamykają przejście na Krakowskie Przedmieście.

Mamy zatem już dwa „fronty“, jeden przed sobą a drugi z boku, ale wierni zasadzie: „nie ustępować przed wrogiem“ posuwamy się dalej naprzód ku bramie zamkowej. Jesteśmy już o jakie 20—25 kroków od piechurów, potrząsających karabinami i złośliwie uśmiechających się do nas, gdy zwracamy uwagę na brak natłoku, który dotychczas pochodowi towarzyszył stale. Oglądamy się, a tu, prócz kilkunastu „naszych“ i kilkudziesięciu uliczników miejskich, robiących miny do kapuśniaków z kilkudziesięcio-tysiącznego przed chwilą tłumu, niema nikogo na placu. Wszystko tłoczy się w ulicy Ś-to Jańskiej, Rynku i przyległych im ulicach lub sieniach domów: widok bagnetów i nahajek ostudził widocznie ich zapał. Rozczarowani i pognębieni widokiem tak niespodziewanego „fiasca“ staramy się oprzytomnieć i zebrać myśli dla powzięcia stanowczej decyzyi: co dalej czynić wypada, aby wyjść obronną ręką z tego stokroć nieznośniejszego położenia, niż przed nabożeństwem u Karmelitów. Tu bowiem nie tylko już o honor „sztuk pięknych“ — jak nas nazywano — ale i o honor stolicy a względnie całego Narodu idzie i, nie wobec swoich w zamkniętem kole, ale wobec nieprzyjaciół, natrząsających się z dwóch stron.

Namiestnik, naturalnie, nie raczy ukazać swego oblicza tak małej garstce „zatraceńców“ o tem nie może być i mowy. Trzeba więc postąpić tak, żeby nie dać nawet pozoru, że mieliśmy zamiar tu się zatrzymać. Nie zatrzymując się też ani na chwilę, zwracamy na prawo ku rozciągniętemu o paręset kroków szeregowi Kubańców, którzy stali oddaleni jeden od drugiego o jakie 2 kroki, z czego można było wnosić, że uda się nam przedrzeć przez nich.

Odzyskawszy więc przytomność umysłu, postanawiamy, gdy zbliżymy się do szeregu, rozszerzyć swój pochód i starać się pojedynczo przebić, w nadziei, że jeśli uda się nam ta sztuka, to kochani uciekinierzy przyłączą się znowu do nas i dalej pójdziemy przez miasto, w tej samej ilości, jak przed wyjściem z Ś-to Jańskiej.

Stanęliśmy wreszcie oko w oko przed Kubańcami. Ale ponieważ obraz niosło teraz już 3-ch, bo do tamtych 2-ch przyłączył się był i Lipiński, chodziło więc, aby ich przepchać najprzód, gdyż dla 3-ch była za wąska luka, w oczekiwaniu na nich ja nie przebijałem się, lecz stoję tuż za nimi. Obraz się posuwa naprzód i znajduje się już w połowie długości, stojących obok siebie koni. Nadzieja przebicia się ożywia nas, gdy w tem podnoszą się z obydwóch stron dwie olbrzymie ręce, chwytają za górną ramę obrazu, usiłując wyrwać go niosącym. Zaczyna się szamotanie się. Widząc, że trzej 17-to letni młodzieniaszkowie nie zdołają oprzeć się, dwom silnym drabom, składam krzyż swój na bruk, przyskakuję do nich, chwytam za obie boczne ramy i gwałtownem szarpnięciem sprawiam to, że obraz zostaje oswobodzonym z rąk nieczystych, ale bez górnej ramy, która wraz z jednym Kubańcem znajduje się na bruku: ciągnący z całej siły obraz kozuń, w skutek silnego szarpnięcia i oddzielenia się od obrazu górnej jego ramy, stracił równowagę i upadł z nią na bruk jak długi.

Na ten sromotny widok odzywa się na prawem skrzydle komenda: „w nagajki“! i rozpoczyna się młocka. Podnosimy do góry kołnierze swych płaszczów, odzyskanych na nasze szczęście na Starem Mieście, okrywamy niemi głowy i twarze i cofamy się w kierunku studni, będącej na rogu ulicy Podwale i Placu Zamkowego, gdzie za dorożkami, które zatrzymały się tu dla napojenia koni, znajdujemy bezpieczną dla siebie twierdzę. Kubańcy wracają na zajmowane przed batalią miejsce. Zapanował względny spokój. Po upływie kilku minut, przedzieramy się w pojedynkę wylotu ulicy Podwale na Krakowskie Przedmieście i będąc o kilkadziesiąt kroków za szeregiem Kubańców, zaczynamy znowu śpiewać. Kozunie nawracają konie i galopem zabiegają nam drogę, zamykając ulicę, tuż za kościołem Bernardynów.

I znowu spokój.

Po pewnym czasie rozlega się w kościele żałobne „miserere“ i wysuwają się na ulicę Kapucyni, idący na czele konduktu. Kubańcy przypuszczają do nich szarżę i po krótkim świście nahajek, oczyszczają na chwilę plac z „nieprzyjaciół“. Wkrótce słychać powtórnie „miserere“ i znowu ukazują się bure habity.

Kozacy ponawiają szturm, nahajki świszczą, ale mnisi nie ustępują, a idący na ich czele z krzyżem wywija nim młynki w powietrzu — na wzór nieśmiertelnego Zagłoby.

Wtem jedno ramię krzyża opada na dół, a równocześnie rozlega się przeraźliwy krzyk z tysiąca piersi, które nagle jakby z podziemi wyrosły. — Zbóje krzyż porąbali! Ze wszech stron posypuje się na kozaków grad pocisków z lodu i kamieni. Mnisi raz jeszcze cofają się do kościoła — a ordynans dowódzcy galopuje z raportem do Zamku. Niebawem zjawia się piechota i zamyka ulicę przed kościołem. Tym razem wyrusza pogrzeb w asystencyi już tylko jednego księdza i kilkunastu osób należących do orszaku. Piechota wysuwa się naprzód i staje na czele konduktu, a Kubańcy zamykają go. Na ulicy rozlegają się głosy: „zbóje zamordowali na Starem Mieście w poniedziałek człowieka i nie pozwalają iść za jego pogrzebem — chodźmy! I za plecami Kubańców sunie znowu masa ludu: zgromadzili się już uciekinierzy.

Otoczony wojskiem kondukt, znajduje się już opodal figury Matki Boskiej — naprzeciw domu Malcza, gdy w powietrzu rozlega się nagle echo salwy, brzęk szyb i przeraźliwy krzyk rannych i publiczności.

Dym zasłania dom Malcza, a po chwili ukazują się na murze ślady z opadniętego tynku. Kondukt rusza dalej. Zbliżam się do miejsca katastrofy: ze sklepu wynoszą dwa trupy ułożone na pakach towarowych — kierując się ku wąskiemu Krakowskiemu Przedmieściu, — to drugi kondukt. Chcąc przeczekać natłok, przystanąłem na chwilę. Nadjeżdża dorożka, wiozącą człowieka, dającego słabe oznaki życia; woźnica pyta: co ma z nim począć? — „Wieźcie do zamku“, odpowiadam. Pojechał tam po namyśle. Przeciskam się przez tłum, żeby zobaczyć co się stanie z niesionymi trupami. U wylotu ul. Koziej nadjeżdża jakiś pułkownik, zatrzymuje konie i pyta się, co się stało? Idący o parę kroków przedemną młody człowiek, jednym skokiem znajduje się na stopniu powozu, wymierza mu siarczysty policzek, zrzuca kaszkiet z głowy, mówiąc „zdjąć czapkę“, poczem niknie w tłumie.

Hotel Europejski oblegają tłumy, ścisk nie dający się opisać, z trudem tylko przedostaję się do środka. W jednej z sal I. piętra na ustawionych obok siebie pakach, spoczywają zwłoki dwóch ofiar. Na ich obnażonych piersiach widać krwawiące się jeszcze rany.

Płacz i jęki napełniają korytarze. Każdy z odwiedzających pochyla się z uszanowaniem nad zwłokami, całując ich rany. Kilku siwych starców z śladem krwi na sumiastych wąsach, klęcząc i złożywszy palce na krzyż, wykonywa głosem przenikającym do głębi serca, przysięgę wiecznej zemsty wrogowi.

Wśród przybyłych zjawia się jakiś kadet, w uniformie wojskowym; ktoś wymierza mu policzek, zrywa epolety, łamie pałasz, ciska na podłogę, depcze nogami!

Młodzieniec zalewa się łzami i woła wzruszony: — „ja nie Moskal — ja Polak panowie“! Nadchodzi na to jego znajomy i przekłada obecnym, że to syn najlepszych Polaków — i sam gorący patryota.

— Ale w poszarpanem ubraniu nie może się stawić ten młodzian przed swą władzą, — robi uwagę ktoś z tłumu i proponuje zaopatrzyć go w fundusze na wyjazd za granicę. Zewsząd sypią się hojne datki, a znajomy młodzieńca uprowadza go z sobą, wśród przeprosin wszystkich obecnych temu zajściu.

Opuszczam przejmujące zgrozą miejsce i wydostaję się na ulicę. Z rozmów zasłyszanych tu i owdzie, dowiaduję się, że strzały miał spowodować jenerał Zabołockoj, który w czasie przejścia pogrzebu, stojąc oparty o stos kamieni złożonych na placu, miał dostać kamieniem w łeb, od jakiegoś ulicznika. Zakomenderował do przechodzącego właśnie oddziału piechoty: „pali“ (ognia), za nim zaś miał powtórzyć komendę dowódzca oddziału z dodatkiem: „w górę“ (strzelać w górę) i dlatego to większa część strzałów poszła górą, trafiając tylko stojącego w oknie I. piętra gimnazyalistę, gdy tymczasem dolne strzały przyprawiły o śmierć 4 osoby.

Uwaga. Po czterdziestu dwóch latach, pamięć może zawieść każdego, dla tego to o ile nam się zdaje, fakt o porąbanym krzyżu w dniu 8 kwietnia 1861 r. przedstawił się autorowi, jako spełniony dnia 27 lutego tegoż roku. To zresztą w niczem nie narusza charakteru prawdy, w wypadkach dnia tego. (Przypisek Redakcyi).



EDWARD KLEBERT.

Wyprawa Mosakowskiego.

Oddział Mosakowskiego formował się w Krakowie, a dnia 13 kwietnia 1863 r. wyszedł przez Łobzów na granicę Królestwa Polskiego.

Liczył 250 ludzi, z tych 150 strzelców pod komendą kapitanów: Wiesnera i drugiego Węgra, którego nazwiska nie znałem; kosynierów 60 pod komendą Michałowskiego, 25 kawalerzystów pod komendą Józefa Miernickiego i 15 saperów.

Granicę Królestwa przekroczył oddział dnia 16 kwietnia 1863 r., szczęśliwie doszedł pod Olkusz i tu pod starem zamczyskiem w lesie z 19 na 20 kwietnia przenocował, a o świcie 20 kwietnia wyruszył w stronę Golczewic. Przeszedł rzekę Przemszę i wieś Golczewice, stanął dla wypoczynku na skraju lasu, może o kilometr za Golczewicami, mieliśmy otrzymać pierwszy od wyjścia z Krakowa posiłek obozowy, gdy kilkunastu kozaków przecwałowało przed naszem obozowiskiem, a równocześnie i piechota moskiewska z za pagórka, rotowym ogniem, zaczęła nas prażyć. Była 10-ta rano.

Szybko porwaliśmy za broń, strzelcy nasi zająwszy prawy bok terenu, celnymi strzałami zmusili Moskali do cofnięcia się do Golczewic, gdzie do godziny 4-tej po południu się trzymali, strzelając ciągle z za węgłów i ze strychów domów.

Kosynierzy byli dotąd użyci do pilnowania tyłów oddziału, aby Moskale nie zajęli tychże. Moskale źle strzelali, kule ich tłukły się tylko po wierzchołkach drzew.

O godzinie 4-tej kapitan Miernicki podzielił kosynierów na cztery części po 15-tu i wysłał do spędzenia Moskali ze wsi. Pierwsza część na ochotnika szła środkiem, dwie po bokach o kilkadziesiąt kroków, a czwarta z tyłu w znacznej odległości. Biegliśmy czystemi polami, co kilkadziesiąt kroków odpoczywali leżąc w bruzdach, z kosami ostrzem do góry, znów porywali się i tak aż do Golczewic. Kule moskiewskie tłukły się po kosach, nam nie czyniąc żadnej szkody.

Mieliśmy jeszcze około 100 kroków do chałup, a Moskale podkasawszy szynele, już czmychnęli za rzekę. Sunęliśmy co tchu za nimi, spieszniej jednak oni uciekali, tak, że od swoich dwóch furgonów ledwie mieli czas konie odciąć, a furgony na-

ładowane chlebem, kożuszkami, manierkami, bielizną i opatrunkami dostały się w nasze ręce.

Głodni — bo z Krakowa przyniesione przez nas posiłki już się wyczerpały, a obozowej strawy dotąd nie było — wzięliśmy się najpierw do chleba, tak samo i reszta kosynierów, którzy za nami nadbiegli, co widząc strzelcy ściągający się z za mostu ze swych pozycyj, zaczęli krzyczeć na nas: „nie jeść chleba, zatruty, umyślnie zostawiony, bajka, aby 15-tu kosynierów odebrało 2 furgony 400-tu Moskalom!“ widząc jednak, że nam nic złego się nie dzieje, jedli i oni zabrany chleb moskiewski.

Kożuszki, manierki i bielizna zabrana, bardzo nam się przydały, rozdzieliliśmy je pomiędzy siebie, poczem oddział ruszył napowrót w stronę lasu, przez Golczewice.

Golczewiczanie dali nam dwie beczki kapusty w główkach kiszonej, a Miernicki wygłosił wobec oddziału pochwałę dla pierwszej części kosynierów i wręczył każdemu z nas 15-tu po rublu nagrody. Byłaż to dopiero uciecha z tej naszej pierwszej wygranej! Idąc, jedni śpiewali krakowiaki, drudzy pieśni nabożne, inni podnosili lub nogą potrącali kule moskiewskie, po drodze leżące, to spłaszczone, to całe. Z całodziennej moskiewskiej strzelaniny mieliśmy tylko jednego rannego w nogę, było więc z czego się cieszyć.

Szliśmy dniami i nocami, aby połączyć się z oddziałem Oxińskiego, który w okolicy Częstochowy miał się znajdować; aż do dnia 24 kwietnia raz tylko odpoczywając, bo Moskale w wielkiej liczbie ciągnęli za nami; wreszcie znużeni i głodni pod Żarkami mieliśmy wypocząć 2 godziny i posilić się. Po posiłek posłano w okolicę kawalerzystów, oddział zaś rzucił się w lesie do snu, lecz ledwie upłynęło pół godziny, a już Moskale budzą nas strzałami na odległość kilkudziesięciu kroków. Pikiety nie były rozstawione. Porwaliśmy za broń, droga dla nas była otwartą tylko na bagniste łąki lasowe, na których oddział stawił chwilowy opór, lecz narażony na bliskie strzały w otwartem miejscu, zaczął się mięszać. Tu kapitan Wiesner trzymał się dzielnie z swymi strzelcami, uciekających nawracał płazem pałasza. Podoficer strzelców, Józef Papiński, krakowianin, nawołuje cofającego się podoficera strzelców, chłopa jak dęba i gromi słowami: „stój! bo ci w łeb strzelę, taki przykład dajesz szeregowcom!“

*

Wkrótce i kapitan Wiesner z swymi strzelcami przesunął się na prawo w lasy, tak, że nie spostrzegliśmy, kiedy się to stało.

Na łąkach zostało nas siedmiu, a to: Józef Miernicki, kapitan Węgier, dwóch strzelców, dwóch kosynierów i saper. Przy łąkach ucichły strzały, zeszliśmy więc z łąk do lasu i nasłuchiwali gdzie bój się przeniósł. Strzały było słychać po stronie prawej, ale już rzadkie i pojedyncze.

Tak wyczekując przynajmniej godzinę, usłyszeliśmy komendę polską: „na prawo zachodź“ sądziliśmi, że to Oxińskiego oddział nadchodzi. Doświadczony jednak Miernicki każe nam usunąć się na lewo, a ledwośmy to uczynili, zagrała trąbka i czereda Moskali przemaszerowała w niedalekiej od nas odległości drogą lasową. Mój Boże, gdyby to rzeczywście był nadszedł oddział Oxińskiego, jakżebyśmy tę hołotę przetrzepali.

Gdy już wszystko ucichło, poszedł na zwiady kapitan Miernicki, następnie kapitan Węgier, nareszcie jeden saper, który znał dobrze okolicę, lecz żaden z nich nie wrócił.

Po dwóch godzinach wyczekiwania powraca kapitan Wiesner z resztką oddziału Mosakowskiego, w liczbie 60 ludzi, do których przyłączyliśmy się i poszli z dzisiejszego pobojowiska o milę dalej w lasy, na teren więcej pagórkowaty.

Tam po odebraniu przysięgi od leśniczego, że nie wyda Moskalom, Wiesner kazał nam broń złożyć, zakopać w ziemię i rozejść się pojedynczo, ponieważ strzelcy nie mieli ładunków.

Zygmunt Trembecki, Władysław Kiciński krakowianie, trzeci towarzysz, którego nazwiska nie pamiętam i piszący te słowa, poszliśmy razem w stronę Szczekocin.

Trzeciego dnia po bitwie pod Żarkami, byliśmy pod Szczekocinami. Ku wieczorowi spotkał nas jakiś poczciwy mieszczanin tamtejszy, nakarmił chlebem i serem i odprowadził w lasy ku wsi Bógdał, a że było już około północy, a Moskale tego dnia nadeszli do Szczekocin i tu nocowali, wrócił do domu, aby go nie posądzili o stosunki z powstańcami.

Do nas czterech przyłączyło się dwóch Szczekocinian młodych ludzi, ci jako obeznani z okolicą, przynieśli ze wsi Bógdał trochę słomy i na tej ułożyliśmy się do snu. Z brzaskiem dnia mieliśmy ruszyć w dalszą drogę. Wstawszy świtaniem, odszedłem kilkanaście kroków od moich towarzyszy, a gdy mówiłem pacierz, usłyszałem opodal gwizdanie, za chwilę coś białego w tej stronie zamigotało w lesie; niedługo jednak

spostrzegłem kozaka, za nim więcej a nareszcie i piechotę moskiewską.

Las tam był rzadki, położony w równinie, nie było więc miejsca na schronienie się; na przodzie jadący kozak dojechawszy do mnie, zlazł z konia, przeszukał starannie moje kieszenie, i zabrał co w nich było, poczem oddał swemu towarzyszowi, który przeszukawszy ponownie, oddał mię piechocie. To samo stało się z moimi spiącymi towarzyszami.

Natknąwszy się na nich, Moskale sądzili, że to obóz powstańczy, dali kilka strzałów, zabrali ich, obrabowali z pieniędzy i zegarków, poczem zaczęli się razem z nami przeprawiać przez Pilicę, która w tem miejscu las przecina.

Jak zwykle naprzód przeprawiali się kozacy, tuż za rzeką spotkali mały oddziałek powstańczy, który się dopiero gromadził. Znów rozpoczął się pościg za nimi, a zanim piechota przeszła za rzekę, na której dopiero kładkę robiono, oddziałek znikł z oczu, ubiwszy konia kozackiego i zraniwszy w rękę kozaka. Bezwiednie więc służyliśmy za pikietę owemu oddziałowi i gdyby nie alarm zrobiony przez Moskali, wskutek natknięcia się na nas sześciu, cały oddziałek jeszcze nie uzbrojony, byłby wpadł w ręce moskiewskie, albowiem oprócz paru strzelb nie posiadał innej broni. Za to ich niepowodzenie cała złość żołdactwa na nas szcściu spadła. Byliśmy katowani całą drogę od wsi Bógdał aż do Szczekocin. Nie było ani jednego żołnierza w kompanii nas prowadzącej, któryby nie poczęstował nas kolbą, pięścią, nogą, lub kijem, w głowę, kark, plecy lub piersi. Padaliśmy pod razami kolb, a droga do Sczekocin trwała kilka godzin. Śmierć byłaby milszą od takiego katowania.

Moskale przestali się znęcać nad nami dopiero w ulicy szczekocińskiej, gdy jakiegoś młodego człowieka stojącego najspokojniej przed swym domem z zakasanemi rękawami, przy fartuchu, porwali i między nas wepchnęli. Kije, kolby i pięści przeniosły się na niego, szczęście, że na krótko, bo za chwilę osadzono nas, w naprędce urządzonym areszcie z szynku. Nic nie pomogła prośba jego rodziców, staruszków, aby go uwolnili, na nic nie zdały się świadectwa miejscowe, że biedak nie brał udziału w powstaniu, że z domu się nie ruszył, lecz pracował na utrzymanie rodziców „bo żyd powiedział, że to buntowszczyk“. Na drugi dzień popędzono biedaka razem z nami do Olkusza a stamtąd przez Pieskową Skałę do Michałowic.

W pierwszych dniach maja 1863 r. przechodził przez granicę świeży oddział powstańczy Nulla i Jordana, cała więc załoga moskiewska z Michałowic z brzaskiem dnia pospieszyła naprzeciw tego oddziału, a wróciła do Michałowic, dopiero wieczorem tego samego dnia, przywożąc z sobą trupa swego dowódzcy kompanii i dwóch powstańców, jako jeńców, Bombę i Rottera, syna b. rządcy drukarni „Czasu“ w Krakowie.

Od nich dowiedzieliśmy się, że Moskale rozbili w tym dniu oddział Nulla i Jordana, że nadciągnęli z dwóch stron, w wielkiej liczbie i że jest więcej jeńców z dnia dzisiejszego każda jednak kompania lub załoga zabrała swoich; wreszcie, że w ich oczach pochowali ciała pomordowanych powstańców w jednym dole, zaś dwa duże doły pozostały otwarte na pogrzebanie trupów moskiewskich.

Tego też samego dnia nocą wywieźli nas Moskale już ośmiu do Miechowa, a na osobnym wozie trupa swego dowódzcy.

Pijane żołdactwo złorzeczyło i groziło nam całą drogę, a Bombę rannego w głowę poszturchiwało; dojechaliśmy jednak cało do Miechowa nad ranem.

Osadzono nas w kamienicy po lewej stronie kościoła, która się ostała jakimś cudem, podczas spalenia Miechowa przez Moskali, w czasie bitwy z oddziałem Kurowskiego; a na drugi dzień przyprowadzili Moskale jeszcze 23 jeńców z oddziału Nulla i Jordana, pomiędzy tymi i Józefa Miernickiego, tego właśnie, który pod Żarkami wyszedł na zwiady i nie wrócił W więzieniu miechowskiem dostawaliśmy po 18 groszy dziennie na żywność. Cierpieliśmy więc głód, bo z tego trzeba było płacić za drogę Moskalowi — którego po chleb lub po wodę posyłaliśmy, a pieniędzy swoich nie mieliśmy, bo nam takowe Moskale zrabowaii, podczas wzięcia w niewolę.

W Miechowie przesiedzieliśmy trzy tygodnie, poczem przeprowadzono nas do Kielc. Komendantem załogi kieleckiej, był wtenczas Czengery.

Stanąwszy na rynku kieleckim w jednym szeregu długim, oddaliśmy Czengeremu ukłon, przyłożeniem prawej ręki do czapki, czyli po wojskowemu.

Czengery każdego z osobna wypytał „ot kuda i zaczem pryszoł“ poczem stanąwszy na lewem naszem skrzydle, wrzasnął po polsku: „a wy psy, czapki do rąk“.

Rozumie się polecenie spełniliśmy, poczem Czengery z swą świtą odszedł, a nas popędzono do więzienia.

W więzieniu kieleckiem było nas około 200, po miesiącu popędzono wszystkich oprócz owego czeladnika bednarskiego z Szczekocin i hr. Stadnickiego, do Radomia.

Komendantem załogi radomskiej był Uszakow, który się więcej po ludzku z więźniami obchodził.

Strawę mieliśmy więzienną, barszcz i chleb, albo kaszę, lub kapuśniak z porcyą mięsa. Tu było nas kilkuset więźniów.

Po trzech tygodniach, wszystkich Królewiaków wzięto do wojska moskiewskiego. Każdemu z nich dano szynel, furażerkę, kożuszek, spodnie, dwie pary butów, letnie i zimowe, trzy koszule i torbę sukienną na przechowanie bielizny i razem z nami popędzono na Grojec, Tarczyn do Warszawy.

W Radomiu został tylko Józef Hiernicki którego — jak się później z gazet dowiedziałem — pognano w Sybir, gdzie 10 lat odpokutował. Był to żołnierz jakich mało, a lubiony przez wszystkich.

W drodze z Tarczyna do Warszawy dano nam podwody jedną na 12-tu.

Zdarzyło się, że woźnicą jednej z takich podwód był młodszy brat jednego z naszych współwięźniów Królewiaka, którego właśnie wzięto do wojska moskiewskiego.

Na widok brata rozpłakał się, żal i nam było biedaka, umyśliliśmy więc uwolnić go w ten sposób, żeby pomału niespostrzeżenie zdjął z siebie ubranie moskiewskie, pochował pod siedzenie, a gdy już był tylko w bieliźnie, wziął lejce i bat w ręce i furmanił, młodszy zaś brat szedł koło wozu. Na spoczynku Moskale są zajęci posiłkiem, tu więc daliśmy mu flaszkę pod pachę, po parę groszy na rękę i wysłali do karczmy niby po wódkę. A że tuż za karczmą był duży las, biedaczysko przez sień karczmy udał się wprost do lasu i odtąd nie widzieliśmy go więcej. Ubytek jednego z więźniów spostrzegli Moskale dopiero ku wieczorowi, gdy nas oddawali drugiemu konwojowi.

Liczyli nas kilkanaście razy, spisu nazwisk nie mieli, nie wiedzieli więc, jak się nazywa ten, który uciekł; wypytywali nas gdzie się podział, kiedy, lecz nadarmo. W Warszawie osadzono nas w cytadeli, osobno Galicyan a osobno Królewiaków. Strawę mieliśmy więzienną, a to: porcyę chleba grubego rano o 10-tej, a kaszę o 4-tej po popołudniu, a za jakie pół godziny niby porcyę mięsa.

Kasza jednak była ze śmieciami, czarna, brudna, mięso sam łój zimny, tak, że prócz chleba nie mieliśmy żadnego po-

siłku. Morzono nas więc głodem. Po dwóch tygodniach wszystkich poddanych austryackich popędzono do ratusza. Tu usiłowano już nas zagłodzić. Nie dano nam żadnego posłania, ani przykrycia, a jako strawę codziennie zbolałe, drobne, w łupinach gotowane, ziemniaki, których i nasze bezrogi by nie jadły.

Jednego zdrowego ziemniaka nie było w całej porcyi, nabrawszy tej strawy z cebrzyka, każdy przewracał na swej miseczce, aby chociaż jeden zdrowy odszukać, obrać z łupiny i spożyć; niestety, nie było ani jednego. Ze łzami więc w oczach odkładał na bok, a ku wieczorowi usłużny Moskal zabierał tę strawę napowrót.

Żeśmy nie pomarli z głodu, tylko temu przypadkowi mamy do zawdzięczenia, że w ratuszu byliśmy tylko tydzień więzieni, a przez ten czas byliśmy dwa razy u konsula austryackiego, w celu sprawdzenia naszej przynależności.

Poczciwe Warszawianki nakarmiły nas oba razy i zaopatrzyły każdego w kilka bułek, a to w ten sposób, że zanim przybyliśmy na podwórze konsularne, już zastaliśmy stoły zastawione. Nikt więc nie wiedział, a szczególniej Moskale, kto ten posiłek podawał. Cześć wam za to zacne Polki!

Oprócz zbolałymi w skórce gotowanymi ziemniakami, karmili nas Moskale jeszcze widokiem, który serce rozdzierał każdemu z więźniów.

Otóż codziennie około 10-tej godziny rano, wyprowadzali z więzienia kobiety, które dnia poprzedniego aresztowali po ulicach Warszawy, pod różnymi pozorami, a szczególniej napotkane wieczorem, w przechodzie do swego miaszkania. Te istoty pod naszemi więziennemi oknami, bito na ławie rózgami, poczem odprowadzano za bramę więzienną i wolno puszczano. Taka egzekucya odbywała się każdego dnia o godzinie 10 rano.

Na takie barbarzyństwa, tylko Moskal zdobyć się może.

Po 8-iu dniach odstawiono nas do granicy austryackiej i oddano pod opiekę żandarmeryi.

Żandarmi doprowadzili nas do Krakowa a stąd każdego osobno odstawiono pod eskortą do miejsca przynależnośsi. Odchorowałem kilka miesięcy, Bóg jednak pozwolił powrócić mi do zdrowia i doczekać się 40-to letniego jubileuszu powstania narodowego.

Myślenice 27 lutego 1903 r.

EDMUND KLEMENSIEWICZ.

Pomiędzy Jakutami.

Jako student czwartego roku praw na uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie — w początku lutego 1863, udałem się wraz z kilku kolegami do obozu w Ojcowie. Wstąpiwszy do oddziału żuawów pod dowództwem Rochebruna. Brałem udział w bitwie Miechowskiej, gdzie tylu padło kolegów, jak Giebułtowski, Tomkowicz; na cmentarzu prowadziłem lewe skrzydło oddziału na bagnety. Ranny, dostałem się do niewoli, a przesiedziawszy w więzieniu w Miechowie, Kielcach i Radomiu, zasądzony zostałem w początku lipca 1863 r. na Sybir; na posielenie. Przewieziono nas zaraz do Warszawy i po kilkodniowym pobycie w cytadeli, wywieziono, jako pierwszy transport przez Petersburg, Moskwę koleją do Niżniego Nowogrodu. Tu wsadzono nas w liczbie 23 na kibitki i w 9 dni i nocy z małymi tylko popasami, bez noclegu, dojechaliśmy do Tobolska; przybyło nas tylko 16-tu, reszta po drodze pozostała w szpitalach.

Po kilkodniowym odpoczynku — po obdarzeniu nas w odzież aresztancką — po nieudałej próbie zmuszenia nas do ogolenia włosów na głowie — ruszyliśmy z końcem lipca, piechotą z partyą zwykłych zbrodniarzy, liczącą 170 głów, a obejmującą mężczyzn, starców, kobiety i dzieci różnej narodowości i różnej wiary, — etapami ku Krasnojarsku.

Drogę tę straszną, piekielną, opisywać — przekroczyłoby o wiele ramy tych luźnych wspomnień, a zresztą opisy drogi etapami na Sybir, dali nam już inni wygnańcy. Tu tylko stwierdzić mogę, że kto drogę tę przebył, temu ani głód, ani chłód, ani żadna nędza ludzka, obcą nie będzie!

W drodze tej miałem dwa razy to szczęście, że skuto mi ręce i to podczas 40° mrozu. Raz w Tomsku, za to, że policmajstrowi za ostro się postawiłem, — drugi raz przed Krasnojarskiem za to, że podoficera, który mnie za kołnierz do szeregu pociągnął, — w pasyi w twarz uderzyłem. Koledzy ratowali mnie od odmrożenia rąk, nacierając je śniegiem i okręcając szmatami.

W grudniu 1863 r. przybyliśmy do Krasnojarska, gdzie nas porozdzielano. Mnie wypadł okręg Jenisejski, wołość Piaczuga, oddalona od Jenisejska wiorst około 150, położona nad rzeką „Angarą“ wpadającą do Jeniseja i tak samo wielką. Drogi do

Pinczugi, według naszego pojęcia, niema, latem jedzie się łodziami po rzece, zimą saniami po lodzie.

Przybywszy na miejsce na owo „posielenie“, posilić się nie można było niczem, — należało zabrać się do roboty ręcznej. Jako parobek, nająłem się do gospodarza, młóciłem, rąbałem drzewo, poiłem konie i za to miałem osobną izbę i wikt. Po trzech miesiącach otrzymałem posadę szynkarza, w nowo otwartym lokalu i za to miałem pomieszkanie i 12 rubli miesięcznie; nadto otrzymawszy z Jenisejska wanilię i olejek różany, robiłem na syropie doskonałe nalewki, które miały znaczny popyt i dawały mi zarobek, tak że przy tamtejszej taniości, żyć mogłem dobrze.

W tym czasie dostałem nareszcie towarzysza, w osobie Józefa Hornowskiego, z którym serdeczną zawarliśmy przyjaźń, a następnie przybył nam i trzeci kolega, Antoni Kisielewski. — Dla wszystkich nas trzech dochód z fabrykowanej przezemnie nalewki — był wystarczający. Żyliśmy jak przy strasznych mrozach w zimie, a ogromnych upałach i miliardach moskitosów latem, przy braku nocy w lecie, a braku dnia w zimie, przy tęsknocie za krajem i rodziną, przy braku towarzystwa i książek, żyć było można.

Oto polowaliśmy latem na ptactwo, jesienią na lisy i wiewiórki, — łowiliśmy ryby, — odwiedzaliśmy kolegów, czego nam miejscowa władza „gołowa“ i pisarz nie wzbraniali a to głównie i jedynie dlatego, że naczelnik okręgu „zasiedatel“ Gasztofft Litwin, objeżdżając swój okręg, odwiedzał nas i gościł u siebie, co podnosiło nas ogromnie w oczach pana „gołowy“ pana pisarza i całej ludności Pinczugi, składającej się z około 200 głów i 40 numerów domu.

Nie przekroczę może granic niniejszego pamiętnika, jeśli z pośród wielu przygód, przytoczę jedną z ciekawszych:

Stałymi mieszkańcami (autochtonami) tych miejscowości są Tunguzi, rasa mongolska, cery oliwkowej, o skośnych oczach, płaskim, wklęsłym nosie, kości policzkowemi wystającemi, bez zarostu, tak że trudno odróżnić mężczyznę od kobiety. Lud to koczowniczy, trudniący się polowaniem, niby prawosławny, w istocie jednak wyznający swoją wiarę i wierzący w swoich szamanów. Opłacają oni rządowi podatek w naturze, futrami: lisów, soboli, gronostai, od każdej rodziny i to w dość poważnej ilości. W celu złożenia podatków, sprzedaży futer, zakupna herbaty, cukru, wódki, prochu, ołowiu i innych potrzeb, zbliżają się

Tunguzi do większych siół i stawiają namioty, a to zawsze z wiosną, z początkiem maja.

Gromada Tunguzów przybyła z wiosną 1864 r. do wsi Pinczugi, — przyszli do mego szynku, a że u mnie pić nie było wolno, bo sprzedawałem tylko na miarę, — kładli swoje krzyże srebrne, które im na chrzcie dawano, jako prezent i za ten prezent kazali się częstować. Nie było możności pozbyć się ich — musiałem zatem częstować ich i przypijać. Ciekawi byli ogromnie, z jakiego powodu, my obcy ludzie, przysłani zostaliśmy w te strony. Opowiedziałem im więc, że my Polacy, mieliśmy swoje państwo i swego króla, że mamy swoją wiarę, i swoją mowę, a car zawojował nas, odbiera nam wiarę — każe mówić po rusku, służyć w sołdatach, a jeszcze oprócz tego każe płacić duże podatki, — że Polacy z tego powodu zbuntowali się, że prowadzimy wojnę z carem, i że my jesteśmy wzięci do niewoli i tutaj przysłani. Dodałem przytem, że i wy Tunguzi mieliście swoich kniaziów, swoją wiarę, a to wam odebrali i podatki musicie składać. Wrażenie było ogromne, zaczęły się szepty i kiwania głowami, a jeden ze starszych zbliżył się do mnie i po cichu zapytał, czy nie chcielibyśmy uciec, że oni na swych jeleniach za miesiąc doprowadzą nas do morza, (zapewne do Archangielska) i że tam siądziemy na okręt. Obiecałem, że się nad tem namyślimy. Lecz nie koniec na tem. Gdy za kilka dni przyjechał „zasiedatel“, Gasztofft, po odbiór podatków, Tunguzi odmówili zapłaty i ani jednej nie dali skórki, — dopiero na trzeci dzień, zebrawszy znaczniejszą liczbę ludzi, wymusił na Tunguzach podatek.

Gasztofft sam ze zdziwieniem opowiedział nam ten przypadek buntu, pierwszy, jaki w swem życiu spotkał; a gdy mu opowiedziałem moją rozmowę z Tunguzami, chwycił się za głowę i zaklął na wszystko, abyśmy, o sprawie tej, nikomu nie mówili, gdyż grozi nam za to wywiezienie na daleką północ n. p. do Turchańska.

W styczniu 1865 r. zawołano mnie do urzędu i ogłoszono łaskę carską. Wiedziałem już od kilku miesięcy — gdyż listy otrzymywałem, co dwa lub trzy miesiące, — że będę wolny. Mimo to doznałem wielkiego wrażenia, — było to uczucie radości i żalu zarazem. Żalu, że opuszczam towarzyszów niedoli i pozostawiam ich nadal niepewnym losom.

W drodze z powrotem przebyć też trzeba było dużo przykrości i niebezpieczeństw.

Powróciłem do Krakowa w maju 1865 r. i wstąpiłem dalej na uniwersytet.

Kraków, 30 marca 1903.



EUGENIUSZ KORYTKO.

Jan Jeziorański.

W listopadzie 1863 r. Rząd Narodowy polecił mi wyjechać w Lubelskie, dla zbadania na miejscu stanu organizacyi cywilnej i sił zbrojnych województwa Lubelskiego.

Sekretarz Rządu Narodowego, szanowny Józef Janowski, doręczył mi nominacyę na komisarza nadzwyczajnego, Rządu Narodowego, wskazał, gdzie prawdopodobnie znajdę wojewodzkiego, kto był naczelnikiem wojskowym i zalecił przesłać pierwszy raport po widzeniu się z naczelnikiem miasta Lublina.

Ukrywałem się podówczas w Warszawie, po zaaresztowaniu głównych naczelników narodowej organizacyi, z zarządu komunikacyi, przy drogach żelaznych Królestwa, a do której to organizacyi należałem, jako pośrednik między nią i władzami narodowemi w Warszawie, i byłem poszukiwany przez policyę,

Przed wyjechaniem w Lubelskie, chciałem zdać mą służbę, przekazać następcy całą sieć organizacyi komunikacyi, którą znałem dokładnie, należąc do niej od początku powstania i nietylko w Warszawie, lecz i na całej linii kolei żelaznej, bo wyjeżdżałem często z poleceniami Rządu, do władz cywilnych, a szczególniej do organizatorów zbrojnych oddziałów.

Z jakiego powodu udałem się dla załatwienia tej mojej powinności do Jana Jeziorańskiego, dziś sobie nie przypominam i zdając mu moją służbę, nie wiedziałem, czy Jeziorański należał, czy nie, do składu ówczesnego Rządu Narodowego.

Po dwukrotnem, zdaje mi się, widzeniu się z Jeziorańskim, po zakomunikowaniu mu moich wiadomości o organizacyi, którą opuszczałem, po doręczeniu pieczęci i papierów komisarza komunikacyi, gdym się z nim żegnał, Jeziorański odezwał się do mnie w te słowa:

„Zazdroszczę ci prawdziwie, że wyjeżdżasz na prowincyę; ja zostać tu muszę, a mam przeczucie silne, niczem niewzruszone, że skończę na szubienicy. Życie moje oddałem Ojczyźnie, lecz strach mi pomyśleć, co się stanie z żoną i z rodziną moją, kiedy mnie nie będzie“. Słowa te, Jeziorański wypowiedział z takiem przejęciem wiary w swe przeznaczenie, jak gdyby wyrok śmierci już był zawisł nad nim. Wzruszyły mnie też one do głębi i pewnie dla tego pamiętam je dziś prawie dosłownie.

Niestety, to przeczucie Jeziorańskiego spełniło się w kilka miesięcy później.

Jan Jeziorański zginął śmiercią męczenników polskich, na szubienicy, na stokach cytadeli w Warszawie, w dniu 5 sierpnia 1864 roku, wraz z Traugutem, Żulińskim, Toczyskim i Krajewskim.

Cześć i chwała ich pamięci.

Paryż, 29. Grudnia 1902.



IGNACY KRAUSS. (†)

Pod Polichną.

Wyjątek z „Pamiętnika Żegoty“.

. . . .

. . . .

Była też i wesołość w obozie, a dowodem tego następująca scena:

W kilka dni po przejściu granicy, gdy oddział po całodziennym marszu stanął w lesie na nocny spoczynek, żołnierze porozniecali ognie i siedząc lub leżąc dokoła wesoło gwarzyli. Przy drugiej kompanii, przy ogniu drugiego plutonu siedzieli podoficer Włodz. Lechowski i Żegota rozmawiając o Krakowie, o znajomych i t. d.

Wtem przybliża się do nich sierżant pierwszej kompanii celnych strzelców, Sabin Hołubowicz i rzecze:

— Witajcie koledzy, pozwólcie mi wziąść ognia do fajki.

— Witamy Cię, kolego, lecz skoro bierzesz nasz ogień, to usiądź przy nas i opowiedz nam co, boś więcej widział i słyszał jak my wszyscy.

Sabin włożył węgiel do fajeczki i puściwszy kilka gęstych kłębów dymu rzekł:

— Ażeby was niedługo nudzić, to powiem wam, że nie mamy tu co robić i najlepiej zrobimy, skoro się rozejdziemy do domów.

Urwał i badawczym wzrokiem powiódł po słuchaczach, aby zbadać wrażenie, jakie wywarły jego słowa. Żołnierze, słysząc słowa, zdradą tchnące, z ust sierżanta, nie wiedzą, jak się zachować wobec szkodliwej propagandy.

— No i cóż się dziwicie — zabrał znowu po chwili głos Sabin — nie jestże to jasne jak słońce? Obiecali nam w Krakowie, że nam dadzą materace, poduszki i kołdry, a teraz słowa nie dotrzymują i musimy leżeć na gołej ziemi.

— Ha, ha, ha! zagrzmiały zewsząd głosy żołnierzy, którzy teraz dopiero pojęli jego mowę — niech żyje nasz sierżant!

Cały wieczór zeszedł na wesołej rozmowie, a podobne sceny często się powtarzały.

. . . .

Żołnierze pałali żądzą spotkania się z nieprzyjacielem. Była też radość wielka, gdy razu pewnego pułkownik Wierzbicki zapowiedział, że dnia jutrzejszego (18 lipca) uderzą na Moskali.

Pułkownik wybrał pierwszą i drugą kompanję, co najtęższych chłopów z trzeciej i czwartej, i pół komp. kosynierów, a zostawiwszy resztę, jako załogę przy wozach i jukach, udał się z wybranymi do lasu pod wsią Polichną. Raniutko rozciągnąwszy linię nad szosą, z Lublina do Kraśnika, kazał oddziałowi położyć się na brzuchach, gałązeczkami pozasłaniać się i w tej zasadzce oczekiwać Moskali, którzy tędy kasę przeprowadzać mieli.

Wkrótce nadjechali kozacy w największym pędzie — tych przepuszczono podług rozkazu, bez strzału. Potem nadciągnęła piechota, lecz nie można było trzymać się pierwotnego planu, i czekać, aż cała kolumna wejdzie przed linię naszego oddziału, gdyż Moskale idący, z wyuczonymi psami, ostrzeżeni nagłem szczekaniem, spostrzegli nas leżących, a więc i strzelanina choć nieco przedwczesna musiała się rozpocząć. Moskale rozskoczyli się po lesie. Pluton Żegoty złożony z samych nowicyuszów, był trochę zastraszony walką i żołnierze zaczęli na wiatr strzelać. Dostrzegłszy to Żegota, dodawał im odwagi, upominając, by nie marnowali strzałów, i sam położył jednego

śmiałka, który wychyliwszy się z za drzewa, mierzył wprost do pułkownika Wierzbickiego.

Po wystrzale nabijając karabin, spojrzał po za siebie i ujrzał Moskala skradającego się doń z bagnetem. W mgnieniu oka złożył się do ataku i natarł na Moskala, lecz ten, mając silny charakter w nogach, począł uciekać; Żegota ścigał go kilkadziesiąt kroków, gdy wtem z za krzaka wypadło dwóch innych Moskali. Przyszła na Żegotę kolej cofnięcia się, uskoczył więc do swoich w towarzystwie dwóch kul, które mu koło uszu ze świstem przeleciały.

Wypadek ten zwrócił uwagę pułkownika na to, że Moskale naszym tył zabierali, natychmiast też kazał zmienić front i przejść na drugą stronę szosy. Rozpoczął się bój żwawy. Strzelano już do siebie z odległości 50 do 60 kroków i szeregi moskiewskie rzedły coraz bardziej. Po pół godzinie zagrzmiało: „Na bagnety“ — Żegota zabierał się do formowania swego plutonu, gdy nagle uczuł silne uderzenie w prawą łopatkę, zdawszy więc komendę podoficerowi, udał się po za front.

— Mój Ignacy — rzekł Żegota do kolegi, który obwiązazawszy mu ramię odprowadził go do parowu, aby ukryć przed strzałami — zdaje mi się, że otrzymałem postrzał od jednego z naszych, gdyż uczułem silne uderzenie w łopatkę?

— Nie — odrzekł zagadnięty — z tyłu otworu niema, kula więc przyszła z przodu i ugrzęzła w łopatce. To rzekłszy pospieszył do walki, Żegota zaś powitał trzech rannych, których tu już zastał. Dwaj byli to żołnierze drugiej kompanii, trzeci kosynier ranny w nogę.

— A jakże ranny Iwan? zapytał Żegota jednego z towarzyszy.

Iwan był z rodu Moskalem, lecz podczas powstania, zbiegł z wojska i wstąpił w szeregi powstańcze. Po polsku mówił łamanym językiem lecz zrozumiale. Na zapytanie odrzekł:

— Dostałem równocześnie dwa strzały w obie nogi. Kości wprawdzie nie naruszone, ale z bolu ruszyć się nie mogę.

Wtem chrypliwym głosem wyrzucone słowa:

„Wot sukin syny! buntowszczyki! miatieżniki!“ przerwały rozmowę rannych.

Czterej ranni spojrzeli w górę i ujrzeli sześciu Moskali, stojących na szczycie parowu. Sześć luf błysnęło i cztery istoty miały przestać żyć. Zerwać się i skoczyć na przeciwną stronę parowu, było dziełem jednej chwili u kosyniera i rannego przez

plecy strzelca. Żegota zaś i Iwan zostali na miejscu. Czterech Moskali przeleciało przez parów w pogoń za uciekającymi. Dwaj pozostali rzekli do siebie: „Oto ranni“ i przystąpili bliżej odwiódłszy kurki od karabinów.

Wówczas Żegota krzyknął do jednego z nich.

— Ty durniu! Chcesz strzelać, choć widzisz żem ranny! Schowaj ten nabój — dla własnej obrony, on ci się przydać może, masz bagnet, więc pokaż co umiesz!

Słowa te przemówiły do przekonania zbirów, pospuszczali więc kurki i zbliżyli się pojedyńczo do obu rannych, aby dać dowody męstwa.

Bał się jednak rycerz północy przystąpić z przodu do Żegoty, bo mu błysnął bagnet u stóp jego leżący, lecz uskoczywszy w tył, pchnął go z tyłu ponad tornistrem, tak silnie, że koniec bagnetu wyszedł drugą stroną na prawej piersi. Żegota, aby uniknąć nowego pchnięcia, upadł bezwładnie i udawał zabitego.

Gorzej wyszedł Iwan. Moskiewskim zwyczajem wołał „pożałuj batiuszka!“ ale batiuszka żałował go bagnetem i tym sposobem otrzymał Iwan trzy pchnięcia, po których stracił już przytomność i leżał nieruchomo na ziemi. Teraz rozpoczęło się żniwo. W poszukiwaniu za pieniędzmi, odarli obu ze wszystkiego, zabrali broń, a nie mogąc Żegocie zdjąć tornistra, którego rzemieni nie umieli odpiąć, poczęli nim potrząsać tak długo, dopóki mu tornistra przez głowę nie zdjęli, przyczem ranną rękę zupełnie mu przekręcili. Mimo tego Żegota najmniejszem poruszeniem nie zdradził, że żyje.

Nagły dźwięk trąbki odwołał oprawców, którzy w pędzie największym zniknęli.

Żegota leżąc na ziemi bez poruszenia, oczekiwał spokojnie śmierci.

Tymczasem strzały stawały się coraz rzadsze, nareszcie ustały zupełnie. Po chwili w górze nad parowem usłyszał Żegota kroki i polskie słowa:

— Dwóch zabitych tutaj leży.

Usłyszawszy polską mowę otworzył oczy i ujrzał dwóch chłopów stojących w górze.

— Jeden jeszcze żyje.

Żegota ucieszył się tem spostrzeżeniem, spodziewając się pomocy.

Chłopi poszli dalej, nie powiedziawszy więcej ani słowa. Ten brak współczucia u ludu ubódł Żegotę bardzo — na domiar spostrzegł on łażące po sobie robactwo, które nie mogąc się śmierci doczekać, już za życia przybyło pożerać rozlaną krew. Słońce przypiekało, krew psując się od gorąca poczęła nieznośnie cuchnąć.

Lekki szelest liści dał mu do poznania, że coś się zbliża. Może to wilk, więc i koniec męczarni bliżej.

Ku wielkiemu zdziwieniu jednak ujrzał raczkującego Iwana.

— Żyjesz jeszcze Iwanie? dokądże leziesz?

— Jak widzę, odparł słabym głosem, nie mniej zdziwiony Iwan, usłyszawszy głos Żegoty — mamy obaj rogate dusze, skoro nas te bestye nie zabiły... Strzały ustały... nie wiem, co się dzieje... Tu nas nikt nie zobaczy... Idę na górę... Tam znajdą mię nasi... albo... Moskale, to prędzej dobiją...

— Masz słuszność, Iwanie, sprobuję i ja wyleźć z tej jamy.

Powoli podniósłszy się, poprawiwszy wykręcone ramię, powstał, wywlókł się do góry tam zastał Iwana leżącego.

Czując się dość silnym, by ustać na nogach zwrócił się ku szosie. Przeszedlszy z wiorstę ścieżyną leśną, o kilkadziesiąt kroków od szosy, usłyszał szybki tętent kawaleryi.

— Tak pędzili przed bitwą kozacy.

Ułożywszy się pod krzakiem, udawał zabitego.

Konnica jakaś przeleciała tam, wróciła, znów przeleciała w tę samą stronę. Nie mógł dojrzeć kto taki.

Nagle usłyszał kroki za sobą.

— Mój Boże! tu znowu jeden leży.

Byli to trzej chłopi, którzy spostrzegłszy, że ranny żyje jeszcze, przyskoczyli na ratunek.

Powiedzcież mi, co się dzieje? gdzie nasi?

— Moskale uciekli do Kraśnika, nasi zaś zbierają rannych i zabitych po lesie. Tu w pobliżu są doktorzy, my pana powiedziem, to oni opatrzą rany.

— Jeśli wola Boska, może nie umrę — odrzekł Żegota, a wskazawszy gdzie leży Iwan i poprosiwszy o pomoc dla niego, dodał — ja odpocząwszy, może sam pójdę dalej.

A zatem trąbka, która go uratowała, był to sygnał do odwrotu, po szosie zaś patrolowała polska konnica.

Po kilku krokach ku szosie, zaćmiło mu się w oczach, położył się więc znów na ziemi, oczekując już teraz śmierci, z tą pociechą, że ginie w wygranej bitwie.

Lecz śmierć nie nadchodziła jakoś. Za to po chwili nowa grupa żołnierzy znalazła go i pomogła wstać.

Towarzysze wsadzili go na wóz, na którym już kilku rannych leżało. Najgorzej było tym, co byli na spodzie.

— Iluż legło naszych? spytał Żegota.

— Ośmnastu zabitych, około trzydziestu rannych.

— A Moskali ilu!

— Nie wiadomo dokładnie, bo szybko uprzątają — dowiemy się od chłopów później. Mniej więcej około 70 zabitych i kilkudziesięciu rannych. My jużeśmy im odesłali 20 zabitych i 5-ciu rannych a było ich pięć rot, to znaczy trzech na jednego.

Dojechano do obozu. Po prowizorycznem opatrzeniu przez felczerów, wsadzono znowu na wozy i odsyłano do szpitalów, które pozakładano w okolicznych dworach.

Na zakończenie jeszcze jeden epizod.

Celem bitwy pod Polichną, było odebranie kasy Moskalom. Wśród walki nadjechały wozy. Pukownik Wierzbicki dał sygnał.

— Na bagnety! Rewiduj furgony! Rzucono się na szosę; o każdy wóz toczyła się walka zawzięta. Z kolei nadciągnął pusty wóz wiozący rannego sierżanta moskiewskiego z obowiązaną głową i twarzą i jęczącego żałośnie. Rzucono się do wozu. Moskale zamiast bronić go, zaczęli tylko wołać:

— Pomiłujtie to bolnoj czełowiek!

Spojrzawszy pobieżnie na wóz, zlitowano się i przepuszczono go — o dalsze wozy wrzała znów walka.

Kasy nigdzie nie było.

Gdy jednak „bolnoj czełowiek“ był dość daleko, zatrąbili Moskale do odwrotu i spiesznie ustąpili.

. . . .

Ten „bolnoj czełowiek“ miał całą kasę przy sobie.



EDWARD KUHN.

Bitwa pod Szklarami.

Wszystkich ogarnęła gorączka, a zwycięzkie walki Langiewicza i brawura Rochebruna i jego żuawów oddziaływały podniecająco, młodsza generacya rwała się do walki, nic więc dzi-

wnego, że i ja wszystkie moje projekta porzuciłem i do powstania ruszyłem, poniżej zaś chcę opisać moją pierwszą wyprawę (było ich później więcej), w której też i chrzest ogniowy odbyłem.

Pan Bóg sprzyjał powstaniu, bo oto dał zimę tak lekką — przynajmniej w zachodniej części Galicyi — jakiej ani przedtem, ani potem nie zapamiętałem: śniegu po Bożem Narodzeniu nie było, w nocy przymrozki, w dzień ciepło. W taki to czas ruszyliśmy jednego wieczora z Krakowa ku granicy — jak się później pokazało, pod dowództwem Grekowicza — i przeszliśmy granicę w okolicy Szklar po kilku dniach, zatrzymując się z powodu różnych przyczyn to po folwarkach krzeszowickich, to po lasach — już z bronią w ręku, rozdaną nam w ostatniej chwili.

Właśnie rozłożyliśmy się w Wielką sobotę obozem w lesie, dano nam po parę sucharów, później mieliśmy dostać mięso — porozpalano ognie, brać porozlatywała się po lesie za wodą, jeszcze nawet pikiet nie rozstawiono, gdy jeden z naszych wpadł do obozu z wieścią, że o kilkadziesiąt kroków dwaj kozunie jednego z naszych pochwycili i wąwozem uprowadzili. Najoczywiściej, że o nas nic nie wiedzieli. Naturalnie, cały obóz zaalarmowany, patrole na wszystkie strony porozsyłano, tak dla oswobodzenia więźnia, jak i pochwycenia kozuniów, jakoteż dla zrekognoskowania okolicy, trzech kozuniów z więźniem we wsi złapano, a jeszcze jeden uciekł, i na Wielkanoc Moskali sprowadził.

Po tem zajściu obóz zwinięto, kilku amatorów wzięło, kozuniów w swoją opiekę, ale nie dalekośmy uszli, bo po rozmaitem kręceniu się po lesie znowu, znaleźliśmy się koło Szklar, tylko w innem miejscu blisko granicy i znowu rozłożyliśmy się na pochyłości góry, przy drodze z Galicyi, rozstawiwszy pikiety, co i mnie w udziale przypadło. Postawiono mnie na drodze u brzegu lasu; było to około południa, szum z obozu dolatywał do mnie, zresztą cisza. Przedemną głęboko w dole Szklary, widzę je doskonale, dalej znowu góra na stoku, której chałupy w ogrodach. Stoję ja sobie i spoglądam na wieś i po za wieś, a czas mija, już by i pora była, ażeby mnie zmieniono, szum z obozu wciąż mnie dolatuje, a tu nic, widać, zapomniano o mnie. Słońce ma się już ku zachodowi, w lesie zaczyna się robić mroczno, więc i ja zaczynam w mojem otoczeniu lepiej się rozglądać i teraz dopiero spostrzegam w gąszczu o jakie

dziesięć kroków dołem nogi, a wyżej wiszącego właściciela tychże. Był to jeden z tych kozuniów, a musieli w pobliżu i drudzy się znajdować, ale ja tej kwestyi nie badałem i przyznam się, że mi bardzo markotno się zrobiło: już zaczyna się ściemniać, w obozie przycichło, a tu nikt się nie zjawia i niema wyjścia, krzyczyć nie można, strzelić tem mniej, muszę stać, a tu zmęczenie i głód, bo oprócz rannych sucharów, cały dzień w ustach nic nie miałem. — Desperacya! — aż oto słyszę pomiędzy mną, a obozem w lesie zbliżające się stąpanie koni, rozpoznałem, że to nasi i duch we mnie wstąpił: zawołałem na nich, boby byli przejechali, a tak zabrali mnie z sobą. No chwała Bogu!

W obozie palą się nieduże ognie, zresztą cicho, dostałem i ja kawałek surowego mięsa, co z nim zrobić, więc nadziewam na patyk i zaczynam go na ogniu swędzić, w tem komenda: Ognie gasić! już go niema, — a ja głodny jak pies, złość mnie porwała, mięso szmergnąłem w krzaki, a sam rzuciłem się na ziemię i zasnąłem.

W Wielkanocną niedzielę rychło świt — pierwsze dnie kwietnia — wszystko się pozrywało, pozwolono skromne ognie porozpalać, zjawiły się garnuszki, menażki to z wodą, to z mięsem przy ogniu, tak i ja sobie myślę, że możeby się tu gdzie i moje mięso, gdybym je tak znalazł, podgotowało, idę więc w krzaki, szukać go, a znalazłszy, obrałem z liści, włożyłem do jednego z garnuszków.

Tymczasem zrobił się już dobry dzień, a tu z Galicyi zwożą święcone: więc baby, placki, wędliny, baryłki z wódką, beczki z piwem, kosze z winem, jednem słowem, obfitość wszystkiego.

W tem padają strzały na pikietach, alarm, komenda: „do broni! marsz! marsz!“ wszyscy do boju; mała potyczka, w której jednak było kilkunastu naszych ranionych, a kilkunastu zginęło; i całe święcone zniknęło, bo po powrocie, ani śladu po niczem nie zostało.

Zabitych i rannych zabrano do Galicyi, w tych dniach miałem był sposobność poznać dwóch młodych ludzi: Ostrowskiego i Pintowskiego, przyłączyli się oni do nas w drodze, byli dostatnio ubrani i dobrze uzbrojeni, mieli rewolwery i własne belgijskie sztućce; była to ich pierwsza wyprawa, i obaj biedacy zginęli w tej bitwie, jeden na miejscu, drugi ciężko ranny, później umarł.

Jeszcze żywego spostrzegłem leżącego na pochyłości, w kilku przenieśliśmy go na bok w bezpieczniejsze miejsc — przykre wspomnienie.

Austryacy stojąc na granicy, przyglądali się potyczce, i każdego powstańca, który im się tylko nawinął, chwytali, otóż i naszego dowódzcę mieli pochwycić, bo go po potyczce już nie było, a komendę objął major — zdaje się Daniłowicz.

Kręciliśmy się ponad granicą do nocy, w nocy złożyliśmy na terytoryum Galicyi broń, rozpuszczono nas. Wszyscy się rozlecieli, ale pewnie każdy dążył do Krakowa, tylko rozmaitemi drogami.

Nadgraniczni chłopi bardzo się wszystkiem interesowali, zawsze byli w pobliżu, a po rozpuszczeniu zabrał jeden nas kilku do siebie, gdzie po dwudniowym poście pożywił i przenocował.

W poniedziałek ruszyliśmy w stronę Krakowa, ale trzeba było być bardzo ostrożnym, bo Austryacy patrolowali i chwytali. Otóż przebierając się tak w kilku dostaliśmy się do tej samej miejscowości, gdzieśmy idąc tam, 24 godzin na folwarku się zatrzymywali i gdzie nas zarządca tegoż bardzo życzliwie przyjmował.

Nie szukaliśmy go wprawdzie, ale spotkawszy idącego w towarzystwie, — pomni na poprzednie przyjęcie — uważaliśmy za stosowne przywitać się z nim, lecz on nas przyjął od uciekinierów łajdaków i t. p. epitetów, tak, żeśmy się czemprędzej w bezpieczne miejsce wycofać musieli, ażeby na jego krzyk, jaki patrol się nie nawinął i nas nie zagarnął.

Trudno się było tłumaczyć, a zresztą i nie było z czego, bośmy na miejscu do końca wytrwali, strzelali, oddział Moskali z domów wyparli, gnali ich, dopóki się dało i pozostali przy oddziale aż do ostatniej chwili; więc skąd takie powitanie ludzi, którzy swoją powinność, o ile to od nich zależało, spełnili?

We Lwowie w styczniu 1903.



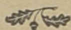
TEOFIL LENARTOWICZ.

Cieniom Narbuttów.

Chwała Ci, Litwo, pieśń starych czasów,
W litewskich sercach nie ginie,
Cześć wieczna dzieciom twych ciemnych lasów,
Cześć tobie, bracie Litwinie!
Dopokąd serca, dopokąd pieśni!
Na sercach ludu pieśń wschodzi,
A im zabrzęknie lira boleśniej,
Tem więcej porwie serc młodzi.
Młodzież z tych pieśni nowy świat stworzy,
Z tych złotych nici wysnuje,
Bo w sercach młodzi żyje duch Boży
W każdym — kto myśli i czuje —
Litewskiej duszy nędza nie spodli,
Choć ją okryje popiołem.
Cicho niewiasta w Litwie się modli
I skrycie płynie pieśń siołem.
Wieczne tam święcą z Bogiem przymierze,
Wolność ma w sercach mieszkanie;
Co wierzchem płynie — to czas zabierze,
Co w głębiach płynie — zostanie.
Matka Litwinka i lirnik stary,
Kiedy z pieśniami zasiędą,
Nad dzieckiem takie rozwiodą czary,
Taką tkaninę uprzędą,
Że jej nie przerwą wichrów podmuchy,
Ni mglisty powiew zwątpienia,
Owiną dziecko w złote pieluchy
Z najdroższej przędzy — natchnienia.
I przejdzie całe życie burzliwe
Odziane w płótno niebieskie,
Gdy nieszczęśliwe, to nieszczęśliwe,
Lecz zawsze wierne, litewskie.
Z dzisiejszych czasów krwi i pożogi
Z czystego złota ukuta,
Przy lirze wejdzie w litewskie progi
Rycerska postać Narbutta
Wejdzie z tym Ojcem, co kreślił dzieje,
Z Matką, ze Siostry sieroty,

I kurna chata wskróś rozwidnieje
Blaskiem rodziny tej złotej.
Nad księgą ludu Ojca zobaczą,
Nad księgą sercem pisaną,
Nad męką Matki i Sióstr zapłaczą,
Na widok Syna — powstaną.
Gdy ujrzą starca przeszłość im cała
Przed oczy stanie tak jasno,
Przy Ojcu westchnie Litwa zbolała,
Przy dzieciach... gwiazdy pogasną.
Zobaczą wodza dzielnej drużyny,
Płomień im wyjdzie na lica,
Matki zapragną takie mieć syny,
Synowie takie Rodzice.
I na mogiłę męża pospieszą
U świętej Wilii wybrzeża,
I pukać będą, czyli nie wskrzeszą
Czasów dzisiejszych rycerza.
On spi w mogile porosłej trawą,
Pająk wyrabia tam nici,
On spi w mogile, a jego sławą,
Niebieskie słońce się szczyci.
Nad jego grobem cisza tam sielska
I gaj zawania na wiosnę,
A w gaju matka jęczy anielska,
Siostry kukułki żałośnie.
O! nie kukułki — nie cienie łzawe
W oczach narodu powstaną,
Lecz nastrzępione orlice krwawe
Nad Brata krzyczące raną.
Głosy ich w wietrze z niebieskiej strony,
Nie brzękną łzawą słodyczą,
Lecz jak litewski ból niepomszczony
Za brata zemsty zakrzyczą.
Eumenidy głosy usłyszy,
Tysiące wężów zasyczy,
Aż krew pociecze z moskiewskiej dziczy
I duch się w grobie uciszy.

Florencya, 16. stycznia 1865.



JAN LIGMAN.

Dwie bitwy.

Kiedy już rana otrzymana poprzednio, zaczynała się zabliźniać, i znowu można było do szeregów stanąć, przeniosłem się z miejsca, gdzie jako ranny przebywałem, pod opieką zacnej Pani Biesiekierskiej, która tak cudownie i prawie bez bolu, jak to tylko Polki nasze potrafią, bolesną opatrywała mi ranę; ku Kujawom lesistym się zbliżając, gdzie od początku powstania wrzało bezustannie, gdzie się ciągle zbierały i powstawały świeże oddziały, lub kompletowały te, które albo cofać się były zmuszane, albo przeważającemi siłami nieprzyjaciela rozbite zostały.

O tych to Kujawach można powiedzieć, że po wsiach w domach właścicieli ogień nie gasł nigdy. Cała organizacya wojskowa i cywilna, dowódzcy, oficerowie, broń, amunicya, zgoła wszystko przechodziło tędy i opierało się o te Kujawy, których obywatele i obywatelki, byli zawsze gotowi na dwie rzeczy: na śmierć od rozwścieklonego żołdactwa i do niesienia pomocy swym walczącym braciom.

Nie mogę ani kroku iść dalej, aby na tem miejscu i po latach 40-tu nie wyrazić czci i uznania, obywatelom i tym prawdziwie wielkim obywatelkom tego zakątka Kujaw, co od początku ruchu, aż do ostatniej chwili, nie strudzeni, nie ugięci jak kolosy spiżowe dzień i noc czuwając, zawsze gotowi byli do działania i niesienia pomocy.

Cześć i chwała tym, którzy jeszcze żyją! a tym, co już odejść musieli, niechaj ziemia ojczysta która ich pokrywa, lekką będzie.

Niedługo czekałem, obóz nowy wkrótce miał stanąć, a na dowódzcę przeznaczony został pułkownik Raczkowski, — żołnierz wytrawny i odważny, który na wieść o powstaniu, przybył z Brazylii, gdzie miał swoje posiadłości plantacyj kawy, i gdzie przedtem służył w wojsku. Gdym mu się przedstawił, chętnie mię przyjął, choć jeszcze z opaską na głowie chodziłem. W pięć dni później oddział był już uformowany, a było to coś około połowy czerwca (jeśli się nie mylę).

Kilka dni staliśmy spokojnie w lesie, odbywając ćwiczenia i dopełniając małe jeszcze braki w umundurowaniu żołnierzy; gdy raz po północy, tak coś około godziny trzeciej może, nad śpiącym obozem rozległ się ten przeszywający głos drgającej gwizdawki dyżurnego oficera. Wnet też słysząc to, porywali się

spiący przy swych kampanjach oficerowie, dobywali swych gwizdawek, budząc nimi żołnierzy, a świst ten przejmujący rósł i wzmagał się z każdą chwilą, — aż ogarnął obóz cały, wzbudził w nim ruch i życie, a w niespełna 20 minut stały do wymarszu gotowe cztery kompanje piechoty i szwadron kawaleryi, pod wodzą majora Mierzyńskiego, oficera z r. 1831. Jeszcze chwil kilka, jeszcze tentent kopyt końskich wysłanych z rozkazami jeźdźców, — aż rozległy się słowa komendy powtarzane od kompanii do plutonów: „baczność! — marsz!“ i wojsko miarowym krokiem zaczęło opuszczać obóz.

Stałem przy trzeciej kompanii, którą prowadziłem, czekając na kolej moją, a obok mnie młody podporucznik Nowacki (syn doktora w Włocławku) który choć nie więcej jak 18 lat liczył, w niejednej już był potrzebie, kiedy niedaleko spostrzegłem bardzo młodego chłopca, garbiącego się pod ciężarem kosy, którą na ramieniu trzymał. To syn pastora Bernera, dziecko prawie, na którem to kilkodniowe życie obozowe, wywarło już swe ślady; mizerny był, ale śmiały i dobrej myśli. Ten przecież nie będzie bił się taką bronią, rzekłem do mego towarzysza, i odebrałem mu kosę, wziąwszy z obok stojącego wozu zapasową broń palną.

Ruszyliśmy, — szaro było jeszcze na świecie, kiedy ostatnie szeregi wychyliły się z lasu; szóstkami maszerowaliśmy, krokiem przyspieszonym. Widocznie szliśmy bocznemi drogami, bo ani ludzi, ani domów nie spotykaliśmy; słońce zaczynało się wychylać, z oparów podnosiły się mgły gęste, przejmujące, zrobiło się zimno. Jakieś gęste chmury przebiegały w górze, zasłaniając sobą coraz wyżej podnoszące się słońce. Niektórzy nakrywali się od zimna płaszczami, i czem kto miał, mnie paliła rana, widać niezupełnie jeszcze zagojona.

Żadnej komendy, cicho szliśmy ciągle, czasem tylko widać było, gdy pierwsze szeregi skręcały na prawo lub lewo.

„Będzie pogoda, odezwał się ktoś z szeregów, bo mgła idzie na dół“; a jabym już wolał i deszcz, byle dali odpoczynek, a jeść przedewszystkìem, odezwał się inny, i jakby dla lepszego apetytu zaczął sobie śpiewać:

Maryla ma piękny lic, piękny lic, piękny lic
Złote sprzączki u trzewic, u trzewic — ma.

Melodyę i wyrazy pochwycili inni, a za chwilę na całej długości szeregów śpiewano i nikt ani o wypoczynku, ani o jedzeniu nie myślał.

Nasz astronom dobrze przepowiedział; słońce coraz bardziej dogrzewać zaczęło, a gorąco stawało się z każdą chwilą silniejsze. Ale szliśmy ciągle, tylko że już od czasu do czasu widzieć można było domostwa; nareszcie i wieś długa po obu stronach drogi się ciągnąca. Teraz wiedziałem, gdzie jesteśmy. Wiele to już oddziałów przez tę wieś przemaszerowało ku lasowi, który z daleka widniał. Upał stawał się nieznośny, gorąco tamowało oddech, pot zalewał po prostu oczy; a tymczasem my już przecie kilka mil ujść musieliśmy, bo jesteśmy blisko Ruszkowej woli pp. Morzyckich, gdzie jest nieustający szpital z rannymi. Ale bo też wieś ta na takim leżała szlaku, że gdziekolwiek się bito, zawsze o nią oprzeć się musiano. Tu właściciele chyba że nie mieli spać gdzie sami, a byli to już ludzie niemłodzi. Oficyny, pałac, wszystko zajęte bywało na szpital. Leżeli w nim nasi, leżeli i Moskale, a i ja tu czas jakiś leżałem, zanim mię przetransportowano dalej. I któż to opatrywał te masy rannych żołnierzy, kto o nich dbał, kto około nich chodził, kto im zamykał oczy, gdy mieli opuszczać tę ziemię, za którą ginęli. — A któżby, jak nie polskie kobiety, to córki tych wielkich patryotów, ich krewne, które zdaleka do pomocy tu przybyły, często nawet i sąsiadki.

Ileż to razy po stoczonych w pobliżu bitwach, powracali tędy Moskale, i wszyscy drżeli, aby nie wymordowali rannych, bo przecież to bywało na porządku dziennym. Pamiętam, kiedy po bitwie przegranej, wpadło na dziedziniec rozjuszone kozactwo, to kobiety te, niby na pozór słabe istoty, własnemi piersiami zabarykadowały drzwi do szpitala wiodące, i mimo groźby niechybnej śmierci, tak długo opierały się wejściu, aż nadjechał jakiś oficer, który widząc co się dzieje, rozjuszoną tłuszczę usunął.

Ani jeden ranny nie byłby wtedy ocalał, a przecież to wszystko powstrzymało kilka tylko młodych kobiet. — Cześć i chwała im za to!

Gdybym chciał więcej i o innych a tym podobnych mówić wydarzeniach, to czytelnik długo by jeszcze czekać był zmuszony na bitwę, do której się zbliżamy.

Stać! rozległa się nagle komenda, a słowa te jak jedno echo powtórzyli wszyscy. Był to już czas ostatni, bo ludzie prawie ze znużenia padali. — Jak i gdzie kto stał, rzucił się na ziemię, lub nad rowem przy drodze się położył. Mój młody Berner leżał na boku przy drodze, prawie bez życia, — nie bu-

dziłem go, bo zdawało się że spi. Rozłożono ognie, ale nikt się do nich nie zbliżał, bo żywy ogień z nieba leciał na każdego. Czuło się głód i zmęczenie, ale ze zbytniej fatygi nikt nie jadł, bo po prostu gryźć mu się nie chciało; ja przynajmniej nie miałem dość siły, aby módz ugryźć chleba lub słoniny, które można było wziąść sobie z wozów. Prawdą jest co mówią, że zmęczony człowiek szuka przy sobie szpilki, aby ją jako ciężar wyrzucić. To też ani na chwilę nie wątpiłem, gdy mi w Paryżu opowiadał przyjaciel Szopina, że ten ostatni, już będąc słaby, narzekał, że nie może iść dalej, bo mu 20-to frankówka ciężyła.

Nie wiem, jak długo trwało to zatrzymanie wojska, ale nie musialo to być długo, skoro jeszcze nie zaczęto gotować, w rozstawionych na ogniach kotłach, gdy nagle wydano rozkaz do wymarszu. Porwali się wszyscy, bo znów odezwały się gwizdawki i powtarzana komenda „marsz!“

Trąciłem mojego Bernera; zerwał się szybko, widocznie odpoczynek go wzmocnił, bo zawołał: a co, czy Moskale? Czwórkami ruszyli wszyscy, idąc zdjąłem sztuciec z ramienia, obejrzałem panewki i odmieniłem kapiszony, bo jako myśliwy, wiedziałem, że mgła i wilgoć mogły je zamoczyć. Przechodząc około dworu, z terasy kobiety powiewały ku nam białemi chustkami, a i my zatknąwszy na pałasze, lub bagnety chustki, powiewaliśmy ku nim.

Nakoniec po tylu trudach doszliśmy do lasu, tak oczekiwanej przystani, a radość była wielka, gdyśmy zastali tutaj gotowe szałasy z chrustu i gałęzi, po dawnym jakimś oddziale. Rzuciła się też do nich wiara, jedni padali w cieniu na ziemię, drudzy zrzucali z siebie odzienie, inni zdejmowali buty, aby zmęczonym nogom odpocząć. Kawalerya popędziła ku jezioru po lewej ręce będącemu, aby siebie i konie wykąpać. Broń stała w kozły przed szałasami, a pikiety zaciągała już kawalerya. Dawno tak szczęśliwy nie byłem, lecz niedługo to trwało! Bo nagle jak grom z jasnego nieba dała się słyszeć salwa karabinowa, a kule jak grad przeleciały nad naszemi głowami. „Do broni!“ rozległo się wołanie, a z baraków na wpół ubrani, bez butów, bez czapek wypadali żołnierze za broń chwytając, ale nieprzyjaciela nie widać. Znowu rotowy ogień, i z tyłu i z boku zaświstały kule. Teraz już zoryentował się dzielny nasz dowódzca; wnet dwie kompanie strzelców bagnetem uderzyły na z tyłu za szałasami zaczajonych Moskali, którzy przez Niemca szpiega przeprowadzeni lasami i przez nikogo nie widziani, na nas tu czekali. Po kró-

tkiej, choć zaciętej walce, wyparto ich z lasu na pole, gdzie parę chałup stało, które ocalały z bitwy, jaką tu niedawno stoczył jenerał Bruner, paląc domy wraz z broniącymi się w nich powstańcami.

Dopadłszy tych chałup, piekielny rozpoczęli z nich ogień, rażąc naszych bez osłony stojących. Padł koń pod pułkownikiem Raczkowskim, ale w tej chwili podał mu swego jego adjutant Franciszek Dąmbski z poznańskiego, aż w końcu wśród gradu kul z rozpaloną żagwią w ręku podpadł pod chałupę jeden z żołnierzy i podpalił strzechę. Ogień w tej chwili ogarnął budynki, ale Moskale bronili się w nich jeszcze. Raptem z jednego domu wyskoczył oficer; to kapitan Malewicz, dziś go jeszcze widzę, jak pędzi ku nam i ku stojącemu na koniu dowódzcy, za nim goni kosynier i podniesioną kosę już miał spuścić na głowę, gdy widząc to dowódzca, podskoczył, i straszne cięcie parował pałaszem.

Chałupy się dopalały, a z nimi ci Moskale, co się w nich osaczyli, nikt z nich żywy nie wyszedł, — śmierć, za śmierć.

Zwolna strzały stawały się coraz rzadsze, pole walki cichło a słońce zaczynało ku zachodowi się chylić, skończył się bój zacięty, a na placu stali na karabinach oparci, zmordowani żołnierze. Ale nie skończyło się jeszcze opowiadanie moje; — to wszystko co się działo, działo się na lewem skrzydle, zaś od strony jeziora, które teraz przy zmienionym froncie pozostało na prawem, nie ubrana nasza kawalerya, posłyszawszy strzały, jak mogła dopadła do broni i koni, a natknąwszy się na oddział huzarów, który się drogą ku lasowi posuwał, rozbiła go, zabrawszy z pod oficera konia, który ani przeczuwał, że już na drugi dzień odegra tak ważną rolę, i ocali życie kilkudziesięciu Polakom; poczciwy koń, zawsze mam go w pamięci. Nawet dla jego pana żywię pewne uczucie; oraz wóz z niewielkiemi bagażami konie i żołnierza na wozie siedzącego.

Ilu tam zginęło Moskali, trudno mi dziś powiedzieć, że niemało, to pewna, myśmy w tej bitwie stracili 5 zabitych i coś około 8 rannych, których zaraz do Ruszkowa wyprawiono.

Wieczór zapadł zupełny, gdy się wszyscy zwołali wzajemnie i gdy wszystko do porządku doprowadzone zostało.

Nie można było pozostać na miejscu, bo były wiadomości, że Moskwa koncentruje swe siły ku tej stronie. Zarekwirowano więc furmanki, bo zmęczony żołnierz nie mógł iść piechotą. Na wozach więc jak kto mógł się pomieścił, — a potem jedni spali,

inni znów pożywiali się czem było. Późno już było, kiedy na koniu przebiegając z podporucznikiem Nowackim, odnalazłem mego młodego Bernera. Był w wielkim kłopocie, że mię nie mógł odnaleźć, i sądził, żem ranny lub zabity.

Długim szeregiem ciągnęły się wozy, bo było nas około trzystu, jechaliśmy wolno, aż nareszcie i świtać zaczęło, kiedy wozy stanęły i wydano rozkaz formowania się. Dały się jednak słyszeć głosy, że niema amunicyi i że strzelcy mają tylko po kilka ładunków. Niestety, była to prawda, której jednak głosić nie chciano, aby nie zdemoralizować żołnierza. Wiedział o tem zaraz po bitwie dowódzca, i na wszystkie strony za furgonami z amunicyą i bagażami konnych powysyłał. Położenie było rozpaczliwe, co chwila można było natknąć się na Moskali; było rzeczą pewną, że dziś jeszcze bić się będziemy musieli. a tu po kilka kul zaledwie na żołnierza wypada. Rozpacz!!

Szliśmy ciągle naprzód, a każden się oglądał, czy nie ujrzy gdzie z boku wozów z amunicyą. Ach! ten oficer od bagaży z kilku jeszcze konnymi (zdaje mi się, że był oficerem) ten Kozicki, co tak drogo przepłacił życiem tę swą nieoględność, czy po prostu tchórzostwo, gdyby on był tutaj w tej chwili! Położenie było bez wyjścia. Oddział posuwał się ciągle ku miasteczku Kleczewu, aż nakoniec skręcił na lewo od drogi, i wszedł do wsi, której nazwiska nie pomnę w tej chwili. Słońce jeszcze nie wstało zupełnie, kiedy cały nasz oddział rozłożył się na obszernym dziedzińcu budynkami gospodarskiemi otoczonym. Do dworu wszedł dowódzca z kilku oficerami, a chociaż było bardzo rano jeszcze, gospodarstwo tego domu byli już na nogach, a samowar kipiał. Amunicyi jeszcze nie było. Doprawdy, że chociaż to niemal pół wieku od tej upłynęło chwili, to dziś jeszcze na wspomnienie tego położenia, dreszcz mię przechodzi.

Na dziedziniec wpadł kawalerzysta na spienionym koniu, zameldował się dowódzcy, a w chwilę potem, zerwali się wszyscy i chwyciwszy za broń, szybko zaczęli wychodzić ku drodze. Moskwa musi być gdzieś blisko, powtarzano sobie. Szybko przeszliśmy drogę, a potem przez pola skierowali się ku lasowi niedaleko będącemu. Poszliśmy do wyrębu, gdzie na środku był wóz a przy nim kilku konnych stało. — To amunicya nasza. Nareszcie ją dopędzono i tu z wielkiem niebezpieczeństwem, co siły w koniach było, dostawiono. Tego się nie opisze — dość że ładownice pełne — duch silny. Dowódzca przytracza do siodła swój tłumoczek obozowy z wozu wyjęty, furgony opróżnione,

wyjeżdżają z obozu. Lasek, w którym jesteśmy, nie wielki, przerąbany i nie stary, po prawej ręce ciągnie się dość obszerny wyrąb, z rzadko pozostawionymi nasiennikami sosny; lewa strona gęstsza; grunt lekko falowaty, miejscami torfiasty. Przed nami i lasem rozległe pola, żytem już dojrzałem zasiane; za nami miasteczko Kleczew, polami i łąkami oddzielone od lasu. Stoimy spokojnie chwilę jakąś, gdy wtem pada strzał jeden, to pikieta strzeliła. — Och ten strzał pojedynczy, kto go raz słyszał, nie zapomni nigdy! Denerwuje on więcej, jak setki razem dawanych.

Strzały zaczęły padać gęściej, nasi jeszcze nie odpowiadali na nie, bo niewiadomo było, jaką pozycyę zajmie nieprzyjaciel, który dotąd trzymał się zdaleka od lasu, zasłaniając swe ruchy pagórkowatym terenem. Nareszcie rozpoczął się ogień tyralierski, najsilniej na lewem podtrzymywany skrzydle; pagórek na prawem skrzydle zajęła artylerya, w asekuracyi której stał szwadron kawaleryi, z którą się łączył łańcuch tyralierów (huzarów zdaje mi się). U nas na lewem skrzydle stał dowódzca Raczkowski, a pół kompanii strzelców i kosynierzy mieli zająć prawe. Dostałem rozkaz prowadzenia tego oddziału, a nie więcej jak pół kilometra, dzieliło nas od brzegu lasu, na którym stanąć miałem. Kule tymczasem dochodziły już do nas, a od czasu do czasu wyrzucane granaty wśród nas pękały.

Trzeba było się spieszyć, bo widocznie łańcuch tyralierów posuwał się ku nam, sądząc że to punkt nie obsadzony wcale. Pod gradem więc kul, wśród syku i łomotu pękających granatów, co chwila przypadając do ziemi, kryci pagórkami strychowanymi przez kule, doszliśmy do brzegu lasu bez straty. Tu dopiero, prawie tylko dymem się kierując, dawszy salw kilkanaście, przekonaliśmy się, że Moskale rzeczywiście korzystając z żyta, posuwali się ku nam. Gdyby byli pozycyę tę zajęli, oddział nasz byłby w dwa ognie wzięty.

Niezadługo nadjechał dowódzca na koniu, wczoraj zdobytym, wyjął lunetę, którą ku artyleryi skierował; wnet stamtąd podniósł się dym biały, a z nim huk wystrzału armatniego, potem jeden, drugi, i nad głowami naszemi przeleciały kartacze, widocznie do stojącego na koniu skierowane jeźdźca. Ale jeździec nie drgnął nawet na siodle i od oczu lunety nie odejmując, odezwał się do mnie obok stojącego „sama tylko kawalerya i obsługa artyleryi tam stoi". Kiedy nakoniec kartacze coraz częściej, to bliżej, to dalej nas padać zaczęły, radziliśmy, żeby albo zszedł z konia, albo zmienił miejsce zbyt otwarte. W odpowiedzi na to

puścił na pasku zawieszoną lunetę, i machnąwszy pałaszem na lewo, popędził ku lewemu skrzydłu.

Długo staliśmy tu jeszcze, ostrzeliwając od czasu do czasu wysuwających się naprzód jeźdźców moskiewskich, gdy między nami stanął na koniu Kalksztein. Miał tu kilku znajomych, więc przyjechał od kawaleryi, która była bezczynną. Upał był wielki, choć już dawno było z południa, głód też zaczynał nam dokuczać. Na lewem skrzydle ciągle żywa kanonada trwała.

„Jedź do miasta po bułki“, odezwał się podporucznik Nowacki do Kalksztеina; „bułek tylko dużo, zawołało wielu“. Nie dał sobie dwa razy powtórzyć tego, dzielny i odważny młody człowiek; za chwilę znikł nam z oczu wraz z koniem. Śmiano się z tych bułek, bo nikt tego na seryo nie brał.

Teraz strzały armatnie wzmagały się z każdą chwilą, urywane konary drzew leciały na ziemię i na tych co w pobliżu drzew stali. Wtem przypada nasz posłaniec i rzuca nam worek prawdziwych bułek, a sam pędem się oddala. Długo nie bawiono się temi bułkami. Był też wśród nas i Moskal, wczoraj do niewoli zabrany, widocznie złączył się z naszymi, gdyśmy zajmowali pozycyę. Najspokojniej siedział sobie nad rowem, tyłem do nieprzyjaciela obrócony, i bardzo też rad był tym bułeczkom, których mu nie żałowaliśmy. Tłumaczył nam co znaczy każdy sygnał trąbki nieprzyjacielskiej, co nam się też bardzo przydało.

Zdala dochodzi głos trąbki, ale nie wyraźny, — nasz jeniec nadstawił ucha, nakoniec powiedział: to sygnał do odwrotu; spojrzeliśmy na zegarki, było około godziny piątej, a więc już prawie dwanaście godzin się bijemy. Nagle niesłychany wrzask rozdarł powietrze, — nie wiemy i nie widzimy nic, lecz spojrzawszy za siebie, spostrzegamy masę Moskali, którzy ku nam sypnęli rotowym ogniem. To świeże roty, co w pomoc swoim tak w sam czas nadeszły i na tyły nasze się dostały. Do miasta! zakomenderowałem, jeśli kto tu głos słyszał. A gdy piechota nieprzyjacielska, pod ogniem której, musieliśmy przebiegać, chce nam odwrót przeciąć, z góry rusza się, w asekuracyi armat stojąca konnica, i pędzi na nas. To powstrzymało na chwilę strzały posuwającej się piechoty. Ale my pędzimy, jak pędzić mogą tylko ludzie, którzy wiedzą, że jeżeli się spóźnią, to ani jeden żywy nie wyjdzie. Tymczasem wpadamy na łąkę mokrą, szerokiemi rowami poprzecinaną. Są na niej luźne zagony kapusty, zwyczajem tamtejszym z łokciowemi bruzdami.

My rowy i zagony przesadzamy, ale zmęczenie było tak wielkie, że niektórzy padają i nie chcą iść dalej. Teraz dopiero kawalerya błąd swój spostrzegła, konie ich grzęzną, inne utykają na przednie nogi, wpadłszy w głębokie bruzdy zagonów, a przez łeb spadają ich jeźdźcy. Już dopadamy do miasta, wązką uliczką między dwoma szeregami domków drewnianych, przy których stoją mieszkańcy obu płci, żydzi, i dzieci trzymając w rękach garnki z wodą i mlekiem, wpadamy na rynek. Za nami słychać jeszcze jęki, płacz kobiet załamujących ręce — i strzały.

Zimny jak głaz, na kasztanowatym koniu, stoi na środku rynku nasz dowódzca z rewolwerem w ręku. Dopadamy do niego — jeszcze czas jakiś stoimy, ale widać, że nikt więcej już tu nie przyjdzie — więc kłusem przy koniu wybiegamy za miasto. Czterdziestu nas było prócz dowódzcy. „Nie damy się wziąść żywcem, odezwał się Drogowski“, były żołnierz pruski.

Ostatni dom mijamy i już jesteśmy na drodze równej, szerokiej i prostej do Śleszyna prowadzącej, gdy z miasta dochodzi nas trąbka kawaleryi. Widać, że się już Moskwa do miasteczka dostała.

Ulica, z której wyszliśmy, miała po jednej stronie przy sobie stojące domy, a po drugiej stodoły. W nią to właśnie wpadła kawalerya za nami pędząca, gdy stojąc na środku drogi, o kilkadziesiąt kroków prawie wymierzyliśmy ku niej. Czterdzieści strzałów i kula rewolwerowa dowódzcy wpadła w ten mur z żywych ludzi złożony; — czy tam która chybiła, to wątpię.

Powstało jakieś dziwne nie do opisania zamięszanie w szeregach; widać było konie dęba stające, ludzi podnoszących ręce, gdzieś ogon koński zamigotał w powietrzu; ale my na to wszystko patrzeć nie mieliśmy czasu. Zmordowani poczepialiśmy się konia; za strzemiona, siodło, puszliska, grzywę, ogon trzymali się jedni, drudzy chwytali za pasy, torby i ubrania pierwszych i tak uformowana grupa, po nad którą górował pułkownik Raczkowski, kłusem na jaki tylko mógł się koń zdobyć, pędziła po drodze.

Poczciwe zwierzę, szło wyciągając się jakby było w zaprzęgu, a nam było zupełnie dobrze, i prawie że odpoczywaliśmy w tym biegu. Daleko już byliśmy od miejsca pierwszego spotkania, kiedy na drodze zaczęły powstawać tumany kurzawy i widać można było konie z obu stron drogi na nią wpadające. Widocznie moskiewska kawalerya objechała domostwa i na nowo do szarży się gotuje, co widząc, dowódzca zakomenderował, aby do nacierających połowa tylko dała najpierw ognia, zostawiając

drugą połowę, gdyby pierwsza nie wstrzymała pędzących. Ręką przepołowiłem grupę stojącą, bo trudno było tam liczyć, a z trębaczem na boku pędziła kawalerya. Staliśmy spokojnie z wymierzonymi ku Moskwie lufami, aż zagrzmiały strzały, na drodze powstał tuman kurzu i nagle otworzyła się luka pędzących szeregów, które przeskakiwały na lewą i prawę stronę drogi. Zrozumiano tam widocznie, że ta garstka ludzi nie pozwoli dojść do siebie bezkarnie, że to żołnierz zdeterminowany, co potrafi zginąć we własnej i Ojczyzny obronie.

Odtąd kawalerya ta osaczyła nas po lewej i prawej stronie drogi, trzymając się jednak na takiej odległości, że ani ich do nas, ani nasze kule nie dochodziły do nich. I znów nowy atak, znów podniosły się kłęby kurzu na drodze, — to artylerya, co koń wyskoczy pędziła za nami, — przystaje — odprzodkowano, biały dym się pokazał i kartacze zasyczały przelatując nad naszemi głowami. Ale prócz kartofli po obu stronach drogi posadzonych, które pękające pociski na wierzch powyrzucały, innej szkody nie było.

Z ostatniemi promieniami zachodzącego słońca, ostatni padł strzał armatni, a my blisko już dwie mile byliśmy od miejsca, gdzieśmy bitwę dziś rano przyjęli.

* * *

Noc rozdzieliła walczących, pokrywając ziemię i tych, dla których już słońce nie zejdzie, ale którzy po bohatersku spełnili swój obowiązek. Na pobojowisku długo szukano i zbierano rannych, a szczególniej na lewem skrzydle, gdzie wielu zginęło oficerów, od lasu począwszy daleko po za nim po polach leżeli. Z nas zaś i prawego skrzydła, kto nie został w mieście, nie zginął; około północy stanęliśmy w miasteczku Sleszynie. Mokrzy prawie zupełnie, uczuliśmy zimno. Wódka i chleb były, więc każdy mógł się posilić.

Dziwne, że zmęczenia już się nie czuło. Było tu wielu, którzy z drugiego skrzydła przed nami przybyli. Moskwa dłużej zatrzymała się w Kleczewie, gdzie wielu zabito, co się w przelocie schronić usiłowali. Zginął tam także i major Mierzyński.

Ale może czytelnik ciekawy zapyta, co się stało z Bernerem i Nowackim, oraz z tym, co tak nieszczęśliwie zabrał amunicyę? Zaraz po pierwszym ataku kawaleryi, gdzieś z boku dobiegł nas młody B.; trzymał się już konia, gdym go zobaczył, nigdy też bardziej się nie ucieszyłem; miał jakoś bardzo marso-

wą minę, a zarzucone na tył głowy kepi jeszcze bardziej marsowym go czyniło. Już nas też wraz z N. nie opuścił aż do Sleszyna. A Kozicki, ten nieszczęśliwy chłopiec, po pierwszych strzałach dnia poprzedniego, myśląc że tu wszystko stracone, drapnął, roznosząc wieści o rozbiciu całego oddziału. Dopędzony i schwytany, osądzony był na śmierć przez powieszenie. Czy się to należało, rzecz inna; ś. p. pułkownik Callier, co do sądu należał, powinien był pamiętać, że przecież to nie zdrajca. Ale rzecz się stała i nie chcę o niej tu mówić.

Na furmankach, które tu na mieście stały, w rozmaite rozjechano się strony; jedni dążyli ku domowi, inni na kwatery w znane sobie okolice, aby znów niedługo do obozu się zgłosić. Z obu moimi młodymi towarzyszami ku lesistym Kujawom i ja podążyłem. Nowacki po drodze został u swych krewnych na wsi.

Jakże żałuję, że nie mam w tej chwili pod ręką papierów, które mi skradziono przed rokiem. Byłbym mógł teraz bardzo ciekawe przytoczyć tu szczegóły, tak co do przygotowań jak i bitew opisanych powyżej. Byłbym mógł podzielić się z czytelnikami przygotowaniami dalszemi i wielu datami cennemi. Były tam rozporządzenia naczelnika sił zbrojnych województwa Mazowieckiego, rozkazy dzienne, zmiana organizacyi cywilnej i wojskowej, były formującego się oddziału podpułkownika Kujawy różne polecenia i zarządzenia; transporta broni z zagranicy. i wiele może nieznanych a ciekawych rzeczy. Przeniosłem te papiery; mając je przy sobie, po prostu na niechybną śmierć się narażając; miałem je, gdy mię aresztowali Moskale, a jednak starałem się je ukryć, licząc, że może mię wypuszczą, to szkoda, tak samo w ręku Prusaków będąc. Przebyły one ze mną kilkonastoletnią tułaczkę, zawsze jak oko w głowie strzeżone. Nie raz je różnym pokazywałem osobom, aż nakoniec spostrzegłem ich brak, po trzydziestu dziewięciu latach. Dlatego żal mój tu wyrażając, ogłaszam, że jeśli ktokolwiek zobaczy na papierze blado-niebieskim pisane rozmaite zarządzenia wojskowe, gdzie nazwisko będzie albo wytarte, albo wycięte, albo w jakikolwiek sposób poprawione, a tylko imię Jan nietknięte, to będzie plagiat, to będą papiery fałszywe, skradzione po prostu.

(Ostatni ustęp umieściliśmy tylko na usilne prośby autora. Przypisek Redakcyi).



BOLESŁAW LIMANOWSKI.

Pierwsza manifestacya w Wilnie 1861 r.

Jesienią 1860 r. ja i brat mój Józef przybyliśmy do Paryża, z zamiarem wstąpienia do legionu, mającego się utworzyć we Włoszech. Dekret o utworzeniu legii zagranicznej był już podpisany przez Garibaldi'ego, a Cavour w imieniu króla sardyńskiego, przyjmując z rąk dyktatora rządy w Neapolitańskiem, uroczyście zobowiązał się do wykonania podpisanych przez niego dekretów. Czekaliśmy w Paryżu na ostateczne załatwienie tej sprawy i na przybycie jenerała Mierosławskiego, który miał zostać naczelnym dowódzcą legionu.

Tymczasem dla wykształcenia przyszłych instruktorów wojskowych, zorganizowano w Paryżu polską szkołę wojskową. Nauczali w niej: kapitan Rudzki — mustry batalionowej i major Czapski — mustry szwadronowej. Rozpoczął także wykłady z zakresu inżynieryi Birgiel, ale niestety zależał w tym przedmiocie, i dla słuchaczów, pomiędzy którymi byli uczniowie ze szkoły sztabowej i szkoły dróg i mostów, okazały się one więcej niż niedostateczne. Po powrocie swoim z Włoch, Mierosławski rozpoczął był wykłady z historyi wojen rewolucyjnych za czasów Konwencyi, lecz rosnące wzburzenie polityczne w Polsce skłoniło go do zmiany przedmiotu, uważał bowiem za potrzebniejszą rzecz dla przyszłych powstańców, ażeby dokładną mieli znajomość geografii strategicznej ziem dawnej Rzeczypospolitej. Na teoretyczne wykłady zgromadziliśmy się wieczorem, w dosyć obszernej i odpowiednio urządzonej sali, ćwiczenia zaś praktyczne odbywaliśmy w rozległym zakładzie gimnastycznym niedaleko Panteonu. Nad batalionem, do którego ja i brat mój zapisaliśmy się, objął komendę kapitan Rudzki, szorstki w obejściu się i ostro przestrzegający dyscypliny. Pomagał mu, a zarazem i uczył robienia bronią kapitan Celiński, serdeczny i wielkiej dobroci człowiek, którego polubiliśmy ogromnie.

Młodzież polska coraz liczniej przybywała. Pojawili się i nowi emigranci polityczni, umykający od pościgu żandarmskiego. Takim emigrantem był Adam Asnyk, późniejszy znakomity poeta. Byli wówczas w Paryżu i Władysław Drohomirecki, który zginął śmiercią walecznych, w jednej z pierwszych potyczek powstania, Edward Milowicz, Teodor Wrzeszcz, Maryan Sokołowski, którego cięta odpowiedź na W i e c z o r y W o ł y ń s k i e — Kra-

szewskiego była drukowana w Przeglądzie rzeczy polskich, Ludwik Kleczyński — później krytyk muzyczny, Zygmunt Sarnecki, Koszucki, Szaniawscy, Gostkowski, Kalinowski, Rościszewski, Rulikowski i wielu innych. Spotykaliśmy się z sobą, oprócz kursów i ćwiczeń wojskowych, jeszcze w Czytelni Polskiej i na piątkowych herbatkach u Kurzyny.

Czytelnia Polska znajdowała się w pobliżu Szkoły lekarskiej ponad restauracyą polską Janka (Passage du Commerces). Oprócz młodzieży, przychodzili tam także emigranci, z których przypominam sobie pułkownika Małachowskiego, Seweryna Użanowskiego i Szmidowskiego, chociaż nie jestem pewny tego nazwiska. Ten ostatni, człowiek średniego wieku, wracając z obiadu od Janka, przychodził na czarną kawę do czytelni, gdzie grzejąc się u kominka i paląc papierosa, lubił rozprawiać o bieżących wypadkach, unosząc się nad dzielnością młodzieży. Częstym gościem w czytelni bywał znany pisarz i poeta czeski Frycz, wielki przyjaciel narodu polskiego i człowiek wielce sympatyczny.

Jan Kurzyna, niedawny uczeń Akademii medycznej w Warszawie, internowany w Lublinie pod dozorem policyjnym, uciekł do Paryża i stał się urzędowym pośrednikiem pomiędzy młodzieżą krajową i jenerałem Mierosławskim. Z tego już li tylko tytułu miał on wielkie poważanie w kołach młodzieży rewolucyjnej. Co piątek zgromadzała się ona licznie u Kurzyny w jego mieszkaniu. Tam się dowiadywano najświeższych wiadomości z kraju, tam odczytywano przywiezione odezwy litografowane, tam przychodzili emigranci demokraci i przyjezdni z kraju czynni patryoci.

Stosunki z krajem były częste. Wciąż ktoś przyjeżdżał i odjeżdżał. Przewożono akuratnie miesięczne pismo Przegląd rzeczy polskich, wydawane w Paryżu kosztem i staraniem młodzieży rewolucyjnej pod redakyą Użanowskiego. Wywożono i inne druki rewolucyjne w znacznej liczbie. Wiedzieliśmy więc, że młodzież gorliwie się krzątała, rozniecając ducha rewolucyjnego w kraju.

Wrzenie polityczne, które uwidoczniało się najbardziej w Warszawie, wzmagało się coraz silniej. W rocznicę listopadową młodzież nasza się pobratała z rzemieślnikami, i ruch narodowy zeszedł na ulicę, która odtąd stała się jednym z najważniejszych czynników. Wciąż się pojawiały odezwy i nakazy rewolucyjne, podpisane zbiorowo: „Młodzież“. Około połowy lu-

tego dowiedzieliśmy się, że przygotowuje się wielka mifestacya w dzień bitwy Grochowskiej. Nie ukrywano się z tym zamiarem, i Dziennik Poznański, najmniej krępowany w owym czasie przez cenzurę rządową, pisał o niej, a także powiadamiał o niej i Czas krakowski, który w tym czasie, przez przybyłego do Paryża Chrzanowskiego, zbliżył się do obozu rewolucyjnego.

Jakkolwiek więc oczekiwaliśmy ważnych wydarzeń w Warszawie, to jednak nadchodzące wiadomości o strzelaniu do ludu w dniu 27. lutego, o mężnej jego postawie, o ustępstwach rządowych wstrząsnęły nami potężnie. Nam się zdawało, że upragniona przez nas rewolucya już się rozpoczynała, i że wnet przyjdzie do krwawych zapasów z najazdem. Postanowiliśmy więc wracać do kraju, sformowawszy się w oddział bojowy, a ukochany nasz instruktor robienia bronią miał objąć nad nami dowództwo. Nie były to jednak czasy rewolucyjne 1848 r., i co wówczas było możliwe, nie dałoby się uskutecznić za rządów cesarskich w 1861 r. Przytem późniejsze wiadomości znacznie zmniejszyły doniosłość zaszłych wypadków: był to groźny przejaw gniewu narodowego, ale jeszcze nie rewolucya.

W każdym razie większość postanowiła wracać do kraju, ażeby być w pogotowiu do walki z najazdem. Litwini, to jest ci co byli rodem z Litwy historycznej, zebrali się przed wyjazdem na wspólną naradę i uchwalili zgromadzić do Wilna na ostatnie dni kwietnia jak największą liczbę młodzieży uniwersyteckiej i wogóle czynnej, ażeby głośną jaką manifestacyą poświadczyć o ścisłej swej łączności z Królestwem Polskiem, w walce o wolność polityczną. Brat mój Józef udał się na Żmudź do młodego lekarza, Ignacego Trzaskowskiego, u którego przesiadywała licznie młodzież, a który następnie wysłany do Irkucka, zjednał był tam taką miłość ku sobie, że niemal całe miasto wzięło udział w jego pogrzebie, gdyż niestety zmarł on wkrótce na wygnaniu. Ja zaś, wróciwszy do domu, wnet wyruszyłem do Dorpatu, ażeby skłonić tameczną młodzież polską do przyjazdu do Wilna.

Nie wszyscy wywiązali się ze swoich zobowiązań, w każdym jednak razie w drugiej połowie kwietnia spora gromadka młodzieży z rozmaitych stron przybyła do Wilna. Myśmy przybyli we czterech: ja, moi bracia, Lucyan i Józef, i nasz sąsiad, Bolesław Materna. Zatrzymaliśmy się w hotelu Millera, gdzie nam dano duży pokój, w którym następnie odbywały się częste

zgromadzenia i narady, tak że pod koniec policya wileńska zwróciła nań była swoją uwagę.

W parę dni po naszym przyjeździe, zebrała się w naszem mieszkaniu młodzież w liczbie przeszło trzydziestu osób. Dyskusya odbyła się gorąca i zawzięta. Nasz projekt manifestacyi napotkał silną opozycyę. Przeciwnicy projektu mówili, że istniały już organizacye, pracujące w duchu narodowym, i że manifestacya, obudziwszy czujność rządową, utrudniłaby tę pracę, a w wielu wypadkach uczyniłaby ją niemożliwą. Myśmy znowu przedstawiali, że bez zbrojnego powstania, nie odzyszczemy niepodległości narodowej, ani zdobędziemy wolności politycznej, a zbrojne powstanie, ażeby stało się skuteczne, musi być poparte przez chłopów, przez masy ludowe, jedynym zaś środkiem przygotowawczego oddziaływania na lud, są manifestacye, w których mogłyby się zespalać nasze pragnienia wolności społeczno-politycznej. Manifestacya — mówiliśmy dalej — jest nadto potrzebna, ażeby poświadczyła przed całym narodem, przed całą Europą, że chcemy być wolni, i że w zdobywaniu niepodległości politycznej, pójdziemy razem z Królestwem kongresowem, i całą Polską. Znaczna większość zgromadzonych przychyliła się do naszego widzenia rzeczy, i projekt manifestacyi przez głosowanie zatwierdzony został; a wówczas jeden z najzawziętszych przeciwników, Konrad Chmielewski, powstał i podając nam rękę, powiedział: „skoro większość uznała, że wasza droga do odzyskania wolności jest lepsza, więc odtąd pójdę wraz z wami". Uchwaliliśmy następnie urządzić manifestacyę w dzień Ś-go Stanisława ($^8/_2$, maja) w kościele katedralnym, ponieważ w dzień ten, jako w dzień patrona, odbyła się solenna uroczystość, i gromadził się na nią nietylko lud wileński, ale i z dalszych od miasta okolic. Dla zaagitowania w sprawie manifestacyi i dla urządzenia owej, wybrano komitet, do którego weszliśmy ja i brat mój Józef. Kto jeszcze był wybrany, nie mogę sobie przypomnieć.

Agitacya w mieście znalazła grunt przyjazny. Młodzież szkolna, młodzi urzędnicy, rzemieślnicy stawali chętnie w naszych szeregach. Zaczęto formować dziesiątki i składać podatek. Dziesiętnicy znosili się z komitetem bezpośrednio. Najgorliwszymi okazali się ci, co zapoznali się już byli z cytadelą. Trwało to mało co więcej nad tydzień, a mieliśmy już za sobą zastęp ludzi. Policya — jak się pokazało z późniejszego śledztwa — nic nie

wiedziała o całej tej agitacyi, prowadzonej dość gorączkowo i bez zachowania należytej nawet ostrożności.

Chodziło przedewszystkiem o urządzenie manifestacyi. Mieliśmy podczas mszy przy podniesieniu odśpiewać hymn: „Boże coś Polskę“. Ażeby to wyszło zgodnie, chodziliśmy za miasto ku Żelaznej Chatce, słynnej ze swego mleka, i tam w zaroślach odbywaliśmy próby śpiewania. Weszliśmy w porozumienie z organistą, ażeby przed podniesieniem ustąpił swe miejsce wybranemu przez nas młodzieńcowi, którym był Hryniewiecki. Mszę celebrował biskup Krasiński. Nie wiem, czy doszła do niego jaka wiadomość o mającej się odbyć manifestacyi, ale kaznodzieja był o niej powiadomiony i wypowiedział kazanie w podniosłym duchu, wskazując na wielkie znaczenie ofiar i poświęcenia się. Uprosiliśmy też panie, ażeby zasiadły jako kolektorki i daliśmy im przygotowane w tym celu białe cynowe talerzyki, przykryte suknem amarantowem z wyciętym w niem orłem.

Liczne przychodzenie młodzieży do naszego mieszkania wzbudziło podejrzliwość policyjną. W przeddzień manifestacyi hotelowy ostrzegł nas, że policya dopytywała się o nas, a kiedyśmy tego dnia wrócili już późno w nocy do domu, powiedział, że wieczorem znowu przychodziła policya i dowiadywała się, gdzie jesteśmy. Obawiając się, ażeby nas nie uwięziono w nocy i wywołaniem popłochu nie powstrzymano innych od manifestacyi, poszliśmy nocować do pastora kalwińskiego, który był naszym kolegą uniwersyteckim. Przed samem pójściem do kościoła, wpadliśmy do mieszkania, aby uprzątnąć tam wszystko, coby mogło dać jaką wskazówkę o naszej czynności.

Dzień 8. (20.) maja był pogodny, jasny, słoneczny, prawdziwy dzień majowy. Gromady ludu zalegały rozległy plac przed katedrą, pełno było wozów chłopskich i powozów szlacheckich. W kościele trudno było się przecisnąć. Ci co mieli śpiewać zebrali się w kupkę na środku kościoła. Brata mego, Lucyana, odkomenderowano na organy, ażeby tam dopilnował porządku. I kto wie, czy bez jego czynnego udziału cała nasza manifestacya nie skończyłaby się na niczem? Rozpoczęło się bowiem podniesienie, a organy nie dawały znaku. Zalękniony obecnością komisarza policyi organista, nie ustępował ze swego miejsca. Widząc to, Lucyan wziął go rękę i głosem stanowczym rzekł: „Pan skończyłeś swoje, a teraz ten pan grać będzie“. I wziąwszy za rękę Hryniewieckiego, posadził go przy organach. Ozwał się więc z organów rzewny i podniosły hymn, i nasza

garstka, aczkolwiek nieumiejętnie i słabemi głosami, zawtórowała mu. Wrażenie było ogromne. Wszystkich oczy zwróciły się ku nam. Szef żandarmów, Adamowicz, który stał przed kratkami, patrzał na nas uważnie. Dla poważnej większości manifestacya nasza była niespodzianką, niespodzianką wstrząsającą silnie uczuciem. Wiele kobiet rzewnie płakało.

Współczucie ku manifestującym było widoczne. Przy wyjściu z kościoła, usuwano się przed nami, a natomiast tłoczono się przed ścigającą nas policyą. Kiedy ja i Benedykt Dybowski oddaliliśmy się już od kościoła spory kawał i szliśmy szybko po ulicy Wielkiej, jakiś młody człowiek dopędził nas, ostrzegając, że policya goni za nami. Zawróciliśmy więc na prawo, by przejść na drugą stronę ulicy i wstąpić do restauracyi Jodki, słynnej z litewskich kołdunów, ale w tej chwili zastąpili nam drogę dwaj komisarze policyjni, zapraszając nas do doróżki, gdyż pan policmajster pragnie z nami się rozmówić. Nie przyjęliśmy jednak ofiarowanej nam doróżki i oświadczyliśmy, że pójdziemy pieszo. Mieliśmy do tego bardzo ważny powód. Nie przypuszczając, ażeby aresztowanie nastąpiło na ulicy, miałem przy sobie noteśnik i klucze do korespondencyi, te ostatnie co najwięcej mogły mię kompromitować, ale noteśnik zawierał liczne adresy i co najmniej spowodowałby nadzór policyjny nad wielu osobami. Trzeba było koniecznie go się pozbyć. Szliśmy więc zwolna, rozmawiając z sobą i rozglądając się na wszystkie strony, ale komisarze policyjni szli za nami w niewielkiej odległości, i po drodze nic nie można było zrobić. Udało się to jednak zrobić w samym gmachu policyjnym. Noteśnik wrzuciłem do kloaki, a klucze do korespodencyi powsuwałem pod sukno zielone. którem były okryte stoły w sali policyjnej. W oczekiwaniu bowiem policmajstra, pozostawiono nas samych w sali.

Policmajstrem podówczas był Wasiljew. Przybywszy, zwrócił się wprost do nas z zapytaniem po polsku, czy śpiewaliśmy w katedrze — tak — odrzekliśmy — śpiewaliśmy. „W takim więc razie aresztuję panów“ — powiedział policmajster i obecnemu komisarzowi policyi polecił odwieźć nas do cytadeli. Tegoż samego dnia aresztowano Hryniewieckiego, Zelwerowicza, Korewę i Tyszkiewicza. Bracia moi nie uniknęliby także aresztowania, gdyby uszedłszy szczęśliwie od pościgu policyjnego, nie wyjechali byli z poetą Jerzym Laskarysem w odwiedziny do Ludwika Kondratowicza (Syrokomli), który mieszkał w pobliżu Wilna. Skoro jednak na drugi dzień wrócili do miasta, wezwano

ich natychmiast do policmajstra. Tam zastali licznie zgromadzoną policyę. — Czy ci panowie śpiewali w katedrze? — Zapytał Wasiljew policyantów i widząc, że wahali się oni z odpowiedzią, zwrócił się do brata Lucyana z zapytaniem: „Śpiewaliście panowie w katedrze?“ „Oczywiście, że śpiewaliśmy — odrzekł Lucyan. „Dziękuję panu za szczerość — powiedział Wasiljew — ułatwiłeś pan sprawę, pojedziecie panowie do cytadeli“. Więcej już nikogo z tej sprawy nie aresztowano.

Rząd moskiewski nie wypuścił był jeszcze tygrysich pazurów. W więzieniu nas nie dręczono i dla zdobycia zeznań nie torturowano moralnie. Śledztwo prowadził Haller, asystował mu pułkownik Adamowicz, a spisywał protokół jakiś milczący urzędnik. Haller i Adamowicz nie należeli do ludzi z krwiożerczymi instynktami. Pierwszy, zostawszy, następnie gubernatorem grodzieńskim, nie mógł się pogodzić z tatarsko-moskiewską polityką Murawiewa i podał się do dymisyi; a drugiego Murawjew posłał do Wiatki na szefa żandarmów, uważając go za nieprzydatnego w Wilnie. W śledztwie nie zaprzeczaliśmy ani temu, że śpiewaliśmy, ani pobudkom patryotycznym, które nami kierowały. Ażeby jednak były jakie narady i porozumiewanie się poprzednie, o tem nic nie wiedzieliśmy. Odpowiadałem po polsku, a protokólant spisywał moje zeznania po rosyjsku i dawał mnie do podpisania. Po skończonem śledztwie, odesłano protokóły do Petersburga, i stamtąd przyszły wyroki, mnie skazano na wysłanie do archangielskiej gubernii, braci moich do wołogodzkiej, Ksawerego Korewę do wiackiej, Adolfa Hryniewieckiego do permskiej, Dybowskiemu i Zelwerowiczowi pozwolono ukończyć rozpoczęte egzamina lekarskie, a następnie mieli być internowani w środkowych guberniach carstwa. Tyszkiewicza, którego więzienie wprowadziło w rozstrój nerwowy, po kilku dniach uwolniono, otrzymawszy od niego obietnicę, że do żadnych manifestacyj nadal należeć nie będzie.

Manifestacya $^{8}/_{20}$ maja miała bardzo ważne dla Litwy znaczenie. Na hasło dane przez stolicę litewską, rozpoczął się wielki ruch manifestacyjny kościelno-patryotyczny, który ogarnął całą historyczną Litwę, sięgając najodleglejszych jej kresów.



PAWEŁ LISOWSKI.
(BRONISŁAW SOKULSKI).

Bitwa pod Salichą.

Wybuch powstania styczniowego zastał mię w domu mej matki, małym folwarku pod Wołoczyskami w gubernii Wołyńskiej. Mając wówczas piętnasty rok życia, niebardzo dobrze zdawałem sobie sprawę z wypadków, które całą Polską wstrząsnęły, ile, że pozostawałem do świąt Bożego Narodzenia w szkole pod rygorem nauczycieli Moskali, pozbawiony wszelkich wiadomości o zdarzeniach życia publicznego. Uczęszczałem do klasy czwartej „szkoły parafialnej“ w Wołoczyskach, dokąd po feryach świątecznych już nie wróciłem, gdyż wszystkie szkoły w gubernii pozamykano.

Rozpoczął się więc dla mnie czas wolny, bez zajęcia, czas prawdziwie szczęśliwy, bez srogiej dyscypliny moskiewskiej. W takiem bezczynnem życiu, w czasie, kiedy walka o niepodległość, na obszarze niemal już całej Polski, rozbrzmiewała ponurem echem, przepędziłem do dnia 1 kwietnia 1863 r. Nagle zjawił się u mnie kolega mój ze szkolnej ławy Stanisław Trzebiński, syn obywatela ziemskiego z Łonk i zaprosił mię do siebie. Matka, jakby przeczuwała bliską stratę syna swego, nie chciała początkowo zezwolić na wyjazd mój do Trzebińskich, wkońcu jednak, ulegając jego prośbie i mojej, dała swoją aprobatę na zaproszenie kolegi. W drodze do Łonk opowiedział mi Trzebiński, o wypadkach zaszłych w Kongresówce, nadmieniając, że walka z Moskalem w krótkim czasie i na Wołyniu wybuchnie.

Według jego opowiadania, w domu starego Trzebińskiego robiono przygotowania do wyruszenia na pole walki. Dojeżdżając do Łonk, już miałem wyobraźnię zajętą obrazami przyszłych bojów i trudów obozowego życia. Obudziła się we mnie chęć wojaczki i uczucie młodzieńczej odwagi. Poczułem się Polakiem i byłem już przygotowany do zaciągnięcia się w szeregi powstańcze.

Bawiąc w domu Trzebińskich, wielu rzeczom i osobom się przypatrzyłem. Po nocach odbywały się tajemne zjazdy i narady. Wiele nieznanych i znanych osobistości przesunęło się przed mojemi oczyma. Robiono przygotowania do walki. Sporządzanie ładunków, szycie torb, czyszczenie i ostrzenie pałaszy

opatrywanie i próba broni palnej, było naszem codziennem zajęciem. W wykopanym na ten cel dole pod lamusem w ogrodzie, chowano wszelką broń, jakoteż klejnoty rodzinne Trzebińskich. We wszystkie te przygotowawcze roboty i plany byłem wtajemniczony. Zaznajomiłem się z kilku młodymi ludźmi i postanowiłem razem z nimi udać się na pole walki. Śniliśmy plany bojów, bohaterskich czynów... Tymczasem przedarła się do nas wieść o gotującej się wyprawie generała Wysockiego z Galicyi, która wlewała w serca nasze otuchę i pobudzała do czynów.

Moskale jednak już dowiedzieli się nieco o przygotowaniach w Łonkach. Pewnego pięknego poranku zjawili się żandarmi, przeprowadzili rewizyę we dworze, której rezultatem był stary, zapomniany przez nas pałasz i uwięzienie teścia p. Trzebińskiego, Podolskiego, ponoś żółnierza wojsk polskich z roku 1831.

Zdołałem jakoś ujść oka żandarmów, gdyż oficer, który przeprowadzał rewizyę znał moją matkę i mnie, zresztą nie przypuszczał we mnie przyszłego „buntownika“. Ta niespodziana wizyta Moskali i uwięzienie Podolskiego, rzuciły pewien popłoch na mieszkańców dworku. Jakim sposobem towarzysze moi, których było kilku, znacznie wiekiem odemnie starszych, zdołali ujść rąk żandarmów, tego nie umiem sobie dziś wytłumaczyć. Pamiętam tylko tyle, że prócz rodziny Trzebińskich pozostałem sam, gdyż wszyscy inni zbiegli. Zacząłem więc przemyśliwać, jak wrócić do matki, wobec bowiem odbytej dopiero rewizyi i smutku, jaki po uwięzieniu staruszka Podolskiego zapanował, nie było komu zająć się moją osobą. Nazajutrz jednak zjawił się w Łonkach niejaki p. Kojdecki, były rządca Trzebińskich, jemu też zwierzyłem się z moim zamiarem powrotu do domu. Kojdecki wytłumaczył mi, że nie ma po co wracać do matki, gdyż jeżeli już raz postanowiłem być żołnierzem, trzeba wytrwać w postanowieniu. Zdany na łaskę i niełaskę losu, zamiast do matki pojechałem do Krzysztofówki, majątku p. Zieleniewskiego, o którym później dowiedziałem się, że został przez Moskali rozstrzelany.

W Krzysztofówce zastałem kilku z młodzieży gotujących się do wymarszu na pole walki. Aby bytność swą upozorować, pełnili oni rozmaite funkcye w dworze krzysztofowickim. I tak jeden był furmanem, drugi kucharzem, inny gumiennym i t. p.

Prędko zawarłem znajomość z nowymi towarzyszami. Byli to chłopcy weseli i serdeczni. Czas schodził nam na polowaniu

z chartami, na które wyjeżdżaliśmy nieraz i w jedenaście lub dwanaście koni. Nie trwało to jednak długo. Po kilku dniach pobytu w Krzysztofówce kazano nam wyjechać do obozu Różyckiego. Podzieliwszy się na dwie partye, po sześciu, wyjechaliśmy nocą z Krzysztofówki. Towarzyszami moimi byli: Edward i Antoni Szerenowscy, Antoni Burczyński, Kazimierz Szafrański i Teofil Tchórzewski. W dnie skryci po leśniczówkach, dworach, folwarkach — nocami tylko zdążaliśmy do celu naszej podróży. Dokąd i w jakim kierunku jechaliśmy, o tem nie mam dzisiaj najmniejszego pojęcia, tak samo też nie wiem, w jakiej stronie dotarliśmy do obozu Edmunda Różyckiego [1]).

Przybywszy do obozu późnym wieczorem, zmęczeni i wygłodzeni, ułożyliśmy się do snu. Nazajutrz obudziłem się i zacząłem rozglądać się po obozie. Obok mnie spał nieznajomy kolega broni, który obudziwszy się, zagadnął, dlaczego siedzę bezczynnie i nie idę karmić swego konia. Odpowiedziałem mu, że dopiero w nocy przybyłem do obozu, nikogo nie znam i nie wiem, od kogo mam żądać konia dla siebie. Nieznajomy kolega obejrzał mię od stóp do głowy, poczem powstał prędko i oddalił się. Po niedługiej chwili wrócił w towarzystwie niskiego jegomości, ubranego w mundur rosyjskiego oficera bez epoletów jednak i odznak rangi. Ten ostatni popatrzał na mnie chwilę, i zagadnął: „Ładny obrońca szkoda, że mleka nie mamy w obozie!“ Na te słowa czułem jak twarz krwią mi nabiegła, spuściłem głowę i łzy zakręciły się w oczach.

— Jak się nazywasz?

— Paweł Lisowski.

— Skąd?

— Z gubernii wołyńskiej — z Wołoczysk.

— A umiesz malcze jeździć na koniu?

— Umiem.

— No dobrze — chodźże ze mną!

Później dowiedziałem się, że owym jegomością był rotmistrz Derydycz ekswojskowy rosyjski — późniejszy dowódzca mego szwadronu. Udałem się za nim pełen niewypowiedzianego strachu. Za chwilę stałem oko w oko przed generałem Edmundem Różyckim. Był to mężczyzna w wieku około lat 40, niski, krępy, o bardzo miłej powierzchowności. Derydycz objaśnił go,

---

[1]) prawdopodobnie koło Medwedówki.

kim jestem. Generał popatrzał na mnie, uśmiechnął się dobrotliwie i zapytał:

— „No cóż dziecko? — będziesz bił Moskali?

Na to pytanie generała nic nie odpowiedziałem, gdyż ze wzruszenia i jakiejś nieokreślonej bojaźni słowa uwięzły mi w gardle. Zdusiłem w sobie łzy i powstrzymałem spazmatyczny płacz, który w mojej piersi wzbierał. Nie wiedziałem nawet, kiedy Różycki się oddalił. Wrażenie tego człowieka pozostało w mojej duszy na zawsze, a obraz jego stoi mi zawsze przed oczyma. Wkrótce odszukałem moich znajomych, którzy ze mną do obozu przybyli i jakoś powoli przyszedłem do siebie, determinacya wzięła górę nad roztkliwieniem dziecięcem mego usposobienia.

Dostaliśmy konie i broń. Mnie przypadł w udziale jakiś stary, zardzewiały pałasz i dwa pistolety, w olstrach siodła już osadzone. Pałasz jednak okazał się dla mnie za długi, pistolety za ciężkie. Za staraniem Derydycza odebrano mi go i zamieniono na kozacką „szaszkę“ w kształcie karabeli, krzywo zagiętą, bez kosza. Koń był niezły, kozacka kulbaka wygodna. W płóciennych torbach tejże znalazłem (prawdopodobnie po jakimś poległym powstańcu) zgrzebło, szczotkę, sznur i rozmaite inne drobiazgi. W drugiej torbie namacałem kilka sucharów i próżną manierkę. Widok sucharów obudził we mnie uczucie głodu. Spożyłem też je z zazdrości godnym apetytem. Bielizny doszukać się nie mogłem, w jednej więc i tej samej koszuli pozostałem już aż do chwili wejścia oddziału naszego do Galicyi.

Był to pierwszy dzień mego pobytu w obozie, któremu teraz dopiero mogłem lepiej się przypatrzyć. Według obliczenia mojego oddział nasz składał się prawie z samej jazdy — (pieszych było może 50) i liczył razem około 600 ludzi. Żywioły składające pułk nasz, były rozmaite. Przeważała warstwa oficyalistów prywatnych i drobnej szlachty zaściankowej, nie brakło też sług dworskich, czyli t. zw. kozaków i czeladzi dworów szlacheckich. Wielu było dezerterów z wojska rosyjskiego i nieliczna garstka włościan. Z wybitniejszych obywateli ziemskich zapamiętałem majora Gonsieckiego, Krzyżanowskiego i Soleckiego.

Obóz nasz rozłożony był na górze, w lesie. Las miał kształt elipsy. U podnóża góry płynęła niewielka rzeka, otaczająca ją łukiem od strony południowej. Widety rozstawione były

dokoła obozu; generał zarządził wszelkie środki ostrożności, ogni nie wolno było rozniecać — cisza prawie zupełna panowała, przerywana od czasu do czasu cichym pogwarem powstańców.

W nocy każdy czuwał przy swoim koniu, gotów ruszyć na bój z Moskalami, lub w dalszą drogę.

Po odbyciu jakiej takiej mustry pod kierunkiem rotmistrza Derydycza, nabyłem nieco wprawy w obchodzeniu się z bronią i wydoskonaliłem się w jeździe konnej. Tymczasem wieści otrzymane od okolicznych ziemian, którzy pod rozmaitemi postaciami poprzebierani, przyjeżdżali zwykle nocą do obozu — nie zatrzymały nas długo w miejscu. Ruszyliśmy więc dalej, kierując się ku granicy galicyjskiej. Nadzieja połączenia się z generałem Wysockim, który miał wtargnąć z Galicyi spełzła na niczem. Różycki postanowił więc bądź co bądź forsownym marszem przejść kordon austryacki i umknąć Moskalom, którzy przeważającemi siłami, jak nas wieści dochodziły, poczęli nas otaczać. I tak zmieniając ciągle miejsca krótkiego pobytu, błąkając się po lasach i ustroniach, zdala od ognisk ludzkiego życia, posuwaliśmy się naprzód — w kierunku południowo-zachodnim. Głód nieraz doskwierał, zmęczenie ogarniało wielkie i żołnierzy i konie, ale nikt nie szemrał, tylko poddawał się losowi i rozkazom powszechnie szanowanego i sprawiedliwego wodza.

Koło Medwedówki dowiedzieliśmy się napewno, że major Michno ze Starokonstantynowa ściga nas na czele oddziału, złożonego z kilku rot piechoty i dwóch sotni kozaków. Przyznam się, że pewien strach ogarnął mię na tę wieść, bałem się bowiem żywcem dostać w ręce moskiewskie i postanowiłem raczej zginąć.

Nerwowo ściskałem rękojeść mojej „szaszki“ ściągając mimowoli cugle memu koniowi, który głośnem prychaniem okazywał swe zadowolenie. Koledzy mego szwadronu byli spokojni i żaden muskuł nie drgnął na ich opalonych i gęstym kurzem pokrytych licach. Dochodząc wreszcie do wsi Salichy - Małej, spostrzegliśmy Moskali pędzących gościńcem równolegle prawie z nami. Piechota jechała na wozach a jazda pędziła wyciągniętym kłusem obok.

Było jasnem jak na dłoni, że wróg chce nam odciąć drogę naszego odwrotu. Było to około wpół do dziewiątej zrana, czas był ładny, powietrze spokojne, nasycone świeżością majową

Jechaliśmy stępo ku Salisze, mając wieś w dole, okoloną kilkoma pagórkami. Moskale tymczasem parli ciągle gościńcem, który okalał całą wieś po lewej stronie. Nagle otrzymujemy rozkaz do galopu. W jednej chwili przebiegliśmy wieś i wydostaliśmy się na wzgórze. Byłem pewny, że uciekamy przed przeważającą siłą moskiewską. Nagle stanęliśmy a zwróciwszy się frontem w dwie rozwinięte linie ku nieprzyjacielowi, puściliśmy się z początku wyciągniętym kłusem, później galopem na wroga. Moskale tymczasem rozwinęli się w tyraliery i zaczęli nas prażyć ogniem karabinowym, żadna jednak kula nas nie dosięgła. Cały ten manewr odbył się bardzo prędko. Pierwsze dwa szwadrony pod dowództwem Mazewskiego, pomknęły naprzód, uderzając całym impetem szabel i spis na Moskali, którzy widząc ten niespodziewany atak, zaczęli tworzyć najeżony bagnetami czworobok. Atak nasz jednak udaremnił zabiegi nieprzyjaciela, zanim bowiem to się stało, nasi już siedzieli na karkach przerażonego wroga. Ja będąc w drugiej linii naszej, do boju rozwiniętej konnicy, słyszałem już zdala zmięszane głosy walczących i szczęk oręża. Sam Różycki stanął na czele naszej kolumny. Wpadliśmy również jak wicher na Moskali, ale już chyba po to, aby uganiać się za niedobitkami, którzy w bezładnej ucieczce, nie próbowali nawet wielkiego stawiać oporu. Dziś, kiedy odświeżam w mojej pamięci ten epizod bojowy mojego życia, nie zdaję sobie dobrze sprawy z faktów mu towarzyszących. Pamiętam tylko, że bitwa długo nie trwała i reszta niedobitków moskiewskich cofnęła się do wsi, gdzie pod osłoną karabinowego ognia powsiadała napowrót na wózki i znikła nam z oczu. Na placu boju pozostało wiele trupów. Z naszej strony padło kilku, z których przypominam sobie Antoniego Szerenkowskiego i Soleckiego. Ze znajomych ranni byli : Mazewski, Żółkiewski[1]) i Krzyżanowski. Z ostatnim łączyły mnie później w Galicyi ściśle węzły przyjaźni. Umarł dziesięć lat temu w Brzeżanach.

Ochłonąwszy z pierwszego wrażenia, mając chlubne zwycięstwo za sobą, rozłożyliśmy się zaraz obozem. Odpoczywaliśmy przez kilka godzin i przed wieczorem ruszyliśmy w dalszą drogę. Choć głód i zmęczenie dokuczało, jakiś dobry duch wstąpił w serca wszystkich, zwycięstwo dodało nam otuchy i odwagi. Przez dwa dni forsownymi marszami parliśmy ku granicy

---

[1]) Umarł później z ran.

austryackiej. Nie wiem zgoła dzisiaj, którędy marsz ten odbyliśmy, dość, że po dwóch dobach pochodu przyszliśmy obok Palczyniec nad granicę. Było to w końcu maja, upał nieznośny prażył nas dotkliwie a przytem kurz był taki, że trzeciego szeregu przed sobą widzieć nie można było. Ubrania nasze pokrywała więc warstwa prochu na palec grubo. Odetchnąwszy trochę, przeszliśmy koło Szczęsnówki granicę i jeszcze tego samego dnia byliśmy w Koszlakach.

Zaledwie nieco ochłonęliśmy z trudów tak forsownego marszu, zjawia się kompanja piechoty austryackiej i kilku żandarmów. W imieniu prawa rozkazują nam broń złożyć. Co też spełniliśmy.



MA...

Jeszcze jeden żołnierz-poeta.

W roku 1873 pojawił się we Lwowie, w ówczesnej „Gazecie Narodowej“, artykuł znakomitego publicysty i znawcy stosunków krajowych, Agatona Gillera, zaczynający się od słów następujących:

„Każda chwila czasu zasiewa bujne niwy życia nowymi kwiatami i rzuca kwiaty na nowe mogiły, porywając z pośród nas ofiary z tych, co wśród cierni i bolów walczyli niedawno jeszcze za sprawę narodową.

Do takich ofiar, przedwcześnie zgasłych w tym roku, należy młody żołnierz-poeta, wytrwały uczestnik walki styczniowej, autor poematu pod tytułem: „Han Akmet“ i wielu innych utworów — Edward Stefan Machczyński“.

Po tych wstępnych słowach, Agaton Giller nakreślił wówczas w krótkim a sympatycznym fejletonie, sylwetkę tego niezwykłego młodzieńca, któremu dzisiaj, w czterdziestoletnią rocznicę walki narodowej, zwłaszcza, przy odnalezieniu obszerniejszego materyału biograficznego, należy się dokładniejsze wspomnienie. Tembardziej, że przy ogólnem dzisiaj nawoływaniu się do gromadzenia materyałów, dla dziejowego i psychicznego wyświetlenia tej, tak niedawnej jeszcze, a tak mało w tysiącznych swoich zjawiskach, poznanej epoki, — jest obywatelskim obo-

wiązkiem, aby każdy z nas opowiedział, co wie, co pamięta i póki pamięta...

W poczuciu też tego obowiązku, składamy tutaj wiązankę wspomnień, o jeszcze jednym żołnierzu-poecie, uzupełniając nią niejako jego sylwetkę, nakreśloną w r. 1873 przez znakomitego patryotę i publicystę — Agatona Gillera.

Skromne stanowisko naszego żołnierza-poety w walce narodowej z r. 1863 — nie mogło wywrzeć dominującego wpływu na jej losy; a wspomnienie o nim nie rości też sobie prawa, do wyróżniających odszczególnień; był on bowiem tylko szeregowcem w szlachetnym tłumie tej dzielnej młodzieży, co na hasło „Ojczyzna!“ rzucała się w bój z bronią w ręku, lub nawet bez broni, napełniając bory i lasy nadwiślańskie odgłosem, pełnej otuchy, ówczesnej piosenki:

Wielopolski wyrachował,
Że nas zmrozi w lesie;
A tu Bóg się ulitował,
Wiosnę w styczniu niesie... i t. d.

Edward Stefan Machczyński przyszedł na świat w mieście gubernialnem w Płocku, 13. października 1836 roku.

W domu, od rodziców nauczył się kochać Polskę gorąco i z zapałem.

Ojciec jego, Marceli Apolinary, obywatel ziemski, uczeń Lelewela, Osińskiego, Bandtkiego w uniwersytecie warszawskim i znakomity prawnik, powoływany do miasta na urzędy sędziowskie, przeniósł się z dziedzicznego Sosnowa, najpierw do Płocka, a następnie, jako sędzia apelacyjny Królestwa Polskiego, do Warszawy.

Matka, Ewa z Luboradzkich, córka Stefana Luboradzkiego. cześnika z ziemi Kujawskiej, i Antoniny z Łąckich, jaśniała wszystkiemi cnotami Polki i chrześcijańskiej niewiasty.

Jej wielkie serce obejmowało macierzyńskiem uczuciem, nietylko własne dzieci, dla których życie całe poświęciła, ale i tylu innych synów nieszczęśliwej Polski... którym niosła pomoc i ratunek.

Dostojna, szlachetna postać tej staropolskiej pani, umysł głęboki, umiejący przewidywać i ostrzegać i pamięć jej opiekuńczej działalności dla więźniów i wygnańców, żyje jeszcze dotąd w cichej wdzięczności licznych rodzin w Warszawie, żyje w Pankonie milczącej i dyskretnej chwały, wzniesionym dla

tych wszystkich, o których głośno dziś mówić — jest jeszcze za blisko...

Edward w gronie licznego rodzeństwa wychowywał się śród świeżych jeszcze tradycyj Listopadowej wojny, która wyszczerbiwszy znacznie majątek rodziny, zachowała dzieciom przykład cnót rodzicielskich i naukę służenia Ojczyźnie.

Bystry, obdarzony wielkiemi zdolnościami, ognistą fantazyą i dobrem nad wyraz sercem, słuchał z zapałem opowiadań o wyprawie belwederskiej, o szkole podchorążych i o strzałach na ulicach Warszawy. Unosiły go wspomnienia o wuju Aleksandrze Luboradzkim, który w szesnastym roku życia poszedłszy z domu matki do legionów, zdobywał ojczyznę na wszystkich polach walk Napoleońskich i okryty ranami wrócił, aby wyzionąć ducha, u stóp matki spłakanej.

Lubił, kiedy mu opowiadano, jak to w czasie wojny Listopadowej, dom jego rodziców w Płocku był niby małym arsenałem prywatnym, zawalonym bronią, uprzężą, odzieżą, żywnością, szarpiami, w którym płocka gwardya miejska zbroiła się i zaopatrywała, jak u siebie.

Patrząc się w te błyszczące oczy zasłuchanego podówczas dziecka, można było powtórzyć za Malczewskim te smętnej refleksyi słowa:

„A ty, pyzate dziecię z pod słomianej strzechy,
Co ci widok żołnierzy zaszczepia uśmiechy,
To może gorżki owoc zbierze kiedyś wojna!“...

Nauki pobierał najpierw w domu i w prywatnym pensyonacie w Płocku; potem chodził do gimnazyum w Warszawie.

Wiadomy jest powszechnie system edukacyjny ówczesnych szkół w Królestwie polskiem pod rządem rosyjskim: twarda dyscyplina żołnierskiej niemal grozy, ściganie i prześladowanie uczuć narodowych młodzieży i srogi ucisk tych uczuć w najmniejszych nawet ich przejawach; to też młodociane umysły głuchem wrzały oburzeniem, serca się wyrywały do oporu, usta nieostrożne wyrzucały słowa; — i oto — całe szeregi nieletnich winowajców zakuwano w kajdany, gnano w lodowe stepy Sybiru, lub pędzono w dalekie kaukaskie pułki, jako prostych żołnierzy.

Ten ostatni los spotkał niebawem i szesnastoletniego Edwarda.

Trudy podróży i tęsknota za rodziną zagroziły życiu i zdrowiu nieletniego młodzieńca; to też na usilne domagania się matki, zgodzono się, aby go pozostawić w Odesie, przydzieliwszy do korpusu generała Lüdersa.

W drodze z Moskwy do Odesy, młodziutki żołnierz w grubym szynelu, o pięknych, delikatnych, prawie dziecięcych rysach twarzy, wzbudzał nieraz głębokie współczucie.

W jednem z miast większych, na tej drodze leżących, biskup Łubiński, lubo skazaniec, wyjednał mu kilkodniowy w swoim domu odpoczynek; ręka matki przygotowywała synowi po drodze etapy opiekuńcze zacnych ludzi.

Mimo tych zabiegów, przybył do Odesy chorym i parę miesięcy spędził w lazarecie, poczem niebawem wrócił do pułku, gdzie budził ogólne zainteresowanie się kontrastem swojej zgrzebnej żołnierskiej odzieży — z niepospolitą pięknością i wdziękiem dobrego wychowania, oraz krążącemi wieściami, że młody żołnierz pisze pełne polotu poezye, a nawet że je odczytuje w domu pułkownikowej Lüdersowej, Polki, Zabokrzyckiej z domu i jej siostry, generałowej Lipskiej.

Wtedy już bowiem niezaprzeczony talent poetycki Edwarda zaczął się szybko rozwijać; a pierwszym jego podówczas utworem, była wzruszająca do łez „Modlitwa żołnierza", którą sobie w gładkim rymie ułożył, ślubując w niej wierność Bogu, Polsce, honorowi i cnotom ojczystym.

Marsze i przemarsze wojskowe, które go zbliżały do Besarabii i Kaukazu, obrazy stepów, bujnej przyrody i odmiennych obyczajów, uderzały silnie jego młodzieńczą wyobraźnię, nadając już wtedy jego upodobaniom i poezyom, pewien koloryt i charakter wschodni.

To też, kiedy po latach stepowej tułaczki, wrócił pod rodzinną strzechę, wydał wkrótce pierwszy swój obszerny poemat, na tle podań i obrazów wschodu, pod tytułem „Han Akmet".

Utwór ten, wydany w Warszawie, w r. 1857 nakładem Aleksandra Nowoleckiego; odrazu zaletami niepospolitego talentu zwrócił uwagę warszawskich recenzentów i czytającej publiczności; cały też nakład Nowoleckiego w krótkim czasie był zupełnie wyczerpany.

Treść poematu opiewa zemstę Akmeta, dzielnego, szlachetnego i kochającego — przywódzcy jednego z koczujących pokoleń kaukaskich. Zemta Hana dosięga Beja Mirżę Agę, który go zdradził i porwał ukochaną dziewicę.

*

Rzecz dzieje się w aułach kaukaskich; w opisach natury, w charakterystyce bohaterów poematu odzwierciedlają się rzeczywiste wrażenia młodzieńca, a pełne prawdy obrazy z życia Czerkiesów, malownicza wyobraźnia autora, obok siły uczucia i zajmującego układu kompozycyi, czyniły tę poetycką powieść niezmiernie poczytną w kołach warszawskiej młodzieży.

„Han Akmet“ był najobszerniejszym ze znanych oryginalnych utworów Machczyńskiego; bo do „Janczara“ — umieszczonego w tym samym tomiku, myśl była wziętą, jak autor w nagłówku zaznacza, — z Lermontowa; a drukowany później wiersz w Gazecie warszawskiej p. t. „Anioł i Czart“, czyli „Walka dobrego ze złem“ — był mniejszym co do rozmiarów, ale pociągał swoją etyczną i filozoficzną treścią.

„Han Akmet“ i inne utwory poety zwróciły odrazu na niego uwagę recenzentów i publiczności, a kółka literatów warszawskich tak zwana Cyganerya literacka, garnęła do siebie młodego poetę, przepadając wprost za jego młodzieńczym szczerym humorem, iskrzącym dowcipem i ognistą fantazyą, przy których pomocy w opowieściach swoich odtwarzał tak żywo, w gronie słuchaczy, czarodziejską atmosferę wschodu, walk Czeczeńców i malownicze koczowiska aułów.

Tymczasem lata sześćdziesiąte zbliżały się. Duch narodu uciśniony coraz cięższą niewolą, szarpał się z głuchym pomrukiem w upokarzających więzach. Nadzieje optymistów, przywiązywane do nowych rządów, prysły pod brutalnym obuchem słów: „point de réveries, żadnych marzeń“ — jak pod uderzeniem młota o gorące żelazo, rozpryskuje się w tysiące iskier zapalnych, zarzewie pożary niecące.

W Warszawie powstał niezwykły ruch, objawiający się zrazu na ulicach stolicy, jako ruch karnawałowy, jako odgłos hucznych zabaw, zjazdów zapustnych, zgromadzeń balowych i towarzyskich; — a tymczasem ludzie zbliżali się do siebie, jakąś iskrą magnetycznego porozumienia się wzajemnego; bez żadnych spisków, bez żadnych na razie szeroko zakreślonych organizacyj. Jedność uczuć i myśli spływała na tłumy, jakby z górnych obłoków rosa, jakby natchnienie, z pieśni wieszczów narodowych promieniejące, jakby skarga, wyrwana z obrażonej godności narodu; i z łez matek, pokrzywdzonych w swojej miłości i prawach; — a łzy matek zmywają się najczęściej krwią synów...

Umysły były coraz wyżej nastrojone, serca biły potężnie, jakby już

„Dzwon zdarzeń wszystkich na ciebie zawołał,
Byś się ty w okup ofiarował za nie [1]).

Nic też dziwnego, że i serce naszego poety-żołnierza z całym zapałem uderzało w takt duszy i serca narodu.

W tym czasie był właśnie zajęty pracą nad nowym obszernym poematem p. t. „Cyganie“. Ustępy, które z niego bliższym swoim odczytywał, zachwycały słuchaczy. Co za plastyka życia Szatry Cygańskiej na rozłogach i stepach Besarabii, jakie prawdziwe malowidło natury, jakie przeczucie walki niedalekiej w ojczyźnie, — co za postacie bohaterów, o jakich marzył dla swojego narodu!...

Branka, zarządzona przez Wielopolskiego i idący w ślad za nią niespodziewany wybuch zbrojnego powstania w dniu 22. stycznia 1863 roku, wytrąciły poecie pióro z ręki, kładąc w nią, nie obcy mu już, karabin.

Jako Polak, były żołnierz i duchowy uczeń mistrza, co powiedział, że

„kto padnie śród zawodu,
Da szczebel innym do sławy grodu“...

rzucił się wraz z inną szlachetną młodzieżą, na hasło „Ojczyzna“ do lasów i borów, przeżył w nich, śród ciągłych niebezpieczeństw, trudów, walk, obrotów, wybornie przez siebie pojętej partyzantki — całych dziesięć miesięcy...

Wiadomości nasze w ogólności o rozlicznych oddziałach powstańczych w ostatniej narodowej wojnie, są jeszcze bardzo skąpe, niedokładne, niewyzbierane pracowicie tak, aby dały nam całkowity obraz, czasem wprost nadludzkich wysileń młodych bohaterów, okrytych dziś milczeniem mogił i milczeniem nieświadomych historyków.

Niezmiernie bogate pokłosie leży jeszcze nietknięte przed nami na tych niwach polskich, przesiąkniętych krwią poległych i rannych; a każdy przyczynek do wyjaśnienia tego bolesnego eposu narodowego, czy to w jego martyrologii, czy glory, będzie zapewne jeszcze długo bardzo pożądanym.

I dla tego też mamy sobie za obowiązek, przytoczyć tutaj ustępy z listów Edwarda, wprost z pola walki, lub z lazaretu, w danej chwili pisanych.

---

[1]) Zygmunt Krasiński: Resurecturis.

W liście z miesiąca maja 1863 roku tak opowiada:

....."W maju, przybywszy do oddziału 4-go, powiatu Pułtuskiego i Ostrołęckiego, miałem udział w bitwie znacznej pod Naguszewem, która tylko z Bożej woli dość pomyślnym została uwieńczona skutkiem; tu los szczęśliwie pokierował: gdyż kosynierzy w pomięszaniu, spotkawszy z tyłu nieprzyjaciela, a mając go atakującym z przodu, poszli mimowoli przebojem.

Następnie major Jasiński objął komendę nad tym oddziałem, złożonym około z 1300 ludzi, stoczyliśmy z ważniejszych, bitwy 1. pod Drążdżewą, 2. pod Zambrowem, obie dość pomyślnie.

Pod Drążdżewą przyszliśmy na pomoc Trąbczyńskiemu, obsaczonemu na Kępie, który trzy dni był atakowany.

Tutaj zbyteczną była nasza ostrożność, w pozostawieniu od strony Pułtuska połowy oddziału (600 ludzi) z kapitanem Dąbkowskim, dla przecięcia Moskalom posiłków w ludziach i amunicyi; dość było część kawaleryi tam ustawić, a lepiej lewe skrzydło było zająć i tam czekać rejterady nieprzyjaciela, która była przewidzianą.

Po 5-cio godzinnym ogniu, Moskale tym punktem rejterowali, utopiwszy nawet jedno działo. — Wojsko nasze miało ochotę iść na „Urra". Kosynierzy, chwytając na kosy zapalone snopy, chcieli iść do ataku; ale komenda zwróciła ich do Różana, gdzie miał być nieprzyjaciel".

W innym liście, pisze bez daty:

„Oddział nasz połączył się z pułkownikiem Wawrem, przyjętą była straszna, a krwawa i nieszczęśliwa bitwa pod Wrząśnikiem, która skończyła się rozproszeniem części oddziałów i rozpuszczeniem ludzi; bezbronnych Moskale i kozacy, idąc, łańcuchem, nie biorąc do niewoli, mordowali.

W trakcie tego, zebrawszy nieco ochotników, wyratowałem 30 rannych, a opatrzywszy ich, złożyłem w poblizkiej wsi Kozłowie, majątku pani Wiśniewskiej, skąd ich przeniesiono do Zator".

W innych listach wspomina; że biorąc na uwagę, iż major Jasiński zapowiedział ponowne zebranie się rozproszonych oddziałów za dziewięć dni, nad Narwią, pod Sokołowem, on (Machczyński) zgromadził na własną rękę do stu ochotników, przeszedł z nimi tyralierkę moskiewską; (tu zabili pod nim konia, a zdobył dwa kozackie i broń), i przedostał się przez Bug.

„Tam przyjmowałem, mówi: garnących się do oddziału ochotników, na których tymczasowe ukrycie wybrałem lesiste i bagniste pobrzeża Bugu; gdyż ludność tamtejsza, przerażona wieścią o porażce tak silnych oddziałów, nie chciała przyjmować w domu partyzantów, bojąc się, aby Moskale, dowiedziawszy się o ukrytych, nie zrabowali i nie spalili wsi.

Cztery tygodnie przeto, bez żadnej pomocy i wieści o innych oddziałach, manewrowałem, mając przed sobą i za sobą nieprzyjaciela.

Mały mój oddział, ze 125 zbrojnych w sztucery i dubeltówki, o które się postarałem, złożony z ludzi wyborowych i rosłych: (po części gajowi, Litwini i z wojska rosyjskiego) wymustrowałem i służby wyuczyłem. Poczem otrzymałem podziękowanie i polecenie majora Jasińskiego, jako dowódzcy powiatowego, przez oficera Królikowskiego, abym wyruszył nad Narew, do wsi Grądów, gdzie się sformuje oddział.

Wyruszyłem zaraz, lecz w Grądowie dowiedziałem się, że dnia poprzedniego było tam 40 partyzantów, kotły i obóz; ale Moskale wpadli, partyzantów rozproszyli, obóz i furyera Kędzierzawskiego zabrali. Pozostawiony sam, przeszedłem w bród przez Narew, stanąwszy na Kępie, między Dżbędzem a Brzuzą; byłem w przykrem położeniu, gdyż własne pieniądze przez te kilka tygodni na ludzi wydałem, a dostawy żadnej. (Raz z m. Rożana kilkaset funtów chleba, trochę kaszy i słomy. Zasiłek na dni parę...).

Tymczasem przybył major Jasiński i zdałem mu mój oddział. Całość sił Jasińskiego i Wawra wynosiła pierwej do 3000 ludzi; obecnie major Jasiński stał na czele tylko 300, w skład których wchodził przyłączony mój oddział, ze 125 złożony, a tak krwawo zebrany.

W tym stanie sił przyjętą była Magnuszewska bitwa, która zadała ostatni cios temu nieszczęśliwemu oddziałowi. Przy bronieniu przeprawy przez Narew, moi strzelcy (gajowi, Litwini i t. d.) z za Bugu, dzielnie się stawiali. Niestety! pod przeważną siłą nieprzyjacielską, mnóstwo zginęło! (Ze 125 pozostało 30). Zginął Karoli, zginął Zduńczyk, zginął Dąbkowski, a mnie ze zranioną nogą i silną działową kontuzyą w głowę i prawe ramię, przeniesiono do szpitala w Glinkach, majątek książąt Woronieckich, gdzie sześć tygodni bez duszy przeleżałem“.

Po niejakiem przyjściu do sił, Machczyński rwał się do dalszej walki; i dowiedziawszy się, że oddział 4-ty na nowo sfor-

mowany został, pod dowództwem p. Dubois (Lasocki), pospieszył w jego szeregi. Rozkazem dziennym mianowany szefem sztabu, zajmował się to mustrą, to porządkiem oddziału, który połączywszy się z Rymarzewskim, z Nowickim i z kawaleryą Ziembińskiego, przyjął bitwę pod Myszyńcem. Bitwa pod Myszyńcem oderwała oddziały jedne od drugich; oddział p. Dubois ścigany wciąż przez Moskali, zachwycony koło Buga, pod Porębą, przyjął bitwę, która trwała sześć morderczych godzin, zaściełając pola gęsto ciałami poległych bohaterów. I Machczyński z tej walki nie wyszedł bez szwanku; po mężnym oporze, ciężko rannego, przewieziono przez pruską granicę dla kuracyi.

Tak więc po dziesięciomiesięcznej pełnej zapału i wiary w przyszłość walce, znalazł się nagle na wygnaniu. Stracił z pod stóp grunt ziemi ojczystej, którą nad wszystko ukochał; stracił tę pierwszą młodzieńczą wiarę, jakby pierwszej miłości uroki — że skoro się krew polska póleje, to zwyciężyć musi — stracił także niestety, piękny swój poemat „Cyganie“, z którym się i w powstaniu rozłączyć nie chciał, na piersiach go chował, w swobodniejszych chwilach wykańczał i pisał dalej, a którego rękopism zawierucha wojenna niepowrotnie uniosła.

W Paryżu, imieniem Rządu Narodowego doręczono mu akt uznania waleczności i wytrwałej walki, wraz z nominacyą na kapitana wojsk polskich. Uczuwszy się nieco zdrowszym, gotował się do nowej wyprawy wojennej, ale wiadomość o ostatecznym pogromie powstania uderzyła w niego jak piorun. Niemoc wobec twardej doli narodu była ciężką dla jego dumnej i rycerskiej duszy; to też skoro tylko posłyszał o tworzeniu się legii cudzoziemskiej we Włoszech, przy korpusie generała Podińskiego, pospieszył przez Alpy, marząc o nieśmiertelnych zastępach Dąbrowskiego i Kniaziewicza.

Wkrótce jednak po przybyciu do Turynu, i rozejrzeniu się w stosunkach legij cudzoziemskich, pisał do swoich:

„Idąc przez Alpy, wyładowałem sobie kieszenie obłokami.. Chmury podemną i chmury nademną, ale i w Turynie nie lepiej...

Legia cudzoziemska z Węgrów i innych nacyj złożona, niema przed sobą przyszłości polskiej. Wprawdzie, generał Polak ma najzacniejsze chęci; — nie on też winien, że nie usłyszymy w niej komendy:

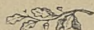
Marsz, marsz — z ziemi włoskiej, do polskiej...

Zatem — nie mam tu co robić".

Po zwiedzeniu też najcelniejszych okolic Italskiej ziemi, wrócił do Paryża. Tutaj przynajmniej mógł zagłuszać trawiącą go tęsknotę za krajem, tutaj bowiem miał bliższych sobie rodaków, towarzyszy broni, którzy go kochali, dla zacności charakteru, dla niezrównanie dobrego, uczynnego serca, umiejącego zawsze zapomnieć o sobie dla drugich, oraz dla niewymownie miłego obcowania i tych niewyczerpanych opowiadań, któremi rozjaśniał życie wygnańców.

W własnem jednak sercu nie mógł się pocieszyć w trawiącej go tęsknocie za rodziną i za krajem, dla którego pragnął pracować. I powrócił doń na krótką już chwilę, aby ucałować ziemię ojczystą i spocząć w niej na zawsze.

Zakończył życie śród rodziny, po długiej chorobie, w Warszawie, d. 4. lutego 1873 r. pochowany na Powązkach.



SEWERYN MANASTERSKI.

Od Radziwiłowa do Kijowa.

W okolicy Rohatyna organizacya narodowa tworzyła oddział ochotników, zapisując zgłaszających się. Do tych więc, mimo że wtenczas miałem rok 17, zgłosiłem się, i zostałem przyjęty.

Formowanie tego oddziału rozpoczęło się na wiosnę, a około 20 czerwca wyruszyliśmy z Rohatyna. Prócz mnie wyjechali: Jan Mrówczyński, Józef Bauknecht Sanocki, Gustaw Fischer, Kwiatkowski i rolnik Mikołaj Cok.

Na furach zajechaliśmy do Rosochowaćca, tam ulokowani na strychu w dużej gorzelni, przemieszkaliśmy dni kilka, a następnie wysłano nas podwodami do Olejowa.

Z Olejowa udaliśmy się, już w licznem towarzystwie przybyłych z różnych stron powstańców, lasami w okolice Podkamienia koło Brodów. W przechodzie przez Nakwasze, u stóp góry, na której wznosi się gr. k. cerkiew, ksiądz tamtejszy pobłogosławił nas uroczyście. Po dłuższym marszu wśród lipcowej spiekoty, doszliśmy lasami do pobliża granicy rosyjskiej, gdzie rozdano nam broń, i podzielono nas na kompanje i plutony, ja zostałem przydzielony do I. kompanii strzelców. Kapitanem moim

był Witman, pułkownikiem oddziału był Horodyński, majorem był Sieńkiewicz, Garibaldczyk, kapitanem karabinierów Zapałowicz, a komendantem kosynierów Skwirczyński.

Broń, którą nam rozdano, była zakopana w ziemi, w pakach wypełnionych trocinami. Sztućce belgijskie były zużyte, zardzewiałe i trocinami zanieczyszczone. Przy braku wszelkich narzędzi pomocniczych, dla oczyszczenia tej broni, niemożna nawet było myśleć, o strzelaniu z takowej.

Po przydzieleniu mnie do kompanii, dostałem kawał słoniny i chleba i zostałem wysłany pod przewodem plutonowego na widetę. Po ściągnięciu mnie z widety około wieczora, ruszyliśmy w dalszy marsz.

Po bardzo upalnym i gorącym dniu, zerwała się szalona burza, wicher obłamywał gałęzie drzew, lunął gęstą strugą deszcz, a od czasu do czasu grzmoty i błyskawice urozmaicały nam pochód po rozmiękłych, błotnistych, leśnych drogach. Przemokli do szpiku i zmęczeni pochodem, spaliśmy maszerując.

Około północy zatrzymano nas na chwilę, następnie wśród ciągle padającego deszczu, szliśmy aż przed Radziwiłów. Było to dnia 1. lipca 1863 r. Na dwa lub trzy kilometry od Radziwiłowa, stoi konny Moskal na widecie, gdy spostrzegł nas, pomknął do Radziwiłowa. Wtenczas zatrzymano oddział, zakomenderowano, żeby opatrzyć broń i przygotować się do ataku. Po niedługiej chwili, którą komenda oddziału użyła do zasięgnięcia języka, czy w Radziwiłowie jest wojsko i czy liczne. Po otrzymaniu błędnych wiadomości, że wojska w Radziwiłowie niema, że był mały oddział i ten uciekł, zakomenderowano pochód do miasta.

W ulicy, którąśmy maszerowali, na lewo pod domem, leżało kilka tornistrów na drodze, jak gdyby w pospiechu ucieczki zostawione, tymczasem jak się później okazało, był to tylko podstęp. Gdyśmy bowiem weszli na rynek, ze wszystkich okien i z ulic bocznych posypał się na nas gęsty ogień rotowy, a następstwem tego, wielu z oddziału padło zabitych lub rannych. Próbowałem z mego karabinu strzelić i mimo zmiany kapiszona, broń widocznie zamokła, nie wypaliła i zdaje mi się, że nie wielu było z nas takich, którymby karabin wypalił.

Ta niespodziana zasadzka i to obfite prażenie nas ogniem z po za węgłów ulic i okien domów, z drugiej strony przeświadczenie o naszej niemocy, dla braku broni odpowiedniej, zakotłowało i zmięszało cały oddział i powstrzymało w pochodzie. Wtenczas to dowódzca naszego oddziału Horodyński z karabelą

wzniesioną w górę, konno poskoczył naprzód oddziału i o kilka kroków odemnie, przestrzelony kulami, runął na ziemię. Prawie w tej samej chwili, od strony prawej z ulicy zaatakował nas konny oddział wojska moskiewskiego, a piechota z przodu. Oddział nasz poszedł cały w rozsypkę.

Ja i moi towarzysze podążaliśmy w kierunku na lewo przez ulice, ogrody, do szuwarów rosnących na brzegu rzeczki, która tamtędy przepływa, wszedłem w wodę, a gdy spostrzegłem, że żołnierze moskiewscy, którzy za nami zdążyli, wyłapują naszych, mordują i do mnie strzelają, rzuciłem karabin do wody i przebrnąłem na stronę drugą, a potem przez łąkę, do bliskiego lasu, przeprowadzony przez kule moskiewskie, które mi koło uszu świstały.

W lesie tym gęsto zarosłym, zaraz od kraju doszedłem do jakiejś drożyny, tą drożyną uszedłszy kilkadziesiąt kroków, spostrzegłem leżącego na wznak trupa, towarzysza z mojej kompanii, Tuczewskiego. W tej więc chwili skoczyłem na prawo w gęsty las, lasem tym przedzierałem się, przysłuchując i bacząc czy mię kto nie ściga.

Wkrótce usłyszałem napowrót silniejsze strzelanie w Radziwiłowie. Ponieważ wiedziałem, że prócz oddziału naszego, mają równocześnie wkroczyć oddziały Wysockiego i Miniewskiego, przeto domyślałem się, że strzały, które teraz padają, pochodzą z utarczki między Moskalami a którymś z tych oddziałów, zacząłem przeto iść lasem w kierunku tych strzałów, wyszedłem na brzeg lasu w zboże.

Przedemną o kilkadziesiąt kroków widziałem jakieś budynki gospodarcze i mieszkalne, puściłem się więc przez zboże. Gdym się znalazł o kilkanaście kroków od lasu, z lewej strony, z krzaków pomknął na mnie jeździec kozak czy „objeżczyk", kiedy zbliżył się, strzelił z pistoletu, kula jednakowoż ominęła mię i tylko piersiami konia uderzony, padłem na ziemię. Kozak zlazł z konia, zabrał torbę, w której miałem amunicyę, bieliznę i inne drobne rzeczy, zrewidował kieszenie, zabrał zegarek i pulares, a zdjąwszy z kulbaki rzemień cuchnący prawdziwie moskiewskim dziegciem, odgrażał się, że mię powiesi. Jak się później dowiedziałem, miała ty być zemsta, że przy przejściu granicy, jeden pluton odkomenderowany, miał jakiegoś „objeżczyka" złapać i powiesić.

Skończyło się na tem, że mi tym rzemieniem silnie skrępował ręce w tyle, i rzuciwszy na ziemię, przywiązał do dolnej łaty płotu tam się znajdującego, a sam odjechał.

Strzały, które przedtem słyszałem, w tym samym kierunku to dalej to bliżej ciągle padały. Po jakiejś chwili rozpocząłem przemyśliwać nad uwolnieniem się z tego niemiłego położenia. Lewa ręka była tak mocno ściągniętą, iż nabiegła krwią i prawie strętwiała mi, prawa zaś jakkolwiek była silnie związaną, mogłem nią poruszać, przeto zwróciłem ją w tył, ku plecom i rozpocząłem odwiązywać rzemień od baryery. Deszcz, który ciągle lał, sprzyjał mi w zamiarach, rzemień z surowca oślizł tak, iż po dłuższem rozciąganiu udało mi się od baryery go odwiązać i w ten sposób z uwięzi uwolnić.

Na kolanach i rękach sunąłem się zbożem w kierunku domów, dosyć duży kawał, aż znowu napotkałem podobne ogrodzenie z baryer, chyłkiem przemknąłem się pomiędzy niemi i znalazłem się w ogródku gospodarstwa chłopskiego, w którym z jednej strony było wysokie zboże, z drugiej grządka maku, w bruździe tejże przycupnąłem, usłyszałem tentent dwóch koni galopujących, a następnie głos Moskala, który mię złapał i wyrazy „uciekł“. Następnie tentent koni galopujących uspokoił mię. Po chwili zacząłem się rozpatrywać w sytuacyi, spostrzegłem w pobliżu budynki i szopę, do której wlazłem.

Ponieważ dotąd ciągle miałem ręce rzemieniem z tyłu związane, rozpocząłem usiłowania pozbycia się tych więzów, co mi się po wielu wysiłkach udało. Słysząc ciągle strzały, wyszedłem z mego ukrycia na podwórko i skierowałem się ku tym strzałom.

Uszedłszy kilkadziesiąt kroków, spostrzegłem, iż naprzeciwko mnie było miasto Radziwiłów, z zupełnie przeciwnej strony jak ta, którą oddział nasz tamże wchodził. Po prawej stronie tej drogi nad potokiem przy Radziwiłowie, gorzał młyn. Młyn ten był obsadzony przez Moskali, oddział Wysockiego, atakując z tej strony Radziwiłów, młyn podpalił. Ku lewej stronie, na łące przy drodze prowadzącej do Radziwiłowa, był las sosnowy, kiedy wyszedłem ze wsi spostrzegłem, jak Moskale dobiegali do tego lasu, ścigając oddział Wysockiego.

Chcąc więc dostać się do oddziału, puściłem się w kierunku, w jakim nasi się cofali, a ubiegłszy kroków kilkadziesiąt, usłyszałem z lewej strony odemnie tentent koni, zwróciłem się i zobaczyłem dwóch jeźdźców moskiewskich z lancami na mnie

jadących. Ten, który był na przodzie, mierzył prosto w twarz moją i tylko szybkiemu ruchowi głowy zawdzięczam to, że ostrze lancy przeszło ponad lewem uchem, i rozdarło mi skórę, a krew gorąca oblała mię — padłem na ziemię; w tej chwili kozacy zleźli z koni, jeden z nich podniósł mię za ramiona w górę, drugi zdjął buty, potem zdjęto ze mnie żupan i resztę garderoby, tak, że zostałem tylko w bieliźnie. Na dobitek złego, wskutek uderzenia ogłuchłem i głuchota ta trwała długo, a i do dziś dnia jeszcze ją odczuwam.

Następnie kozacy związali mi znowu takimże rzemieniem z surowca ramiona w tył, powsiadali na konie i tak staliśmy długi czas, dopiero gdy wracała część piechoty moskiewskiej z lasu do miasta, kozacy podprowadzili mię również pod miasto, a żołdactwo, które wracało z boju, już to słowami, już to kolbami swoją złość na mnie wywierało. Jeden z nich rzucił się na mnie z ostrzem bagnetu, i tylko szybki skok po za konia kozackiego, ochronił mię od niechybnej śmierci, właśnie to w tej chwili nadszedł oficer moskiewski, polecił kozakom prowadzącym mię, żeby mnie odprowadzili do karczmy, gdzie sztab się znajdował. W domu tym zastałem już kilku towarzyszy niedoli, a później aż do nocy sprowadzano kolegów, tak że rano na drugi dzień było nas jedenastu, wszyscy byliśmy prawie nadzy, z wszystkich sukien obdarci, większość była rannych, a wszyscy mocno pobici. Byliśmy w izbie drugiej, w pierwszej zaś byli zgromadzeni oficerowie. Widziałem jak jeden z żołnierzy przyniósł karabelę Horodyńskiego i torbę skórzaną z papierami. Po przepędzeniu nocy na gołej ziemi, wśród jęku rannych towarzyszy, odprowadzono nas do „tiurmy“ radziwiłowskiej. Tam zastaliśmy kilkudziesięciu kolegów, z oddziału Horodyńskiego.

Następnie wyprowadzono nas wszystkich na podwórze więzienia, pozwiązywano parami za ręce i wyprowadzono w pole po za miasto.

W miejscu tem były zgromadzone wojska moskiewskie, które już nadeszły lub nadchodziły z pobliskich pogranicznych miasteczek Dubna, Równego, Poczajowa, Krzemieńca. Tak powiązani, głodni, pomarzli, siedzieliśmy lub klęczeli po dwóch, a co chwila przybywały świeże oddziały wojsk moskiewskich, aby nam złorzeczyć, plwać na nas i dokuczać. Nikt z nas przez całą tę dobę nie miał nic w ustach, dopiero ku wieczorowi oficer jakiś przyniósł manierkę blaszaną, mnie i kilku którym widocznie dusza już na ramieniu siedziała, podał manierkę, mówiąc

żebyśmy pili i nazywał płyn ten „uksus“ to jest ocet, a w rzeczywistości była to gorzałka. Za przykładem tego oficera poszli i inni i rozdzielali także między nas suchary. Wieczorem odprowadzono nas napowót do „tiurmy“, dnia zaś następnego również powiązanych poprowadzono do Krzemieńca.

W Krzemieńcu w „tiurmie“ siedzieliśmy dni kilka i w Krzemieńcu dopiero dostałem ubranie, gdyż dotąd byłem ciągle w zupełnym negliżu, a do tego któryś z Moskali niezgrabnie złapał mię za kark i z tyłu rozdarł koszulę, tak że byłem na piersiach i na plecach zupełnie dekoltowany; że nie przemarzłem, zawdzięczam koledze Mikołajowi Cokowi, który jako kosynier, otrzymał w obozie koc urządzony na sposób ornatu, to znaczy, że w połowie koca była rozcięta dziura i obszyta skórą, przeznaczona do wkładania koca na głowę. Pod ten koc, związany za ręce do Coka, kryłem się ciągle, by się od chłodu i słoty ochronić.

W Krzemieńcu dostaliśmy ubrania, ranni i chorzy zostali oddani do szpitala, z wszystkimi spisano protokół.

Pochód partyi więźniów, pod konwojem żołnierzy moskiewskich, już z Radziwiłowa do Krzemieńca i kilka etapów za Krzemieńcem odbywał się w pogotowiu Moskali do obrony, przeciw spodziewanym powstańcom, gdyż ruch powstańczy na Wołyniu i Ukrainie nie był jeszcze uśmierzony, z tego powodu komendanci konwoju wysyłali naprzód wojskowe patrole na zwiazdy, a las każdy przechodziliśmy w ten sposób, że część wojska po stronie prawej i lewej, wachlarzem od grupy więźniów była wysyłana tyralierką, dla zbadania miejscowości, czy wolna od powstańców. W ten sposób doszliśmy etapami do Żytomierza.

W pochodzie naszym czuwali nad nami rodacy z okolic, któreśmy przechodzili. Bądź wprost przynosili nam jedzenie, tytoń i inne konieczne potrzeby, bądź mniej odważni a względnie przygodni podróżni, którzy nas w pochodzie spotykali, zatrzymywali i na ręce komendanta konwoju datkami pieniężnymi do utrzymania naszego się przyczyniali.

Rząd rosyjski wypłacał na utrzymanie każdego z więźni na dobę „kormowe“ po 3½ kopiejki. Kwota to tak mała, że nawet najskromniejszych potrzeb niewolnika nie mogła pokrywać.

Po dość długim marszu przybyliśmy do Żytomierza, zamknięto nas w „tiurmie“, gdzieśmy już zastali wielu Wołyniaków i Ukraińców, już to tych, którzy zbrojni brali udział w powstaniu, już tych, którzy rzekomo w organizacyi powstania mieli udział, lub tylko jej w jakiś sposób pomagali.

W izbie, w której z innymi byłem zamknięty, siedział Władysław Padlewski, który w Kijowie organizacyę przeprowadzał i na czele oddziału w walce z Moskwą brał udział. Padlewski już przez dłuższy czas w Żytomierzu był uwięziony, sporządził sobie z drzwiczek od pieca nóż i dłutka, któremi wyciosywał z grubszych kości, podawanych przy mięsie, małe krzyżyki, a gdy zobaczył na mej piersi medalik na tasiemce, który mi dała jedna z zacnych Wołynianek, dał mi taki krzyżyk; krzyżyk ten i medalik miałem przez cały czas niewoli i dotąd przedmioty te jako drogą pamiątkę posiadam, tembardziej, że Padlewskiego w Kijowie po kilku miesiącach potem w naszych oczach (z okien twierdzy kijowskiej) przy baszcie „siewiernej“ rozstrzelano. Był to ojciec Zygmunta Padlewskiego, rozstrzelanego w Płocku.

Z Żytomierza maszerowaliśmy, ciągle powiązani, pod silnym konwojem żołdaków od etapu do etapu przez cały Wołyń i Ukrainę do Kijowa. W Kijowie na przyjście nasze wyległy wielkie tłumy mieszkańców, już to Polek, które z łzą w oku witały nas, już to czerni moskiewskiej, która nam złorzeczyła.

W Kijowie umieszczono nas w twierdzy w „kopanierze“ Nro. 3 (kazamata). „Kopanier“ jest to podziemna piwnica między wałami, która na zewnątrz jest zupełnie ziemią pokryta, posiada tylko strzelnice karabinowe.

Ta kazamata była długą w formie półkulistej, i zawierała kilka oddziałów, murami tylko sklepień od siebie oddzielonych. Siedziało nas tam wyżej stu (100), a prócz kilku Wołyniaków, byliśmy wszyscy jeńcami z Radziwiłowa.

Wkrótce po przybyciu zaczęto nas po kilku powoływać do śledztwa, gdzie spisywano protokół szczegółowo każdego z osobna.

Niebawem też doszła do nas wiadomość, że w naszej kazamacie pomordowali Moskale kilkunastu akademików kijowskich, którzy za udział w powstaniu byli tam uwięzieni.

Na szarych murach wewnątrz, były ślady rozbryzganej krwi, ostatnia nisza miała tych śladów krwi więcej, a na ścianach w miejscach tych, gdzie najobficiej krew się znajdowała, były znaki wrycia się bagnetów w mury.

W tej niszy nikt z więźniów nie sypiał, a na ścianie tejże, kolega Karol Głuchowski, węglem wyrysował Chrystusa na krzyżu, w wielkiej postaci; do pomocy zaś, zamiast drabiny, służyły mu barki kolegów, na których stojąc, rysunek wykonywał. U stóp

tego krzyża każdego dnia rano i wieczór odbywaliśmy modły i śpiewy pobożne.

Sypialiśmy na narach (tapczanach) zbitych z desek, zaś na wezgłowie przy takich narach jest przybita deska pochyła. Obuwie nasze służyło nam za poduszkę, przykrywaliśmy się odzieniem, jakie kto miał. Karmiono nas rano i wieczór bełtą kartofli rozbitych z kaszą jaglaną, lub jęczmienną, dwa razy na tydzień podawano kapuśniak i po porcyi mięsa, resztę uzupełniał chleb.

Życie takie w wilgotnej piwnicy, zimnej, ciemnej, nieprzewiewnej, zaczęło fatalnie oddziaływać na stan zdrowotności, a to tem gorzej, że nas nie wypuszczano na dwór i wszystkie potrzeby byliśmy zmuszeni odbywać do kubłów. Między kolegami było dwóch lekarzy, Stanisław Czerkawski i Morczyński. Otóż ci dwaj koledzy, jak również lekarz wojskowy, który nas odwiedzał czasami, zapisywali lekarstwa, a stary żołnierz felczer, każdego dnia przynosił te lekarstwa na dużej tacy drewnianej, zwieszonej na karku na grubym rzemyku, w ten sposób, że taca tworzyła rodzaj stołu ruchomego, z którego felczer wydawał lekarstwa. Było nam bardzo żal, gdy pewnego dnia stary żołnierzysko przyniósł nam lekarstwa i żegnał się z nami, gdyż został odkomenderowany na lekarza do Tomska.

Każdego dnia w południe następowała zmiany warty i wtenczas to przychodził komendant tej warty oficer do odbierania i przeliczania więźniów.

Niezdrowe stosunki pomieszkania były powodem, że cierpiących pomnażało się, słabsi zapadali na szkorbut, z tego więc powodu nasi lekarze i starsi koledzy zaczęli się energicznie upominać u dyżurnych oficerów o zmianę żywności i pomieszkania, wskutek tego przyszedł pewnego dnia gubernator kijowski, generał Anienkow. Na uczynione mu przedstawienia, zezwolił, żeby z miasta było wolno przysyłać nam herbatę, kawę, cukier i ciasta, również kazał otworzyć nisze drugiej strony kazamaty, abyśmy mogli mieć więcej miejsca, a tem samem więcej powietrza.

Gdy jednak jesień zaczęła się zbliżać a z nią i zimniejsza pora, w kazamatach dla zimna dalej trzymać nas nie mogli, pod konwojem więc silnym przeprowadzono nas w tejże twierdzy do baszty „północnej“. Baszta ta piętrowa, okrągła, z dużem podwórzem do 300 kroków w przecięciu, miała również zamiast okien na zewnątrz ścian ukośne dziury strzelnicze. Była podzie-

loną na kilka dużych oddziałów, każdy z nich na wewnątrz baszty miał okna i korytarz dość duży, zaś pojedyncze izby miały po dwóch stronach nary, na których sypiało po kilkunastu więźni.

Ja siedziałem w izbie Nr. 3, a w izbie Nr. 4 na oddziale 5-ym siedzieli na śmierć skazani oficerowie moskiewscy Polacy. Jak się później z pism dowiedziałem, w izbie tej zrobiono podkop pod narą w ten sposób, że przebito mur i podkopem wszyscy na śmierć skazani, dziurą tą wyszli i zbiegli.

Pomiędzy więźniami baszty, w których mieściło się do 1500, było już wielu takich, którym wyroki były odczytane a następnie w nocnej porze przychodziła straż z latarnią do krat okienka w drzwiach i odczytywano imiona i nazwiska tych, którzy mieli tej nocy Dniepr przekroczyć.

Wezwania te były dla nas zawsze bolesną rozłąką z towarzyszami niedoli i niewoli. Nocy jednej zostałem ja z jedenastoma kolegami wywołany. Wyprowadzono nas, do „tiurmy“ w mieście, a na drugi dzień w południe zostaliśmy zaprowadzeni do pomieszkania gubernatora Anienkowa i temuż przedstawieni.

Anienkow oświadczył nam, że z powodu naszej nieletności, uwalnia nas z niewoli moskiewskiej i że zostaniemy odesłani do Austryi. Następnie zaprowadzono nas znów do twierdzy kijowskiej do naszych izb napowrót i jeszcze dłuższy czas przesiedzieliśmy w baszcie „północnej“ aż do zatwierdzenia wyroku, który mial być carowi przedstawionym.

Pomiędzy nami był rzekomo uwolniony niejaki Piórski, również jak my chłopiec młody, ale starszy i Włodzimierz Malczewski, który miał już wyrok na osiedlenie w Syberyi, zamienił się on z Piórskiem o nazwiska, a Piórski przyjął obowiązek pójścia na Sybir, Malczewski za tę zamianę zapłacił mu kilka dukatów, które miał przyszyte jako guziki do marynarki w tym samym suknie, z jakiego była marynarka.

W Radziwiłowie Malczewski wzięty do niewoli został tak jak inni odarty z ubrania. W Krzemieńcu, gdzie staraniem obywatelstwa okolicznego przyszli nam w pomoc, zakupując od żydów, chłopów i Moskali zrabowaną na nas odzież, znalazła się między innemi marynarka Malczewskiego, ta dostała się któremuś z kolegów, Malczewski poznawszy takową, zamienił się z kolegą za surdut i w ten sposób przyszedł do swoich dukatów, któremi od Piórskiego miał nadzieję wykupić wolność. Pewnej nocy przyszła znowu straż i odczytano nazwiska, między któremi

było nazwisko Malczewskiego, Piórski-Malczewski poszedł na Sybir — a Malczewski-Piórski został.

W grudniu znowu odczytano nazwiska nas jedenastu bez Piórskiego. O ile słyszałem, Malczewski i Piórski zetknęli się w Tomsku i tam napowrót przyjęli własne nazwiska. My zaś uwolnieni, zostaliśmy odprowadzeni do „tiurmy“ w Kijowie, tam zaopatrzono nas w cieplejszą odzież, a następnie etapami odprowadzono do granicy w Radziwiłowie i oddano starostwu brodzkiemu.

Powrót etapami w srogich miesiącach zimy, trwał dni kilkanaście, bowiem komunikacya między pojedynczemi stacyami etapowemi odbywa się w miarę zebranych „brodiagów“ i zbrodniarzy, którzy bywają na Sybir transportowani.

Spaliśmy znowu na drewnianych „narach“, a częściej pod „narami“, gdyż „brodiadzy“ starsi i silniejsi bez ceremonii nas zrzucali.

Powrót ten był i dlatego dokuczliwy, że prócz strawnego $3^1/_2$ kopiejki dziennie, nie mieliśmy żadnych innych funduszów, ani zasobów.

Rohatyn dnia 23 grudnia 1902 r.



IGNACY MAREK.

Klęska pod Fajsławicami.

W czasie naszego powstania narodowego 1863 r., po raz trzeci, wyruszyłem na plac boju w Lubelskie. Oddział nasz, był tak wzorowo zorganizowany, że nie pozostawiał nic do życzenia! Na czele tegoż, stał tak dzielny i fachowy dowódzca: pułkownik Wierzbicki, że gdyby jemu podobnych, Polska w tym czasie miała więcej, po wrogach naszych aniby śladu nie pozostało w Ojczyźnie!

Po kilku, pomyślnie dla nas, stoczonych bitwach w Lubelskiem, otrzymał pułkownik rozkaz udania się na zborny punkt, w Podlaskie.

Na miejscu, gdzie nasz oddział stał obozem, przed wyruszeniem w pochód, wieczorem rozpalono ogromne ogniska, co złudziło Moskali, którzy opuszczone obozowisko zaatakowali.

Pochód nasz, z bardzo małymi przestankami, trwał 2 dni i 3 noce. Gdyśmy się zbliżyli do wioski Kania-Wola, jako nagrodę, za nasz trud i nadzwyczajne zmęczenie, otrzymaliśmy porządne cięgi! Moskale bowiem, całą swoją bardzo liczną hordą, oddział nasz zaatakowali.

I w tym to, dla nas strasznym pogromie, ukochany nasz pułkownik został ciężko ranny.

Poczem przeniesiono go w miejsce bezpieczne. Po bitwie, pod Kanią-Wolą, w zastępstwie po pułkowniku W., oddział nasz, znacznie już przerzedzony, prowadził major Wagner. Zahartowani w bitwach i niewygodach, szliśmy nieraz śpiewając — choć był to pochód — prawie na zatracenie! Bodaj to młodość! miłość Ojczyzny! i to prawdziwe poczucie obowiązku Polaka, które cuda tworzyć zdolne!

W bitwie pod Żyżynem rozbiliśmy w puch Moskali! zabrali armaty i kasę wojenną, w której, ile pieniędzy było, niechaj powiedzą ci, którzy ruble liczyli, ja nie wiem, gdyż więcej zgrozą byłem przejęty, niż zdobyczą uradowany, kiedy na placu boju zobaczyłem kupę trupów moskiewskich.

Pozostałą resztę albośmy docinali, lub brali do niewoli.

Jeńców, nakarmiono, napojono, obdarzono po rublu na głowę i puszczono bezbronnych na wolność.

Po bitwie Żyżyńskiej tak się Moskaliska na nas rozsrożyli, że tylko jakiś czas udawało się nam wymykać z pod tej czułej opieki. Postanowiono więc wszystkie oddziały razem złączyć; jako punkt zborny wyznaczono Fajsławice.

Dnia 24 sierpnia oddział nasz, wczesnym rankiem, wyruszył w pochód.

Ja otrzymałem rozkaz spalenia mostu na Wieprzu, czego z wielkim trudem, przy pomocy żołnierzy z IV. kompanii, dokonałem. Poczem wsiedliśmy na furmanki, dla nas przygotowane, i ruszyli w drogę. Tak, jak przy dawnym punkcie zbornym pod Kanią Wolą, gdzie Moskalom udało się, w sam czas przeszkodzić, w połączeniu się naszych oddziałów, tak też i teraz zastaliśmy Moskali, w ogromnej sile, na nas już oczekujących.

Gdyśmy tak, jadąc na wozach, wskutek mylnych wskazówek, niespodzianie wpadli na cały obóz moskiewski, nastąpiło starcie, które nie zatrze się w mojej pamięci!

Kozacy, jak zgraja psów wściekłych, całą masą uderzyli na nas. Powstał taki krzyk, zamięszanie straszne, konie i wozy obalają się. Mimo ogólnego popłochu, większość naszych jednakże

nie straciła przytomności. Odstrzeliwając się, zaczęliśmy ustępować ku lasowi.

Tam gdyśmy zdążyli i zajęli dogodną pozycyę, rozpoczęła się strzelanina porządna. A że z naszej pozycyi padały za gęsto strzały, a to Moskalom się nie podobało, wtedy uderzyli oni na nas całą masą i sprawili nam takie lanie, że zapomnieć o tem trudno! Gdzie i jak kto mógł, umykał, aby go do ziemi nie przygwożdżono. Wielu z naszych poległo — reszta rozproszyła się po lesie.

Las to był niewielki, to też otoczony był cały dragonami, kozakami i piechotą. Gdy nas na pierwszej naszej pozycyi rozbito, zaczęliśmy się później to w większe, to mniejsze gromady łączyć, błąkając się po lesie i próbując się bronić do ostatniego. Wówczas Moskale zrobili na nas, jak na wilków obławę. Wobec czego nie pozostawało już nic innego, jak połączyć się w możliwie większą liczbę i pójść przebojem. Oj! kiedy to na mochów uderzyliśmy — nastał sądny dzień. Walczyłem z różnem powodzeniem już pół roku, ale w żadnej bitwie nie leciało около mnie tyle ołowiu, jak wtedy.

Był to prawdziwie, wspaniały koncert! niestety pogrzebowy. I tam też do tej hordy dałem ostatnie me strzały. Kiedy nareszcie, z małą garstką kolegów, wydostałem się na pole; sypnęli na nas z armat, kartaczami.

Z coraz mniejszą garstką posunąłem się dalej. Ci, co mieli siłę w nogach, biegli naprzód. Ja zaś strudzony, zgłodniały, ledwo już nogami poruszałem. Idąc pomaleńku miedzą, słyszę jak ś. p. Aleksander Bogacki woła na mnie: stój, bo cię zabiją! W tej samej chwili usłyszałem naokoło siebie szum. Otoczyła mię zgraja kozaków. Podnoszę broń do ataku. I znów słyszę wołanie: rzuć broń! niema dla ciebie ratunku! Był to głos oficera kozaków. Nic innego nie miałem też do zrobienia.

Wkrótce znalazłem się w dosyć dużem gronie kolegów jeńców, porąbanych i posiekanych. Na obraz ten rzucam zasłonę. W przechodzie do obozu moskiewskiego zobaczyłem resztki kolegów martwych, leżących, jak snopki zboża na polu, jeden na drugim. 25 sierpnia rano, przeliczono nas jak baranów, dano nam po czarce wódki i garść sucharów, poczem wyruszyliśmy w drogę do Lublina. Nocowaliśmy w Piaskach, a trzeciego dnia stanęliśmy na miejscu. Co się działo w czasie tego pochodu, nie mogę opisać, gdyż więcej byłem podobny do mego cienia, niż do istoty żyjącej.

W Lublinie osadzono nas w Zamku, gdzie każdego badano i sądzono. Kiedy przyszła kolej na mnie, wyznałem, że jestem zbiegiem z armii austryackiej z II. pułku artyleryi z Wiednia. Moskalisko spojrzał na mnie mówiąc: także rozum łączyć się z buntownikami! Polakiem jestem — odrzekłem. Dobrze, już dobrze! poczem krzyknął: A! ty musisz wiedzieć, gdzie te armaty, które zagarnęliście pod Żyżynem? Nie wiem, odrzekłem. Nie wiesz, zobaczymy! I kiedy już badanie skończył, zawołał żołdaka i powiada: tego młodego oficerka wsadzić osobno do ciemnej! I mało brakowało, a byłbym tam zginął głodową śmiercią.

Gdy bowiem już przesłuchano wszystkich i wyroki na nas zapadły, wysyłano partyę do Warszawy, przyczem wywoływano wszystkich nazwiska. Ja słyszałem i moje, gdyż okienko mego podziemia było w poziomie podwórza, słyszałem także, jak przy wywoływaniu mego nazwiska, powstał krzyk: „uszoł buntowczyk“! A przeczuwając, co się stać może, gdyby mię na miejscu zostawili, zacząłem co sił starczyło wołać: jestem!

I nie wiem, czy głos mój usłyszano, czy inny jaki powód. Naraz z łoskotem drzwi się otwierają, wpada oficer jak żbik, wyłupił na mnie ślepie i krzyczy: a czemu to nie odpowiadasz, gdy cię tak długo wołają!?

Mądre pytanie! a gdybym ciebie paniczu żywcem w dół wrzucił, czybyś odpowiadał!?

Ustawiono nas w szereg i wyruszyliśmy w pochód do Warszawy.

Tak się zaczęła moja kilkoletnia niewola. Przez Warszawę Wilno, Psków, Petersburg i Moskwę zapędzono mię do Saratowa, do rot aresztanckich, skąd po wycierpieniu kary, na osiedlenie do Tobolska. Lecz to nie należy do opisu zamierzonego epizodu, a przytem ramy księgi są za szczupłe, aby w nich pomieścić wszystko, com w tej niewoli przeżył i przecierpiał.

Kraków w grudniu 1902 r.



ROTMISTRZ JAN MAZARAKI.

Bitwa w Górach dnia 26 czerwca 1863 [1]).

(Urywek z pamiętnika).

Dnia 25 czerwca 1863 r. stanęliśmy w Desznie; do obozu naszego zjechało się bardzo wiele gości, obywatele z żonami i córkami, dzierżawcy i oficyaliści z rodzinami, księża, słowem, liczne bardzo towarzystwo. Na gazonie, przed dworem, przy dźwiękach muzyki żydowskiej rozpoczęły się tańce — oficer od ułanów Wielobycki (zginął pod Bodzechowem) prowadził krakowiaka; tańczył z dziewicą piękną, którą kochał szalenie, i której posiadał wzajemność, śpiewał do niej:

Pamiętaj dziewczyno, twoje przyrzeczenie,
Że jak z wojny wrócę z tobą się ożenię.
Twoje przyrzeczenie zapamiętaj sobie,
Że ja kochać Ciebie będę nawet w grobie!
Albo daj całusa, albo odwróć oczy,
Bo mnie serce z piersi do ciebie wyskoczy.

Do samego wieczora trwała ta wesoła zabawa; lecz gromadzące się na niebie chmury i zapowiedź deszczu przyspieszyły odjazd naszych miłych gości z obozu. Była już godzina 10 w nocy, gdy do Bończy przypadł kuryer z ważnym rozkazem; natychmiast otrąbiono do wsiadania na koń. Deszcz lał jak z konwi, a ciemno było tak, że konia pod sobą nie było widać — marsz ten zaliczam też do najprzykrzejszych, jakie kiedykolwiek odbyłem.

Świtać zaczęło, gdyśmy przyszli do wsi Lubczy, mil pięć ubiegłszy — a więc marsz pospieszny, i coś ważnego zajść musiało, tak było w istocie; w dniu tym przechodził z Galicyi pod Ratajami oddział Chościakiewicza (Popiela) i Bończa otrzymał rozkaz, aby jak najspieszniej przybył pod Rataje i posiłkował Popiela, ażeby przeto unikał spotkania się w drodze z Moskwą, by na czas zdążyć.

Stało się jednak inaczej!

W Górach zamierzył odpocząć — nie wiedząc niestety, że tam Moskwa w nocy przyszła, 2 roty piechoty i sotnia kozaków.

---

[1]) (Data bitwy według rozkazu dziennego Rządu Narodowego z 3go Lipca 1863 r. N. 3. oznaczona jest w dniu 20 czerwca. P. R.)

Szedłem w aryergardzie na dwie wiorsty z tyłu za oddziałem; gdy usłyszałem strzały, ruszyłem kłusem; na łanie pod dworem w środku żyta, zobaczyłem szwadrony ułańskie uszykowane w kolumny z bronią do ataku — i mówię do będącego przy mnie Średnickiego: patrzaj — także się Bończy zachciało robić manewra, kiedy ludzie i konie tak są utrudzeni; dopiero strycharz w cegielni będący, objaśnił mię, że Moskale są w dworze i że się z nimi bitwa zaczyna. Jadę więc dalej, a zbliżywszy się, widzę moich dragonów, jak gonią za kozakami, którzy do dworu uciekali. W tem ze stodoły sypnął się na naszych rotowy ogień, ukrytej tam piechoty — kilku ich spadło z koni — reszta zwróciła się nazad, pędząc ku ułanom, kozacy nawrócili i siedzą na naszych tak, że kilku kozuniów, nie mogąc w rozpędzie wstrzymać koni, wpadli wraz z naszymi pomiędzy ułanów i zarąbani zostali — znowu kozunie uciekają, a nasi dragoni siedzą na nich; łączę się z swoimi, — a przebiegając obok Bończy, słyszę jak on komenderuje: „pierwszy szwadron galopem, za mną marsz, m-a-a-r-s-z“; oglądam się, i widzę, jak szwadron ten idzie do ataku jak burza, aż się serce na ten widok rwało — dopadłszy do alei wysadzanej kasztanami i topolami, już na niej zastaliśmy jedną rotę, która wybiegłszy ze stodoły rozbiegła się po tej alei, tak że przy każdem drzewie było po dwóch lub trzech mochów, bijących do nas z karabinów; zaniechawszy kozaków, zatrzymaliśmy się pomiędzy piechurami, a już też i ułani nadbiegli — tu rąbią dragoni pałaszami — tu ułani przyparłszy lancami Moskala do drzewa, kłują jak wieprza, a on przeraźliwym głosem „pardon“ woła — tu widzę jak dragon przyłożył mochowi pistolet do łba i palnął — aż mózg wyleciał.

Bitwa zawrzała okrutna — walczyliśmy, jak na polskie dzieci przystało; jednego piechura chciałem ciąć pałaszem, lecz ten uskoczył parę kroków w bok, przyłożył karabin do oka, i celował mi prosto w głowę — stanąłem jak wryty i oniemiały ze strachu, bom pewny był mej zguby — on strzelił i chybił — a ja mając rewolwer w ręku strzeliłem mu w same piersi — zginął nieborak — zemściłem się więc za chwilowy strach mój. Podczas tego wypadli z dworu kozunie i z ogromnym wrzaskiem pędzili ku nam, w jednej chwili złączyło nas się ze 40-tu wraz dragonów i ułanów odparliśmy ich, goniąc aż do kołowrotu, zamykającego wejście do dworu, w tem miejscu gdy się zwarli w kupę, rąbaliśmy ich z tyłu po łbach — wielu ich też było tam zabitych a jeszcze więcej rannych. Przy powrocie z tego miejsca

był przy mnie wierny mój i nieodstępny towarzysz Zdzisław Średnicki; natknęliśmy się na trzech Moskali, którzy obróciwszy się do siebie plecami, z przodu karabinami zasłaniali się przed nami; w tę kupkę strzelił Zdzisław z rewolweru — padł jeden Moskal — drugi uciekał do lasu, ja za nim dopadłszy, ciąłem go w łeb goły, bo czapki nie miał — upadł zaraz — oglądam się i widzę: Zdzisław tańcuje około tamtego, Moskal zwija się jak wąż i karabinem odbija cięcia dzielnego chłopca, podjeżdżam i biorę Moskala pod prawą rękę, zwraca się on nagle i bagnetem pchnął mi konia w nozdrza, koń wspiął dęba — nacieram na niego drugi raz, zastawił się karabinem, tnę w lufę po której zsunął się pałasz, a i palce jego odpadły, puścił z rąk karabin, a w tej chwili Zdzisław strzelił do niego, upadł, i „pomiłujtie“ wołał.

Wracamy do alei, Moskale już zrejterowali pod stodołę, widzę ich wielu leżących po różnych miejscach — lecz i naszych coś niema, a dwa szwadrony ułanów, przy których był rotmistrz Dzianot, widzę już daleko od nas, i słyszę złowieszczy głos: „pułkownik zginął!“ a od stodoły sypie się nieustający ani na chwilę ogień — kozacy pojedynczo uganiają się za naszymi — naokoło zmykają nasi, to pojedynczo, to kupkami, a i my z Średnickim też w nogi — pędzę po pod lasem i widzę leżącego Węgra naszego, a nad nim stoi na koniu kozak i piką niemiłosiernie świdruje mu w piersi, wstrzymałem konia, stanąłem w strzemionach, wzniosłem szablę do góry by ciąć i już — już mam to zrobić, gdy naraz coś mi się stało, coś się ze mną dzieje, słabo mi, ręka opadła, cugle z ręki wypadły, wreszcie spadłem z konia, straciwszy przytomność (kulą dostałem w lewy bok). Jak długo byłem nieprzytomny, nie wiem, lecz gdym się ocucił, słyszałem ciągłe uganianie i wołanie kozactwa — leżąc, udałem zabitego, i na szczęście moje, miałem twarz krwią zbroczoną – naraz staje nademną dwóch kozaków, jeden zeskoczył z konia i zaczął mnie obdzierać, rozpiął mundur, na piersiach był obrazek N. P. M. na blasze, zerwał go; był woreczek skórzany z trochą pieniędzy, zerwał go; szukał zegarka – nie było; miałem rewolwer przez ramię przewieszony na silnym rzemieniu, chciał go ściągnąć przez ramię, — nie mógł; obrócił mię przeto twarzą do ziemi — chwycił rewolwer w obie ręce i szarpnął, a jednocześnie nogą kopnął w plecy, aż się rzemień urwał; nadjechał widać oficer i pyta: „czto on ubit? — ubit, wasze błahorodije. — A kakoj on oficer ili sołdat? — czort jewo zna-

jet, tak czort jewo bieri". W tem słychać sygnał do odwrotu, mówi więc oficer: „siadaj na koń, trąbią do odwrotu" — więc odjechali.

Gdy cisza zapadła dookoła — po dłuższej chwili, podniosłem nieco głowę i nie widząc nigdzie nikogo, wstałem na nogi — Węgier już nie żył, leżał z roztwartemi ustami, z wytrzeszczonemi oczyma i z rozczochraną brodą — dając wyraz okropnej śmierci, jaką przed chwilą poniósł.

Wszedłem w las, (na szczęście dobrze mi znany) — potłuczony, z przestrzelonym bokiem — ale szedłem żwawo, czując sił dostatek — było się młodym. Najprzód znalazłem Moskala dogorywającego pod drzewem, łypał jeszcze ślepiami, ale już był nieprzytomny — dalej znalazłem ułana, z którego głowy kilka strumyków krwi jak cewki tryskało do góry; krew ta, spadając na dół, całą jego białą sukmankę zrobiła zupełnie czerwoną; nazbierałem mchu, obłożyłem głowę, by krew zatamować i zabrałem biedaka, zostawiwszy go u strycharza w cegielni — nareszcie spotkałem ułana trzymającego dwa konie, — jeden był Bończy, drugi wachmistrza Kickiego, i tu się dowiedziałem, że obaj zginęli. Siadłem na konia i pojechałem do mych rodziców, w sąsiedztwie najbliższem tam mieszkających. Ojciec, słysząc strzały, siadł na konia i lasem podsunął się na pole walki wtenczas, kiedy już Dzianot zrejterował do wsi Węchadłowa; gdy tak mój ojciec z Dzianotem rozmawiał, powrócił rekonesans wysłany na pole walki i słyszał jak podoficer raportował: „Moskale odeszli do Pinczowa, zabrawszy na furgony swoich zabitych — naszych zabitych jest 4: Mazaraki, Stanowski, Majewski i Semnodi (ranionych zaś było 37, wielu z nich umarło).

Słysząc to ojczysko mój desperować począł: „o mój synu kochany — wołał — i płakał — gdzież on tam leży, powiedzcież mi"; inny znowu żołnierz przyprowadziwszy mojego konia rzekł: „weź szanowny obywatelu tego konia na pamiątkę po twoim walecznym synu".

Z troską w sercu przybył mój ojciec na pole walki; znalazł wszystkich oprócz mnie, gdyż mnie tam już nie było.

Najprzód znalazł wachmistrza Kickiego, który tak był porąbany, że do człowieka nie był podobny, żył jeszcze, bo rogata dusza wyjść z ciała nie mogła — i choć się wyleczył w Krakowie, pozostał na zawsze kaleką.

Potem znalazł Bończę leżącego w kałuży krwi (był przestrzelony w piersi dwoma kulami) — żył jeszcze dwa dni i skonał w chacie leśnego.[1])



HENRYK MERZBACH. (†)

I. Toast wygnańców.

W rocznicę powstania styczniowego.

Jakiż toast wychylić w imię Polski zabitej?...
W urnę wsypać popioły, dolać z serca krew ciepłą —
I z tą urną dymiącą iść na białe gór szczyty —
I z wysoka ją rozbić o pierś świata zakrzepłą!

Z dawnych marzeń płomiennych wielki ogień tam wskrzesić,
Żeby zemstą zajaśniał w pośród zbrodni wszechnocy,
Sztandar Polski rozdarty nad tym ogniem rozwiesić —
Potem w dłonie skrwawione porwać bardon sierocy,

I zawołać na ludy strasznym głosem rozpaczy:
Nie widzicie, że z nami i was cary pochłoną!
Od dnia naszej ofiary świat wasz łupem siepaczy,
Na ołtarzu z Nadwiśla wasze trupy dziś płoną...

Potem zaśmiać się głośno, by się nieba zbudziły...
O, wy znacie, rodacy, ten śmiech bolu i cześci!
Kto na śmiech ten grobowy w piersi dosyć ma siły,
Ten skamieniał na wieki — jako posąg boleści.

Nas już rozpacz nie złamie, ani ogień nie spali.
Bo my Matkę widzimy, jak ją wrogi bezczeszczą,
Bo my ze krwi i z bolu i z dziejowej my stali,
A pierś nasza tak wielka, że się wieki w niej mieszczą.

A więc, bracia — wygnańcy, stójmy czyści na straży!
Czy za krajem czy w kraju, czy o głodzie, o chłodzie!
Naprzód, prosto i wiernie — jako zastęp husarzy —
Walczmy, żyjmy z narodem, dla narodu, w narodzie!

*
*   *

---

[1]) (Bończa umarł we dworze w Lubczy gdzie go widział umierającego jeden z członków redakcyi. P. R.).

Taki toast mój, bracia, w tę rocznicę powstania!...
O wolałbym zapłakać, bo me serce w żałobie —
O wolałbym wam śpiewać hymn samotny wygnania
I wraz z wami uklęknąć na ojczyzny mej grobie!

I wolałbym paść kornie na te smutne cmentarze,
I podsłuchać z za grobu pacierz jednej nam matki,
I na strunie ożywić bohaterskie te twarze,
Co zginęły — lub giną w pośród śniegów Kamczatki.

Lecz łzy nasze są dla nas, dla Ojczyzny krew nasza,
Bo nie łzami się naród do wolności wyniańczy.
Nasza pierś dla nadziei — nasza dłoń do pałasza...
A więc naprzód i z wiarą! — To mój toast wygnańczy.

II. Tułacz.

„On n'emporte point sa patrie
à la semelle de ses souliers“.
Danton.

Tułacz wygnaniec na szerokim świecie
Żyje wśród obcych z piersi rozdartemi,
Kamień tęsknoty jego łono gniecie,
I kajdanami związan do tej ziemi...
Z żalu umiera, ale nie rozpacza,
Boże, Ty czuwasz nad dolą tułacza!

On rzucił kraj swój i ojców mogiły,
Rzucił, co drogiem jego sercu było,
I te sny złote, co się nie ziściły,
Ach, i to szczęście, co się tylko śniło!
Więc patrząc w przeszłość, drogę łzą oznacza...
Boże, Ty czuwasz nad dolą tułacza!

Tam była chatka, a u okien chaty
Róża czerwona i kalina rosła...
Tęskno mu, tęskno za chatą i kwiaty...
Dziś tam pokrzywa w pustkowiu porosła...
Polska dziś kona jako łup siepacza...
Boże! Ty czuwasz nad dolą tułacza!

My na wygnaniu złożym kości nasze,
I nikt nie wspomni, gdzie kto kości złoży,
Chyba liść z grobu porwie w locie ptasze
I na rodzinną ziemicę położy...
Więc tułacz tęskni, ale nie rozpacza...
Boże! Ty czuwasz nad dolą tułacza!



STANISŁAW MIASKOWSKI. (†)

I. Nad opłatkiem[1]).

Ach, leć, opłatku, leć!
Do ukochanych dąż,
Życzeniem wiarę nieć,
Braterstwem duchy zwiąż.

Tęsknotą do nich mów,
Do piersi ich się tul,
I zdjąwszy cierń z ich głów,
Współczuciem wieńcz ich ból.

Modlitwy w hymny spleć,
Jak anioł stróż ich dróg,
Błogosławieństwem świeć:
Niech im da szczęście Bóg!

Przejdź tak nasz cały kraj, —
O przejdź go wzdłuż i wszerz —
I wszystkim wiarę daj —
I wszędzie jedność szerz...

I przejdź tak cały świat
I bóle z niego zwlecz, —
Dla braci bądź, jak brat,
Dla wrogów bądź, jak miecz.

A dąż, gdzie łzy, gdzie krew,
Gdzie jęk — gdzie zgrzyt, gdzie noc,
I głoś zbawienia siew,
I nieś miłości moc!!!

---

[1]) Nadesłane rodzinie w 1864 r. z wygnania z miasteczka Sterlitamak w gubernii Orenburskiej.

II. Pogrzeb na wygnaniu.

(Wyjątek z poematu „Niepoprawiony“) [1].

Na ziemi cudzej, obcej, zgasł mały chłopczyna,
Wynędzniały, wybladły, żółty, schorowany,
A śmierć dziecku zadały, tęsknota matczyna,
Straszna w podróży nędza, ojciec wciąż pijany,
Długa droga etapu... I poszła dziecina
Na swoje wczesne bole, poskarżyć się Bogu,
I odpocząć w końcu — w wieczystości progu.

Wypadło więc zatem uwięzić małego
W niezgrabnie zbitej, ciasnej, sosnowej trumience,
(Bo i trumna odróżnia zamożność zmarłego!)
Dać mu krzyżyk maleńki w zakostniałe ręce,
I spuścić go głęboko do dołu czarnego,
By z robactwem pogwarzył o przebytej męce,
I posypać na wieko piasek obcej ziemi,
I modlitwę odmówić sercami zimnemi!

Może tak nie myśleli ci, co poszli zemną,
Może im w sercu biło jakie czucie inne? —
Co do mnie ta powinność ciężyła nademną,
Bom szedł grzebać zamarłe marzeńka dziecinne,
Bom miał zajrzeć w głąb grobu, przeraźliwie ciemną,
I spotkać zimnem okiem czoło trupa zimne,
Więc szedłem, niosąc w sercu musu bliznę,
Jak chłop, — gdy idzie panu odrabiać pańszczyznę,

Ażem stanął nareszcie w ubożuchnej chatce,
Do której śmierć zajrzała tylko trzy dni temu.
Cicho o czemś szeptano w zebranej gromadce
Ale nikt nie współczuł nieszczęściu cudzemu,
Ani łza nie spłynęła nawet z oczów matce.
A więc i cóż dziwnego, że ojcu pijanemu
Na myśli nie stanęło sieroctwo starości
I to, że na wygnaniu synka składa kości!

Czegoś grobem zapachło od zebranych ludzi
I każdy mi się wydał robakiem z mogiły

---

[1]) Pisane na wygnaniu w Bilebeju, w gub. orenburskiej.

Taka nieczułość straszna każdego ostudzi,
Ja wiem, żem nagle stracił moje sztuczne siły,
Bo czułem, że do życia nic ich nie obudzi,
Że to nawet nie ludzie, lodu martwe bryły,
Czy tak będzie i po mnie? Spytałem myśl dumną.
I świat mi się zdał wtedy jedną — wielką — trumną...

Odmówiono litanję, — wyniesiono wieko,
Za niem trumnę poniosły w czarnych sukniach panie.
W trumnie leżało dziecię z przymkniętą powieką,
Policzki mu zapadły, — straszno spojrzeć na nie —
Dziecię małe — twarz stara; — znać drogę daleką,
Znać w niej długie, okropne, — bo w nędzy konanie.
Za trumną poszła matka, obok drugi synek,
I takeśmy ponieśli ziemi upominek...

Kiedy dziecię chowają, to się niebo śmieje,
Sam Pan Bóg pacholęciu szle z nieba pieszczoty.
Tak samo było wtedy — słońce świeci, grzeje,
Blask jakiś rozsiewając naokoło złoty,
Ani się listek ruszy, — wietrzyk nie powieje,
Słychać w górze wesołe ptaszęce szczebioty,
I taki był prześliczny, przecudowny ranek,
Jakby zeń Bóg chciał upleść dla zmarłego wianek.

Wszedł więc orszak milczący murawą zieloną
Na cmentarz niedaleki pomiędzy kurhany.
Niejedną na nim żalu pamiątkę złożono,
Niejeden na nim leży duch w walce stargany
I marzenie o szczęściu niejedno tam pono,
Bo biedny ten świat wszędzie jednako składany
Z nadziei i zawodu, z szczęścia i rozpaczy —
I każde życie na nim ślad swój bolem znaczy.

Cmentarz ten liczył wiele pamiątek o kirze
Świadczących, — ale na nim pośród krzyżów rodu
Stał krzyż jeden, — najwyższy, co nad inne krzyże,
Wyciągał swe ramiona z wschodu do zachodu;
Wiatr stepu z płaczem, jękiem jego ręce liże,
Jakby błogosławieństwa prosił dla narodu,
Co się w walce za wolność tyle razy krwawił
I w każdym ziemi kątku taki krzyż zostawił.

Krzyż wzniósł się uroczyście, jak męka bez końca,
I czarną pręgą widniał na czystym lazurze,
Tylko jasne promienie, wschodzącego słońca,
Złociły czoło jego zapatrzone w chmurze,
Jak gdyby z niebios czekał dobrej wieści gońca,
Jakby się gdzieś zasłuchał w archaniołów chórze,
Jakby, ofiar nie licząc, oczy w niebo wznosił
I tylko go o wolność dla ludzkości prosił...

Pod krzyżem, między szczawie, niezabudki rosły,
Ten krzyż połączył w sobie dziejów naszych tony,
Bo był tak, jak nasz naród poważny a wzniosły,
Choć na trupach oparty, w niebie zatopiony,
Mchami — bolów i czasu gdzie niegdzie porosły,
Jak nasz naród chlebem niewoli karmiony,
Wzniósł go był ksiądz Zielonka, za pieniądz składany,
Odtąd pewno dlatego krzyż „polskim" nazwany.

Pięć kopców się podniosło koło krzyża wiankiem
A wszystkie się pod jego święte ramię garną,
Pięć losów rozmaitych pod polskim kurhankiem,
Pięć marzeń, zasypanych ciężką ziemią czarną,
I więzione wzleciały nad krzyżem — kochankiem,
Z modlitwą szczytną, piękną, — bo krwawą, ofiarną.
Pięć mogił się podniosło na znak ciężkiej pracy,
Kto tam leży? nikt nie wie, dość, że to Polacy...

Pięć kopców się zieleni, czernią szósty świeci,
Przy nim dół jest otwarty, znać, że gościa czeka.
Mój Boże — jakże dziwnie, na świecie się kleci!
Dawniej walczyć szedł człowiek, — grzebano człowieka —
Dziś kat wszystko zabija, więc — chowamy dzieci;
A szczęście — coraz dalej, nadzieja — ucieka!...
Dzieci giną — maleńkie — widać Bogu trzeba
Aniołeczków męczeństwa wziąść więcej do nieba.

Nad tym dołem otwartym — trumnę postawiono,
By ją wiekiem już nakryć, matka się zbliżyła,
Popłakała nad dzieckiem i wodą święconą,
Ciałko wynędzniałego synka pokropiła.
Potem ciężkie na trumnę wieko nałożono,
Potem na pasy wzięto... Trumna się spuściła
I jakby echem głuchem, na skończenie dzieła,
Gdzieś, — tam — na dnie o piasek żwirowy stuknęła.

Żałosny, załzawiony stałem na uboczy,
Patrząc, jak szybko znika ze świata dziecina.
I stanęła mi moja przyszłość po przed oczy,
I zamarło mi serce!... Bo i ja mam syna...
A kto wie czy ten synek do ojca poskoczy,
Czy już po nim nie płacze gorżka łza matczyna.
I zamarło mi serce. — Jakaś struna pękła.
W mej piersi skołatanej, — tak ciężko pierś jękła

. . . .

Tymczasem Anioł Pański śpiewano przy grobie.
Anioł Pański! — Mój Boże! komuż on nieznany,
Kto go w życiu nie słyszał, gdy mu w łzach, w żałobie.
Leci w górę, w obłoki, do Pana nad Pany,
Gdy dusza śpiewa pokój dla podobnych sobie,
Co do mnie, kiedy hymn ten usłyszę śpiewany,
To mi się zawsze zdaje, że i syn szatański
Zapłacze, — posłyszawszy smutny Anioł Pański.

Hymn zatem, — Anioł Pański, — ulatał pod chmury,
Śpiewał go orszak cały z odkrytemi głowy
I głucho w Boskie serce wzleciał śpiew ponury,
O zmiłowanie prosząc, żałobnemi słowy,
Dla duszy tej dzieciny, co przeszła tortury
A nie dobiegła nawet do życia połowy.
I ptaszęta umilkły, wiatr gdzieś w stepach zginął,
I tak w ciszy — do nieba hymn żałosny płynął.



ROZALIA Z MAKAROWICZÓW ALEKSANDROWA MIELNICKA.

Pod Wrzącą.

Wspomnienie z lat młodocianych.

Kobietom nie wolno z bronią w ręku walczyć o niepodległość naszej drogiej Ojczyzny — inne obowiązki dostały im się w udziale — więc też kochające i ofiarne znosiły po cichu skromne cegiełki do tej podwaliny, na której miała stanąć ta nasza Cała i Niepodległa. W narodowej potrzebie kobieta Polka stała zawsze przy boku mężczyzny, jako żona-matka — jako siostra — kochanka: a że służyła wiernie świętej sprawie i nie

cofnęła się przed żadnem niebezpieczeństwem — przed żadną ofiarą, to zapewne poświadczyć mogą i zechcą jeszcze dziś żyjący świadkowie z tamtych czasów. Więc też uzyskała prawo zaliczyć się do grona braci wojowników, kochających wspomnienia z tego smutnego roku naszego powstania. Wychodząc z tego założenia, niech mi będzie wolno przesłać epizod maleńki z tamtych czasów; nie o wielkich bitwach, nie o wybitnych postaciach, bo te znajdą pomieszczenie w historyi powstania, pisanej udatniejszem piórem — ja kreślę tutaj wspomnienie tej szarej braci, o której może oprócz bliskich sercu nikt nie wie i nie wspomina.

Było to już pod koniec powstania, na początku listopada. Większe oddziały rozproszone — tylko niekiedy dochodziły wieści o małych utarczkach — rozbitki chowały się po lasach — o głodzie i zimnie, bo mróz dochodził do 12-tu stopni. Bawiłam wtenczas w domu przyjaciółki mojej, pani B., w majątku leżącym o trzy wiorsty od Błaszek, małego miasteczka w Kaliskiem, słynnego w okolicy z swoich wielkich targów poniedziałkowych na zboże.

Otóż w jeden taki poniedziałek przyjeżdżamy do miasteczka — zastajemy masę ludu — krzyk — radość. Na środku rynku stoi garstka powstańców w liczbie 45-ciu — w mundurach, z karabinami, pod dowództwem Pągowskiego, młodego podoficera z armii pruskiej. Byla to cząstka odcięta od jakiegoś większego obozu; biedacy ścigani od dni kilku, głodni, zmęczeni, przemarzli, wpadli do miasta, aby drogi dopytać i lasami nocą dostać się za granicę. Nakarmiono ich — zebrano na prędce trochę grosza i poszli wskazaną drogą, przeprowadzani łzami i błogosławieństwem.

Upłynęło pół godziny. Naraz rozległ się straszny krzyk rozpaczy, jakby z jednej piersi: Moskale idą! i rzeczywiście pięć rot piechoty i szwadron huzarów jak szalony wpadł do miasta — piechota pozrzucawszy zboże i kartofle z wozów na ziemię, wsiadła w nie i bijąc chłopów kolbami, kazała pędzić co koń wyskoczy huzarzy w pełnym galopie polecieli naprzód. Niedługo potem usłyszeliśmy kilkadziesiąt strzałów i cicho... Uciekający powstańcy szybkim biegiem dostali się do pierwszej wsi Wrzący — przebiegli dziedziniec pałacowy — weszli na łąkę i już, już niedaleko lasu, gdzie było zbawienie, otoczyli ich huzarzy; zmęczone biedactwo uformowało czworobok i dało ognia do nieprzyjaciela raz — drugi napróżno! Kawalerya z góry rą-

bała po głowach i piersiach bez litości — i w kilkanaście minut potem sterczał pagórek z obdartych do naga, zakrwawionych ciał ludzkich.

Zwycięzcy odeszli. — Zabitych było 9-ciu — a reszta wszyscy ranni; a straszne to były rany — poodcinane ręce, nogi — mózg wytryskał z czaszek — wnętrzności wychodziły z brzuchów. Do Pągowskiego, który jeszcze żył, oficer strzelił w piersi z rewolweru — jednak umarł dopiero na drugi dzień wieczorem bardzo przytomnie. Widziałam tych biednych męczenników wszystkich — zabitych i rannych — wyrazu na twarzach zmarłych do dzisiaj zapomnieć nie mogę — taka tam była rozpacz bezdenna — zaciśnięte pięści — oczy tak szeroko roztwarte a tak boleśnie wystraszone. Właściciel Wrzący wszystkich rannych umieścił u siebie — cała okolica złożyła się na pogrzeb i w trzy dni niezliczony tłum ludu przeprowadzał dziesięć trumien do wspólnego grobu — składając na nim cześć, kwiaty i łzy!

Czy żyje wspomnienie tych bojowników? — byli to prawie wszyscy rzemieślnicy, z rozmaitych stron kraju — ilu ich jeszcze umarło z ran, tego nie wiem na pewne.

I znowu w kilka dni później nad wieczorem siedzieliśmy skupieni, rozmawiając o smutnej rzeczywistości, gdy usłyszeliśmy strzały, ale pojedyncze — gdzieś dalej — znowu taki maleńki oddziałek borykał się z Moskalami. Wiedzieli nieszczęśliwi, że idąc w ordynku będą zgubieni, więc rozsypali się w tyraliery — Moskale nie gonili ich bardzo, tylko na ochotnika strzelali, jak do ptaków — kto się nawinął pod linię oczną — trup.

Niektórzy umierali na miejscu — inni wlekli się jeszcze kilkanaście kroków i padali na łąkach — polach — w lesie. Jeden z takich ściganych, ciężko ranny, upadł na dziedzińcu sąsiada, o dwie mili drogi od nas. Żył jeszcze parę godzin — powiedział jak się nazywa, skąd pochodzi i skonał. Zawołano na pogrzeb. — Wchodzimy do pokoju. W prostej sosnowej trumnie, w długiej aż do stóp białej bluzie — z blond włosami — z anielskim spokojem na białej twarzyczce, leżało 17-to letnie chłopię. Z pochodzenia był Kaszub — przywędrował aż z nad Bałtyku, bronić wymarzonej w snach młodocianych, a może tylko z opowiadań matki zaznanej Ojczyzny. Nawet nazwisko nosił niemieckie — nazywał się Stein. Dziecko ciche, skromne a bohater. Czy wiedział kto o nim?



PUŁKOWNIK ZYGMUNT MIŁKOWSKI.
(T. T. JEŻ).

Komitet Centralny.

...Po paru dniach pobytu we Lwowie przeniosłem się do Krakowa. W Krakowie, ponieważ przyjechałem o dnia świtaniu, wprost z dworca, złożywszy walizkę moją nie pamiętam gdzie, (może w kamienicy, w której apartament zajmował Dymidowicz), udałem się, wedle udzielonego mi przez Berensteina adresu, do Alfreda Szczepańskiego. W kamienicy, w której mieszkał, z łatwością dopytałem się o pokój — otwieram drzwi, wchodzę i w jednem łóżku widzę dwóch młodych ludzi, smacznym zdjętych snem. Przy łóżku, na grubym czereszniowym cybuchu, stała fajka nałożona.

— Pan Alfred Szczepański!... — zawołałem głośno.

Wołanie moje obudziło młodzieńca z brzegu leżącego; oczy otworzył, popatrzył na mnie, fajkę pochwycił, zapałkę potarł, zakurzył, zaciągnął się i przemówił:

— Jak tylko oczy otworzę, pierwsza rzecz... zaciągnąć się muszę... Bez tego, jestem do niczego...

— Alfred Szczepański! — powtórzyłem nie tak już głośno jak poprzednio.

— Alfredzie!... — wpół odwrócił się młodzieniec i dymiąc z gęby, trącać jął łokciem towarzysza. Alfredzie!...

Szczepański, ceniony dziś wysoko w wysokiej trójlojalizmu sferze mąż stanu, obudził się. Wówczas był on gorliwym Ławy krakowskiej członkiem i, jako taki, załatwiał sprawy, odnoszące się do Komitetu Centralnego. Oczekiwał, będąc uprzedzonym, na przybycie moje, — z łóżka wstał, przy mnie się umył i przyodział — wyszliśmy razem. Na ulicy powiedział mi, że paszport dla mnie gotów i że czeka na mnie z Warszawy przysłany Gaszyński. Weszliśmy pod Barany, do Dymidowicza. Dymidowicz tylko co był wstał. Zatrzymał na kawę Szczepańskiego i mnie — po kawie Szczepański poszedł po Gaszyńskiego.

Tego samego dnia nad wieczorom pojechaliśmy we dwóch, Gaszyński i ja, fiakrem do Michałowic, wsi leżącej na granicy po stronie Królestwa, w której znajdowała się komora rosyjska, o staje — może trochę więcej — odległa od komory austryackiej.

*

U Dymidowicza, u którego cały spędziłem dzień o wszystkiem była mowa, tylko nie o paszporcie. „Gotów, więc gotów“ — więcej mnie nie obchodził w przekonaniu, że odpowiada wymogom bezpieczeństwa wobec władz. Na drodze wręczył mi go Gaszyński, mówiąc, że się nazywam Orłowski — imię zapomniałem — i jestem lokajem któregoś z Potockich. Przedstawiłem ów paszport na komorze austryackiej; zawizował mi go urzędnik, siedzący przy stole tak, że Gaszyński swój, ja swój podawaliśmy mu przez ramię i on je nam przez ramię oddawał, ani spojrzawszy na nas dla sprawdzenia rysopisów. Zauważyłem, że austryacka michałowiecka komora najmniejszego na zewnątrz do michaleńskiej nie miała podobieństwa: ani bramy przy niej, ani szlabanu nawet. Szlaban, państwowemi omalowany barwami, duży, porządny, w łańcuchy zaopatrzony, ukazał się nam przy komorze rosyjskiej. Wysiadamy, podchodzimy — zamknięty.

— Otwórz!... — przemawia Gaszyński do stojącego na warcie sałdata.

— Nie wolno.. — odpowiada sałdat.

Nadjechaliśmy w chwilkę po zachodzie słońca a uczyniliśmy to umyślnie, albowiem o tej dnia porze — jak twierdził Gaszyński — urzędnicy całodzienną rewizyą bagaży i rewizowaniem paszportów znużeni i znudzeni, spieszą się i przejezdnych bez szykan ekspedyują. Aleśmy się o parę minut najwyżej spóźnili.

— Otwórz!... — powtórzył Gaszyński.

— Nikaks nielzia...

Dawał sałdatowi rubla, dwa, trzy, ażeby urzędników o przyjezdnych zawiadomił, — ten atoli skorumpować się nie dał — sprzeciwiała się temu niemożliwość absolutna.

Nie było co. Przebycie granicy odłożyć należało do dnia następnego.

Pomiędzy komorami austryacką a rosyjską, przy trakcie, opodal nieco, stała niepozornie wyglądająca karczma. Do karczmy tej zajechaliśmy w zamiarze przenocowania. Wysiedliśmy, fiakraśmy odesłali i weszliśmy z walizkami do izby, będącej zarazem sypialnią, jadalnią i szynkiem. W izbie tej obszernej, w jednym z kątów znajdowało się zagłębienie, kwadratowe, wydzielone dla honoratiores. Stał w niem stolik, za stolikiem ławka, dokoła krzesełka drewniane. Żyd karczmarz, człek nasępiony, świecę zapaloną na stoliku postawił i w milczeniu od-

szedł. Pod stolikiem ulokowaliśmy tłumoki nasze i pozajmowali na krzesłach miejsca.

Nie przypominam sobie rozmowy, jaka się w pierwszej chwili między nami nawiązała. W ciągu rozmowy zajrzałem przez ciekawość do mającego mi w Królestwie, pozostającem w stanie oblężenia, służyć paszportu, przeczytałem rysopis, i, ku wielkiemu zdziwieniu memu, wyczytałem, żem brunet, że mam czarne oczy i jestem wzrostu słusznego. Przytem wcale nie odpowiadał pozorowi, jaki zewnętrzność moja wydawała.

Dałem ten paszport do odczytania Gaszyńskiemu.

— A!... — stęknął.

— Dobrze się stało, żeśmy się spóźnili... — zauważyłem.

— Zapewne... — odrzekł. Ale, cóż zrobimy teraz?...

— Trzeba do Krakowa po inny wracać.

— Fiakraśmy odesłali a tu koni nie dostaniemy... — rzekł tonem zafrasowania.

Dla uspokojenia go odrzekłem:

— Poczekajmy do jutra.

Upłynęło pół godziny może od chwili zainstalowania się naszego w karczmie, do szynkowni weszło towarzystwo, głów dziesiątek, jedni w odzieży włościańskiej, drudzy w mieszczańskiej, chłopi młodzi, krzepcy, i na pół rozweseleni; zasiedli przy stole obok, na zewnątrz zagłębienia, kazali sobie napitku jakiegoś podać i zawiązali półgłosem rozmowę. Akcent mazowiecki przeszkadzał mi rozumieć o czem mówili. Gaszyński rozumiał i szepnął do mnie:

—Kontrabandziści ze Słomnik...

Po chwili dodał:

— Gdybym się mógł porozumieć z Dębkiem, nie potrzebowalibyśmy do Krakowa wracać...

— Z jakim Dębkiem?

— Karczmarz w Michałowicach... członek organizacyi...

To rzekłszy, od stolika wstał, wyszedł przed karczmę, powrócił, po izbie szynkowej parę razy się przeszedł i, odwoławszy jednego z towarzystwa, na stronie z nim pomówił.

— Idę... — rzekł, podszedłszy do mnie. Za pół godziny wrócę...

Pozostałem sam przy stoliku. W oczekiwaniu na powrót towarzysza mego, który z powrotem zwlekał, a nie mając nic innego do czynienia, przysłuchiwałem się rozmowom kontrabandzistów — rozmowom coraz to, w miarę wchłanianego na-

pitku, głośniejszym i coraz to dla mnie zrozumialszym w miarę, jak ucho moje oswajało się z mazurowaniem. A były one ciekawe, toczyły się bowiem na tle przechwałek, tyczących się czynów szwarcowniczych. Przechwałki gęsto szpikowały lokucye: „psia krew“, „psia kość“, „psia noga“ i dotykały przedmiotów coraz to drażliwszych, takich np. jak rozbijanie nosów, przetrącanie ziober, łamanie rąk lub nóg. Jeden, chłop młody i pokaźny, opowiadanie jakieś zakończył słowami: „dźgnąłem go na odsiebek kozikiem i wywrócił się, psie pomiotło“.

„W dobranem wieczór spędzam towarzystwie“... — pomyślałem sobie.

Z towarzystwa tego ten i ów wstawał i mnie okiem mierzył — z akcentem. Zrazum na to nie zważał. Lecz gdy się to kilka razy powtórzyło, przyszło mi na myśl przysłowie: „Strzeżonego Pan Bóg strzeże“ — wgłąb się za stolik wsunąłem i postawiłem przed sobą krzesełko tak, ażeby mi w razie potrzeby do obrony posłużyć mogło. Zbytecznym jednak okazał się ten ostrożności środek. Około północy powrócił Gaszyński, przyprowadzając z sobą dwóch dwudziestokilkoletnich chłopaków, jeden od drugiego trochę wyższy, obydwa — choć maluj. Byli to pocztylioni. Przyszli, celem przeprowadzenia nas przez granicę sposobem przekradanym.

Przekradałem się tyle razy, że ten sposób przyjąłem ze spokojem, nawet z uznaniem. Uznawałem prawowitość jego wobec nieprawowitości moskiewskiej.

Przewodnicy nasi czas jakiś zabawili w karczmie — żartowali z kontrabandzistami, z którymi się znali, a którzy im szczególny okazywali respekt; wreszcie zabrali walizki nasze i przeprowadzili nas z ziemi n a s z e j, dla mnie zakazanej, na ziemię n a s z ą, również dla mnie zakazaną. Ironia sytuacyi!... Bezprawie uczyniło mnie wyrzutkiem z własnej, z rodzonej Ojczyzny.

Prawo przyrodzone upoważniało mnie do gwałcenia bezprawia Powiodło mi się ono pomyślnie. W przechodzie przez granicę, w pobliżu komory, jedna tylko trafiła się niedogodność: trzeba było na brzuchu przez psią w płocie przeleźć dziurę. Przeleźliśmy, — Gaszyński z pocztylionem niższego wzrostu dokądeś odszedł; mnie zaś pocztylion wyższy do stajni wprowadził i pod żłobem na sianie schował. W schówku tym pozostawałem nie długo. Gaszyński załatwił formalności w biurze pocztowem. — z pod żłobu wylazłem, na zaprzężony parą koni wózek obok

Gaszyńskiego siadłem i po bitej drodze wyciągniętym z miejsca ruszyliśmy kłusem.

Pocztylioni, co nas przekradli, zajęli mnie żywo.

— Walne chłopaki... — odezwałem się do Gaszyńskiego. Ciekawym, ile też sobie zapłacić kazali...

— Nic...

— No... jakże?... — zdziwiło mię to.

— Do organizacyi przecie należą...

Jechaliśmy ostro. Okolicy w pomroku widzieć nie mogłem; zawinięty w futro, drzemałem po nocy poprzedniej, bezsennie w wagonie spędzonej. Z drzemki wyprowadziło mnie nagłe wózka pocztowego zatrzymanie się. Gaszyński z siedzenia zeskoczył i do okiennicy stojącego przy drodze domku w szczególny zapukał sposób. W dziesięć najdalej minut później na drugim siedzieliśmy wózku i pędzili drogą pocztową do stacyi następnej, przy której powtórzyło się pukanie szczególne. Przy stacyi dalszej powtórzylo się znów.

— Co to znaczy?... — zapytałem.

— To hasła umówione...

— Poczty więc?...

— Do organizacyi należą...

— „Czołem przed organizacyą taką!...“ — powiedziałem sobie w duchu.

Pierwsze z nią zetknięcie się dobre, obiecujące wywarło na mnie wrażenie. Stanęła mi w oczach Polska cała w taki zorganizowana sposób. Gdyby zorganizowaną była stale, nie z dziś na jutro, ale na zawsze, przed każdem powstaniem i po każdem powstaniu — jakżeby ona siebie szanować, jakby się z sobą liczyć kazała!... Taka Polska mogłaby o przyszłość swoją być spokojną. Przyszłość zapewniałaby jej organizacya, czuwająca nad nią nieustannie i powoływująca naród do czynu nie kiedy się zdarzy, nie kiedy się miara cierpliwości przebierze, ale kiedy nadejdzie sposobna i odpowiednia pora. O! tak zorganizowana Polska...

Nie przypominam sobie, ile przez noc minęliśmy stacyi. Dzień był już dobry, kiedyśmy z ostatniej z traktu pocztowego na drogę prywatną zjechali i w godzinę może później zajechali do dworu we wsi, której nazwy w pamięci mojej odszukać nie mogę. Właścicielem jej był Gaszyński, pułkownik b. wojsk polskich z r. 31, ojciec przewodnika mego a brat, zdaje się, ro-

dzony poety, Konstantego, pamiętnego ścisłą przyjaźnią, jaka go z Zygmuntem Krasińskim wiązała.

Pułkownik, człek rosły, sędziwy, poważny, powitał mnie z akcentem, nie nadającym powitaniu znaczenia monety zdawkowej. Obchodzenie się jego ze mną mówiło: „Wiem coś za jeden: obyż ci się powodziło!“ Akcent ów uwyraźnił się w rozmowach, w których powstanie występowało, jako rzecz przewidywana i oczekiwana — konieczna. Mówił o niem ze spokojem, swobodnie, jak o rzeczy naturalnej, wobec rodziny, składającej się z mężczyn, kobiet i dzieci. Niemniej więc to, jak świadectwo istnienia organizacyi na poczcie sprawdzone, zafrapowało mnie. Wszak sytuacya, wiek i wojskowa praktyka wkluczały pułkownika w sferę konserwatywną, luboć polską, lecz do ryzyka nie koniecznie pochopną. Ten przeto starzec uszewronowany, dziećmi i wnuczętami otoczony, mający w moralnym i materyalnym względzie do stracenia dużo, ten starzec, uznający naturalną konieczność powstania, byłby mnie na drodze, którą szedłem, rozgrzeszył, gdyby sumienie moje własne tej drogi mi nie wskazywało... I on do organizacyi należał. Drugie to, w innej aniżeli pierwsze sferze społecznej, świadectwo istnienia organizacyi podnosiło w mniemaniu mojem jej znaczenie i doniosłość.

Pułkownik wójtował w gminie, — w charakterze wójta przeto dał mi do Warszawy paszport pod nawiskiem hr. Komarnickiego, (imie zapomniałem), mieszkającego w gminie a dotkniętego pół obłąkaniem umysłowem; udzielił mi oraz instrukcyj, co do zachowania się w Warszawie wobec urzędnika, z którego rąk paszport na dworcu kolei żelaznej odbiorę. Urzędnik ów, były w pułku jego feldfebel, posiadał zdolność poznawania fizjognomii i wyczytywania na nich wrażeń. Był on specyalistą od tego.

— Wizując paszport, patrzy nie na paszport, ale w oczy właściciela paszportu i zadaje zapytania... — pouczał mnie pułkownik. Zapyta pana o mnie i o nogi moje...

Końmi i bryczką pułkownika ja z przewodnikiem moim, synem jego, dojechaliśmy do stacyi kolei żelaznej najbliższej — w Radomsku. Musiało to być niedaleko, wyruszyliśmy bowiem rano — stanęliśmy na miejscu przed południem. Na mający nas zabrać przechodzący od granicy galicyjskiej pociąg czekać musieliśmy ze dwie godziny. Kazaliśmy dać sobie obiad. Do stołu usługiwała nam czysto po polsku mówiąca panienka, ku zadziwieniu memu, Żydówka. Rodzice jej i rodzeństwo również czy-

sto po polsku mówili i sposobem bycia rasy odmiennej nie zdradzali. Razem z nami obiadowało kilku szlachciców, między innymi lat trzydziestu paru młody człowiek, obywatel z okolicy, nazwiskiem Walewski — członek organizacyi. Jego maniery, sposób bycia, powozik i dobre konie którymi przyjechał, świadczyły, że należy do towarzystwa t. zw. „lepszego tonu“. Wskazywało to, że do organizacyi należą nie sami tylko tacy, co nic do stracenia nie mają. Przy obiedzie była mowa o powstaniu, nie jako o rzeczy możliwej, ale jako o rzeczy niechybnie nadejść mającej. Nazwisko Czengerego, pułkownika w czynnej służbie rosyjskiej, pierwszy raz mi się tam o uszy obiło, również jak nazwisko Kurowskiego. Pomiędzy Czengerym a Kurowskim zachodziła łączność, która biesiadników żywo interesowała, na mnie zaś takie czyniła wrażenie. jakby Czengery w zależności się jakiejś od Kurowskiego znajdował.

Pociąg nadszedł — wsiedliśmy i odrazuśmy się w ręce moskiewskie dostali. Oficer od żandarmeryi, siedzącym w wagonach, paszporty sobie pokazywać kazał. Żandarmi nad pociągiem czuwali — ustawicznie się na oczy nasuwali. Żandarmi tu, żandarmi tam, żandarmi, żandarmi — wszędzie żandarmi. Niby błyszczące robactwo na zanieczyszczonym gruncie, przewijali się na polskiej ziemi, która tam, gdzie ich widać nie było, na przesuwających się mimo okien wagonu polach bieliła się śniegiem, nie okrywającym w zupełności cienką warstwą zieleni posiewów jesiennych. Z pod śniegu widzieć się dawały kępki żyta czy pszenicy na piaszczystym gruncie. Pejzaż urozmaicały lasy sosnowe, ukazujące się niekiedy. Niekiedy przed oczyma przesuwały się znów wsie. Od czasu do czasu pociąg się zatrzymywał przy stacyach, podróżni jedni wysiadali, drudzy wsiadali, przesiewani przez przetak oczów żandarmskich.

Żandarmi i żandarmi.

Wejrzenia ich oczów prześwidrowały mnie — jak każdego zresztą podróżnego — kilkakrotnie jeszcze w Warszawie już, zanimem się wieczorem, przy świetle, przed eksfeldfeblem armii polskiej znalazł. W ich oczach odebrano mi bilet; pod oczami szeregu ich przeszedłem od jednych drzwi do drugich, przy których oficer żandarmeryi kazał sobie wręczyć paszport; za temi drzwiami w obszernej izbie, czy przedsieni, może podsieni, pod okiem dozorujących wszystkie wyjścia żandarmów, doczekałem się wygłoszonego donośnie wywołania:

— Graf Komarnicki!

Na wywołanie to przystąpiłem do baryery drewnianej, za którą stał stolik a przy stoliku siedział człowiek o dużej głowie, w ogromnych, srebrnych okularach. Przed siedzącym przy stoliku leżał mój paszport. Okulary jego zwrócone były na mnie i z po za nich, przez szkła, przeglądały oczy w twarz moją wpatrzone.

— Jakże tam stary... pułkownik?... — zapytał.

— Niczego... — odpowiedziałem.

— A nogi?...

— Nieźle...

— Pan hrabia długo w Warszawie zabawi?...

— Dni kilka...

— Łatwo do Warszawy przyjechać, trudno, z niej wyjechać...

— Nie wyszukam sobie utrudnień...

— Chyba...

Mówiąc ze mną i oczów ze mnie nie spuszczając, szybko, zamaszyście pisał. Po wyrazie „chyba“, paszport mi zawizowany podał i rzekł:

— Proszę...

Nimem się z dworca wydostał, jeszcze raz z żandarmami się spotkałem.

Nareszcie — uch! — widok tych aniołów stróżów, przydeptujących Polskę, celem zadeptania w niej ducha, z przed oczu mi znikł.

Przed dworcem wsiedliśmy do fiakra. Jechaliśmy przez jakieś ulice i przez plac. Na placu biwakowała piechota przy ogniskach, przy których świeciła się broń w kozłach. Wysiedliśmy przed hotelem — zdaje się — Rzymskim. Hotelu nie wybierałem — była to rzecz przewodnika mego.

W hotelu, jak skoro nas do numeru wprowadzono, zabrano nam paszporty i podano księgę do rozpisania się w niej własnoręcznie w kilku rubrykach, zaznaczonych zapytaniami: zkąd?— dokąd? — po co? — na jak długo? i. t. p. Po załatwieniu tej formalności, kazałem ogień na kominku zapalić i herbatę podać. Gaszyński wyszedł. Zostałem sam — usiadłem przy kominie, na którym dużym płomieniem gorzały drewna sosnowe.

„Jestem nareszcie w Warszawie... — powiedziałem sobie — w Warszawie... w stolicy Polski“...

Wyrazy te głowę mi napełniły jakimś szumem niby. Od najwcześniejszego dzieciństwa, od chwili kiedy najpierwsze

brzaski myśli do mózgu mego zaglądać poczęły, Warszawa przyświecała mi nakształt gwiazdy pierwszej wielkości. Słaniała się ona w oczach moich na horyzoncie polskim — lecz gdzie? hen tam jeszcze, na najdalszej Polski rubieży, na Pobereżu. Zwracałem się wciąż ku niej, okiem za nią przez lat trzydzieści kilka wodząc, — z okiem w nią, w wyobraźni mojej stojącą, wlepionem, błądziłem po lądach i morzach: — dotarłem do niej nakoniec.

Warszawa!..,

Płomień na kominie trzaskał. Zapomniałem o wszystkiem. Myśl mi pochłonął i zapełnił całkowicie wyraz: Warszawa. Z zapomnienia się wyprowadziło mnie otworzenie drzwi. Odwróciłem się. Myślałem, że Gaszyński wraca. Zamiast Gaszyńskiego ujrzałem przed sobą: Franciszka Godlewskiego.

Godlewskiego w r. 1858 — 59 poznałem w Paryżu, w gronie zapełniającej w owym czasie stolicę Francyi młodzieży warszawskiej i wyróżniałem go. Jego temperament spokojny, trzeźwe poglądy, jasny o rzeczach sąd nadawały mu w oczach moich wyższą śród wielu innych cenę. Postać jego do pamięci mi przylgnęła. Poznałem go od razu.

— Widziałeś się z Gaszyńskim?... — zapytałem po przywitaniu się z nim.

— Nie...

— Zkądżeś się o przybyciu mojem dowiedział?...

— Ano... — odrzekł. Dobrze, żeś tu zajechał...

Nie pamiętam, o czem mówiliśmy. Podobnośmy herbatę pili, po herbacie na miasto wyszli, wrócili i...

Dalsze, tyczące się szczegółów życia, wspomnienia moje giną w mgle.

Nie pamiętam: jak sypiałem, jak i gdzie jadałem, jak mi upływał czas po za konferowaniem z Komitetem Centralnym.

Przecież nieodłącznie śród Komitetu, przez cały pobytu mego w Warszawie ciąg przebywać nie mogłem. Parę zaledwie wspomnień od niego się odrywa. Wszystkie inne na nim się zześrodkowują.

Zacznę od tamtych — oderwanych.

Objechałem fiakrem Warszawę, przypatrywałem się budowlom publicznym, kościołom, pałacom; nazywał je ktoś, co mi towarzyszył, ale kto to był — nie przypominam sobie. Nie przypominam sobie również architektury widzianych gmachów, z wyjątkiem Zamku — dla wojska, które go garnirowało,

i Banku — dla kolumnady, która uwagę moją na sobie zatrzymała. Ogrodów, spacerów nie zwiedzałem z powodu zimy. Zima pozwalała mi po mieście piechotą chodzić, pod pozorem bowiem osłaniania się od chłodu nasuwałem czapkę na czoło i wpół okrywałem sobie twarz futrem, ażeby obecności mojej nie zdradzić, przy przypadkowem z kimś ze znajomych spotkaniu. Spotkałem się z Karolem Martynim, rzeźbiarzem znanym mi z Konstantynopola — ja go poznałem, on mnie nie poznał.

Wieczór jeden spędziłem u Aleksandrostwa Potockich, wujostwa mojej żony. Aleksander, jeden z kilku braci, brat kilku słynych pięknością sióstr, ożeniony z panną Klementyną Krajewską, kobietą wysoko w zakresie literackim wykształconą, rozumną, miłą i Polką gorącą, pochodził z Wołynia, posiadał tam piękny majątek lecz garnął się do stolic świata i chętnie w nich przemieszkiwał. Był to światowiec w guście wytwornym, wydający pana miną i czupryną, w czem mu i znane w Europie nazwisko pomagało. Pieczętował się Pilawą, przeciwko tytułowi hrabiego nie protestował, lecz się nim nie popisywał. Wypadki zainteresowały go mocno ze strony, że się tak wyrażę, „czerwonej“ — może dla tego że w kierunku tym szedł rodzony jego siostrzeniec, Zygmunt Padlewski. On i matka Zygmunta byli teścia mego ciotecznorodzonymi. Znany ksiądz Leon, jeden z braci Aleksandra, spółwygnaniec w Wołogdzie biskupa Felińskiego, w domu mego teścia się wychowywał.

W przyjęciu jakie dla mnie państwo Potoccy zgotowali, czuć i widzieć się dawała otrożność, przestrzegana w czasie owym przez mieszkańców Warszawy. Okiennice pozamykane, w salonie światło przyćmione, — gdym wszedł, p. Aleksander drzwi starannie pozamykał i uprzedził mnie, że rozmowę będziemy prowadzić półgłosem. Służących, lokai ani śladu. Zastałem przygotowaną herbatę, którą piliśmy we troje i, pijąc, rozmawiali. Za wstęp do rozmowy posłużyły — rzecz prosta — sprawy rodzinne, po których na stół wytoczyły się wypadki bieżące. P. Aleksander, wybornie poinformowany o stosunkach międzystronniczych w Warszawie, oświadamiał mnie z nimi, wypowiadał poglądy swoje, charakteryzował przebijające się na wierzch osobitości, śród których za najzdolniejszą podawał Karola Majewskiego — za najzdolniejszą, ale niepewną.

— Gdyby wiedzieć można, czy on biały, czy czerwony...— powtórzył z naciskiem razy kilka.

Mówiliśmy i o Komitecie Centralnym, którego składu osobowego mimo, że do niego Zygm. Padlewski wchodził, nie znał, zdaje się, jako takich bowiem nie wymieniał osobistości, które w nim w momencie owym górowały a które ja już znałem. O powstaniu mówił jako o rzeczy nieuniknionej, dokonać się mającej w terminie poboru rekruckiego, wyznaczonego przez rząd na połowę stycznia r. n., to jest za dwa mniej więcej miesiące. Rząd, po dokananiu operacyj popisowych, sporządził listy i miał je w pogotowiu.

Drugą, zapamiętaną przezemnie wizytą, była wizyta w redakcyi Gazety Warszawskiej, której od lat sześciu byłem stałym spółpracownikiem. Antoni Lesznowski już nie żył; redakcyę prowadził Józef Kenig — znosiłem się z nim listownie i zapragnąłem poznać go osobiście. Interesu innego żadnego, ani publicznego, ani prywatnego, ani literackiego, nie miałem do niego. Nie chcąc go skompromitować, ani też skompromitować siebie, zapowiedziałem mu wizytę moją, zapytując: czy i kiedy zechce mnie przyjąć. Zrazu nie uwierzył mojej w Warszawie bytności; następnie zawahał się, co ma począć; wkońcu, oświadczając, że nie wierzy, naznaczył dzień i godzinę.

W oznaczonej godzinie, wkroczyłem przy ulicy Św. Jerskiej (nru nie pamiętam) do obszernej o niskim suficie izby, w której przy długim czarnym stole, pod oknem, siedział mały jakiś, szczupły, mocno rudy człowieczek, pisaniem zajęty. Drugi słusznego wzrostu, przed stołem stał. Ten drugi jak skoro mnie zoczył, siedzenie mi przy stole wskazał i, pióro w rękę dając, poprosił, ażebym na przygotowanej snadź przedtem kopercie „wiadomy“ napisał adres. Domyśliłem się, że chodzi tu o adres do redakcyi pisywany przezemnie jednakowo z Konstantynopola, z Paryża, z Londynu, z Mołdawii. Zacząłem adres ów pisać; lecz zaledwie à la Rédaction nakreśliłem, uczułem się z siedzenia porwany, do góry podniesiony i do piersi słusznego człowieka przyciśnięty potężnemi ramionami tak, jak nigdy w życiu wcześniej ani później, ściskany nie byłem. Ten to uścisk upamiętnił mi wizytę w redakcyi, Gazety Warszawskiej; zresztą nic innego w pamięci po niej nie zostało, chyba to tylko, że była krótką i to jeszcze, że siedzącym pod oknem człowieczkiem rudym był Wagner, owoczesny spółpracownik w Gazecie — poznałem się z nim w lat kilka później, w Paryżu, jako z kolegą emigrantem.

Ze wspomnień warszawskich z zakresu życia towarzyskiego do zaznaczenia pozostaje mi jeszcze wieczór w licznem towarzystwie, spędzony w domu przy ulicy Widok, w którym się odbywały moje z Komitetem Centralnym konferencye. Funkcyę gospodyni w domu tym sprawowała jakaś w podeszłym wieku dama; tego jednak wieczora przy stole, do którego zasiadło osób dziesiątków parę — mężczyzn samych, prezydowała młoda, żywa, ujmująca, luboć nie piękna kobieta, pani Jeske, siostra Bronisława Szwarcego. Posadzono mnie przy niej. Śród obecnych przy podłużnym stole, nieznajomych mi po największej części, zauważyłem dwóch mocnych brunetów: lekarza i księdza, prowadzących w rozmowie prym. Lekarz wygłaszał opinie o tyle o ile umiarkowane. Ksiądz zapalał się, odgrażał, skrajno-rewolucyjne zalecał środki — nie wiem jak się nazywał: przezywano go „księdzem rewolwerem" (ks. Rafał Drewnowski P. R.). Nie przerywano mu, gdy głos zabierał i on grzmiał, zaciśnięte pięści podnosił, oczy mu jak węgle rozżarzone świeciły — przedstawiał typowego fanatyka, jakim tylko człowiek dogmatami wykarmiony być może. Owoczesny nastrój umysłów wywoływał objawy takie, śród księży zwłaszcza, lubo i po za ich sferą zdarzali się zapaleńce[1]). Bruk warszawski nadawał się ku temu. Miałem sposobność przekonać się o tem tego właśnie wieczora. Kiedy ksiądz ognisty jakiś wygłaszał frazes, nagle zamilknąć musiał. Urwania przezeń frazesu powodem stało się wpadnięcie do pokoju rosłego, barczystego silnie zbudowanego młodego człowieka, którego oblicze zaognione i prędki wzdłuż stołu chód mocne znamionowały wzburzenie. Do pani Jeske doszedł, stanął przed nią, rękę prawą z zaciśniętą pięścią do góry wzniósł, przybrał postawę taką, jakby lewą ręką kogoś za kołnierz trzymał i, z przyciskiem, zadyszanym głosem przemówił:

— Miałem (nazwisko jakieś wyrzekł) w ręku! Wydarł się mi, huncwot!...

Wszyscy, mnie nie wyjmując, domyślili się, że młodemu temu człowiekowi nie udało się szpiega zabić.

Dla szpiegów ciężkie wówczas w Warszawie nastały były czasy.

Jeden tylko w domu przy ulicy Widok spędziłem wieczór, a zachodziłem doń przez dni kilka i rano i po południu. Widzę i ulicę i dom ów. Dziś ona, zabudowana, w miasto została

---

[1]) Zapaleńców wyrazem najjaskrawszym był Ignacy Chmieliński.

wkluczoną. W owym czasie wznosiło się na niej tu i owdzie kilka nowych budowli, kamienica zaś, w której się z Komitetem Centralnym schodziłem, dla zimy zapewne, która roboty budowlane przerwała, niezupełnie jeszcze wykończoną była. Wchodziło się do niej przez furtkę, prowizorycznie zawieszoną w zabitej deskami bramie wjazdowej. Na piętrze mieszkali państwo Jeske przy — jak się niedawno dowiedziałem — ciotce pani i Bronisława Szwarcego, jednego z najczynniejszych natenczas Komitetu członków, młodego, ale nie młodziutkiego już człowieka — syna emigranta z r. 1831, zatrudnionego przy drodze żelaznej, budowanej przez kompanię francuską pod firmą Pereira i. sp., jeżeli się nie mylę. Wraz z nim w Komitecie zasiadali: Awejde, Winnicki, Godlewski i Padlewski. Tego ostatniego nie zastałem w Warszawie, dokąd wezwany zostałem dla obrad w rzeczach wojennych, odnoszączych się do powstania w ogóle, do kierownictwa powstaniem i zapewnienia mu powodzenia. Komitet zamierzył był, do obrad w tej materyi, zwołać konferencyę wojskową z ludzi kompetentnych a przeciwko wojnie powstańczej nieuprzedzonych. W tym celu wystosował wezwania do Mierosławskiego, Wysockiego, Zygm. Sierakowskiego, Edm. Różyckiego, i do mnie. Mierosławski i Wysocki przybyć nie mogli; Sierakowski i Różycki przyjeżdżali każdy z osobna; po nich nastąpił przyjazd mój. Dowiedziałem się o tem przy końcu pobytu mego w stolicy Polski: w ciągu obrad tego byłem przekonania — co mnie dziwiło i z powodu czego interpelowałem Komitet — żem ja sam tylko wezwanym został.

O co chodziło? — o powstanie; na kiedy? — w miesiącu styczniu r. 1863.

Takie kwestyi postawienie samo przez się nasuwało i regulowało treść i porządek obrad, wywołując przedewszystkiem organizacyę i środki a zasoby materyalne.

Organizacya, mniej więcej wykończona i porządna, obejmowała, Królestwo; do Litwy zaś i na Ruś wkraczała odpryskami, żarzącymi się tu żywiej, ówdzie słabiej po miastach: w Wilnie, w Grodnie, w Mińsku, w Żytomierzu, w Kijowie, w Kamieńcu, w Odessie nawet. W tym względzie wnet wystąpiłem z objekcyą. Zdaniem mojem, organizacya nasza, za cel powstanie mająca, objąć powinna była całą w jak najrozleglejszych jej granicach Polskę, a to dla rozerwania sił nieprzyjacielskich. Do tych względów czysto wojennych przyłączały się

względy polityczne: zadokumentowanie praw Polski do wydartych jej krajów, że Polska pamięta i myśli o nich, że się o ich losy troszczy. Komitet zgadzał się na to i zapewniał; że czyni starania usilne, celem zcentralizowania organizacyi na Litwie i Rusi i nadania jej takiego jak w Królestwie rozwoju. Zapewnienie to nie wiele znaczyło wobec krótkości czasu, którego prowincye te, ze względu na stosunki lokalne, więcej aniżeli Kongresówka do zorganizowania się porządnie potrzebowały.

Co do środków i zasobów materyalnych polegały one całkowicie na pieniądzach, ściąganych drogą podatku, nałożonego przez Komitet i płaconego przez obywatelstwo. Na zapytanie moje, jaką wysokość wynosi kwota pobranego dotychczas podatku, jeden z członków Komitetu wyszedł i powrócił po chwili z panią Jeske, niosącą spory blaszany kuferek. W kuferku tym, gdy został przy mnie otworzonym, ukazała się, zapełniająca go prawie, papierowa rosyjska moneta.[1]) Nie wiem, ile tam być mogło tysięcy rubli, mogło atoli starczyć na zakupno broni w takiej ilości, ile potrzeba było na uzbrojenie oddziałów, powołanych do zapoczątkowania ruchu orężnego w oznaczonych na ten cel z góry punktach. W tym sensie uwagę uczyniłem i otrzymałem odpowiedź, że nie na inny, tylko na ten, pieniądze te są przeznaczone cel. i że są już gotowi wysłańcy, mianowicie, Milowicz, Ćwierciakiewicz i ktoś trzeci (Czaplicki?), którzy we Francyi i Belgii broni, ile się da, zakupią i drogi do przewożenia jej otworzą. Strzelby myśliwskie i tradycyjne kosy braki uzupełnią w pierwszych chwilach wybuchu, który przygotować i wykonać w taki należy sposób, ażeby powstanie nadal, własnym rozwijając się impetem, własnym żywiło się sumptem.

— Rozwiązanie tego zadania — odezwał się któryś z członków Komitetu — należy do was, ludzi wojskowych.

— Do rozwiązania każdego zadania potrzebne są dane odpowiednie... — odparłem.

I z zarzutem wystąpiłem przeciwko dacie powstania — dacie, która, zdaniem mojem, była zanadto ryzykowną pod tym

---

[1]) Zdumiewającem jest zaufanie, jakie posiadał Komitet Centralny, rząd bezimienny i niewidzialny, zaufanie oparte nie na czem innem, jeno na tem, że rząd ów do powstania prowadził. Samo to starczy na wytłumaczenie poczucia przez naród potrzeby — wstrząśnienia kajdanami... Filozofia historyi potrzeby tego rodzaju brać na uwagę winna.

zwłaszcza względem, że w razie niepowodzenia narazi kraj na *fiasco*.

— Lepiej zginąć zaszczytnie, aniżeli porwać się i głupio klapnąć.

Z tego punktu wywiązała się dyskusya, która ustawała i wznawiała się z dnia na dzień. Przedstawiałem, że na samo zakupno i sprowadzenie broni mało dwa miesiące czasu; że broń, gdyby na czas sprowadzoną być mogła, to do i dla Królestwa tylko, a zatem Litwa i Ruś nie będą z niej korzystały,— nie będąc zaś zorganizowane, nie wezmą w powstaniu udziału.

— Nie możnaby popisowych poprzenosić z powiatu do powiatu, z gubernii do gubernii?... wysłać część do Galicyi?... część na Mołdawię?... i w ten sposób nietylko pobór udaremnić, ale rekrutów moskiewskich na powstańców przerobić?

— Myśleliśmy o tem... To by się zrobić dało, gdyby nie bruździli nam Mierosławczycy wskazując datę poboru, jako rodzaj święta nad świętami, rezurekcyi polskiej... Mierosławski z jednej strony, Wielopolski z drugiej: dwóm tym naciskom nie sprostamy... Moglibyśmy ustąpić, usunąć się i ręce umyć, alebyśmy zawiedli zaufanie, jakie w Komitecie Centralnym pokłada kraj a które nas zobowiązuje robić wszystko, co w naszej mocy, ażeby odpowiedzieć zaufaniu tych, co się powstania domagają i pieniądze na nie nam, nie Mierosławskiemu, ani komu innemu dają...

Pieniądze widziałem; domagania się słyszałem; istnienie i funkcyonowanie organizacyi sprawdziłem. Miałżem powiedzieć: „wątpię" — i usunąć się?... Wątpiłem — wątpiłem w możliwość dokonania przygotowań w samej nawet Kongresówce i w ogóle w powodzenie powstania. Wątpienie atoli nie jest dowodem, jest zaś zawsze pretekstem do umywania rąk na sposób Piłata, który nie widział w Chrystusie winy, na śmierć jednak Go wydał, — jest zawsze pretekstem do usuwania się wobec niebezpieczeństwa dla zajęczych serc. Jam w piersi mojej nie czuł serca tego rodzaju. Wątpienie przytem — czyż zawsze się sprawdza?... Do walki z czysto techniczną potęgą Rosyi występowała potęga zapału: kto wie jaka w tej ostatniej tkwi siła? Kto tę siłę mierzył i zmierzył?... Powiedziałem więc sobie: „Ma się spełnić ofiara: niech się pełni?..."

Zaprzestałem spierać się z Komitetem i udałem się na ostatnie, pożegnalne posiedzenie, na którem otrzymać miałem wskazówki i instrukcye, tyczące się przygotowawczych czynności

w ogóle, jakoteż hierarchicznych w działalności wojennej stosunków. O stosunkach tych bywały wzmianki, lecz na wzmiankach się kończyło. Zajmowały nas stosunki ogólne, w jakich się ma ruch dokonać. Pozostawały szczegóły.

Kiedym się stawił w lokalu przy ulicy Widok, znalazłem się w obecności wszystkich czterech członków Komitetu. Trafiało się to rzadko. Zbierali się, ale nie od razu. Niekiedy zastawałem jednego i następnie po jednemu nadchodzili inni. Parę razy zdarzyło się, żem nie zastał żadnego, — w razie takim czekałem w towarzystwie pana lub pani Jeske, tocząc rozmowę w materyi ciekawej, lecz nie mającej żadnego z celem pobytu mego w Warszawie związku. Pierwszy zabrał głos Szwarce i, bez żadnych wstępów ani omówień, oświadczył, że stanie się wedle mego życzenia.

— Co?... zapytałem.

— Powstanie odłożonem jest do maja...

W dyskusyach poprzednich maj często mi z ust się wyrywał, ale w tym sensie: „przynajmniej“ do maja“

Szwarce się temu sprzeciwiał najmocniej; Awejde milczał; Godlewski trochę mocniej, Winnicki trochę słabiej, Szwarcego popierał; wszyscy jednak na to się zgadzali, że odłożenie jest rzeczą niemożliwą, Zkądże ta rzecz nagle możliwą się stała? Nie umiałem ukryć zdziwienia — zdumienia raczej.

— Czy to być może!... — wykrzyknąłem.

— Nie tylko być może, ale jest...

— Usłuchająż was sprzysiężeni?...

— Usłuchają...

— A pobór?...

— Poboru nie będzie...

— To zmienia sytuacyę... — rzekłem.

—Zmienia, co do czasu tylko... — odrzekł Szwarce zdaje się.

— I co do rozmiarów...

Sześciomiesięczny prawie, miasto dwumiesięcznego, termin pozwalał na rozszerzenie przygotowań na Litwę i Ruś i na wciągnięcie tych dwóch krain w sferę ruchów, mających nie same tylko na widoku demonstrowanie. Ta strona kwestyi dostatecznie była między nami omówiona. Była to strona o tyle polityczna, o ile wojenna. Ta ostatnia wymagała wejścia w szczegóły — rozpatrzenia najprzód teatru wojny. Przedstawiał się on geograficznie i topograficznie w czterech, nie równej wielkości

i różniących się charakterem działach: lewy brzeg Wisły, prawy brzeg Wisły, Litwa i Ruś. W porozumieniu z Sierakowskim i Różyckim Komitet Centralny ponaznaczał „naczelników siły zbrojnej“ na każdy z tych działów — na Ruś naznaczył mnie.

— Mnie?!... — żachnąłem się, gdy mi to któryś z członków Komitetu oznajmił.

Jęli się mi to ten, to ów perswadować: że posiadam praktykę wojskową a rozumienia rzeczy świadectwo złożyłem w książce, w której skreśliłem trafny na ostatnią wojnę wschodnią pogląd krytyczny[1]); że przytem znany jestem na Rusi i nazwisko moje wywrze tam wpływ pożądany.

— Wszystko to być może... — odpowiedziałem — ale przy tem wszystkiem nie czuję się w siłach brać na barki moje odpowiedzialności tak wielkiej... Nie jestem pewny, czybym podołał...

— Któż w razach podobnych pewnym być może!... — zareplikowano mi. Co się zaś bark tyczy, nie ma na razie innych...

— No... a... Różycki... — podchwyciłem.

— Z Różyckim mówiliśmy: nazwiska jego ogłaszać nie można...

— W takim razie — odrzekłem po chwili namysłu — niech nazwisko moje służy za parawan dla Różyckiego na tak długo, póki on nie będzie mógł wystąpić jawnie...

Po kilku uwagach, tyczących się czynności przygotowawczych tak na Rusi, którą Moskwa zagarnęła, jakoteż na Rusi, pozostającej pod panowaniem austryackiem, wkluczonej w działalność powstańczą pomocniczo, jak Galicya zachodnia i zabór pruski wkluczonemi były do działalności na lewym brzegu Wisły, stanęła, w kwestyi tej zupełna pomiędzy nami zgoda. Zawiadomienie Różyckiego o zapadłem postanowieniu, Komitet wziął na siebie i zarazem podjął się, o rozszerzenie organizacyi administracyjnej na Rusi naglić, oddając ją na rozporządzenie moje, ze względu na to, że potrzeby wojenne główną i najważniejszą w danych warunkach odgrywały rolę. Znajdował się w Warszawie młody człowiek, wysłaniec z Ukrainy w interesach organizacyjnych — ten, przywołany, otrzymał odemnie, podkreślone przez Komitet, odpowiednie informacye i instrukcye.

---

[1]) Udział Polaków w wojnie wschodniej 1853—56; druk. Martinet Paryż r. 1857.

*

Wskazałem mu moją główną kwaterę, Michaleny, do przysyłania mi gońców ze sprawozdaniami i zawiadomieniami, po wskazówki i rozkazy.

Ponieważ odłożenie wybuchu powstania pozwalało na wszechstronniejszą działalność, na mój przeto wniosek uchwalonem zostało, sprowadzanie z zagranicy broni tak do Królestwa, jak na Ruś i otworzenie dla transportów drogi przez Dardanele i Bosfor do Gałacu, a stamtąd na południowo-zachodnią Mołdawię do mających się tam pozakładać arsenałów — rozumie się — tajemnych. To ostatnie spadało na mnie. Na ten cel, wraz z nominacyą na malutkim cieniutkim papierku na „naczelnika sił zbrojnych na Rusi" (wkluczona tu była i Galicya wschodnia), wręczył mi Komitet pewną na podróże i posyłki kwotę pieniężną. Miałem, po powrocie do Michalen, jechać do Konstantynopola i, gdyby potrzeba wypadła, do Marsylii, celem pozawiązywania stosunków transportowych na tej linii handlowej. Ażeby jednak w tę podróż wyruszyć, wyczekać powinienem był na rezultat zabiegów Milowicza i in. o broń, o czem Komitet miał mi dać znać w sposób umówiony drogą telegraficzną.

Wiernie i dokładnie luboć treściwie (po upływie trzydziestu pięciu lat wszystkich rozmów i dyskusyj nie mogę w całej powtórzyć obszerności), zdałem z pobytu mego w Warszawie sprawę. Nie potrafiłbym, np., powtórzyć dosłownie rozmów, tyczących się stopnia, w jakim przedstawiała się nam pomoc zewnętrzna w odniesieniu do powstania polskiego. Liczyliśmy na sympatyę opinii publicznej europejskiej, na to, że zmusić ona może rządy do upomnienia się o Polskę pod warunkiem, jeżeli Polska dostateczną rozwinie energię w walce, której nierówność widomą nam była. Rozpatrywaliśmy szczegółowo załataną ale zgoła nie rosztrzygniętą w r. 1856 na kongresie paryskim, a blisko ze sprawą polską sprzężoną, kwestyę wschodnią. Tę mogliśmy wywołać — mogliśmy ją wciągnąć niejako do powstania polskiego i zrobić z niej most nietylko do sprowadzania rekwizytów wojskowych, ale i do sprowadzenia, zainteresowanych na teatrze wschodnim mocarstw, interwencyi na rzecz i na korzyść Polski. Omawialiśmy tę możliwość, omawialiśmy inne jeszcze ewentualności — stawialiśmy wytyczne dla powstania i dla polityki, jakiej się ono trzymać powinno. Moment przeto pobytu mego w Warszawie był to moment ważny. Nie jest on dostatecznie wyjaśniony. Opowiadanie moje do wyjaśnienia się

przyczyni. Ważność momentu w dalszym opowiadania mego ciągu wyraźniej zaznaczę, zaznaczając tymczasem, żem wyjeżdżał z Warszawy z dobrą na przyszłość otuchą, powziętą skutkiem odłożenia wybuchu powstania do maja. Nie wiedziałem, co na to wpłynęło. Dowiedziałem się o tem później. Tymczasem cieszyło mnie to. Z posiedzenia na którem tak przezemnie pożądane postanowienie zapadło, wyszedłem z Winnickim. Z godzinę, jeżeli nie dłużej, chodziliśmy po oświetlonej latarniami Warszawie. I on się cieszył; gdym go zaś zapytał, jak do tego przyjść mogło, odpowiedział:

— Znalazł się sposób...

— Czy tylko pewny?...

— Niezawodny...

Sposób ów zawiódł — z czyjej przyczyny? Odpowiem na to na swojem miejscu — wykażę na kim odpowiedzialność cięży.

Ażeby mnie dowodnie o pogotowiu organizacyjnem przekonać, Komitet wskazał mi Kurowskiego, naczelnika sił zbrojnych wojewódzkich w Krakowskiem. Dotychczas o organizacyę się ocierałem; u niego wejść miałem w jej środek, albo raczej, w środek jednego z jej działów, leżącego na drodze, którą wracać miałem.

Wyjeżdżałem z Warszawy i — nie widziałem jej prawie. Raz jeden oglądałem ją z wierzchu pobieżnie; nie zajrzałem do jej wnętrza; nie byłem w teatrze — grano Halkę Moniuszki, — lecz do teatru z Polaków uczęszczali tylko zależni od Wielopolskiego urzędnicy; inni demonstracyjnie przestrzegali żałoby, kobiety chodziły czarno i unikały zabaw wszelkich a zatem i teatru. Przytem ostrożność nie pozwalała mi nasuwać się na oczy.

Jedyne silniejsze wrażenia, jakie wywoziłem, odnosiły się do Komitetu Centralnego. Członków jego nie znałem inaczej, jak tylko z kilkudniowego z nimi obcowania; nie wiedziałem, kto ich rodził, z kim są sparantelowani; widziałem w nich władzę, uznaną przez dział narodu, wpatrzony w Ojczyznę i idący drogą tych, co za nią ginęli — to mi starczyło do uszanowania ich. Nie rozpatrywałem każdego z nich pojedynczo; niemniej przeto rzucały mi się same przez się niejako w oczy zachodzące pomiędzy nimi różnice osobistościowe, to sprawiające, żem do jednego czuł większy, do drugiego mniejszy pociąg sympatyczny. Najmniej pociągał mnie ku sobie niewielki wzrostem, krągły, o bladych, jakby nalanych policzkach Awejde. Z Go-

dlewskim znałem się dawniej i ceniłem go wysoko; Winnicki, jeżeli odemnie nie starszy, to w równym ze mną wieku, sprawiał na mnie wrażenie dobrego, zacnego sąsiada na wsi, z którym miło się spotykać, przykro rozstawać. Ufność największą wzbudzał we mnie Szwarce, obraz energii młodej, ciałem i duchem silny, odważny, bystro rzeczy umysłem obejmujący i umiejący w koniecznem kroczeniu ku wytkniętemu celowi ślepe miotanie się odróżnić, od ruchu obmyślonego. Losy skrzywdziły nas, wydając go przed samym wybuchem powstania Moskalom w ręce. Przekonany jestem, że jego w tym momencie i w ciągu walki obecność przyczyniłaby się była znacznie, do uniknięcia nie jednego błędu, nie jednego kroku fałszywego. Postacie członków Komitetu najżywiej mi w oczach stały, gdym stolicę Polski opuszczał, Warszawę mi one sobą zasłoniły.

Nie używszy Warszawy, wyjechałem z powrotem w towarzystwie zacnego, gorliwie mi przewodnikującego młodego Gaszyńskiego.

Z przejść w życiu mojem nic mi tak doszczętnie z pamięci nie wypadło, jak wyjazd z Warszawy i przybycie nad Pilicę. Jechać musiałem koleją i z kolei gdzieś wysiąść, i gdzieś się z Gaszyńskim rozstać. Nic z tego nie przypominam sobie. Przypuszczać należy, że umysł mój, powstaniem całkowicie zajęty, od myśli o niem nie odrywał się i na nic uwagi nie zwracał tembardziej, że miałem polecone skreślenie dla Komitetu w ogólnych zarysach planu powstania.

Opamiętowuję się dopiero u Kurowskiego. Od pobytu u niego wspomnienia moje chwytają na nowo wątek zdarzeń.

Kurowski mieszkał we wsi nad Pilicą. Wieś była jego własnością; do wystąpienia na czele sił zbrojnych województwa się sposobiąc, w dzierżawę ją wypuścił, wymówiwszy dla siebie i żony tymczasowe mieszkanie pod jednym z dzierżawcą dachem. Spędziłem u niego dni parę. Niewieliczki wzrostem, suchy, poważny, mało mówiący, robił on wrażenie człowieka surowego a głębokiego, wiedzącego wiele; ale nie lubiącego się udzielać. Twarz drobną zakrywał pełny zarost, skutkiem czego starszym się wydawał, aniżeli był w istocie, wszakże musiał liczyć lat nie mniej jak czterdzieści. Praktykę wojenną odbył pod Mierosławskim w Poznańskiem; kilka dzieł wojskowych, napisanych przez Wysockiego, Chrzanowskiego, Sztolcmana, które znalazłem na biurku, świadczyły, że go rzemiosło obchodzi. Podobało mi się to. Znakomici generałowie francuscy rewolucyjni, Marceau,

Hoche, Moreau, Murat, Leclerc i inni, bodaj czy nie z mniejszem karyerę wojskową rozpoczynali przysposobieniem fachowem.

Przywiozłem mu wiadomość o odłożeniu powstania. Przyjął ją spokojnie i rzekł:

— Więcej będę miał czasu na przygotowanie mego województwa...

Powoli, szczegół po szczególe, dowiadywałem się od niego o ilości ludzi, o ilości koni, o uzbrojeniu, o rozkładzie wojsk moskiewskich i o szansach, jakie ma wybuch miejscowy za sobą. O szansach wyrażał się Kurowski ze spokojem, poręczającym za powodzenie, liczył bowiem nietylko na powstańców, ale i na konsystujące w okolicy, zdaje się w Kielcach, wojsko rosyjskie, mianowicie na oficerów, zwłaszcza zaś na Czengerego, dowodzącego pułkiem. Tego ostatniego miał za stanowczo dla powstania pozyskanego. Powtarzał mi jego słowa; powtarzał słowa oficerów; u jednego z nich nabył konia bachmata; od nich posiadał tajemnicę fabrykowania szybko tanim kosztem harmat.

— Harmat?... — rzekłem zdziwiony.

— Tak... — odrzekł — papierowych...

Dotąd wszystko za dobrą brałem monetę. Te harmaty papierowe pomięszały mi szyki. Gdyby Kurowski nie wyglądał i nie mówił tak poważnie, pomyślałbym, że żartuje. Nie żartował jednak. Krótki o harmatach owych wykład poznać mi dał, że Moskale żartowali z niego i osłabił wiarę w szczerość oświadczeń oficerów i Czengerego. Przy dalszych rozmowach potrącałem o ten przedmiot, celem zachwiania w nim zaufania do wynurzeń oficerskich. Tłumaczyłem mu przytem istotę działa, Uwagi moje przyjmował w milczeniu i — jak mi się zdawało — z uznaniem.

„Biednaż ty; Polsko — myślałem sobie — wybierająca się do walki z papierowemi działami!...“

Stanęły mi w oczach wozy Mierosławskiego.

Od Kurowskiego jeździłem do Miechowa i do zapomnianej przezemnie nazwy wsi, której właścicielem był wójt gminy, Majzeles, rodzony czy stryjeczny brat wsławionego w czasie ruchów warszawskich rabina.

W Miechowie stanąłem w hotelu. Właścicielka onego, do organizacyi należąca, zawiadomiła o przybyciu mojem rewolucyjne władze miejscowe i te, pod przewodnictwem inżyniera, pełniącego funkcye naczelnika miasta, stawiły się na powitanie

mnie — jednego z naczelników powstania. Rozmawialiśmy chwil kilka o wypadkach, o nadziejach, o obowiązkach naszych. Znalazłem w Miechowianach determinacyę spokojną, świadczącą, że nie trwoży ich możliwość klęski. Szczególnie dobre wrażenie sprawił na mnie inżynier, człowiek nie pierwszej już młodości

Do Majzelesa udałem się w interesie. Wójtował on w gminie pogranicznej, miał zatem prawo wydawać przepustki do Krakowa. Przepustka do Warszawy, udzielona mi przez pułkownika Gaszyńskiego, nie służyła do przejazdu przez granicę. Służyła jednak do uzyskania tej ostatniej. Majzeles na wstępie oznajmił mi, że jest sam w domu, jego kobiety bowiem — ponieważ to była niedziela i godzina przedpołudniowa — wyjechały do kościoła. Gdym mu oświadczył, po co przyjeżdżam:

— Wiem... — odrzekł. Czekałem na pana. Proszę..,

Zaprowadził mnie do kancelaryi, posadził przy stole, papierami założonym, sam miejsce zajął naprzeciw, papiery rozłożył i odezwał się.

— Do napisania rysopisu, mam przed sobą oryginał i kopię...

To rzekłszy, podał mi papier z nagłówkami urzędowymi, z numerem i pieczęcią, zapisany od góry do dołu. Przebiegłem go oczyma. Był to poufny do wójtów gmin i burmistrzów rozkaz, polecający im imanie, kucie w kajdany i odstawianie do władzy wyższej, mogących się pojawić osobistości niebezpiecznych, zagrażających spokojowi publicznemu. Osobistości te wymienione były z imienia i nazwiska, z dodatkiem rysopisów. Zapamiętałem trzy ze spisu tego nazwiska: Mierosławskiego, Wysockiego i moje. Mój rysopis skreślony był błędnie, zupełnie błędnie, tak, że nie upoważniał wójtów i burmistrzów do imania mnie i zakuwania w kajdany. Dało to Majzelesowi powód do żartobliwych przy pisaniu dla mnie paszportu, uwag.

— Nie mam prawa — mówił — ze względu na rysopis, podejrzywać, żeś Zygmunt Miłkowski... Mam przed sobą hrabiego Komarnickiego i jestem w porządku... Pułkownik jest w porządku także...

— Czy i pułkownik rozkaz ten otrzymał? — zapytałem.

— Otrzymał...

— Nic mi o tem nie mówił...

— Służbista... Ściśle się do rokazu stosował.:. Jakże!... rozkaz poufny... On, stary żołnierz, nie mógł zaufania rządu zdradzać...

Okienka na blankiecie wypełnił, podpisał, pięczęć odcisnął i paszport mi podał.

Historycy powstania, Bergowie, Z. L. S-owie Koźmiany i in., wywołanie onego przypisują młodzieży nieopatrznej a wykonanie „motłochowi“. Młodzieniaszkami nie byli, ani też do motłochu zaliczać ich nie można: pułkownik Gaszyński, Kurowski, Walewski, członkowie narodowej (rewolucyjnej) rady miejskiej w Miechowie, Majzeles wreszcie, człek wyglądający na lat mniej więcej pięćdziesiąt, o których świadczyła żywa i szczupła postać jego; właściciel majątku ziemskiego, do tego Żyd[1]). Młodzikami, do motłochu należącymi, nie byli członkowie Komitetu i inni, z którymi w przejazdach z Krakowa do Warszawy i od Warszawy do Krakowa, równie jak w niedługim co prawda pobycie mojem w Krakowskiem, spotykać mi się zdarzyło. Raz tylko natknąłem się nie na wyraźnych przeciwników, ale na takich, którychby o niechęć do zerwania się orężnego posądzać było można. Popasałem w austeryi, w jakiejś wsi, w której widniał pałac. W izbie gościnnej, przy stole siedziało kilku ludzi, wyglądających z pozoru na ziemian pomniejszej ręki — dziedziców kilkuwłókowych, dzierżawców, oficyalistów może. Głośno nie o ruchach, nie o widokach politycznych. ale gospodarstwie rozprawiali. Mówili o jakimś Ostrowskim, jako o dobroczyńcy okolicy, a to dzięki postawionej przezeń cukrowni i wywołanej przez to uprawie buraków. Jeden szczególnie z biorących w rozmowie udział, wymowniejszy od innych, podnosił jego zasługi. Scena ta, mutandis mutandum, przypomniała mi scenę w karczmie u Jankiela. Czekałem na pojawienie się księdza Robaka z tabakierą. Ale się ksiądz Robak nie pojawił.

U Kurowskiego nakreśliłem w ogólnych zarysach, dla Komitetu Centralnego, plan powstania — program raczej — zastosowany do odłożonego na później wybuchu. Radziłem broń w jak największej sprowadzać ilości i częściami lokować ją w upatrzonych z góry, do wybuchu pod strategicznym, jakoteż pogotowia powstańczego, najsposobniejszych punktach. Wybuch rozpocząć w Warszawie, dla ściągnięcia na nią głównej uwagi i sił moskiewskich i ułatwienia przez to, w oczyszczonym mniej więcej z nieprzyjaciela kraju, powstania na prowincyi. W ten sposób działy pewne kraju, zupełnie oczyszczone, posłużyć by mogły do zformowania zawiązków armii narodowych w Króle-

---

[1]) Może wychrzczony — nie wiem. Panie jego były w kościele.

stwie, na Litwie, na Rusi, któreby powstaniu nadały jednolitość i charakter wojny regularnej.

Po napisaniu tego planu i wręczeniu go Kurowskiemu dla przesłania do Warszawy,opuściłem gościnne jego progi. Opuściłem je odpowiednio do tytułu hrabiowskiego, figurującego w paszporcie przy nie mojem nazwisku. Do nazwiska rościć mogłem niejakie prawo, będąc wnukiem Komarnickiej. Tytuł nie należał się mi żadną miarą. Do tytułu jednak dostosował Kurowski szyk, w którym mnie wyprawił. Wyjechałem od niego karetą z herbami, zaprzężoną w lejc. w cztery piękne, cugowe, siwe konie, powożone przez stangreta w liberyi sutej z peleryną niedźwiedzią, siedzącego wspaniale na koźle obok również uliberyowanego lokaja. Nie wiem czyja to była kareta, czyje konie i czyja służba — w każdym razie nie Kurowskiego, u którego cienia lokaja nie widziałem, nie dopiero takiego stangreta, takich koni i takiej karety. Nie pytałem o to. Pożegnałem się z gospodarzem, z gospodynią, — do karety wsiadłem i, po kilku godzinach ostrej jazdy, wysiadłem przed komorą w Michałowicach.

Gdym do komory wkraczał, żołnierz poskoczył i futro mi zdjął. W izbie, w której urząd zasiadał, okazywano mi grzeczność i uprzejmość jak największą. Jakiś jegomość do mnie podszedł i rozmowę ze mną po francusku zawiązał, nie szczędząc mi tytułu: M o n s i e u r l e c o m t e. Z akcentu poznałem w nim Francuza rodowitego. Na komorze michałowickiej pełnił on funkcyę fizyognomisty, tę samą, co eks-feldfebel z pułku Gaszyńskiego na dworcu warszawskim. Nic jednak podejrzanego z hrabstwem uiluminowanej fizyognomii mojej nie wyczytał i tę mi wyświadczył przysługę, że dzięki jego interwencyi, nie czekałem na komorze na bryczkę pocztową, mającą mnie do Krakowa odwieźć.

Jak skoro mi paszport zawizowano, karetę odesłałem, bryczka zaszła — na koźle siedział jeden z tych dwóch pocztylionów, co mnie przez granicę przekradli. Francuz mi się kłaniał, strażnicy mnie na wózek podsadzali — wsiadłem, szlaban otworzono — wio!...

Po załatwieniu się na komorze austryackiej, po ujechaniu połowy drogi, pocztylion odwrócił się, dłoń mi do uścisku podał i zapytał:

— A prędkoż tam, panie?...

— Niebawem... — odrzekłem.

— A juchy!

Tyleśmy z sobą słów zamienili. Dopowiedzieliśmy sobie resztę — wszystko — w serdecznem dłoni uściśnieniu.



FRANCISZEK NARTOWSKI.

Powrót z Sybiru.

Urywek z opowiadania pod tytułem „Z ław szkolnych na Sybir“ opracowanego przez Józefa Białynię Chołodeckiego.

Dwudziestego pierwszego września 1865 r. uwiadomił mnie pisarz Chudonogow o amnestyi i pozwoleniu powrotu do kraju, gdyż mnie jako popisowego reklamował gubernator Galicyi. Wzruszony, ze łzami w oczach, podążyłem do Jełówki, gdzie mnie liczni oczekiwali koledzy. Radowali się oni mą swobodą, smucili własną niewolą, niepewnością losu, a tęsknota za krajem, za rodziną, odżyła na nowo w ich piersiach. Powróciwszy do domu, przystąpiłem do zbierania plonów, jarzyn, ogrodowizn, do zabezpieczenia przeciw mrozom zimowych zapasów i do obrachunku z mym towarzyszem, spólnikiem owoców gospodarczej pracy. Okazało się, iż mam przeszło 100 rubli do mej dyspozycyi, a z takim zapasem mogłem spokojnie puścić się w daleką podróż do ojczyzny. Na odjezdnem otrzymałem rozmaite zlecenia od kolegów. Jedni wręczyli mi listy dla ich rodzin, drudzy prosili o przysłanie wiadomości z kraju, znów inni o ucałowanie od nich przynajmniej granicznego słupa Europy, który nierychło spodziewali się własnemi oglądać oczyma.

Piątego października wyruszyłem w drogę, a w pięć dni później zgłosiłem się w Krasnojarsku u ziemskiego isprawnika, by mu podziękować za przychylną nademną opiekę. „Co za honor!“ krzyknął, usłyszawszy mą przemowę i odesłał mnie do kancelaryi. Tam spisano protokół, powykreślano z ksiąg moje nazwisko i wyprawiono mnie pod strażą policyanta do gubernialnego policmajstra, który orzekł, iż z najbliższą partyą etapową odejdę porządkiem. — Przerażającą była dla mnie ta decyzya: dwa dni wędrować pieszo w towarzystwie pospolitych zbrodniarzy, niepewny całości uzbieranego fundusiku, niepewny życia nawet, dwa dni potem wypoczywać w brudnym, miazma-

tami i zgnilizną przesiąkniętym etapie i za jaki rok, półtora roku dopiero u celu stanąć podróży. Z drugiej strony jazda pocztą do Niżnego Nowogrodu w asystencyi konwoju to wydatek najmniej 500 rubli, nie licząc ubocznych kosztów, jak dwudziestu rubli opłaty za telegram, którym musiałbym prosić rodziców o niezbędny na drogę zasób pieniężny. Zrozpaczony chciałem prosić o pozwolenie przezimowania w Krasnojarsku, gdzie spodziewałem się znaleść w jakim uwolnionym rodaku, towarzysza podróży, lecz zabiegi moje przedsięwzięte w tej mierze u gubernatora pozostały bez skutku.

Jedynem ułatwieniem był rozkaz jego, uwidoczniony w papierach, bym nocował po karaułach na odwachu między żołnierzami, a nie wśród pospolitych zbrodniarzy. Zamknięty następnie pod klucz w aresztach policyjnych, otrzymałem nazajutrz pozwolenie od „nadziratela“ do zakupienia w mieście zapasów na drogę i do odwiedzenia ziomków. Korzystając z wolności, spędziłem dzień cały w towarzystwie Ludwika Borawskiego i z nim razem byłem świadkiem strasznych scen, gdyż około 200 naszych, dążących do Irkucka, zostało w koszarach wojskowych sprowokowanych przez kandalszczyków (kajdaniarze). Przyszło do bójki, do której wmieszał się i mały oddział wojska, a widząc ustępujących „kandalszczyków“, uderzył bagnetem na politycznych więźniów. Acz bezbronni wyszli i tym razem nasi zwycięsko, żołnierze zaś, ustępując, zostawili karabiny na pobojowisku. Nadbiegła zaalarmowana załoga miasta, otoczyła naszych i przystąpiła do zemsty, do wymierzania doraźnego sądu. Zrozpaczeni, chwycili zdobytą broń do ręki i już miała się zacząć walka na śmierć lub życie, gdy nagle zjawił się policmajster i osobistą interwencyą, obietnicą bezkarności dla więźniów uspokoił rozdrażnione umysły.

Powróciwszy do kaźni, a mając nazajutrz wyruszyć w drogę, zabrałem się przy pomocy scyzoryka i igły do ukrycia pieniędzy i notatek przed okiem niepowołanych. — Gotówkę, porozdzielaną, w rozmaitych pozaszywałem miejscach odzienia, i rano z modlitwą na ustach stanąłem do szeregu w towarzystwie dziesięciu pospolitych zbrodniarzy. Trzeciego dnia marszu zetknąłem się z partyą naszych, pędzonych na posielenie, więc dawszy łapówkę starszemu konwoju, gawędziłem całą noc z ziomkami, którzy, widząc mnie pierwszego powracającego do ojczyzny, zasięgali języka o stosunkach i życiu politycznych więźniów na Syberyi. W Czarnoreczce spotkałem się znów z hr. Krasickim

z Podola, który własnym jechał powozem, przeznaczony po skonfiskowaniu dóbr do kopalni w Ujsolu; w Aczyńsku, zaś z kolegami Władysławem Czaplickim, Bronisławem Sławińskim i Łopatyńskim stale w tych stronach osadzonymi. Przebywał tam także niejaki Romanowski, ożeniony z Mongołką, który Bóg wie za jakie zesłany przestępstwo, siedział już od roku, jako poszlakowany, w tiurmie, — lecz tylko podług urzędowych aktów, w rzeczywistości bowiem żył swobodnie, w przyjaźni z kapitanem „smotrytelem“, prowadził mu kancelaryę i jako sprytny frant, potężny wywierał wpływ na carskich czynowników. Za jego poradą i protekcyą odbyłem kosztem dwudziestu rubli łapówek podróż do Tomska w towarzystwie powracającego tamże z Aczyńska, kapitana. Odjeżdżającego do domu kolegę, żegnali oficerowie całonocną w całem słowa znaczeniu „narodną“ libacyą, a dnie następne podróży były tylko dalszym ciągiem zalewania głowy „jego błahorodia“. Zdążywszy 26 października na miejsce, postanowiłem nie zgłaszać się zaraz u policmajstra, lecz korzystając z wolności, odwiedzić mieszkających w Tomsku rodaków, zwiedzić parafię i łaciński kościół. W aptece, poznałem niejakiego Kocyana z Galicyi; w „tiurmie“ zaś, gdzie mnie umieszczono później w celu dalszego transportu, około dziesięciu Polaków, przeznaczonych na posielenie. Pochodzili oni wszyscy z Litwy i Żmudzi, z wyjątkiem warszawskiego żydka Spiegla. Ten ostatni, obdarzony niezwykle pięknym głosem, zachwycał nas swemi produkcyami. Trzeciego listopada odwiedził mnie w tiurmie kapitan, towarzysz podróży z Aczyńska, przynosząc pożądaną wiadomość, iż rząd zmienił na czas zimowy system naszej podróży i zaprowadził jazdę saniami. Pewien zastęp przedsiębiorców obowiązał się, po złożeniu przez rząd kwot, jakie przy powolnym, pieszym marszu zostałyby użyte na pokrycie kosztów eskortowanych więźniów, przewozić partye po pięciu skazanych i jednym żołnierzu na każdych saniach. Rząd zaoszczędzał przytem wydatków na konwój i na odzienie aresztantów, które nie ulegało tak rychło zniszczeniu.

4 listopada z pierwszą partyą podwodami wysłanych więźniów, odjechał jeden z rodaków pod cudzem nazwiskiem. Skazany do katorżnych robót, skorzystał on z śmierci, pędzonego równocześnie na Sybir, towarzysza, złożył jego zwłoki na swem łóżku, a sam przybrał nazwisko jego i lżejszy wymiar kary. Tego rodzaju zamiana osób, dość często praktykowana pomiędzy naszymi, zawsze się udawała i złagodziła niejednemu los, jaki

byłby mu przypadł w udziale wobec surowego wyroku. — Wyruszając uszczęśliwiony w drogę, oddał mi wspomniany więzień list do syna, który bawił podówczas w Monachium.

Ósmego listopada wezwano mnie i kolegę Dynowskiego do „prykazu“ i uwiadomiono o wyruszeniu w dalszą drogę. Dynowskiego wysłano do Kaińskiego powiatu, mnie zaś razem z ośmiu pospolitymi zbrodniarzami ku Tobolskowi. — Szalona to była jazda, przy której w ciągu ośmiu krótkich dni jesiennych przeszło 500 przebyliśmy wiorst drogi i przelecieli po uginającym się lodzie rzekę Ob, gdzie kra spiętrzona, formalne potworzyła góry i przepaście. W Kaińsku, lichej mieścinie nad rzeką Om, liczącej zaledwie trzy tysiące mieszkańców, było około stu trzydziestu naszych, między którymi poznałem Pawłowskiego, Stacewicza, Koziełłę ze Żmudzi i Gawlińskiego z Galicyi. Wiodło im się tutaj nieźle, dzięki niezwykłej harmonii i solidarności. Pierwszego grudnia znalazłem się w Tobolsku, ujechawszy 1600 wiort stepowego przeważnie szlaku, przez trzęsawiska i porzucane belki, pomiędzy trzcinowemi lasami, pełnemi różnorodnego ptactwa, zwłaszcza zaś białych kuropatw.

W samem mieście, o ile takowe poznać mogłem, są godne widzenia kute w skale, sięgające swym początkiem dawnych wieków, schody, łączące górne miasto z dolnem. Naliczyłem ich dwieście, obok tyluż ławeczek wyżłobionych w skale dla odpoczynku przechodniów. W tiurmie Tobolska zastałem około trzystu Polaków, z których poznałem bliżej Szczawińskiego z Galicyi, Korzeniowskiego z Wołynia, Mozora z Litwy i Ostrowskiego z Ukrainy. Niebawem odwiedził nas gubernator Zenowicz. Stanęliśmy po wojskowemu w dwa rzędy, a on pozdrowiwszy nas po polsku słowami: „jak się macie panowie“, przeszedł przez całą długość kazamaty, rzucił okiem na ściany, nary, piec, podłogę i stosownie do poczynionych spostrzeżeń, dał odpowiednią dyspozycyę zarządcy więzienia. Następnie zbliżył się ku nam, obchodził ponownie szeregi, wypytując każdego skąd idzie i dokąd jest przeznaczony i odbierał ustne prośby i zażałenia. Tak ludzkiem postępowaniem podbił w jednej chwili serca zgromadzonych.

Przykrym był, wśród szeregów naszych, widok gromadki około trzydziestu ludzi, zasądzonych pierwotnie w Orenburgskie roty, których, gdy wzbraniali się składać przysięgę wierności, przypędzono tutaj w celu śledztwa i wyroku. Choć zresztą spokojnie i szczerze służyli pod znakami carskiemi, nie ominęła ich

surowa kara: „na całe życie do katorżnych robót“, a w czasie naszego wyjazdu z Tobolska, wyprawiono ich do Nerczyńska. Bóg z nimi, On dodał im sił do dźwigania brzemienia losu.

Na drugim noclegu za Tobolskiem, zamknięty w wspólnej kaźni z pędzonymi na Sybir brodiagami, zostałem przez nich obrabowany z części mych szczupłych zapasów pieniężnych. W obawie utraty życia, udawałem podczas ich akcyi spiącego, jakkolwiek widziałem dobrze cały przebieg operacyi. — Skoro poczęło świtać, opowiedziałem moim towarzyszom podróży, trzem pospolitym zbrodniarzom, cały wypadek i zapytałem ich o radę. Zażądali dla siebie trzecią część skradzionej mi kwoty, a gdy zgodziłem się na ich propozycyę, porozumieli się z starostą brodiagów. Ten umówiwszy się znów z nimi o honorarium siedmiu rubli, wezwał swych podkomendnych do zwrotu gotówki, gdy zaś to nie odniosło pożądanego skutku, przystąpił do rewizyi towarzyszów. Znalezione u jednego z nich medalioniki moje, naprowadziły na ślad winowajcy i zachęciły starostę do dalszych gorliwych poszukiwań. Złożywszy o wypadku raport komendantowi konwoju, powstrzymał on chwilowo dalszy pochód oddziału, chwycił następnie podejrzanego aresztanta za barki, powalił go na ziemię, zdarł odzienie i z pewnym wyrazem tryumfu na twarzy wyciągnął ukryte w ciele pieniądze. Teraz posypały się razy, szturchańce i plagi rzemieniami na sprawcę kradzieży, który skrwawiony, na pół omdlały, musiał w dodatku całować miejsce, gdzie znaleziono medalioniki, kradzież medalioników bowiem uważali aresztanci jako obrazę Boga, jako świętokradztwo.

„Pan Bóg jeden tak dla Polaków, jak i dla nas“ — wołali oburzeni, znęcając się formalnie nad winowajcą.

W ten sposób odzyskałem część straty, nie odzyskałem atoli spokoju; nie mogłem bowiem ufać towarzyszom podróży, którzy wiedzieli o istnieniu u mnie gotówki. Szczęście, iż w Tiumeniu uwzględniono mą prośbę i umieszczono mnie pomiędzy politycznymi więźniami. W gronie ich znajdował się wieśniak z Augustowskiej gubernii, nazwiskiem Borkowski, który uznany za niewinnego, powracał do kraju i dzielił ze mną odtąd wspólne podróży koleje.

Obok Borkowskiego spotkałem w Tiumeniu, idąc przez miasto, Arnolda Zamorskiego z Galicyi i Dr. Skórkowskiego z Ukrainy.

Szesnastego grudnia stanęliśmy w Ekaterinburgu, ośmnastego zaś w Kongorze, dużem, czystem, powabnem, handlowem

i bogatem mieście, gdzie przebywało kilkuset naszych, przeważnie zamożnych rodaków. Poznawszy mnie, zaproponowali oni pomoc pieniężną, a jakżeż byłem zadowolonym, iż nie potrzebowałem korzystać z ich zacnej ofiarności. Szlachetne serca znalazły jednak inną sposobność do okazania mi życzliwości. Sposobność tę nastręczyły święta Bożego Narodzenia, na które otrzymaliśmy razem z Borkowskim tak obfite zapasy ciast i bakalij, iż nie zdołaliśmy ich pokonać w ciągu naszego na miejscu pobytu. Równocześnie z nami przebywał w szpitalu, powracając z wygnania do ojczyzny, Lwowianin Krynicki, i jako rekonwalescent wyruszył w dalszą drogę z nadzieją rychłego ujrzenia rodzinnej ziemi. Inaczej jednak było snać zapisanem w księdze jego przeznaczenia. Niebawem zaziębiwszy się, popadł w recydywę, a cmentarz w Permie przyjął zwłoki biednego tułacza. Szczęśliwszym od Krynickiego był Ignacy Krajewski, który, powracając również do Galicyi, opuściwszy przed czterema miesiącami Krasnojarsk, leczył się jako chory w szpitalu Permy. Opowiadał on mi, ile to wycierpiał w drodze od aresztantów i od konwoju, jak go jeszcze przed Aczyńskiem obrabowano z pieniężnych zapasów, kilkakrotnie zbito, tak, iż gdyby nie pomoc rodaków w Tomsku, Tobolsku i Kongorze, byłby z pewnością przejścia swe życiem przepłacił. Słuchając tych opowieści przyszedłem do przeświadczenia, iż przyczyną udręczeń Krajewskiego, była tegoż niepraktyczna duma wobec pospolitych zbrodniarzy, nieumiejętność w zastosowaniu się do położenia. Dążąc na Sybir, szedł na prawach „dworianina“, to też dopiero podczas powrotu nabywał tych doświadczeń, jakie my już dawniej pozyskać mieliśmy sposobność.

Ośmnastego stycznia po gwałtownej jeździe, niezrównanymi w swej szybkości rumakami tamtych okolic, stanęliśmy w Kazaniu, a już następnego dnia rano zbudzono nas o godzinie czwartej i skuwszy pomimo protestu wspólnym łańcuchem, wsadzono na sanie i powieziono szparko lewym brzegiem Wołgi w kierunku Niżnego Nowogrodu. Pijani żołnierze, pijani woźnice śpiewali na pół nieprzytomni i, nie bacząc na drogę, zachęcali do coraz to większej szybkości, same przez się już chyże i rącze bieguny. Jazda przybrała w końcu piętno gonitwy na oślep po lodowej powłoce bezdennej rzeki. W tem niby iskrą tknięte elektryczną stanęły nagle konie, rzuciły się wstecz i cofnęły tak gwałtownie sanki, że wszyscy z wyjątkiem mnie i Borkowskiego, których wspólne trzymały okowy, wylecieli z siedzenia. Rychło

pojęliśmy grozę naszego położenia, ujrzawszy się, na, wbiegającym klinem w otwarte nurty rzeki, półwyspie lodowca, gdzie jeden jeszcze krok tylko, a bylibyśmy znaleźli niechybną śmierć na dnie głębiny. Instynkt tylko koni uratował nam życie. Rezultatem przerażenia i przekleństw, jakie spadły ze strony aresztantów na głowy żołnierzy, było zdjęcie nieprawnie nałożonych na nas kajdan.

Im bliżej Niżnego Nowogrodu, tem mniej rącze i wytrwałe otrzymywaliśmy podwody, przy których nie szły trójki w poręcz, jak to w całej Rosyi jest w zwyczaju, lecz pięć lub sześć koni zaprzężonych szydłem. Każdy woźnica trzymał w ręce po kilka krótszych i dłuższych batogów.

Kilkanaście wiorst przed Nowogrodem, zoczyliśmy rozłożysty dąb, złocistemi okolony sztachetami na pamiątkę miejsca, w którem zatrzymał się był chwilkę, wśród podróży swej, car Mikołaj.

Dwudziestego trzeciego stycznia ujrzeliśmy się w Niżnym Nowogrodzie, gdzie na etapie roiło się od naszych maruderów i pospolitych aresztantów. Pomiędzy żołnierzami było również wielu Polaków, wziętych w rekruty przed rewolucyą, lub podczas styczniowego ruchu, a ci, wolne od służby chwile, w naszem przepędzali gronie. Między innymi odwiedzał mnie Józef Lewkowicz, akademik ze Lwowa, zasądzony do aresztanckich rot, a że nie był pozbawiony prywatnych funduszów, chciał przyjść mi z pieniężną pomocą. Podziękowałem mu za uczucie braterskie, mając dostateczny zapas własnej gotówki.

Zwiedzając czyste, powabne, okazałe miasto, tegoż prawosławne cerkwie, meczety i historyczne pomniki, nieomieszkałem naturalnie wstąpić do katolickiej świątyni, wzniesionej tutaj r. 1862 przez bogatego kupca ormiańskiego, Agapita Elearowa.

Na wzmiankę zasługuje na etapie w skale kuta, głęboka, studnia z deptakiem, przy którym dwunastu, albo i więcej ludzi biegnąc, nie bez trudu wydobywa na powierzchnię wodę.

Z Niżnego Nowogrodu odbywa się dalszą podróż koleją, umieszczono nas też w wagonach, lecz w wagonach, przeznaczonych do transportu bydła, gdzie zimno doskwierało do szpiku, podczas powolnej i nudnej jazdy towarowego pociągu, który godzinami całemi zatrzymywał się po stacyach. — Nareszcie dobiliśmy do dworca w Moskwie, i cała znów pięciogodzinna promenada po ulicach miasta, wskutek umowy, zawartej, podług zwyczaju, pomiędzy konwojem a aresztantami, mającej na celu

zyskanie jak najobfitszego „podajanja“ (jałmużna), którego część przypadła potem konwojowi w udziale. Przychodzimy „do tiurmy“, starej, poczerniałej, z cerkwi, czy klasztoru przekształconej, a pierwsze spojrzenie nasze pada na dużą, żelazną klatkę, w której więziono podług podania, bohatera awanturniczych przedsięwzięć, Pugaczewa.

Zmiana obrazu; widzimy Petersburg, Newski Prospekt, „peresylny dwor“, i obszerną salę, a w niej około czterdziestu naszych więźniów. — Znać, że to więzienie stolicy, gdzie w każdej chwili może zajrzeć imperatora oko, gdyż i urządzenie sali wygodne, i czystość wzorowa, i podłoga lakierowana, i na lakierowanych narach wojłoki i poduszki z sieczki.

Jakżeż odmiennie przedstawiło się nam więzienie Wilna — ongi katolicki klasztor — dokąd zdążyliśmy ośmnastego lutego. Inaczej tutaj, niżli w Petersburgu, srożej, aniżeli w całej Rosyi. Umieszczono mnie pomiędzy pospolitymi aresztantami, będącymi w śledztwie, a tych pierwszą czynnością była próba obrabowania mnie podczas snu nocnego. Zanadto atoli wiele zapłaciłem już był frycowego w ciągu mej włóczęgi w gronie tego rodzaju ludzi, iżbym dał się wyprowadzić w pole. Chwyciłem złodzieja za rękę i powiedziałem mu kazanie, godne jego i otoczenia, w którem się znajdowałem, przemawiające argumentami swymi do poglądów i przekonań tego pokroju istot.

„Zaczekaj bratku“ — zawołałem — „nie tobie mnie okradać; idź pierwej tam, skąd ja powracam, a dopiero wtedy poznasz majstrów twojego rzemiosła. Rekrucie! nie między takimi siedziałem i wędrowałem z nimi, a nie okradli mnie; z kiepskiej wyszedłeś szkoły, skoro cię złapałem. — Wstyd Tobie! A to widzę nie macie tutaj ani odrobiny złodziejskiej ambicyi, kiedy chcecie mnie okradać.

Przeszedłem pieszo całą Rosyę i wszędzie robili nam pierwsze miejsce na narach a wy tak nas przyjmujecie. Wstyd wam i hańba!“

Śmiech i drwiny z przychwyconego winowajcy, głosy zachęty i respektu wyrazy dla mnie, towarzyszyły słowom powyższym, a gdy skończyłem kazanie, poczęli słuchacze wypytywać się o stosunki na Syberyi, o więzienie i katorgę. Zbyłem naturalnie lekceważąco młodych adeptów sztuki złodziejskiej, zbudziłem Borkowskiego, opowiedziałem mu o wypadku i przesiedziałem z nim czuwając do rana, a gdy otworzono kaźnię, zażądałem posłuchania u „smotrytela“. Wynikiem wypadku było przenie-

sienie nas do kaźni więźniów politycznych, w których gronie poznałem Kołyskę i Szubstę z Kowna. Wyjeżdżając z Wilna, otrzymaliśmy ośmiu towarzyszów rot areśztanckich Orła Pracowali oni pilnie przy robotach kolejowych, a obecnie ułaskawieni powracali w rodzinne progi. W Grodnie wysadzono z wagonu Borkowskiego i popędzono szupasem w kierunku Suwałk. Płakał serdecznie biedaczysko przy pożegnaniu ze mną, chwytał mnie za ręce, chcąc je do ust przycisnąć i jak umiał, tak szczerem sercem dziękował, za doznawaną wśród drogi opiekę.

W Warszawie, na dworcu Pragi, otoczył nas tłum ludu, podczas marszu przez miasto coraz to większe powstawało zbiegowisko, a każdy pytał skąd jedziemy i jaki cel naszej podróży, każdy prawił swoje, dowiadywał się o przyjaciół i znajomych. Wprowadzeni do koszar, spostrzegliśmy się w niechludnej, brudnej kazamacie, z grubą warstwą błota na podłodze i rojami rozmaitego plugastwa po ścianach. Jadło niżej wszelkiej krytyki, tak, iż w najpodlejszej „tiurmie" głębokiej Rosyi nie mieliśmy tego rodzaju ohydnego wiktu. Doliczywszy do tego brutalne obchodzenie się z nami nadzoru więziennego, i surowe trzymanie nas pod kluczem, otrzymaliśmy wcale niepowabny obraz położenia naszego, wśród murów warszawskiej kaźni.

Piątego marca zjawiło się w celi grono oficerów i odczytało uroczyście towarzyszom moim wyrok uwalniający ich w nagrodę gorliwej pracy wśród rot aresztanckich. Niestety, niewielu z równocześnie zasądzonych, zdołało doczekać zdrowo i cało takiego objawu łaski monarszej, spora część ich bowiem przepłaciła życiem trudy i znoje pracy, jeszcze większa po strasznych przejściach w szpitalach, schorzała, okaleczała z resztkami gasnących sił wlokła się z powrotem w domowe progi. — W pół godziny po odczytaniu wyroku, opustoszała kazamata; zostałem sam z myślami i nędzą, naokół mnie widniejącą. Prześliczna pogoda zazierała ciekawie przez okno zakratowane, świergot ptasząt, radujących się pierwszemi błyskami wiosennego słonka, dolatywał z poddasza, turkot dorożek po bruku wskazywał do późnej nocy ruch i życie w mieście, u mnie jednego tylko wśród czterech murów ponurych, głęboka cisza do rozpaczy wiodąca, niepewność dalszego losu. Codzień przy zmianie warty, pytałem się dyżurnego oficera, ażali niema rozkazu co do mej osoby, i codzień tę samą, przeczącą otrzymywałem odpowiedź, a wszelkie zażalenia i prośby moje, stereotypową: „to nie moja rzecz", wywoływały uwagę. — Dopiero trzeciego tygodnia jakiś

bardziej ludzki oficer wdał się ze mną w dłuższą pogawędkę. Opowiedziałem mu szczegółowo przebyte męki, pokazałem podrapane, owrzodzone formalnie ciało, i obudziłem litość w sercu jego. Przystąpił do przeglądania stosu papierów, do poszukiwań za memi dokumentami, lecz i śladu sprawy nie znalazł. Nie mogąc pomódz osobiście, udzielił mi rady, bym podstępnie, pod pozorem zamiaru zdradzenia ważnej politycznej tajemnicy, zwabił do kaźni pułkownika żandarmów i temu opowiedział mą dolę, prosił o ratunek.

„Albo otrzymasz od niego kilka policzków, iż ci zęby wylecą“ — dodał kończąc swe uwagi — „i dostaniesz się na cytadelę, albo jeźli ci się sztuka powiedzie, wyruszysz w dalszą drogę“.

Z bijącem sercem, z drżeniem, wyczekiwałem nazajutrz pułkownika, a każdy turkot, każdy krok na korytarzu zapierał oddech w mej piersi. Nareszcie zjawił się... zjawił się satrapa olbrzymiej postaci, o sumiastych wąsach, za nim zaś dyżurny oficer i czterech żołnierzy.

„Mów co masz mi powiedzieć!“ — zawołał przy wejściu do kaźni, — i przeszył mnie prawdziwie jaszczurczym wzrokiem z umiejętnością i wprawą właściwą carskim posiepakom.

Czułem, jak krew mi do nóg wstąpiła, jak nogi wypowiedziały posłuszeństwo, głos zamarł, a język skołkowaciał w ustach. Nawpół bezwładny, nieprzytomny prawie, plotłem bez związku i sensu, ostatecznie nie mogąc wybrnąć z położenia, szczerą i nagą wyjawiłem prawdę i na stwierdzenie słów moich poranione pokazałem ciało. Ofuknął mnie satrapa, począł gniewać się, krzyczeć, srożyć, wymyślać, ostatecznie atoli ochłonął w gniewie, przycichł, złagodniał i wydał rozkaz, by mnie odstawiono do policyi w celu dalszego zarządzenia. Pod strażą żołnierza wyszedłem z kaźni z zawiniątkiem na plecach, zaledwie jednak kawałek przebyłem drogi, kroplisty wystąpił pot na moje czoło, a na wiślanym moście zsunąłem się bezwładny na ziemię.

W jednej chwili tłumne powstało zbiegowisko.

— Patrzcie! patrzcie, naszego prowadzą — poczęto wołać ze wszech stron, gromadząc się, ku wielkiej zgryzocie żołnierza, który tymczasem zachęcał mnie do powstania z ziemi i dalszego wysiłku. — Chciałem nająć dorożkę, lecz sprzeciwił się temu mój nieodstępny opiekun, toż nie pozostało mi nic innego, jak resztką sił wlokąc się, iść pieszo w otoczeniu zastępów, dopy-

tujących się ciekawie o moje losy i przeznaczenie. Osłabiony, zdobyłem się zaledwie na kilka słów odpowiedzi, a w kancelaryi policyjnej runąłem bezsilny na podłogę. Po spisaniu protokółu z leżącym na ziemi, zawleczono mnie do kaźni, gdzie już czterech siedziało rodaków. Był tam ks. Boniewski, prowincyał OO. Bazylianów, osadzony za opór w przyjęciu prawosławia, był Studziński, zwabiony z Francyi pod pozorem amnestyi, Narzymski, obywatel ziemski, wkońcu księgarz i wydawca Dzwonkowski. Ci widząc mnie tak strasznie zbiedzonego i zaplugawionego, zajęli się mym losem, przebrali w własną bieliznę i na własnej ułożyli pościeli. Gdy odzyskałem nieco sił, stawiono mnie przed komisyą śledczą, która poczęła badać, kim właściwie jestem i skąd pochodzę, czy zdołam opisać miejscowości, wymienione jako rodzinne moje strony, i czy nie jestem rosyjskim poddanym, usiłującym wydostać się do wnętrza granic Austryi. — Po kilku dniach śledztwa i protokółów oświadczono mi, że zatrąciły się moje papiery i że zanim nadejdą z Kijowa, Syberyi i Galicyi potrzebne informacye, muszę pozostać w więzieniu.

Ot, i nowy powód do smutku i rozpaczy; tak blisko granicy i domu rodzinnego, a tak daleko od ziszczenia marzeń, ujrzenia się u celu podróży. W dodatku kłopotów, wyczerpał się mój fundusik zupełnie, gdyż musiałem wspólnie z kolegami sprowadzać wikt z miasta, płacąc po rublu za obiad, po pół rubla zaś za kawę i herbatę. Ks. Boniewski dopomógł ochotnie swoimi zapasami, zanim nadszedł z końcem marca zasiłek od mych rodziców. Tymczasem obdarzono wolnością Studzińskiego, dodano nam natomiast artystę-muzyka Boguckiego i wysłano ku granicy Ignacego Krajewskiego, który mając uporządkowane papiery, zaledwie trzy dni zabawił w Warszawie, w końcu Rydla i dziecinnego prawie wieku chłopaka, nazwiskiem Starkla. Nadeszły święta Wielkiej Nocy. Cała Polska wesołem rozbrzmiewała „Alleluja", nawet i mym kolegom więzienia nie brakowało święconego jajka, niebrakowało ciast i pieczywa; ja tylko, zgnębiony moralnie, nie dzieliłem radości drugich, w zwątpieniu przeleżałem dni kilka, głuchy na wszelkie perswazye, tak, iż w końcu więzienny lekarz, dr. Müller, musiał wziąść mnie w swoją opiekę.

Tak minęło znów dalszych kilka tygodni.

Z końcem kwietnia zwiedzał więzienia nowo mianowany policmajster. Temu opowiedziałem cały wypadek, prosząc o ratunek w nieszczęściu, i dopiero ta instancya nie pozostała bez rezultatu. Drugiego maja wyruszyłem o godzinie czwartej rano

w dalszą drogę. Na dworcu kolei warszawsko-wiedeńskiej byłem przedmiotem formalnej owacyi ze strony ziomków, a te dowody sympatyi i współczucia miłą stanowiły nagrodę, za doznane udręczenia wśród murów więziennych Warszawy.

Po pokonaniu licznych formalności ówczesnego biurokratyzmu granicznego, ujrzałem się nareszcie we Lwowie; gdzie pierwsze kroki skierowałem do ratusza, w nadziei, iż w szóstej klasie, umieszczonych tam szkół realnych, znajdę jeszcze znajomych i kolegów, zatrzymanych w promocyi, wskutek udziału w styczniowem powstaniu. Pierwszym, który po zapukaniu do klasy, wyszedł na moje spotkanie, był dobrze mi znany Kazimierz Nawarski.

Osłupiał formalnie, ujrzawszy mnie; po chwili wpadł do klasy z okrzykiem radości i wieścią o mym powrocie z Syberyi. Runęła ku drzwiom cała klasa, z profesorem Pilarzem na czele, otoczyła mnie i nuż dalej ściskać, całować, ze łzami w oczach, i wśród entuzyazmu ciągnąć do sali, z żądaniem relacyi o doznanych przygodach i przebytych losu kolejach.

Lecz czemże były te chwile wobec szczęścia, gdy w dniu piątym maja 1866 roku, mogłem upaść do nóg rodziców, całować ręce i stopy, patrzeć w rozczulone oblicza ich o pobielałym z trosk i zgryzot włosie.

Odżyłem, odrodziłem się, w nowe wstąpiłem jestestwo; a poczucie spełnionego wobec ojczyzny obowiązku, słodka to nagroda za fizyczne cierpienia i moralne katusze.



MICHAŁ NEUSTER.

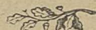
Pod Kobylanką.

Przez Łańcut, Sieniawę zdążały małe partye powstańcze na punkt zborny w lasach zakordonowych koło Kobylanki; jednej nocy nastąpiło rozdanie broni i formacya; broń była kalibrowa, przeważnie karabiny austryackie z bagnetami, amunicyi poddostatkiem. Z raportów patrolującej konnicy wiedziano już o gromadzeniu się zewsząd sił nieprzyjacielskich. Jakoż po dwudniowej swobodzie obozowej, w śliczny dzień 3-go Maja nastąpiło pierwsze starcie, atak nastąpił po południu od strony południowej naszego obozowiska. Korzyści terenu wspierały nas, bo po-

zycya nasza okolona od strony południowej grząskiemi, jak po wiosennych roztopach moczarami, z rzadkiem olchowem zalesieniem była dość nieprzystępną, zaś od strony południowo zachodniej zasłonięci byliśmy pasem granicznym, a to wzgórze któreśmy zajmowali, stanowiło zalesienie podszytej młodzieżą sośniny. Od północy był las grubopienny także sosnowy, odgraniczony dość szeroką, jasną linią rewirową. Zwycięskie w dniu tym odparcie ataku, przypisać należy także udałej dywersyi naszej konnicy na boki Moskwy. Trwało to starcie 3 do 4-ch godzin, wieczorem stały już spokojnie dwie oddzielne mogiły, a właściwie stosy poległych; większy był naszych stryjaszków.

Dnia 6. maja rozpoczęła się bitwa już całodzienna kanonadą silną, od strony owych moczarów. Z po za drzew naszej wyższej pozycyi, obrona i odparcie było tem skuteczniejsze, o ile dotkliwsze straty atakujących, spowodowane przez moskiewską artyleryę, której strzały mylnie były skierowane na własne, lasem zakryte kolumny i zdziesiątkowane — na tych moczarach kartaczami. O szczegółach tej pomyłki, opowiadał potem zbiegły artylerzysta rosyjski. Straty i po naszej stronie były znaczne, a szczególnym żalem napełniła nas śmierć młodzieńca, wychowanka szkoły batignolskiej, syna dowodzącego, wraz z Jeziorańskim, jenerała Waligórskiego. Nastąpiła może godzinna przerwa, rannych i zabitych zbieramy po lesie, gdy ozwały się znów trąbki i bębny od strony północnej; widoczny był drugi błąd taktyki rosyjskiej, atak spóźniony, niejednoczesny z poprzednim. Łańcuch strzelców naszych, ustawionych przy linii rewirowej w pogotowiu, oczekiwał już chwilę, gdy z lasu wysuwa się kompanja za kompanją w kolumnach rozpierzchłych i wrzawa bitwy zahuczała w pełni. Pod silnym naporem świeżego żołnierza, cofają się nasi w stronę bezpiecznego kordonu granicznego, gdzie oddział huzarów ustępuje głębiej, porzucając widowisko ciekawe; a nasze gęste strzały z po za granicy rażą potężnie nawałę moskiewską, pędem przelatującą przez nasz obóz i ogniska niedopalone. Walka ucicha, jeszcze nie szarzało, gdyśmy wrócili na swoją pierwotną pozycyę. Straty obopólnie wielkie; noc głucha ogarnia ogólnem przygnębieniem przerzedzone nasze zastępy, wśród cmentarzyska tylu świeżo poległych; przeraźliwy pisk sów i hukanie puchaczy wystraszonych z pieleszy rodzinnych, potęguje zadumę grobową, buchnęły jednak płomienie ognisk i jakoś nam jaśniej i weselej. Była może północ, gdy rozszedł się rozkaz, o mającej za chwilę nastąpić wyprawie, a właściwie no-

cnym napadzie, na park artyleryi rosyjskiej w pobliżu stojącej. Komendantem tej wyprawy na ochotnika był kapitan Łebkowicz i wnet stanęła falanga spora pod jego komendą. Odchodzimy na bok i przy dalszych ogniskach, urządzamy sobie ucztę śmiertelną. Wino czerwone i białe zafundował z hojnością książęcą, znany nasz opiekun — pijemy szklankami, gdy nowy rozkaz odwołał ryzykowną tę wyprawę. Skończyła się zatem na zdrowiu fundatora ta uczta. Nadmienić należy, że oprócz wina, dostały nam się i dukaty; bo fundator ów był zarazem kupcem-amatorem na czapki kozackie, które płacił złotem, a których kolekcya zdobi obecnie ściany zamku w Krasiczynie. Na drugi dzień po marszu całodziennym wzdłuż granicy, naciskami przez coraz silniejszego nieprzyjaciela, przeszliśmy do Galicyi.



PUŁKOWNIK JÓZEF OXIŃSKI.

I. Od 16 do 21 Stycznia 1863 r.

(Urywek z obszernego pamiętnika).

W dniu 16. stycznia 1863 r., wyjeżdżając ostatni raz z Warszawy, w charakterze organizatora województwa kaliskiego, miałem polecone przez Komitet Centralny, urządzić na pograniczu Poznańskiego, ale już w granicach Kongresówki, — to jest po prawej stronie Prosny — dwie stacye dla przyjęcia i chwilowego przechowania, zakupionej w Belgii broni — a następnie zajęcia się transportem tejże wewnątrz kraju.

Do pomocy w tej czynności, zabrałem kolegę swego ze szkoły wojskowej w Genui, Aleksandra Lütticha — podówczas obłożnie chorego — a którego nawiasem powiedziawszy, dopiero przy pomocy 2-ch szklanek wódki i paru studentów Szkoły Głównej, zdołałem ubrać i sprowadzić do dorożki, która nas zawiezła na pociąg wiedeński.

Nie bawiąc się w szczegółowe opisanie trudności, towarzyszących wydostaniu się z Warszawy, a wzmocnionych skutkiem przeprowadzonej, a niezupełnie udanej tejże nocy proskrypcyi — nadmieniam tylko, że położenie moje — wobec braku paszportu — gdyż tylko miałem bilet kolejowy, dostarczony mi przez Witolda Marczewskiego, jednego z ówczesnych członków Komitetu Centralnego — wobec obstawionego pociągu wojskiem

i szczegółowej rewizyi paszportów — nie było bardzo przyjemnem i tylko dzięki memu kompanowi, który mi nieraz oddał usługę — wyjechałem z Warszawy i przybyłem wieczorem do Kutna, gdzie odnalazłszy na stacyi Lütticha, udaliśmy się natychmiast ekstrapocztą do Kalisza.

Przybywszy w południe 17. stycznia 1863 do Kalisza, stanęliśmy w hotelu Peszkiego, używającego opinii niepodejrzanej, a dowiedziawszy się od właściciela tegoż hotelu, o mieszkaniu naczelnika miasta, którego nazwisko obecnie zapomniałem, udałem się do tegoż, jako wtajemniczonego w sprawę mającej nadejść broni, przez Wrocław, w Poznańskie.

Od niego dowiedziałem się, iż przed paru dniami ajent z Wrocławia, przeznaczony do przyjęcia i dalszego wytransportowania broni — doniósł mu, iż broń żadna nie nadeszła i prawdopodobnie w danej chwili nie nadejdzie, gdyż ajent drezdeński nietylko, że mu nie doniósł nic stanowczego o wysłaniu broni z Liège, lecz nadto nadmienił o jakichś pogłoskach, o przyaresztowaniu broni.

Wiadomość mi udzieloną, uważałem za tak ważną, iż wobec spodziewanego wybuchu, wskutek przeprowadzanej proskrypcyi i wobec zupełnej bezbronności narodu — donosząc o tem Komitetowi Centralnemu przez wysłańca Aleksandra Lütticha, zażądałem zarazem stanowczego rozkazu, co w danych warunkach czynić — czy mimo wszystkich niesprzyjających okoliczności popalić za sobą mosty i powstanie rozpocząć — czyli też utrzymać stanowisko powzięte na posiedzeniu Komitetu Centralnego w początkach grudnia 1862 r., to jest zająć się ochroną proskrybowanych i uzupełniać organizacyę sił narodowych.

Wysławszy ekspedycyę do Warszawy, tegoż samego dnia 17. stycznia 1863, wyjechałem natychmiast z Kalisza, gdzie dalszy mój pobyt był zbytecznym, a wobec sprytnego kapitana żandarmeryi Bergmana nawet niebezpiecznym, udając się do miejscowości wskazanych mi przez naczelnika m. Kalisza, aby urządzić stacyę składowo-transportową, dla mogącej nadejść broni, a porozumiawszy się z zarządami dóbr — niemal w najdogodniejszych warunkach położonych naprzeciw miasteczek Ostrowca i Kempna — zawiadomiłem o rezultacie naczelnika m. Kalisza i pojechałem do Sieradza dla porozumienia się i zbadania organizacyi tego miasta.

W przejeździe do Sieradza, zatrzymałem się chwilowo w miasteczku Błaszki, gdzie z powodu odbywającego się jar-

marku, znalazłem większe zebranie tak zwanych obywateli wiejskich, w jedynej restauracyi, do której na obiad wstąpiłem.

Spożywając obiad, zauważyłem niezwykłe ożywienie między współzjadaczami, a jakkolwiek chwilowo mitygowano się w ferworze dysputy, z powodu nieznanego intruza — jednakże ulegając polskiej naturze, w stanie podkrochmalenia wyjawiającej się nadto jaskrawo, o mającym nastąpić zjeździe obywatelskim i o dwoistych zapatrywaniach między zgromadzonymi, z powodu mogącego nastąpić powstania.

Świeżo przybyły w nieznane mi okolice — nasłuchawszy się od Edwarda Jurgensa (z którym od dzieciństwa łączyły mnie stosunki serdeczne, mimo krańcowych różnic w przekonaniach), że w Kaliskiem nie znajdę na nasienie „Czerwieńca“, gdyż to jest ziemia obiecana w organizacyi „Białych“, — postanowiłem wziąść udział w mającym nastąpić zjeździe — a obserwując zgromadzonych, zauważyłem jakiegoś grubasa o wyglądzie jeszcze młodym, którego zaperzona mina i podrażniona gestykulacya, wskazywały na opozycyonistę przeciw poglądom większości. Załatwiwszy rachunek restauracyjny i korzystając z chwili odosobnienia grubasa, ocierającego pot rzęsisty z czoła, podszedłem do niego, a przedstawiwszy się pod prawdziwem nazwiskiem, poprosiłem go o chwilę osobnej rozmowy, proponując mu wyjście na świeże powietrze. Znalazłszy się zdala od gwaru zajezdnego, powiedziałem mu, kto jestem, a wyłożywszy mu powody, dla których pragnę być na zamierzonym zjeździe, prosiłem go o wprowadzenie mnie na takowy.

Nadspodziewanie dobrze trafiłem, robiąc znajomość z grubasem, znalazłem bowiem w nim po parugodzinnej rozmowie, jakąśmy na świeżem powietrzu prowadzili, nietylko człowieka chętnego, do każdej uczciwej roboty i wcale inteligentnego — lecz nadto przez swe stosunki rodowe spokrewnionego blizko z niejakim p. Walewskim, w domu którego miał się odbyć zjazd, naznaczony na 19. stycznia 1863 r. o godzinie 7 wieczorem.

Otrzymawszy przyrzeczenie od p. Gałeckiego, tj. mego grubasa, iż będzie u p. Walewskiego czekać na mój przyjazd i uścisnąwszy mu rękę, wsiadłem na pocztę i udałem się do Sieradza, dokąd przybywszy nad wieczorem 18. stycznia 1863 r., przy pomocy tamtejszego poczmistrza, poleconego mi przez organizacyę Kaliską — jako wypróbowanej wartości patryotę, — odnalazłszy naczelnika miasta — po dłuższej konferencyi i dosyć ścisłem badaniu stanu organizacyi — przyszedłem do tego

przekonania, że organizacya wiejska jest mimo elementu młodszego, a tem samem ruchliwego i głośniej gadającego, zupełnie opanowana przez stronnictwo białych, organizacya zaś miejska, oparta na przechwałkach i optymistycznych przypuszczeniach, jest zaledwie w zawiązku — siły jej główne składają się bądź z młodzieży gimnazyum w Piotrkowie i Kaliszu — bądź z młodzieży szkół powiatowych, jak w Sieradzu i Wieluniu; to jest elementu moralnie wysoko stojącego, chociaż jeszcze więcej rozgorączkowanego, mogącego wobec konwulsyi miotającej społeczeństwem oddać pewne usługi moralne i w pewnych razach nawet korzystnie oddziaływać na podtrzymanie ducha narodowego — lecz jako siła materyalna nie przedstawiała żadnej realnej wartości — a takiej — w owej chwili było potrzeba. Pozostawała — można śmiało powiedzieć — w rachunku czynnym siła proskrybowanych, która była skazaną na zatracenie — a korzystnie ją używszy, można było przy jej pomocy i przychylniejszych okolicznościach pewne korzystne rezultaty otrzymać.

Na tej się sile opierając, zażądałem od naczelnika m. Sieradza danych statystycznych — dotyczących tak ilości mieszkańców w miasteczkach powiatu Sieradzkiego i części powiatu Kaliskiego, jak niemniej przypuszczalnej ilości proskrybowanych, a mianowicie w miasteczkach Sieradz, Zduńska-Wola, Łask, Pabianice, Szadek, Wasta, Uniejów, Błaszki, Turek i wypadło nam przypuszczalnie, iż na 40.000 mieszkańców w tych miasteczkach — prawdopodobnie znajduje się na liście proskrypcyjnej około 600 ludzi, biorąc zaś pod uwagę naturę człowieka, jeszcze wpół surowego — dobrego materyału pod baczną komendą — lecz niepewnego i niezdecydowanego w stanowczej chwili działania — oglądającego się tylko na siebie i najbliższe stosunki rodzinne — przepołowiłem cyfrę przypuszczalną, a zredukowawszy ją do 300 ludzi — mogłem niemal mniemać o jej ścisłości.

Zarządziwszy naczelnikowi m. Sieradza zniesienie się z resztą wymienionych miasteczek, przez pośrednictwo naczelników takowych — znajomych mu osobiście na bankietach Komitetu Centralnego. Wysłanym został jeszcze tej nocy, czy nad ranem, rozkaz polecający naczelnikom miast wziąść wszystkich kandydatów do proskrypcyi w ścisłą ewidencyę — zaopatrzyć ich w miarę potrzeby i możności w zimowe ubrania — nadto zaopatrzyć ich w braku broni palnej, w broń sieczną a mianowicie:

w siekiery, oskardy, topory i kosy; tak przygotowani — mają czekać rozkazu dalszego — udania się na punkt zborny.

Dzień nastawał, który zapowiadał się również pracowicie, przespawszy się parę godzin na kanapie i wypiwszy herbatę, wyjechałem pocztą do m. Warty.

Badając kartę topograficzną województwa Kaliskiego i mając dosyć dokładne dane o sile i rozłożeniu wojsk moskiewskich, widziałem z jednej strony, od wschodniej ściany przeciętej koleją Warszawsko-Wiedeńską, Piotrków-Radomsk-Częstochowa, aż po kraniec zachodni tj. przez Sieradz do Kalisza prawie całą środkową połać województwa — teren równy zdatny do poruszeń i operacyj większych nawet mas kawaleryi — bo przez swą dosyć wysoką kulturę rolną, dającą środki łatwiejszego zaprowiantowania się — lecz zgoła nieprzydatny dla mogących nastąpić działań oddziału z poskrybowanych — który jako przeznaczony na zatratę, winien był sobie wynaleść teren o ile można najwięcej zakryty i jak najwięcej nieograniczony — dający możność w szybkich i tajnych poruszeniach zyskać czas odpowiedni, do możliwie dobrego zorganizowania, uzbrojenia i wyćwiczenia straceńców, mogących w razie sprzyjających okoliczności, stać się kadrami dla większych sił narodowych.

Terenem takim zdawało mi się — badając kartę topograficzną — będzie ściana północna województwa — pokryta większymi i mniejszymi lasami szpilkowymi — niemal łącznymi — a przynajmniej o niewielkich przerwach — łączącymi się z lasami w południowej części województwa Mazowieckiego; mająca tę przewagę nad ścianą południowo-zachodnią w powiatach Wieluńskim i Kaliskim, iż jakkolwiek więcej leśna, ale zamknięta na małym terenie rzeką Wartą i granicą pruską — mogła stać się zatrzaskiem, dla działającego oddziału.

Rozłożone siły moskiewskie, przedstawiały korzyść dla terenu północnego — gdyż Kalisz, główna kwatera dywizyi pod generałem Bremer, jak i załogi Konina pod generałem Kostandą, Wielunia, pod pułkownikiem Pomerancow — położone na krańcach województwa — mogły tylko być użyte w skombinowanych, a tem samem trudnych i bezowocnych poruszeniach — komendy zaś w Piotrkowie pod generałem Radin i Częstochowie pod pułkownikiem Ostrowskim — mające niemal specyalną misyę utrzymania komunikacyi i bezpieczeństwa na linii kolejowej Skierniewice-Częstochowa-Łazy, nie mogły być przy długich i ociężałych marszach bardzo szkodliwe — lotnemu partyzanckiemu

oddziałowi, działającemu w leśnych, a zatem osłoniętych okolicach.

Pozostawały więc siły, z któremi należało się rachować, jako w najbliższem sąsiedztwie: komenda w Sieradzu 2 bataljony piechoty i 2 sotnie kozaków, w miasteczku Warta 2 kompanje piechoty, 1 sotnia kozaków, baterya dział gwintowych o 8-iu działach i komenda w Łęczycy, w sile 2 batalionów piechoty i 2-ch sotni kozaków, pod komendą, nie wiem jakiego starszego oficera, gdyż nigdy potem nie miałem spotkania z kolumną Łęczycką.

Z temi myślami i poglądami, przybyłem 19. stycznia 1863 r. około 10 rano do miasteczka Warty, a nie znając nikogo w mieście, wstąpiłem do cukierni, spodziewając się znaleść objaśnienia; — pijąc wódkę i zobaczywszy, iż nikogo niema, zapytałem mimochodem służącego, czy w mieście stoi artylerya, jak się nazywa dowódzca bateryi i gdzie mieszka, a objaśniony przez niego o nazwisku i mieszkaniu, które mi wskazał przez okno, dowiedziawszy się następnie o mieszkaniu pana X. będącego naczelnikiem miasta, po napiciu się drugiego kieliszka wódki, jakto mówią na courage i wyrównaniu rachunku, udałem się do wzmiankowanego artylerzysty.

Na parę dni bowiem przed wyjazdem z Warszawy tj. około połowy stycznia będąc u Potiebni, ówczesnego prezesa związku rewolucyjnego moskiewskiego „Russkaja Ziemla i Wola“, prosiłem go o wtajemniczenie w organizacyę tego związku między wojskami w województwie kaliskiem stojącymi, a ponieważ nie mógł mnie w tej chwili objaśnić z powodu, iż tą częścią kraju nie zarządzał, a jego zastępca na tę część kraju chwilowo jest nieobecny w Warszawie, przeto z powodu nagłości mego wyjazdu powiedział mi: „możesz śmiało rachować na oficerów artyleryi — wielu z nich jest w związku, a ci którzy w nim nie są, są tak przyzwoici i uczciwi ludzie, iż żaden roli policyjnej nie podejmie się“.

Na podstawie powyż udzielonego objaśnienia, wstąpiłem do mieszkania kapitana artyleryi pana Spławskiego, a oddając służącemu palto — zapytałem, czy kapitan jest w domu i czy sam się znajduje? — na twierdzącą odpowiedź, wszedłem do pokoju, gdzie spotkałem się oko w oko z młodym, około 30 lat mającym mężczyzną, o inteligentnem wejrzeniu i układzie wojskowym, pytającego mnie czystą polszczyzną: „czego pan sobie życzysz?“ — zamiast odpowiedzi, wręczyłem mu kartkę błęki-

tną, przedstawiającą mnie, jako ajenta komitetu rewolucyjnego „Ziemla i Wola“ dodając jednocześnie, iż jeżeli spotkałem uczciwego człowieka, udzieli mi żądanych objaśnień — jeżeli przeciwnie — może łatwym sposobem uzyskać jednę gwiazdkę więcej, — popatrzył na mnie uważniej i wyciągając ze skrytki swego pugilaresu, kartkę wyglądu błękitnego, wręczył mi ją za całą odpowiedź.

Przekonawszy się, iż spotkałem współtowarzysza w pracy, zwróciliśmy sobie nasze niewinne karty wizytowe, przy uścisku dłoni, a powiedziawszy mu moje legalne tj. paszportowe nazwisko Konstanty Babski i stosunek naszej znajomości, usiedliśmy z papierosami w ustach do koleżeńskiej gawędy.

Przedstawiwszy mu przypuszczalną siłę naszą czynną — i z jakich miejscowości może się ona zgromadzić, dalej o siłach i rozłożeniu wojsk moskiewskich, jakoteż moje poglądy na tereny północny i południowy, tak ze strony dodatniej jak i ujemnej, zauważyłem, iż należy w razie spodziewanej akcyi czynnej, rozpocząć ją atakiem na Wartę, uważając tę komendę za najsłabszą, a zatem przedstawiającą najwięcej szans powodzenia, a przedewszystkiem jako leżącą na głośnej przeprawie na rzece Warcie, ze stałym mostem; przez zniesienie tej komendy nietylko powstanie nabiera siły materyalnej, w zdobytej broni i amunicyi, lecz głównie zdobywa ułatwioną swobodę ruchów po obu brzegach Warty, bo posiadając mosty stałe na Warcie, w Uniejowie i Kole, daje możność swobodnego działania w północnym terenie.

Słuchając mnie uważnie i badając kartę topograficzną, uznał moje poglądy za racyonalne i zasadniczo zgodził się z udzieleniem swej pomocy, a objaśniwszy mnie o sile i rozłożeniu kolumny, rozkwaterowanej po 2 lub 3 żołnierzy pieszych, po zimowych kwaterach u mieszkańców miasta, o 85 kozakach stojących w swych stajniach i koszarach na wylocie miasta, o artyleryi z jaszczykami ulokowanymi i zapakowanymi w szopach z drugiej strony miasta, zdolnej, zaledwie po upływie 3-ch godzin do akcyi czynnej; nadmienił, iż siła 300 zdecydowanych ludzi — wobec pełni zaufania pokojowego, ze stron komendy wojskowej i zimowego rozkwaterowania piechoty i artyleryi, mogłaby być zupełnie wystarczającą, gdyby powzięty plan działania został skrupulatnie wykonany, i gdyby nie stanęły na przeszkodzie niespodziewane i niekorzystne okoliczności.

Obmawiając dalszy plan działania — postanowiliśmy:

1) proskrybowanych i zorganizowanych pozostawić w mieście i tajnie przygotować dla nich siekiery i topory;

2) na parę godzin przed wybuchem, mają się znajdować pod pozorem odwiedzin u gospodarzy domów, w których kwaterują żołnierze, aby w chwili sygnału jadącej i trąbiącej poczty „mazura“ roztworzyć drzwi wchodowe do domów i wraz z przybyłymi proskrybowanymi bądź wyciąć, bądź uspokoić znajdujących się na kwaterach żołnierzy;

3) na koszary kozackie i stajnie, przeznaczyć 30 ludzi uzbrojonych w broń palną i siekiery, którzy obstawiwszy drzwi i okna, niedopuściliby wyjścia żadnemu kozakowi, zabijając bez litości, usiłujących się wydostać;

4) na szopy artyleryjskie przeznaczyć 25 ludzi uzbrojonych w siekiery i przynajmniej 5-ciu strzelców w dobre dubeltówki, a zgładziwszy w cichy sposób pod osłoną nocy szyldwachów, osadzić drzwi i okna i nie wypuścić nikogo żywego na zewnątrz.

W razie pomyślnego udania się napadu na piechotę, uzbrojony w zdobytą broń oddział straceńców, poprowadzonym zostanie do koszar kozackich i artyleryjskich, dla ich zupełnego opanowania, a po uskutecznieniu tego i zorganizowaniu oddziału, wejdzie on wraz ze mną pod komendę rzeczonego kapitana.

Tak obmyślony plan postępowania, potrzebował ścisłego i terminowego działania, a nieświadomość decyzyi Komitetu Centralnego, stanowiła główną przeszkodę, w stanowczem postępowaniu.

Widziałem gorliwy współudział ze strony kapitana Spławskiego, jego inteligencyę i stanowczy sposób zapatrywania się na sprawę, otrzymałem nadto z jego strony zapewnienie, iż w terminie wybuchu, (o którym go miałem na 24 godzin poprzednio zawiadomić), sprosi on do siebie wszystkich kolegów, t. j. oficerów i junkrów na ucztę koleżeńską, zawiadomi związkowych w tej komendzie 2 oficerów i 2 junkrów o spodziewanej chwili wybuchu, przestrzeże ich o potrzebie trzeźwości z zachowaniem pozorów pijaństwa — aby tak zebranych wszystkich oficerów komendy w stanie opiłym, oddać pod rozporządzenie powstańców, sam bowiem jako kolega z kolegami, a przedewszystkiem jako uczciwy człowiek — wzdrygał się od wszelkiego doraźnego postępowania.

Pragnąc plan ułożony w danej chwili wykonać, potrzeba było choć częściowo do niego się przygotować i dlatego żegna-

jąc kapitana S., a raczej mówiąc, do niedługiego widzenia, wyszedłem z jego mieszkania i udałem się dla odszukania naczelnika miasta. Mając jego adres — w małem miasteczku — nie trudne zadanie i dlatego też po kwadransie znalazłem go w mieszkaniu, używającego siesty popołudniowej.

Przedstawiwszy mu papiery, określające mój charakter urzędowy, zapytałem go, czy otrzymał polecenie, co do przedwstępnego zajęcia się proskrybowanymi, a na twierdzącą odpowiedź, iż przed trzema godzinami otrzymał kuryerem podobne polecenie i w składzie żelaza zakupił dla robotników, wycinających las pod Tuliszkowem i karczujących takowy, 48 siekier i toporów, oraz 25 oskardów, ma tem samem dostateczne uzbrojenie dla proskrybowanych a nadto posiada 6 sztuk broni palnej myśliwskiej, w dobrym stanie, przez związkowego ślusarza „myśliwca" przejrzanej i oczyszczonej i do nich po kilkanaście funtów prochu i grankulek oraz kapiszonów.

Uradowany, iż znalazłem tak gorliwego wykonawcę i pragnąc posunąć się w dalszych przygotowaniach, oświadczyłem mu w myśl ułożonego programu z kapitanem S., aby ludzie proskrybowani, starali się wejść w stosunki bliższej znajomości bądź z gospodarzami domów, bądź z mieszkającymi u nich lokatorami, bez zwrócenia uwagi, a bywając u nich obznajmiali się z rozkładem domu i jego wychodami, a szczególniej z kwaterą żołnierzy; jednem słowem, żeby byli jak w domu u siebie, mogącymi trafić wszędzie, choćby po omacku — a gdy zadziwiona mina gospodarza dała mi poznać pewne, rodzące się ciekawości, na co to wszystko, oświadczyłem mu, przypominając jego stanowisko urzędowe i patryoty polskiego, iż może nadejść chwila i to niedaleka, w której proskrybowani zamiast się udać na punkt zborny i tam ogłosić powstanie narodu Polskiego i walkę z Moskwą, muszą w tej chwili pozostać na miejscu, uzbrojeni w topory i siekiery, schowane pod ubraniem, pilnując w dniu i godzinie oznaczonej sygnału t. j. trąbki pocztyarskiej grającej „mazura" i czekając przy drzwiach przymkniętych, aby cicho i z wszelką ostrożnością wpuścić przybyłych z prowincyi proskrybowanych, zaprowadzić ich do kwatery żołnierskiej i razem z nimi pozabijać Moskali, w cichości, bez żadnego krzyku.

Uważałem, że memu naczelnikowi miasta ścierpła skóra — tłumaczyłem mu tego niezbędną potrzebę i korzyści stąd wynikające, a widząc z miny, iż otuchy nabiera, kazałem mu natychmiast zająć się pierwszą częścią instrukcyi; a widząc iż przy-

tomnieje i nabiera fantazyi, zaproponowałem mu przechadzkę po mieście, gdyż jako główny aktor, chciałem się osobiście zapoznać z topografią miasta. Przeszliśmy rynek i obok kwatery komendanta, pułkownika niemieckiego jakiegoś nazwiska, przed którą stał jedyny szyldwach; przyczem towarzyszący mi naczelnik miasta wskazywał domki kwaterujące żołnierzy, weszliśmy w ulicę prowadzącą w stronę Sieradza, a dalej w stronę Szadku i nakoniec w stronę przez Staw i Opatówek do Kalisza, gdzie piechota moskiewska była rozkwaterowana, a dalej zwiedziwszy już po za miastem położenie koszar kozackich i artyleryjskich, przekonałem się, iż plan przyjęty do ataku Warty, jest zupełnie zastosowanym do rozłożonych sił moskiewskich; z 300 karnymi żołnierzami, przy użyciu pomocy ze strony mieszkańców, przedstawiał wszystkie warunki natychmiastowego powodzenia. W warunkach jednakże obecnych, przy braku ostrożności niezbędnej, nagromadzenie piechoty na jednym prawie punkcie, chociaż rozlokowanej po osobnych kwaterach, mogło poważne przedstawiać niebezpieczeństwo. Przeczuwając rozmaite przeszkody i widoki bardzo wątpliwe na przyszłość, szedłem zamyślony nad dalszym programem działania, gdy turkot nadjeżdżającej nejtyczanki wyrwał mnie z chwilowego pognębienia.

Siedział na niej znajomy młody obywatel wiejski, niejaki p. Jabłkowski, mieszkający w wiosce o parę mil od Warty położonej, a którego poznałem na stacyi w Kutnie, jako szkolnego kolegę Lütticha. Gdy mnie zobaczył, widocznie zaraz poznał, bo zatrzymawszy bryczkę, zeskoczył z niej, a zbliżając się do mnie przemówił: „dobrze że pana spotykam, mam bowiem komis dla pana“, a domawiając tych słów, wręczył mi kopertę zaadresowaną pod paszportowym adresem, pisanym ręką Lütticha.

Przeprosiwszy p. Jabłkowskiego i cofnąwszy się pod bramę przyległego domu, zdołałem jeszcze przy zapadającym zmroku przeczytać, iż przesyła mi zapieczętowaną odpowiedź Komitetu Centralnego, powrócił dzisiaj z Warszawy i leży chory u pana Jabłkowskiego; w liście zaś Lütticha znalazłem zapieczętowany zwitek niebieskawego papieru z pieczęcią „Komitet Centralny“ z następującem poleceniem:

Poleca się obywatelowi przygotować i zrobić powstanie narodowe w nocy z dnia 21 na 22 stycznia r. b., dalsze zaś instrukcye nadesłane zostaną. — Rozkaz był jasny i stanowczy.

. . . .

II. Pierwsze potyczki.

(Urywek z pamiętnika).

Głusza po za moim oddziałkiem, panująca w reszcie województwa kaliskiego, takaż sama martwota, panująca w sąsiednich powiatach województwa mazowieckiego, brak wiadomości, z reszty kraju, lub też czasami przesadne wieści, nadchodzące z południowych województw, zdawały się przekonywać, że ukręcenie bicza z piasku jest niemożliwe; chyba, żeby go oblać tak serdecznie krwią, żeby stworzyła z niego dobry cement, — tej krwi może potrzeba, — postanowiłem więc działać zaczepnie. — Chciałem kawaleryę wzmocnić przynajmniej do 100 koni, chciałem strzelców nauczyć wsiadać na koń za plecy kawalerzysty i zsiadać z niego, chciałem stworzyć oddział lotny i wyćwiczony, z którymby można było urządzać nocne napady na wysunięte czaty i placówki komend moskiewskich, dla ich ciągłego i w różnych punktach alarmowania, a wysłanych w pościg, bądź kozaków, bądź przysłaną inną kawaleryę, przyjąć znienacka ogniem zsiadłej z koni i ukrytej piechoty, aby nawróconą swą jazdą do reszty rozbić zmięszanych i spłoszonych kozaków, a zdobycz czy w broni czy w koniach odwieźć do obozu, aby służyła Lüttichowi do uzbrojenia i wyćwiczenia nowych i większych oddziałów.

Myśl ta jakkolwiek nie nowa, bo już ją nasz jedyny i dzielny Stefan Czarniecki wielokrotnie wprowadzał w życie, tak mi do serca przypadła, iż, wyłożywszy ją z wszelką możliwą ścisłością Lüttichowi (co prawda, zawsze zgadzającemu się na wszystko), zamierzałem z dniem jutrzejszem przystąpić do pracy przygotowawczej, gdy rozkaz, nadeszły od Ruckiego, popsuł mi moje zamiary.

Rozkaz był stanowczy i wyraźny, miałem się udać z oddziałem w okolicę Prażki, do miejscowości obok niej leżącej, i czekać, a po przybyciu transportować broń tak pieszą, jak i kawaleryjską w głąb kraju. Rozkaz był wprost głupi a zarazem i niebezpieczny; po głębszem i krytycznem zbadaniu przedstawił niemal pewność, nie tylko zniszczenia oddziału, lecz i zatracenia transportowanej broni. Zatrzymując kuryera, odpisałem przez niego Ruckiemu, podnosząc całą niewłaściwość rozkazu z powodu, iż ruchy oddziału, nim się ten dostanie do zachodnio-południowego terenu, przechodząc kilka mil drogi wśród lesistej

okolicy, gęsto pokrytej osadami, nie mogą być ukrytymi, muszą wywołać ze strony komend moskiewskich, Kalisza, Wielunia, Sieradza, ruch dośrodkowy, że, przyparty temi kolumnami do granicy, musi albo uledz przewadze sił i być rozbitym, albo być wypartym za granicę pruską, że bezpieczeństwo transportu broni polega w danym wypadku, nie na osłonie zbrojnej, bo tej praktycznie jakby nie było. Oddział mój bowiem nie reprezentuje, urojonej przez włościan a przyjętej prawie za pewnik przez Moskwę, siły 2000 ludzi, lecz faktycznie 92 strzelców, niedokładnie wyrobionych, gdyż chyba żaden oficer nie może seryo brać w rachunek kosynierów i kawalerye, świeżą, bez uzbrojenia i niewyćwiczoną, co najwyżej uważać ją może za przygotowaną rezerwę dla przyszłej kampanii. Transport broni, jeżeli ona nadejdzie, powinien odbywać się drogą kontrabandy, jak wszystkie towary wchodzące przez granicę, które, nie chcąc opłacać cła granicznego, są dalej przewożone lub przenoszone. Tego najlepszymi wykonawcami są nasi bracia, wyznania mojżeszowego, jako fachowcy, naczelnik zaś miasta Kalisza, jako ze sprawą sprowadzania broni obznajmiony, może udzielić odpowiedniej pomocy.

Rankiem około 8-ej, 20 lutego 1863 r. tenże sam kuryer przybył i przyniósł mi pisemny, stanowczy rozkaz, z pieczęcią naczelnika sił zbrojnych województwa Kaliskiego, polecający mi natychmiast udać się w okolicę Prażki i wypełnić rozkaz z 19. lutego 1863 r.

Rozkaz był wyraźny, w wojsku potrzebne jest ślepe posłuszeństwo, rezonowania niema, albo tak ciche, jak kiwanie palcem w bucie, — przeto rozkaz spełniłem.

Marsz wykonałem z możliwą tajemnicą i ostrożnością, nie przechodziłem płaszczyzn bezleśnych, w powiecie Kaliskim, lecz biorąc kierunek na Wrzeszczowice, bokiem Łasku i Widawy, przeszedłem Wartę pod Burzeninem i, bokiem Złoczewa przez Niemajew, przybyłem nad ranem 23 lutego 1863 r. do Czastar, między komorami granicznemi, Wieruszów i Bolesławice, gdzie stanąłem obozem i gdzie miałem się dowiedzieć o nadeszłej, czy nadejść mającej broni.

Po trzynocnym, ciężkim marszu, przy niedostatecznej żywności, oddział gwałtownie potrzebował wypoczynku i odżywienia, a tymczasem, zapędzony nieszczęsnym rozkazem w sam pas graniczny, mając na oczach snujących się „objeszczyków", spełniających straże w swym granicznym rejonie, z tyłu, zaledwie

o $2^1/_2$ mili, komendę Wielunia, z prawej Kalisz i tuż będąc pod granicą, niewiedząc jak długo mam czekać i na co, byłem zgnębiony i przyrównywałem dolę mego, zmęczonego i prawie na jatki skazanego oddziału, do doli psa wrzuconego do studni, z której ani wypić wody, ani wyskoczyć nie może. Kląłem, jak opętany, wszystkie sztaby i wszystkie polecenia, z zielonego stołu wychodzące, oparte bardzo często, nie na rzeczywistych danych, lecz na urojonych: „zdawało mi się". Lecz czas schodził a jeść się coraz więcej chciało, wysłałem do dworu dwóch kawalerzystów, najprzyzwoiciej, po filistersku, odzianych, tylko z rewolwerami w kieszeniach, z poleceniem napakowania wozu żywnością i przywiezienia go, nie końmi, lecz zaprzężonymi doń dwoma wołami, i dawszy im kartkę, prosiłem zarządcę majątku, aby, jeśli co wie o mającej nadejść broni, przybył do mnie sam z wiadomością.

Około południa nadjechał wóz z żywnością i z moimi kawalerzystami. Kazałem oba woły zabić, ugotować i zjeść, a zdziwiona mina parobka, któremu jego robocze bydlęta tak nijako zmarniały, dopiero się jakoś poprawiła, po wypiciu paru blaszanek przyniesionej wódki, zakąszonej kawałem słoniny.

Kiedyśmy, już mrokiem, zasiadali do obiadu, nadjechał p. zarządca, a przeprowadzony przez straże i przeprosiwszy za tak późną wizytę, powiedział mi, iż przed paru godzinami otrzymał zawiadomienie z Prażki, w którem donoszą mu, iż o żadnej przesyłce broni, obecnie niema ani mowy, że może ona przybyć najprędzej w początkach marca, lecz nic niema jeszcze zdecydowanego, czy broń przesłaną będzie na przykomorek Prażka, czy też na Bolesławice lub Wieruszów. Pytał mię o radę, a ja mu odpowiedziałem, iż powinien robić to, co mu jego, niezależna odemnie, organizacya poleci; a co do mnie, powiedziawszy mu, że bliskie sąsiedztwo Wielunia, każe mi się nieco oddalić, i że w razie ważniejszej wiadomości, może mnie znaleść w Kuźnicy-Grabowskiej, lub jej okolicach; pożegnałem przybyłego i zwróciłem się do oddziału, zapytując wręcz, zgromadzonych jeszcze przy kociołkach, żołnierzy, czy czują się wypoczęci i czy mogę na nich rachować, że zrobią 4 mile drogi w nocy, o jednym wypoczynku. Na potwierdzającą odpowiedź, że zrobią, urządziwszy kolumnę pochodową czwórkami i stawiając kosynierów w środku, a na przodzie i tyle po plutonie strzelców, sam, o jakie 50 kroków, na przodzie z przewodnikiem i pół plutonem ułanów, drugą zaś połowę plutonu pozostawiając Lüttichowi

dla tylnej straży, ze szpicami i bocznemi strażami z flankierów, wyruszyłem w pochód, zalecając cichość i ostrożność; byliśmy bowiem w pasie granicznym, w kraju, przebieganym przez „objeszczyków“, znających go dokładnie, wszystkie jego kąty i drożyny, potrzeba więc było spodziewać się w każdej chwili spotkania. Ścieśniłem więc oddział i opatrzyłem, ażeby być na wszystko przygotowanym.

Marsz jednak wypadł spokojnie, a trzymając się kierunku Sokolniki, Ostryhary, Maszynty i Czajków, omijając zawsze osady, przybyłem nad ranem do Kuźnicy Grabowskiej i umieściłem oddział w zabudowaniach folwarcznych, dając mu, od początku powstania, pierwszy raz wygodniejszy, pod dachem wypoczynek i obfitszy posiłek; a robiłem to wszystko na rachunek p. hr. Raczyńskiego, w majątku którego stałem, a który dał się słyszeć, iż, gdyby wiedział, że który jego nerw jest polski, kazałby go sobie wypruć.

Dawszy 24 godzin, dosyć wygodnego, wypoczynku i nakarmiwszy dwukrotnie żołnierza obficie, wyszedłem 25 lutego rankiem, około 7-ej, z postanowieniem złożenia wstępnej wizyty jenerałowi Bremer w Opatówku, jako poczekalni, gdyż ten pan miał zapowiedzieć, po drugim, nieudanym marszu koncentracyjnym, że już więcej za Oxińskim nie pójdzie i jeżeli on się chce bić ze mną, niech przyjdzie do mnie, do Kalisza.

To rycerskie wyzwanie nie byłoby może tak skutecznie oddziałało, bo nie czułem w sobie kawalerstwa Don Kiszota, a nadto miałem jeszcze w pamięci z „Pana Tadeusza“ pojedynek hrabiego z Rykowem, z figurą Płuta, schowanego za kołnierzami jegrów, gdyby nie to moralne przekonanie, że samemu sobie jestem zostawiony i że potrzeba starać się o broń i ludzi, żeby wzmocnić oddział i uczynić go odporniejszym.

Przyszedłszy do Opatówka w południe i wysunąwszy konne straże w stronę Kalisza i Turka, a resztę oddziału koncentrując w rynku, zająłem część pieniędzy z kasy miejskiej, będących własnością donataryusza Fundukleja, a za co się ten porządny człowiek, choć Moskal nie gniewał; zabrawszy co się udało broni, amunicyi, żywności, oraz dostawszy w prezencie od fabryki Fidlera trzy postawy sukna szaraczkowego na mundury, po nakarmieniu ludzi i koni, gotowy byłem do wymarszu, gdy strzały po za miastem, od strony Kalisza, i wpadająca konna czata zaalarmowały oddział.

Dowiedziawszy się od czaty, że kawalerya pędzi od strony Kalisza, dałem rozkaz kompanii strzelców, udania się za mną, a stawiając ich frontem do ulicy, od Kalisza idącej, na wylocie z rynku i ledwie czas mając powiedzieć im, żeby strzelali celnie i w brzuchy szeregami, gdy pełnym biegiem pędzący, oddział „objeszczyków“ wybiegł z zakrętu ulicy i szedł wprost na nas. Zakomenderowałem: „cel, pierwszy szereg pal“, lecz, czy huk kopyt pędzącego oddziału zagłuszył mą komendę, czyli też, co prawdopodobniej, gorączka, młodego i niewyćwiczonego żołnierza, porwała go, jak pod Klonowem, dość, że cała prawie kompanja, zajmująca frontem szerokość ulicy, dała równocześnie ognia obu szeregami, a mierząc w głowy i górując, zwaliła z koni zaledwie 4 „objeszczyków“. I znowu powtórzyło się u Moskali to, co się stało pod Klonowem, zamiast korzystać z pełnego rozpędu koni i wpaść, z odległości zaledwie 30 kroków, zawrócili, a pokazując plecy, zniknęli nam, jak burza, z przed oczu.

Zanim zdołałem usunąć pomięszaną bezładnie piechotę na boki ulicy i zarządzić pościg kawaleryi za uciekającymi, upłynęło kilka minut, wystarczających jednak aby zabezpieczyć uciekających od skutków pościgu. Wrócił pościg bezskuteczny, a ja, zamiast obfitego łupu, zdobyłem 4 karabiny z ładownicami i 4 pałasze, konie bowiem nawet po zabitych złączyły się z uciekającymi kolegami.

Uzbroiwszy 4-ma karabinami ludzi 1-go plutonu i wzmacniając go 4-a kosynierami, zamienionymi na strzelców, a 4 pałasze, rozdając pierwszemu plutonowi kawaleryi, nakazałem wymarsz, lecz gdzie? Nie było wyboru, rozkaz był wyraźny, trzeba było pilnować granicy i niby spodziewanej broni, bo, gdyby nie ten rozkaz, zadanie było do wykonania; marsz na Koźminek, Strzałków, Dobrę do Mniejowa, wyprowadzał mnie z zatrzasku i wprowadzał w obszerny, leśny, teren północny, nie dopuszczając dośrodkowego działania kolumn moskiewskich.

Lecz rozkaz był wyraźny, powróciłem przeto na dawne stanowisko t. j. do Kuźnicy Grabowskiej, strudzonemu, 7 milowym marszem, żołnierzowi, dając trzygodzinny zaledwie wypoczynek, kazałem jedzenie gotować, aby nakarmiony żołnierz był gotów do wszystkiego.

Po 5-ej rankiem, 26 lutego 1863 r., gotowy byłem do wymarszu i kazałem się kolumnie pochodowej sformować, gdy strzały czat, od strony Sieradza stojących, zawiadomiły mnie

o zbliżającej się Moskwie. Zarządziwszy zebranie czat i oddając Lüttichowi sformowaną kolumnę sekcyami, od prawego z kosynierów, osłoniętą z przodu i z tyłu, po połowie, 2-im plutonem strzelców, wpośrodku z dwoma wozami, wiozącymi owe 3 postawy sukna, oraz zapasy i. rekwizyta obozowe, kazałem mu maszerować do Klonowa, a obsadziwszy pierwszym plutonem strzelców Kuźnice i młyn przy drodze leżący, i osłaniając tym sposobem marsz kolumny, wstrzymałem zarazem napór 2-ch sotni kozaków i dozwoliłem się oddalić kolumnie na jakie 600 kroków.

Wysuwające się z lasu zastępy moskiewskiej piechoty, wskazały mi, że nadszedł czas do cofania się, żeby nie być odciętym od swojej kolumny, uformowawszy przeto mą kolumnę, a mianowicie: w środku pluton strzelców w 2 szeregi, pierwszy o broni daleko strzelającej, drugi uzbrojony w dubeltówki, mając po skrzydłach po pół plutona ułanów, w jeden szereg uformowanych, osłoniętych kolumnami flankierów, rozpocząłem odwrót, a dając rozkazy porucznikom kawaleryi Kosmowskiemu v. Krosnowskiemu i Skrzyńskiemu do sformowania swego frontu na jednej linii, w tyle piechoty na 50 kroków, zaleciłem im, aby na każde machnięcie przezemnie chustką białą, prowadzili samą kawaleryę do ataku na flanki kolumny moskiewskiej, na każdy zaś świst mojej gwizdawki, zarządzali odwrót spokojnie, przy ustępowaniu używając zwykłej komendy: „trzema na prawo, w tył zajdź, marsz!“, a przy formacyi frontu: „trzema, na lewo, do frontu zachodź!“

Tym szykiem stając do odporu i tym szykiem spokojnie ustępując, odparłem na przestrzeni 2-ch przeszło wiorst, gołej równiny, oddzielającej osadę Kuźnicę-Grabowską od lasu, 3 ataki kozactwa, sformowanego prawdopodobnie plutonami, lecz w chwili zbliżenia się, pod dosyć celnym ogniem, przedstawiającego jedną, nieregularną pędzącą i wyjącą kupę. Bez żadnej straty z naszej strony, w dwóch pierwszych atakach, niedopuszczając nawet do strzałów drugiego szeregu piechoty, a dając tylko podwójne salwowe strzały pierwszym szeregiem, na dystans 400 i 200 kroków, po drugiej bowiem salwie, widok poruszającej się naszej kawaleryi, mającej uderzyć na flanki, zawracał w pędzie wyjące kozactwo, a nam dawał możność cofnięcia się o jakie 300 kroków. Przy trzecim dopiero ataku, wyjące kozactwo, mając już oparcie w nadbiegającej piechocie, uderzyło śmielej i, nie wstrzymane drugą salwą pierwszego szeregu, pędem dobiegło na odle-

głość 50 kroków, a przyjęte śmiertelnym ogniem dubeltówek drugiego szeregu i mając, zaledwie o 30 kroków, na flanki uderzających ułanów, zawróciło, pozostawiając kilku zabitych i rannych na placu.

Resztę przestrzeni spokojnie przebyłem i, zająwszy kraj lasu, przysposabiałem się na przyjęcie nadciągającej piechoty moskiewskiej, a biorąc do siebie 2-gi pluton strzelców i oddając Lüttichowi kawaleryę, z wyjątkiem 10-ciu flankierów, zatrzymanych dla rozjazdów, poleciłem mu cofać się w wyznaczonym poprzednio kierunku, a dla ułatwienia poruszeń w gęstwinach leśnych, kazałem mu zabrać z wozów amunicyę i żywność i rozdzielić je między kosynierów, wozy zaś z dużymi kotłami i trzema postawami sukna oraz mniej potrzebnemi rupieciami, gdzieś, w bagnach, zatopić. Zwróciwszy się do moich strzelców, podziękowałem pierwszemu plutonowi za ranne dobre popisanie się, a zapewniwszy, że to tylko była ranna przygrywka i że dopiero teraz rozpocznie się prawdziwa robota, rozstawiłem ich w dosyć gęsty łańcuch tyralierski trójkami, w każdej 1-go o broni dalekonośnej a 2-ch o dubeltówkach, i zostawiając w tyle po za skrzydłami po 15-tu strzelców, jako rezerwę, a w tyle środka 10 flankierów, zaleciłem, ażeby dopiero po dwukrotnym świście mej gwizdawki, rozpoczynali strzelcy, w dubeltówki uzbrojeni, swój celny, w brzuchy mierzony, ogień. A tymczasem, już od kilku minut, trwała gęsta strzelanina tyralierów moskiewskich, którzy, z odległości jakich 800 kroków, rozpoczęli ogień, wspierani bliższym znacznie, flankowym janczarek kozackich. Zdawało się, że ta strzelanina, nic nie szkodząca, poprawia tylko humor strzelcom, gdy niedaleki głos wrzasnął: „uciekajmy!“, chwilowy popłoch, więcej zdziwienie, niż panikę wyrażający, uspokojony natychmiastowym wystrzałem.

Trup, wołającego: „uciekajmy“, uspokoił i przyprowadził wszystko do porządku. Człowiekiem, który tak przytomnie działał, był młodziutki chłopiec, 15 letnie dziecko, nazwiskiem Kotnowski. Przed kilkoma dniami, przechodząc i zatrzymując się w wiosce jego rodziców, wyrywającego się, gorącego chłopaka, do powstania, ojciec jego a głównie ładne i młodziutkie jego siostry, jak nasze, niemal wszystkie, Polki, gorące patryotki, wtłoczyły mi go w szeregi, prosząc o zaopiekowanie się; uczyniłem to z chęcią. Niedługo to jednak trwało, wysłany bowiem przezemnie, w kilka dni po rozprawie Kuźnica-Grabowska, na zwiady, został ujęty przez włościan i zaprowadzony do Moskali,

którzy, bawiąc się nim, przetrzymali go u siebie przez całe powstanie.

Ale wracajmy do rozprawy Kuźnickiej. Linia tyralierska moskiewska, wspierana, o jakie 300 kroków w tyle, kolumnami piechoty, zbliżyła się do nas, na jakie 400 kroków, pojedynczy świst gwizdawki oznajmił, iż strzelcy, w dalekonośną broń uzbrojeni, mają podług danej im poprzednio instrukcyi, dowolnie strzelać. Rozpoczęła się wymiana ołowiu, byliśmy sowicie ale bezskutecznie obsypywani. Strzelanina już trwała pół godziny, bez żadnego widocznego postępu, to mnie zastanowiło, kazałem 5-ciu flankierom wyjechać na kraj lasu, od strony zachodniej, zobaczyć, co się tam dzieje, i donieść mi natychmiast.

W pół godziny, powrócili pędem, donosząc mi, iż jakaś duża kolumna piechoty zbliża się do lasu; nie było co czekać, chciano mnie otoczyć. Na trzykrotny świst mej gwizdawki, linia tyralierska cofnęła się pospiesznym krokiem, a po półgodzinnym marszu, ciągle zwartym lasem, przeszedłszy łąkę dosyć bagnistą, na paręset kroków szerokością i długością swą las przecinającą, zająłem i rozstawiłem linię tyralierską, jak poprzednio, tylko ją więcej ścieśniając i wzmacniając rezerwami strzelców. Ściągnąłem kosynierów, a korzystając z falistości terenu, umieściłem ich w 2-ch kolumnach atakowych po za strzelcami. Kawaleryę zaś pomieściłem z boku na tyle kosynierów, przy prawej ułanów, przy lewej, flankierów.

Zaledwie rozłożyłem, uszykowany w ten sposób, oddział i wydałem oficerom stosowne instrukcye, gdy, wysypujący się z przeciwnego kraju lasu na łączkę, łańcuch tyralierów moskiewskich wywołał z mej strony świst gwizdawki jednorazowy, w odpowiedzi na który dały się słyszeć pojedyncze wystrzały, praca mych strzelców. To jednakże nie powstrzymało dalszego posuwania się tyralierów moskiewskich, dopiero, gdy zobaczyłem ich na odległość 100 kroków i gdy wydałem dwurazowy świst gwizdawką, celny ogień mych strzelców, uzbrojonych w dubeltówki, zatrzymał ich a następnie zepchnął z łączki pod osłoną lasu. Po kilkuminutowej przerwie ognia, której Moskwa użyła do sformowania odpowiedniego frontu, widząc z poprzedniego starcia, że mamy tylko same dubeltówki a zatem broń niedalekonośną i w ich odległości prawie nieszkodliwą, utworzyli front rozwinięty z 4-ch kompanii piechoty, w jednej linii, tuż na kraju lasu, ale jeszcze pod jego osłoną i, na sygnał dany, rozpoczęli nas obsypywać, piekielnym, rotowym ogniem. Gdyby nie naturalna

osłona z gruntu i lasu, zasłaniająca naszego, na ziemi leżącego, strzelca, połowa strzelców mogłaby nie wstać z ziemi, gdyż strzały piechoty moskiewskiej, starej i wyćwiczonej, a nadewszystko strzelającej, jak do tarczy (stała bowiem po za linią naszych strzałów), prowadzone były tak prawidłowo, że wyżej pasa nie sięgały i zdawały mówić, że i polska dusza siedzi w brzuchu.

Po półgodzinnym, piekielnym ogniu, który miał nas przetrzebić i zdemoralizować, nastąpił atak, lecz, zamiast w kolumnach atakowych, osłoniętych, co najwyżej, słabą tyralierką, wykonany został zgęszczoną tyralierką, o sile 2-ch kompanii piechoty. Czekałem na to, a przypuściwszy na 100 kroków, kazałem dać ognia, 12-tu nieparzystym a później parzystym, tak, że zachwiali się i cofnęli się do swego lasu, zostawiając za sobą kilkunastu zabitych i rannych. Jeszcze raz próbowali ataku i jeszcze raz bliżej podeszli, a zawsze głupstwo robiąc, używając, zamiast kolumn, frontu rozsypanego. Na widok jednak wychylających się kolumn kosynierskich cofnęli się pospiesznie, pozostawiając na łączce zwiększoną ilość trupów i rannych. Łączka zaś była tak gęsto okryta papierem wystrzelonych ładunków, iż mogło się zdawać, że świeżo śnieg padał. Wrócili więc do poprzedniej taktyki. Rozwinąwszy na całej linii gwałtowny, rotowy ogień, pod zakryciem którego, sformowawszy kolumny, chcieli dalszem obejściem naszego lewego skrzydła i uderzeniem na tyły, zbić nas z pozycyi. Ruch ten udał im się, skoro bowiem moi flankierzy donieśli mi o poruszeniu na lewem skrzydle, nakazałem odwrót w tym samym porządku, zasłaniając oddział linią tyralierską z rezerwami, postępującemi na przodzie, w środku i po skrzydłach.

Nie ścigany, gdyż z osłoniętego terenu falistością nad łąką, cofałem się pod gradem rotowego ognia, obsypującego nas obficie gałązkami drzew i drzazgami oderwanemi przez kule. Usłyszałem sygnały trąbiące na zaprzestanie ognia a po kilku minutach trąbiące na zbór.

Cofnąwszy się, ze 3 do 4-ch wiorst, osłonięty, o paręset kroków, linią mych flankierów od strony atakującego nieprzyjaciela, nakazałem chwilowy przystanek, a to celem przywrócenia regulaminowego porządku, obliczenia strat poniesionych i posilenia żołnierza, choćby jaką przekąską. Znalazła się wódka i jakaś słonina, podczas spożywania której, gdy zarządziłem apel, pokazało się, iż straty nasze były następujące: w pierwszem

i drugiem spotkaniu 8 zabitych, 11 rannych, podtrzymywanych lub niesionych przez kosynierów i 7 brakujących kosynierów, pozostałych przy zatapianiu furgonów i od tego czasu niewidzianych. Uzbroiwszy ośmiu wybranych kosynierów, umiejących strzelać, w broń, pozostałą po zabitych, i włączywszy ich do strzelców, nakazałem dalszy obrót w stronę Klonowa. Szarzeć już zaczynało, przy dniu pochmurnym, gdy, zbliżając się ku Klonowu, na wyjściu z lasów, strzały mej szpicy flankierskiej, oznajmiły Moskali.

Zatrzymawszy oddział, od zbliżającego się pędem flankiera dowiedziałem się, iż o 500 kroków, na wyjściu z lasów, stoją na drodze do Klonowa 2 kompanje piechoty moskiewskiej, której kozacy flankierują po pod lasem, i że na kraju tego lasu, po prawej stronie, widać pieszych i konnych. Sprawdziwszy osobiście doniesienie i przekonawszy się o jego prawdziwości, przyszedłem do przekonania, iż jestem osaczony przez Moskwę, zanim przeto zbliży się, z prawego skrzydła, kolumna, postanowiłem uderzyć na kolumnę, drogę mi zagradzającą, a sformowawszy szyk jak następuje: na froncie ułanów z flankieram po skrzydłach, za nimi w odległości 100 kroków 2 kolumny piesze, plutonowe, chciałem pod osłoną szarżującej kawaleryi, dopaść do ręcznego boju z piechotą moskiewską. Nakazałem atak a moja kochana kaliska kawalerya, przechodząc z stępa w kłus a z kłusa w galop, na jakie 300 kroków przed frontem kolumny moskiewskiej, wierna tradycyi historycznej z pod Solędzina, jakby najdokładniej wypełniając komendę, skręcając na prawo i na lewo wichrem uderzyła, tylko nie w kolumnę moskiewską, ale w pola, znikając, jak widmo, wśród zapadającej nocy.

Tego ruchu, po całodziennem, przyzwoitem zachowaniu kawaleryi, nie bardzo się spodziewałem, ale, godząc się z faktem dokonanym, wstrzymałem marsz mych kolumn pieszych, a na prostą komendę: na lewo, w tył zwrot, marsz, wprowadziłem nazad kolumny do lasu. Ruch ten atoli, jakkolwiek zaledwie kwadrans czasu trwający, zbliżył kolumnę kaliską a także, posuwającą się za mym wstecznym ruchem, kolumnę wieluńską, które obsypując nas dosyć gęstym ogniem tyralierskim, oświecały swe ruchy ogniem, z luf wychodzącym, i kazały się spodziewać bliskiego, ostatniego starcia i rozbicia oddziału. Czas jakiś, może minut kilka trwający, byłem pozycyą oddziału zupełnie zmiażdżony, nawet przybycie moich 2-ch poruczników kawaleryi z 5-ciu szeregowcami i zapytanie, rzucone mi przez Skrzyń-

skiego, czy w 7-iu, ma, dany mu poprzednio, rozkaz wypełnić, nie poprawiło mi humoru, gdy naraz sygnał, zaledwie dosłyszanej, trąbki moskiewskiej, polecający rozsypanie się w łańcuch tyralierski, obudził mnie z chwilowej martwoty umysłowej i przypomniał mi, iż mam w plecach przeciwnika, z którym się prawie cały dzień borykałem.

Zrozumiałem cale położenie i zapragnąłem z niego się wycofać, a łącząc pragnienie z czynem, zarządziłem natychmiast marsz w lewo przez błota, na lewem skrzydle się rozciągające. Ruch ten wykonałem już w ciemnicy i pod osłoną lasu, a zatem niepostrzeżenie, i po kwandransie bardzo mozolnego przechodu, po którym, nawet za dnia, garderoba nasza, po pas i łokcie upaćkana, nie kwalifikowała się do zadowolenia wybrednego gustu dandysów. Odpoczywaliśmy na wyższym nieco brzegu, lasem okrytym, i obserwowaliśmy, z niekłamaną przyjemnością, ruchy i strzały: zbliżające się ku sobie kolumny moskiewskie, które, mniemając, że wśród nich znajdują się miatieżnicy, nie żałowali im ani strzałów, ani sygnałów.

Obawiałem się więc za blizkiego miłego sąsiedztwa, którego dzisiaj mieliśmy aż po gardło, a szczególniej ciekawości, wrodzonej Dońcom, i ochoty odszukania drogi naszego odwrotu, po której przeciągnęliśmy związane konie naszych siedmiu kawalerzystów.[1])

---

[1]) Z powodu bitwy pod Kuźnicą-Grabowską zaznaczyć muszę jedno zdarzenie, przypominające choć w cząstce wieki zagasłej rycerskości. A rzecz miała się jak następuje: W kilka dni po rozprawie pod Kuźnicą-Grabowską, otrzymałem od naczelnika m. Sieradza pismo, w którem tenże donosząc mi, że pułkownik Smirnow, dowodzący w tamtym dniu z powodu starszeństwa, siłami moskiewskiemi, za głośne objawienie swego ruchu zaczepnego sygnałami, został od dowództwa pułku usunięty, z poleceniem bezzwłocznego udania się w głąb Rosyi do dalszego rozporządzenia, a wyznaczając mu marszrutę na Piotrków, odmówiono mu wszelkiej osłaniającej eskorty. Wobec niepewnych dróg w czasach powstania, podróż jego z żoną nie przedstawiała wielkich przyjemności, i w kółku swych serdeczniejszych żaląc się na postępowanie swej władzy, objawił chęć korzystania z pomyślniejszej okoliczności za pośrednictwem związkowych oficerów: „Ruskaja ziemla i wola“, doszło to utyskiwanie do uszu naczelnika m. Sieradza, który komunikując mi je, prosił o przychylne zaradzenie temu. Ponieważ nie byłem wrogiem Moskali, a tylko wrogiem ich systemu rządowego i tłoczącej nas niewoli, ponieważ korzystając z błędu Smirnowa, ocaliłem od zagłady oddział; ponieważ Smirnow przestał być figurą urzędową a był przez rząd szykanowany,

Rozejrzawszy się na mapie w naszem położeniu, na Świstek, Sowizdrzał, Nowa-wieś, Strzałki, bokiem Burzenina przybyłem nad ranem 27 lutego 1863 r. do lasów w Świerczowie, zaopatrzywszy się, w przechodzie przez jakiś odosobniony folwark, w wołu i żywność, na parę dni wystarczającą.

Odpocząwszy 24 godzin i nakarmiwszy oddział w zmniejszonej sile, gdyż liczący tylko 179 ludzi, po odliczeniu rannych i zabitych, przechodząc przez Grabno, spotkałem a raczej byłem dopędzony na drodze przez Ruckiego, jadącego bryczką w towarzystwie Włodzimierza Trepki, pełniącego jakąś wyższą funkcyę w organizacyi województwa Kaliskiego. Gdym mu robił wymówki za ów nieszczęśliwy rozkaz, wpychający mój oddział po ową broń wymarzoną nad granicę, i stąd wynikłe skutki bohaterskiej prawie, lecz nieszczególnie zakończonej bitwy ucieczką kawaleryi, zdawał się do popełnionego błędu przyznawać, tłumacząc się naporem Bogatki, jego podszefa sztabu, za tym projektem gorliwie przemawiającego, któremu, jako obznajmionemu z miejscowymi stosunkami, musiał sprawę transportu broni powierzyć. Piękny podszef sztabu, późniejsze jego sprawki pokazały, w jakich rękach spoczywała nieraz praca narodowa, obecnie chciał zniszczyć zawiązek sił narodowych i to mu się znacznie udało.

Rucki bowiem z swym towarzyszem, jadący, jak się później dowiedziałem, pokłonić się przygotowującej się dyktaturze Langiewicza, nie miał nic lepszego i spieszniejszego do czynienia, jak donieść o miejscu mego pobytu i sile oddziału, swemu zastępcy, podszefowi sztabu. Wynikiem tego zawiadomienia było, że Moskwa pchnęła, dośrodkowo działające, kolumny ruchome z Sieradza, Wielunia i Piotrkowa, każda przynajmniej w trójna-

---

przeto chcąc mu ułatwić podróż, wystawiłem na blankiecie posiadanym „Komitet Centralny" z pieczęcią dowódcy oddziału: moim podpisem, rodzaj listu żelaznego, w którym wzywam wszystkie władze tak cywilne jak i wojskowe, z ramienia Rządu Narodowego działające, aby pułkownikowi moskiewskiemu Smirnow, jadącemu w celach prywatnych z rodziną, nietylko spokojnej podróży nie tamowały, lecz owszem w razie potrzeby, wszelkiej pomocy mu udzieliły. Wsadziwszy list do koperty, przesłałem go naczelnikowi miasta dla doręczenia. Po otrzymaniu tego listu żelaznego tajnym sposobem, miał się podobno odezwać Smirnow, iż otrzymał dyplom na uczciwego człowieka. Czy korzystał z niego podczas podróży, nie wiem, gdyż nic o tem nie słyszałem, z mego zaś postąpienia cokolwiek się podśmiewali; prawda, że przeważnie, mówiąc po galicyjsku, cywile.

sób liczniejsza co do ludzi, a przez uzbrojenie przynajmniej jeszcze dwa razy swe siły zwiększająca, i rozpoczęła kompletną nagankę na obławie, zaczętej dnia następnego 1 marca 1863 r. W marszu bowiem, robionym w dniu 1 marca 1863 r. w kierunku Wygiełzowa, lecz jego lewą stroną, przechodząc, około 2-ej po południu, przez małą osadę Jawor, powitany zostałem z lewego boku atakiem 50 lub 60 kozaków, a po ich odparciu, gdym się posuwał ku grobli, stanowiącej jedyną drogę dla przejścia błot, po obu stronach rozciągających się, widziałem w przejściu przez drogę, z Łasku do Szczercowa wiodącą, zbliżających się Moskali, a kozaków poprzednio już odpartych, formujących się przed groblą.

Potrzeba było przejść groblę, na wylocie ją osadzić, przegrodz.ć się błotami od zbliżającej się piechoty moskiewskiej, już rozpoczynającej ostrzeliwać naszą kolumnę pochodową i spędzić z zajmowanego stanowiska kozaków. Poleciłem wykonać to kawaleryi, posyłając im w pomoc, biegiem lecący, pierwszy pluton strzelców. Czy równoczesny ruch tych 7-iu, pozostałych mi, kawalerzystów i, biegnących bokiem strzelców, oddziałał niekorzystnie na wrażliwe nerwy Dońców, czy widok z pasyą rwiących się naprzód 7-iu konnych straceńców; nie wiem co bardziej oddziałało, psychologiem bowiem studyującym duszę kozaczą nie byłem, dość tylko powiedzieć, że atak się udał, rozkaz był literalnie wykonany, kozacy spłoszeni rozsypali się po polach, zostawiając 2-ch zabitych na placu, a moi dzielni, po małym pościgu, uformowali front przed wejściem na groblę. Podziękowawszy im za prawdziwie polską brawurę, z którą atak wykonali, nie oglądając się na strzelców, poleciłem im jako zwycięzcom przejść pierwszym groblę i przepuszczając cały oddział przed sobą, zarządziłem osadzenie jej wylotu strzelcami i odsunięcie kosynierów i kawalerzystów po za linię strzałów moskiewskich. Dokonawszy tego, sam na końcu, jako tylna straż, postępowałem po grobli, już dobrze ostrzeliwanej przez Moskwę, gdy głos niewyraźny duszącego się człowieka: „Józiu ratuj!“ zwrócił mą uwagę. Gdym spojrzał na prawo, w błotach tuż przy grobli rozciągających się, ujrzałem głowę z szyją i prawem ramieniem, opierającego się na kępie szuwarów, lecz tonącego, człowieka. Nie było czasu do namysłu albo wołania o pomoc. Jednym rzutem położyłem się na skarpie grobli, porośniętej krzakami wikliny, a chwyciwszy lewą ręką krzak przy pniu, rozłożony krzyżem, zdołałem dosięgnąć prawą ręką ramienia,

przewieszonej przez plecy objeszczykowskiej ładownicy i chwyciwszy takowy, jednym zamachem wydobyłem z topieli nieszczęśliwego. Skąd się ta siła muskułów, istotnie stalowych, znalazła, tego ani wówczas, ani dzisiaj wytłumaczyć sobie nie zdołałem. Widocznie musi być jakieś prawo, które w chwili naprężenia woli, działa stanowczo na muskuły mu potrzebne, naprężając je i wzmacniając, — ale nie filozofujmy, gdyż z tej szkoły nie wyszliśmy, a wróćmy do rzeczy.

Wyrzucony na skarpę grobli, porucznik 2-go plutonu strzelców, nazwiskiem Heller, był to mężczyzna dobrego wzrostu a może zanadto okazałej budowy, gdyż biorąc go na plecy, z powodu jego zupełnej bezwładności wywołanej topielą, zauważyłem, iż musi odpowiadać wadze 6-ciu ćwierci grochu, których próbowałem w młodszym wieku, podczas mej praktyki w gospodarstwie wiejskiem. Niosłem więc z pewnem natężeniem tego kandydata do towarzystwa tłuścioszków amerykańskich, klnąc ten błogi ciężar a zarazem błogosławiąc tę ochronną tarczę, która mnie zupełnie od pocisków zasłaniała, gdyż ci barbarzyńcy, Moskale, nie mogąc ocenić ludzkich popędów, niemal zaprzestali wymiany ołowiu z mymi strzelcami przez groblę, a wybrali, za przedmiot swych strzałów, ową tarczę ruchomą. Gdym w końcu przeszedł groblę, zrzuciwszy z pleców błogi ciężar i kazawszy go pokrzepić wódką, jako jedynem lekarstwem posiadanem i skutecznem; zauważyłem, iż Moskale, stwierdziwszy naocznie nasze przysłowie: „iż chłop strzela a Pan Bóg kule nosi", zapragnęli na sobie sprawdzić to przysłowie i hurmem wleźli na groblę, ale przekonali się po paru minutach hurrającego marszu, że rządzącym w tym dniu Panem Bogiem jest polski i rzymsko-katolicki; ołów bowiem polski trafiał w moskiewską tarczę ruchomą, prawda, że szerszą i głębszą, ale tak skutecznie, iż doszedłszy do połowy grobli zostawiwszy na niej kilkunastu spokojnie leżących, zawrócili i, już bez hurra żadnego pospieszniej tylko, usunęli się za linię naszego ognia.

Doczekawszy się, przy słabej wymianie strzałów, na jednej i tej samej pozycyi zapadającej nocy, przedtem odesławszy w tył 5-iu rannych do kolumny kosynierskiej, celem możliwego ich opatrzenia, opuściłem ze strzelcami groblę ochronną, a złączywszy się z kosynierami i 7 kawalerzystami, marszem parogodzinnym dobiłem się do lasów, do Bachorzyna należących. Posiliwszy oddział zapasami z dni poprzednich i obliczywszy straty dnia dzisiejszego, a które wynosiły 6 zabitych i 7 rannych

w samych tylko strzelcach, gdyż lekko płatnięty przez buzię, kawalerzysta nie opuścił szeregów; uzbroiwszy w broń palną, po zabitych i rannych umiejących strzelać, kosynierów, włączając ich tem samem do kompanii strzelców, zredukowany oddział do liczby 166 ludzi, ułożyłem na chwilowy spoczynek.

Położenie oddziału było niezmiernie trudne wobec niedaleko rozłożonych, z dwóch stron ognisk, jakie na kraju lasu zauważyłem. Zmęczony marszami i bojami oddział, zredukowany o 1/3 część i z małym zapasem amunicyi, rozpoczynał agonię. Ludzie dzielni i z ochotą dolę swą znoszący, ale na wszystko jest miara, a ta głuchota w kraju najwięcej zdawała się ciężyć straceńcom. Oczyma zdawali się pytać: dlaczego my tylko? czyż niema już więcej ludzi? Te same myśli i uczucia mózg mi gniotły, a nie można było twarzy chmurnej pokazać, bo takeśmy się zrośli w tem życiu tułaczem, żeśmy się prawie odgadywali.



FELIKS VALEZY-PIASECKI (†).

Od 6 do 26 Stycznia w Lubelskiem.

(Urywki z pamiętnika).

1863 roku 6-go stycznia okręgowi mężowie zaufania Dyrekcyi białej byliśmy, przez wojewódzkiego, wezwani do Lublina.

. . . .

Stanęło na tem, że pojadę do Warszawy, aby u źródła zbadać. Wyjechawszy w nocy kuryerskiemi, rano byłem w Warszawie. Jurgens zakomunikował, że delegacya do regulowania sprawy narodowej, przedstawieniami wymogła na Komitecie Centralnym, z braku przygotowań, porzucenie myśli powstania w tak krótkim czasie, dlatego wstrzymano dyslokacyę i rozesłano „słowo pożegnania do braci“, twierdził, że Komitet Centralny i Delegacya w razie danym powstrzymają ruch zbrojny — wszakże nie można przeceniać, gdyż organizacya Komitetu Centralnego jest silnie rozgałęzioną — był pewnym, że do proskrypcyi dnia 17-go (ten termin pierwiastkowo był naznaczony) nie przyjdzie — Orłów z Paryża przyleciał ostrzedz, gdyż rząd francuzki twierdzi, że proskrypcya wywoła zbrojny opór, że W. ks. Konstanty jest także tego mniemania, lecz Margrabiemu dowierzać nie można. Za

wskazówkami doszedłem po południu do mieszkania mego znajomego, Jana Majkowskiego, przy Żabiej ulicy, tam z wielkiem zdziwieniem, zastałem znanego mi od lat kilku Zygmunta Padlewskiego, jako naczelnika miasta Warszawy i prezesa Komitetu Centralnego. Odnośnie powstania oświadczył: że członkowie Komitetu Centralnego nie są obecnie za powstaniem, paru tylko życzy sobie, a szczególnie komisarze wojewódzcy; jednak przewidzieć nie można, co wyniknie, pomimo silnej i karnej organizacyi. O organizacyi wojskowej wogóle wyrażał się z zadowoleniem; wymienił Mechedę, wysłanego do Zamośca, Fischera, i Mileskę konstytujących w Lublinie; wspomniał o bytności swojej w grudniu w Petersburgu; ma nadzieję, że komitet „Ziemla i Wola“ już dosyć silny, pomimo, że młody, zyska dla nas i tak już przychylną nam wogóle rzeczywistą Moskwę, a szczególnie wojsko.

. . . .

Na Rusi, szkoda, że młodzież rej wiedzie, poczciwa lecz zbyt gorąca. Na uwagę, że on sam młodzieży przywodzi, odpowiedział, czyż wolałbyś aby Mierosławski. Ubolewał, skarżył się na Wielopolskiego, wprawdzie ma nielicznych i szczerych stronników, jednak przez to obywatelstwo niezdecydowane, chwiejne gdyby można było wpierw łączność wytworzyć, łatwiej by było teraz utrzymać w karbach posłuszeństwa. Nieporozumieniom wiele winien Mierosławski; wichrzy, niema on wielu zwolenników w Lubelskiem, ale uważaj, znosi się z ławami galicyjskiemi, tam więcej mierosławczyków; Zarański i Szubartowski znani ci, to moi uczniowie ze szkoły genueńskiej, możesz na nich liczyć; Mecheda w Zamościu i znani ci oficerowie w Lublinie mogą ci, być pomocni. Dziękując za pożyczone pieniądze Frankowskiemu żądał, aby iść mu dalej na rękę — przecież już nasz jesteś; — lecz i jemu odmówiłem przyłączenia się do organizacyi ruchu; że zostanę w tym samym stosunku. O formę, rzekł, mniejsza, na wszelki wypadek obierz pseudonim; po małem zastanowieniu się, obraliśmy nazwisko francuskie mego patrona „de Valois“.

Gdy mu zwróciłem uwagę, że to, co mówił, wygląda na instrukcyę, odpowiedział: nie pragnę, nie dążę do zbrojnego starcia, wierzaj mi, jednak nieprzewidziane okoliczności mogą nas zaskoczyć, może nie zdołamy się oprzeć konieczności, a wtedy i ty musisz przyjąć udział. Przyznam się, ten wyraz „musisz“ wyrzeczony stanowczo, jakby żołnierska komenda,

przejął mnie na wskróś, było to nieznane mi dotąd uczucie lęku, czy posłuszeństwa. Zmięszany, pożegnałem się długim uściskiem; już na wychodnem dodał, Mierosławskiego uzurpacye trzeba stanowczo nihilować na każdym kroku.

W hotelu zastałem kartkę, abym był u Contego, za chwilę wszedł Jurgens, przeszliśmy zaraz do jednego z gabinetów hotelu Europejskiego, tam zastaliśmy Kronenberga i dwóch mi nieznanych. Kronenberg zapewniwszy, że jesteśmy wszyscy swoi, zapytał o rozmowę z komitetowym ruchu.

Nie mając powodu, nie taiłem. Kronenberg szczególnie, dawał pytania; wkońcu zauważył: „no, nie jest tak źle“, następnie rozpytywał o moje województwo — opowiedziałem szczegółowo, co do powiatu Zamojskiego, o innych powiatach pobieżnie, gdy nadmieniłem o zorganizowaniu włościan,— a o tem mówiłeś pan komitetowemu, prędko zapytał — przecież wie, gdyż układ zrobiłem z ich okręgowym — a wiesz pan, to kapitalny układ, bardzo mało, albo nic nie będą mogli zrobić, więc cóż pan, kontynuował, powiesz kolegom? — właśnie po to przyjechałem, aby się dowiedzieć, odrzekłem; na to Kronenberg: Młodzieży przedstawiać, że obywatele ziemscy, zamożne mieszczaństwo z nią się nie łączy, nie mając pieniędzy, nie będzie miała odwagi sama wystąpić; wtedy powtórzyłem zdanie Padlewskiego o szlachcie litewskiej i ubolewanie, że u nas tak nie jest, bo wtedy możnaby łatwo powstrzymać parcie ku powstaniu, więc proszę o stanowczą odpowiedź co robić w danym razie. Powstanie nie będzie tak prędko, rzekł Kronenberg, postaramy się młodzież przygarnąć, złączyć; teraz pracować potrzeba w wytkniętym kierunku ulepszeń administracyjnych i szkolnictwa — postaraj się pan organizacyę włościan rozprzestrzeniać. Pożegnaliśmy się do widzenia w lutym. Rano przyjechałem do Lublina, kolegom oczekującym, przedłożyłem stan rzeczy, różne były zdania i wnioski wszyscy w jednem zgadzaliśmy się: dyslokowanym dawać pomoc w razie ewentualności; z samej istoty rzeczy nie utrudniać; mieć baczenie i wpływać na włościan, żeby odmówili urządzenia swych straży, za okręg mój poręczałem. Wogóle wszyscy bezradnie stękali.

. . . .

Wróciwszy do domu, Janczarek (siostrzeniec ks. Piotra Ściegiennego, skazanego za chłopski spisek 1846 r.), gospodarz rolny, z organizacyi, zdał obszerny raport — wiadomości zatrważały, dałem stosowne rozporządzenia, aby starali się uspokajać,

że do Urzędowa i Ireny sam pojadę. Siostra zawiadomiła, że było dwóch burmistrzów niespokojnych o proskrypcyę — doręczyła kilka listów od sąsiadów. Niema rady, trzeba było znów na wózek — kilka dni zeszło na tym objeździe — wszędzie skonsternowanie, upadek ducha przed tem, co się stać może, burmistrów zapewniłem, że proskrypcyi nie będzie. W ciągu dwóch tygodni wpadłem dwa razy do Lublina na parę godzin. Tu gubernator Boduszyński z radcami przedstawili Namiestnikowi, że w Lublinie poboru niepodobna przeprowadzić. Naczelnik miasta oddając mi znów papiery organizacyi do przechowania, utyskiwał na małoduszność, że F. S. zrezygnował, pomimo, że jest wojskowy, z komendy nad setnikami, wybrali Żukowskiego Antoniego, wprawdzie bardzo gorącego i znanego ze sprawy Moroczyńskiej, lecz nie mającego wyobrażenia o wojskowości.

19. zakomunikowano, że Frankowski przywiósł 18. rozkaz powstania, że Żukowski i kuryerzy zaraz rozjechali się w całe województwo. Zmaltretowany temi wiadomościami, wracam do hotelu, tu zastaję dopiero co przybyłego z Warszawy, znanego mi bardzo dobrze, akademika Stanisława H., ten przy uściśnieniu szepcze: „już powstanie“, zatem konieczność uprzedziła plany, jeszcze siódmego tak stanowczo przez Padlewskiego robione, wprawdzie z zastrzeżeniem. Staś jako kuryer, czy agent jechał za Bug — twierdził, że proskrybowani w liczbie około 1000 przed 15-tym wyszli w puszczę Kampinowską. Prezes 17-go podążył za nimi, na rogatkach nie pytają o paszporty, młodzież ciągle wychodzi, — kilku z organizacyi przyszło do hotelu, nalegali usilnie, abym przyłączył się i przyjął urzędowanie na mój powiat — odmówiłem. Chcąc uwolnić się od nalegań, niespokojny czy co ważnego w okręgu nie zaszło — wyjechałem. Janczarek donosi co dzień różne wiadomości — włościanie są dobrze usposobieni; tylko w Studziankach są niedobre poszepty, lecz Zakrzowieccy mają baczne na nich oko, we dworach znać niepokój, gdyż młodzi oficyaliści przystąpili do ruchu. 21-go zawiadomił, że w lesie ordynackim pod Kraśnikiem pocztę wojskową, z Janowa do Lublina, wstrzymano, jeden żołnierz zabity, drugi umknął. Że leśnicy wyszli ze stanowisk, że z nad Wisły przyszli do Urzędowa i z miejscowymi poszli ku Irenie.

Po kilku na dzień przejeżdża z tajemniczemi minami, żądając dalszego odesłania, jedni dążyli ku Lublinowi lub Puławom, jak mówili z Galicyi, inni ku granicy galicyjskiej, chcieli ominąć trakt główny na Zamość; trzy dni chaos ciągły, każdej

chwili oczekiwało się czegoś nowego; dzień i noc konie w pogotowiu, na noc światła niepogaszone: paru włościan na dyżurze. Parę razy to w tę, to w drugą stronę przez dziedziniec traktem przegalopowali posłańcy wojskowi pułkownika Biedragi, z Janowa do Lublina, omijając las, w którym spotkał ich wypadek.

24-go wieczorem wpada młody człowiek, chce koniecznie widzieć się osobiście; doręcza ekspedycyę mówiąc: przyspiesz naczelniku szturm Zamościa, ja tam pierwsza będę i pokazuje znamię na lewej ręce. To znów przy sprawie Chełmskiej wymieniona kuryerka. Zaledwie zdałem sobie sprawę z gradu słów, już wybiegła i co prędzej dalej pojechała. Odpieczętowałem, znajduję rozkaz stawienia się natychmiast pod odpowiedzialnością osoby i majątku u Frankowskiego Leona, komisarza województwa, znajdującego się przy oddziale wojsk narodowych w powiecie Lubelskim. 25. rano jestem w Lublinie, licząc, że tam dowiem się, gdzie mniej więcej Leon znajduje się. U naczelnika miasta zastaję paru członków z organizacyi miejskiej — każden ma coś nowego do powiedzenia, lub pyta, co słychać w Janowskiem; pytania i odpowiedzi krzyżują się bezładnym lotem; zdenerwowani, inaczej być nie mogło w podobnych chwilach. Radzi, a jednak tę radość widocznie przytłumia lęk nadejścia wiadomości niepomyślnych a może i Chruszczew dotąd oględny i umiarkowany pokaże pazury moskiewskie. Chruszczew zarządził tylko ostrożności mniejsze w dzień, silniejsze w nocy, za obręb miasta nie wychyla się — prawie stan wojenny, lecz nie ogłoszony. Nie odebrał z Warszawy żadnych rozkazów, a jeżeli, to zachowuje się biernie, jak zawsze, wedle swego systemu, aby oburzenia nie wywoływać, zapewne czeka na donieślejsze fakta. Kilkunastu dawniej uwięzionych, tak samo jak poprzednio są traktowani, odwiedzać ich wolno. Żandarmerya siedzi cicho. Kapitan Greinert wyjechał, jedni mówią, że dostał się już naszym, inni że zabity. Nie robią trudności w wydawaniu paszportów. Nawet kancelarya naczelnika wojennego paszporty poświadcza, gdy go kto chce mieć legalny. Inspektor policyi Jackowski po nieudałem aresztowaniu Bogdanowicza, jeszcze nizko się kłania, spuścił z tonu, chodzi chyłkiem; lecz na wszystko bystro patrzy, podkomendni naśladują go.

Wczoraj dobrano się do jego notatek — od dwóch dni żadnych ważniejszych uwag nie znaleziono, oprócz wiadomości wszystkim znanych, lub umyślnie mu przez organizacyę podsu-

niętych, aby zmylić drogi. Co odważniejsze kuryerki w rozjeździe, większa połowa wpierw rezolutnych i odważnych dziś przycupnęły. Meldują się nowe, lecz wybór trudny. Cały prawie personel teatru Okońskiego zniknął, zapewne oparł się w którym z oddziałów. Młodzieży wiele wyszło, najwięcej rzemieślniczej. Magistratury idą dawnym porządkiem, t. j. urzędnicy przychodzą do biur, niby piszą, lecz atramentu nie ubywa, czas schodzi na szeptach. Naczelnicy biur wpierw nosy do góry noszący, dziś bardzo przyjaźni, towarzyscy, chętni nowin. Namarkowani wpierw przez organizacyę tak urzędnicy jak i cywilni, dziś prawie na ulice nie wychodzą. Popa Czechowicza probostwo silną wartą otoczone a wewnątrz posterunek. I wiele innych drobnostek w kilkanaście minut wpadło mi do uszu, co do oddziałów wyszłych z Lublina.

Dowiedziałem się dalej, że setnicy: Malunkiewicz, Barszczewski, Molicki z niepełnemi swemi setkami wyszli pod Lubartów, napadli na przygotowanego Orzelskiego; nie udało się, Barszczewski i kilkunastu schwytani, kilku rannych, inni rozbiegli się, zapewne część pospieszyła pod Garbów. Szczęśliwiej udało się Żukowskiemu, oznaczył punkt zborny dla lubliniaków w Czerwonej karczmie, a następnie w Garbowie, dokąd mieli nadciągnąć z poblizkich: Kurowa, Markuszewa i innych okręgu lubelskiego — tam przyciągnęli z politechnikami puławskimi, P. L. Ch. Świdziński Piotr przeprzągłszy w Lublinie pocztowe, pojechał do Końskowoli — Frankowski w koszarach rozbroił kozaków, zabrał kasę — teraz organizuje oddział silny w Kaźmierzu nad Wisłą, ma już około 1000 ludzi. Bogdanowicz w Chełmskiem — Neczaj w Hrubieszowie zbierają oddziały. W Warszawie ruch widoczny, wychodzą partyami, gdyż na różnych punktach oddziały formują się. Naczelnik półsłówkami na seryo przymawia, że nie dowierzałem, iż będzie powstanie, a mogłem Biedragę w Janowie zgnieść przy pomocy chłopskiej organizacyi; nie liczy na Białobłockiego, chociaż Ladachowski w Janowie zorganizował i jest sprężysty. Gdy i teraz nalegali, aby wziąść czynny udział; wiedząc z ich pogadanki, gdzie Frankowskiego znajdę z posiedzenia i w drogę.

. . . .

W samem już mieście Kaźmierzu, zjechawszy z bardzo spadzistego wąwozu, długiego na pół wiorsty, spotkaliśmy dopiero placówkę, która butnie i hałaśliwie zatrzymuje i pyta. Od komendanta żądamy, aby nas odprowadzono do głównej kwatery.

Przybyliśmy do magistratu w rynku, na odwachu kosynier przechodzi się. Konwojujący wprowadza do oświetlonej łojówką izby — tu spi pokotem wiara, trzymająca wartę, dyżurnego odszukać nie mogę, jeden z eskortujących idzie na pierwsze piętro, nie wraca czas dłuższy, nareszcie zjawia się, oznajmiając, abyśmy sami poszli. Zastajemy dwóch czerstwych młodzieńców, dobrze ubranych, uzbrojonych pistoletami na sznurkach. W stancyi tej, jak i z innych rozlega się na różne tony chrapanie, strudzonych młodych żołnierzy, leżących pokotem na gołej podłodze. Dyżurni zapytują, czego żądamy? pokazuję rozkaz — poszeptawszy, z sobą oświadczają: Komisarz wprawdzie bardzo strudzony, lecz skoro interes pilny, prosimy poszukać go samym, on spi w drugiej stancyi. Dobrze, że koledzy, rzeknę, w kwaterze jesteście ostrożni, znajdziemy komisarza, lecz radzilibyśmy, aby placówka od Wąwolnicy, była do lasku na górę wysunięta, gdyż kilkunastu kozaków z tamtej strony wpadłszy, cały obóz wśród ciemnej nocy mogliby wyparować na wszystkie strony miasta. Zdziwili się, jeden z nich wypadł, aby ostrożności zarządzić.

Trzy drogi — jedna wspomniana od Wąwolnicy — dwie mniej spadziste nadbrzeżem prowadzą do tej kotliny, gdzie miasto rozłożyło się niezbyt obszernie, bo i kotlina nie wielka, a domów wiele przyczepionych do spadzistych boków pagórków. Kościół parafialny dominuje na podniosłości, a nad wszystkiem ruiny zamku i wieża Estery z setką legend o lochach i podziemiach i samych ruinach tu i tam rozrzuconych aż do Celejowa. Miasteczko bogate tylko wspaniałemi ruinami swych przedwiekowych obszernych budynków, na których ręka budowniczych położyła piętno znajomości swej sztuki i dowód minionej świetności i zamożności; dziś biedne, zaledwie dyszące. Mieścina ta w tej chwili mieści w swych progach młodzież lubelską i z nieopodal będącej politechniki Puławskiej, która chwyciła za kije w obronie praw narodu — za kije, — bo promotor Frankowski twierdził: kijami zdobędziemy karabiny moskiewskie. Udało mu się na początek, zabrał jadącą kasę moskiewską, a konwój trzyma w niewoli. Młódź pełna wiary i otuchy. Rząd Narodowy potrzebuje pieniędzy, więc setka tej młodzi z Plewińskim, skarbnikiem oddziału, wyszła do Kaźmierza; tam kasa składu solnego i sama sól, którą sprzedać można, strzeżona przez nieliczne warty.

Znaleźliśmy Frankowskiego, spiącego na gołej podłodze, nie budziliśmy biedaka znużonego. Dwie godziny gawędziliśmy

przy obozowej zakąsce -- wywiedzieliśmy się o stanie oddziału, o Zdanowiczu, jako naczelniku oddziału — gdy zbudziło się paru, dyżurni mówili oględniej. Około szóstej zbudził się Leon; załatwiwszy się z kuryerem Neczaja, zabrał mnie do oddzielnej izby, doręczył list Padlewskiego, datowany w Warszawie 17-go stycznia, z pieczęcią Komitetu Centralnego, któren był prawie w tych wyrazach: „Stało się, znasz de Valois moje przekonania, niema innego punktu wyjścia. Młodzież woli z bronią w ręku zginąć w kraju, aniżeli powolnie konać w szeregach wroga i iść na zatracenie bezkorzystne, miejsce moje obok tej młodzieży. Musisz przyjąć naczelnictwo wojenne swego powiatu, włościan powołaj. Nominacyę formalną T. R. Narodowy na żądanie na podstawie niniejszego wyda. Oddawca, komisarz województwa, wymieni subalternów wojskowych, których użyjesz, jak będziesz uważał. Każden oddział i wszystkie razem mają być wyłącznie podległe T. R. Narodowemu. Łączność i znoszenie się z sąsiednią prowincyą niezbędne. Wiarą w słuszność naszej sprawy, da Bóg zwyciężymy wroga“.

Na drugiej stronie tejże kartki, z tymże podpisem, datą i pieczęcią: „Oprócz stanowisk, jakie de Valois zajmować będzie, ma być agentem we wszystkich kierunkach, mogącym doniesienia swe komunikować wprost T. R. Narodowemu. — Rozkazy te są nieodwołalne“.

Zapytałem Leona, dlaczego Padlewski siódmego powiedział, że powstanie dopiero za kilka miesięcy może być podniesione, Frankowski z właściwą sobie werwą i przekonywująco przedstawił. Miał już przygotowane notatki, jako instrukcyę: Ogłaszać włościanom dekret uwłaszczenia. Zniesienie się z Mechedą majorem inżynieryi, generalnego sztabu, będącym w Zamościu. Wymienieni byli oficerowie przy Chruszczewie w Lublinie i w pułku Biedragi w Janowie -- nazwisk oficerów austryackich nie wiedział, tych ławy galicyjskie dostarczą. Gdyby znalazł się oddział, któryby chciał działać niezależnie od T. R. Narodowego, jeżeli dobrowolnie nie zgodzi się — dowodzącego pod sąd, a żołnierzy albo rozbroić, albo wcielić do oddziałów. Składy broni w Kątach u Puchały, w Różanej u Newego, w Irenie w fabryce żelaza. Ochotników dostarczą: Kraśnik, Urzędów, Irena, Zaklików, Rachów, Krzeszów, Biłgoraj, Józefów, Tomaszów, Janów, Tarnogród.

Ławy galicyjskie także przyrzekły. Włościan jak najwięcej wciągać. Kasy miejskie, powiatową, komory celne i w Zwie-

rzyńcu, gdzie ma być 100.000 rs. zabrać. Część pieniędzy przez pewnych, użyć na zakupno broni, resztę odesłać do Warszawy. Mecheda Zamość przysposobi, wpadnie w nasze ręce, mieć będziesz broń i punkt oparcia — dlatego ze Zdanowiczem uda się w górę Wisły. Neczaj i Bogdanowicz już odpowiednie zawiadomienia odebrali; teraz trzeba mieć czucie z nimi — do Józefowa nad Wisłą i Rachowa przysłać mu wiadomości o powiecie Zamojskim i jak Mecheda myśli. Tomaszów zająć dla łatwiejszej komunikacyi z Mechedą w Zamościu i ławami galicyjskiemi. — Przyczytawszy te instrukcye, pytałem Leona, dlaczego koniecznie mnie naznaczyli, nie rozumiem się na wojskowości, zmuszacie mnie; w domu mógłbym być użyteczniejszym — odpowiedział: jesteś kawaler, jako właściciel, jest pewność, że kapitały dojdą w całości; będziesz miał oficerów do spraw wojskowych, zajmij się administracyą, policya włościańska wiele ci ułatwi. Zmuszony, chociaż czułem całą niestosowność i jakiś lęk przed obowiązkami, zgodziłem się — stawiąc warunek, że kilka dni użyję na uregulowanie stosunku majątkowego, poczem dopiero obejmę służbę. Frankowski właściwymi sobie przekonywującymi argumentami i rozkazem Padlewskiego, przedstawił nieodzowność natychmiastowego objęcia czynności, że mając już Mechedę lub odpowiedniego oficera, będę mógł wyręczyć się. Nie było wyboru i na to zgodzić się musiałem, przyznając racyę Frankowskiemu, że kapitały dostać się mogą w niepowołane ręce.

Tak więc, w chwili tak dowodnie gorącej, mąż zaufania Dyrekcyi Białej, gdy przekonał się, że jej zapewnienia jeszcze przed trzema tygodniami czynione, były tumanieniem samych siebie, już 26 stycznia opuścił jej szeregi — gdy ona dopiero w pierwszych dniach marca uznała R. Narodowy za swą naczelną władzę. Napisaną rezygnacyę, Frankowski przyrzekł odesłać wojewódzkiemu dyrekcyi Białej.

Na tej pertraktacyi zeszło do wschodu słońca — co chwila przychodzili z różnymi interesami, Leon odsyłał do naczelnika, z tego powodu utyskiwał: nieszczęście, od oddziału oddalić się nie mogę. Zdanowicz dobry patryota, lecz pije, wystaw sobie obudzić się dotąd nie może — baby rzecz nieznośna, odstąpić nie chcą, żeby raz stąd wyjść, możeby zostały. Przy śniadaniu wcale nieobozowem, z kilku starszyzny i nieodstępnemi kobietami, zaraportowano o pomyślnym rezultacie w Kamieniu (magazyn solny). Przyszedł i Zdanowicz, zaczął „dobry trunek na frasunek“; narzekał na brak broni — kobiety i młodzież dowci-

kowali; wogóle było wesołe usposobienie. Po strzemiennem, prosiłem Leona na chwilę rozmowy, zażądałem, aby dał mi upoważnienie pod pseudonimem, które będzie tymczasowem, dopóki nie znajdę czasu do ubezpieczenia majątku, tem więcej, że są dwie czynności na jednej kartce Padlewskiego, którą nie każdemu pokazywać można, bo przecież agentura musi być tajną. Leon pomimo niekonsekwencyi z powodami, jakie wpierw przytaczał skłaniając do przyjęcia, dał jako komisarz województwa polecenie do władz wojskowych i cywilnych, iż rozkazy wydane przez de Valois, uważać jako wydane z wiedzą T. R. Narodowego, i ścisle takowe wykonywać należy. Atramentu po nocnym nieporządku odnaleźć nie można było, więc Leon ołówkiem napisał. Poszliśmy do ks. proboszcza Serwińskiego, gdyż tam były konie, do odwiezienia zamówione. Konie mają za półgodziny nadejść, ma być msza dla oddziału, więc wracamy. Przed odwachem, w rynku, stoją sekcye wiary, młodego żołnierza może ze 300. Na przodzie Zdanowicz z dobytym pałaszem, wybierali się do kościoła. W tem za zbliżeniem się, komenda: baczność! prezentuj broń! oczy w prawo! Zdziwiony spojrzałem na Frankowskiego; uśmiechnął się, mówiąc pół głosem: „witają nowego naczelnika".

Podszedł Zdanowicz, zaraportował; zdetonowanemu niewiedzącemu jak mam postąpić (chociaż miałem w kieszeni regulamin przed chwilą mi dany), Leon szepnął: przejdźmy przed frontem, ochłódłem. Przedefilowały sekcye dość składnie czwórkami, wszystko młodzież, wesoła, butna, odziana i uzbrojona różnie, a wielu bez broni, jednak miny dobre, z nadzieją zdobycia jej na wrogu. Zdanowicz trochę po wojskowemu. Cały oddział w Kaźmierzu około 700 ludzi. Składał się z młodzieży z Lublina, mieszczan Markuszewa, Kurowa, Końskowoli, Wąwolnicy, Bełżyc, Opola, Kaźmierza, oficyalistów z tego okręgu, politechnicy z Puław, trochę włościan, kilku aktorów trupy Okońskiego, paru żydów, kilku żołnierzy wziętych do niewoli, którzy stanęli w szeregu (około 30 nie chciało, więc siedzieli pod strażą w klasztorze Reformatów). Był i kapelan obozowy.

Skończyła się przykra dla mnie grzeczność; tem żywiej przedstawiła mi się niestosowność włożonych na mnie obowiązków, od których, jakby przeczuciem, przez półtora roku tak wytrwale wzbraniałem się. Grzeczność ta, to widome piętno no-

wego mego położenia. Była to jakby trzecia pieczęć dekretu (bo dwie w rozkazach Padlewskiego) zamykającego moją przeszłość.

Rezygnacyę z urzędu męża zaufania napisaną ołówkiem, odebrałem od Leona; w Lublinie doręczyłem ją naczelnikowi miasta, dla przesłania do Warszawy.



POLAK Z OJCOWA.

Obrona Glanowa.

(Opowiadanie według podania miejscowego) [1])

W dusznym skwarze sierpniowego popołudnia posuwał się zwolna powstańczy oddział Habicha, drogą od Wolbromia do Ojcowa. W oddziale tym, jako prosty szeregowiec, postępował hr. Aleksander Krukowiecki. Brudną pamięć odziedziczył młody Krukowiecki po swoim ojcu. Niesforny jenerał, zawistny intrygant, w końcu wyraźny niemal zdrajca, nie dla pieniędzy może, ale przez słabość ducha. Jan Krukowiecki był przedmiotem wzgardy i potępienia u całego narodu za to, że jako wódz i naczelnik rządu poddał Warszawę w 1831 roku Moskalom wtedy, gdy na rozkazy jego czekało kilkadziesiąt tysięcy polskiego wojska, gotowego bić się z wrogiem do ostatka.

Syn jego zmazywał hańbę ojca w powstańczych szeregach. Oddział Habicha zbliżał się właśnie do Glanowa, gdy przednia straż ostrzegła go, że z lasu wychylają się kolumny Moskali. Był to silny oddział, pod dowództwem księcia Szachowskiego, liczący blisko półtora tysiąca piechoty, pięćset kawaleryi i dwie sotnie kozaków.

---

[1]) (Nie mogąc pomimo usiłowań odnaleźć nikogo z bohaterskich obrońców Glanowa, przyjmujemy z podziękowaniem, nadesłane nam opowiadanie, oparte na tradycyi; tem więcej iż ta ostatnia zgadza się z naszemi osobistemi a współczesnemi wspomnieniami o tej bohaterskiej obronie. Tym sposobem czytelnicy naszej Księgi nie będą pozbawieni wspomnienia o jednem z najwięcej świetlanych czynów 1863 roku. — Jako dopełnienie dodamy, iż przy tej obronie, poległ jeden z 11-tu obrońców Glanowa, który będąc naprzód rannym, został dobity już na łożu boleści, przez jakąś zbłąkaną moskiewską kulę. Z żalem nazwiska tego bohatera przypomnieć sobie nie możemy. Przypisek Redakcyi).

Habich rozejrzał się ze smutkiem po swoich szeregach. Były szczupłe i licho uzbrojone. Twarz dowódzcy zasępiła się na chwilę ciężką troską i głębokim namysłem.

Nagle odwrócił się do nieruchomych, zamarłych w oczekiwaniu, powstańczych szeregów.

— Bracia! — zawołał donośnie. — Bracia! Potrzebuję dziesięciu ochotników. Zostaną oni w Glanowie i będą oni powstrzymywać Moskali, opierać się w dziesięciu całej ich sile do ostatniego tchnienia. Reszta oddziału uchodzić musi pod ochronę lasów. Umilkł na chwilę, wodząc bystremi oczyma po twarzach wsłuchanych w jego słowa powstańców. Szeregi zakołysały się nieco, jakby przeleciał po nich niewidzialny wicher mroźnej śmierci i skamieniały znowu w oczekiwaniu i ciszy.

— Kto na ochotnika?

— Ja! — ozwało się grzmotem trzysta piersi, cały oddział rzucił się naprzód. potrząsając karabinami i kosami.

Roziskrzyły się oczy Habicha. „Niech żyje Polska!“ zakrzyknął pełną piersią, a po szeregach przeleciał, długo nie milknący, jak grom mocny okrzyk: „Niech żyje Polska!“

Z szeregów wysunął się Krukowiecki.

— Pozwól mi pójść, naczelniku! — zwrócił się, prezentując broń, do Habicha.

— Dobrze! Obejmiesz dowództwo nad całą dziesiątką — zgodził się Habich.

Wybrano dziesięciu najlepszych strzelców, szczupła garstka rzuciła się biegiem w stronę Glanowa, żegnana okrzykami pozostałych towarzyszów.

Piętrowy murowany dwór glanowski, frontem zwrócony na drogę, którą mieli przeciągnąć Moskale, stał zupełnie opuszczony, mieszkańcy znać uciekli przed grozą wojny.

Był to dogodny punkt obronny dla powstańców.

Zatarasowano mocne, żelazem okute drzwi, powstańcy ustawili się koło okien.

Krukowiecki, słynny w całym oddziale, jako najlepszy strzelec, kazał dwom szeregowcom stanąć za sobą i nabijać wystrzelone karabiny.

Wśród powstańców zapanowało milczenie wytężonego oczekiwania.

Ostrożnie i zwolna poczęli wsuwać się przez bramę kozacy. Rozglądali się podejrzliwie dokoła, ich małe skośne oczka latały niespokojnie po wszystkich zakątkach podwórza.

Dwóch powstańców podniosło karabiny do ramienia. Krukowiecki wstrzymał ich skinieniem ręki. „Szkoda prochu na to paskudztwo“ — szepnął pogardliwie. Kozacy myszkowali po podwórzu, potem wybiegli na gościniec. Za chwilę doleciały z oddala ich dzikie, nieludzkie wrzaski. „Spostrzegli naszych“ — domyślili się powstańcy. Raz jeszcze obejrzeli ładownice i karabiny, zdala słychać już było głuchy łoskot, zbliżającej się piechoty i jazdy moskiewskiej.

Pierwsze szeregi piechoty weszły na podwórze, spokojnym, miarowym krokiem, jak na mustrze. Powstańcy podnieśli karabiny, ten i ów przeżegnał się szybko.

— Pal! — zakomenderował półgłosem Krukowiecki.

Huknęły strzały.

Jak piorunem rażony, zwalił się z konia, jadący przodem oficer. Kilku żołnierzy wypuściło z rąk karabiny i z jękiem padło na ziemię, przednie szeregi skłębiły się na chwilę, potem z rykiem szalonej trwogi poczęły rozsypywać się po podwórzu, tłoczyć się na napierających z tyłu.

Napad był tak niespodziany, że w całym moskiewskim oddziale zapanował na chwilę zamęt; ozwały się krzyki komendy, oficerowie poczęli płazować cofających się żołnierzy.

Uśmiech tryumfu rozświetlił twarze powstańców. „Damy wam bobu“, szepnął któryś. Zagrzmiała druga salwa, Moskale cofnęli się z podwórza, unosząc rannych.

Opamiętali się jednak rychło. Poczęli obchodzić dwór dokoła, obsypując go zdala gradem karabinowych strzałów. Potem z wrzaskiem rzucili się do szturmu, ziemia zajęczała pod ciężkiemi stopami żołdaków. Z okien dworu huknęły strzały — dziesięciu najbliższych było trupem. Krukowiecki chwytał raz po raz karabin z rąk stojących za nim powstańców, nieprzerwanym ciągiem padały z jego ręki strzały, a każdy śmiertelny, rażący najbliższych, najbardziej natarczywych, wydzierający z moskiewskich szeregów oficerów i starszyznę.

Kilka pierwszych szeregów biegnących do szturmu Moskali, legło pokotem, inni zatrzymali się na chwilę, potem poczęli cofać się i uciekać.

Szturm powtórzył się jeszcze raz, drugi i trzeci. Ale żołdactwo szło już do boju coraz niechętniej, coraz większą trwogą napełniały ich te milczące mury dworu, z okien którego wychylały się lufy karabinów, patrzące na napastników ciemnem okiem niechybnej śmierci.

Po trzecim szturmie nastąpiła długa cisza.

Z okien dworu widać było, że większa połowa oddziału piechoty z całą kawaleryą i kozakami poszła w pogoń za Habichem.

„Zawszeć nasi uszli już kawał drogi“ — pocieszali się oblężeni, kontenci, że niedarmo oddadzą życie.

Nagle uwagę ich zwrócił jakiś dziwny szum, trzask, potem huk coraz potężniejszy, rozlegający się z góry, od dachu.

— Podpalili nas! — wykrzyknął któryś; widmo straszliwych męczarni konania w zaduchu dymu, wśród żrących płomieni, stanęło przed powstańcami.

Moskale zawyli radośnie i zwartym półkolem zbliżać się poczęli do dworu.

Z szeregów ich wystąpił oficer, powiewając białą chustką i zawołał donośnie, podchodząc tuż pod okna: „Polacy! wzywam was, poddajcie się. Za chwilę zginiecie w płomieniach. Nie będę mścił się na was za tylu zabitych żołnierzy moich. Oddacie mi tylko waszą broń, a potem car najmiłościwszy rozporządzi waszym losem. Powtarzam, za chwilę zginiecie!“

Powstańcy milcząc wysłuchali tej przemowy. Krukowiecki wychylił się przez okno.

„Polak umiera, ale nie poddaje się wrogowi nigdy“ — rzucił krótko i twardo.

W tejże chwili z szeregów moskiewskich padł strzał. Kula zdarła Krukowieckiemu kaszkiet. „Zdrajcy!“ syknął Krukowiecki, podnosząc karabin do ramienia. Moskiewski żołnierz zachwiał się i runął, wypuszczając z rąk karabin z dymiącą jeszcze po zdradzieckim strzale lufą.

Huknęły znowu karabiny gęstą nieustającą salwą, żołdactwo nacierało coraz bliżej, strzały powstańców, choć zawsze śmiertelne, były już coraz rzadsze.

Brakło im naboi.

Strzelał już tylko Krukowiecki, ilekroć wiatr odgarnął kłęby dymu, zasłaniające Moskali.

Jeden z powstańców wyjął książkę do nabożeństwa i począł odmawiać litanię za konających.

Słowa modlitwy rozległy się ponuro przy huku karabinów, wśród syku i trzasku płonącego dachu. Cały oddział powtarzał głosem uroczystym i spokojnym: „Zmiłuj się nad nami!“

Potem ze wszystkich rozmodlonych piersi wypłynęła pieśń, którą lud wiejski na pogrzebach śpiewa: „O Jezu mój, o, Jezu mój! gdy będę w ciężkościach, sam przy mnie stój!“

Na pogrzebie własnym śpiewali powstańcy — czerwone iskry poczęły już sypać się im na głowy.

Karabiny moskiewskie umilkły. Zdawało się, że ten pogrzebowy śpiew zaczarował napastników, że nie chcą mącić ostatniej chwili życia ginących, że pozwalają im umrzeć spokojną, choć straszną śmiercią w płomieniach i dymie.

Krukowiecki również przestał strzelać. Śpiewał z innymi.

— Co to? — zawołał nagle, jakby ocknięty z letargu „Moskale uciekają!“ Odsiecz! zbawienie!“

Powstańcy pędem zbiegli na dół.

Podwórze było puste. Wśród mroku zapadającego wieczora czerniały tylko trupy, porzucone tornistry, kociołki, czerwone odblaski płomieni pełzały po pobojowisku, zapalały iskry w mosiężnych guzikach mundurów, przeglądały się w karabinowych lufach. W ciszy wieczornej słychać było tylko westchnienia konających, huk płomieni, trzask walącego się wiązania dachu.

Nie widać napastników, ale też i odsieczy ani śladu.

Z za węgła stodoły wysunął się ostrożnie jakiś cień i zbliżył się zwolna ku powstańcom.

— Kto tam? — zapytał Krukowiecki.

— To ja, Grzymała, karbowy — ozwał się głos nieśmiały.

Z pomroki wychyliła się płowa czupryna chłopa, odblaski ognia zapaliły w jego szarych oczach płomyki chytrej radości.

— Nie wiecie, dlaczego uciekli Moskale? — zagadnął Krukowiecki.

— A ze strachu — odrzekł Grzymała.

— Dobrze, ale przed kim? Gdzież powstańcy?

— Nie było tu nijakich powstańców — uśmiechnął się Grzela — ja tak ino zwiodłem rusków. Patrzę, że te juchy usadziły się na panów, a tu dwór cały w ogniu, myślę ja sobie — poczekajta! Tak lecę do starszego i gadam: „Jaśnie wielmożny panie generale, tam od lasu okrutna siła Polaków wali“.

— No a gdzież Polacy? — przerwał Krukowiecki, rozglądając się dokoła.

— A od lasu rychtyg wielga siła wali — kończył Grzymała — tylko że nie powstańców, jeno owiec i bydła — a kurzawa ci taka była zdala, jakby z tysiąc ułanów gnało.

Powstańcy huknęli śmiechem, aż się echo na podwórzu rozległo.

Zapomnieli już, że przed chwilą dysponowali się na śmierć, śmiali się długo i serdecznie z konceptu chytrego chłopa i z tchórzliwości Moskali.

— Ale tęgo ich panowie nakruszyli — dziwił się Grzymała, obchodząc pobojowisko.

Przeliczono trupy, było ich sześćdziesiąt i kilka, połowa blizko legła przed oknem, z którego strzelał Krukowiecki.

Syn zdrajcy, zapłacił dobrze za hańbę swego ojca.



LEON PREIS.

16 letni strzelec Langiewicza.

Będąc studentem 3 klasy gimnazyum Św. Anny w Krakowie, i widząc, że wszystko idzie walczyć za Ojczyznę, uciekłem i ja z domu, mając lat 16 i podążyłem do obozu Langiewicza, który się koncentrował w Goszczy. Wstąpiłem do 4 kompanii strzelców przy aryergardzie; w trzecim dniu byłem wysłany z 4 kompanją na czaty, gdyż miała nadejść z Krakowa nowa broń i amunicya, stojąc na widecie przy drodze, gdzie przechodziły do obozu markietanki z żywnością, poznałem jedną z Krakowa, dałem jej swój medalik z Matką Boską Częstochowską, by oddała go w Krakowie rodzicom i oznajmiła im, że jestem w obozie Langiewicza; stojąc na drugi dzień na widecie w tem samem miejscu, jedzie fura, ze zdziwieniem widzę moją matkę i dwie siostry jadące do obozu, zatrzymałem je i uściskałem. Matka kazała mi uklęknąć, wyjęła flaszkę wody święconej pokropiła, mówiąc: „idź synu walcz mężnie za Wolność, Ojczyznę i Wiarę świętą i toż samo uczyniły siostry, lecz musiały zaraz odjechać, bo padł strzał, jako hasło, że broń już nadchodzi. W pół godziny nadjechało sześć fur naładowanych bronią i amunicyą, ruszyliśmy zaraz do obozu, prowadząc konwój, były tam sztućce belgijskie z szerokimi bagnetami, zaraz je Żuawi rozebrali, ciesząc się, że będzie czem Moskali haratać, na drugi dzień zaraz cały obóz liczący 5000 wiary, konnej i pieszej dobrze uzbrojonej, ruszył przez Słomniki. Pomiędzy Miechowem a Słomnikami, znowuśmy obozowali, rano cały oddział wyruszył

na równinę, ustawiliśmy się w czworobok, w środku ustawiono ołtarz polny z wizerunkiem Matki Boskiej Częstochowskiej. Kapucyn miał mszę, potem mowę i Langiewicza ogłosili dyktatorem, poczem wszyscy składali przysięgę na wierność Ojczyźnie; czemu prawdziwie zawsze jestem wierny. Ledwie uszliśmy kilka wiorst, już rozciągamy łańcuch bojowy, pokazała się sotnia kozuniów, lecz widząc taki oddział, po kilkuset strzałach, posunęli się ku Miechowu, zostawiając 4 trupy. Jeden z naszych padł, pochowany został w lesie, saperzy mu zrobili krzyż, a my żegnając go pocałunkiem krzyża, ruszyliśmy dalej w drogę, formując się w czwórki. I tak ciągłym marszem stanęliśmy pod Chrobrzem, przy pałacu Wielopolskiego, gdzieśmy obozowali, na drugi dzień trochę pałac splądrowaliśmy, ja sam będąc głodny spróbowałem wieprzowiny z prosiaka, którego koledzy zabili i rozebrali. Po wypoczynku ruszyliśmy po południu dalej, na ślicznej równinie przeszliśmy przez most, o ile przypominam sobie była to rzeka N i d a, za nami saperzy zaraz most podpalili, kazano nam się wyciągać do linii bojowej, patrzymy coś burego pokazuje się na lewem skrzydle, a że pole było zorane, nie można było szyneli moskiewskich rozpoznać i zaczęto do nas bić granatami, po chwili dały się słyszeć strzały karabinowe, pokładliśmy się na ziemi i strzelali na odwet, kule armatnie leciały ponad głowami, karabinowe świstały koło uszów, my mieliśmy dobrą pozycyę; Moskale zaczęli się cofać, raz, żeśmy ich już zdziesiątkowali, a po drugie, już było pod wieczór. My mieliśmy wtenczas 20 rannych i 5 trupów; rannych umieściliśmy na folwarku, a nieboszczyków oddano na cmentarz i znowu dalej idąc całą noc zmęczeni (śnieg zaczął polatywać) dotarliśmy do lasów, pokładliśmy się, lecz było zimno, zapalono ogień, bo sągi były w lesie, niektórzy mieli jeszcze mięso surowe z Chrobrza, nadziali na patyki i piekli na ogniu. Lecz niedługo było tego spoczynku, armatnie strzały znowu zadudniały po lesie, rozsypaliśmy się w tyralierkę każdy sobie obrał grubą sosnę, z po za której mógłby dobrze walić, a sam był zakryty, lecz trudno było wytrzymać pod tym gradem kul, musieliśmy stanowisko zmienić; obie strony walczyły zacięcie, aż tu pokazuje się brak amunicyi, ja sam miałem trzydzieści ładunków, wyszły, ładownica moja próżna, pytam się kolegi Załuskiego, masz co w ładownicy, dawaj — występuję prawą nogą, noga mi czegoś ścierpła, kolega Załuski powiada, krew ci przez cholewę idzie, patrzę się dziura w cholewie na prze-

strzał. Kulka przeszła mi przez mięśnie łydkowe, nie naruszając kości; Załuski powiada dawaj szalik z szyi, ja zwiążę, bo cię krew ujdzie, nahyla się i pada, dostał kulkę w same ucho, drugą stroną wyszła.

Z 4 kompanii mało nas zostało, Moskalom też widać amunicyi brakło, zaczynają wołać „hurra“ na bagnety; lecz i oni byli dobrze przetrzepani, bo ich wyszło ledwie dwunastu, możnaby ich było wziąść, i dalej hurra. Nam się nawinęli kosyniery, też rozbitki i ranni, aleśmy wroga i tak pokonali; ja dostałem jeszcze dwa pchnięcia w prawe udo i do reszty osłabłem; puściłem się więc dalej w las z resztkami rozbitków, i tak od drugiej po południu do czwartej staliśmy w ogromnym ogniu. Mego kolegę, Załuskiego, opuściłem ze łzami w oczach. Było to 18. marca 1863 r.

I tak ranni i zdrowi, a było nas 22, puściliśmy się na poszukiwanie obozu; ciemno się zrobiło, śnieg zaczął padać, błądziliśmy tak całą noc, ja dostałem gorączki, osłabłem, koledzy mię wzięli pod ręce, nie chcąc zostawić na pastwę Moskali. Tak idąc, słyszymy pianie kogutów, chwała Bogu, las się kończy, będzie dwór albo wieś. Koledzy zdrowi mówią, który ranny musi zostać, dzień się robi, lada chwila spotkamy się z Moskalami, to was porąbią; dostaliśmy się do wsi, ja dowlekłem się do dworu, pukam we drzwi, słyszę głos kobiecy — kto tam? — ranny, proszę otworzyć. Było ciemno, nie powiedziano mi, że tam są schodki, upadłem na ranną nogę, nie mogłem więcej postąpić, zaprowadzono mnie do pokoju. Państwa nie było, pozabierali co lepsze i wyjechali. Została tylko pokojowa, położyła mi materac na ziemi i tak leżałem bez duszy. Kapitan kozacki mię obudził, przypatrzył mi się, zawołał jeszcze dwóch oficerów, i pyta mnie po polsku; skąd jestem, z Krakowa, taki młody, ładny chłopak! i woła na pannę, proszę go zaraz stąd wziąść, bo kozacy za nami jadą, to go tu porąbią, schować go gdzie do stodoły; a jak pójdą po siano? panna zawołała. Kucharka i dziewki zaniosły mię do stodoły, aby biorąc siano kozacy mnie nie znaleźli, wybrały siano, położyły mnie twarzą do szpary w ścianie, żebym się nie udusił, i przywaliły mnie sianem. Rzeczywiście w pół godziny słyszę trąbkę kozacką i ogromny tętent stanęli na popas. Kapitan i oficerowie pili herbatę we dworze, a kozunie popasając konie, przyszli po siano, ja odmawiałem „Pod Twoją obronę“, a kozunie po mnie deptali; alem był dość głęboko,

nie dobrali się do mnie; wyleżałem tak z godzinę dobrą, słyszałem znowu trąbkę do wymarszu, po chwili przyszła ta sama spłakana panna (bo myślała, że mię znaleźli), wzięto mię napowrót do pokoju, dopiero mię posiliła mlekiem gorącem, rozebrała, rany obmyła, obandażowała, usnąłem w gorączce.

W Pinczowie był szpital, kazała więc zaprządz i odwiezła mię do niego sama w nocy. W szpitalu już było 12 kolegów rannych i 6 Moskali przez kosynierów poharatanych, opatrywał nas Dr. Gawroński i siostry Felicyanki z Chrobrza. Rany się nam goiły dość prędko, ze mną było źle, bo żyły wszystkie były przerwane i tętna; musiano wycinać ciało poszarpane, żyły chwytać i zszywać jedwabiem, jednak w trzy miesiące już chodziłem. Piszę więc do rodziców, do Krakowa, żem ranny, że mi już lepiej i że jestem w Pinczowie w szpitalu. Ojciec przyjeżdża po mnie, lecz na nieszczęście w ten sam dzień przyjeżdża z Kielc kompanja wojska z felczerami, aby szpital zabrać. Przy każdem łóżku żołdak z karabinem i bagnetem, nie wolno się ruszyć, ojciec zmartwiony, co tu robić? Dr. Gawroński uspokaja, przynosi stołek, żeby sobie żołdak usiadł, potem flaszkę „choryłki“, żołdak popił „charaszo“ i usnął a Felicyanki i Dr. Gawroński łap za prześcieradło, wiążą mnie wpół i przez okno spuszczają na dół. Dr. Gawroński wziął mnie do domu, zamknął w piwnicy, a Moskale się rozbijali po Pińczowie, szukając mnie. Dopiero jak wymaszerowali z miasta z kolegami, którzy uciec nie mogli, myśmy także wyruszyli. Ojciec bał się jechać przez miasto ze mną, wyjechaliśmy więc tyłami z miasta. Na Nidzie woda była wielka, co tu robić, ojciec mówi w imię Boże jedź, furman rusza, ale bryczkę woda podnosi, ojciec znowu: „Matko Najświętsza ratuj nas!“ „Pan Bóg dopomógł, żeśmy szczęśliwie dojechali i przebyli całą drogę, a żaden Moskal nas nie spotkał, bo ja byłem jeszcze w mundurzę powstańczym, w konfederatce i w burce. Przyjechaliśmy do Krakowa szczęśliwie.

Okocim w styczniu 1903 r.



L. NAŁĘCZ PRZETOCKI.

Walki pod Wilkoszewskim i Padlewskim.

Byłem wówczas elewem technicznym kolei Warszawsko-Petersburskiej, kiedy przed 20 stycznia 1863 r., zjawił się u nas ajent z Warszawy i rozdał rozkazy pismienne, starszym z misyą specyalną, a ja młodszy z innymi udałem się do Małkini, stacyi kolejowej nad Bugiem, gdzie zastałem już zbrojne kółko; stamtąd koleją opanowaną pojechałem do Czyżewa, a wreszcie do Łap, pod Białym stokiem, tam z oddziałem Cichorskiego (Zameczka) zebrało się z górą 4000 ludzi. Tamże przydzielono mię do „oddziału celnych strzelców“ pod dowództwem Wilkoszewskiego (Wiriona) w liczbie 35, z którymi kręcąc się po okolicy Kurpiów, broń zdobywaliśmy, jakeśmy mogli. Wtedy to odbyłem pierwszy chrzest krwawy pod Zarębami, w pobliżu Zambrowa, gdzie pomimo otoczenia nas przez 800 nieprzyjaciela, zdołaliśmy się z małą stratą przebić; a chłop przebrany za kozaka, który na nas wrogów naprowadził, pierwszy poległ. Wilkoszewskiego krzyż mosiężny ocalił, w który kula uderzywszy, spłaszczyła się, a prócz potłuczenia klatki piersiowej i rozdarcia czamary, nie wyrządziła innej szkody. Potem mieliśmy w lasach pod wsią Przetyczą potyczkę, a tak nas się wówczas obawiano, że Moskale powylewawszy z kotłów kapustę na ziemię, po krótkiem nas ostrzeliwaniu, uciekli.

Po przegranej pod Siemiatyczami, naprzód Grzymała starszy, a później Cichorski sam przyprowadził do nas znaczną liczbę ludzi, bo z górą 2000; nastąpiła organizacya, a ja jako podoficer sekcyi (z janczarkami 18 ludzi), znów dostałem się pod dowództwo Wilkoszewskiego, jako naczelnika 1-go batalionu strzelców.

Pod Drażdżewem, przy napadzie na nas przez kozaków — gdy kule odbijając się od budynków dworskich, sprawiły przestrach pomiędzy świeżo zwerbowanymi, uciekając poczynili zamięszanie, które dopiero za rzeką zdołano do porządku przyprowadzić.

Pod Kolinem objął nad nami komendę Padlewski Zygmunt. Ponieważ było dużo ludzi, a broni palnej za mało, gdyż na nasz oddział, z górą 2000 ludzi, strzelców z różną bronią 200, konnicy często zamiast szabli to z batem około 150, kosynierów 800, drągalierów coś 300, a reszta kandydaci na drągalierów, furgo-

nów kilkadziesiąt. Przeprawiliśmy się przez Narew, aby sprowadzoną broń z nad pruskiej granicy odebrać, lecz odtąd ciągle nas tropiono i ścigano z wielu stron, a Padlewski wywijał się różnemi dróżkami, lasami w bagnistej okolicy; wreszcie stanęliśmy u kresu, lecz nam oświadczono, że Prusacy broń skonfiskowali, a otrzymane 100 sztuk sztucerów belgijskich, były pozabijane kulami, a jak się to doświadczyło w potyczce pod Wróblewem, pozostały bez użytku.

Szliśmy tedy dalej na Kurpie, pod Chonelami osaczyliśmy oddział „objeszczyków“ (straż graniczna) w liczbie 150, a nie mogąc nam się wymknąć, przeszli sobie przez granicę do Prus; w miejsce ich wysunął się i rozwinął ku nam frontem szwadron pruskich huzarów z trupiemi główkami, do których pod karą śmierci, zabronił Wilkoszewski strzelać, salutowaliśmy sobie z daleka, (a zbiegli Moskale za parę dni znów nas z innymi bili pod Myszyńcem). Dalej przechodząc przez Dąbrowę, złapano dwóch „objeszczyków“. W Myszyńcu mieliśmy bitwę z rana przez 5 godzin; z 1-go batalionu zginęło 53, z mojej sekcyi z 18 zostało nas trzech; Moskali podobno padło 173, między tymi trzech oficerów; (a z naszej strony Wilkoszewski i wielu najdzielniejszych strzelców zginęło); biliśmy się pod tym samym wałem, gdzie tak Szwedów, za Karola XII., Kurpie poturbowali, że zaś Karol chciał dla nas dobrego króla Stanisława Leszczyńskiego pozostawić, otóż za źle zrozumiany wówczas interes, nam się w tem miejscu nieposzczęściło. Padlewskiemu kula sztandar złamała, a kosynierzy nie ruszyli się do ataku — stąd przegrana

Później przeznaczono mię do rezerwy, niby to w stopniu oficera, gdyż nowo wstępujących wciągałem do rejestru, miałem formować sekcye, ale dla braku broni palnej, kos a nawet drągów do kos, najczęściej przeznaczałem do kompanii kandydatów na drągalierów, wielu w dzień przybywało, ale i niemało z tego nocami uciekało; a gdy nie mogłem zaspokoić potrzeb i wymogów zgłaszających się, gdyż prawie wszystkiego niedostawało — przeniosłem się z rezerwy w szeregi moich kolegów i znajomych jako szeregowiec, dopóki nas pod Szreńskiem i Radzanowem nie rozbito, — tak więc zakończyłem kampanję pod Padlewskim.

Nie winuję nikogo, bo taki był duch czasu, ale gdyby były systematycznie poczynione przygotowania przed powstaniem, to w Płockiem cały korpus stanąłby pod bronią; a gdy przeciwnie się stało, pochłonęło to wiele ofiar.

Jako młodzieniec 19-to letni, nie zajmowałem wybitnego stanowiska, lecz jako żołnierz, spełniłem mój obowiązek.

Borszczów, 12 stycznia 1903 r.



GUSTAW REUTT (†).

Do legionów.

(Z notatek rodzinnych).

W roku 1860 Antoniewicz (późniejszy moskalofil) i Morawski (ludowiec, który później przyjął prawosławie, żeby zbliżyć się do ludu) — przyjechali do Moskwy i przywieźli wiadomość, że Mierosławski w porozumieniu z Garibaldim zamierza utworzyć legiony polskie. Mnie łatwiej udało się dostać pieniądze niż innym, zmieniłem je na srebro, sprawiłem sobie skórzany trzos i we trzech z Ambrożewiczem i Rostkowskim postanowiliśmy wyjechać do Włoch. Należałem wtedy do sprzysiężenia „Zakonu polskiego“, tajemnego stowarzyszenia w Moskwie, trzeba było dostać uwolnienie. Ścisła tajemnica obowiązywała członków tego sprzysiężenia, cel był patryotyczny; każdy znał tylko swego dziesiętnika. Werbowanie odbywało się w ten sposób, że kolega jeden przychodził często i mówił zawsze o sprawach narodowych i powoli werbował. Hasło było takie: jeden z członków w ogólnej rozmowie umieścił słowo „zakon“ — drugi w dalszym ciągu rozmowy słowo „polski“ — znowu pierwszy wymówił „poświęcenie“, a drugi w ten sam sposób „zupełne“ — po tem się poznawali. Co zrobiło to stowarzyszenie — nie wiem, bo należałem tylko kilka miesięcy. Wozili mnie do przysięgi do jednego Polaka, inżyniera, mieszkającego w Moskwie.

Po uwolnieniu z „Zakonu polskiego“, bez żadnych trudności dostałem paszport na własne nazwisko do Ekaterynburga. Każdy z nas miał przy sobie kilka rubli. Zima była wtedy i silne mrozy. Zamiast jechać pocztą, kupiliśmy sobie budę i pojechaliśmy przez Tułę, Nieżyn, Baturyn do Kijowa. W Tule kupiłem pistolet i ładownicę. W Kijowie mieliśmy adres do studentów uniwersytetu i tu poznałem się z Dobrowolskim doktorem, Aleksandrowiczem i Henszlem. (Antoniewicza i Morawskiego poznałem, zdaje się, u doktora Wernickiego w Moskwie). W Moskwie

było bardzo wielu amatorów do wyjazdu, ale nie chcąc jechać na niepewne, wysłali jednego do Paryża na zwiady i ten doniósł, że myśl utworzenia legionów zaniechana. Wyjeżdżając z Moskwy napisałem do ojca, żeby długi moje popłacił, bo wyjeżdżam za granicę.

Z Kijowa wysłano nas z listem do Padlewskiego (ojca Zygmunta, obaj byli potem rozstrzelani) na wieś. Najęliśmy furę, było to około 6 klm. od Kijowa. Rostkowski wrócił, bo mówili w Kijowie, że wiadomość o legionach nie jest pewna. Gdy przyjechaliśmy do Padlewskiego, (miałem wtedy lat 19) on miał jakiegoś gościa, przed którym chciał nas ukryć. dał nam obce nazwiska i przedstawił jako oficyalistów z sąsiedztwa. Na drugi dzień rano mówi nam Padlewski: „mój syn Zygmunt leży chory, a choć on oficer moskiewski, chcę, żebyście się poznali". Rozmawialiśmy z nimi, nie ukrywając wcale naszych zamiarów. Padlewski pokazywał nam siodło Sobieskiego. Potem posłał nas z kartką do sąsiada pod Machnówkę, koło Berdyczowa.

Pocztą obywatelską, która się wtedy zaczynała organizować, przeszedłszy może przez sześć rąk, dostaliśmy się do Besarabii, do jakiegoś Bronikowskiego. Jego nie było w domu, a kuzyn jego Dzikowski kazał nam na powrót jego czekać, bo sam nic nie wiedział. Gdy ten przyjechał, zawiózł nas do Kamieńca Podolskiego, do znajomego fiakra, który nazywał się Strzemię, a był porządnym człowiekiem i patryotą. Ten obiecał ułatwić nam przeprawę przez granicę. Zebrało się nas już 6. Cybulski przyjechał z Moskwy tą samą drogą co i my i kilku z Podola. Strzemię w 4 konie zawiózł nas do przemytników i umówił się z nimi co do przeprawy. Wyjechaliśmy rano, a przeprawiać się przez zamarznięty Prut, mieliśmy dopiero wieczorem.

Wieczorem Strzemię zawiózł nas do przemytników, umówiliśmy się z nimi po 3 rb. od sztuki, zaręczono nam, że można im wierzyć. Nad Prutem siedzieliśmy jeszcze z godzinę w krzakach, w śniegu. W drodze dostałem kaszlu, teraz kazali mi kaszlać do śniegu, żeby nie było słychać. Po ciemku, po głębokim śniegu, dostaliśmy się na lód Prutu i stamtąd do jakiejś mołdawskiej karczmy, zmęczeni i głodni. Mołdawianie rozumieli po moskiewsku, obiecali nas zawieść do najbliższego miasteczka, ale kazali sobie za to dużo zapłacić. Nad ranem w 3 sankach, po dwóch wieźli nas Prutem nad samą granicą. Widzieliśmy na przeciwnym brzegu chodzących moskiewskich „objeszczyków", ale Mołdawianie zaklinali się, że nie zdradzą. Nagle sanie skręciły

w bok, ukazało się kilkunastu żołnierzy mołdawskich, którzy wzięli nas i poprowadzili do ciupy.

Zawieźli nas do miasteczka Dorohoj i wsadzili do kozy. Spisali nowy protokół przed jakimś wyższym urzędnikiem.

Jakiś aptekarz Polak przysłał nam wspaniały obiad. Przewieźli nas potem do Botuszan, większego miasta, odległego o parę mil. Po tygodniu pozwolili nam mieszkać w mieście — pod dozorem.

Przyszli wtedy inni — i było nas już 9. Poznałem się wtedy z Kurniewiczem i Żeleszkiewiczem. Po dwóch tygodniach urzędnik wyższy, rodzaj naczelnika okręgu, powiedział nam, że rząd namyślał się, czy wydać nas Moskalom — węgierski konsul chciał tego, ale angielski i francuski sprzeciwili się. Polecili nas odesłać do Gałaczu pod eskortą dwóch żandarmów — stamtąd okręt odwoził węgierskich ochotników do Włoch.

Wyjechaliśmy dwoma furami, obok dwóch żandarmów konno, którzy mieli nasze pieniądze — od miasta do miasta, w kilka dni byliśmy w Gałaczu. Właśnie wiosna się zaczynała. Przed Gałaczem spotykaliśmy Węgrów, jadących do legionów węgierskich; dużo z nich było z 1848 r., umieli po polsku, więc wielka przyjaźń z Węgrami. Za parę dni wsiedliśmy na okręt, który nas darmo zawiózł do Konstantynopola. Przy wschodzie słońca Węgrzy śpiewali swoje narodowe śpiewy. Jechał razem parę stacyi Łapiński, jako prywatny pasażer, wtedy go poznałem, opowiadał nam o wyprawie na Kaukaz.

W Konstantynopolu, Węgrów nie wypuszczając na ląd, przesadzili na drugi okręt. Polacy pytali kapitana okrętu, co mają robić z sobą? — on odpowiedział, że nic nie wie, ale radził iść razem z Węgrami. Przeszliśmy na drugi okręt, ale powiedzieliśmy nowemu kapitanowi, że jesteśmy na innych warunkach niż Węgrzy. Ten odpowiedział, że do niego to nie należy, tylko do włoskiego posła czy ambasadora. Przedstawił mu kapitan sprawę dziewięciu Polaków, a on odpowiedział krótko, zimno: że muszą ustąpić. Wsiedliśmy więc do łodzi i wylądowaliśmy. Na brzegu przybiega do nas jakiś facet, prowadzi do wązkiej uliczki i każe czekać. Przychodzi ten sam ambasador włoski, przeprasza nas, że musiał tak na okręcie postąpić, bo są tam szpiegi moskiewskie i pruskie. Woźnemu kazał nas zaprowadzić do restauracyi Janka, Polaka, który się nami bardzo ucieszył, dał mastyki, nakarmił. Polacy, znajomi ambasadora, mieli się nami opiekować. (W drodze skradli mi Mołdawianie

ładownicę). Syn Janka, dziesięcioletni, mówił po polsku, turecku grecku, włosku, niemiecku i po francusku — oprowadzał nas po Konstantynopolu.

Na drugi dzień przyszedł Przeździecki, uwiadomiony o naszem przybyciu przez posła włoskiego i uradziliśmy z nim, że będą nas po kilku wysyłać do Włoch, bo wszystkich odrazu nie mogą. Tymczasem zebrało się nas już kilkunastu. Siedzieliśmy kilka tygodni w Konstantynopolu; u Przeździeckiego byliśmy na święconem; opiekował się nami Przewłocki, późniejszy jenerał Zmartwychwstańców, — oglądaliśmy Konstantynopol. Kilku okręt jakiś darmo powiózł. A nas 6-ciu czy 8-miu między którymi był Nowacki, Judycki, Kalinowski Kazimierz, Olszewski Hilary — (którego uważaliśmy później za zabitego w powstaniu — ale niedawno dowiedziałem się od jakiejś pani, że Olszewski jest teraz proboszczem w Królestwie, według opisu, ten sam). Wsadzono nas na kupiecki okręt angielski, płynący przez Maltę.

Dziesięć dni siedzieliśmy w Smyrnie, pomagaliśmy majtkom ładować okręt, wyciągać kotwicę. Jeden z nich dowodził, że umie po moskiewsku, ale umiał tylko kilka klątw. Rozmawialiśmy na migi, bo oni wszyscy mówili tylko po angielsku. Używali nas do pomocy i za to darmo wozili nas na ląd, do Smyrny, gdzie siedzieliśmy całe dnie. Przypadkiem znaleźliśmy grób jenerała Paca na cmentarzu smyrneńskim. Poszliśmy się ostrzydz do fryzyera Włocha, ten, gdy się dowiedział, że jedziemy do Włoch, zaprosił nas na wspaniałe śniadanie. Znaleźliśmy w Smyrnie emigranta Surewicza (czy Syrewicza) ożenionego z Greczynką, chodziliśmy często do niego. Kiedyś wieczorem wpada on do nas, że konsul włoski daje bal i chce, żebyśmy koniecznie do niego przyszli. Zaprowadził nas do konsula, bal był wspaniały, na pamiątkę oswobodzenia Włoch, a my byliśmy w podróżnych naszych ubraniach, przeważnie w świtach samodziałowych. Surewicz przedstawił siebie i nas, palnął mówkę, konsul przemawiał także — a podobno byli tam konsul moskiewski i austryacki. Po dziesięciu dniach, gdy naładowaliśmy okręt, przeważnie zbożem, odpłynęliśmy do Malty. Jeszcze w zatoce smyrneńskiej była okropna burza, ale okręt nasz był ogromny i nie poruszył się nawet. W drodze, na Archipelagu spotkała nas druga burza — taka, że bałwany przez wierzch przechodziły. Niektórzy z nas chorowali. — Judycki i ja chodziliśmy na przód okrętu, Judycki śpiewał, żeby sobie głos wyrobić — Nowacki grał na flecie.

Na Malcie dostaliśmy się do jenerała (Fabrici zdaje się) z listem od konsula, żeby ułatwił nam dostanie się do Włoch. Dostaliśmy się prawie darmo, na dwóch okrętach do Messyny, mieliśmy do kogoś list polecający, ale kazali nam czekać. Mieliśmy trochę pieniędzy, ale się rozlazły, siedzieliśmy więc w kiepskim zajeździe, robiąc wycieczki na Etnę. Raz wyszedłszy na przechadzkę spotkaliśmy stryja Jana Reutta, który przyjechał mnie łapać. Trochę namawiał do powrotu, potem pojechał razem z nami małym jakimś okrętem do Neapolu. Po drodze widzieliśmy na wybrzeżu okręt, którym Garibaldi wylądował w Kalabryi — puścili okręt całą siłą pary na ląd, żołnierze wyskoczyli, a okręt został.

Dostaliśmy się do Neapolu, ale tu mieszkania były za drogie, wyprawili nas do Nola, małego miasteczka o 30 Km. od Neapolu. Mieszkaliśmy w ruinach domu, bez okien, drzwi i zamków — wynajmowaliśmy za 80 bajoków (1.20 ct.) miesięcznie, wielki pokój bez podłogi, tylko dach, piec, ściany. Koza przychodziła do nas na piętro. Kalinowski zajmował się kuchnią, doił kozę. Drugi pokój w tym domu wynajęło innych kilku, którzy potem przyjechali. Stryj z początku mieszkał z nami, ale potem przeniósł się do Neapolu.

Robiliśmy wycieczki do Pompei, Wezuwiusza — wszędzie, gdzie można było dostać się bez pieniędzy. Wtedy przyłączył się do nas Józef Kramer, obywatel szwajcarski, Polak, emigrant z 1848 r. — mały, silny brunet — miał paszport jako poddany szwajcarski, inżynier cywilny, — szpieg Garibaldiego, jako handlarz zegarków w obozie austryackim — osobisty jego przyjaciel. Człowiek niezwykłej energii, silny, zręczny, mówił wszystkimi językami, jak swoim własnym — znał wszystkie narzecza szwajcarskie. — Mieszkał w Neapolu, potem przeniósł się do nas. Przez dwa tygodnie łaził z nami, prowadził na wino (dzban za 10 ct.). Raz wyciągnął nas czterech na przechadzkę za miasto: Olszewskiego, Wysłoucha, Buchowieckiego i mnie — i powiedział, że studyował nas przez ten czas i chce z nami pogadać, bo ma do nas zaufanie większe, niż do innych. „W Polsce dąży do tego wszystko, że wybuchnie powstanie, trzeba pomagać — a mianowicie przygotować wyprawę morską. Trzeba starać się sprowadzić jak najwięcej Polaków do Genui. U Garibaldiego jest kilkuset młodych Polaków, w Paryżu kilka tysięcy emigrantów i dużo młodzieży, we Włoszech także i w wojsku włoskiem byli także. Trzeba ich wszystkich sprowadzić do je-

dnego miejsca, ale żeby nikt o tem nie wiedział, nawet sami należący. Włosi znajomi dają mieszkanie w Genui".

Wiedziało o tem nas pięciu — Garibaldi i Mazzini. Garibaldi komenderował i opiekował się — tymczasem zbierali się Polacy pod różnymi pozorami. Projekt wyprawy był taki: bardzo łatwo zebrać kilkuset Polaków do kawiarni, zrobić wielką, awanturę — np. potłuc lustra. Wtedy Włosi wsadziliby nas na jaki okręt angielski, bo Anglia przyjmuje awanturników i pojechalibyśmy zamiast do Anglii — do Połągi. Polacy we Włoszech byli to przeważnie żołnierze. Potem Paryż wysłałby swoich. Garibaldi dawał okręt z bronią i amunicyą.

Było to w roku 1861. Tymczasem trzeba było porozumieć się z Komitetem warszawskim i litewskim. Olszewskiego wysłano do Warszawy, Kramera w Poznańskie — a mnie do Wilna, żeby się rozgadać z kapitanem Zwierzdowskim (Topór), powiedzieć mu, że jesteśmy do pomocy w razie powstania.

Ze dwa miesiące byliśmy jeszcze w Neapolu, potem zawieźli nas do Genui, dali nam „Dom biały" — koszary oficerskie przez protekcyę Garibaldiego na mieszkanie — czerwone koszule, koce do spania i 100 karabinów, żebyśmy się nie nudzili. Olszewski wyjechał do Warszawy, ja pojechałem do Paryża ze stryjem, który był w Rzymie przedtem. Kramer jechał z nami, ale nie mówiliśmy stryjowi dokąd jadę. Kramer pokazywał mi Paryż, obwożąc po nim omnibusami. — Stryj pojechał do domu.

Poznałem się w Paryżu z Langiewiczem i Czapskim (później jenerałem). Langiewicz mieszkał w hotelu na szóstem piętrze, uczył mustry paryskich Polaków. Przyszliśmy do niego rano, spał na dywanie, z paltotem pod głową, żeby się przyzwyczajać do życia obozowego. Kramer wyjechał wcześniej z Paryża, dając mi „rendez-vous" w Brukselli. Kramer był zawziętym nieprzyjacielem Mierosławskiego. Z Brukselli jechaliśmy do Królewca — ja miałem paszport jako Czujko, syn jenerała moskiewskiego, wracający do domu. Po drodze zwiedziliśmy Kolonię. Kramer kupił mi flaszkę wody kolońskiej. W Królewcu wysiadł, bo miał jechać w Poznańskie. Nim pociąg ruszył, stał przed oknem wagonu, w którym ja siedziałem — gdy pociąg odjeżdżał — Kramer dał mi 30 talarów i mówi: „weź pieniądze — ja sobie dam radę, prędzej od ciebie.

(Na Tem się urywają notatki spisane przez rodzinę ś. p. Reutta P. R.).



PUŁKOWNIK RĘBAJŁO.
(KAROL KALITA).

I. Obława moskiewska.

Generał Bosak w obozie.

(Urywek z pamiętnika).

Stałem na czele dwóch batalionów majora Jagielskiego i majora Rajmunda, w sile 800 piechoty, obozem w lesie pod wsią Cisowem. Postępowaniem mojem i moich podkomendnych, wobec obywateli i ludu okolicznego, pułk mój zjednał sobie szeroko w okolicach Śto Krzyzkich, Cisowskich i Szczecińskich lasów rozgłos i sympatyę, tak u obywateli szlachty, jak miejskich i wiejskich braci. Dzięki też czujności tych ostatnich, wiedziałem o każdym ruchu Moskwy, a kładąc największy nacisk i staranie na służbę przednich straży (placówek), niespodziewanego napadu nie obawiałem się.

22 grudnia 1863 r. otrzymałem tajną pocztą z Kielc, bezimienne zawiadomienie, iż 23-go garnizony moskiewskie z Kielc, Iłży, Opatowa, Staszowa i Stopnicy, mają zrobić obławę na mnie w dzień wigilii Bożego Narodzenia i następnych, póki nas gdzieś w lasach Szczecińskich lub Cisowskich nie złapią; które to wykonanie tem łatwiej się przedstawiało, suponując, że z powodu wigilii i świąt Bożego Narodzenia „naczalstwo buntowszczyków“ rozjedzie się po dworach — (co niestety przeważnie w oddziałach miało miejsce, tylko u mnie nigdy) — tem łatwiejszą będą mieli grę z żołnierzem, wyłapawszy wpierw starszyznę po dworach. Rachunek bez gospodarza. Znać nie mieli wyobrażenia, o mojej na wskróś wojskowej organizacyi armii regularnej, gdzie żadnemu z oficerów nie wolno było, choćby na chwilę, obozu i swoich żołnierzy opuścić, pod najsurowszą karą, chyba w służbie wysłany. Zresztą obowiązkiem każdego oficera było, nie wyjmując i naczelnika, iż musiał z plutonem swoim spać i z jednego kotła jeść. Taką organizacyą wszyscy przejęci, zjednaliśmy sobie u żołnierzy cześć i miłość, bo żołnierz wiedział i widział że jego pułkownik, major, kapitan i oficer tak samo spał na barłogu słomy w szałasie, i nie miał lepszego pożywienia od niego, bo razem z nim z jednego kotła jeść musiał i kotłówką do niego przepijał, gdyż innych specyałów nie wolno było mieć w moim obozie.

Wracam do obławy. Mając dwa dni naprzód wiadomość o strasznych siłach zamierzonej obławy, a widząc niemożebność przyjęcia bitwy, wydałem rozkaz do rozebrania szałasów, zaciągając gałęzie w głąb lasu, aby Moskale nie spalili takowych; a my w razie powrotu, mogliśmy znaleść gotowy materyał do ponownej budowy szałasów, jako jedynej ochrony przed zaspami śnieżnemi. Tak samo i inne przedmioty nadliczbowe, będące ciężarem w marszu skrytym, zakopano w lesie; wódkę i zapasy żywności rozdano między kompanje, z uwagą, by jak najoszczędniej takowe spożywać, bowiem przyjdzie nam może 4 do 5 dni pozostawać bez żywności. Zatarłszy wszelkie ślady za sobą, wyruszyłem w pochód. Nadmienić tu muszę, iż miałem w pierwszym batalionie żołnierza, który pochodził z tych okolic, i długie czasy przed powstaniem trudnił się kłusownictwem; znał na wskróś lasy Szczecińskie i Cisowskie, ich debry i wąwozy, a że był chłop siłacz, więcej inteligentny, celny strzelec i służbista, po miesiącu służby obozowej awansowany został na kaprala. Przy wymarszu z obozu zgłosił się on do swego kapitana z prośbą, by był mi przedstawiony. Na pytanie moje czego żąda, odpowiedział:

Proszę pułkownika, powierzyć mi przewodnictwo w tym marszu, a ja pułk zaprowadzę tam, gdzie nietylko Moskal, ale i sam djabeł nas nie znajdzie.

— Dobrze chłopcze, oddamy się w twoją opiekę, ale nim w twoją skrytkę wejdziemy, chciałbym dla zmylenia pochodu mego, kilka krótkich marszów i kontrmarszów zrobić, by nawet okoliczni wieśniacy nie wiedzieli, gdziem pomaszerował a gdzie znikłem.

Zrozumiawszy o co rzecz chodzi, prowadził nas lasami, ku wiosce Borkom, powyżej tej wioski wkroczył do rzeki Belmonka; przemaszerował kawał szosą prowadzącą z Daleszyc do Łągowa, następnie przed wioską Napienków skręcił w lasy, i gęsiego przez krzaki, gąszcze i zarośla usadowił nas w niedostępnej debrze, zacierając ślad tego gęsiego marszu, przez ostatnich żołnierzy, suchemi gałęziami. Weszliśmy w szeroki wądół, obrośnięty leszczyną i innymi krzewami, oraz wysokopiennym drzewostanem; byliśmy tu schronieni przed wiatrami i śnieżycą, jednem słowem była to wyidealizowana kryjówka. Choć pamiętna zima z 1863 na 1864 rok była strasznie mroźną, to jednak przez 2 dni i 2 nocy spędzone w tej norze, nie dokuczył nam mróz tak silnie, jak w cisowskim obozie.

W zbitej masie przeleżeliśmy w tem schronisku 24, 25-ty i do południa 26 grudnia, nie wolno było mówić głośno, palić fajki lub cygara, a tem mniej ognia rozpalić, zachowując nadto wszelkie ostrożności. Drugiego dnia byliśmy już bez wódki i kawałka chleba, głód i chłód dokuczliwy. Nasz podoficer kłusownik wylazł na najwyższy dąb, na wzgórzu stojący, i stamtąd sygnalizował nam wszelkie ruchy i krzyżowe pochody moskiewskie. Lasy Cisowskie i Szczecińskie były literalnie otoczone Moskwą, na noc lokowano po 2 do 3 kompanii po wsiach Cisów, Orłowiny, Makoszyn, Trzemeszno, Huta Szczecińska, Ujny, Holendry, Smyków. Zaraz po śniadaniu wszystkie kompanje opuszczały wsie, leśnemi drożynkami i ścieżkami, krzyżując cały obwód tych lasów, około 4 lub 5-tej godziny kolumny dążyły napowrót do wiosek na noclegi. Cel tych krzyżowych marszów był ten, iż Moskale wiedząc, że oddział nasz choć wymaszerował z Cisowskich lasów, jednak z kompleksu tych lasów nie wyszedł, przeto jak nie jedna, to druga, lub trzecia kolumna na nasz ślad trafić musi; wtedy bój się rozpocznie, a na pierwsze strzały wszystkie po lasach krążące kolumny miały spiesznie dążyć na plac boju, otoczyć oddział i zgnieść go; prawdopodobnie to by się było udało, gdyby byli nie kolumnami, lecz tyralierką przez krzaki i gąszcze przedzierając się, jak największy obszar lasów zajęli, a tym manewrem niechybnie byliby trafili i na nasz w gąszczy ukryty wądoł.

Niemiły wypadek spotkał mnie w tym wądole dnia drugiego, mianowicie zachciało mi się zamiast kłusownika, samemu wydrapać się na dąb obserwacyjny, mimo przestróg kolegów, zawsze gorąco kąpany, nie usłuchałem rad. Podsadzono mnie do pierwszych gałęzi i zacząłem drapać się w górę. Gałęzie obmarznięte ślizkie, gdy byłem już dość wysoko, urywa się czyli łamie spróchniała gałąź w prawej ręce, w chwili gdy lewą sięgałem do wyższej gałęzi i runąłem z wysokości 3 metrów plecami na ziemię. Tylko huknęło mi coś w piersiach, straciłem przytomność. Koledzy zaczęli mnie nacierać śniegiem i po chwili przyszedłem do siebie, nie czując żadnego bolu wewnątrz; gruba warstwa śniegu pod dębem ocaliła mnie od większego uszkodzenia. Na moje miejsce wydrapał się ponownie kłusownik na obserwatoryum i telegrafował nam dalej o ruchach Moskwy.

Po dwóch dniach tak forsownych a bezowocnych marszów, Moskale nie znaleźli nas. Kłusownik nie dostrzegł już żadnych ruchów dnia trzeciego. Nie będąc pewni, czy nie pozostali Mo-

skale po wsiach, z wądołu naszego nie ruszyliśmy się. Mimo że zesztywniałych członków i z głodu prawie ruszać się nie mogliśmy; jednak ani jeden szmer niezadowolenia lub skargi z ust żołnierzy nie wyszedł, przeciwnie podtrzymywani na duchu przez swych oficerów, oczekiwali cierpliwie zmiłowania Bożego. Dopiero po 2-iej godzinie z południa pierwsi poczciwi włościanie, z wsi Makoszyn, przekradli się do nas, z radosną nowiną, że część Moskali z załogi kieleckiej, zjadłszy obiad, zebrała się w Daleszycach, i pomaszerowała do Kielc, druga kolumna przez Szczecno i Chmielnik do Stopnicy, trzecia przez Ociesenki, Raków, do Staszowa i Opatowa, nareszcie czwarta do Iłży. Na zapytanie skąd wiedzą o tych wymarszach? odpowiedzieli, iż wszyscy mieli od swych wójtów nakaz, o każdym ruchu Moskwy natychmiast dawać im znać, a ci wiedząc o naszej kryjówce, przysłali posłańców z tą wiadomością, oraz z zaproszeniem do Napieńkowa, gdzie ciepłą strawę dla nas przygotowano.

Tak skończyła się sławetna obława Moskali przez 3 dni naszego Bożego Narodzenia trwająca, które to święto narodowe, każdemu z nas w pamięci pozostanie do zgonu.

Po przebytym noclegu w ciepłych chałupach i dostatecznem pożywieniu się, u poczciwych chłopków (gdyśmy ze zmęczenia niezdolni byli wystawić placówek, chłopi sami całą noc patrolowali, strzegąc nas od napadu) wymaszerowałem drugiego dnia przez Lechów, Lechówek, Widełki do Cisowa. Rozkwaterowani w Cisowie po chałupach, odpoczęci i nakarmieni, wyruszyliśmy do naszego obozu, opuszczonego przed 5-ma dniami, w lesie Cisowskim. W kilka godzin pobudowano ponownie szałasy; pod wieczór przysłano rekwizycye żywności: chleba, słoniny, soli, 2 krowy i świeżej słomy. Odbiór tych dostaw odbywał się przy przedniej straży, żołnierze przenosili do obozu, by tym sposobem nikt z obcych nie miał świadomości o naszym postoju jak i wewnętrznem urządzeniu obozu.

Po tych ciężkich przeprawach zabraliśmy się znowu raźno do dalszej organizacyi, a to tembardziej, że do obozu zaczęły napływać rozbitki po Czachowskim i majorze Liwoczy, przyprowadzeni częścią przez Eminowicza (szefa sztabu Czachowskiego) częścią przez kapitana Grodzkiego, częścią przez kapitana Zdanowicza. (Obaj ci kapitanowie, oficerowie z mego pułku austr., razem do powstania wyszliśmy z Pesztu, a było nas dziesięciu).

Czas mijał nam prędko, dzień cały mustra, władanie bronią, obroty w większych oddziałach, zmiany frontu, tyralierka a na-

wet strzelanie do tarczy. Wieczory szkoła o forpocztach, potem rozmowy przy ogniskach. Zwykle oficerya zasiadała przy mojem ognisku na pogadankę, zwoływano śpiewaków i wokoło naszego ogniska odbywały się śpiewy i różne ćwiczenia gimnastyczne, a nawet teatra i tańce przy skrzypcach, klarnecie i trąbie polowej.

Organizacya cywilna, co na jej chlubę stwierdzić muszę, dostarczała nam regularnie żywności, niewykwintnej wprawdzie, bo słonina była stara, aż w gardle drapało, a wódka śmierdziała kotłówką; przyzwyczajeni jednak do takich wiktuałów, zjadaliśmy je, jak najlepsze specyały. Broń była znakomita, belgijskie sztucery i karabiny zdobyte na Moskalach, bagnety i kosy ostre. Kożuszki i płaszcze ciepłe, białymi egipskimi barankami naszpikowane, batorówki z czarnym barankiem; wszystko było ku zadowoleniu. Tylko jedno obuwie szwankowało, buty przemoczone w śniegu, przy ogrzewaniu nóg przy ogniskach, skóra zsychała się i pękała, a palce wyłaziły. Z tej to przyczyny wielu żołnierzy z odmrożonemi do ran nogami, musiałem urlopować, po wsiach sąsiednich, by się leczyli.

Gdy dodam, że organizacya cywilna z całą punktualnością donosiła mi o ruchach Moskwy, czujność i życzliwość dla nas okolicznych włościan, nareszcie dość daleko wysunięte placówki i pikiety, nieustające nocne patrole — wszystko to strzegło nas od niemiłych niespodzianek, napadów moskiewskich, to też z całą swobodą oddawano się kształceniu żołnierzy, by z wiosną, w której pokładaliśmy wielkie nadzieje, wystąpić nie odpornie ale zaczepnie.

Wykroczenia służbowe, w pułku Stopnickim, prawie że nie miały miejsca, wiara wiedziała, iż najmniejsze przekroczenie w służbie bardzo ostro a nawet rozstrzelaniem karane będzie. Uchybienie dyscyplinarne, jak upicie się w obozie, kłótnie między kolegami, najmniejsze sprzeciwienie się lub uchybienie przełożonym, skazywano winnego na 24 godzin aresztu, w osobnym szałasie bez ogniska i słomy, odebraniem fajki i tytoniu, wódki i żywności, — za ważniejsze przekroczenia pakowano winowajcę do umyślnie w tym celu wykopanego okrągłego dołu, w którym przez 4—6 godzin zmuszony był siedzieć w kuczki, a warta nad nim stojąca nie pozwalała się podnieść; to też gdy godziny swe odsiedział, tylko z pomocą kolegów mógł być z dołu wyciągnięty i tak członki miał zesztywniałe, że parę godzin stanąć nie mógł. Tej kary bali się żołnierze jak ognia, a zaprowadziłem ten spo-

sób karania, jako bardzo dotkliwy, z własnego doświadczenia. Mianowicie po węgierskiej kampanii 1848/9 roku, jako dezerter z wojsk austr. musiałem z legią polską, w której przesłużyłem kampanię, emigrować do Turcyi. Po 2-letniej tułaczce, za amnestyą z powrotem do kraju, aresztowano mnie w Orszowie i w kajdanach pod eskortą prowadzono około 40 mil drogi do twierdzy Temeszwaru, gdzie 8 miesięcy w kazamatach przesiedziałem. Tu zapoznałem się z tak zwaną „szpeckkomorą", był to w murze wydrążony sześcienny otwór metrowy. Za rzucenie robaka wyłowionego z fasoli, w twarz profosowi, tenże wyprowadził mnie za kark na korytarz, otworzył drzwiczki w murze i kilku żołnierzy przemocą wpakowało mnie do tej niszy, w której przesiedziałem, czy przeleżałem w kuczki 6 godzin — po otworzeniu drzwiczek, nie miałem sił poruszenia się i znowu żołnierze musieli mnie wyciągnąć i zanieść do celi na łóżko, na którem prawie cały dzień przeleżałem bezwładnie. Tę to „szpeckkomorę" zaprowadziłem w obozie, jako karę za grubsze przestępstwa.

Nie znając innej mustry, jak austr., służąc w tem wojsku 17 lat i mając u siebie wielu oficerów, podoficerów i żołnierzy z wojska austr., zaprowadziłem także mustrę, sygnały i cały regulamin armii austr., rozumie się, przetłumaczywszy przedtem komendę na język polski.

W tej codziennej pracy, czas zbiegł aż do Trzech Króli. W tym dniu z rana przybiegł ordynans z przedniej straży z raportem, że na pikiecie od Cisowa zgłosił się oddziałek konnych powstańców, a naczelnik tegoż zameldował się jako generał Bosak. Zapytałem, a cóż komendant forpoczty na to? Komendant, pan kapitan, kazał stanąć pod broń, podszedł do pikiety, która generała zatrzymała, stanął frontem, sprezentował broń i pytał o rozkazy. Generał wypowiedział żądanie, iż chce wejść do obozu, na to kapitan, przepraszając generała, oświadczył, iż bez zezwolenia komendanta swego, nikogo do obozu wpuścić nie może, że wyszle ordynansa z raportem.

Wtedy kazałem kapitanowi z dyżurnej kompanii, by udał się na placówkę z kompanją, tam oddał honory generałowi i wprowadził go do obozu. Tymczasem trębaczowi pułkowemu kazałem dać sygnał generalski, kompanje stanęły w ordynku, sformowałem dwa bataliony frontem do wejścia obozu.

Gdy generał się ukazał na czele 40 gwardzistów w przepysznych ułańskich uniformach, z akselbantami białemi na ra-

mionach i w białych konfederatkach, zakomenderowałem: „prezentuj broń“, trębacze grali marsz generalny, a ja zdałem raport o sile pułku.

Bosak zsiadł z konia, jego gwardya również, pieszo przeszedł cały front, przemówił do żołnierzy. Zapytał czy niema w lesie obszerniejszego miejsca na odbycie mustry z batalionami.

Oświadczyłem, iż trzeba wymaszerować za las na pola cisowskie. — A możeby było niebezpiecznie opuszczać obóz? — Generale bez obawy zrobić to możemy.

Wydałem odpowiednie rozkazy, by kompanja mająca dyżur i nowo przybyli żołnierze, pozostali w obozie, dalej, by kompanje wychodzące na produkcye przed generałem, ładunki ostre pozostawiły w szałasach, natomiast aby kapitanowie rozdali swym żołnierzom do ładownic po 3 ładunki ślepe, gdyż zamierzałem z ogniem tyralierskim się sprodukować.

Tak wymaszerowaliśmy na pola cisowskie. Produkcye rozpocząłem, mustrę, obroty ciałem, robienie bronią, maszerowanie, zmiany frontów i inne ewolucye w większym korpusie. Nareszcie na czele dwóch batalionów przedefilowałem przed generałem, poczem prosiłem go o zezwolenie zaprodukowania pułku mustrą w rozsypanym porządku, względnie stoczenia bitwy, na co Bosak z radością przystał. Do wykonania tego planu prosiłem, by generał z gwardzistami stanął na wzgórzu cisowskiem, w zastępstwie nieprzyjaciela, pułk zaś będzie szturmem to wzgórze zdobywał. Gdy generał wyznaczoną pozycyę zajął, odkomenderowałem 2 kompanje w tyralierkę, drugie dwie w lewo i w prawo jako posiłkowe posterunki tyralierki, ja z resztą oddziałów i kosynierami stanąłem w pośrodku łańcucha, w rezerwie. Na sygnał trąbki pułkowej „stać!“ tyralierka stanęła na 2000 kroków od pozycyi generała — żołnierze pokładli się na ziemię, wyzyskując krzaczki i bruzdy jako zasłonę. Ruchy tyralierki — w prawo, w lewo, naprzód, na sygnały trębacza pułkowego, wykonywano z precyzyą. Na mniej więcej 1000 kroków przed wzgórzem, kazałem dać sygnał „ognia“ posypały się strzały tyralierskie — ciągle postępując naprzód. Na te strzały generał ze świtą skrył się za wzgórze.

Po chwili spostrzegłem jednego z gwardzistów po za prawem skrzydłem tyralierki, w galopie pędzącego ku mnie, — gdy stanął, zapytał, jak ja mogłem dać rozkaz strzelania do generała i jego świty? Odrzekłem, proszę generałowi zaraportować, że

tyralierka strzela ślepymi ładunkami; połapał się gwardzista, że się skompromitowali, sądząc iż ostrymi ładunkami strzelano, i rzekł: o tem przecież wiedzieliśmy, ale te strzały choć ślepe, mogą Moskali naprowadzić i narazić generała.

Proszę oświadczyć, że pod opieką bagnetów mego oddziału, generał jest całkiem bezpieczny.

Gwardzista salutował i powrót swój uskutecznił już przez środek tyralierki. Po chwili wyszedł generał na wzgórze ze świtą pieszo, stanął i przypatrywał się dalszym manewrom.

Na jakie 100 do 150 kroków przed wzgórzem, kazałem dać sygnał do szturmu na bagnety. Ogniwa łańcucha ściągnęły się w szereg, posiłkowe posterunki wkroczyły w ten szereg, ja z rezerwą tuż za nimi. Z okrzykiem „Jezus Marya“, jako nasze hasło bojowe, wpadliśmy na wzgórze, zdobywszy takowe.

Na wzgórzu sformowałem front, zakomenderowałem „prezentuj broń — oczy w prawo“ przystąpiłem do generała, prosząc o dalsze rozkazy. Generał rozczulony wziął mnie za rękę, stanęliśmy w środku frontu i przemówił mniej więcej w te słowa do żołnierzy:

„Naród Polski i Rząd Narodowy z dumą patrzył dotąd na czyny bohaterskie swych synów sandomierskiej ziemi, walecznych żołnierzy, oddziału majora Rębajły, lecz wykonanie dzisiejszej mustry, ze zdobyciem pozycyi nieprzyjacielskiej — w zdumienie mnie wprowadziło, i pytałem, czy to pułk regularnej armii najbitniejszej w świecie? to też w nagrodę za wasze waleczne czyny, dotąd dla Ojczyzny położone, miło mi wam bracia żołnierze oznajmić, iż Rząd Narodowy przyjął moją nową organizacyę w województwach sandomierskiem, krakowskiem i kaliskiem mianując mnie główno komenderującym i zamienił dotąd tak zwany „oddział Rębajły“ na III. pułk piechoty polskiej, powiatu stopnickiego, zaś waszego dowódzcę, majora Rębajłę, za bitwy zwycięzkie 4 grudnia pod Mierzwinem i 9 grudnia pod Hutą Szczecińską, Rząd Narodowy mianuje podpułkownikiem i dowódzcą pułku Stopnickiego. Ja zaś przyjmuję w całości i zatwierdzam nominacye majorów, kapitanów, poruczników i podporuczników, których mi podpułkownik Rębajło do tych rang podał — i dziękuję wam żołnierze w imieniu Ojczyzny, za dotychczasową waleczność waszą — i wierzę, że niedługo na czele waszem wkroczymy do Warszawy“.

Generał uściskał i ucałował mnie przed frontem, wiara krzyknęła: „niech żyje generał Bosak i pułkownik Rębajło“.

— A teraz Rębajło prowadź nas do obozu, spodziewam się, że nas poczęstujesz, bośmy wszyscy głodni.

Przyszedłszy do obozu, generał przypatrywał się, jak kompanje przed swojemi szałasami ustawiły w kozły broń, a gdy zasiedli przy kotłach do obiadu, kosztował jedzenia, pochwalił system zaprowadzony, że oficerowie wspólnie z żołnierzami z kotłów jedli.

Dla generała i jego sztabu, w moim szałasie zastawiono kociołek z grochówką i mięsiwo na drewnianym rożnie upieczone.

Tak się zakończyła świetna lustracya pułku Stopnickiego, przez generała Bosaka.

Po spożyciu obiadu generał ze świtą odjechał. My dalej pracowaliśmy nad organizacyą trzeciego batalionu, trzymając się rozkazów Bosaka; organizować do wiosny pułk, podnosząc go w sile i taktyce do potęgi, nie występować zaczepnie, tylko odpornie, nieprzyjmować ważniejszych bitew, których to rozkazów ściśle się trzymałem. Niestety nie na długo, 12 stycznia 1864 r. jak grom z nieba spadł na mnie rozkaz generała, wbrew planom i rozkazom jego z 6-go stycznia.

Otrzymany rozkaz brzmiał: „Do Obywatela podpułkownika Rębajły! Po otrzymaniu niniejszego rozkazu opuścisz dotąd zajmowane stanowisko i pomaszerujesz z pułkiem ku Opatowu, po porozumieniu się, przez pewnych wysłańców, z mieszczaństwem opatowskiem, wykonasz napad na miasto i zdobędziesz; gdyby atoli zamach na garnizon moskiewski w Opatowie samym nie był wykonalnym, natenczas będziesz się z pułkiem tak afiszował, by garnizon wyszedł z miasta, a wtedy, wybrawszy dogodną pozycyę — stoczysz walną bitwę, po rozbiciu Moskwy, wkroczysz do Opatowa, by zabrać kasę i broń znajdującą się w magazynach. Do wykonania tego rozkazu pozostawiam Ci 14 dni“.

Otrzymawszy taki rozkaz, przeciwny moim zapatrywaniom, nie wachałem się go wykonać.

II. Bitwa pod Iłżą 17 Stycznia 1864 r.

15. stycznia 1864 r. o świcie, po odprawieniu modłów i pożegnaniu pozostałych w obozie kolegów, pułk wymaszerował z cisowskich lasów, przez wieś Cisów, Widełki, Lechówek,

po nad miasteczkiem Łagowem, na szosę do Piórkowa ku Opatowu; tu skręciłem ku północy, przechodząc przez różne wioski, gdzie nas wszędzie radośnie przyjmowano. — Obywatele jak i wieśniacy darzyli nas jedzeniem, wódką, tak, żeśmy zapasy z obozu wzięte na dalszy marsz zostawiali. Pod wieczór przymaszerowałem w okolice za miasteczkiem Waśniów. Już z południa wysłałem konny rekonesans, aż do wioski N. przed Kunowem (wioski i właściciela tejże nie wymieniam dla zasadniczych przyczyn). Obywatel majętny i powstaniu nader przychylny.

Komendant rekonesansu zawiózł mu rozkaz, przygotowania ciepłej strawy i noclegu na 800 ludzi. — Przybywszy pod noc do tej wsi, zastałem wieś otoczoną pikietami z rekonesansu, a oficer z patrolem przybywszy na nasze spotkanie; zameldował, iż kolacya dla wszystkich żołnierzy w obfitości gotowa na podwórzu, dla p. p. oficerów zaś w salonach dworu.

Wkroczywszy na obszerny dziedziniec, rozwinąłem front ku gankowi dworku, na którym stało kilkanaście pań i tyluż panów, ściągniętych wieścią o przymarszu polskiego pułku. Przywitali nas okrzykiem:

„Niech żyje Ojczyzna, niech żyje pułk Stopnicki i jego wódz Rębajło“.

Zakomenderowałem: „prezentuj broń“ z okrzykiem:

„Niech żyją nasze Polki i obywatelstwo polskie“, ten okrzyk wiara trzykrotnie powtórzyła. Dalej komenda „do nogi broń, do modlitwy klęknij“, odmówiłem ją głośno i zauważyłem, iż wszyscy na ganku także przyklękli.

Po modlitwie ustawiwszy w kozły broń — kompanje cofnęły się wstecz, intendent zajął się rozdawaniem chleba i żywności, przyniesionych w cebrzykach przez parobków i dziewki dworskie. Była baranina z kapustą, suto mięsa. Jak zwykle i my oficerowie wyjąwszy z torebek łyżki i widelce, zasiedliśmy do cebrzyków, wspólnie z żołnierzami spożywać tak smacznie przyrządzone jadło, nieznane w naszem obozowem życiu. Wódka doskonała nie śmierdząca kotłówką, a tak obficie, że żołnierze wylewali parobkom pozostałą wódkę z obozu w manierkach, a napełniali obywatelską.

Panie i panowie na ganku przypatrywali się ze zdziwieniem, temu ładowi, jak wszystko ze spokojem się odbywało. Widząc, iż ja i oficerowie zasiedliśmy z żołnierzami do cebrzyków, właściciel przyszedł do mnie z przedstawieniem, że dla

p. p. oficerów jest kolacya przygotowana w salonach, do której jego żona i wszystkie panie gorąco zapraszają. Dziękując mu w serdecznych słowach, oświadczyłem, iż raz postanowionego porządku spożywania darów Bożych, przez oficerów wspólnie z żołnierzami, nigdy nie zmienię i jesteśmy z tego jedzenia bardzo zadowoleni i gospodarzowi wdzięczni. Panie zbliżyły się do mnie z prośbą, abym odstąpił od zwyczaju w tym jednym wypadku, lecz byłem nieugięty. Po nasyceniu się, deputacya podziękowała gospodarstwu, za ich serdeczny i obfity poczęstunek, zostawiwszy straż przy karabinach, udaliśmy się do obszernej świeżą słomą wysłanej owczarni na nocleg.

16-go rano około 6-tej godziny stanął pułk w dziedzińcu, po odmówieniu modlitwy ruszyliśmy w dalszy pochód. Zostawiwszy miasteczko Waśniów na boku, wzdłuż rzeczki Świelina, około Wiorów i Prawencina; przekroczyłem rzekę Kamienną do wsi Małachowa. Około południa opuściłem Małachów, przeszedłszy na lewy brzeg rzeczki Kamiennej; pułk maszerował szosą Wąchocko-Iłżecko-Opatowską przez wieś Krynki do Brodów. Zważywszy, iż żołnierz po dwudniowym marszu potrzebował odpoczynku, a wieś Brody bardzo rozległa, posiadając huty żelazne, rozległe magazyny i domostwa, gdzieśmy skupieni być mogli, postanowiłem dzień lub dwa wypocząć. Niestety już na drugi dzień rano, zaalarmowano nas — nadjechał bowiem jakiś młody obywatel, i zaraportował iż pułk moskiewski stojący garnizonem w Iłży, pod wodzą pułkownika Suchonina, dziś rano o 8-mej wymaszeruje z Iłży, nie szosą, lecz drogą prywatną, przez lasy iłżeckie, przetrząsając takowe, rewidując dwory i miasteczka dla wyłapania powstańców, tam się ukrywających.

Moskale około godziny 10-tej powinni byli nadciągnąć, trzeba było raźnie działać. Obsadziwszy jedną kompanją wieś Luwienie na szosie Iłża-Luwienie-Brody, zabezpieczając sobie tyły, przez obejście lewego swego skrzydła, z resztą pułku udałem się leśną drożynką ku przysiołkowi Bory, mającemu 10 do 15 chałup rozłożonych na pagórkowatej polance, a na 200 do 300 kroków w okół otoczona lasami.

Z Iłży prowadziły, prócz głównej szosy, przez Luwienie, Brody do Opatowa, jeszcze trzy drożynki leśne, 1-sza szła na Myszki, Kaplicę ku Opatowu, druga wprost do Brodów, trzecia na Bory do Kunowa. Kilku oficerów otrzymało rozkaz zrekognoskowania wszystkich dróg i drożynek. Po otrzymaniu raportów, postanowiono na radzie wojennej, wyczekiwać Moskali

w Borach, jako w najodpowiedniejszem miejscu na pagórkowatym terenie, gdzie żołnierz mógł być za chałupami i silnymi pagórkami dobrze zakrytym; zaś Moskale wyszedłszy z lasu, kierując się drożyną z Kamienny, czy na Bory, centrum naszej pozycyi, czy na Myszki i Kaplicę, gdziem wysłał jeden pluton pod kapitanem Bezdziedą (oficer moskiewski) do zajęcia chałup, musieliby byli paręset kroków przechodzić, czystem polem, a tem samem narażeniby byli na celne strzały i bardzo dotkliwe straty.

Sytuacya pierwszej naszej zaczepnej postawy była następująca: 1-szy batalion — pierwsza kompania we wsi Luwienie strzegąc naszego lewego skrzydła i tyłów, 2-ga, 3-cia i 4-ta zajęły po części chałupy w Borach, po części za chałupami skryci.

2 Batalion 1-sza i 2-ga kompanja pod kapitanem Bezdziedą strzegł mojego prawego skrzydła; z nakazem w razie nadejścia Moskwy, drożyną na Kaplicę, tyralierskim bojem wstrzymać Moskwę, aż do nadejścia mego z głównemi siłami.

3-cia, 4-ta kompanja i kompanja kosynierów 40 ludzi pozostało przy mnie w rezerwie.

Mróz 17. stycznia był nadzwyczajnie silny, jak cała zima. Najsurowszy rozkaz był wydany, by o ile można na stanowiskach nie poruszać się — karabinami nie manipulować, by przez to niezdradzić przedwcześnie zasadzki, a pierwsze strzały mają paść na sygnał pułkowego trębacza.

Z tym planem około godziny 10-tej z rana wszystkie oddziały pozajmowały swoje stanowiska. Pół godziny później lornetując ku lasowi w stronie Kamiennej, spostrzegłem dwóch jeźdźców, którzy stanąwszy na brzegu lasu, rozglądali się po naszych chałupach i całej polance. Widocznie musieli coś spostrzedz, bo cofnęli się w las, a za chwilkę wyjechało ich kilku — prawdopodobnie starszyzna; a zoczywszy nieostrożne poruszania się naszych, zmiarkowali, iż chałupy przez powstańców są obsadzone; znowu cofnęli się w las i sporą chwilę nie widziałem ich, zniecierpliwiony wyczekiwaniem, chciałem dać sygnał do pochodu tyralierką naprzód, — gdy naraz zobaczyłem całą ich kolumnę, idącą skrycie brzegiem lasu, zrównała się z pierwszą chałupą mego prawego skrzydła, i wypadła z całym impetem na te skrajne chałupy.

Widząc tak niepomyślną sytuacyę, zakomenderowałem mojej rezerwie: „biegiem marsz, marsz“, tymczasem w pierwszej

chałupie stojący porucznik Bela (Węgier) w kilkunastu żołnierzy wystąpił i dał plutonowego ognia, w kolumnie moskiewskiej zakotłowało się, kilku kozaków spadło z koni, a kolumna tą salwą powstrzymana została, gdy i inne plutony zaczęły dawać ognia.— Nadbiegłszy z rezerwą, kazałem rotowym ogniem prażyć wrogów— Moskale padali jak muchy, dziwna rzecz, iż z ich strony nie strzelano — tylko zrobili zwrot w tył i w największym popłochu, zaczęli biedz ku lasowi — i w stronę Kaplicy, tam ich atoli kapitan Bezdzieda przyjął tyralierskim ogniem — osłupieni podali znowu tył, i w największym nieładzie poczęli uciekać ku Iłży. — Tyralierka moich kompanii z tyralierką kapitana Bezdziedy następowała im na pięty. Ja z rezerwą strzelców i kompanją kosynierów w tyle — postępowaliśmy krok w krok za Moskwą, ciągle lasem przedzierając się przez krzaki, i znajdując nieraz pod krzakiem skrytego marudera moskiewskiego, którego w opiekę brali kosynierzy i w myśl hasła „niema pardonu dla wroga“, wieszali po drzewach. Ja sam złapałem młodego Moskala, padł przedemną na kolana i zawołał: „Batiuszka nie zabijaj ja wasz“ — skąd? — z zabranego kraju — naturalnie życie mu darowałem i kazałem wziąść do ariergardy — z rozkazem by mu się nic złego nie stało. Ten, ułaskawiony przezemnie sołdat, najhaniebniej się w parę dni potem odwdzięczył, bo w bitwie pod Radkowicami uciekł do Moskali.

Gonitwa Moskwy trwała do 2 godzin, przez cały las iłżecki. Ilu ich padło w pierwszym ataku na Bory i później przez cały las, nikt z nas oznaczyć nic nie mógł, gdyż goniąc za uciekającymi, nie mogliśmy się zatrzymywać i obliczać trupów lub rannych Moskali.

Raporta pojedynczych naszych żołnierzy, w szczególności kosynierów, którzy maruderów moskiewskich wieszali, były nadzwyczajnie bałamutne, brałem je więcej za przechwałkę jak za fakta prawdziwe, mówiły bowiem o dwustukilkudziesięciu. Nie wierząc w to, w raporcie do generała Bosaka, pominąłem je jako niesprawdzone przez nas.

Nadmienić tu muszę, iż wszedłszy już z tyralierką i rezerwą do lasu, kazałem pułkowemu trębaczowi, dawać ciągłe sygnały, by druga kompania 1-go batalionu, stojąca w tyralierce, w chałupach w Borach posuwała się naprzód i zaskoczyła uciekającym Moskalom drogę. Niestety kapitan drugiej kompanii (zapomniałem nazwisko), jak świadectwa jego brzmiały „kapitan królowej Wiktoryi i komendant angielskiej żandarmeryi

w Indyach“ nie usłuchał sygnałów i na własną rękę cofnął się na lewo od placu bitwy — ku lasom wąchockim, przez co nieobliczone straty w powodzeniu naszem wyrządził, koniec tego samowolnego cofnięcia się z placu boju, rozegrał się w parę dni potem, w obozie lisowskim, o czem później.

Dwie godziny trwała gonitwa za Moskwą, przez las iłżecki, gdy przyszliśmy na brzeg lasu, okazała się nam następująca sytuacya. Przed nami rozrzucone chałupy wioski Blizina, teren częścią pagórkowaty, częścią moczary. Za tą wioską 2 do 3 kilometrów dalej na wzgórzu, rozpostarte miasto Iłża. Suponując iż pułkownik Suchonin, z swoim przetrzebionym pułkiem, wkroczył do miasta, odkomenderowałem 2 kompanje pod majorem Jagielskim w tyraliery, drugie 2 kompanje pod kapitanem Płachetką, by okrążywszy chałupy w Blizinach, starał się od wschodnio-północnej strony wkroczyć do Iłży, na tyły Moskalom i tym manewrem przeciąć im odwrót szosą do Radomia. Niestety kapitan Płachetko nie wykonał rozkazu mego, zajął chałupy tylko wschodniej części miasta, zostawiając północną część a mianowicie szosę ku Radomiu, całkiem otwartą dla Moskali.

Zająwszy tyralierką chałupy w Blizinach, zdziwieni byliśmy, że w Iłży ani Moskali, ani mieszkańców, nikogo na wzgórzu miasta nie spostrzegliśmy, przypuszczaliśmy, że zapewne w mieście przygotowują obronę. Na prawym krańcu miasta stał młyn wodny, którego turkot mimo tak srogiej zimy, dochodził do nas, bo młym był czynny, popychany silnym prądem wód górskich, koło tegoż szła szosa z Iłży, przez wieś Sieredzice, także o 2 do 3 kilom. oddalone — do Szydłowca. Gdym wezwał majorów na naradę, dano znać, że Moskale pokazali się na naszem lewem skrzydle, na brzegu lasu przed wioską Sieredzice. Gdy lornetując w tę stronę, przekonałem się, że kolumna moskiewska rzeczywiście stoi pod wioską Sieredzice, zmieniłem front tyralierki ku zachodowi, z ciągłymi sygnałami, postępując naprzód. Plan ich zrozumiałem. Moskale tym manewrem myśleli, że odrazu puścimy się na zdobycie miasta i gdy pewna część ich załogi będzie pozornie bronić wstępu do miasta, silniejsza kolumna, skryta pod wioską Sieredzice, napadnie na nas z tyłu i rozbije.

I ten ich plan powtórnie dnia tego nie udał się. — Gdy nasza tyralierka zmieniła front, dążąc pospiesznie ku kolumnie moskiewskiej, zwinęli chorągiewki i biegiem dążyli szosą do Iłży. Ucieczka do miasta po części udała im się, tyralierka bo-

wiem nasza, mimo pędu, nie zdołała im drogi przeciąć, ale byli już na odległości strzału, i zanim doszli do pierwszych chałup, tyralierzy nasi dość trupów położyli. Drugi łańcuch tyralierski sformowany z rezerwy i kosynierów wprost z Blizina podążył na wzgórza Iłży, zdobywając chałupy jedną po drugiej; ogień ustał a czynnymi były bagnet i kosa, a to by nie strzelać do swoich walczących w chałupach i podwórzach z przeciwnej strony, jakoteż do dążących ulicami za Moskwą do rynku. Gdyśmy wkroczyli do Iłży ciemna noc zapadła. Najwięcej w ulicach byli czynni kosynierzy, całodzienną walką zagrzani, i tu byli w swym żywiole, przez dzielnego swego kapitana zagrzewani słowami: „Chłopcy, wpierw kosą podcinaj nogi, to ci już nie ucieknie, a potem dopiero w łeb“. Że przy zdobyciu każdej chałupy, każdego domostwa musiały padać trupy i ranni, nie podlega najmniejszej wątpliwości; lecz wielu zabitych i rannych, Moskale mieli od godziny 10 z rana, gdy się bitwa rozpoczęła, aż do 12-tej w nocy, gdyśmy miasto opuścili, to tylko jeden Bóg wie.

Około 10 wieczór po zdobyciu wszystkich domostw, dotarliśmy z tryumfem do rynku; obsadziliśmy domy południowo-wschodnie. W połaci zachodniej część domów w rynku obsadzili Moskale, północna strona była wolna; niestety! bo Płachetko nie wykonał dosłownie rozkazu, obsadzenia północnej strony i przecięcia odwrotu Moskwie do Radomia, tamtędy cała kozaczyzna i wielu piechurów ujść musiało.

W rynku zabawiliśmy dwie godziny, strzelając z okien do okien domostw między naszą południową a Moskiewską zachodnią stroną, szczególnie razili nas Moskale z narożnego domu murowanego, gdzie się ich sporo zabarykadowało. Mieszkańcy miasta Iłży, już przy pierwszych strzałach tyralierskich w Blizinie, opuścili miasto z całym dobytkiem, i żywej duszy nie znaleźliśmy, by zasięgnąć wiadomości lub pomocy, w dostarczeniu drabin na mury tego obwarowanego domostwa z Moskalami. Z narożnego domu zajezdnego, gdzie sam z kilku oficerami i wielu żołnierzami znajdowałem się, do domu narożnego, gdzie Moskale się bronili, było może wszystkiego 30 do 40 kroków. Debatowaliśmy nad tem, jakim sposobem ten dom opanować, bo nas to korciło, przeczuwając tam ich starszyznę i silną załogę; nie mając atoli drabin do przelezienia otaczającego muru, ani żadnych palnych materyałów, do zapalenia dachów, widzia-

łem, że trudy nasze co do opanowania tego domu są bezowocne.

Trzech oficerów moich: major Jagielski, porucznik Witkowski i jeszcze jeden porucznik, bez wiedzy mojej postanowili iść na ochotnika; przypuszczając, że za nimi i inni pójdą, otworzyli więc bramę naszego domu, pokładli się na ziemię i tak z karabinami nabitymi przeczołgali się aż pod mury domu; odsapnąwszy chwilkę, wszyscy trzej powstali i z najeżonymi bagnetami, stanęli w jednem rozbitem przez kule oknie, strzelając wewnątrz. W tejże chwili kilka strzałów padło i porucznik Mondon padł, Jagielski i Witkowski z boku stojąc, niechybnej uniknęli śmierci, padli na ziemię i bokiem dotarli do nas. Mondon był tylko ranny i także został uratowany. Witkowski czołgając się po ziemi, zgubił zegarek. Ciemności nie dozwalały rozpoznać w których domach nasi, a w których Moskale. Widząc niemożebność trzymania się dalej w mieście, a spodziewając się, iż z Radomia Moskalom rychło pomoc nadejdzie, kazałem dać sygnał do odwrotu, i koncentrowania się za miastem.

W pół godziny przybyły wszystkie oddziały. Udałem się z pułkiem 18-go stycznia do wioski Jasieniec-Iłżecki, tam odpocząwszy, zapuściliśmy się w głębokie lasy wąchockie.

Żołnierz wycieńczony całodzienną bitwą, wypoczął w wiosce Lipie. Zażądałem od dowódzców kompanii szczegółowych raportów, o stratach w naszych szeregach. Z tych raportów okazało się, że porucznik i 4 strzelców rannych, 2 kosynierów i 7 strzelców zabitych. Ze strony Moskwy straty były bardzo znaczne, obliczyć się nie dające.

Co do poszczególnych faktów odwagi, to było ich tyle, że musiałbym był prawie każdego odznaczyć. Prócz wyżej wykazanych strat, brakowało w szeregach jeszcze 8 szeregowych, których nikt nie widział by padli, bo ranni uchodzili z nami, a że koledzy znali ich jako niechętnych sprawie, przeto zaliczyć ich trzeba było do uciekinierów.

Spodziewając się silnej pogoni, pomaszerowałem dalej. Pod Wąchockiem przekroczyłem szosę, i dla dalszego zmylenia pogoni przerzuciłem się ku Suchedniowowi; jakobym chciał przekroczyć szosę kielecko-radomską i wejść w lasy po lewej stronie szosy zwane Kaniowskie. Dotarłszy do wioseczki, w głębi lasów, zwanej Kaczką, zmieniłem marszrutę w północno-zachodnią stronę ku Wierzbnikowi. Na noc dotarliśmy do Woli-Krzyżowej. Biedny ludek prócz chleba i trochy kartofli, nic więcej

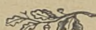
dać nam nie mógł. Wypocząwszy, 21-go wymaszerowałem do do wsi... (nie wymieniam właścicielki tejże, z przyczyn poważnych). Pani ta wraz z innemi z sąsiedztwa przyjęła nas owacyjnie i po królewsku ugościła. Takie kobiety jak nasze Polki, z takiem patryotycznem poświęceniem nie znajdują się w żadnym kraju.

Gospodarza domu nie było. Pani domu przejęta sama miłością Ojczyzny, potrafiła tę miłość wpoić i w cały swój wiejski ludek, bo za przybyciem naszem do wsi chłopi, chłopki i dziatwa zbiegli się do dworu, by swoich dzielnych bojowników powitać i nimi się ucieszyć. Każde coś w koszyku przyniosło na poczęstunek, składając dary te na ganku, przed panią domu, z prośbą, by biedni nasi żołnierze mieli się czem posilić. Gdy się dowiedzieli, że pułk pozostanie, aby zjeść coś gorącego, rozpoczęła się formalna walka, gdyż każda gosposia pragnęła do swej chałupy zabrać jak najwięcej wojaków.

Wioska leżała na brzegu lasów, nie było żadnej ważnej komunikacyi prócz polnych drożyn, o Moskalach w tej stronie i słychu nie było, więc też śmiało i bezpiecznie ten dzień wypocząć mogliśmy. I ja tym razem ujęty prośbami gospodyni domu, odstąpiłem od zwyczaju obozowego, i pozostałem z oficerami na kolacyi we dworze. Wieczór spędziliśmy bardzo mile, w gronie zacnych naszych gospodyń i gości z sąsiedztwa. 22-go rano wymaszerowaliśmy ponownie w głębokie lasy suchedniowskie. W głębi lasów była prawie niedostępna przez krzewy i zarośla miejscowość zwana piekło, tam radzono nam pozostać parę dni, a żywności codziennie dostarczać będą dwory. Kompanje musiały dla swego postoju wycinać i wyrywać krzewy i odgartywać masy śniegu, by jakie takie legowisko urządzić. Cały dzień 22-go przebyliśmy w spokoju.

Zaprosiwszy majorów, układaliśmy raport z bitwy pod Iłżą, co adjutant pułkowy, Leon Kahane, spisywał ołówkiem na bębnie. Zpołudnia zacne obywatelstwo przysłało do obozu 4 obładowane konie z żywnością. Było tam wszystkiego pod dostatkiem: wołowiny, chleba, słoniny, soli i spora baryłka wódki. Intendent porozdzielał żywność, wiara rzuciła się do zbierania śniegu w kotły, drudzy drzewa. Pod wieczór posiliwszy się, po odmówieniu modłów, każden jak mógł przedrzemał się wokoło nieustannie palących się ogni, bo silne mrozy dokuczały bardzo. Nazajutrz 23-go po spożyciu pozostałych prowiantów, zaprosiłem kapitanów na naradę, pouczywszy ich, iż w razie niespodziewanego

napadu, każden kapitan na swoją odpowiedzialność, ma kompanję z pierwszego natarcia Moskwy wycofać i wedle możliwych okoliczności okrążać i z boków razić Moskwę. W razie przeciwnym, kapitanowie rozszedłszy się w różne strony, tak manewrować powinni, by uniknąć spotkania i dążyć do lasów cisowskich, do naszego obozu, gdzie 2 do 3 dni oba bataliony skoncentrowane bydź winny. Nadmienić tu muszę, że kompanja 2-ga, pierwszego batalionu, jak czmychnęła z tyralierki pod Borami — tak dotąd nie pokazała się i nigdzie o niej dowiedzieć się nie mogliśmy.



PIOTR ROMANKIEWICZ.

Trzy nieszczęśliwe wyprawy.

Jako ośmnastoletni młodzieniec, wziąłem udział w powstaniu; w styczniu w pierwszej wyprawie pod Czernickim na Tomaszów.

Drugi raz w oddziale Zapałowicza (Żalplachta) 17. maja w lubelskiem pod Tyszowcami; 19. maja pod Tuczapami, gdzie z pierwszego dnia mieliśmy około 25 rannych, którzy tamże umieszczeni na jednym folwarku, zostali żywcem przez Moskali spaleni. Zginął tam także Juwenal Niewiadomski, lekarz oddziału. Po całodziennej walce, byliśmy przez przeważną siłę moskiewską rozbici, część naszych została przez Moskali dobita, część wzięta do niewoli.

Po przechowaniu broni, przechodziliśmy partyami przez granicę austryacką, koło Bełzca, gdzie po błąkaniu się przez dwa dni po lesie, zostałem przez żandarmów złapany i odstawiony do Cieszanowa, a stamtąd przez chłopską wartę od wsi do wsi, aż do Lwowa, gdzie zamknięto mnie w areszcie, a po spisaniu protokółu, w parę dni puszczono mnie na wolność.

Po raz trzeci w oddziale hr. Komorowskiego, w październiku pod miasteczkiem Poryck na Wołyniu razem z ś. p. majorem Jagminem, który z 200 do 300 towarzyszami będącymi na emigracyi w Turcyi, przebił się z bronią przez Rumunię, i brał udział w tej wyprawie. Pięciu kawalerzystów wysłanych na zwiady zostało pod cmentarzem przez Moskali zakłutych a jeden z nich ś. p. Sobolewski rozćwiartowany.

Po bitwie trwającej cały dzień, otoczeni w trójnasób większą siłą, byliśmy zmuszeni przejść razem z naszymi rannymi w nocy granicę austryacką.

Mieliśmy zamiar znowu przejść granicę w Lubelskiem, ale los zrządził, że gdyśmy o zmroku do zgranicy się zbliżyli pod Skomorochy, stał w polu wiatrak a w nim znajdował się trębacz austryacki; gdy tenże nasz oddział zobaczył, zwrócił się pędem do wsi, gdzie byli huzarzy i kompanja piechoty austryackiej i tych zaalarmował; zostaliśmy zaatakowani, dano trzy salwy do nas; na które także z naszej strony odpowiedziano. Dwóch czy trzech żołnierzy austryackich zostało rannych.

Tymi sygnałami Moskale uwiadomieni, w którem miejscu przeszedł nasz oddział granicę, ściągnęli tamże swe siły. Rannych i chorych, którzy byli tam w jednej szopie umieszczeni, chcieli zabrać do niewoli, ale huzarzy wystąpili przeciw Moskalom i zmusili ich do odwrotu, przyczem wzięli kilku Moskali do niewoli; widzieliśmy jak ich poprzywiązywali do armat i bili nahajkami aż do krwi.

Austryacy nas rozbroili, odstawili do Sokala, gdzie nas umieszczono pod wartą, w jakimś starym kościele; stamtąd pod eskortą wojskową podwodami po trzech z jednym uzbrojonym żołnierzem do Lwowa, aż do rogatki Żółkiewskiej, tam dodano jeszcze do każdego wozu po dwóch huzarów, którzy z odciągniętymi kurkami, przy karabinach, w największym pędzie przez całe miasto, na cytadelę nam asystowali. Tu zostaliśmy zamknięci na dole w kazamatach, a po kilku dniach częściowo odstawiano nas do kryminału, gdzie pod Nr 48, drugie piętro wraz z dziesięcioma towarzyszami, (których nazwiska z pamięci mi wyszły), przesiedziałem 2 miesiące w śledztwie; a ponieważ z bronią w ręku zostałem pojmany, zasądzono mnie na 14 dni aresztu.



MIECZYSŁAW ROMANOWSKI (†).

I. Modlitwa.

(na obchód żałobny za poległych w Warszawie 27 lutego 1861 r.

Wejrzyj ku nam z niebios, Panie!
Z łaską Twą;
Idziem po Twe zlitowanie
Z łzą i krwią.

Co cierpliwość Twoją zbudzi?
Sprawiedliwość co obudzi?
Wróg bezbronnych ścina ludzi,
A Ty gromy w ręku masz,
Boże nasz!

Patrz, na co się już ośmiela
Hardy wróg!
My się modlim, a on strzela
Do Twych sług!
Na uczczenie wielkiej doby
Nie dasz-że nam już żałoby
Nieść na ojców sławne groby?
A Ty żałość naszą znasz;
Boże nasz!

Ach! piekielnej serca męce
Koniec zrób!
Jasny oręż daj nam w ręce
Albo grób!
Nadziejamiś błyskał z dali
Wśród łez fali i krwi fali,
Tyle lat my wiernie stali,
A Ty wiarę naszą znasz,
Boże nasz!

W górę dłonie! niech okowy
Brzękną wraz!
Okrzyk wrogom ponad głowy:
„Boże! czas!“
Czas nam, Boże, strząść kajdany,
Czas wyleczyć nasze rany,
Bo już szydzą z nas szatany,
A rozpaczy moc Ty znasz,
Boże nasz!

Panie! chylim ci się w skrusze,
Wielbim krwią;
Ty pocieszysz sług Twych duszę
Zorzą Twą!

Kornie gniemy w proch kolano,
Bądź pochwalon krwią rozlaną!
Wnet mściciele z krwi tej wstaną,
A Ty grom nam w ręce dasz,
Boże nasz!
1861 r.

II. Co tam marzyć.

Co tam marzyć o kochaniu,
O bogdance, o róż rwaniu —
Dla nas nie ma róż!
My — jak ptacy na wędrówce —
Dziś tu, jutro na placówce
Może staniem już.

Co śni serce, niech raz prześni!
W twarde życie twarde pieśni
Niech wiodą jak w tan.
A miast ręce — rękojeści
Szczery uścisk! gdy obwieści
Z niebios chwilę Pan.

Szczęście, dola później może —
Ach! lecz tylko Ty wiesz, Boże,
Co tam spotka nas.
Ty wiesz, komu uśmiech miły,
Komu kwiaty na mogiły
Niesie przyszły czas.
1860 r.

III. Hymn polski.

Ojczyźnie naszej, Polsce bądźmy wierni
Pokąd tchu w łonie.
Stójmy wytrwali, gdy wieńce nam z cierni
Kładą na skronie.

Nieszczęścia i klęski niech miłość połamie.
Czy dźwiga nas dola, czy chytrze nam skłamie,
Ojczyźnie tej życie, krew naszą i ramię
I chwała w zgonie.

Tu nam w kolebce dał Bóg światło dzienne,
Tu żywot w znoju.
Konając, głowy tu pochylim senne
W chatach lub boju.
Tu bracia mrą nasi od ciosów tyrana,
I świadczą, że ta nam od Boga wybrana
Ojczyzna! — ta Polska codziennie kąpana
W łez i krwi zdroju.

Tu groby ojców sława opromienia;
Tu spią ich kości.
Tu nam się dobić po dniach utrapienia
Świętej wolności.
Tu przetrwać nam klęski i szarpać kajdany,
Tu rodzą nas Sawy, Puławscy, Rejtany,
I „hetman w sukmanie“, co kochał sukmany —
Tu żyć w miłości.

O! Święta, patrzaj: w twoją krew czerwoną
Maczamy dłonie.
Pokąd ty w grobie, potąd żadne łono
Szczęściem nie spłonie.
Niech ostrzy wróg miecze, niech w ludach duch stygnie —
Synowska dłoń ciebie z przepaści podźwignie,
I będzie Bóg poczczon, a szatan się wzdrygnie
I car w koronie.

Stójmyż gotowi jak straż czuwająca,
Bo nikt nie powie,
W który dzień trąba zawezwie nas grzmiąca
Matce nieść zdrowie.
A wonczas jak piorun, co kruszy i pali,
W bój lećmy zwyciężać z nadzieją na stali,
Lub gińmy szlachetni jak ojce konali —
Polski synowie.
1860 r.



WŁADYSŁAW ROZIECKI.

Miechów-Stefanków-Rataje.

Powstanie wybuchło. W Warszawie ogłoszono stan oblężenia. Z końcem stycznia 1863 r. opuściłem Warszawę w przebraniu, gdyż jako należący do straży ogniowej, a więc żołnierz rosyjski, mogłem być schwytany, i udałem się za rogatkę Jerozolimską, aby się połączyć z powstańcami w oznaczonem miejscu.

Przypadek jednak zrządził, że zbłądziłem i nie mogłem ich odszukać, przeto byłem zmuszony gdzieś się schronić, nie namyślając się długo, wszedłem do pierwszego lepszego domu i spytałem służącej, kto w nim mieszka? Dowiedziałem się, że właścicielem jest ogrodnik, który już się udał na spoczynek i że za ścianą kwateruje 12 kozaków. Po tej odpowiedzi chciałem natychmiast dom opuścić. Służąca, poznawszy we mnie powstańca, zapewniła, że nic mi się tu nie stanie, w razie zaś czego, ofiarowała mi swą pomoc, jako broń dała mi nóż kuchenny a sama wzięła drugi.

W oczekiwaniu i strachu doczekałem się dnia następnego. Gdym spojrzał na podwórze, ujrzałem kozaków uwijających się po niem, zajętych czyszczeniem siebie i koni. Wkrótce też obudził się gospodarz, którego prosiłem, aby mnie w jakikolwiek sposób odstawił do Warszawy n. p. aby mnie wysłał jako ogrodniczka do miasta po nawóz. Nie było mu to jednak na rękę, więc jako nagrodę za trudy, obiecałem mu 50 rubli, gdy się na to nie zgodził, dawałem 100 rubli, (których naturalnie nie miałem) i zagroziłem odpowiedzialnością przed Rządem Narodowym, gdyż życie moje było w jego rękach. Rad nierad zgodził się wkońcu na to, lecz bez wynagrodzenia. Poprosiłem go więc o ubranie stosowne, osmarowałem ręce, twarz i buty nawozem, aby przynajmniej wyglądać odpowiednio, następnie poleciłem mu, aby nas złajał wobec kozaków, za długie guzdranie się w domu, a potem nas wyprawił. Postępując za moją radą, począł gospodarz na nas krzyczeć, na co kozacy potakiwali, mówiąc „Charaszo, rugajtie“.

Ogrodnik kończył swoją pozorną kłótnię, gdy siadałem na wóz i szczęśliwie dostałem się napowrót do Warszawy. Zaraz po przybyciu wszedłem do knajpy, zrzuciłem z siebie ubranie, dane mi przez ogrodnika, oczyściłem się i poszedłem do kla-

sztoru OO. Bernardynów. Tam zaopatrzono mnie w paszport a nocnym pociągiem udałem się w kierunku do Ojcowa, gdzie obozował Kurowski z oddziałem.

W kilka godzin po przybyciu do Ojcowa, wymaszerowaliśmy na Sosnowiec i tam przyszło do potyczki (dla mnie pierwszej w życiu), z której wyszliśmy zwycięzko. Po tej potyczce przybyliśmy do Olkusza, zajęliśmy go. Kurowski ogłosił tam manifest powstańczy. Z Olkusza powróciliśmy do Ojcowa; tam przebywaliśmy aż do wyprawy na Miechów, która wypadła dla nas jak wiadomo, niepomyślnie. Z Miechowa wyruszyliśmy do Racławic, gdyż do Ojcowa nie było po co wracać, bo po naszem odejściu dostał się w ręce Moskali. W Racławicach kazał Kurowski złożyć broń na furgony, a nas rozpuścił. Ja ze swoim towarzyszem z szeregów moskiewskich, Julianem Kuczem, zanocowaliśmy w Racławicach u rymarza. Na drugi dzień rano udałem się z głucho-niemym praktykantem rymarza do karczmy, (wziąłem go z sobą, aby przypadkiem nie zbłądzić) aby rozmienić pieniądze i zjeść śniadanie. Na drodze złapali mnie chłopi i wypytywali com za jeden, a dowiedziawszy się, żem powstaniec, poczęli się naradzać, co mają ze mną począć; czy odstawić żywcem Moskalom, czy tylko moją głowę (bo Moskale wyznaczyli 10 rubli nagrody za żywego, a 5 rubli za głowę każdego powstańca), wtem jakaś baba zawołała: „Powiesić psiom krew, to zawsze będzie 5 rubli“, zabrali się więc do wykonania operacyi,[1]) podczas czego uderzono mnie w twarz, ażem się krwią zalał; gdy to zobaczył chłopak towarzyszący mi, pobiegł czemprędzej do domu, zawiadomił mego towarzysza Kucza o wszystkiem. Rymarz i kolega Kucz na wieść o tem, wyrwali koły z płotu i biegli z pomocą. Skoro to chłopstwo zobaczyło, oswobodziło mnie z wici, którą już miałem na szyi i zabierało się do odejścia. Tymczasem ja i kolega Kucz zaczęliśmy ich besztać w języku rosyjskim, co ich jeszcze bardziej przeraziło, a któryś z nich się odezwał: „Słysz Kuba, toć to psio krew, som Moskale, dadzą oni nam ducha, jak tu przyjdą“.

---

[1]) Podobne fakty dzikości, zdarzały się pod wpływem pierwszych niepowodzeń powstania, w niektórych wioskach, tak w Krakowskiem jak na Kujawach, a mianowicie tam, gdzie przeszłość lepiej ku temu grunt użyźniła. Moskale grunt taki wyzyskiwali, podniecając nietylko chciwość mas ciemnych, lecz i rozszerzając w nich to przekonanie, iż powstanie ma na celu powrót do dawnej niewoli. Bogu dzięki, wyjątkowo tylko wrogowi to się udawało. Przypisek Redakcyi.

Wśród takiego zbiegu okoliczności radził nam rymarz nie tracąc czasu, opuścić Racławice, bo gdy się mieszkańcy dowiedzą, że nas tylko dwóch, to będzie źle i wskazał nam drogę do Działoszyc, gdzie Moskali nie było. Dochodząc do Działoszyc, spotkaliśmy mieszczanina, którego po przywitaniu, zapytaliśmy, gdzie kwaterują powstańcy. Zagadnięty kazał nam iść za sobą, oświadczając, że przed kwaterą da znak skinieniem głowy (gdyż mówić z nami nie może). Skinął głową przed apteką, gdzieśmy się udali. Tam zastaliśmy dziesięciu powstańców, zbiegłych żołnierzy rosyjskich, których nazwiska nie pamiętam, i tam też było trzy furgony broni Z tej broni wybraliśmy najlepszą, uzbroiliśmy się wszyscy 12 i z przewodnikiem idąc od dworu do dworu, doszliśmy do granicy austryackiej, do Michałowic (o ile sobie przypominam). Tam w opuszczonym dworze złożyliśmy broń do fortepianu, poleciwszy ją opiece karbowego; sami przeszliśmy granicę i przybyli do Krakowa. Przeznaczono nam kwaterę u OO. Kapucynów, gdzieśmy zastali 6 powstańców. W tym właśnie czasie policya krakowska ogłosiła, aby każdy zawiadomił o swojem miejscu zamieszkania, a otrzyma kartę legitymacyjną. Zgłosiliśmy się na policyę, która nas przytrzymała i odstawiła do więzienia p. i. św. Piotra, gdzie nas gorzej jak zbrodniarzy traktowano. Po 18 dniach o godzinie 12 w nocy odprowadzono nas pod nadzorem 1 batalionu żołnierzy austryackich do fortecy, za rogatką Warszawską. Zkąd po 3 dniach miano nas odstawić do Igławy lub Ołomuńca.

Wiedząc o tem prosiliśmy, aby zezwolono mieszczaństwu krakowskiemu nas odwiedzać. Dwie panie, które były łaskawe razem z ks. Konarskim mnie odwiedzić, przyniosły z sobą ubranie damskie, korzystając z tego, przebrałem się za kobietę i wsparty na ramieniu ks. Konarskiego, opuściłem fortecę.

Towarzysz mój Kucz w takiemże przebraniu wyszedł też razem z temi paniami.

W ten sposób uciekło nas 15; gdy się o tem dowiedziano, zabroniono Krakowianom odwiedzać więźniów. Po wyjściu z fortecy przenocowałem u majora wojsk polskich z roku 1830; a dnia następnego otrzymawszy kartę legitymacyjną, udałem się do Tarnowa, gdzie mnie jako kawalerzystę, przydzielono do oddziału Łopackiego, formującego się w tym czasie w Horzelowie.

Rotmistrzem moim był Dyonizy Bertoli, porucznikiem Antoni Sebułtowski a wachmistrzem Julek. Oddział nasz w 3 dzień świąt Wielkanocnych przeprawił się promem przez Wisłę

i poszedł w głąb Królestwa, gdzie się połączył z oddziałem Czachowskiego; tak połączeni przybyliśmy do Grabowca, gdzieśmy zanocowali, a dnia następnego (15 kwietnia) zaatakowali nas Moskale. Przyszło do potyczki, Moskale się cofnęli, a myśmy Grabowiec opuścili. Poczem udaliśmy się do lasów suchedniowskich, do miejscowości zwanej Piekło. Tam doszła nas wiadomość, że major Nikiforow, idzie naprzeciw Czachowskiego.

Czachowski więc wziąwszy część swego oddziału i cały oddział Łopackiego, wyszedł naprzeciw Moskali. Pod Stefankowem przyszło do bitwy, gdzie z małą stosunkową stratą, bo tylko 4 trupów, między nimi major Dobrogojski (Grzmot) i kilku rannych, między innymi i Łopacki, otrzymaliśmy plac boju; wiele broni dostało się w nasze ręce, kilkunastu żołnierzy i sam Nikoforow, który już przedtem kazał kuć kajdany na Czachowskiego. Wszystkich Moskali schwytanych powiesiliśmy w Piekle, na mocy sądu polowego; trupy złożyliśmy w jedną mogiłę, a na wierzchu położono Nikiforowa.

W najbliższą noc opuściliśmy nasze stanowisko, gdzie wkrótce potem, przyszedł Czengery, odkopał grób a znalazłszy Nikiforowa, rozwścieczony puścił się za nami w pogoń, lecz nas nie dogonił. W tym czasie dostałem urlop z powodu choroby i przybyłem do Tarnowa.

Po wyzdrowieniu przyłączyłem się do oddziału Dunajewskiego, gdyż w tym czasie formował się oddział Jordana, Dunajewskiego i Chruściakiewicza. Z oddziałem więc tym przeszedłem w bród na Rataje w Stopnickie, tam przyszło do bitwy, w której dostałem się do niewoli.

Przyprowadzono mnie do Staszowa, gdzie siedzieli ze mną Bolesław Anc, Władysław Pade, Józef Sitkowski, Mieczysław Darowski, kapitan wojsk austryackiej armii Maciszkiewicz.

Ze Staszowa poprowadzono nas do Kielc, gdzie zostałem zasądzony na 12 lat ciężkich robót, na Sybir.



BOLESŁAW ROZWADOWSKI.

Wyprawa Zapałowicza.

Dnia 19 marca 1863 r. jadąc z Turówki do oddziału, dowiedziałem się, że brat mój starszy Kazimierz, został ranny w bitwie pod Grochowiskami i leży z przestrzeloną lewą ręką

w Krakowie. Nasz oddział zbierał się koło Sokala, stałem na kwaterze w Bobiatynie u ś. p. Franciszka Szymanowskiego. Pod koniec kwietnia dostałem rozkaz, stawienia się u narodowego naczelnika obwodu żółkiewskiego, ś. p. Tadeusza Wiszniewskiego w Krystynopolu, siadłem na konia i w parę godzin tam byłem. Otrzymałem rozkaz jechania natychmiast do Lwowa, po 100 karabinów, dla formującego się oddziału Wiszniewskiego Leszka; kazano mi zamówić sobie stacye: 1-szą u ś. p. Udryckiego w Mostach wielkich, 2-gą u Kazimierza Obertyńskiego w Udnowie. Depeszę napisał Tadeusz Wiszniewski na papierku cygaretowym, schowałem ją między kopertami zegarka i otrzymałem polecenie zjeść takową, w razie mego przyaresztowania.

Przybywszy do Lwowa, zgłosiłem się do ks. Adama Sapiehy, który polecił Alfredowi Lewakowskiemu, aby się zajął tą ekspedycyą, a ponieważ karabiny jeszcze nie nadeszły, posłano mnie z depeszą do ś. p. Józefa hr. Drohojewskiego do Balic, skąd powróciwszy tego samego dnia, poszliśmy z Lewakowskim o samej północy do ś. p. Alfreda Młockiego; dostawszy od niego wóz zaprzężony parą powozowych koni, pojechaliśmy na dworzec; ja stałem na warcie, a Lewakowski jako znający dobrze miejscowość i ludzi, odszukał wtajemniczonego konduktora kolejowego, ten wydał nam skrzynię z 25 karabinami, bo resztę skonfiskowano po drodze; te karabiny zawieźliśmy na folwark do Snopkowa; tam było kilku powstańców, z nimi wspólnie przy zasłoniętych oknach pookręcaliśmy każden karabin w słomę i popakowali w wory, a że należało było dawać dużo słomy, aby karabiny nie dzwoniły, zrobiła się z tego porządna sterta. Odesłano mnie do miasta i kazano stawić się o 4-tej popołudniu; przybywszy o oznaczonej godzinie, zastałem ogromną brykę, zaprzężoną w parę koni, jeden był kulawy, drugi dychawiczny; wpakowawszy nasze karabiny, wsiadłem na wierzchu. Lewakowski przeprowadził mnie granicą miasta, po za rogatkę Łyczakowską i Żółkiewską, tam puścił w imię Boże.

Siedziałem jak pies na płocie, oglądając się na wszystkie strony, czy gdzie nie widać żandarma, bo transport był tak widoczny, że pierwszy lepszy żandarm, zobaczywszy go, musiałby się domyśleć, co wiozę; a konie tak liche, że o ucieczce nie było mowy, szczęśliwie jednak dojechałem przez Udnów, gdzie zmieniłem konie, do Stanisławczyka pod Mostami, siedziby ś. p. Udryckiego. Tu było największe niebezpieczeństwo, bo musiałem

przejeżdżać w Mostach przez groblę, na której stała rogatka, pilnowana przez żandarmów.

Udrycki rozpakował karabiny, włożyliśmy je do dwóch ładnych faetonów i nakryli kocami; dwóch braci Langów, siostrzeńców Udryckiego, przebrało się w liberyę i udawało furmanów; Udrycki powoził jednym faetonem, ja drugim. Na grobli spotkaliśmy żandarma, ale ten poznawszy Udryckiego i jego powozy, ukłonił się i puścił nas wolno; szczęśliwie dojechaliśmy do Krystynopola, tu przeładowawszy wieczorem karabiny na wóz chłopski, dano mi brata Leszka Wiszniewskiego i nocą zajechaliśmy do lasu pod Łuczycami na samej granicy, gdzie był punkt zborny oddziału Wiszniewskiego. Zastaliśmy tam kilku powstańców i razem z nimi zakopaliśmy karabiny. Powróciłem do pobliskiego Bobiatyna a mój towarzysz do Krystynopola. Cały dzień nic nie jadłem, do Bobiatyna przybyłem późno w nocy, nie znalazłem nic, tylko chleb, masło i wodę, okropnie byłem głodny, po emocyach dnia tego, najadłem się chleba z masłem, wodą popiłem, a w nocy rozchorowałem się; aż tu rano nadjeżdża mój brat stryjeczny, Tomisław i zawiadamia, że nasz oddział wyrusza wieczór; wyjeżdżamy z Bobiatyna, rynsztunek i broń popakowane w wory, te umieszczono na wozach, nasze konie wierzchowe zaprzężono do wozów i marsz.

W Moszkowie u ś. p. Stanisława Polanowskiego przyłączyło się do nas kilkunastu ludzi z końmi; stamtąd na Rawę ruską, Werchratę, Narol do Huty Różanieckiej; tu zastaliśmy znaczną część naszego oddziału, we dworze należącym do barona Brunickiego, a także piechotę austryacką i huzarów, ale że żołnierze austryjaccy byli sami Węgrzy, więc nietylko nie robili nam żadnej przykrości, lecz przeciwnie piechota uczyła naszych ochotników nabijać karabiny, a huzarzy uczyli naszych ułanów kulbaczyć konie wojskowemi siodłami, w które cała nasza kawalerya była zaopatrzona. Po parogodzinnym wypoczynku i posiłku, ruszyliśmy na wozach lasami do rzeczki Tanew, która w tem miejscu stanowi granicę między Galicyą a Królestwem Polskiem; tę przebyliśmy na wozach, zaraz na jej drugiej stronie zastaliśmy już nasz obóz, a w nim 100 piechoty naszej, która przybyła tam dniem wprzódy, i spędziła noc całą w wielkim niepokoju, bo byli bezbronni, a w nocy słyszeli turkot wozów, którymi drogą prowadzącą przez ten las powracali Moskale z pod Kobylanki po rozbiciu oddziału Jeziorańskiego. Jeden

tylko Gostyński miał rewolwer, tego więc postawiono na pikiecie, na której przestał noc całą.

Tu pokulbaczyliśmy konie i uzbroiliśmy się, a kazano nam bardzo cicho się sprawować i zakazano palić ognie, aby nie zdradzić naszego schronienia, bo jeszcze nie cała piechota nasza nadciągnęła, a ci, którzy już byli na miejscu, mieli tylko po trzy kapsle; zaraz po naszem przejściu granicy Austryjacy wyciągnęli kordon z wojska i żandarmeryi, jakby chcieli pilnować nas, byśmy do Galicyi nie wrócili.

Był to bardzo ładny oddział, piechota składała się z samych akademików lwowskich, było ich 300, nas kawaleryi było 32; dowódzcą oddziału był były oficer austryackiej artyleryi Żalplachta, który przezwał się Zapałowiczem i miał u nas rangę majora; był przy nas także Lelewel, nazywający się właściwie Borelowski, który znając dokładnie tamtejszą okolicę, prowadził nasz oddział dni kilka. Piechota podzielona była na 4 kompanje; 1-szą, która się nazywała kompanją gwardyi, dowodził były oficer austryacki Kazimierz Zbyszewski, innymi kapitanowie Ubysz, Biliński i Menkes, — wszyscy byli oficerami austryackimi; komendantem kawaleryi był mój brat stryjeczny, Tomisław, a 2-im dowódzcą ś. p. Jan Obertyński, obydwaj byli oficerami austryackich ułanów; wachmistrzami byli: ś. p. Czerkawski, który zginął potem w Radziwiłowie i Jugan, obydwaj byli wachmistrze z kawaleryi austryackiej. Naszą kawaleryę nazywano oddziałem rodzinnym, bo było w nim 4-ch Rozwadowskich, Tomisław, Tadeusz, który zginął w tydzień potem pod Mołozowem, Bartłomiej i ja; 4-ch Obertyńskich, naszych krewnych: Kazimierz, Jan, Zdzisław i Feliks; i nasi znajomi i przyjaciele: Mikołaj Torosiewicz, Ernest Poten, który obecnie jest generałem austryackim, Karol Wróblewski, Mieczysław Herman, Stanisław Gostyński, Tadeusz Wasilewski, Władysław Nanowski, oraz oficyaliści i chłopcy stajenni od Polanowskich, Szymanowskich i Obertyńskich; był także jakiś Jełowicki, oficer z wojska rosyjskiego. Rynsztunek na konie mieliśmy zupełnie taki jak austryacka kawalerya, uzbrojeni byliśmy w pałasze i rewolwery, mieliśmy także kilka lanc, a że było między nami stosunkowo dużo wojskowych, więc wyglądaliśmy jak regularne wojsko, chociaż mundurów nie było. Idąc kilka dni lasami, złączyliśmy się z oddziałem Czerwińskiego, który składał się z nielicznej piechoty, uzbrojonej w strzelby myśliwskie, 30 konnych i 100 chłopów podlaskich, uzbrojonych w kosy pod dowództwem chłopa Parady, tęgiego

i odważnego człowieka. W końcu połączył się z nami Leszek Wiszniewski, ze swoim oddziałem, 100 ludzi liczącym, zebranym z galicyjskich Podolaków.

7-go maja przyszliśmy do Tyszowiec, ledwie rozstawiono pikiety (a wszyscy byli bardzo pomęczeni, bo codziennie przed wschodem słońca wyruszaliśmy i przez całe dnie wśród upału maszerowaliśmy do późnej nocy, mało kiedy w dzień odpoczywając), gdy dano znać, że Moskale nadchodzą; ruszyliśmy natychmiast z miasteczka i przez szerokie błonia szliśmy ku lasom. Moskale zaczęli na nas nacierać, Zapałowicz ustawił 2 kompanje piechoty w strzałę, aby zasłaniali nasz odwrót, zaraz za tymi dwoma kompanjami w tylnej straży szła nasza kawalerya; ja jechałem w ostatniej rocie, obok jakiegoś szlachcica z Królestwa, któremu Moskale żonę i dzieci wymordowali a dom spalili, ten mnie objaśnił, że Moskale biorą nas w krzyżowy ogień armatni i rzeczywiście po chwili zaczęły nam nad głowami przelatywać granaty, po pierwszym strzale armatnim wszyscy kosynierzy upadli na ziemię, ale wnet powstali, i pokazało się, że żaden nawet nie był rannym, piechota nasza celnymi strzałami raziła Moskali, ale i nasi padali. Gdy nasz dowódzca, Tomisław Rozwadowski spostrzegł, że 2 szwadrony dragonów chce na nas uderzyć z boku, ustawił nas w jeden szereg, udając, że chce przypuścić szarżę, wtedy to stojąc naprzeciwko Moskali, widzieliśmy, jak jeźdźcy moskiewscy spadali z koni, trafiani kulami naszej piechoty.

Moskale widząc naszą gotowość, przyjęcia szarżą ich kawaleryi, cofnęli takową. Stojąc tak w szeregu, byliśmy świadkami następującego zdarzenia: Dowódzca kawaleryi Czerwińskiego, która uganiała po błoniu bez porządku i celu, przyleciał do nas, oświadczając, że razem z nami pójdzie na Moskali, wtem koń mu się zapadł w błotku, równocześnie granat padł pod jego konia i zaczął się kręcić, koń nie mógł się z błota wydostać, mieliśmy go za straconego, gdy granat kręcąc się, zarył się w rzadkie błoto, które go zalało, a jeździec i koń wyszli cało.

Cofnęliśmy się w końcu do lasu, strzelanina trwała do nocy, piechota nasza miała kilku zabitych i 7 rannych, reszta oddziału nie poniosła strat; puściliśmy się w nocy lasami i przyszedłszy rano pod folwark Mołozów, stanęliśmy obozem w lesie, a rannych i lekarza Juwenala Niewiadomskiego umieszczono na folwarku, do którego pojedynczo dojeżdżaliśmy, aby dostać coś jeść, bośmy byli bardzo strudzeni; widząc mnie jadącego, dał

mi któryś z piechoty flaszkę, z prośbą, aby mu mleka przywieźć, sam zjadłem, siedząc na koniu, trochę barszczu, a koledze przywiozłem kwaśnego mleka. Koło 11-tej w południe usłyszeliśmy strzały naszych pikiet, Moskale się zbliżali, zaraz rozstawiono piechotę naszą na kraju lasu, Wiszniewski w nocy nas opuścił, udając się napowrót ku Wołyniowi, skąd nadszedł, i gdzie pod Łuczycami przyciśnięty przez Moskali, przeszedł granicę austryacką; zginął tam już nad samą granicą Józef Rulikowski, który będąc rannym i odciętym przez Moskali od granicy, nie chcąc wpaść do niewoli, sam się zastrzelił. Ale wracam do Mołozowa.

Moskale wyśledziwszy nas, ruszyli 3-ma kolumnami, każda liczyła batalion piechoty, 2 szwadrony dragonów, 4 armaty i pewną ilość kozaków, ale szczęściem dla nas, każda ta kolumna nadchodząca z innej strony, nie czekała na drugą, lecz każda doszedłszy do nas, atakowała sama, zostawała odpartą i cofała się. Pierwszym czynem Moskali było napaść na folwark Mołozów, wymordowali tam naszych rannych i doktora Juwenala Niewiadomskiego; którego pomnik pamiątkowy nie kryjący niestety zwłok jego, stoi w kościele farnym w Drohobyczu; córce leśniczego, zamieszkującego ten folwark, Moskale obcięli piersi, z zemsty, że tam nasi ranni przytułek, a zdrowi pożywienie dostali, a folwark spalili. W lesie rozpoczął się bój, armaty grzmiały, kule armatnie łamiąc drzewa, sprawiały huk straszny, od którego żyd, posądzony o szpiegostwo i oddany tymczasem pod straż kosynierów, umarł z samego strachu. Nasza piechota biła się dzielnie, celnymi strzałami raziła Moskali, 3 ich ataki na bagnety odparła bagnetami i rewolwerami; tam zginął brat mój stryjeczny Tadeusz, który dobrowolnie poszedł z piechotą do boju, dostał postrzał w skroń i pchnięcie bagnetem w piersi. Gdy ta pierwsza kolumna moskiewska została odpartą, posłano nas, kilkunastu ułanów z Janem Obertyńskim na czele, na drugi brzeg lasu, aby się przekonać, co się tam dzieje; dotarłszy do brzegu lasu, ujrzeliśmy drugą kolumnę moskiewską, składającą się z batalionu piechoty, 2 szwadronów dragonów, 4 armat i kozaków; pędem puściliśmy się z powrotem, aby uwiadomić o tem dowódzcę, w lesie zbłądziliśmy i z wielkiem naszem zdziwieniem, wpadliśmy na obóz Czerwińskiego; który stchórzywszy opuścił z całym swoim oddziałem, powierzone mu stanowisko, i schował się po za nasz obóz, a sam osobiście otoczył się wozami, jakby go one mogły zasłonić przed Moskalami. Nie zatrzymując się długo przy Czerwińskim, dotarliśmy do naszego obozu,

a Jan Obertyński zdał raport Zapałowiczowi, że 2-ga kolumna moskiewska zachodzi nam z boku, i że Czerwiński, który miał bronić owej strony lasu, schował się po za nami. Zapałowicz widząc oddział swój zagrożony z 2-ch stron, wydał rozkaz cofania się w głąb lasu; i nie czekając, aż rozkaz ten będzie mógł być wykonanym, przez piechotę rozsypaną na brzegu lasu i tam z nieprzyjacielem walczącą, wziął część kawaleryi, w której byli moi bracia Tomisław i Bartłomiej oraz Obertyńscy: Kazimierz, Zdzisław i Feliks, ruszył sam pierwszy w tył; za tą częścią kawaleryi, kazał iść furgonom z rannymi i amunicyą, a nam z Janem Obertyńskim na czele, kazał kryć odwrót, za nami miała dopiero cofać się piechota. Wtedy ujrzałem najokropniejszą stronę wojny, bo furgony zapełnione rannymi i umierającymi, widoku tego, póki życia, nie zapomnę.

Między dębowym lasem, w którym toczyła się walka a wielkim lasem, do którego mieliśmy się cofać, była łąka, chodziło o to, by furgony tę łąkę przeszły, nim Moskale na nią wejdą; ledwie ostatnie furgony nas minęły, usłyszeliśmy krzyki na tej łączce, którą nam krzaki zasłaniały, rzuciliśmy się naprzód, aby naszych bronić, ale grad kul karabinowych nas przywitał, w 12 kawalerzystów nie można było porywać się do walki z liczną piechotą w lesie, więc skręciliśmy, aby wrócić do opuszczonego obozu i iść na pomoc tym, którzy tam walczyli; lecz i tu przyjęła nas gęsta salwa karabinowa, kule jak muchy gwizdały nam koło uszu, i słychać było gęste suche pukanie kul trafiających w drzewa; pod Tadeuszem Wasilewskim zabito konia, a on, jak stary żołnierz, wśród gradu kul zdjął siodło i munsztuk, wziął je na plecy i szedł z nami piechotą. Nie mogąc postąpić ani wprzód ani w tył, usunęliśmy się na bok w krzaki i czekali; z 2-ch stron dochodziły nas gęste strzały karabinowe i huk armat, ale byliśmy odcięci przez Moskali od swoich. Nad wieczorem dał się słyszeć gęsty rotowy ogień karabinowy, potem głośne: „Hura“ i nagle wszystko ucichło, walka była skończona. Ale kto zwyciężył? Oczywiście nasi, bo gdyby Moskale byli zwycięzcami, to byliby radosnymi krzykami, zwycięztwo swoje obchodzili; lecz pewności nie było; ostrożnie przeto zbliżaliśmy się do naszego rannego obozowiska, nadsłuchujemy lepiej,—mówią po polsku! Dzięki Bogu! to nasi, którzy plac boju utrzymali. Tu od naszej dzielnej piechoty dowiedzieliśmy się, że odparli obydwa ataki Moskali karabinowymi i rewolwerowymi strzałami, a urządzili się tak: gdy kto lepiej strzelał od innych, to mu kilku

kolegów karabiny nabijało, a on sam strzelał; opowiadano, że jeden założył się, że do majora moskiewskiego siedzącego na białym koniu tak będzie strzelał, że najprzód zabije mu konia, a nim ten upadnie, zastrzeli i samego majora, i wygrał zakład; nim bowiem zastrzelony koń miał czas upaść, spadł z niego, trafiony celnym strzałem major.

Po odparciu 2-ch pierwszych kolumn moskiewskich, nadeszła trzecia i ta zaczęła sypać rotowym ogniem; nasi widząc, że mogą wszyscy wyginąć, porwali między siebie kilkunastu kosynierów i puścili się z nimi do ataku na bagnety; Moskale ataku nie wytrzymali i cofnęli się. Ale co robić dalej bez dowódzcy i bez amunicyi? Oficerowie złożyli naradę wojenną i uchwalili, że musimy się cofać do oddalonej o 2 mile Galicyi, bo Moskale nazajutrz ponowią atak, a piechota niema już amunicyi; wybrano komendantem Zbyszewskiego, ale ten powiedział: „Do walki was poprowadzę, ale rejterady prowadzić nie będę“; objął przeto komendę kapitan Ubysz Aleksander, kilku rannych wzięto na nosze, i ruszyliśmy nocą ku granicy Galicyi, przesuwając się tuż po przed pikietami kozackiemi; pałasze przytrzymywaliśmy rękami, aby nie dzwoniły o strzemiona. Rano przybyliśmy do ostatniej wsi w Królestwie; tak byłem zmęczony, że pojąc tam konie, 3 razy zdrzemnąłem się, nim koń się napił, budziłem się więc całą siłą woli, w przeświadczeniu, że zaśnięcie, równa się dostaniu do niewoli. W marszu dowiedziałem się o śmierci brata Tadeusza; ten który walczył obok niego, czeladnik krawca Flacha ze Lwowa, (a znał Tadeusza, bo robił mu suknie) zdjął mu z palca pierścionek i mnie go oddał, na znak, że Tadeusz nie żyje. Leży tam, gdzie zginął, walcząc za Ojczyznę, a mogiła z ziemi ojczystej pewnie mu jest lekką, bo ją skropił krwią swoją serdeczną.

Tak się skończyła ta wyprawa, która mogła była Moskalom znaczną zadać klęskę, gdyby Wiszniewski nie był nas opuścił po Tyszowieckiej potyczce, gdyby Czerwiński był nie stchórzył, i gdyby Zapałowicz nie był pierwszy cofnął się z placu boju, zabierając z sobą zapasową amunicyę, bez której dalsza walka była niemożebną.

Kosów 8 Stycznia 1903 r.



FELIKS ROŻAŃSKI.

Z województwa Grodzieńskiego.

Do Grodna w r. 1861 przyjechał Konstanty Kalinowski, — ukończywszy chlubnie studya prawne, — w celu zawiązania koła konspiracyjnego i działalności politycznej.

Na podstawie osobistych znajomości i stosunków, koło takie udało mu się stworzyć, do którego weszli, Erazm Zabłocki, sekretarz gubernialny, dr. Józef Zabłocki, Walery Wróblewski, oficer i inspektor szkoły leśnej, Jan Wańkowicz, oficer, Feliks Rożański i Ildefons Milewicz geometrowie, ks. Gintowt z Grodna, a księża Jan Zarzycki i Ignacy Kozłowski z okolicy i jeszcze kilku innych, których nazwisk nie pamiętam, lub nie byłem z nimi osobiście poznajomionym. Wszyscy ci wymienieni, byli zasad demokratycznych i nazywali ich partyą czerwoną, ze względu, że rozwijali program: przysposobienia ludu do powstania narodowego, przeciwko moskiewskiemu panowaniu, które przewidując usamowolnienie i zniesienie pańszczyzny, przez żywioł polsko-szlachecki, zapowiedziało zniesienie pańszczyzny za dwa lata, to jest w r. 1863.

Dr. Zabłocki pisał patryotyczne poezye polskie, a Rożański piosenki takież, w białoruskiem narzeczu i ten ostatni łącznie z Konstantym Kalinowskim, drukował pismo ludowe, pod tytułem: „Mużyckaja prauda“ z podpisem: Jaśko hospodar z pod Wilna, a parę piosnek i „hutorek“ w tymże języku, wydał Bronisław Szwarce w Białymstoku.

Koło konspiracyjne rozszerzało swoje kręgi, w guberniach grodzińskiej, wileńskiej, mińskiej i kowieńskiej, powołując na stanowiska nauczycieli wiejskich i pisarzy gminnych, akademików i innych patryotów, którzy z zapałem i poświęceniem pracując, dodatnią czynność swą rozwijali.

Lud wyczekiwał wybawienia z niewoli moskiewskiej i ucisku pańszczyźnianego i w całym kraju zachował się życzliwie, dla pracujących, czego dał dowody przez cały czas konspiracyi, a potem podczas trwania powstania.

Dla przekonywania się o usposobieniu rzeczywistem ludu, oraz przeciwdziałania agitacyi zarządzonej przez rząd, za pośrednictwem popów i różnych siepaczy, Kalinowski i Rożański w pewnych odstępach czasu z powodzeniem odbywali wędrówki piesze, po rozległym kraju, pod różnemi postaciami; a zawiera-

jąc osobiście stosunki, pisma swoje rozpowszechniali i przekonywali, po czyjej stronie walczyć trzeba i wyzwolenia z ucisku jak i gdzie szukać należy. Tym pracom i usiłowaniom zawdzięczyć można, że powstanie mogło się utrzymywać na Litwie przez wiosnę, do późnej jesieni, albowiem żywność, przewodników, tylko włościanie wyłącznie dostarczali powstańcom, pomimo trudności i srogiej odpowiedzialności, na jaką się narażali, wobec rządu moskiewskiego.

W skutek organizacyi, zaprowadzonej przez Wydział Rządu Narodowego w Wilnie, którego najczynniejszym członkiem był Konstanty Kalinowski; w styczniu 1863 r., gdy w Królestwie wybuchło powstanie, na Litwie nie było przygotowania do ruchu zbrojnego, albowiem liczono na interwencyę obcych mocarstw i odkładano wystąpienie orężne, do pomyślniejszego czasu. Gorętsi patryoci jednak, wymykali się do Królestwa dla, wzmocnienia szeregów powstańczych.

W lutym stoczono bitwę pod Siemiatyczami, a dowodzący Rogiński musiał odwrót dokonać do Królestwa, poczem wkroczył do powiatu prużańskiego, gdzie nie znalazłszy posiłków, rozbity przez Moskali, dostał się do niewoli.

W marcu w okolicy Druskiennik, Narbut stoczył zwycięzką bitwę z Moskalami, lecz ugodzony śmiertelnie, oddał dowództwo Laskiewiczowi, który tworzył oddział Grodzieński.

W kwietniu pod przewodnictwem Kołyski zebrało się kilkudziesięciu ochotników w Grodnie i będąc w porozumieniu z maszynistą prowadzącym pociąg ku Wilnu; zapewne przez zdradę, kiedy ochotnicy zapełnili wagony, w ostatniej chwili odjazdu, maszyna została odczepioną od wagonów, które Moskale okrążali wojskiem. Kołysko z maszynistą odjechał, pozostawiając losowi swoich towarzyszy zebranych w wagonach. Noc była ciemna i dżdżysta, połów Moskalom się nie udał, bo ochotnicy zemknęli do miasta i dopiero nazajutrz ich poznawali po zabłoconych butach, zamykali w więzieniu i następnie wywlekali na Sybir. Kołysko zaś zostawiwszy maszynę w polu; niebawem sformował oddział, lecz napadnięty i raniony dostał się do niewoli, gdzie jak wielu śmierć ponieść musiał.

Tymczasem w Królestwie ruch powstańczy wzmagał się z dniem każdym i Rząd Narodowy nawoływał, by Litwa zbrojnie także wystąpiła.

Tworzyły się oddziały jedne za drugimi i tak oddział grodzieński pod dowództwem Leniewicza-Sanderem, wołkowyski

pod Gustawem Strawińskim, bielski pod Antonim Barancewiczem, sokólski pod Bogusławem Ejtminowiczem, kobryński pod Romualdem Traugutem, prużański pod Samulewiczem, brzeski pod Włodkiem, słonimski pod Łukasiewiczem, słucki pod Świętochowskim i t. d. Każdy oddział składał się z 200 do 300 towarzyszy, podzielony był na sekcye od 12 do 24 osób, z dodaniem oficera i 2 podoficerów. Broń była myśliwska dawniejszego systemu, odtylcówki i sztucery były rzadkością. Lotki i śrut gruby sarniak, a rzadko kule były w użyciu, gdyż strzelanina odbywała się ze strony powstańców zawsze w blizkości, najwyżej do 50 kroków, ażeby strzały były skuteczne. Pożywienie składało się z wędliny, niekiedy świeżego mięsa, mleka i serów, jeżeli w blizkości wsi oddział obozował, lub przez wieś przechodził, najczęściej poprzestawał na sucharach, chlebie i wodzie, którą gotowano w garnkach, zasypując herbatą. Każdy z towarzyszy, musiał mieć garnuszek i łyżkę, a w torbie trochę soli i słoniny, bo kuchni obozowej nie było, tylko oficerowie wyłączali się, dla których osobno był samowar i parę większych garnków.

Dlatego podnoszę te szczegóły, ażeby odzwierciedlić charakter i wytrzymałość towarzyszy, którzy przez cały czas powstania, nie upominali się o lepsze wygody, ani też nie chcieli przyjmować żołdu lub płacy w przekonaniu, że skarb Narodowy nie miał wiele do rozporządzenia.

Gdzież więcej ofiarni, mężniejsi i szlachetniejsi są żołnierze, jak w naszej ukochanej Ojczyźnie ?!

Przy oddziale sokólskim uformował się sztab województwa grodzieńskiego, któremu z rozkazu Rządu Narodowego podlegały wszystkie oddziały wyżej wymienione. Na czele stanął pułkownik Duchiński, oficer z r. 1831, przybyły z Paryża, z gotową nominacyą, szefem sztabu zamianował Walerego Wróblewskiego, nawiasem mówiąc, przyszłego jenerała komuny paryskiej w r. 1870, adjutantami zostali: Czesław Kołłupajło, Bułharyn, Zdziechowski i Aramowicz, który wydał pamiętniki po powstaniu, o ruchu partyzanckim w województwie grodzieńskiem.

Sztab ten przeniósł swą siedzibę do oddziału wołkowyskiego, w którym dowódzcą był dzielny oficer, Gustaw Strawiński, wiodąc szczęśliwie potyczki z Moskalami, pod Sawickimi-Karczmami, Wielkim-Węgłem, Miłowidami, Żarkowszczyzną i w kilkunastu leśnych miejscowościach.

Ze sztabu wychodziły rozkazy do wszystkich mu podległych oddziałów, które skupiał lub rozdrabniał, w celach strategicznych i składał raporta o stanie, o potrzebach i potyczkach stoczonych z Moskalami, Wydziałowi Rządu Narodowego w Wilnie.

Niełatwe i częstokroć niewykonalne było zadanie, utrzymania pewnej komunikacyi z oddziałami i Rządem Narodowym, bo Moskale zrekognoskowawszy wszystkie oddziały i mając czujną policyę pod groźnym Murawiewem Wieszatielem, starali się odciąć powstańców od świata, napadali pojedyncze oddziały z przeważającą siłą, a staczając walkę najczęściej bez powodzenia, osaczali nas w obozowiskach, zakładanych w głuchych puszczach, Białowiezkiej, Sokólskiej i im przyległych lasach.

Oczekując jak się zdaje na spodziewaną interwencyę mocarstw, które dałyby możność dostarczenia broni i amunicyi, wstrzymano się z powołaniem ludu pod broń, a tymczasowo w ogóle taktyką ze strony powstańców było, protestować zbrojnie najazdowi i utrzymywać wroga w czujności wojennej.

Z tych przyczyn, do szeregów powstańczych w województwie grodzieńskiem, bardzo mało przyjęto włościan, a także ze względu na trudność wyżywienia i dostarczenia broni; kosynierzy zaś nie zawsze mają pole do popisu, więc choć się garnęli do nas, odsyłaliśmy ich do domów.

Ci którzy stanęli na hasło: do broni i zapełnili szeregi oddziałów, byli kwiatem narodu. Przeważnie była to szlachta, akademicy lub młodzież ze szkół wyższych, rzemieślnicy, urzędnicy i nieco służby dworskiej i włościan. Wszystkie stany były reprezentowane. Oni poświęcając majątki swe, stanowiska i stosunki rodzinne z ofiarą życia swojego, wiedzieli dobrze, że o własnych siłach, wobec przemożnego i okrutnego wroga, dźwignąć Ojczyzny upadłej nie potrafią, lecz protestować przeciw najazdowi muszą i powinni, choćby dlatego, ażeby dali braciom w Królestwie Polskiem, pomoc czynną, przez odciągnięcie tysięcy wojska moskiewskiego. Zresztą, był to czas i okoliczności takie, że rozumowanie żadnego pożytku przynieść nie mogło, a tylko hańbę, jeżeli usuwalibyśmy się od czynnego udziału, lub poparcia powstania, które z konieczności dziejowej i narodowej, wybuchnąć musiało.

Po wielu stoczonych, krwawych, z Moskalami potyczkach, w których stosunkowo bardzo mało strat ponieśliśmy, bo z naszej strony, strzały były celne i z blizkości zawsze pewne,

a lasy dawały zabezpieczenie, jednak smutna jesień nadeszła a za nią zbliżała się zima.

Murawiew Wieszatiel coraz dziksze i sroższe zarządzenia wydawał i wykonywał, przez co utrzymanie nadal oddziałów w puszczach było bezowocne, a nareszcie niemożliwe.

O złożeniu broni lub poddaniu się, nie było mowy. *Usque ad finem*, mówiliśmy sobie, a gdy skupionymi siłami nie mogliśmy się przedrzeć do Królestwa Polskiego, by wzmocnić tam szeregi walczących, tośmy się rozdrobili w mniejsze oddziałki, i dążyli do celu zamierzonego.

Nie wszystkim szczęśliwie się powiodło, znaczna jednak część towarzyszy przedarła się przez kordony i straże moskiewskie, a skupiwszy się pod dowództwem Bogusława Ejtminowicza i Walerego Wróblewskiego, toczyli dalej walkę z najazdem. Murawiew posłał swe hordy za nami i odetchnąć na chwilę nie pozwalał. — Waleczny Bogusław Ejtminowicz znalazł śmierć bohaterską, a Wróblewski ciężko ranny, uniesiony przez towarzyszy za granicę, w domu hr. Tarnowskich w Dzikowie leczył się z ran odniesionych do wiosny, a gdy się nieco podźwignął, skończyło się powstanie i jak wielu towarzyszy, udać się musiał, na tułactwo.

Konstanty Kalinowski wytrwał na stanowisku szefa Wydziału Rządu Narodowego w Wilnie przez cały czas powstania, ocalić życia swego nie chciał, choć mógł to uczynić, aż nareszcie w marcu 1864 roku uwięziony, protestując głośno i nieustraszenie najezdnikom i siepakom, zawisł jak bohaterski Traugut z towarzyszami, tak on, na szubienicy w Wilnie. Cześć mu i tym wszystkim, którzy nieśli swe życie w ofierze dla kraju i złożyli dowód miłości i poświęcenia Ojczyźnie!

Każdy z uczestników i wszyscy bezstronni a szlachetni zaświadczą, że naród tak samo jak jednostka żyjąca, bodaj w drganiu konwulsyjnem, żywotność swą objawić musi, a Opatrzność nieprzenikniona w swych wyrokach, do okazania życia i ducha narodu, wyznaczyła rok 1863.

Kormancin w Styczniu 1903 r.



WINCENTY RUDNICKI.

Zgon Mieczysława Romanowskiego.

Śp. M. Romanowskiego poznałem w obozie oddziału śp. Lelewela (M. Borelowskiego), jako kapitana formować się mającej gwardyi i zarazem audytora obozowego, co jednak nie przeszkadzało temu bohaterowi, ze sztućcem i bagnetem, stawać w pierwszych szeregach walczących strzelców naszych.

Po bitwie z Moskalami pod Borowem, która została nierozstrzygnięta, wskutek zapadłego wieczora, nasze lewe skrzydło strzelców w zapale bojowym nie dosłyszało hasła do odwrotu; aż gdy kapelan, ks. Żółtowski, z obawy o brata, który walczył w naszem skrzydle, nadbiegł i obwoływał, że oddział środka i prawego skrzydła jest na rozkaz wodza w odwrocie (co też przepłacił życiem) i gdy Moskale także cofnęli się, zebraliśmy się w szeregi, lecz wskutek nocy, zdążyć za oddziałem nie mogliśmy.

Nastąpiła więc rada, z ś. p. Romanowskim na czele, ażeby przenocować na miejscu, zaś z brzaskiem dnia zdążyć pod granicę, w celu zasięgnięcia języka o naszym oddziale i połączenia się z nim; co też nastąpiło dopiero dnia trzeciego, bo cały dzień oczekiwaliśmy w lesie pod granicą na przewodnika. Tymczasem głód szarpał nam trzewia i wyczerpywał siły.

Otoż w dniu tym kilku słabszego ducha (nazwisk nie wymieniam) przeszło granicę galicyjską.

Śp. M. Romanowski był cierpiący i wyczerpany i z tem wobec mnie nie taił się, że pragnąłby choć dwudniowego wypoczynku pod dachem. Ja pomimo, że zgromiłem opuszczających nasz oddziałek uciekinierów, namawiałem szczerze ś. p. Romanowskiego, ażeby przeszedł granicę w celu wypoczynku, a miałem także w tem osobisty interes, bo starałem się posiąść jego własny sztuciec belgijski z bagnetem, uzbrojony bowiem byłem w lichy, stary, pruski karabin. Śp. Romanowski, jakby w przeczuciu śmierci, wahał się, lecz w końcu oświadczył stanowczo:

— Nie: nie przejdę, bo nie uwierzą, że jestem fizycznie wyczerpany i ogłoszą mię uciekinierem.

Z oddziałem złączyliśmy się, lecz Moskale tropiąc nas, starali się otoczyć nasz oddział, wobec czego wódz nasz Lele-

wel, zmuszony był zmieniać ciągle obóz. Otóż przez wszystkie noce maszerowaliśmy głodni bez wytchnienia.

W krytycznym dniu 24 kwietnia r. 1863 odbyliśmy marsz lasami, trwający do godziny 4 popołudniu, a stanęliśmy obozem na polanie leśnej przy bagnie pod Józefowem.

Zdawało się, że tam wypoczniemy. Rozstawiono czaty, wzniecono ogniska, zabierano się do ugotowania kaszy jęczmiennej. Dwie kompanje strzelców szykowały się do mustry. Obfity opad śniegu orzeźwiał nasze zbiedzone członki.

W tem doszedł nas rozpaczliwy jęk, zakłutego piką kozacką młodziutkiego żołnierza z naszych czat. Nieszczęsny, a zapewne i inni zmęczeni wysiłkiem marszów, zgłodniali i niewyspani — zasnęli na czatach!

Potem nastąpiła komenda „do broni!“ lecz równocześnie także moskiewska z trzech stron, a tak blisko, że każdy wyraz komendy moskiewskiej, był słyszany. Pułkownik Lelewel wołał: „Kto mężny na ochotnika, zasłaniać odwrót!“ (przez bagno sięgające do bioder). Otóż i katastrofa.

Stanęło nas około 70, lecz krótko trwał nasz opór, otaczającej nas przewadze Moskali tj. piechoty, dragonów i kozuniów; wystrzelano nas. Cofając się przez nieszczęsne bagno, zobaczyłem, że śp. Romanowski padł na wznak i że sztuciec wypadł mu z ręki. Gramoliłem się, ostrzeliwując w oczekiwaniu na moją kolej, lecz naszpikowany w odzież 5 kulami, dotarłem do twardego gruntu.

Zapadła noc, śnieg topniał w ciepłej krwi poległych. Niedobitki, a zebrało się nas 13, skupiliśmy się w gąszczu pod rozłożystą sosną, ażeby paść na wysłane śniegiem łoże. Zasnąć nie mogliśmy, bo przymrozek przez przemokłe ubranie, wnikał aż do szpiku.

Nastąpił ranek, lecz jakże był smutny, gdy oczom naszym przedstawił się widok ciał białych, okrwawionych, gęsto jak snopy po żniwie leżących na przemarzłem i śniegiem pokrytem bagnisku. Jedno z tych ciał drgało resztkami życia.

Ś. p. Mieczysław Romanowski leżał, jak wszyscy polegli, zupełnie nagi, odarty przez rycerzy moskiewskich nawet z bielizny. Leżał na wznak z wyrazem twarzy, jak gdyby uśmiechniętej w błogiem marzeniu.

Kula moskiewska przeszła przez bierś bohatera na wylot, przecinając na zawsze tętno tak gorąco Polskę kochającego serca.

Cześć i chwała poległemu za wolność ojczyzny, Polakowi, poecie, żołnierzowi.



PODPUŁKOWNIK JAN RUDOWSKI.

Walki w Sandomierskiem i Lubelskiem.

W czasie wybuchu powstania, służyłem, jako junkier, w wojsku rosyjskiem, w batalionie celnych strzelców. Dnia 3 lutego poszedłem do oddziału Zawadzkiego, gdzie w bitwie dla nas zwycięskiej, byłem ranny w prawy bok. Po wygojeniu się z ran, z całym oddziałem przeszedłem do oddziału Czachowskiego, z którym, jako chorąży, porucznik i kapitan odbyłem wszystkie bitwy, stoczone przez tegoż; Czachowski, opuszczając oddział, polecił mi go nadal prowadzić, a szefowi sztabu Eminowiczowi oddał naczelnictwo województwa. Oddział wskutek ciągłych bitew i marszów nietylko był bez broni i amunicyi, ale był prawie nagi i ogromnie wyniszczony niewygodami.

Województwo sandomierskie wyczerpało wszystkie zapasy, trudno a nawet niepodobieństwem było co dostać. Zmuszony byłem udać się w lubelskie, dokąd po rozpaczliwej bitwie pod Solcem, przyszedłem. Tam na polecenie naczelnika województwa Wierzbickiego, dostarczono mi broni, amunicyi, ubrania i czego oddziałowi było potrzeba. Spocząwszy jakiś czas, wziąłem udział pod Chełmem wraz z Ćwiekiem i Rudzkim. Tu otrzymałem nominacyę na majora i naczelnika powiatów radomskiego i opoczyńskiego, z rozkazem natychmiastowego udania się w radomskie; a głównie nad Pilicę, gdzie miał się formować oddział Żychlińskiego „Dzieci warszawskich“, aby jakiś czas zasłaniać go przed Moskalami, dopokąd się nie sformuje. Idąc ku Pilicy, stoczyłem dwie bitwy, pod Kowalą i Wirem, druga pomyślna dla nas.

Wspólnie z oddziałem „Dzieci warszawskich“ i Grabowskiego stoczyłem bitwę pod O s ą. Po tej bitwie manewrowałem z oddziałem w okolicach Radomia, Szydłowca, Końskich, Opoczna, — staczając mniejsze i większe utarczki, z różnem powodzeniem. Wygrałem większą potyczkę z sławnym moskiew-

skim partyzantem Asiejewem, którego pod Blizinem rozbiłem, zabierając sporo niewolnika, koni, oraz cały tabor. Tu byłem ranny w prawą rękę. Po nadejściu jenerała Bosaka w sandomierskie, otrzymałem rozkaz od tegoż, aby ile możności zasłaniać go od Moskali, od strony Opoczna, Końskich i Szydłowca, co też uczyniłem. Jenerał Bosak, zwizytowawszy mój oddział, w dowód swego zadowolenia i moich zasług, mianował mnie podpułkownikiem, na co wkrótce dostałem nominacyę Rządu Narodowego. — Po upadku Bosaka, zaczynają się ciężkie dnie dla oddziału. W całem radomskiem byłem sam jeden. Party ze wszystkich stron, prawie codzień spotykałem się z Moskalami. Dzięki tylko, że oddział był złożony z ludzi Ojczyźnie oddanych duszą i ciałem; przytem wyćwiczony a nadzwyczaj karny, można nietylko było znieść wszelkie niewygody, ale i jako tako Moskalom się odgryzać.

W Warszawie chodziło Moskalom bardzo o jak najprędsze zupełne stłumienie powstania, dlatego wysłali stamtąd specyalnie kilka oddziałów. Jenerałom rosyjskim, operującym dotychczas przeciw powstańcom, nie bardzo to było przyjemnie, że z Warszawy wysyłano wojska. W Radomskie przybył ataman kozacki Zankiszow. Wytężywszy wszystkie, siły, tak fizyczne, jak duchowe, oddział mój z nim właśnie ostatnią stoczył bitwę, dzięki Bogu wyszedł zwycięsko. Napadłem go 19. marca 1864. w nocy w Blizinie i pobiłem, zabierając 40 koni, kilkunastu ludzi, oraz cały tabor. Zankiszow zawdzięcza tylko nocy, że sam z życiem uszedł. Moskiewski tamtejszy wojenny naczelnik, jenerał Czengery, dowiedziewszy się o tem, kazał mi powiedzieć, że nadzwyczaj z tego kontent i że za to jakiś czas nie będzie mnie atakował; czego też dotrzymał. Miałem więc z jego strony spokój.

Wspomnę tu jeszcze przygodę osobistą, jaka mnie spotkała. Oto dnia 10. kwietnia otrzymałem od jenerała Bosaka rozkaz, abym przybył do Sienna i z nim się widział. Jadąc tam z trzema tylko ludźmi, zostałem napadnięty przez Kozaków we śnie, związali mnie i tylko dzięki przytomności i sile wrodzonej, zdołałem się z więzów uwolnić i uciec.

Na tem kończę moje wspomnienia, dodając, że miałem to szczęście — a głównie dobrym ludziom to przypisuję — że oddział przezemnie prowadzony, ani razu nie został rozbity, ani znienacka napadnięty. Ja zaś przez cały czas mego udziału w powstaniu, nie byłem ani godziny po za obozem i zawsze

dobrą i złą dolę dzieliłem z oddziałem. W porozumieniu z władzami narodowemi d. 4. maja 1864, rozpuściłem oddział i udałem się po dalsze dyspozycye do Krakowa.

Kuźmina d. 2 stycznia 1903.



DR. STELLA-SAWICKI.
(PUŁKOWNIK STRUŚ).

I. Z krwawej przeszłości.

Starcem już jestem, siedmdziesiąt trzy zimy ubieliły włosy na głowie, a gdy wspomnę chwile przeżyte przed czterdziestu laty, w duszy odzywają się dawne, wiośniane nadzieje, chwile wiary w przyszłość, a potem bole zawodów i rozpacz po rozgromie.

Żyłem wówczas w stolicy Kiejstuta w Kownie, którego piękność opiewał największy nasz poeta. Tam okiem człowieka, który już znał życie, lecz z sercem młodzieńczem wróciłem do kraju rodzinnego po długiej tułaczce na obczyźnie, wpatrywałem się w pierwsze objawy ruchu narodowego, który miał się skończyć tak fatalnie dla Polski, a jeszcze fatalniej dla Litwy i dziś stojąc już nad grobem, w czterdziestoletnią rocznicę, chcę pomówić o roku 1863.

Po strasznem panowaniu cara Mikołaja, kiedy to, według wyrażenia jednego z rosyjskich pisarzy, dzikie zwierzęta chodziły po miastach, a ludzie uciekali do lasów, aby ocalić życie lub swobodę; kiedy głębokie, niczem nie przerywane milczenie stało się dewizą tego państwa ogromnego, wstąpił na tron syn jego Aleksander, znany z dobrego serca, słabej głowy i zupełnego braku woli, którą mu zastępowała dotychczas wola ojca.

Młody car był przy ostatnich chwilach tragicznej śmierci Mikałaja, który wśród bolów konania, polecił synowi popuścić nieco cugle, zdjąć kajdany z niewolników i dać wolność ludowi, dotychczas wydziedziczonemu ze wszystkiego, co jest drogiem dla człowieka.

Pierwsze promienie swobody obudziły niesłychany entuzyazm w duszach młodych, nietylko w Rosyi, ale i w Polsce. Okrzyk radości wesołem echem przeleciał po całem ogromnem państwie, budząc ludzi z uspienia i wlewając nadzieję

w skrzepłe od dawnego zimna serca. Oczekiwano coraz to nowych czynów, nowych wolności, a wyobraźnia niosła w idealne strefy...

Był to czas dziwny. Po krymskiej wojnie cała Europa przeżywała chwile pełne nadziei dla wolności i postępu ludzkości. Wszystkie narody, marzące o lepszej przyszłości, podawały sobie dłonie, zapominając dawnych uraz i krzywd nienaprawionych. Były to czasy chlubne dla ludzkości. Włochy po tylu latach niespełnionych pragnień, odradzały się; Austrya narodom swym nadała konstytucyę; Niemcy marzyli o jedności, Multany połączyły się z Wołoszczyzną, powstała Serbia, wzmocniła się Czarnogóra; cóż więc dziwnego, że Polska zaczęła marzyć o niepodległości, lub przynajmniej o życiu autonomicznem w granicach przedrozbiorowych.

Szlachta na Żmudzi, pierwsza w myśl życzeń cara, podała projekt uwłaszczenia włościan.

Ale młody monarcha, widząc chmurne oblicza swego otoczenia, wychowanego w szkole samowoli i despotyzmu, doprowadzonego do ideału, słysząc ich przestrogi, aby nie dał się unieść dobremu sercu, zaczął się cofać i przypominać ludziom ciężkie i smutne, a tak jeszcze niedawne czasy. Wkrótce zaczęto się przekonywać, że wielkich rzeczy nie można się spodziewać od syna Mikołaja...

Nakazane przez rząd środki, dla powstrzymania rozwoju sił narodowych w Polsce, spowodowały, że ziarna niezadowolenia dość wcześnie zaczęły kiełkować. Depcząc brutalnie wszystko co było krajowe, rządząc się jakby fantazyą lub złością, rząd moskiewski drażnił ludność, dając jej uczuwać ciężkę władzę swoją.

Potrzeba zaspokojenie swych dążeń i głęboka religijność ludu, a jednocześnie mistyczny nastrój społeczności, wywołany tworami poetów narodowych, wyraził się skargą do Boga w kościołach i prośbą, aby Ojczyznę i wolność wrócić raczył.

Śpiew ten, tchnący uczuciem gorącem, wiarą, cierpieniem i miłością, poruszył wszystko, co było lepszego w młodocianych i rozmarzonych duszach. W kim była tylko iskierka polskości i religijności, które z błogosławieństwem matczynem wyniósł z domu rodziców, ten w piersi swej uczuł głos całego narodu, głos wielkiej przeszłości, głos sławnych przodków, wzywających do poświęceń, do czynów.

Pieśń ta dziwnie, zdumiewająco podziałała na społeczeństwo: wszystkie stany zrównały się i połączyły z sobą, wspólna boleść wyciskała łzy rozczulenia, a w sercu przebaczenie i miłość. Ręka wyciągnęła się ku ręce, a jedność połączyła wszystkich; każdy poczuł potrzebę wyszlachetnienia, poprawy i skupienia: Wszystko spoważniało, nikt nie myślał o zabawie, wszyscy włożyli strój polski i żałobę po Ojczyźnie i wolności. Żałobą i pieśnią wypowiedziano wojnę wrogowi.

Były to chwile imponujące wielkością i powagą, wzruszające poezyą, jakich napróżno byśmy szukali w dziejach ludzkości, bo i dziś, gdy o nich wspominam, zdają się być sennem marzeniem, tęczowem widzeniem lub snem gorączkowym. W duszy zostało wrażenie, jakby dziwnie pięknej muzyki, lub światła niezwykłego, na których opis i odmalowanie człowiek niema słów i barw odpowiednich. Te chwile piękne, poetyczne i serdeczne oddziaływały szczególnie na dusze młode, szlachetne, nie dotknięte samolubstwem, a zdolne do uniesień i zachwytów. Każdy z góry czynił ofiarę z życia i wolności... W tej dziwnie gorącej atmosferze, w tym upale patryotyzmu, ociepláły się wszystkie serca, miękły najtwardsze dusze, wytwarzały się dziwne nawrócenia, a jeszcze dziwniejsze pogodzenia wieloletnich wrogów.

Ten nastrój oddziałał nadzwyczajnie korzystnie na moralny poziom narodu, krzewiąc wśród ludu uczucie miłości ziemi rodzinnej, która pod uciskiem tylu lat niewoli, zdawała się być uspioną zupełnie.

Jawne niezadowolenie ludności zmusiło rząd do pewnych ustępstw, na podstawie których, mogło się rozwinąć życie autonomiczne, ale niestety w owym czasie wśród starszych wiekiem, stanowiskiem, energią, i bogactwem nie było człowieka, któryby mógł stanąć na czele polskiego społeczeństwa i poprowadzić je drogą spokojnego rozwoju, nie dozwalając, aby życie polityczne zeszło na ulicę i zgromadzenia ludowe, w których umiarkowanie i rozwaga są rzeczą niemożliwą; a roznamiętnienie wzmaga się tem silniej, im większe spotyka przeszkody, a kończy się zwykle wybuchem, którego doniosłości przewidzieć, ani obliczyć, niepodobna.

Po dwuletniem trwaniu manifestacyi, po wysokiem roznamiętnieniu ludności, na czoło zarządu Królestwem wysunął się margrabia Aleksander Wielopolski, człowiek energiczny i wykształcony, ale do najwyższego stopnia niesympatyczny, uporu

niepokonanego, dumy i pychy niesłychanej, ambitny i z przesadnem pojęciem o swym rozumie politycznym; a źle wychowany, bo bez potrzeby, z lekceważeniem i brutalnością narażał sobie nietylko pojedynczych ludzi, ale całe stany: ziemian, duchowieństwo i dziennikarstwo.

Nie znalazłszy w głowie swojej środka dla uspokojenia roznamiętnionej młodzieży, Wielopolski z porady syna, zaproponował rządowi zrobienie branki, aby pozbyć się najruchliwszego i najgorętszego elementu. Branka ta nastąpiła, ale wywołała powstanie, które pokryło jego nieszczęśliwą ojczyznę ruinami, krwią i zgliszczami.

Ponieważ ludzie starsi wiekiem, dojrzali i doświadczeni życiem, a ostygli z zapałów młodości, mogli dokładnie obliczyć następstwa tego kroku i nikt z nich nie chciał wysunąć się na czoło, aby rzucić się na olbrzyma, przewodnictwo przyjęli na swoje barki ludzie młodzi, ubodzy, ktorzy poświęcali nietylko życie swoje, ale przyszłość swych żon i dzieci. Ludzie ci nie działali dla sławy swojej, bo wszystko odbywało się w ciszy i tajemnicy, które były rękojmią szczerości. Tak stanął w Polsce tajemny Rząd Narodowy, który został przez kraj uznany, i któremu pozostał naród wiernym do końca, nie pytając o imiona, bo wiedział, iż ludzie pracujący z mieczem Damoklesa nad głową, są godni zaufania. Jak wysoko stała moralność narodu w czasie powstania, świadczy raport policyi rządowej: „że cały kraj wie, którzy są członkami rządu tajemnego, ale my tego dociec nie możemy“.

Naród był posłuszny Rządowi Narodowemu i jego rozkazom, chociaż każdy wiedział, że jedyną nagrodą za to posłuszeństwo będzie ruina majątkowa, wygnanie lub śmierć. Większość nie chciała nawet wiedzieć kogo słucha, bo dla niej ten rząd był uosobieniem prawa i rządu polskiego.

Powstanie wybuchło 22 stycznia. Młodzież, którą miała dotknąć branka, wyszła z Warszawy w lasy, w zimie, bez grosza, bez odpowiedniej odzieży i obuwia, mówiąc „z kijami na bagnety, a z bagnetami na działa“. Choć nie było zbytnich mrozów, ale były słoty, deszcze, wilgoć, mgły i zimno, co dla ludzi źle odzianych i nie przyzwyczajonych do trudów wojennych, boleśnie czuć się dawało. W takich warunkach nikt nie mógł rokować długiego powstania.

A jednak, ta młodzież w trzydziestu trzech miejscowościach uderzyła na załogi armii regularnej i nie mało było takich którzy

gołemi rękami wydzierali broń z rąk starym żołnierzom. Powodzenie nie wszędzie było jednakowe, lecz dało już z samego początku powstańcom pewną ilość broni zdobytej na wrogach i przekonało, że nie tak łatwą będzie sprawa z ludźmi, którzy powstali, aby zwyciężyć, albo zginąć za wolność i kraj swój ojczysty.

Nie myślę przedstawiać obrazu tej wojny we wszystkich fazach jej przebiegu, zwracam jednak uwagę na to, że gdzie tylko powstańcy mieli dobrego dowódcę, a siły równe lub o mało słabsze od nieprzyjacielskich, prawie zawsze byli górą; lecz każdy myślący człowiek, znający sztukę wojenną, zrozumie, że pomimo chwilowych powodzeń, powstanie musiało skończyć się wcześniej lub później klęską i nie przedstawiało widoków na przyszłość bez interwencyi Europy.

Za Królestwem Polskiem powstała Litwa i Ruś chociaż ani moralnie ani materyalnie nie były przygotowane do tego należycie. W działaniach oddziałów litewskich wszystko nosiło cechę powagi, ciszy i pobożności. Włościanie, zwłaszcza na Żmudzi, poruszeni poprzedniemi manifestacyami religijnemi, szli masami do powstania, zwłaszcza drobna, tak zwana chodaczkowa szlachta; ale dla tych mas brakowało broni i dowódców, bo ci ostatni ginęli jeden za drugim, zmuszeni walczyć jak prości szeregowcy, aby nauczać własnym przykładem, ogrzać chwiejących się, powstrzymać i dopilnować porządku.

Powstanie na Rusi trwało bardzo krótko, stoczono kilka potyczek, ale walka źle uzbrojonych powstańców z regularnem wojskiem, na odkrytych równinach nie była łatwą, i część powstańców zginęła, druga dostała się do niewoli, lub została wypartą do Galicyi.

Niesłychany entuzyazm ogarnął kraj cały, wstrząsające do głębi serca tysiączne czyny poświęcenia, ofiarności i niezrównanego męstwa mnożyły się z dniem każdym na całej szerokiej przestrzeni, gdzie walka wrzała; ogień buchał wielkim płomieniem, lecz niestety siły były za słabe i z pożaru tego po ośmnasto-miesięcznej walce, zostały tylko popioły i zgliszcza; a świeże mogiły zasłały całą polską ziemię, pod którą legły jej najlepsze dzieci.

Tak było w Polsce, spojrzyjmy na to, co się działo po za jej granicami.

Manifestacye religijno-narodowe, walka pieśnią i żałobą, następnie powstanie bezbronnych przeciwko uzbrojonemu wro-

gowi, obudziły szacunek, gorące uznanie i współczucie wszystkich narodów Europy z wyjątkiem Prus. Dziennikarstwo, zebrania ludowe nie znajdowały słów dla wyrażenia uwielbienia dla tak bohaterskiego, a tyle nieszczęśliwego ludu; nawet rządy, parte przez opinję publiczną, zmuszone się czuły do zajęcia się Polską; zresztą korzyści polityczne do tego ją skłaniały. Dla Anglii kłopoty Rosyi były bardzo na rękę, bo nie pozwalały jej mięszać się w sprawy azyatyckie, a toż samo dla Austryi, której groziła kwestya Wenecyi.

Prusy, powstałe z rabunku cudzej własności i marzące o polityce podboju w Niemczech, miały interes, aby Rosya w domu była zajęta i dlatego od pierwszej chwili ruchu rewolucyjnego w Polsce, posyłały agentów swoich do Warszawy, z poleceniem wywoływania u ludności oporu władzom rosyjskim; a jednocześnie donosiły do Petersburga o wszystkiem, co się dało wyszpiegować u Polaków, przyczem król Wilhelm, korzystając z chwiejnego umysłu swego siostrzeńca, zalecał mu ciągle: „srogość zbawienną“.

Bismark wszedł nawet w stosunki z Rządem Narodowym, proponując mu, aby ogłosił, iż kraj nie chce pozostawać w zależności od barbarzyńskiej Rosyi i że woli panowanie niemieckie. Gdy zaś Polacy propozycyę tę odrzucili ze wstrętem, przebiegły i zdradliwy Krzyżak zawarł konwencyę wojskową z Rosyą, w celu wspólnego działania, dla zgniecenia Polaków.

Francya nie była przygotowaną na powstanie w Polsce, wypadek więc ten był jej nie na rękę, temwięcej, iż nie chciała jawnie oświadczyć się przeciwko Rosyi, lecz zawarcie konwencyi wojskowej przez Prusy zmusiło ją do wysłania noty do Petersburga i Berlina. Rząd rosyjski odpowiedział, że sprawę polską uważa za sprawę wewnętrzną państwa, rząd zaś pruski, zwyczajem krzyżackim, wyparł się swego postępku, obawiał się bowiem wtedy jeszcze Francyi.

Tak więc w pierwszym okresie powstania, cała zachodnia Europa postawą swą względem Rosyi, zachęcała Polaków do wytrwałości i poświęcenia swych najlepszych dzieci, dla przedłużania walki, aby dać czas porozumienia się rządom. Sympatye zaś ludów manifestowały się składkami na zakupno broni dla walczących i udziałem w walce ludzi gorętszych.

Słysząc zewsząd zachętę do wytrwania. Polska robiła wysiłki nadludzkie, aby rozszerzyć pole ruchu rewolucyjnego jak

najdalej, choć partyzantka jest najokrutniejszą ze wszystkich wojen i najbardziej kraj niszczącą.

Rząd rosyjski, przerażony groźbą koalicyi Francyi, Anglii i Austryi, zaproponował tym mocarstwom porozumienie się wspólne na podstawie traktatu wiedeńskiego z r. 1815, lecz dowiedziawszy się od Bismarka, że pomiędzy interweniującemi mocarstwami zgody zapatrywania niema i że Anglia w żadnym razie, nie wda się w wojnę; w lipcu 1863 wysłał ponowną notę wyniosłą i szorstką, odmawiając zawieszenia broni i konferencyi, którą jej proponowano. Jednocześnie sprowadzono ogromną ilość wojska do Polski i Litwy, a na wielkorządcę tej ostatniej wyznaczono Murawiewa, znanego zbrodniarza, dzikie zwierze w ludzkiej skórze, z władzą niczem nieograniczoną i z poleceniem zgniecenia powstania w tym kraju.

Jak ten potwór postępował na Litwie można wnosić z pamiętników jednego z Moskali, który był na służbie w Wilnie w czasie rządów Murawiewa: „Pamięć o tych czasach pisze on, powstaje w przerażonej wyobraźni, jako obraz bezgranicznych cierpień i nieszczęść, jak straszna zmora, jak krwawe widmo, które wstrząsając do głębi, taką przejmuje grozą, że umysł lodowacieje i wstrzymuje się bicie serca“.

Hr. Berg, mianowany namiestnikiem w Warszawie, wprowadził w Polsce system Murawiewa. Egzekucye, wieszania, cytadela i straszny terroryzm zaczęły rozluźniać podstawy organizmu Rządu Narodowego w Polsce, wtedy gdy zazdrosna i niezdecydowana polityka mocarstw, wstrzymywała ich od wspólnej akcyi, na rzecz nieszczęśliwej Polski.

Nieufność wzajemna Anglii, Francyi i Austryi była przyczyną, iż zaledwie w pierwszej połowie sierpnia mocarstwa te wystosowały do Rosyi noty, ubolewające, iż Rosya nie przystała na projekt konferencyi i czasowego zawieszenia broni. Ponieważ spóźniona pora roku dawała pewność, że w 1863 roku do wojny nie przyjdzie, rosyjski kanclerz butnie odpowiedział, że Rosya sama tylko może tłumaczyć traktaty, które oddały Polskę pod jej władzę.

Tymczasem w stolicy Polski działy się rzeczy nie do uwierzenia. Po nieudałym zamachu na życie Berga, namiestnik nałożył ciężką kontrybucyę na Warszawę, a niezapłacone podatki zaczęto wybierać za pomocą zbrojnych oddziałów, które w razie nieuiszczenia paliły domy, a rozhukane i pijane żołdactwo dopuszczało się obelg i napadów na mieszkańców. Ludzi chwytano

na ulicy, wleczono do cytadeli i co chwilę robiono rewizye domowe.

W tej okropnej dla Polski chwili, wobec zbliżającej się zimy, która była więcej groźną dla powstańców, zajmujących lasy, aniżeli dla Moskwy, mającej dogodny przytułek w miastach, wobec niezgasłej jeszcze nadziei na interwencyę i potrzeby podtrzymania powstania do wiosny, na czele Rządu Narodowego stanął Romuald Traugut, Litwin, jedna z najpiękniejszych postaci ostatniego powstania.

Traugut rządził wśród skrzypienia szubienic, wśród świeżych grobów, jęku katowanych w cytadeli i płaczu osieroconych rodzin po powstańcach, którzy ginęli w lasach z głodu i zimna, lub z ran otrzymanych w bitwach rozpaczliwych. Trzeba było nieustannie wiązać rwące się wskutek aresztowań nici organizacyi narodowej i obmyślać środki dostania pieniędzy, o które było coraz to trudniej. Trzeba było podtrzymać wiarę i ufność w umysłach, coraz to mocniej podkopywanych zwątpieniem, utrzymać stosunki z prowincyą i z zagranicą, co narażało na wielkie niebezpieczeństwa.

W końcu 1863 roku Anglia, Francya i Austrya zgodziły się na wspólne oświadczenie, że Rosya utraciła te prawa do Polski, ktore jej były przyznane przez traktat wiedeński, bo nie spełniła warunków, do których się zobowiązała. Austrya jednak dowiedziawszy się, że Rosya uważać to będzie za wypowiedzenie wojny ze strony Austryi i że Bismark oświadczył, że w razie wojny Prusy staną po stronie Rosyi, cofnęła się. Co więcej, widząc brak decyzyi ze strony Anglii i Francyi, rząd austryacki wysłał pismo, upewniając rząd petersburski, iż nie przyjmie udziału w polityce nieprzyjaznej dla Rosyi i dał stosowny rozkaz jak najstaranniejszego zamknięcia granicy, aby przeszkodzić wzmacnianiu ruchu i przechodzeniu oddziałów powstańczych z Galicyi do Kongresówki.

Polacy przetrwali ciężką zimę, sądząc, że może wiosna przyniesie im zbawienie, ale wszystko już się rwało, a ucisk rosyjski, pruski i austryacki doszedł do potwornych rozmiarów. Nareszcie Bismark uprosił rząd austryacki, o ogłoszenie stanu oblężenia w Galicyi.

W początku kwietnia wszyscy naczelnicy wydziałów Rządu Narodowego zostali aresztowani, a 10 kwietnia 1864 roku, ten sam los spotkał dyktatora — Trauguta. Dzień ten należy uważać za koniec powstania.

W cztery miesiące potem, pięć szubienic zakończyło życie tych ludzi. Cisza grobowa zapanowała nad zwyciężonym krajem. Spalone miasta i wsie, zgliszcza, stratowane pola znaczyły miejsca przez które przeszła wojna. Zwycięzca postawił nogę na pierś zwyciężonego.

Ostatnie powstanie ciężki cios zadało nieszczęśliwej Ojczyźnie naszej, lecz pozostawiło przepiękną kartę w historyi narodu.

. . . .

Ciężko mi było pisać to wspomnienie. W myśli stanęli przyjaciele lat młodzieńczych i koledzy szkolni. Wiatry rozwiały już prochy ich, lub dziki zwierz poszarpał ciała zabitych, a śnieg Sybiru pokrył białym swym całunem tych, co w walce nie zginęli... Dziś myślą wracając do tych czasów, nie znajduję już nikogo w miejscu mem rodzinnem, ktoby mnie obchodził, bo wszystko wyginęło, lub wypędzone zostało z ojczystej zagrody. Nawet nieba mej Litwy, nawet grobów ukochanych nie zobaczę, nie odetchnę powietrzem, które żywiło pierś dziecka, nie spojrzę na te miejsca, gdzie się żyło tak błogo, wśród kochającej i ukochanej rodziny...

II. Epizod z powstania litewskiego.

Postaram się skreślić Ci, mój drogi, w krótkości ostatnie przejścia moje, które w każdym razie są dość ciekawe. Otóż prowadząc taką rozbójniczą wojnę, jak opisywałem w przeszłym liście, co to nigdy się pod dachem nie spało, ciepłej strawy prawie nie jadło, odzienia się nie zmieniało, a żyło się i działało więcej po wilczemu, aniżeli po ludzku; prowadząc, mówię taką wojnę w przeciągu trzech miesięcy, zacząłem odczuwać zły wpływ tejże na moją sercową chorobę. Szczególnie szkodziły mi te częste forsowne nie marsze, a biegania, bo zazwyczaj kłusem wykorzystaliśmy nasze nocne manewry. Same bitwy *corps à corps*, gdzie często trzeba było z dwoma i więcej przeciwnikami pasować się ciągle, powiększały moje gwałtowne bicia serca. Wiedziałem już od początku dobrze, że nie długo będę mógł takie życie prowadzić, ale nie mając nigdy najmniejszej nadziei, wyjść cało z tej wojny, mało o to dbałem. Po dwunastu tygodniach jednak już zdarzyło mi się upaść bezprzytomnie w jednej z takich utarczek, ale miałem ludzi, bardzo do mnie przywiązanych, więc też wynieśli mnie z pośrodka nieprzyjaciół

i ocuciłem się na rękach ich w lesie. Trzeba ci wiedzieć, że podobne omdlenia są dość częste w chorobach serca i że zdarzały mi się jeszcze w Petersburgu, a raz pamiętam, zrobiłem nie mało ambarasu moim rodzicom; będąc bowiem z niemi na jakiejś publicznej zabawie, potrafiłem wywrócić się tak zgrabnie, że i sobie nos do krwi stłukłem i jeszcze jakiejś siedzącej obok mnie damie, guza na czole nabiłem. W kilka dni potem omdlałem już nie w bitwie, ale poprostu bez żadnej przyczyny w obozie, a ludzie moi mówili mi potem, że miałem konwulsye i wymawiałem różne bez sensu słowa. Zrozumiałem, że to się będzie powtarzać i że nie dziś, to jutro dostanę się w ręce Moskali. Ale na to nie było rady, zostałem więc dalej w obozie i jak trzeba było spodziewać się wkrótce w jednej z takich nocnych utarczek, nie wiem, czy zemdlałem, czy jak mi żołnierz moskiewski dowodził, że on mnie kolbą w łeb uderzył i ja upadłem, dość że się ocknąłem w ręku nieprzyjaciół. Musiałem w czasie omdlenia coś mówić, bo od razu powiedzieli mi, że byłem dowódzcą oddziałku i związali mi ręce. Jakkolwiek już dużo przykrych chwil przeżyłem, będąc w 12 roku życia oddanym z domu rodziców do szkoły kadeckiej w Petersburgu, lecz chwili tak przykrej jak ta, w której ocknąłem się skrępowany w rękach Moskali, nie miałem jeszcze nigdy. Wśród różnych uczuć, które mną miotały, uczucie gniewu było jednak najmocniejsze, bo zacząłem wołać i wymyślać na żołnierzy dlaczego mnie związali. Mówiłem, iż jestem oficerem rosyjskim i że powinni mnie rozstrzelać, a nie wiązać. Na krzyk mój żołnierze odpowiadali śmiechem i szturchańcami. Ponieważ jednak nie przestawałem krzyczeć, a głos mam donośny, więc też podeszło do mnie kilku oficerów i powiedzieli, iż nie mają prawa pozwolić mnie rozwiązać, a tembardziej rozstrzelać bez sądu, ale kazali mnie odprowadzić do pułkownika. Na moją prośbę, abym był rozstrzelanym, pułkownik odpowiedział, że i on tego zrobić nie może, bez wyższego rozkazu, pozwolił jednak, aby mnie rozwiązano, a w kilka godzin potem wysłał oddział ze 100 ludzi pod dowództwem oficera, który miał mnie odprowadzić do Kowna i tam oddać w ręce Murawiewa syna. Prowadzono mnie z ogromnemi ostrożnościami całe trzy dni. W czasie tej smutnej podróży rozmawiałem ciągle z oficerem, który mnie prowadził. Opowiadałem mu różne różności o Paryżu, Londynie i innych miastach zagranicznych; on słuchał mnie z przyjemnością i odzywał się do mnie bardzo przyjaźnie, ale tem nie mniej

pilnowano mnie zawsze tak ostro, że nie można było pomyśleć nawet o ucieczce.

Czwartego dnia mieliśmy już stawać w Kownie. Przyszliśmy do jakiejś wioski nad Wilją o kilkanaście wiorst od tego miasta. Tu oficer dowiedział się, że powstańcy krążą około miasta, lękał się iść dalej i posłał gońca do Kowna. Był to już wieczór i żołnierze zabierali się do spoczynku. Mnie jak zazwyczaj odprowadzono na odwach, a oprócz odwachowej placówki, która się przechadzała po dworze, postawiono jeszcze jedną wartę przy drzwiach mojej izby, zaryglowawszy mocno okiennicę, która zakryła jedyne znajdujące się tam okno. Widząc się już tak blizkim mety, pomyślałem sobie, że jeżeli dziś nie ucieknę, to nie ucieknę już wcale. Postanowiłem więc całą noc nie spać i skorzystać z każdej pomyślnej chwili. Koło godziny jedenastej w nocy zmienili wartę przy moim progu. Żołnierz wszedł do mojej izby, ale widząc mnie leżącego w kącie i sądząc że śpię — wyszedł i przymknął drzwi; przeczekałem jeszcze godzinę, potem podniesłem się cichutko i podszedłem do małego otworu w okienicy; noc była cicha a niezbyt ciemna; ogromne ognisko paliło się o kilka kroków od mojej chaty i oświecało postać odwachowej placówki, przechadzającej się zwolna po podwórzu. Podszedłszy do drzwi, ujrzałem przez szparę, moją wartę siedzącą w kącie i drzemiącą. Karabin jego stał obok, oparty o ścianę. Popróbowałem posunąć się dalej: drzwi nie skrzypnęły, ale serce moje tak gwałtownie biło, iż lękałem się, żeby stuk jego nie obudził warty. Nie było chwili do stracenia. Wziąłem cichutko karabin mojej warty, przybliżyłem się do drzwi, które prowadziły prosto na dwór, gdzie chodził żołnierz odwachowy i o pięć kroków wystrzeliłem do niego. Biedak, ugodzony w samo czoło, padł ani jęknął. Na ten strzał Moskal, śpiący w kącie, o dwa kroki wszystkiego odemnie, zerwał się, ale także nie zdążył wyprostować się, kiedy miał cały mój bagnet w piersiach. Zajęczał i osunął się cicho na ziemię. Wyskoczyłem na dwór i dalejże w nogi; ale jakkolwiek stało się to wszystko w jednem mgnieniu oka, strzał mój jednak zbudził innych i nie zrobiłem tysiąc kroków, kiedy już usłyszałem krzyk i ruch w całym oddziale. Biegłem jednak ciągle. Serce coraz to mocniej biło, głowa zaczęła mi kręcić się, czułem że upadnę. Byłem nad brzegiem Wilii. Wskoczyłem więc do rzeki, żeby się odświeżyć. Jakoż rzeczywiście woda, wtedy dość zimna, obudziła we mnie nowe siły; wyszedłszy, chciałem znowu iść

dalej, ale spostrzegłem kilku jeźdźców w niewielkiej odległości od miejsca, w którem się znajdowałem: zrozumiałem, że to muszą być Moskale i wlazłem znowu do wody. Ogromny krzak łoziny rozrastał się w samej wodzie, zanurzyłem się więc po samą szyję, głowę ukrywając w krzaku i tak siedziałem, myśląc, że po godzinie zaprzestaną szukać i będę mógł wyleźć. Oszukałem się jednak, bo nietylko noc, ale i cały dzień następny Moskale kręcili się ciągle koło brzegu rzeki, tak że musiałem często nurzać się zupełnie, żeby nie być odkrytym. Biorąc tę dwudziestoczterogodzinną kąpiel, która mi najmniejszej przyjemności nie robiła, myślałem sobie, czy warte to te życia, żeby dla niego tyle się męczyć? I zdaje mi się, że nie tyle chęć życia i nawet może nie myśl, że będę kiedyś może użyteczny krajowi, ale poprostu litewski upór powodował mną, że siedziałem w tej wodzie: chciało się postawić na swojem. Ledwo wieczorem zobaczyłem, jak Moskale przeprawili się przez rzekę i poszli zapewne do Kowna. Nie wyłaziłem jednak, aż zrobiło się zupełnie ciemno. Miałem na sobie prostą siermięgę chłopską, a w pasku pod koszulą sto piędziesiąt rubli i zegarek złoty. Siermięgę zrzuciłem, bo była nader ciężka od wody, piasku i błota i w jednej mokrej bieliźnie, zabrawszy karabin owej zakłutej warty, poszedłem brzegiem Wilii dalej. Tak idąc doszedłem wkrótce do jakiejś wioszczyzny, wlazłem do karczmy, zbudziłem arendarza chrześcianina i dałem mu do wyboru, albo wziąść 50 rubli za czystą bieliznę, odzienie i kawał chleba, albo mój bagnet w piersi. Wybór nie był trudny i padł na 50 r. s. Nietylko dostałem to, com żądał, ale jeszcze mój gospodarz koniecznie nalegał, abym się położył w jego łóżku i odpoczął. Aczkolwiek można sobie wystawić, jak byłem zmęczony, nie posunąłem jednak wiary w patryotyczne uczucia pana arendarza do takiego stopnia, żebym mu zupełnie zaufał; odziałem się więc i gryząc mój kawałek chleba, powlokłem się dalej. Zaczęło świtać, kiedy przybyłem nad Niemen, koło Kowna; przeprawiłem się małą rybacką łódeczką na drugą stronę, wlazłem na wysoki zarośnięty brzeg, położyłem się w lasku i zadałem sobie pytanie, co dalej z sobą pocznę, ale sen mnie znużył i zasnąłem, nie rozstrzygnąwszy tego pytania. Dobrze już było po południu, kiedym się obudził. Głowa mi pękała od bolu, febrą trzęsła ciałem, gorączka potem paliła; zrozumiałem, że będę mocno chory i że muszę się ruszać, póki choroba nie owładnie ciałem zupełnie; wstałem więc i poszedłem w kie-

runku kolei żelaznej; bałem się jednak wsiąść do wagonu w Kownie samem, więc poszedłem jeszcze piechotą do pierwszej stacyi już w Królestwie Polskiem. Tam wziąłem bilet i wieczorem byłem w Wierzbołowie, ostatniej stacyi na terytoryum rosyjskiem. Tu znowu wysiadłem i nocą przeprawiłem się przez granicę i poszedłem jeszcze parę stacyj w głąb Prus. Gorączka z taką szybkością rozwijała się we mnie, żem lękał się na chwilę zatrzymać, żeby nie upaść zupełnie. Siadłem więc znowu do wagonu i jednym ciągiem dojechałem do Wrocławia, gdzie odszukałem tego poczciwego Węgra, który mnie już prawie bezprzytomnego do Wiednia przetransportował; a który dotychczas mną się opiekuje.

Oto więc w krótkich słowach historya moich ostatnich miesięcy. Jednym może się ona wydać komiczną, drugim dramatyczną, mnie zaś tragiczną — bo narażając się na tyle przykrości i niebezpieczeństw, stawiąc życiè na kartę, zapytuję siebie, co ja zrobiłem? Oto jedno, wielkie — nic.

List ten interesujący podpisany imieniem „Hipolit“ znalazłem pomiędzy papierami mymi. Autora nie znałem, lecz sądzę że zainteresuje czytelników, jak mnie zainteresował.



TEODOR SAWICKI.

Ludobroński-Ludkiewicz.

Urywek z powstania na Żmudzi.

W r. 1863 w miesiącu lutym, włościanie w powiatach: szawelskim, telszewskim, rosieńskim, poniewieżskim i nowoaleksandrowskim posłyszeli o wybuchłem powstaniu, poczęli się zbierać po domach, naradzali się, więcej gorętsi wychodzili w lasy, opowiadali, że coś się ma stać, że Moskale ściągają wojska, że sama Warszawa powstanie. Był to nastrój między ludem żmudzkim, jakiś nieściśle określony, i każdy przeczuwał, że to co się stać musi, to nie będzie nic innego, tylko wojna z Moskwą.

Inteligencya, to usposobienie ludu w ten sposób wyzyskała, że zbierała tych ludzi (będę mówił tutaj głównie o powiatach szawelskim i poniewężskim), nie wiedzących co robić z sobą, w oddziały małe; uzbrajała ich i prowadziła do puszczy

zwanej Zielonką, położonej w powiecie poniewieżskim. Uzbrojenie to przeprowadzało się w ten sposób, że wszystka broń, jaką mieli mieszkańcy, użytą była dla powstańców, a co brakło, zdobyli sobie po dworach w Kurlandyi, blisko granicy żmudzkiej położonych.

Uorganizowane w ten sposób oddziały, sprowadzane były przez ludzi inteligentnych, jak mówiłem do puszczy Zielonki, do formującego się oddziału Ludobrońskiego (Ludkiewicza). Później przybył pułkownik wojsk rosyjskich Jasiński i ten wziął się do pracy uczenia mustry powstańcow. Było to w miesiącu marcu. Mustra trwała prawie ciągle, tak że z końcem marca oddział był już wyćwiczony. Pewnego dnia przyjechało dwóch posłańców, rozmawiali z Ludkiewiczem i Jasińskim, a po ich odjeździe, wyszedł rozkaz od Jasińskiego, zbierać się do pochodu. Wyruszyliśmy ku Birżom. Po drodze dowiedzieliśmy się, że oddziały Dołęgi. (Sierakowskiego) i Kołyski dążą również ku Birżom. Nasz oddział wynoszący 1800 ludzi pod dowództwem Jasińskiego, szedł na prawem skrzydle wojsk Dołęgi i Kołyski, które wynosiły do 5000 ludzi. Nasz oddział, tworzyli sami żmudzcy włościanie. Główny powód co pchał do powstania włościanina żmudzkiego, była religia. Opowiadali sobie, jak Moskale w roku 1831 stawiali wojska po kościołach, jak prześladowali i prześladują religię, to też włościanin żmudzki ich nienawidzi.

„Perkun diawajtis
Nia muszk Żiamaitis
Biat muszk to gudo
Keip szuni rudo“

to znaczy:

Perkunie piorunowładny
Nie zabijaj Żmudzina,
Lecz zabijaj Moskala,
Jak psa rudego.

Takie są serdeczne życzenia Żmudzina.

Wracając do naszego pochodu, szliśmy dzień i noc całą, z małym wypoczynkiem. Nazajutrz rano 27 marca, weszliśmy do lasu położonego pod wsią Swirpłeny, (Swierszcze) w tym lesie urządzono zasadzkę. Moskale w tę zasadzkę weszli i zostali powitani salwą karabnową. Zaczęła się zażarta bitwa. Powstańcy trzymali się bardzo dobrze, zabito kilkudziesięciu Moskali, lecz

gdy ku wieczorowi zaczęło brakować amunicyi, strzały z naszej strony coraz były rzadsze i w końcu prawie ustały, bo się okazało, że wszystkie naboje zostały wystrzelane. Pułkownik Jasiński zakomenderował do odwrotu. Myśmy stracili 35 zabitych i 60 rannych. Moskali jak powiedziałem, kilkudziesięciu zabitych, a 102 rannych. Oddział nasz wrócił na to samo miejsce, t. j. do puszczy Zielonki.

W tym samym dniu, kiedy nasz oddział stoczył walkę z Moskalami, ku wieczorowi wszczęła się walka, z jednej strony w akcyi był Dołęga (Sierakowski) i Kołysko a z drugiej Moskale. O przebiegu tej bitwy dokładnie nie wiem, tylko wiem to, że była ona dla nas klęską, z tego powodu iż dowódcy Dołęga i Kołysko ciężko ranni, zostali przez Moskali wzięci do niewoli. Następnie odwiezieni do Wilna a w końcu przez Murawiewa Wieszatela powieszeni. Pułkownik Jasiński wkrótce wyemigrował za granicę i umarł w Paryżu. Naczelnik Ludobroński (Ludkiewicz) do później jesieni był w stronach puszczy Zielonki, tych on prawie nie opuszczał, staczał małe bitwy z Moskalami, w końcu napadnięty bronił się do ostatniej kropli krwi i porąbanego przywieziono do Poniewierza. Moskale, aby się naigrawać z mieszkańców, mówili, że przywieźli z Zielonki „króla polskiego“.

Ludkiewicz wiele dawał do czynienia Moskalom. Nie mogli go znaleźć, gdy go szukali; siadł im na kark tam, gdzie najmniej go się spodziewano; porządnie ich pobił i znowu znikł bez śladu, słowem na swoją rękę prowadził partyzantkę. Wieszał moskiewskich szpiegów i przez całe lato i jesień, na całej kilkumilowej przestrzeni był panem sytuacyi. Sądowe sprawy także załatwiał włościanom, którzy tłumnie do niego przychodzili. To też u Moskali radość była wielka, gdy Ludkiewicza pobili, a jeszcze większa, gdy go zabili.

Lwów 1go marca 1903.



BRONISŁAW SŁAWIŃSKI.

Z Kijowa na Sybir.

Urywek z opowiadania, opracowanego przez Walentego Ćwika pod tytułem „Pieć lat w kraju niewoli“.

Z uroczystym nastrojem, w obecności licznie zebranych oficerów i ustawionego w pełnej paradzie oddziału wojska, odczytał nam, w jakie sześć tygodni później, przewodniczący komisyi, w polskim języku wyrok, mocą którego, skazano nas, za czynny udział w powstaniu, na wieczne osiedlenie w syberyjskich guberniach carstwa. W następnem przemówieniu swem nie omieszkał pułkownik zwrócić uwagę naszą, na niezwykłą łaskę monarchy, który w uwzględnieniu prożb ambasady austryackiej, zmienił pierwotne, na ciężkie roboty w kopalniach opiewające, orzeczenie, na łagodniejszy wymiar kary. Czczą formalnością było końcowe zapytanie przewodniczącego, czy przyjmujemy wyrok, lub też podnosimy jakie zarzuty, przeciw postępowaniu komisyi śledczej.

Jakkolwiek dotkliwym był rezultat sprawy, to jednak wyznać muszę otwarcie, wywołał on pewne zadowolenie w duszy młodzieńca, goniącego za wrażeniami, za nowością, nie zastanawiającego się bliżej nad rzeczywistym stanem rzeczy. Powierzchownie sądząc, wyobrażałem sobie wygnanie, jako nową erę życia, życia urozmaiconego licznemi przejściami, zdolnemi podnieść mnie do rzędu ludzi zasłużonych, zdolnemi otoczyć aureolą męczeństwa. Pełen wyobraźni, przeoczyłem okoliczność, iż obok setki, tysiące rodaków te same, lub gorsze jeszcze przechodzi koleje, iż cierpienia moje powszedniem są zjawiskiem, a jako takie, niezdolne obudzić szczegółowej uwagi społeczeństwa na jednostkę.

Gorszym, aniżeli poddanych austryackich, był los ziomków z pod zaboru rosyjskiego, z tych bowiem mało któremu przypadła w udziale, tak łagodna kara. Przeważnie skazywano ich do katorg, lub rot aresztanckich, w wyjątkowych tylko wypadkach na osiedlenie w głębi carstwa, gdzie niepozbawionym praw szlacheckich, wypłacano miesięcznie pewną kwotę na utrzymanie.

Z początkiem października niezwykły zapanował około godziny dziewiątej wieczór ruch w korytarzach więziennych; skrzypiały zamki, otwierały się drzwi komnat, a oficerowie odczyty-

wali listę więźniów. Były to przygotowania do ekspedycyi pierwszej partyi, która w liczbie około 40 głów opuszczała współkolegów, a opuszczała może i na zawsze, bo któż mógł być pewnym jutra, kto przeniknąć tajniki, przewidzieć, przeczuć zamiary i cel działań rządu, pokrywającego swe czyny ciemnościami nocy. To też każdy z powołanych wiążąc swój skromny tobołek, nie samem podaniem dłoni, nie wyciśnięciem pocałunku na wynędzniałych obliczach, lecz cichą, z głębi duszy płynącą łzą, żegnał pozostałych braci, gorącą łzę odbierał w zamian, na daleką drogę.

„Do widzenia bracie!“ rozbrzmiewał okrzyk po korytarzach, a wnętrze nasze dręczyła myśl, trapiła obawa, ażali w tej nocnej wyprawie nie tkwi jaki podstęp gorliwych służalców surowego prawa. Dopiero nazajutrz uspokoiły się umysły nasze na wieść, iż etap wyruszył w drogę, i że za trzy dni, jak marszu porządek wymaga, drugi odejdzie transport. Gdy pierwszej partyi odebrano wszystkie rzeczy, dając w zamian aresztanckie odzienie, rozdzieliliśmy w przededniu wymarszu nasze lepsze suknie i bieliznę, pomiędzy uboższych kolegów, a sami w łachmanach, niektórzy owinięci w podarte worki lub koców kawałki, stanęli do szeregu. Dwójkami wyruszyliśmy po odczytaniu spisu, z korytarza w obrąb dziedzińca, gdzie oczekiwały nas dwie półroty piechoty, ustawione naprzeciw siebie, przy bladem świetle latarń, by po ponownem przeliczeniu więźniów, otoczyć ich naokoło kordonem. Wtem jak gdyby na dany znak, zabłysły w oknach cel światła, a okrzykiem: „niech żyją Galicyanie!“ poczęli nas żegnać koledzy z Królestwa. Nie pozostaliśmy naturalnie dłużni odpowiedzi tak, iż pomimo zakazu i gróźb komendanta, gromkie echo odbijało się o mury fortecy i płynęło wśród ciszy nocnej, po pustych ulicach miasta. Z rozkazu władzy, bezludne były wprawdzie o tej porze place i ulice, lecz w wnętrzu mieszkań wrzało w całej pełni życie. Tam tętniły żwawo życzliwe nam serca, tam ukazały się w oknach, na odgłos kroków naszych i pobrzęku pałaszy, smętne oblicza ziomków, i długo, długo powiewały na znak pożegnania, zroszone łzami chusty szlachetnych niewiast.

Pod eskortą konnicy, oczekującej nas po za obrębem fortu, podążyliśmy raźnym krokiem do domu ekspedycyi etapów, i ujrzeli się w brudnej, mdłym blaskiem lampki oświetlonej kazamacie. W przyległej izbie sporządzali czynownicy rysopisy, tz. spiski więźniów, odbierali wśród drwinek i złośliwych uwag nasze

łachmany i wydawali w zamian skarbową garderobę. Garderoba ta składała się z dwóch par bielizny, z trzewików w rodzaju sandałów, dalej z surduta w kształcie szlafroka, i pantalonów z szarego sukna, w końcu z takiejże czapki i małego kożucha. Jako schowek na rzeczy, otrzymywał każdy gruby lniany worek. Na plecach surduta widniał „as“ z kolorowego sukna, jako piętno więźnia, zarazem odznaka gubernii, dla której więzień był przeznaczonym.

Brzask poranny odsłaniał widok pogodnych niebios, zbudzone ze snu ptaszęta wesołym świergotem dziękowały Stwórcy za rozkosz swobody, a dręczeni niepokojem mieszkańcy poczęli opuszczać domy, zanim uporała się komisya z swemi czynnościami. Ostatnim ustępem tych czynności było zakładanie na bezbronnych ciężkich, żelaznych okowów. Dreszcz przeszedł nas na widok pęku łańcuchów i żelaznych bransolet, a widmo strasznych udręczeń, może jeszcze dotkliwszych, jeszcze boleśniejszych przejść i przykrości, w całej swej groźnej postaci stawało nam przed oczyma.

Ustawionym w rząd po sześciu, przykutym parami do więzów, kazano nam przymocować tobołki na plecach i pieszo rozpocząć wędrówkę w dalekie obszary drugiej części świata. Znużeni bezsenną nocą, udręczeni przejściami, mijaliśmy w milczeniu ulice miasta, postępując w takt ponurego pobrzęku łańcuchów. Stepowy wiatr Ukrainy słał nam pożegnanie; w szumie nurtów dnieprowych słyszeliśmy rzewną melodyę pogrzebowego marszu; to też ani imponujący budową z ciosu i żelaza, jakoteż rozmiarami, most na Dnieprze, ani czarowny widok, jaki się roztaczał przed oczyma, nie były zdolne zwrócić uwagi, ani rozerwać myśli gnębionych smutną rzeczywistością wygnańców. Zwolna postępowaliśmy naprzód, upadając pod brzemieniem kajdan, wlekliśmy się dzień cały i zdołali dopiero nad wieczorem zdążyć do pierwszej stacyi etapowej, odległej od Kijowa o jakie trzy mile. Tutaj otrzymaliśmy po raz ostatni z rąk komitetu nieco odzienia, wiktuałów i zasobów pieniężnych, przywiezionych przez delegatki, co tembardziej było dla nas pożądanem, iż odtąd zamiast wiktu, otrzymywaliśmy przeznaczone przez rząd strawne, po 4 kopiejki dziennie.

Naturalnie, iż widzenie się z nami i rozdział datków odbywało się za wiedzą i pozwoleniem oficera konwoju, któremu w zamian sowita przypadła w udziale nagroda. Obdarzeni przez damy medalionikami z wizerunkiem Maki Boskiej, wręczyliśmy

im listy do naszych rodzin i wyruszyliśmy nazajutrz o świcie, w dalszą drogę ku Połtawie. Za oddziałem postępowały podwody, przeznaczone do przewozu tobołków, tudzież słabych więźniów.

Jesień tymczasem poczęła szybkim zbliżać się krokiem, dnie były coraz chłodniejsze, przeplatane mroźnym wiatrem i deszczem, a droga coraz to bardziej uciążliwą. Dzienny nasz marsz wynosił mil trzy do pięciu, w takiej bowiem odległości znajdowały się półetapy i główne stacye etapowe. Po przenocowaniu w półetapach przechodziliśmy pod komendę innych oficerów, którzy dążyli naprzeciw z swemi oddziałami i konwojowali nas następnie do głównych stacyj, gdzie były ich mieszkania i koszary etapowego wojska. Tutaj następował jednodniowy wypoczynek, wygodniejszy, niżli na półetapie, lecz tylko wówczas, gdy mieściliśmy się w nowo budowanych więzieniach, dawniejsze bowiem znajdowały się w nikłych chatach, zdolnych pomieścić zaledwie kilkudziesięciu ludzi.

Jakiem było w chatach takich położenie kilkuset osób, łatwo pojąć, jeśli się zważy w dodatku, iż po rozmaitych powiatowych miasteczkach przyłączano pospolitych przestępców, skazanych za najrozmaitsze zbrodnie. Przypływ tych szumowin społeczeństwa, był największą przykrością, prawdziwą plagą, jaką nas dręczył rząd caratu, zniewalając do zawiązywania z tego rodzaju osobnikami pewnego koleżeństwa, do uważania ich pod groźbą niemiłych zajść i następstw za równych nam skazańców.

Na każdej prawie stacyi potrzeba było szturmem zdobywać sobie miejsce na pryczy, na każdej prawie stacyi wychodzili zwycięzko pospolici zbrodniarze, a myśmy się układali do snu pod tapczanami, na brudnej wilgotnej podłodze. Każda partya więźni musiała wybierać z swego grona tak zwanego „starostę“. Do niego należało utrzymywanie wewnętrznego porządku, za który był odpowiedzialny, do niego pośrednictwo między władzą a więźniami, odbieranie i rozdzielanie tak pieniędzy na strawę, jak i „podajania“ czyli jałmużny, znoszonych w datkach pieniężnych i wiktuałach przez mieszkańców podróżnych miast i wiosek. Lud okoliczny, nawykły do przemarszu skazańców, nie wchodził w ich przewinienia, lecz widział w każdym, człowieka nieszczęśliwego, to też powodowany dobrocią, niepewny zresztą sam jutra, wobec systemu rządowego i samowoli czynowników, pospieszał ulżyć niedoli cierpiących, składając chętnie

grosz jałmużny, który dosięgał w miastach niekiedy wysokości kilkunastu rubli i dawał tem samem „staroście“ sposobność do niezgorszych zysków na koszt towarzyszów. Od chwili, gdy pospolici zbrodniarze poczęli tworzyć większość oddziału, obejmował miejsce „starosty“ zwykle ten z ich grona, którego piętnowały największe występki, nadające mu mir u kolegów. Jeżeli który po kilkakroć już przedtem przechodził tym szlakiem, jeżeli uciekł z etapu, lub też z wygnania, zyskiwał tembardziej na powadze, budził tem większy respekt w gronie rówieśników. Z otrzymanych kwot nie składał rachunków; rządził niemi dowolnie, popierany przez żołnierzy, z którymi pozostawał w dobrej komitywie, popierany również przez kilku wybranych awanturników, stwierdzających siłą pięści swą przewagę nad ogółem. Polityczni skazańcy trzymając się na oboczu, nie roszcząc sobie pretensyj do uczestnictwa w „podajaniach“, wzbudzali swem postępowaniem szacunek u zbrodniarzy.

Zgroza przejmowała, gdyśmy leżąc na pryczy, prawie głową przy głowie musieli mimowoli słuchać opowieści o popełnianych zbrodniach; musieli być świadkami szczycenia się opowiadających z całą bezczelnością, swymi niecnymi czynami; zgroza przejmowała nas na widok rozpusty podczas noclegów, gdy dla braku miejsca, zamykano w wspólnej celi, maszerujące razem z nami kobiety. Działo się to zwłaszcza wówczas, gdy w oddziale znajdowało się więcej zesłańców stanu szlacheckiego, lub też byłych urzędników państwowych, gdyż tak zwany „grażdanin“, aczkolwiek pozbawiony wyrokiem praw szlachectwa, cieszył się podczas podróży pewnymi przywilejami, nie szedł piechotą, lecz jechał za oddziałem zwykle w dwójkę na podwodzie, nie dźwigał kajdan, ani naręczników; pobierał po 15 kopiejek dziennie strawnego, zatrzymywał własne odzienie, nie podlegał władzy „starosty“ i dostawał na stacyi odrębną celę. Wskutek tego brakło częstokroć dla reszty należytego umieszczenia i kwaterowano kobiety razem z mężczyznami. Niejednokrotnie były w tem tajne zabiegi „starosty“, który już z góry umiał nadać sprawie pożądany dla niego kierunek.

Do grudnia odbywała się podróż nasza bez szczególnych wypadków; dnie i noce mijały jednostajnie, a tylko niektórzy koledzy nie mogąc wskutek ostrej, mroźnej zimy, wytrzymać niewygód i udręczeń fizycznych, pozostawali w szpitalach powiatowych miasteczek. Najbardziej doskwierało nam dźwiganie kajdan, żelazne bowiem bransolety na rękach mroziły, a zwią-

zanie sześciu ludzi jednym łańcuchem, utrudniało pochód. Wprawdzie czyniono nam oddawna obietnice ulg w tej mierze, lecz rzecz spełzała na czczych frazesach. W końcu wyczerpała się cierpliwość tak, iż za przybyciem do Saratowa postanowiliśmy oprzeć się stanowczo zamykaniu w łańcuchy. By dać gubernatorowi możność przeprowadzenia jak najrychlej sprawy, zażądaliśmy bezwłocznego posłuchania, nie oczekując, aż dygnitarz ten, odwiedzi nas, podług przepisu, urzędownie. Żądaniu stało się zadość. Gubernator otoczony świtą, zjawił się w podwórzu więziennem i słuchał prośby, odmówił atoli jej spełnienia, twierdząc, iż jako skazani, podlegamy ogólnym, wszystkich zbrodniarzy dotyczącym, przepisom, wobec czego nie myśli udzielić nam żadnych ulg i ułatwień. Tego rodzaju odmowa wywołała ostrą replikę z naszej strony; powstał gwar i wrzawa; gubernator począł z razu grozić bagnetami, w końcu jednak widząc naszą stanowczość, zmienił swój zamiar, obiecał telegrafować do Petersburga i udzielić wiadomości o rezultacie za naszem przybyciem do Symbirska.

Ze względu na niewielką stosunkowo odległość między Saratowem a Symbirskiem, postanowiliśmy biedować jeszcze czas jakiś, później jednak nie zrobić ani kroku w łańcuchach, choćby przyszło upór przepłacić życiem.

Postanowienie to było wynikiem prawdziwych katuszy, jakich doznawaliśmy, brodząc przy trzydziestostopniowych mrozach, w głębokich śniegach i zamieciach, wśród północnej zawieruchy. Skuwanie rąk w ten sposób, iż jedna jest ustawicznie spuszczoną ku dołowi, dokucza bardziej od kajdan na nogach, gdyż zwieszona ręka kostnieje, pomimo rękawic, druga zaś nie wystarcza, do otulania odzienia tak, iż zimno po całem przechodzi ciele. Jeżeli w drodze dawało się nam odczuwać zimno, to tem więcej całą noc na etapie, w źle opalanych, niezaopatrzonych należycie przeciw mrozom, izbach, gdzie kubły z wodą pokrywała gruba warstwa lodu. Mając liche, częstokroć wilgotne odzienie, używane zarazem jako pościel i okrycie, otrzymując na śniadanie zamiast ciepłej strawy, kawałek czarnego, zmarzłego chleba, nie wychodziliśmy z ustawicznego dreszczu, a zdarzało się niejednokrotnie, iż, gdyśmy wyruszyli z etapu przed wschodem słońca, zmoczone poprzedniego dnia okrycie sztywniało na mrozie i dłuższego potrzeba było czasu, zanim lodowy pancerz począł tajać, pod wpływem ciepłoty ciała. Wśród takich warunków był dobrodziejstwem przymarsz do gubernialnego miasta.

Tutaj wypoczywaliśmy dni kilka, otrzymywali nowe części odzienia, a co główna, pożywienie w naturze, liche wprawdzie, złożone z zupy, kawałka mięsa na patyczku i kaszy, maszczonej łojem, lecz przynajmniej ciepłe, jakiego oddawna organizm nasz był spragnionym.

Na ostatnim etapie przed Symbirskiem, dowiedzieliśmy się od eskorty, iż wskutek ukazu z Petersburga zniesiono okowy, i że poprzedzająca nasz oddział partya więźniów z wolnemi odeszła rękoma. Radość nasza była tem większą, iż przypisywaliśmy sobie, przynajmniej częściowo, zasługę w tej sprawie. Chcąc jaknajrychlej korzystać z ulgi, prosiliśmy komendanta, by nam pozwolił iść do Symbirska bez więzów, na co chętnie zgodził się ten ludzki oficer, żądając tylko, byśmy przed samem miastem założyli, dla oka władzy, na ręce okowy. W Symbirsku ogłoszono nam urzędownie zniesienie łańcuchów, i odtąd też odbywaliśmy swobodniej dalszą drogę, a jeśli który z kolegów słaby, lub znużony, nie mógł dążyć piechotą, siadał na podwodę, nie tamując w pochodzie innych towarzyszów.

W Kazaniu zwiększył się oddział nowymi kolegami, odłączonymi od innych partyj, dążących odmiennym szlakiem etapowym, co nietylko uprzyjemniło nam wobec nowych znajomości dalszy pochód, ale wzmocniwszy siły, ułatwiło opór przeciw konwojowi. Obawiając się ekscesów, musiano nas traktować łagodniej, zaprzestano przytem ustawicznych rewizyj, umożebniono tem samem używanie tytoniu, a ta ostatnia zmiana stanowiła już dla nas donośne dobrodziejstwo. Kazań był punktem zbiorowym wszystkich transportów etapowych, stąd bowiem wiodła droga do azyatyckich posiadłości carstwa. W mieście tem, ongi stolicy mongolsko-tatarskich władców, świecącej dzisiaj zabytkami minionych stuleci, pozostaliśmy blisko tydzień, zanim zjawiły się wszystkie oddziały, które złączono następnie w jedną partyę, wynoszącą około trzystu ludzi. Równocześnie wzmocniono eskortę, dodając piechocie do pomocy kilkunastu dońskich kozaków.

Gdyśmy wyruszyli z Kazania, był już koniec stycznia; zima rozpostarła w całej pełni swe rządy, mróz doskwierał do szpiku, lecz, że niebo pogodnem jaśniało obliczem, poczęła i fantazya kiełkować wśród znękanej przejściami drużyny. Przy wesołych pogadankach, przy ochoczej niekiedy piosence, szła wiara naprzód, etap za etapem, stacya, za stacyą i ani spostrzegła się, jak ją powiodły kroki na krańce naszej części

świata, jak stanął przed nią słup białego granitu o czarnych tablicach z wymownym napisem „Europa“ po jednej, „Azya“ po drugiej stronie.

Po trzydniowym wypoczynku w Permie, poczęliśmy spinać się stokami Uralu, a oczom co dzień, co chwila to piękniejsze przedstawiały się krajobrazy. Podziwialiśmy owe kopalnie kruszców, owe fabryki, owe łomy granitu, marmuru, porfiru, słowem, niezrównane bogactwa, jakie rozsiała przyroda wśród całego tych gór łańcucha. W dzień przejścia granicy, spinaliśmy się forsownym marszem, brodząc w głębokim śniegu, który od kilku dni padał bez przerwy. W samo południe stanęliśmy na szczycie. Trudno zaprawdę określić uczucia, jakie przejmowały w chwili tej nasze wnętrze. Wzrokiem i myślą żegnaliśmy zachodnie strony, żegnaliśmy Ojczyznę, rodzinne sadyby, a żegnaliśmy na zawsze, bo któż mógł być pewnym, iż zdoła powrócić do zagród domowych? Zdało się, iż wyrzuceni po za krańce świata, wstępujemy w dziedzinę innego jestestwa. w krainę innego życia. I oto cicha łza, widomy znak głębokiego żalu, zawisła na rzęsach mężów, którzy nie lękali się kul, spis i bagnetów, których nie ugięły nahajki kozackie, nie złamały długie dnie niewoli, ni wilgotne kazamaty, ni setki mil przebytych o chłodzie i głodzie wśród dzikich pustyń ze śniegów.

Po stronie Azyi był pochód nasz z dniem każdym uciążliwszym z powodu odwilży, jaka zajęła nagle miejsce silnych mrozów, a wielu kolegów ulegało wobec braku należytego obuwia, przeziębieniu i musiało pozostawać w szpitalach. Wprawdzie zamierzano już w Turyńsku zatrzymać nas, dopóki nie ruszą lody na rzekach i nie ustali się droga, lecz dla braku miejsc a i grasującej epidemii tyfusowej, musiano wyprawić oddział na los szczęścia w dalszą drogę. Aby nie brodzić w roztajanym śniegu i pokrywającej całą długość gościńców wodzie, odbywaliśmy marsze nocami, korzystając z przymrozków pomykali do następnego etapu. Za zbliżeniem się do przejść, pokrytych cienką warstwą lodu, musieliśmy czołgając, przesuwać się na drugą stronę, a nie jeden sołdat, lub więzień, załamawszy się przy takiej wycieczce na środku przejścia, brodził dalej po pas w wodzie i przemokły, ziębnięty maszerował następnie do stacyi, zresztą i tak bez nadziei osuszenia swej odzieży. Skoro ruszyły lody na małych rzekach, wsiadaliśmy po kilku, lub kilkunastu na łodzie, kierowane z niezrównaną wprawą i odwagą przez nadbrzeżnych osadników.

Przy jednej tego rodzaju przeprawie omal nie postradałem życia, gdy wypalił karabin drzemiącego żołnierza, a kula świsnęła tuż obok mej głowy. Snać kierowała Opatrzność strzałem, by nie pozbawić mnie przyjemności oglądania okolic, które wśród turystów niewielu znajdują amatorów. Gdy i na większych rzekach puściły lodowe pancerze i zawitała t. z. wiosnówka, trwająca zwykle około dwóch tygodni, nie mogło być mowy o dalszym pochodzie. Zatrzymani w Tiumeniu nad Jołyszem, zajęliśmy kwaterę w szczupłem, cuchnącem więzieniu Więzienie to i ohydny wikt, jakim nas raczono przez czas dłuższy, oddziałały tak szkodliwie na osłabione organizmy, iż przeważna część towarzyszów musiała przenieść się do szpitala, a reszta błagała tylko, by ją los wyrwał jak najrychlej z fatalnego gniazda chorób. Pierwotnie zamierzano transportować nas do Tomska parowemi statkami, które urządzano właśnie do przewozu skazańców, lecz gdy statki nie były gotowe, musieliśmy pieszo wędrować do Tobolska, gdzie jako w pierwszem gubernialnem mieście Syberyi, został oddział nasz podzielonym na poszczególne grupy, stosownie do wyroku i rodzaju zadekretowanej kary. Gdy wedle procederu sądów rosyjskich, tylko skazani do ciężkich robót mieli z góry oznaczone miejsce pobytu, rozdzielały skazanych na osiedlanie, podług własnej woli władze syberyjskie, przeznaczając ich do okręgów Tobolska, Tomska, Jenisiejska, Irkucka itp. Wybór wsi, lub osad należał do atrybucyi naczelników pojedynczych powiatów.

Gubernatorem Tobolska był wówczas Polak, w którego piersiach tliła widocznie iskra szlachetnego uczucia, nietylko bowiem starał się wogóle ulżyć naszej doli, lecz co więcei, zatrzymał w samym Tobolsku a nawet umieścił przy swym boku, w charakterze guwernera, lokaja, furmana etc. niektórych rodaków, skazanych na „żytielstwo“ tj. lżejszy rodzaj internacyi, z przeznaczeniem pobytu w mieście i prawem pobierania dziesięciu rubli miesięcnej płacy z kasy rządowej. W styczności z tymi oficyalistami był zawsze względnym i ludzkim i nie dał im prawie nigdy odczuć stosunku zawisłości. Przykład gubernatora oddziaływał dodatnio na ogół mieszkańców, to też wielu braci naszych znalazło tam wcale znośne warunki bytu. Codziennie prawie zjawiał się gubernator w naszej tiurmie, dokładał z własnych funduszów na polepszenie strawy, przysyłał nam herbatę, cukier i inne wiktuały i trzymał swem postępo-

waniem na wodzy cały zastęp mniej nam przychylnych czynowników.

W tydzień po przybyciu do Tobolska dowiedzieliśmy się, iż celem naszego dalszego marszu jest gubernia jenisiejska, gdzie przeznaczono ogół poddanych austryackich. Dalszych 150 mil drogi wydało się zabawką, zahartowanym, poprzednimi marszami wędrowcom, tembardziej, iż część tej drogi mieliśmy odbyć statkiem. Wybór siedzib uważaliśmy za korzystny, wobec zapewnień, iż gubernia jenisiejska jest jednym z najbogatszych obszarów Syberyi, że życie tam niedrogie, a łatwy zarobek.

Około trzystu politycznych więźniów podążyło z tiurmy ku przystani Irtyszu, gdzie oczekiwał ich parowiec „Wiera". Pomiędzy skazanymi znajdowały się damy z Królestwa i Litwy, przeznaczone również na wygnanie, znajdowało się kilka pań, spieszących z własnej woli, w towarzystwie mężów, na tułaczkę i nieco akademików z Petersburga i Moskwy, zesłanych do ciężkich robót za udział w rewolucyjnych pracach. Liczna publiczność zapełniała przystań, patrząc ciekawie na zgromadzonych w tak poważnej ilości Polaków, na śmiałków, którzy urągali potędze caratu, którzy i dzisiaj niepoprawni, za powiewem wiosennego wiatru, na widok budzącej się z zimowego snu przyrody, żwawo wypogadzali poorane troskami oblicza, harde wznosili czoła, ponad wzrosłe w niewoli, do niewoli nawykłe i gnące w niewoli tłumy.

Dano znak do wsiadania. Przy kładce, wiodącej z brzegu do barki, zapytywał dyżurny oficer każdego o nazwisko i wykreślał je w spisie. Był to inteligentny, władający kilkoma językami mężczyzna, ujmującej powierzchowności, wybrany widocznie dla zachowania powagi i taktu, wobec licznego zastępu skazańców rozmaitego stanu i pochodzenia, lub też, dla przypodobania się gubernatorowi, który przekonywał się osobiście o naszem umieszczeniu na statku, o zapasach i przyborach podróżnych; polecił komendantowi, by traktował więźniów po ludzku i dozwalal im wszelkich swobód, jakie w ciasnych ramach okrętu znaleść można. Zajrzawszy do spiżarni i znalazłszy zapasy mięsa niedość świeżemi, polecił oficerowi konwoju zakupować codziennie w przystaniach odpowiednią ilość mięsiwa, a odchodząc, pożegnał nas uprzejmie, życzeniem szczęśliwej podróży. Ujęci szlachetnem postępowaniem gubernatora, nieomieszkaliśmy złożyć mu podziękowania, zapewnić o prawdziwej wdzięczności, jaką żywiliśmy dla jego osoby. Rzecznikiem był w tej mierze

nasz „starosta“ obywatel z Litwy, Bułhak, sędziwy starzec, który już po raz wtóry przechodził sybirskim szlakiem.

Na odgłos dzwonka, świsnęła lokomotywa statku, a z pokładu popłynęło po falach rzeki potężne echo — „Boże coś Polskę“ — pieśni, nuconej chórem kilkuset piersi.

Przeznaczona do przewozu więźniów barka, była przymocowaną długą liną do parowego statku, który ją w ten sposób prowadził za sobą. Budowana na wzór zwykłych okrętów, mieściła w swem wnętrzu dość obszerne cele więzienne, po obu bokach idącego środkiem korytarza, dalej magazyny żywności, koszary majtków i nieznacznej stosunkowo liczby żołnierzy, kuchnię, lazaret o kilku łóżkach, apteczkę, w końcu kajuty dla dam, lekarza i oficera.

Podróż wodą, przy ślicznej pogodzie wiosennej miłą była dla nas nowością, to też nie mogliśmy się nacieszyć świeżem, orzeźwiającem powietrzem, cudnym widokiem, roztaczającym się wśród górzystych okolic. Po całodziennej, szybkiej jeździe, z prądem wezbranego Irtyszu, ujrzeliśmy się około północy na nurtach rzeki Ob i zmienili kierunek, płynąc zwolna pod wodę, nie szybciej, niźli dwie mil na godzinę. Obok prądu wody tamowały ruch okrętu silny wicher, a raczej miotane nim fale szerokiej rzeki. Nieprzyjemnem było wówczas ustawiczne kołysanie statku, a trzeszczenie belek, zdających się rozlatywać w spojeniach, nabawiało mimowoli obawą i niedozwalało pozostać w kajutach, podczas gdy znów na pokładzie doznawaliśmy zawrotu głowy. Na dobitek naszej przykrej sytuacyi powstał pożar w jednej z ścian statku, prawdopodobnie z niedopalonego papierosa. Rzuciliśmy się co tchu do gaszenia ognia, lejąc w pospiechu i zgiełku nietylko wodę, lecz i zupę z kotłów, przeznaczoną dla nas na obiad. Zanim skierowany ku brzegowi statek dobił do lądu, minęło szczęśliwie groźne niebezpieczeństwo. Pod wieczór uciszyła się burza, a tarcza księżyca, w cudownym blasku, zwisła u pogodnego niebios sklepienia. Całą też noc przepędziliśmy na pokładzie, zachwyceni przytem urokiem zorzy, rozpościerającej swe światło wśród głębokiej ciszy.

Szóstego dnia podróży pokazały się oczom naszym mury Tomska — kres naszej żeglugi. Przenocowaszy na okręcie, wysiedliśmy nazajutrz na ląd i zostaliśmy umieszczeni, czy to dla braku miejsca, czy z innych powodów, nie w tiurmie lecz w opróżnionych wojskowych barakach. Zarazem dozwolono nam chodzić swobodnie po mieście, pod warunkiem jawienia się

wieczorem z powrotem. Cóż to była za radość, z powodu tak nagłego, niespodziewanego zwrotu w naszem więziennem życiu. Nie wierząc zrazu własnym oczom, zdziwieni niemało względami władzy, upojeni w końcu szczęściem, pospieszyliśmy czerpać co sił, z zdroju wolności, zdroju, który przez tak długi czas był dla nas zupełnie zamkniętym. Nienasyconej żądzy swobody, przypisać winienem okoliczność, iż nie wszyscy dotrzymali warunku, lecz pozostali po za oznaczoną godziną i popadli w zarzut nadużycia. Dotkliwa spotkała ich też za to kara; cały bowiem czas dalszego pobytu w Tomsku musieli spędzać w obrębie baraków. Zaraz po przybyciu do Tomska mieliśmy sposobność pozyskać sympatyę tamtejszej ludności, biorąc na ochotnika udział w gaszeniu pożaru, jaki nawiedził to miasto. Kupcy którym największe groziło niebezpieczeństwo, wdzięczni za gorliwą pomoc, przysłali nam w darze zapasy cukru, herbaty i innych wiktuałów, co nam było nader przydatnem, jakkolwiek bowiem pobieraliśmy wyższe strawne, po 10 kop. dziennie, to przecież nie wystarczała ta kwota na skromne nawet wyżywienie.

Pozostawiwszy wielu kolegów przeznaczonych na osiedlenie się w tomskiej gubernii, wyruszyliśmy po kilkodniowym wypoczynku pieszo ku Jenisiejskowi, gdzie miano nas rozdzielić do poszczególnych powiatów. Nie spieszyły się widocznie jenisiejskie władzy z załatwieniem tej czynności, gdyż czekaliśmy na decyzyę kilka tygodni, zamknięci w tiurmie. Ostatecznie przyszło orzeczenie, mocą którego zostałem wraz z kolegami Mantuanim, Sidorowskim i innymi, przeznaczonym do powiatu minusińskiego. Ze względu na geograficzne położenie tego powiatu musieliśmy, jako tak zwani „obratni", wędrować napowrót kilkanaście mil etapami po tej samej drodze, po której nas pędzono poprzednio do Jenisiejska.

Naczelnik, czyli sprawnik Minusińska wpisał nas, jako przybytek do zaludnienia powiatu, w poczet tamtejszych mieszkańców, a oświadczywszy, iż za dni kilka zostaniemy wyprawieni do osad, puścił na razie wolno. Pożądaną i błogą była wprawdzie swoboda, lecz nie mogliśmy się czuć zadowoleni, skoro sprawnik nie pytał nas o środki i zasoby do życia, lecz puścił, niby ptaki z klatki, przeświadczony widocznie, iż wolność zastąpi pokarm i dach nad głową, a kilkodniowe strawne znajdzie lepsze przeznaczenie w jego własnej kieszeni. Życzliwe serca rodaków, mieszkających od kilku miesięcy na osiedleniu, udzieliły nam chwilowego przytułku. Po tygodniu przyniosł pa-

chołek z urzędu wiadomość, iż nazajutrz odwiezie podwodą mnie i Sidorowskiego do obłasti Czarnoreczki, dalej, że zostanę wcielony w skład osady Czypeszowej, kolega zaś w skład osady Jełówki. Radzi, iż po tak długiej tułaczce, zyskamy wreszcie stałe miejsce pobytu, wyjechaliśmy zadowoleni do naszych siedzib, wróżąc sobie szczęście z powodu ulewnego deszczu, jaki nas prażył przez całą drogę.

Pierwszy raz jechaliśmy wówczas swobodnie sybirskim zaprzęgiem, pełni uznania dla wytrwałości i rączości tamtejszych rumaków, które przebiegły po nieszutrowanej leśnej drodze, bez popasu siedmiomilową przestrzeń w ciągu niespełna pięciu godzin. W Czarnoreczce, obszernej włości, zawiózł nas jamszczyk przed urząd „obłasti" i oddał wraz z papierami do dyspozycyi „gołowy", „Gołowa" reprezentant „obłasti", powołany do tej godności na trzylecie, z wyboru przynależnych wójtów, był wprawdzie niepismiennym wieśniakiem, dzierżącym tylko gorliwie swą pieczęć urzędową, lecz usiłował i umiał zachować na zewnątrz powagę, licującą z jego stanowiskiem. Okazała postawa ułatwiała mu zresztą to zadanie, nadawała mir u podwładnych. Po przyjęciu przez „gołowę" zwyczajnem „zdrawstwujtie rebiata", po odczytaniu przez pisarza ukazu naczelnika powiatu, rozpoczęliśmy ogólną rozmowę, w której wiedziony widocznie ciekawością „gołowa", zadawał nam najrozmaitsze pytania, w kwestyach bez wątpienia jemu nie obcych, gdyż już przed nami zamieszkało w jego „obłasti" kilku Polaków.

Nie władając wprawnie językiem rosyjskim, byliśmy w nielada kłopocie, z którego wybawił nas kolega Litwin, przebywający stale w Czarnoreczce, człowiek zamożny i cieszący się już wskutek tego pewnym szacunkiem i znaczeniem u tamtejszego ludu, dla którego pieniądz pierwszym bożyszczem. To też za jego zjawieniem się w izbie, zerwał się „gołowa" z siedzenia, powitał gościa głębokim ukłonem i przedstawił nas, jako nowych przybyszów. Zacny druh nie dozwolił nam nocować w kwaterach, lecz zabrał do swego domu i zatrzymał za pozwoleniem „gołowy" przez cały dzień następny.

Trzeciego dnia wyjechaliśmy w towarzystwie „gołowy" do odległej o trzy mile Jełówki, gdzie mieszkało już dwóch wygnańców, kanonik z Lubelskiego ks. Krajewski i Kowalski, urzędnik dóbr Zamojskich. Spełniając obowiązek kontrolowania skazanych, jako pierwsza administracyjna instancya, odwiedził „gołowa" wraz zemną wygnańców, a zacne przyjęcie ze strony

rodaków, napełniło mnie otuchą, iż nie zginę marnie wśród sybirskiej pustyni. Nad wieczorem ujechawszy dalsze pół mili w bok od głównej drogi, stanąłem w pietnaście przeszło miesięcy od dnia bitwy pod Radziwiłowem, po jedenastomiesięcznej wędrówce etapami, u celu podróży.



HELENA SOŁTYSOWA.

Ludwik Narbutt.

Wspomnienie spisane według opowiadania pani Teodory Monczuńskiej, rodzonej siostry Ludwika.

Syn dziejopisa Litwy, Teodora Narbutta i Krystyny z Sadowskich, córki kościuszkowskiego żołnierza, urodził się w pamiętnym dla nas roku 1831, a urodzeniu jego niezwykłe towarzyszyły okoliczności.

Na dziedziniec przybiegła znaczna liczba żołnierzy z oddziału Giełguda, a młoda matka, zobaczywszy ich przez okno, uderzyła radośnie w dłonie i zawołała: jacy oni piękni! jacy wszyscy młodzi! Może nakarmione w tej chwili dziecię, ukształtowało bohatersko swego ducha na wszystkie dnie późniejsze.

Podrastające chłopię miało skąd czerpać tchnienie miłości Ojczyzny. Ojciec stary, rozkochany w szmerach przeszłości tej ziemi — ten ojciec o piersi spiżowej i nieugiętem czole, rozdmuchiwał święte płomienie w czystej młodziana piersi.

Sam żołnierz kościuszkowski, ze czcią wymawiał przy dzieciach imię swojego wodza, całował ze łzami w oczach mundur swój świetny, a wówczas robiła się cisza tak uroczysta, jak w kościele.

Umysł i uczucie miał więc Ludwik młody dostatecznie przygotowane domowem wychowaniem, gdy go po ukończeniu szkół w Lidzie oddano na dalsze wykształcenie do Wilna w r. 1849. Tam dostał się odrazu w wir gorącej młodzieży, rwącej się do wolności, zawiązującej tajne kółka, uczącej się pieśni naszych wieszczów i rysującej Orły i Pogonie. On był z nich najpierwszym.

I nadeszła noc ciemna, w której porwano młodzieńca, wtrącono do zgniłego więzienia, stawiono przed sądy i osądzono na śmierć. Ze względu na młody wiek, bo miał zaledwie lat 18,

zmieniono wyrok na 50 rózg i wieczne sołdaty w rotach aresztanckich.

Na świadków okrutnej tej kary chłosty, sprowadzono rodziców do Wilna, a koledzy musieli na to patrzeć w paradnych mundurach. Po odebraniu plag, upadł młodzieniec do nóg swym rodzicom i prosił o błogosławieństwo ostatnie. Niżej pochyliły się ramiona starego ojca, a matka, dotąd hoża brunetka, wróciła do domu siwowłosą staruszką.

Ludwik, wysłany na Kaukaz (na granicę Azyi), lat dziesięć staczał boje z tamtejszemi plemionami, broniącemi swej ziemi od carskich najezdców. Brał udział w 90-ciu potyczkach, był rannym cztery razy, wskutek czego do końca życia chodził pochylony naprzód, a odznaczał się tak niezwykłem męstwem, osobistą odwagą i przytomnością umysłu, że budził dla siebie najwyższy szacunek Moskali. Po 10-ciu latach, w drodze łaski, przy wstąpieniu na tron cara Aleksandra II. powrócił niespodzianie do Ojczyzny i to ze stopniem oficera. Ale niedługo danem mu było spoczywać. Przyszedł rok 1863, rok wielkich nadziei, bezprzykładnych ofiar, niezachwianej wiary.

Najpierwszy też na Litwie całej, pospieszył do boju Ludwik Narbutt, jako naczelnik wojenny lidzkiego powiatu. Pierwsza jego gromadka, to towarzysze, przyjaciele lat młodzieńczych i lud rodzinnego sioła. Niezadługo kapłan-patryota, ks. Horbaczewski, stanął przy nim na czele swej gromadki, a z Wilna przyprowadził mu setkę Andriolli, znany zaszczytnie malarz-artysta. Adjutantem Ludwika był brat jego młodszy, Bolesław, który mimo młodzieńczego wieku, odznaczał się wielką odwagą w boju. Liczba całego oddziału nie przekraczała nigdy 1000 ludzi. Wódz ubrał ich w świtki szare, przez ramię zawiesił im torby płócienne i tak odziana wstąpiła młódź gorąca w ciemnie litewskich borów zaraz na samym początku wybuchu powstania, bo w lutym 1863 r.

Zaroiły się litewskie puszcze odgłosem wrzawy wojennej. Zdawało się, że lasy zaludniły się duchami: tam naderwano idące kolumny wojsk, ówdzie odbito jeńców, a dalej jeszcze zdobywano amunicyę i broń na Moskalach. Powstańcy ulatniali się jak dymy chałup, poczęły się o nich tworzyć legendy, Moskale z zabobonną trwogą opowiadali, że kule nie imają się Narbutta, ale że każda jego kula zabija. Szli niechętnie i ze strachem przeciw oddziałowi Narbutta, bo wiedzieli, że nie idą do walki zwycięskiej, więc naznaczyli wysoką cenę na jego głowę.

I czego nie dokazało męztwo kilkotysięcznych moskiewskich oddziałów, którzy wytoczyli nawet przeciwko niemu armaty, tego dokonała zdrada. Imię zdrajcy zatajono, bo zdrajca podobno nie powinien mieć imienia. Jest w lidzkim powiecie jezioro Kotra, przy jeziorze stary kościołek, Dubicze, za jeziorem lasy nieprzebyte, a w nich ruiny starego zameczku. Tam w puszczy rozłożył się obozem Ludwik, oczekując dowozu żywności od strony Dubicz. Stanowisko było bezpieczne, za nimi puszcza nieprzebyta, przed nimi jezioro — wokoło niedostępne trzęsawiska, a dostęp przez kładkę na rzeczce jedynie pozostawioną. I drogą tą miano naszym dostarczyć chleba. Pikiety, stojące w zaroślach, dały znak, że już niosą chleby. Wódz stał w otoczeniu brata Bolesława, Andriollego i kilku najbliższych sercu przyjaciół. Andriolli wyrzekł: „za dużo idzie chłopów“. „Stanąć w pozycyi“, zakomenderował wódz przez roztropność, ale nie przeczuł zdrady, bo na przodzie szedł wysłany poseł i komenderował przeprawą.

Przechodzili kładkę szybko, inni w bród rzeczkę, jakby z obawy tylnej napaści ze strony Moskali — idący przodem jak Judasz zbliżył się, wskazał palcem i wyrzekł: „Oto Narbutt“. Odwinęły się świtki, zamiast chlebów pokazały się karabiny, a Ludwik padł na ziemię ranny w piersi i czoło. Pochwycili go na ręce, zasłonili towarzysze, lecz każdy z nich odbierał śmiertelną ranę i tak utworzył się przy ukochanym wodzu wał z ludzkich ciał. Ludwik komenderował jeszcze odwrotem: „Z godnością panowie!“ ale raniony powtórnie, złożony na mchach leśnych, skonał ze słowami: „Jak słodko umierać za Ojczyznę!“ Brat młodszy, ciężko ranny, dostał się do niewoli i długie lata przepędził na Sybirze.

Pół godziny przed bitwą opuściła obóz siostra Narbutta, Teodora, która przewoziła listy dla Rządu Narodowego. Oddalając się od obozowiska, posłyszała po za sobą wielki szum w puszczy i wrzawę wojenną, ale miała od brata rozkaz „iść naprzód!“ i biegła, jak jej kazano. W drodze, w domu leśnika spotkała ciężko rannego brata Bolesława, który ją powitał słowy: „Ludwik zabity!“ Młoda kobieta nie zemdlała pod okropnym ciosem, nie straciła przytomności ani na chwilę, bo wiedziała, że wieść tę ona sama zanieść musi swoim rodzicom sędziwym.

Lecz wieść żałobna inną już sobie obrała drogę, matka wiedziała, że nie ma pierworodnego syna, a myślała, że w wirze bitwy utraciła i córkę, tam wysłaną. I gdy młoda kobieta sta-

nęła w progu jej pokoju, to matka obłąkana bólem, wyciągła przed siebie ze zgrozą ręce i poczęła ją z krzykiem trwogi odpychać, bo myślała, że córka upiorem powraca z tamtego świata.

Moskale pozwolili na pochowanie poległych, tuż przy kościele w Dubicach. Nagie, odarte ze wszystkiego, ciała, obmyły i ubrały w koszule chłopskie kobiety, proste trumny ustawiono jedna przy drugiej i usypano im wysoką mogiłę.

Wysoka mogiła zakryła męczenników ciała, duchy ich uleciały w zaświaty, lecz miały jeszcze taką potęgę, że nowe poczęły się tworzyć legendy.

Szła wieść, że Narbutt nie zginął, a lud opuszczał swe domy i z bronią w ręku poszukiwał wodza. Z rozkazu Murawiewa przyszli Tatarzy podkowińscy, rozrzucili hakami kościołek i całą mogiłę rozwlekli het po polu.

Na miejscu tem wyrosły brzozy w dawny kształt kościołka, a lud uważa to za cud, spełniony nad grobem męczenników.

Ojca Ludwika rozkazał Murawiew wywieść na Sybir. „Chyba i trumnę włożymy do kibitki“ — odpowiedzieli mu ci, którzy oglądali starca.

Murawiew kazał starego patryarchę postawić przed siebie i wyrzekł do niego:

— Wiesz stary, syn twój już nie żyje.

— Mam więcej jeszcze synów — wymówił ten starzec niezłomny.

— Won stary psie! — zakrzyknął wściekły Murawiew.

Zemstę wywarto na matce Ludwika. Porwana z łóżka, bez potrzebnej odzieży, uwięziona, prowadzona norami na „Sąd krzywoprzysięzcy“, zagrożona nahajkami, nie zdradziła się ani na chwilę, wreszcie omdlałą, oddano do więziennego szpitala, a następnie wywieziono na Sybir, skąd powróciła i zmarła prawie stuletnią staruszką.

Na kamieniu grobowym kazały dzieci wyryć napis krótki, a tak wiele mówiący: „Matka Synów“.

Bohaterski ojciec umarł w rok po utracie syna, a żona wróciwszy z Sybiru, położyła na grobie jego kamień skromny z napisem:

„Tu leży Teodor Narbutt
Dziejopis Litwy“.

Siostra zbiegła nocą z otoczonego dookoła dworu i długie, długie lata tułała się za granicą.

I otóż historya jednej z polskich rodzin. Jak kłosy podcięte na łanie, legło wszystko to, co było wówczas narodem i stała się cisza taka, jak po duchów pogrzebie. I gdy deszcze spłukały krwawe ślady z ziemi naszej, wichry osuszyły łzy słone i przygłuszyły jęki, gdy nam nie stało tego potężnego bodźca, jakiem było konwulsyjne targanie łańcucha niewoli, to i na długo natchnionej nie stało nam już pieśni. — Ale Ojczyzna miała jeszcze ból drugi, ten największy po wolności utracie: dolę swojego ludu. Ci, którzy w kołysce prześnili wielkie te boje, poczęli inną iść drogą do celu, drogą cichej pracy nad uświadomieniem ludu. Całe nie o ledwie jedno pokolenie oddzieliło nas od dni owych, i stało się, że dziś wnuki walczących lepiej rozumieją szczytną dni owych chwałę, niż ją rozumieli synowie walczących.

(Powyższą pracę Szanownej Autorki dopełniamy kilkoma datami statystycznemi, czerpanemi z innych źródeł. Już dnia 2 Lutego 1863 r. Narbutt po otrzymaniu swej nominacyi od Rządu Narodowego, na naczelnika powiatu Lidzkiego, udał się na pole walki, na czele kilkunastu ludzi a przebiegając wzdłuż i wpoprzek Litwę, stał się postrachem Moskali, których napadał tam, gdzie go się najmniej spodziewali. Do świetniejszych jego potyczek należą: w puszczy Rudnickiej w bliskości Wilna, bitwa pod Dubiczami, w puszczy nad rzeką Kotrą, gdzie zwycięzko wywinął się z obławy kilkotysięcznego wroga i najważniejsze zwycięztwo pod Łuksztucianami. Zdrajcą, który go wydał Moskalom, był gajowy z Dubicz, który 3 Maja, naprowadził na Narbutta Moskali. Wraz z Narbuttem poległ cały sztab jego, a tylko Klemontowicz i Jakubowski pozostali przy życiu, aby opowiedzieć o bohaterskiej śmierci Narbutta. Przypisek Redakcyi).



ADOLF STRONER.

Żyj Polsko!

Rok czterdziesty już upłynął
Od tej chwili, pełnej wiary,
Kiedy naród w nocy szarej
Jasny sztandar swój rozwinął
Z hasłem w polu: wolność nasza!

Hasło padło i rozbrzmiało
Jak ta tuba Archanioła,

Co nas kiedyś na sąd zwoła —
I płynęło raźnie, śmiało —
Hen — przez lasy i zagony
W jak najdalsze świata strony.

Kto zrozumiał hasło owe,
Ten za oręż chwycił żwawo —
I na wojnę spieszył krwawą, —
Gdyż w niem tkwiło ziarno zdrowe,
Które — kiedy się rozpleni —
Wszechnarody w braci zmieni.

I bój zawrzał: Dawid śmiały
Na Goliata się poważył —
I — jak Dawid — wroga prażył, —
Gdyż go w święty ten bój gnały:
Nie zdobyczy zdrożnych chucie
Lecz odwiecznych praw poczucie.

Jaki koniec był tych bojów,
O tem wiecie, Bracia mili,
Coście rozpacz tę przeżyli
Pośród ciężkich o byt znojów.
Lecz choć Naród pod toporem
Uległ wroga — legł z honorem!

Cześć Wam tedy niekłamana —
Wojownicy świętej sprawy! —
A Ty, Młodzi, żądna sławy,
Idź w Ich ślady, przekonana,
Że nietylko w dobrobycie
Tkwi narodów moc i życie. —

Żyj nam tedy Młodzi lasza,
I twórz z ludu — silny naród,
Gdyż w tem tkwi wolności zaród
I nadzieja w Mesyasza,
Co na wrogów jak grom padnie,
Skoro ludem raz zawładnie.

O! widzę ja ducha okiem
Młodzi — Ciebie w tej robocie,

I — jak wierna polskiej cnocie —
Płyniesz z ludem po szerokiem
Polu chwały — w zgodzie bratniej —
Po zwycięztwa laur ostatni!

Polsko żyj!



PRZEMYSŁAW A. SZULC.

Trzynastoletni wojak.

Należąc wówczas do młodzieży szkolnej krakowskiej, zorganizowaliśmy na prędce nieliczną garstkę towarzyszy, przeważnie studentów gimn. Ś-ej Anny i wyruszyliśmy z Krakowa do oznaczonego miejsca zbornego, na Kleparzu, zkąd nocą udaliśmy się dalej do Ojcowa.

Przybywszy tam, zameldowaliśmy się po formie, zapisano w księgi nasze nazwiska — poczem przedstawiono nas naczelnikowi Kurowskiemn, który robił mnie i kilku towarzyszom nie mało trudności w przyjęciu nas do obozu, z powodu młodocianego wieku; trudności te jednak niebawem ustąpiły, bośmy stanowczo oświadczyli, że o powrocie do domu nie myślimy, potem rozlokowano nas na kwatery i przeznaczono młodszych towarzyszy do oddziału strzelców.

Z Ojcowa, gdzieśmy jeszcze krótki czas ćwiczenia z bronią odbywali, wymaszerowaliśmy na Miechów, a znalazłszy się po uciążliwym marszu, nad ranem, na przedmieściu Miechowa, od strony cmentarza, ruszyliśmy po krótkim wypoczynku i prawdopodobnie niedostatecznem zbadaniu sytuacyi, przez naczelnika, dalej ku miastu; mówiono ogólnie w obozie, że w Miechowie niema Moskali tylko mały oddział „objeszczyków“ do strzeżenia granicy; jakaż była nasza rozpacz, gdyśmy w mieście w wązkiej a długiej ulicy, zostali przywitani ogniem karabinowym z rusztowania kaplicy cmentarnej, którą wówczas budowano, jakoteż z okien i dachów.

Położenie było rozpaczliwe, narażeni na niechybną śmierć, Moskali skrytych nawet dosięgnąć nie mogliśmy. Tylne szeregi widząc przed sobą gęsto padające trupy, rozprzęgły się i w nieładzie pierzchnęły.

Tak rozbici na dwie części, bowiem przednia część przedarła się do rynku wgłąb miasta, schroniłem się z dwoma towarzyszami do pobliskiej stodoły, niedaleko cmentarza, wyczekiwałem stosownej chwili, aby wydobyć się z tej niebezpiecznej kryjówki, śledząc każdy ruch wściekle uganiających kozaków za rozbitkami, których kłuli dzidami bez litości.

Wskutek zbliżającego się pożaru ku stodole i nie dającego się bliżej opisać — przestrachu, opuściłem swoje schronisko, a wydostawszy się ze stodoły na ulicę — biegłem bezmyślnie ku pożarowi i jak szalony wpadłem do gorejącego domu, z którego właśnie różne przedmioty wynoszono. Tam spotkałem kobietę, której padłem do nóg z prośbą, aby się mną zaopiekowała; mąż tejże ślusarz, czy kowal z zawodu, nazwiskiem Balcarek, nie chciał w pierwszej chwili udzielić mi pomocy, narzekając, że powstańcy są przyczyną ich nieszczęścia etc.; lecz uczucie ludzkości nad zrozpaczonym chłopcem (liczyłem naówczas zaledwie 13-cie lat życia) przezwyciężyło niechęć Balcarka i w mgnieniu oka przebrał mię w rzemieślniczy kożuch i kapelusz (miałem na sobie burkę i czapkę kroju francuskiego).

Pomagając im w wynoszeniu różnych sprzętów z kuźni i domu mieszkalnego na dosyć odległy ogród, odgrywałem rolę ich robotnika i tym sposobem uniknąłem śmierci, której ofiarą padli dwaj moi towarzysze z ukrycia.

Balcarkowie lękając się odpowiedzialności, odesłali mnie wkrótce do Kozłowa, do księdza proboszcza, a ten znowu do swoich znajomych pod Pilicę. Byłem i u cukiernika Wodzińskiego w Pilicy i u ks. proboszcza w Słomnikach i tak się mną dobrzy ludzie opiekowali, iż za pośrednictwem jednego przemytnika, dostałem się do rodzinnego domu w Krakowie.

Oprócz mnie i dwaj bracia moi Władysław i Józef także brali udział w powstaniu; pierwszy wyszedł cało i dotychczas żyje; drugi wzięty do niewoli, zakończył życie w lodach Sybiru.

Lwów, w styczniu 1903 r.



BRONISŁAW SZWARCE.

I. Założenie Komitetu Centralnego w r. 1862.

Religijno-patryotyczne manifestacye 1861 r. obudziły ruch ogólny na całym obszarze Rzeczypospolitej Polskiej od Odry po Dniepr i Dźwinę. Nawet w 1831 roku nie było takiego jednomyślnego ruchu, tem groźniejszego dla rządów zaborczych, że należały do niego wszystkie warstwy ludności, chociaż głównem siedliskiem jego były miasta i główną działającą siłą polskie mieszczaństwo wszystkich wyznań. Rząd rosyjski, przeciw któremu ten ruch był głównie skierowany, znajdował się wówczas po Sewastopolskiej porażce w stanie prawie zupełnej niemocy: wojska nie było, zapowiedziane reformy wywołały w całej Rosyi niebezpieczne i ogólne wrzenie umysłów; nie było więc mowy o poskromieniu przemocą polskiego ruchu, tembardziej, że przejawiał się zupełnie legalnie i działał w kierunku proponowanych przez samego Aleksandra II-go reform i ulepszeń. Rząd był skłonny do nadania Polakom pewnych ulg i przywilejów, ale pod żadnym warunkiem nie mógł ich rozprzestrzenić na wszystkie ziemie całej Rzeczypospolitej, które się przyznawały do wspólności dążeń i tradycyj, które żądały połączenia, chociażby pod berłem rosyjskiem; o ten pierwszy i główny szkopuł rozbijały się zawsze wszystkie próby porozumienia się Polaków z Rosyą, tak w 1863 roku jak w 1831 i 1815 roku. Jedynie po wojnach napoleońskich traktaty Wiedeńskie przebąkiwały o autonomii wszystkich części dawnej Rzeczypospolitej; rząd rosyjski, pod parciem groźnego niebezpieczeństwa, zgodził się niby na ten warunek, ale nigdy nie myślał o jego urzeczywistnieniu. Dawne księstwo warszawskie dostało szeroko autonomiczną konstytucyę, ale reformy dla Litwy i Rusi nigdy nie przyszły do skutku, a po upadku powstania listopadowego, zaczęło się ich moskwiczenie.

To też w 1861 roku, jednocześnie z gwałtownem karceniem manifestantów za Bugiem i Niemnem, o ile na to sił starczyło w braku wojska, puszczono cugle w Warszawie, obiecując najszerszą autonomję dla Królestwa Kongresowego, bodaj czy nie powrót do konstytucyi 1815 roku, rozumie się bez wojska polskiego. Tak powstały po dniu 27 lutego 1861 roku delegacye warszawskie, mające przedstawić „Najjaśniejszemu“ swoje żądania, a później wyłoniła się misya Wielopolskiego.

Rząd się spodziewał, że takim sposobem oderwie od ogólnego ruchu żywioły umiarkowane w Królestwie i zabije taką polityką wszystkie dążenia do ogólnej niepodległości, do odbudowania Rzeczypospolitej, składającej się z „Królestwa Polskiego, Wielkiego Księstwa Litewskiego i Ruskiego“. W tem się Moskale z początku nie omylili. Już podczas delegacyj straż bezpieczeństwa, składająca się w Warszawie z młodzieży uniwersyteckiej i szkolnej, poskramiała wszelkie zbyt patryotyczne wybryki, wydawała nawet policyi, w kilku wypadkach jako szpiegów, (!!) osobistości nawołujące do zbrojnego powstania; i gdyby nie rzeź 8. kwietnia, udałoby się rządowi na tej drodze stłumienie a przynajmniej zatamowanie całego ruchu. Powolność żywiołów umiarkowanych, które utworzyły tak zwaną organizacyę białą i przyciągnęły do siebie niektórych z głównych inicyatorów ruchu, n. p. Edwarda Jurgensa i Karola Majewskiego, natchnęła rząd moskiewski otuchą, że niema się czego obawiać zbrojnego ruchu, że można poprzestać na pewnej dozie miejscowych reform i przy pomocy samych Polaków, poskromić wszystkie dążenia, do zupełnej niepodległości. Ta otucha i arcynietaktowne postępowanie margrabiego Wielopolskiego, który potrafił w najkrótszym czasie zniechęcić, nietylko umiarkowaną szlachtę, ale nawet arystokracyę i duchowieństwo, doprowadziła do zupełnego zabronienia kościelnych manifestacyj (15. października 1861 r.) i skierowała ogromnie rozbudzony w przeciągu kilku miesięcy ruch umysłowy, pozbawiony wszelkiej możności legalnych objawów, na drogę spisku i powstania. Tłem najstosowniejszem dla całego ruchu była żałoba narodowa, nie pozwalająca myśleć o czem innem, prócz spraw publicznych, religijno-narodowych, i potężne hasła pierwszych manifestantów, którzy trzymali się ściśle zasad Unji Lubelskiej i łączyli w ogólnych wezwaniach wszystkie stany, wszystkie narodowości i wyznania.

Piszący te wspomnienia, należał od samego początku do tej garstki, można powiedzieć, ultrakonserwatywnej, dla której wszystko co się stało od rozbioru, a nawet od Sasów było nielegalnem, dla której cały obszar Rzeczypospolitej był wyłączną własnością ludów polskich i którzy zaznaczali tę konserwatywność na każdym kroku, ubiorem, wieczną protestacyą, wiecznem odwoływaniem się do republikańskiej przeszłości. Dla nas nawet Konstytucya 3-go Maja, hasło ówczesnych czartoryszczyków, była reakcyjną, bo odstąpiła od konstytucyi XVI-go wieku i od zasad Unii Lubelskiej. Nie byłem w Warszawie pod-

czas manifestacyj Lutowych, służąc w Białymstoku przy budującej się kolei Petersburskiej i skorom przyjechał do stolicy na zjazd młodzieży, podczas tworzenia delegacyj, odezwałem się z kilkoma innymi o potrzebie przygotowania zbrojnego powstania. Zostaliśmy oczywiście przekrzyczeni jako szaleńcy, a wyprowadzenie kwestyi litewskiej i ruskiej napiętnowali ówcześni kierownicy ruchu, między innymi Karol Majewski i szwagier mój Władysław Jeska, zawzięty niby mierosławszczyk, jako przedwczesne i szkodliwe. Wróciłem do Białegostoku, wiedząc z góry, że cała niby legalna, a podług moich zasad nielegalna robota młodzieży i inteligencyi warszawskiej, spełznie na niczem i zacząłem, jak mnóstwo innych w kraju, organizacyę kółka na własną rękę, biorąc najżywszy udział we wszystkich manifestacyach kościelnych i innych, nawoływując do zbierania pieniędzy i broni dla niechybnego i wkrótce mającego nastąpić powstania. Z manifestacyj w tym zakątku największą była organizowana przez nas procesya z Białegostoku do Tykocina dla bratania się z Królewiakami, a która była powodem nadesłania wojska, bo go przedtem wcale w mieście nie było. Ruch był tem łatwiejszy, że cała służba kolejowa składała się, oprócz licznych Francuzów i Belgijczyków, z emigrantów 1831 i 1848 roku, którzy powrócili za amnestyą w r. 1856, i z licznej młodzieży warszawskiej, osobliwie u głównego przedsiębiorcy, Skworcowa, spolszczonego Moskala; prawie wszyscy wzięli później udział w powstaniu n. p. Karol Frycze, inżynier w Grodnie, który został naczelnikiem oddziału i zginął bohaterską śmiercią. Dla ilustrowania ducha, który nas ożywiał, dość powiedzieć, że na telegram o rzezi 8-go kwietnia, zorganizował Leopold Pluciński, urzędnik ruchu w Białymstoku pociąg, mający nas dowieźć na Pragę; wyprawa została wstrzymana jedynie drugim „słuchowym“ telegramem, oznajmiającym, że „już po wszystkiem“. To co się u nas działo, powtarzało się w najrozmaitszych zakątkach kraju: z takiej roboty powstały zjazd w Horodle, procesya kowieńska, grodzieńska itp. mające świadczyć o nierozerwanej łączności trzech narodów Rzeczypospolitej.

Nie dziw, że po stłumieniu manifestacyj w październiku 1861 roku, ci którzy się trzymali naszej, narodowej, konserwatywnej zasady i chcieli organizować porządny spisek, znaleźli wszędzie na prowincyi gotowe żywioły. W Warszawie robota szła trudniej, bo większa część młodzieży trzymała się z Jur-

gensem i Majewskim niby legalnej organizacyi komitetu białych, którego firmą był hr. Andrzej Zamojski.

Stronnikami ruchu czerwonego, powstańczego, była zatem głównie młodzież z zabranego kraju; pierwszym mianowicie założycielem komitetu powstańczego, mającego się stać później Centralnym, był poeta Apollo Korzeniowski z Ukrainy, szwagier Stefana Bobrowskiego; do niego przyłączyli się Ignacy Matuszewicz, także Ukrainiec i Kaliszanin Bolesław Denel, najczynniejszy ze wszystkich. Robota szła oporem, głównie z powodu opozycyi białych, i dopiero prześladowania rządowe, zwróciły wszystkich na spiskowy tor. Z polecenia tego początkowego komitetu i przywiezionemi przez Denela do Białegostoku czcionkami, drukowałem na plebanii z Hryniewickim po białorusku łacińskiemi literami rewolucyjną ludową „Hutorkę staraho dzieda“, mającą przekonać lud litewski, że tylko od Rzeczypospolitej polskiej dostanie „ziemię i wolność“. Po aresztowaniu Korzeniowskiego i wysłaniu jego, zdaje się do Wiątki, skład tego komitetu zmienił się kilka razy. Denel dostał się także do dziesiątego pawilonu i był zesłany do Sejn w Augustowskie, uważane niby jako Syberya Kongresówki; ale robota nie ustała. Jeździłem więc w sprawach komitetu do Grodna dla uwolnienia Franciszka Godlewskiego, zdaje się także członka komitetu, pędzonego w sołdaty — ale wyprawa się nie udała; potem do Wilna, dla porozumienia się z komitetem Wileńskim a za pośrednictwem Hieronima Kieniewicza, inżyniera przy kolei Niżnonowogrodzkiej, mojego kolegi ze szkoły Centralnej paryskiej, z moskiewską organizacyą „Ziemli i Woli“. Kieniewicz został później rozstrzelany w Kazaniu, za tak zwany „Kazański bunt“.

Ze wszystkich warszawskich kółek mniej lub więcej radykalnych, tylko czerwony komitet odznaczał się konsekwencyą w robocie, jaką taką energią, a głównie działaniem na całym obszarze zaboru rosyjskiego; inne więc grupy, zawiedzone w swoich nadziejach co do reform legalnych, i doprowadzone gburowatością i absolutyzmem Wielopolskiego do wściekłości, uczuły potrzebę połączenia się z czerwonymi, bo powstanie stawało się coraz bardziej nieuniknionem. Nie brak było i takich, którzy nie mogąc powstrzymać zbrojnego ruchu, chcieli go przynajmniej uregulować, by nie zszedł na drogę ludowego powstania, proponowaną przez Ludwika Mierosławskiego; do takich należał głównie Agaton Giller. Koncentracyę wszystkich kółek przyspieszyło dostanie się komitetu czerwonego pod wyraźny

wpływ Ignacego Chmielińskiego, terrorysty z usposobienia. On to na własną rękę urządzał zamach na Lüdersa, a później na Konstantego, on parł zawsze do natychmiastowego ruchu, nie chcąc się jednak poddać pod niczyj kierunek; walka była dla niego niezbędnym żywiołem i nie zważał nigdy ani na środki, ani na skutki. Zdaje się, że on wprowadził nazwę Komitetu Centralnego, a monogram używany przez nas aż do 1863 roku także pochodzi od niego: CMD. Chmieliński, Matuszewicz, Dąbrowski. Chmieliński sam był pochodnią tylko albo lontem, ale w połączeniu z Jarosławem Dąbrowskim stawał się potęgą.

W samej organizacyi czerwonej, wcale jeszcze nie karnej, wyłączny terroryzm Chmielińskiego wywołał silną opozycyę, z której skorzystał Dąbrowski, dla skoncentrowania wszystkich sił rewolucyjnych, karmazynowych, czerwonych i różowych, nie wyłączając nawet wcale bladej organizacyi Litewskiej, której Jarosław był niby reprezentantem w Warszawie, będąc zarazem organem wojskowego spisku Zygmunta Sierakowskiego. O ile pamiętam i mogłem się domyślać, głównemi kółkami w Warszawie w Maju 1862 roku były oprócz komitetu Chmielińskiego: 1) Koło akademickie (studentów szkoły głównej) pod kierownictwem Daniłowskiego: 2) uczniowie szkoły sztuk pięknych, prowadzeni przez Szachowskiego, mającego wpływ decydujący na warszawskich rzemieślników, ale nie chcącego dotąd się wdawać w szerszą akcyę; gorętsi, razem z Frankowskimi, Janem, Leonem i Stanisławem, przeszli do Chmielińskiego; 3) Mierosławszczycy, u których rej wodził między innymi Władysław Jeska z Biechońskimi, żądający głównie dyktatorstwa generała Ludwika, ale mało zajmujący się prowincyą, a jeszcze mniej zabranym krajem: 4) tak nazwani Sybiracy, pod przewodnictwem Agatona Gillera i Ruprechta, daleko umiarkowańsi, składający się z ludzi starszych, przeciwni wszelkim wybrykom, a w gruncie i zbrojnemu powstaniu, ale mający wpływ ogromny na warszawską inteligencyę, bo w ich szeregach było kilka znakomitości naukowych i cały zastęp niewieścich sił literackich. Oni stanowili przejście do Jurgenszczyków (tak zwanych od bardzo uczciwego, bardzo patryotycznego, bardzo umiarkowanego i niepraktycznego Edwarda Jurgensa), którzy nie należeli jeszcze do organizacyi białej, ale stanowczo byli przeciwni powstańczemu spiskowi. Nie wiem dlaczego ten właśnie odłam patryotów był Sodomą i Gomorą dla krańcowych, tak że przezwisko Jurgenszczyka było w ustach Chmielińszczyka skrajną obelgą. Perspe-

ktywa dziejowa pozwala mi się teraz domyślać, że nasi zapaleńcy, nie mogąc zarzucać tym umiarkowanym ani wstecznictwa, ani zdrady, a nie umiejąc rozumnie zwalczać ich oportunistycznych dowodów, czuli się wobec nich poniekąd upokorzonymi, co w ich gorących, ale nieuregulowanych mózgach budziło wstręt jak największy. Te właśnie braki dyalektyczne pozwoliły Jurgensowi odciągać od stronnictwa ruchu wiele młodzieży bardziej wykształconej, a przynajmniej mającej pretensyę do wykształconości, co oczywiście musiało szczególnie oburzać naszych zapaleńców.

Po za tymi żywiołami, mniej więcej rewolucyjnymi, była liczna, bogata, źle uorganizowana i bardzo mało czynna organizacya biała, którą tylko nietakt i, że się tak wyrażę, szalona zarozumiałość Wielopolskiego popchnęły później do wzięcia udziału w powstaniu — niestety! W początkach 1862 roku była ona tem szkodliwszą dla nas, że przyciągnęła do siebie Karola Majewskiego, eks-spiskowca, eks-mierosławszczyka, eks-głównego, ale ostrożnego aranżera pierwszych manifestacyj. Jeżeli zgadza się z prawdą to, co pisze teraz zacny Przyborowski, że Majewski już w końcu 1862 roku proponował Wielopolskiemu wydanie całej czerwonej organizacyi, w zamian za określone ulgi i reformy, nie dziw, że spiskowcy czuli nad sobą, jak miecz Damoklesa, wiszące ujawnienie swoich stosunków i starali się nie rozdrażniać szanownego pana Karola, chociaż był rzeczywistym kierownikiem głównych ich przeciwników. Zdaje mi się nawet, że mi wówczas o tem napomykano, ale lekce to sobie ważyłem, należąc z najbliższymi moimi do roboty prowincyonalnej, o której Majewski nie mógł mieć pojęcia. W każdym razie, ów prezes późniejszego Rządu Narodowego białego, należy istotnie do najwstrętniejszych moralnie osobistości całego ówczesnego ruchu.

Dla zorganizowania nieuniknionego już powstania, trzeba było z tych najrozmaitszych żywiołów stworzyć coś prostego, karnego i energicznego, nie dającego się łatwo zgnieść i mogącego się łatwo dopełniać w razie ubytków. Taka koncentracya odbyła się w Maju i Czerwcu 1862 roku w Warszawie, ale że byłem jeszcze wówczas w Białymstoku, ratując swoją kolejarską organizacyę od komitetu Wileńskiego, nie wiem dokładnie, jak się ta koncentracya odbyła. Co do mnie, musiałem walczyć zawzięcie z Wileńczykami, którzy chcieli koniecznie utworzone przez nas kadry wcielić do swojej organizacyi, przeciwnej na-

tychmiastowemu powstaniu. Nawet Walery Wróblewski, któregom był zaprzysiągł w Sokółce, a raczej w szkole leśniczej pod Sokółką, dał się odciągnąć przez grodzieńskiego Jundziłła i przestał słuchać Warszawy, zupełnie jak za czasów Jana Chryzostoma Paska. Tak samo postąpił Romuald Traugut w Brzeskiem i nie chciał powstać w Styczniu z nami. A opanowanie kolei Petersburskiej i Brzeskiego województwa było rzeczą najwyższej wagi dla powstania; dla tego później chciałem je przyłączyć do Korony, z wielką zgrozą Litewskiej autonomji. Dość, że walka wyszła na moją niekorzyść, a zbyt częste moje rozjazdy obudziły nareszcie czujność bardzo ślepawej moskiewskiej policyi. Musiałem uciekać z Białegostoku w Maju 1862 roku, ostrzeżony przez panią kapitanową od żandarmów i dowieziono mię towarowym pociągiem aż pod samą Pragę.

Znalazłem już w Warszawie gotową koncentracyę, bez wątpienia dzięki niezmordowanym staraniom Jarosława Dąbrowskiego. Poświęcił Chmielińskiego i odbyły się wybory nowego Centralnego Komitetu przez delegatów najrozmaitszych kół i kółek rewolucyjnych. Czy Chmielińskiego wyrzucili, czy też, jak mi opowiadano, sam nie chciał należeć do takiej „reakcyi“, tego nie wiem: dość, że go już w komitecie nie zastałem. Spadłem im jak z nieba dla dopełnienia, po długich sporach, nowego składu Komitetu z siedmiu członków. Dla prawicy (Giller) byłem serdecznym przyjacielem i współwyznawcą Bolesława Denela, przeciwnika terroryzmu, dla Dąbrowskiego kolegą Kieniewicza i znajomym jego petersburskich sztabowców (Heidenreicha, Zwierzdowskiego i innych), którzy często u mnie w Białymstoku przejazdem nocowali, nareszcie wydawcą „Hutorki“; dla Koskowskiego i innych czerwieńszych szwagrem Władysława Jeski, dobrym znajomym Frankowskich; dla wszystkich osobistością obeznaną z ruchem litewskim, naczelnikiem organizacyi przy kolei Petersburskiej i nielegalnym, to jest niczem nieskrępowanym (prócz szubienicy) działaczem. I tak, przyjęty jak najlepiej, nie pytając brodu, wlazłem od razu do nieznanych mi zupełnie stosunków warszawskich i ciężką wziąłem na siebie odpowiedzialność. Niema wątpienia, że moja nieświadomość była przyczyną wielu błędów i że powinienem był na to zwrócić uwagę, tem bardziej, że wychowany we Francyi, znałem kraj tylko z opisów i z przesadzonych przechwałek takich, jak ja, wartogłowów; tę samą wadę miał, między innymi, Ludwik Mierosławski. Gorzkie doświadczenie zapóźno mię nauczyło, jak

mało polegać można na szlacheckich tradycyach Polski, nawet na szlachecko-demokratycznych, a chociaż wyznanie ochroniło mię przynajmniej od katolickiego przekręcania dziejów, *ad majorem papae gloriam*, ileż musiałem przeżyć rozczarowań, ażem się przekonał, że nie tak było i nie jest, jak napisano nawet u Lelewela! Przytem wiedziałem doskonale o swoich osobistych usterkach lekkomyślności, dochodzącej do żartowania sobie ze wszystkiego, nieporządku w działaniu, łatwowierności nadzwyczajnej, przechodzącej przez reakcyę w zbytnią podejrzliwość, czasami lenistwie iście słowiańskiem, przybierającem często pozory niestanowczości — gdzież tu myśleć z takiemi wadami o kierowaniu całym narodem! A jednak zostałem siódmym członkiem Komitetu Centralnego i niech mi Bóg tego nie pamięta, bo mię za to porządnie wychłostał.

Po takiem serdecznem *mea culpa*, przystępuję do dalszego opowiadania. Moimi towarzyszami byli wówczas (jestem prawie pewnym, że się nie mylę po czterdziestu latach): Władysław Daniłowski, uczeń medycyny, Jarosław Dąbrowski, kapitan generalnego sztabu rosyjskiego, Agaton Giller, sybirak, literat, wydawca pism ludowych w Warszawie, Władysław Koskowski, urzędnik, Witold Marczewski, naczelnik ruchu przy kolei warszawsko-wiedeńskiej, Jan Wernicki, urzędnik pocztowy.

Nie było jeszcze wówczas zastępców: dopiero później naznaczono ich z konieczności, z powodu licznych aresztowań. Z tych wszystkich członków Komitetu Centralnego, działającego jako Rząd Narodowy, jest nas dzisiaj, o ile wiem, tylko dwóch przy życiu, a nigdy się już pewno nie spotkamy i to dziwna, że po więzieniach i katorgach tylu nas żyjących pozostało.

Pierwsza sprawa, którą się Komitet zajął, była organizacya spiskowa. Niceśmy nowego nie wynaleźli, a wróciliśmy do dawnego szeregowania karbonarskiego, przyjętego po r. 1830 we wszystkich spiskach rewolucyjnych Zachodniej Europy. Była to organizacya dziesiątkowa: dziesiątki, setki, z odpowiednimi dziesiętnikami i setnikami, potem okręgi, na prowincyi powiaty i województwa (najczerwieńsi, n. p. Lisikiewicz, chcieli koniecznie tę ostatnią nazwę odesłać do piekła), w Warszawie wydziały. Tajemniczość, przysięga, uzbrojenie się, mustrowanie, jak zwykle w takich wypadkach; nie będę wchodził w dalsze szczegóły, a wspomnę tylko, że Giller sobie niesłusznie przypisuje przeprowadzenie tej organizacyi, bo myśl mogła być przez

niego podana, ale o ile pamiętam, szczegółowe instrukcye opracowywali inni np. Władysław Koskowski. Zresztą, jakem powiedział, nie było to nic nowego, a przy wybuchu powstania okazał się fatalny brak, na który przez zbytnią łatwowierność nie liczyliśmy. Otóż dla zachowania tajemnicy, nie można było sprawdzić szeregowych, a musiano poprzestać na dowódzcach, tak, że w niezliczonych wypadkach dziesiątki istniały tylko w naszej wyobraźni, a gdy większa część tych sumiennych dziesiętników także nie stanęła, łatwo sobie wyobrazić, jak wyglądał nasz bilans w styczniu 1863 roku! Można było temu poradzić zaprowadzeniem tajemnych inspektorów, ale na tę myśl nikt nie wpadł, przez „grzeczność“ dla naczelników prowincyonalnych, a zresztą nie było na to funduszów.

Na tę robotę straciliśmy dość czasu, i została ona porządnie przeprowadzona jedynie w Warszawie. Wypadki szły, kraj burzył się, a nie mogliśmy się jeszcze zgodzić na dwie najważniejsze kwestye: na organizacyę wojenną i mianowanie naczelnego wodza, czyli dyktatora, i na stanowisko nasze wobec kwestyi włościańskiej. Do rozstrzygnięcia pierwszej kwestyi parli głównie Koskowski z Daniłowskim, w drugiej ja byłem głównym rzecznikiem. Ani Giller, ani Dąbrowski nie życzyli sobie dyktatury, a cały komitet bał się w ogóle sprawy włościańskiej jak ognia, pamiętając o tem, co się stało za Kościuszki. Jedynie ja, „wolny“ obywatel „wolnej“ Rzeczypospolitej, (chociaż przekształciła się wówczas w prawie absolutystyczne cesarstwo), nie mogłem zrozumieć, dla czego się tak ociągają z takiem prostem zadaniem, tembardziej, że Oleś sam bez nas groził, załatwieniem całego interesu; wszak we Francyi Robespier jednym zamachem zniósł całą własność szlachecką, a że nie umiał jej ochronić od szponów mieszczańskich — ha! to nas nauczy rozumniejszego działania.

II. Dziesiąty pawilon.

Kiedy okuty na rękach i nogach znalazłem się na cyrkułowym tapczanie między dwoma policyantami, którzy mnie nawet podczas snu pilnować mieli, i kiedy wszystko w strażnicy ucichło, mogłem się nareszcie zastanowić nad swojem położeniem. Złapali — czeka mię prawdopodobnie stryczek, ale oprócz

tego wszystko jest w porządku. Oprócz broni, absolutnie nic przy mnie nie znaleźli; książeczka z pieniędzmi narodowemi została się u bufetowej, hotelu Warszawsko-Wiedeńskiego; portmonetka poleciała przez mur do ogrodu Św. Łazarza; ostatnie instrukcye dla dziesiętników i innych członków organizacyi rzuciłem za piec w cyrkułowej kancelaryi, w której mię Drozdowski, blady jak ściana, zostawił na minutę samego przed okuciem. Więc żadnych poszlak nie mają i tylko ja, ja sam za swoją niezręczność będę odpowiadał. Było to w wysokim stopniu uspokajające, więc przewróciłem się z brzękiem na bok i usnąłem snem sprawiedliwych, na twardych i brudnych deskach policyjnego tapczanu.

Nie sądzono mi jednak było długo odpoczywać. Jeszcze przed północą obudzili mię policyanci i wyprowadzili na Nowy-Świat, gdzie sanie przed X-m cyrkułem czekały. Usiadł przy mnie komisarz, policyanci się z tyłu do sanek przyczepili i za kilka minut byliśmy przed ratuszem. Wprowadzono mię na górę i znalazłem się wkrótce w dość obszernej sali, gdzie zasiadała prześwietna Komisya śledcza. Nie widziałem nigdy tych szanownych panów, a ich fizyonomia nie miała na pozór nic strasznego. Dość młody człowiek, w pułkownikowskim mundurze z adjutanckiemi akselbantami, brunet o rysach dość przyjemnych, zdawał się przewodniczyć: był to pułkownik Sierzputowski, adjutant Jego Cesarzewiczowskiej Wysokości, ks. Konstantego. Drugi, starszy, tęgi oficer, w mundurze żandarmskim, miał o wiele nieprzyjemniejszy wyraz twarzy: był to osławiony Tuchołka. Ale dla mnie był on odrazu daleko mniej wstrętnym od tamtego, bo zaraz z jego akcentu, chociaż się bardzo płynnie po polsku wyrażał, poznałem, że to Moskal — a nie, jak ów drugi, renegat, wyrodny syn naszej wspólnej Ojczyzny. Nie pamiętam, jacy tam byli piszczykowie, bom był zły i zaspany, a główna moja uwaga była zwrócona na tych, od których zależał teraz los wziętego z bronią w ręku buntownika.

Na pierwsze zwykłe zapytanie: „kto ja taki?“ odpowiedziałem wręcz: „nie powiem“. Zaczęła się zwykła procedura, namawianie do szczerości i uległości we własnym moim interesie — ale chociaż Sierzputowski zaczął się mocno niecierpliwić, (Tuchołka milczał zasępiony) żadnej innej odpowiedzi odemnie wyrwać nie mogli. Wtedy żandarm otworzył jakiś gruby tom (był to tak dobrze później znany mi Swod Zako-

n o w, kodeks moskiewski, ale widać w polskiem tłumaczeniu) i zaczął:

— Powiedz pan przynajmniej jakiego jesteś pan stanu: radzę to panu jak najmocniej.

— A to dlaczego?

— Bo wobec prawa osoby należące do klas uprzywilejowanych zajmują zupełnie inne stanowisko.

Wyczytawszy z moich oczu, że nic z tego nie rozumiem, bo rzeczywiście francuzkie moje wychowanie, żadnych mi pod tym względem wskazówek nie dało, Tuchołka wyszukał jakieś paragrafy i zaczął czytać:

— Podług takiego i takiego paragrafu osoby nie należące do stanu uprzywilejowanego, a utrudniające uporem swoim i krnąbrnością wybadanie prawdy i przebieg sprawiedliwości, mogą być karane cieleśnie podczas śledztwa.

Zauważę tutaj, że żandarm mię oszukiwał, bo te ustępy Mikołajewskiego kodeksu zostały już przy Aleksandrze II odmienione, ale mnie to wcale nie interesowało: odpowiedziałem więc znowu:

— Nie należę do uprzywilejowanych stanów.

— Odprowadzić do kaźni!

I z brzękiem, na pół śpiący, zszedłem na podwórze ratuszowe i zostałem odprowadzony do brudnych, cuchnących komórek miejskiego więzienia od ulicy Daniłowiczowskiej; dobrze były mi znane, bom już tam siedział w tym samym roku za latarkę. Wprowadzili mię do ciasnej ciupki, o małem okienku; położyłem się na podłodze, dwóch policyantów koło mnie i chciałem znów zasnąć. Ale mi szanowni moi stróżowie długo tego nie pozwolili; widać, że surowo im zabroniono snu, więc dla lepszego czuwania zaczęli sobie bajki opowiadać — jak dziś pamiętam, baśń o Wyrwidębie i Waligórze — i jednodźwięczny recytatyw żołdaka (naszego, polskiego żołnierza!) długo odpędzał drzemkę od moich powiek. Alem był przynajmniej zupełnie zadowolony. Bo jak mi szło przedtem o to, ażeby dać znać o odkryciu kwatery na Widoku, i dlategom został złapany na Smolnej, tak teraz miałem jedynie na celu przewlekanie sprawy i zmylenie tropu; dotychczas udało mi się to jaknajzupełniej, podług najlepszej i wszędzie, jakem się później o tem na Wschodzie przekonał, używanej w rosyjskich więzieniach taktyki: z n a t j n i e z n a j u, w i e d a t j n i e w j e d a j u. Więc po pewnym czasie usnąłem sobie znowu najspokojniej.

*

Ile razy mię wówczas budzili, tego teraz nie pamiętam; na drugi dzień miało się zacząć ściślejsze badanie i wzywanie świadków. Sierzputowski groził i krzyczał, Tucholka wlepiał we mnie ponure swe oczy, myśląc zapewne: „z jaką przyjemnością kazałbym tego zucha wysiec!“ Ale wówczas taka metoda nie była jeszcze zupełnie dozwolona: wszak działo się to na Boże Narodzenie 1862 roku.

Pierwszy świadek, wystraszony, skulony, nie wiem dlaczego wezwany, bom go przynajmniej od roku nie widział, był mój kuzynek Fukier ze Starego Miasta: wyparł się, jak się należy, ja, rozumie się, nigdy takiego pana w życiu swojem nie spotykałem. Drugim był ojciec mojego szwagra, pan wice-prezydent miasta Warszawy, Norbert Jeska — bardzo mię to zasmuciło, bom widział, że już są na tropie. Powtórzyło się to samo wypieranie się, ale kiedy świadek wyszedł, Sierzputowski z przekąsem mi powiedział:

— Napróżno się pan wypierasz: pan radca tutaj pana znać nie chce, ale przyznał się, że pana zna — po co nas i siebie męczyć?

— Niech sobie tam mówi co chce, a ja go nie znam i on mnie nigdy nie widział.

Sierzputowski tracił widocznie cierpliwość, a zwróciwszy uwagę na spinki od mankietów, widoczne przy mojej gestykulacyi, zawołał:

— A proszę mi to zaraz oddać!

Odpiąłem więc z uśmiechem i oddałem mu złote spinki z Orłem i Pogonią, poczem został jak się należy spisany protokół, z któregoby się mogła potomność dowiedzieć, że aresztowany buntownik, nosił przy koszuli spinki z białym ptakiem na krasnym fonie, jak się Jaśnie Wielmożny eks-polak wyraził. Nigdym zabawniejszej komedyi nie widział i dałem to świetnej komisyi do poznania, co ma się rozumieć, jeszcze potęgowało ich zadąsanie się.

Tak się ciągnęło to zabawne badanie 23-go i 24-go Grudnia, bez żadnego skutku, bom zawzięcie odmawiał zeznań i podpisu, ale czułem doskonale, że długo to potrwać nie może, że wiedzą już, kto ja jestem, chociaż nie mają — i długo nie mieli — pojęcia o roli, którą w organizacyi odgrywałem.

Dość że kiedy mię, już niewiem po raz który, przyprowadzili do sali badań, nie dawszy mi się nawet ani razu wyspać kilka godzin, zobaczyłem tam nowego świadka, dobrze mi zna-

nego inżyniera Alfa Wrześniowskiego, pełniącego wówczas adjutancką służbę przy Namiestniku Konstantym. Siedział obrócony do mnie bokiem i nawet na mnie, zdaje się, nie spojrzał: wzrok jego uparcie był utkwiony w przeciwną ścianę. Ale na zapytanie Sierzputowskiego:

— Czy znasz pan tego człowieka?

Odpowiedział głuchym głosem:

— Znam — jest to Bronisław Szwarce.

Pierwszy raz zostało wówczas wymienione przy śledztwie moje nazwisko. A znał on mię rzeczywiście dobrze, bo u mnie nocował w Białymstoku, kiedy objeżdżał linię kolejową. Ja zaś:

— Z żadnemi mundurami znajomości nie mam i mieć nie chcę.

Wyprowadzili mię i jakie tam szanowny adjutant, niegodny syn znanego zaszczytnie profesora, dawał wskazówki co do mnie, tego nie wiem. Z przebiegu sprawy mojej, nic on tam bardzo obciążającego nie powiedział, bo mnie nawet nie badali, co do białostockiej organizacyi, a byłem znów zanadto ostrożnym, by wtajemniczyć wówczas takiego karyerowicza. Zresztą pan Alf dawno w grobie leży i nie musiał być znowu takim zapalonym stronnikiem rządu moskiewskiego, kiedy Berg o nim świadczy, że go wkrótce po powstaniu usunięto, jako podejrzanego o sprzyjanie miatieżnikom.

Wiedzieli zatem już z pewnością, że jestem zbiegłym i od dziewięciu miesięcy poszukiwanym byłym urzędnikiem kolei Warszawsko-Petersburskiej. Z tego do wybadania mojego pokrewieństwa z właścicielką domu przy ul. Widok N. 1575, gdzie została odkryta drukarnia Ruchu, była już bardzo blizka droga — i wówczas przypuścili szturm ostatni, który im się niestety udał.

Kiedy mię kilka godzin potem brudnego, niewyspanego, okutego wprowadzili przed oblicze sławetnego moskiewskiego żandarma i jeszcze sławetniejszego polskiego szlachcica i kiedym znów odmówił zeznań, wypierając się wszelkiej znajomości ze wszystkimi dotychczas przedstawionymi świadkami, Sierzputowski zawołał:

— Ale mamy takiego świadka, którego się pan nie wyprzesz!

Przeczułem jakąś biedę i rzeczywiście otworzyły się drzwi i pokazała się czarna, żałobna postać mojej biednej ciotki. Musiałem wyglądać bardzo nieszczególnie, bo wybuchnęła pła-

czem i rzuciła się ku mnie z wykrzykiem: „Bronisiu! Bronisiu“! Przyznam się, żem ją dość niegrzecznie odepchnął, wołając:

— Nie znam tej kobiety! usuńcie ją! nie znam jej!

Wyprowadzili szlochającą ciotkę i wówczas przystąpili do prawdziwego ataku. Pan pułkownik uderzył w sentymentalność, przedstawiając mi, że tylko z mojej winy cała moja rodzina jest aresztowaną, że nieszczęśliwe kobiety, matka wdowa z małoletniemi córkami wystawione są przezemnie na niezasłużone cierpienia i t. d. i t. d. Widząc, że zaczynam się wachać, pan pułkownik skorzystał z uzyskanej przewagi i zakończył patetycznym wykrzykiem:

— Nie zapieraj się pan! rozumiem, rozumiem pańskie położenie, ale daję panu szlacheckie słowo, *ma parole de gentilhomme*, że skoro pan podpiszesz ten protokół, pańskie krewne zostaną natychmiast uwolnione.

Dałem się złapać (niestety! nie po raz ostatni!) na słowo polskiego szlachcica, nie pomny, że jeszcze Mickiewicz powiedział:

Łotr wielki, jak się zwykle dzieje
Z Polakiem, co w moskiewskiej służbie zmoskwicieje,

i kazawszy sobie jeszcze raz powtórzyć jaśnie wielmożne przyrzeczenie, podpisałem własnem imieniem i nazwiskiem podany mi urzędowy arkusz.

A! gdybym był wówczas wiedział, że odkryto na Widoku drukarnię Ruchu, umieszczoną u Kłosowicza, pomimo mojego wyraźnego zabronienia! Gdybym był podejrzywał, że owa pieczątka C. N. K., święta dla narodu, mało miała powagi dla sztabu! Gdybym, jednem słowem, był rozumniejszym i mniej — żółtodziobym! Żaden Tuchołka by wówczas, przynajmniej przez dni kilka, przyznania odemnie nie wydusił i możnaby było jeszcze łatwiej wszelkie ślady zmylić. Ale i tak pozwoliłem naszym parę dni popracować nad usunięciem kompromitujących papierów, broni i innych bardzo pożądanych dla J. O. Margrabiego przedmiotów, a później mogłem się przekonać, że moje postępowanie jeszcze na długo ułatwiło przeprowadzenie zamysłu powstania, o prędkim wybuchu którego nie miałem zresztą w tej chwili najmniejszego pojęcia.

Odprowadzono mię do celi, ale nadzieja moja co do porządnego przecież wyspania się, nie miała się urzeczywistnić;

należała ona do takiej samej kategoryi, co uwolnienie moich sióstr, które się jeszcze długo miały męczyć w więzieniu, pomimo Sierzputowskiego, szlacheckiego słowa. Ledwom zdołał parę godzin zachrapać, budzą mię. Byłem przekonany, że znowu będę oglądał przyjemne oblicza Sierzputowskiego i Tuchołki, wiernopoddanego Rusina i jeszcze wiernopoddańszego karmazyna, alem się mylił. Wyprowadzono mię przed ratusz — sanie czekały; po tającym śniegu, w samą noc wigilijną 1862 roku, popędziliśmy leniwym kłusem na północ i wkrótce zobaczyłem stok Warszawskiej Cytadeli.

Ciemno było, mokro i brudno, gdyśmy dojechali do Konstantynowskiej bramy. Wpuszczono nas, przejechaliśmy około jakichś koszar, cerkwi i pomnika i stanęliśmy nareszcie u wrót osławionego dziesiątego pawilonu. Znałem go dobrze z opisów i czytanych książek i wszystkie legendowe katusze Mikołajewskich czasów stanęły mi w myśli — nie na długo, bo nie miałem czasu do zastanowienia się. Wprowadzono mię na pierwsze piętro i zamknięto tymczasem do jakiejś pustej komórki, gdzie mogłem się przypatrywać porządnej kupie rózg, niby mioteł związanych i napełniających kąt cały. Przyszedł jakiś urzędnik (był to dobrze mi później znany Morok-Żuczkowski) kazał zdjąć łańcuchy, rozebrano mię i obszukano, ale innej odzieży nie dano; potem zostałem zaprowadzony przez jakiś łamiący się pod prostym kątem korytarz do drzwi ciemnozielonych z maleńkiem okienkiem i wpakowany do dość obszernej celi z ogromnym piecem kaflowym, łóżkiem drewnianem i potężną piasecznicą, w której sterczała zapalona łojówka; sufit podpierały dwa wielkie drewniane słupy. Był to Nr. 57.

Odetchnąłem — bo zupełnie co innego dostać się do więzienia, nie wiedząc za co, po co i co się z tobą stanie, a co innego, kiedy z góry na wszystko jesteś przygotowany. Nie miałem co do siebie najmniejszej wątpliwości. Wzięty z bronią w ręku na ulicach Warszawy, po długiej obławie i rzeczywistej, choć niezgrabnej, pukaninie, wiedziałem aż nadto dobrze co mię czeka: szubienica, a w drodze łaski, rozstrzelanie. Żadnych tu złud, ani mamideł nie było, żadne wykręty tu nie pomogą; trzeba się tylko było postarać o zaszkodzenie jaknajwięcej wrogowi w więzieniu, jak przedtem w organizacyi, o danie jak najmniej poszlak i o uratowanie tego, co się da uratować. Dla skupienia sił i przygotowania do dalszego działania niema jak samotna cela; byłem więc bardzo wdzięcznym Wysokiemu Rzą-

dowi za to, że mi właśnie taką ofiarował, nie dając żadnych mniej lub więcej wątpliwych kolegów, i zacząłem odpoczywać sobie, spiąc jak najwięcej, o nic nie prosząc, odpowiadając odmownie na wszystkie zapytania i czekając co dalej będzie.

Pomimo niezłomnego postanowienia, ta zupełna samotność wkrótce strasznie zaczęła mi ciężyć i teraz rozumiem, że gdyby do niej dodać niepewność i zwątpienie, łatwo oszalećby można; miałem się później spotkać z wielu przykładami takiego smutnego duchowego upadku. Bo przez parę tygodni zostawili mię zupełnie w spokoju, nie wzywali, nie pytali i jedyna ludzka istota, która przerywała moje rozmyślania, był wstrętny, czarny, zasępiony Żuczkowski. Wchodził z brzękiem zasuw i zamków regularnie około południa z następującem przywitaniem: „jak *on* się ma? czy niema czasem głodu tu?“ Wykręcał się na pięcie i wychodził, nie czekając odpowiedzi. W nocy zaś zjawiał się z takim samym brzękiem po kilka razy żandarm dla obcierania łojówki wetkniętej w piasecznicy na podłodze, a która bez tej żandarmskiej pomocy wkrótceby się cała roztopiła — musiałem się dość długo przyzwyczajać do tego peryodycznego przerywania snu, przeciw któremu z resztą nie protestowałem: róbcie co chcecie, a ja z was kpię i wami pogardzam.

Teraz wiem, jaka była przyczyna tego postępowania łaskawej władzy. Wówczas właśnie odbywały się przygotowania do tej margrabiowskiej branki, która miała wywołać Styczniowy wybuch; mieli więc ważniejszą robotę, od wybadania jakiegoś warchoła, o roli którego w organizacyi nie mieli jeszcze najmniejszego pojęcia. Mogłem się więc przechadzać cały dzień po celi, uczyć się na pamięć pobudki i capstrzyka, które mi trąbiono regularnie pod oknem, szczelnie zamalowanem, odczytywać niezliczone napisy dawniejszych więźniów na ciemnobrunatnych kaflach piecowych i czekać — czekać — czekać. Takim sposobem — chociaż była to bardzo żmudna robota, bo wszystkie napisy były jakiemś żelazem przekreślone, odczytałem nazwisko Levita (Levitoux), który się dobrowolnie spalił, może w tej samej celi, bo nie mógł wytrzymać kutusz przy badaniu; księdza Ściegiennego (1845) i mnóstwo, mnóstwo innych. Wkrótce wynalazłem też sobie inne zajęcie. Nie miałem już tytoniu, ckliło aż fe, nowego nie dawali, prosić nie chciałem, więc zacząłem zbierać niedopałki papierosów, których moc wielką znalazłem na piecu i kręcić sobie cygaretki z resztek

półzwęglonych i z bibułki munsztuków; była to zawsze praca i ta jedynie może samotnego więźnia od rozpaczy uratować.

W tem zapukał ktoś z prawej strony do ściany, z tej strony, gdzie stał w kącie piec, wspólny dla dwóch cel: był więc sąsiad i zaraz wziąłem się do konwersacyi. Znałem pukany alfabet z pamiętników Gordona, ale byłem tak niewprawny, że sąsiad się niecierpliwił, i — donośnym głosem wołał mi litery, z odpowiednim pukanym znakiem; nie pomogły krzyki żandarmów, wkrótce porozumieliśmy się, napisałem sobie tabliczkę i odtąd rozmowa szła jak po maśle.

Sąsiadem moim była historyczna figura, bardzo niestety ujemnie zapisana w dziejach naszego powstania, Karol Majewski. Wiedziałem już o nim, jako o przeciwniku ruchu, o sekretarzu i moralnym kierowniku Komitetu Białych, miałem się więc na ostrożności, ale niepodobna, by podczas kilkomiesięcznej codziennej gadaniny sprytny ten i w najwyższym stopniu niesumienny renegat nie wypompował ze mnie wielu wiadomości i tego dotychczas odżałować nie mogę. Nie pokazało się jednak w śledztwie, by moje zwierzenia dostały się przez niego do moskiewskich sędziów; ale podczas krótkiej karyery Majewskiego, jako naczelnika Rządu Narodowego, skorzystał on bez wątpienia z mojej paplaniny, dla spaczenia i zahamowania ruchu. Jeźli jest prawdą, to co pisze o nim Przyborowski, że jeszcze w 1862 roku chciał on sprzedać Wielopolskiemu wszystkich przewódzców czerwonej organizacji, jego działalność wygląda, jakby kierowana przez rząd zaborczy: dostał się on bowiem wprost z Dziesiątego Pawilonu do steru powstania, podczas najsilniejszego jego rozwoju, wprowadził do Rządu żywioły wsteczne, a po przymusowem ustąpieniu, został ukarany jedynie krótkiem wygnaniem do bliższych gubernii Europejskiej Rosyi, potwierdziwszy przedtem, jak mi sam opowiadał w 1892 roku, niecne zeznania Oskara Awejdy i dostąpiwszy sławy denuncyanta pierwszego rzędu, na zeznaniach którego opierają się wszędzie moskiewscy historycy, a nadewszystko Berg: ilu zaś ludzi przepłaciło życiem jego zdradę, a w pierwszym rzędzie cały Rząd Traugutowski, niech opowiewiedzą inni — jam już był wówczas zamurowany i osobiście o tem sądzić nie mogę. Bądź co bądź, niecny ten nieboszczyk, może być już dzisiaj osądzony, jako jeden z najohydniejszych polskich renegatów XIX wieku, stokroć winniejszy od Awejdy, który działał głównie pod wpływem strachu i brudnego, zwie-

rzęcego samolubstwa, kiedy u Majewskiego spotykamy wyrafinowaną zdradę i zimne, bezserdeczne wyrachowanie.

Żem o tem wszystkiem nic wówczas nie wiedział, jest to rzecz bardzo jasna; nie znali go też ci, którzy po wypuszczeniu go z Cytadeli przez Moskali z powodu braku dowodów, powołali go do Rządu Narodowego. Sąsiad był dla mnie słodki jak miód, przedziurawił ścianę około pieca, by mi dostarczyć papierosów, pukał mi najświeższe wiadomości, bo miał „widzenia“ z krewnymi, jednem słowem choć do rany go przyłóż; a żem się nie dał złapać na jego wylaną serdeczność, dowodem tego, że to o czem ja tylko wiedziałem, albo najbliżsi moi, tego wcale niema, ani w jego zeznaniach, ani w trzechtomowych wywnętrzeniach się Awejdy — nie byłem więc znowu takim frycem. Pomimo to szkoda, wielka szkoda, że ten — bezecnik był moim sąsiadem; a może to sąsiedztwo nie było wcale przypadkowem?

Zjawił się przecie po dwóch tygodniach Żuczek z dwoma żandarmami i zaprowadzili mię na drugi koniec pawilonu do komisyi śledczej. Plan mój był już dawno ułożony, więc odpowiedzi były i zwięzłe i jasne i logiczne, a nadewszystko nikogo nie kompromitujące.

— Skądeś się pan wziął pod Nr. 1575 przy ulicy Widok?

— Przyjechałem wprost saniami z kolei Petersburskiej.

— Więc nie mieszkałeś pan w Warszawie?

— Nie; przyjechałem z prowincyi w dzień aresztowania i udałem się wprost do ciotki.

— A gdzieżeś pan był przedtem?

— Służyłem przy kolei w Białymstoku i uciekłem stamtąd w maju 1862 r., dowiedziawszy się, że mię aresztować mają.

— A przez te ośm miesięcy nie byłeś pan w Warszawie?

— Nie głupim; miano przecie rozkaz aresztowania mnie.

— Gdzieżeś więc był przez ten cały czas?

— Chciałem się dostać za granicę, ale nie mogłem; zostawszy nareszcie zupełnie bez środków, przyjechałem z musu do krewnych, by wyżebrać od nich jaką taką zapomogę.

— A gdzieś się pan przechowywał?

— Tego nie powiem; nie chcę przecie nikogo skompromitować.

— Pańskie odpowiedzi są wcale nieprawdopodobne — zeznaj pan lepiej szczerą prawdę.

— Jestto prawda najszczersza, a żem się do ruchu mięszać nie chciał, nie mogłem inaczej postąpić: nikogo zaś zdradzić nie chcę.

— A dlaczegoś był uzbrojony?

— Rozumie się, że dla obrony w razie aresztowania; jako obywatel francuzki chciałem przecie coûte-que-coûte wrócić do swojej ojczyzny, a wolałem zginąć, niż pójść na Sybir, albo do jakichś kazamat.

Ten cały romans o tyle był prawdopodobnym, żem rzeczywiście przyjechał z Pragi, że tam nająłem sankarza i że mogli sprawdzić, żem wychodził z dworca kolei. Niech sobie tam szukają tych tysięcy osób, które mię w Warszawie w 1862 roku znały — ale zdaje się, że mieli zawiele roboty w 1863 r., i to roboty ważniejszej, by się wdawać w takie szczegóły; dość, że żadnego świadka podczas całego śledztwa nie przedstawiono, a ja się ciągle tych samych odpowiedzi trzymałem. A może mieli inne zeznania i nie warto było ze mną polemizować? Wszak przyznawałem się do obrony czynnej, a tej było zupełnie dosyć, by mię posłać bez żadnych ceregieli — na szubienicę.

Nie warto się więc wdawać w szczegółowy opis całego śledztwa; wypiszę tylko główne jego zdarzenia, o ile dotyczą innych powstańczych działaczy.

Przy tem pierwszem badaniu, sędzia zauważył bardzo niehygieniczny stan mojej garderoby, bom przez kilka tygodni bielizny nie zmieniał i zapytał się ze zdziwieniem dlaczegom taki, z przeproszeniem, brudny?

— A bo mi bielizny nie dali.

— Dlaczegoś pan nie zażądał?!

— Nie wiedziałem, że można.

Zostałem więc przebrany w aresztancką bieliznę, co, przyznam się, pomimo jej szorstkości, niewymowną mi ulgę sprawiło — później dostarczano mi ją z domu.

Działo się to jeszcze w styczniu, a wkrótce miły sąsiad mi zapukał:

— Dziś powstanie!

Było to 22. stycznia 1863 roku...

Struchlałem na taką wiadomość... Prawda, żem parł do jak najprędszego powstania, wiedząc, że długo się ruch powstrzymać nie da — alem nigdy nie przypuszczał, że zacznie się ono w zimie, śród styczniowych mrozów. Dlatego właśnie uchwaliliśmy dyslokację, by skompromitowani członkowie organiza-

cyi większych miast, a przedewszystkiem Warszawy, ukrywać się mogli na prowincyi aż do wiosny. Ale nie wiedziałem o styczniowej brance, o tym iście piekielnym wymyśle Wielopolskich, uskutecznionym naumyślnie by wrzód pękł. Pękł on krwawo, ale niecny Margrabia miał go wkrótce przepłacić utratą władzy, rozsądku i życia...

Ha! stało się — sam Majewski stał się wkrótce strasznie zapalonym i z największą skwapliwością dostarczał mi wiadomości o tym iście niesłychanym w dziejach ruchu, który ogarnął w jednej chwili całą Kongresówkę — niestety! bez Litwy i Rusi! — i tak przestraszył dawno przygotowanego wroga z jego stutysięczną armją. Pan Karol zczerwieniał do niepoznania — i nie dziw: ogień był tak wspaniały, że można było przy nim niejedną karjerowiczowską pieczeń upiec. We mnie także otucha wstąpiła, otucha szalona, niewyrozumowana, ale oparta przecie na bardzo logicznych przypuszczeniach; wszakeśmy się umawiali (przez Gillera i Padlewskiego) z Mazzinim i Garibaldim, z Petersburskim rewolucyjnym komitetem i wiedziałem, że nam sprzymierzeńców nie zabraknie — któż mógł przypuścić, że ich nasz spadkobierca, Wysoki Dyktator i jeszcze Wyższy Rząd Narodowy czerwcowy będzie szukał zupełnie gdzieindziej, u zaborców Polski i u Europejskiej reakcji?

Wkrótce innego dostałem, że się tak wyrażę jak Orzechowski, rozmowcę. Raz w nocy, kiedy potężne chrapanie na korytarzu dawało znać o niezupełnie prawidłowej czujności żandarmów i stójek, szklanny brzęk doleciał do moich uszu i wkrótce rozpoznałem pukanie przy pomocy szklanki z tamtej strony korytarza. Niebezpieczne to było, bo łatwo się mogli stróże obudzić; jednak, zachowując wszelką ostrożność, wkrótce porozumiałem się z nieznanym dzwonnikiem: był to siedzący naprzeciwko mnie (od podwórza) Jarosław Dąbrowski.

Ścienna rozmowa szła dzień cały i tu nie można było tego uskutecznić. Ale chytry „Łokietek“, nieprzebrany w fortelach, miał inne na to sposoby. Wnet nauczyłem się prowadzić korespondencyę (przepraszam) przez miejsce ustępowe, i tu już żadna rezerwa potrzebną nie była. Siedział od sierpnia 1862 r., więc żadnych osobliwych wiadomości dać mi nie mógł, chociaż prowadził, jak się okazało, bardzo ożywioną korespondencyę z Warszawą, dostał nawet jakimś sposobem rewolwer — przekonałem się daleko później, że mi nie skłamał, bo ten sam pistolet odkryto długo po jego śmierci, w ośmdziesiątym jakimś

roku, przy przebudowaniu pieców w pawilonie. Dowiedział się odemnie o Majewskim, o wszystkich szczegółach przygotowań do powstania i o jednej sprawie, która jego samego blizko dotyczała, a którą w krótkości opowiem.

Podczas obławy uprzątnąłem wszystko, co przy mnie było, oprócz broni: pieniądze narodowe, sakiewkę z gotówką, ostatecznie instrukcye w cyrkule samym. Sakiewkę przerzuciłem na Smolnej dolnej, do ogrodu Ś-go Łazarza, a to jedynie dlatego, że zawierała oprócz pieniędzy, piórko zapieczętowane, dane mi dla wręczenia, nie pamiętam już komu, a w którem się znajdowała, jakem sądził, bo praktykowało się to wówczas, zawinięta w papier trucizna. Otóż policyanci, zaprzątnięci jedynie grożącym im ciągle moim rewolwerem, tego marnotrawstwa nie zauważyli, ale żyd sankarz zakarbował sobie sakiewkę w pamięci. Po mojem aresztowaniu, udał się Szmul, czy Icek do ogrodnika szpitala i zaczął go przyciskać z powodu znalezionej sakiewki, bo rzeczywiście ogrodnik, zwabiony niebywałym hałasem, stał pod murem i sakiewkę podniósł. Żyd dostał w kark, a za to zadenuncyował biedaka, który nie miał tyle sprytu, by pieniądze zabrać i sakiewkę zniszczyć; zguba dostała się więc do rąk JW. Witkowskiego, późniejszego arcyzasłużonego carowi prezydenta m. Warszawy, który się wówczas zajmował mojem badaniem. Przedstawił mi znaleziony przedmiot, opowiadając całą jego historyę.

— Anim widział, anim słyszał, to nie moje portmone.

— Ale pańskie: możesz pan nawet te kilkadziesiąt rubli odebrać.

— Wszak mówiłem panu Pułkownikowi, że przyjechałem do Warszawy goły jak bizun, nie miałem nawet na doróżkę: to nie moje pieniądze, inaczej nie oglądaliścieby mnie w tym przybytku.

— Dobrze — to nie pańska sakiewka: ale (wyjmując piórko) powiedz mi pan, co to może być?

— Absolutnie nie mam pojęcia.

— Ale jednak?

Djabeł mię za język pociągnął i palnąłem bez zastanowienia:

— A to wygląda jakby w tem był jakiś niebezpieczny przedmiot, n. p. trucizna; tak w aptekach bywa.

Na tem się skończyło. Ale po kilku tygodniach Witkowski mię znowu woła i zaczyna od wielkich, ale ugrzecznionych wy-

rzutów za to, że sobie zadrwiłem z sądu i z całej rządowej sprawiedliwości. Ponieważ widać było, że zupełnie nie rozumiem, raczył mi wytłumaczyć, że zwołano komisję, że przystąpiono z wszelką ostrożnością do odkorkowania strasznego piórka, bojąc się niebywałych wybuchów i znaleziono:

— Otóż ten bilecik.

Rzadkom się tak bawił jak w tej chwili. Wyparłem się jak należało, a asesor pana pułkownika, krzywy, później zasztyletowany Dąbrowski, raczył mię drażnić tem, że ten bilet ma z nim (Dąbrowskim) do czynienia i z Dęblińską twierdzą — była to rzeczywiście korespondencya między Jarosławem a oficerami Dęblińskiego garnizonu, alem o niej nie miał najmniejszego pojęcia, i dopiero później dowiedział się Łokietek odemnie o tym fakcie dla należytego użytku.

Jarosław tymczasem ułożył był z ówczesnym (marcowym) Rządem Narodowym cały plan napadu na Cytadelę i powstania więźniów; miało się to odbyć podczas Świąt Wielkanocnych ruskich, licząc na moskiewskie pijaństwo. Na dany znak mieli więźniowie wybić drzwi celi, rzucić się na wartę, a jednocześnie Jankowski z oddziałem miał podejść z Bielan aż pod samą Cytadelę. Co było rzeczywistem w tym planie, a co urojonem, tego nie wiem; dość że podciąłem ostrzem od scyzoryka panel drzwi celi, tak żeby widać nie było, ale żeby jednem kopnięciem nogi mógł wylecieć. Z tego, rozumie się, nic nie wyszło, i z wielkim żalem usłyszałem zadzwonioną wiadomość, że powstania nie będzie, bo Moskale podwoili ostrożność; ale podobno w same święta Jankowski doszedł do Bielan i tam była potyczka.

Zaczęły się konfrontacye: prowadzono mię kilka razy do innej komisyi, gdzie siedzieli na drugim końcu izby jacyś ichmościowie, których rzeczywiście nie znałem i których się wyparłem; co oni o mnie powiedzieli, tego nie wiem. Raz tylko zobaczyłem znajomą fizjonomię i tu nie obeszło się bez psikusa.

Wchodzę i widzę — Witolda Marczewskiego, kolegę mojego z Centralnego Komitetu. Oj źle! Biedak zdjął okulary i krótkowidzącemi oczyma przypatruje mi się, zmrużywszy najzabawniej biedne ślepie i z najpocieszniejszemi minami daje mi bez wątpienia do zrozumienia, bym tak samo uczynił i wyparł się go najsolenniej. Skusiło mię ukarać go za ten brak wiary i zaufania.

— Znasz pan tego pana?

— Zdaje mi się, żem go widział.

Głęboka konsternacja na twarzy Marczewskiego.

— Czy ten pan nie służy przy Wiedeńskiej kolei? Zdaje mi się, żem go spotykał na peronie (był naczelnikiem ruchu).

— Rzeczywiście tak. A znasz go pan?

— Nigdym do niego nie mówił: nie mam o nim najmniejszego pojęcia.

Po Marczewskim znać niewymowną ulgę.

— Aa! Dziękuję panu.

Wyprowadzają mię i wracam do celi mocno zadowolony z swojego żartu, ale zarazem nader strapiony nieszczęściem biednego kolegi, o losie którego natychmiast zapukałem do sąsiadów.

A było ich już dosyć. Oprócz Majewskiego i Dąbrowskiego, podemną na dole siedział ksiądz Rafał Drewnowski, w organizacyi ksiądz Rewolwer, do którego pukałem po łacinie, a to piętami, przechadzając się po celi, bo miał kompanów, którym zaufać nie mógł. Dalej był Abicht z Wilna (mister Dżon), sekretarz Towarzystwa Demokratycznego, który został powieszony w czerwcu 1863 r. za napad na pocztę w Garwolinie. Z Drewnowskim spotkałem się później na Syberyi, gdzie miał kilka lat temu życie zakończyć.

Dotychczas wszystko szło dla mnie jak najlepiej: ale miałem jeszcze przejść próbę najfatalniejszą ze wszystkich, wywołaną naszemi własnemi niesnaskami. Już zdaje się w kwietniu wołają mię do komisyi. Przechadzka należała do bardzo zajmujących, bo przez całą drogę słychać było w korytarzu ze wszystkich celek, i po prawej i po lewej ręce, najzawziętszą pukaninę; spoglądałem z uśmiechem na prowadzącego mię żandarma, a ten tylko ramionami ruszał, jakby chciał powiedzieć: niema sposobu zaradzenia temu. Wchodzę i widzę po mefistofelowskiej fizjonomji Witkowskiego, że musiało zajść coś ważnego.

Pan pułkownik wita się jak najgrzeczniej i wyciąga — „Czas“ krakowski.

— Otóż jeden z bliższych pańskich — wszak tak? — znajomych, umieścił tu pewną rzecz, którą nam pan może wyjaśni.

I pokazuje mi podpis mojego szwagra, Władysława Jeski.

Był to znany protest Mierosławskiego przeciw dyktaturze Langiewicza, stwierdzony, między innymi, przez Jeskę, jako b. członka Komitetu Centralnego, co zresztą nie było zupełną prawdą, bo był tylko przez krótki czas zastępcą.

Zostałem jak piorunem rażony, bo rzeczywiście trudno się było wypierać znajomości z własną siostrą i jej mężem — a oni wiedzieli, że siedzę w Cytadeli! Tak mię kusiło odpłacić im (a nie wiedziałem, czy są wolni czy w więzieniu) a przynajmniej napiętnować takie postępowanie, tembardziej że „Czas“ kłamał: Komitet Centralny obiecał wprawdzie dyktaturę Mierosławskiemu, ale pod warunkiem, że przyjedzie do kraju, a na taki warunek p. Ludwik się zgodzić nie chciał. Nie wiedziałem, że kilka dni przed powstaniem komitet Mierosławskiego wziął chwilowo górę i że wówczas uchwalono bez zastrzeżenia taką dyktaturę; zresztą dotychczas żyjący uczestnicy tych rokowań lepiej odemnie tę całą rzecz wyjaśnić mogą, jak i ci, którzy wysunęli przeciw Mierosławskiemu niefortunnego Marjana, za pomocą fałszerstwa i zdrady.

Musiała się malować na mojej twarzy ogromna złość, przy wielkiem zwątpieniu, kiedy Witkowski, skrzywiwszy podług swego zwyczaju głowę na bok, co uwydatniało jeszcze bardziej jego garb, syknął z miną zwycięzką:

— Cóż, panie ministrze? czy się teraz wypierać będziecie?

Był to ze strony takiego zręcznego badacza błąd okropny — oprzytomniałem też natychmiast i palnąłem z oburzeniem:

— Wolne żarty pana pułkownika!

Jak w kalejdoskopie zmieniła się momentalnie twarz żandarma i zaczął się z powagą i ubolewaniem litować nad moją nieszczęśliwą dolą i nad nieoględnością moich krewnych — ale cios był zadany i z najzimniejszą krwią odbiłem wszystkie jego zakusy, zapytując teraz, gdzie był mój szwagier, skąd się zdobył na takie oświadczenie i t. p. Niczegom się nie dowiedział, ale i pan pułkownik odszedł z nosem — a mogło być bardzo, bardzo źle, gdyby był mniej — dowcipnym. Dość, że wiedziałem, iż mają wiadomości jakie takie o mojej roli w organizacyi; i rzeczywiście, wiele, wiele lat później dowiedziałem się, że niektórzy z naszych bohaterów „śpiewali“ zawzięcie. Nie chcę wymieniać nazwisk, tembardziej że ich wówczas było bardzo nie wielu, a główne „śpiewanie“ zaczęło się dopiero za rządów Traugutta; o mnie zaś bardzo mało Moskale się dowiedzieli, aż do zeznań Awejdy; nie lubiłem bowiem popisywać się ze swoim tytułem i sto razy zaprowadzałem zbyt ciekawych interesantów, (n. p. nieboszczyka Krukowieckiego) jako podrzędna figura, do członka Rządu, który był w rzeczywistości moim podwładnym. Niech

więc ci śpiewacy, jeżli jeszcze żyją, zostają w spokoju, jeźli ich sumienie im na taki spokój dozwala.

Badanie zbliżało się do końca. Majewski znikł, został bowiem wypuszczony, wkrótce po zabraniu przez naszych pieniędzy z Banku Polskiego, a na jego miejsce zjawił się nareszcie jakiś nieznajomy, który, nietylko że odpukiwać nie chciał, ale zaskarżył mię przed władzą. Za zbrodnię pukania zostałem przeto przeniesiony do kazamat, pod samym wałem Cytadeli.

Nim się pożegnam z 57 numerem, muszę jeszcze opowiedzieć, żem się w nim dowiedział (zawsze od Majewskiego) o zasztyletowaniu Miniszewskiego, o skazaniu Abichta na śmierć i że miałem przez pewien czas widzenia z siostrami, które zostały wypuszczone, chociaż ich matka zostawała aż do maja pod kluczem. Chociaż te widzenia odbywały się w pokoju przedzielonym na połowę drucianą siatką, otrzymałem od nich bileciki, ołówki i t. d. i miałem już pewne wiadomości o rozszerzeniu się powstania, co rozumie się, bardzo dodatnio na mnie wpłynęło. Muszę jeszcze opowiedzieć, jak na Wielkanoc (5. kwietnia) obrzydliwy Morok-Żuczkowski najczulsze mi składał życzenia, spodziewając się (dosłownie), że „nasi zwyciężą“. Kogoż chciał ten kat oszukać taką obłudą? A może był szczerym i rzeczywiście gotów był z równą gorliwością katować dla Polski, jak dla cara?

Życie było też w ostatnich czasach bardzo znośne. Otrzymywałem z domu łakocie, owoce, Fukierowski węgrzyn, wyborne serdelki, oprócz bielizny i t. p., tak że wieczna Morokowska kasza poszła w kąt zupełnie; nauczyłem się też kupować stearynowe świece, tak że uwolniłem się od łojówki i od nocnych wizyt żandarma-obcieracza. A wiadomości o naszych „zwycięztwach“ pozwalały mi patrzeć z góry na Moskali, którzy mnie zresztą już prawie nie badali. Podpisałem protokół, w którym się wszystkiego wypierałem, oprócz broni i strzelania i byłem zupełnie przygotowany na wyrok śmierci.

W kazamatach wszystko się odrazu pogorszyło. Przeprowadzili mię tam 15. maja, a cela była na prędce sklejona z desek w otworze dla armaty, zakratowanym wprawdzie, ale bez ram i szyb, tak że gdyby nie wiosna, marzło by się tam w najlepsze. Za to wszystko było przepełnione jeńcami i komunikacja z sąsiadami była bardzo łatwa, bez pukania. Byli to zresztą wyłącznie jeńcy z niższej organizacji, albo z pola bitwy, i od nich mało czego się dowiedziałem.

Niedługo tam przebywać miałem: 19. maja wyprowadzają mię z podziemia i odwodzą na drugi koniec pawilonu. Wszedłem do jakiejś sali, gdzie zasiadało kilku mundurowych panów. Niedługo trwała procedura. Przeczytano mi po rosyjsku wyrok. Chociem wówczas po moskiewsku wcale nie umiał, zrozumiałem jednak o co idzie. Za opór zbrojny, za krnąbrność podczas śledztwa, za uparte odmówienie zeznań zostałem skazany na śmierć „czrez powieszenie“.

— Nie macie nic do powiedzenia?

— Nie, panie.

Ukłoniłem się jak najgrzeczniej i powędrowałem nazad do kazamat, nader dumny ze swojej niezłomności. Ale krew nie woda: ledwom wszedł do celi i sporzjałem w lusterko, spostrzegłem, że jestem blady, jak papier listowy. Krew mi zaraz uderzyła do twarzy ze wstydu i złości, chociaż mogę zaręczyć, że wyrok na mnie żadnego moralnego nie zrobił wrażenia. I nic dziwnego — już dawno byłem nań przygotowany! Ale gniewało mię to niewymównie, żem zbladł pomimo woli, dlatego zaraz oznajmiłem żartami całej kazamacie, że mają nowego kandydata na szubienicę: rozumie się, że Warszawa się o tem natychmiast dowiedziała.

Dwa dni później, 21. maja, opuściłem kazamaty i zostałem przeniesiony do numeru 75, którego wykwint mię zadziwił: była to bowiem jedna z celek przeznaczonych dla skazanych na śmierć i wiadomo, że wszystkie rządy starają się osłodzić takim osobnikom ostatnie chwile ich przebywania na ziemi. I wikt był daleko lepszy i wygody daleko większe — niech żyje urzędowa ludzkość! Pierwszy raz też zostałem wyprowadzony na spacer na dziedziniec pawilonu, a to przy następujących okolicznościach.

Otwierają się drzwi celi i wchodzi — kapucyn. Nie zdziwiła mnie bynajmniej taka wizyta, bom wiedział, że muszę być na śmierć przez duchowną osobę przygotowany, ale myślałem, że szanowna policya jest lepiej o mnie poinformowana. Wytłumaczyłem więc księdzu, żem nie katolik i po odmówieniu kilkunastu „Ojcze nasz“ wdaliśmy się w polityczną rozmowę. Kapucyn był pełen zapału i przy tej sposobności ów chochlik, który ciągle mię popycha do jakichciś wybryków, szepnął mi następujące zapytanie:

— A jakże ksiądz Dobrodziej może namawiać do powstania przeciw ustalonej władzy? Wszak pochodzi ona, podług

waszej religii, od Boga, i trzeba oddać Cesarzowi co cesarskie.

— Prawda, mój synu, ale skoro jest nadzieja powodzenia i ustalenia władzy lepszej, to bunt przestaje być zbrodnią.

O święty Ignacy! jak głęboko zakorzeniła się twoja kazuistyka, kiedy mogła spaczyć zmysł moralny takiego naiwnego prostaczka, jakim był bez wątpienia ten braciszek! I czemu się dziwić, że po dziś dzień taka nauka przewodzi mądrym naradom teraźniejszych wielkich naszych polityków — ad majorem, już nie wiem czyją gloriam! Spieszę dodać, że ów poczciwy księżulo wytrwał, na złość Lojoli, nawet gdy już nadziei powodzenia nie było i dostał się z wielu innymi na Sybir.

Grzeczny Żuczkowski pozwolił nam prowadzić dalszą dysputę na świeżem powietrzu i wyprowadzili nas na dziedziniec. Wszystkie okna cel były zasłonięte owemi drewnianemi pytlami, które wpuszczają światło tylko z góry i miały mię później zachwycać w Szlyselburgu; ale na pierwszem piętrze, tam gdzie był mój dawny korytarz, pokazała się nad pytlem ręka, kiwając mi ostatnie pożegnanie; domyśliłem się, że to ręka Jarosława Dąbrowskiego.

Wiedziałem więc, że mam tylko parę dni życia i zażądałem księdza, ale swojego, kalwińskiego. Obiecali mi, a przedtem pozwolili się pożegnać z rodziną. Przyszły siostry, przyszedł stryj, i jestem im niewymownie wdzięczny, że pomimo wyrazu głębokiego żalu na twarzach, nie było ani śladu łez i rozpaczy; wiedzieli bowiem, że było by to dla mnie największą obrazą. Krzątano się jednak wiele w mojej sprawie, bo parę godzin potem zawitał do mnie (zawsze za drucianą siatką) konsul francuzki. Odrzuciłem nasamprzód podaną mi myśl o udanie się do łaski carskiej i zaprotestowałem jeszcze raz przeciw oskarżeniu o należenie do spisku, prosząc konsula, by się wstawił u mojego rządu; bo nie mieli prawa skazywania mnie za to na śmierć, ponieważ żadnych a żadnych dowodów nie mają.

Obecny czynownik (zabawna golona figurka z ogromnemi faworytami) odparł natychmiast skwapliwie (po francuzku):

— Ale nie jest to wcale powodem wyroku! Skazali pana za zbrojny opór.

— Kiedy tak, nie mam nic do powiedzenia — a o łaskę prosić nie będę.

Wszystko było więc załatwione. W drugi dzień Zielonych Świąt (25 maja) zjawił się mój superintendent, ksiądz Spleszyń-

ski. Przyjąłem z należytą skruchą komunię Św. i przyznam się, żem się przy tem rozczulił — były to pierwsze i ostatnie moje łzy w Dziesiątym Pawilonie.



ALOIZY TELEŻYŃSKI.

Lud ruski na Wołyniu.

Kiedy w Kongresówce dano hasło do zbrojnego powstania, kiedy polała się krew polska strumieniami, kiedy słowa w czyn zamieniono, a o cofnięciu się mowy już być nie mogło, wtedy i pozostałe dzielnice Polski, Litwa, Wołyń, Podole i Ukraina wzięły się do pracy nad sprawą narodową.

Narodowy Komitet kijowski — ze względu na miejscowe, wyjątkowo trudne warunki działania — delegował w pomoc komisarzom powiatowym, młodych ludzi, chętnych i szczerze sprawie oddanych, którzy wedle otrzymanego rozkazu, po przybyciu na miejsce przeznaczenia, obowiązani byli zameldować się komisarzom i od nich stosowne do dalszego działania, odebrać instrukcye i dyspozycye.

W liczbie tych pomocników byłem i ja, któremu Komitet naznaczył powiaty: zasławski i krzemieniecki. Chętnie przyjąłem te miejscowości, temwięcej, że ponieważ rodzice moi dzierżawili przedtem miasteczko Rachmanów z przyległościami, położone w powiecie krzemienieckim, gdzie się urodziłem i wychowałem, okolice więc i lud tamtejszy znałem doskonale, co mi naturalnie czynności wiele ułatwiało.

Spełniając rozkaz Komitetu, wyjechałem naprzód do Zasławia, gdzie matka moja czasowo zamieszkała, pewnym będąc, że komisarz powiatu zasławskiego odebrał jednocześnie stosowne zawiadomienie, od którego (po zameldowaniu się) otrzymam pewne wskazówki działania, aby nie tracić czasu wtedy, kiedy już krew się leje.

Łatwo pojąć, co się działo ze mną, kiedy po dość niebezpiecznej podróży, unikając dróg więcej uczęszczanych, by nie spotkać oddziałów moskiewskich, które już po swojemu zaczynały być czujne, wciągając do pomocy lud miejscowy, przybyłem do Kośkowa, miejsca zamieszkania p. komisarza.

Ten, dowiedziawszy się o celu mego przybycia, zrobił wielkie oczy, ruszał ramionami, a oświadczywszy następnie, że o niczem nie wie, że żadnych zgoła co do tego nie otrzymał dyspozycyi od Komitetu, radził czekać, aż rozkazy nadejdą; tymczasem mogłem robić, co mi się podoba.

Oburzony, podobnem lekceważeniem sprawy, pożegnałem, niewinnego zresztą w tym razie p. komisarza, siadłem na bryczkę i zaleciwszy woźnicy, (który w pewne szczegóły mojej podróży był wtajemniczony, a przytem posiadał zupełne moje zaufanie) baczność i ostrożność, ruszyłem do miasteczka Szumska, leżącego w powiecie krzemienieckim. Do parafii w Szumsku należało między innymi miasteczko Rachmanów.

Umyśliłem w Szumsku dłużej się zatrzymać, i w oczekiwaniu nadejść mających rozkazów z Komitetu Kijowskiego, (a jakie podobno wcale nie nadeszły) zacząć działanie na własną rękę. Pewny byłem przychylności ze strony ludu i obywatelstwa, a to z tego jeszcze względu, że w tych stronach żyła dotąd pamięć o moim ś. p. ojcu, oficerze wojsk polskich, uczestniku walk narodowych z roku 1831. używającym szczególnego poważania tak u okolicznego ludu, jak sąsiadów ziemian. Z Szumska czyniłem wycieczki w różne strony powiatu, w czem był mi bardzo pomocnym czcigodny ksiądz wikary z Szumska, wtajemniczony w sprawę, takowej szczerze oddany, a mnie wielce przychylny.

W onych gorących czasach łatwo bardzo było — bez winy lub zasługi — zyskać opinię człowieka niepewnego, niebezpiecznego, po prostu szpiega, albo znów gorącego patryoty. Co do mnie, to nie zwracając uwagi na zasłyszaną opinię, kierowałem się własnem zdaniem, tak w wyborze ludzi, jakoteż środków działania, i ani razu się nie zawiodłem —

Między innymi, w tych okolicach nie cieszył się dobrą opinią organista w Szumsku.

Człowiek ten, aczkolwiek prosty, był jednak w gruncie uczciwy, prawy i narodowej sprawie szczerze oddany. Że zaś stykał się dość często z miejscową policyą, uchodził w okolicy za szpiega. Bez względu na to, zbliżyłem się doń, wtajemniczyłem go w moje posłannictwo i czynności, a zarazem wezwałem do wspólnej narodowej pracy. Chętnie na to przystał, przyrzekł swoje współpracownictwo solennie; przyrzeczenia tego uczciwie dotrzymał, niejedną oddał mi przysługę, w niejednej okazyi zawdzięczam mu powodzenie. Wiem, że w jakiś czas potem, ci

co mu nie ufali i za niebezpiecznego ogłaszali, musieli — ze wstydem — opinię o nim zmienić. Faktów podobnych w owym czasie spotkałem dosyć; dla charakterystyki jednakże dość będzie, gdy się na jednym, zacytowanym wyżej — ograniczę.

Pewnego wieczora ów właśnie organista daje mi znać, że tej nocy mam być aresztowany. Naturalnie trzeba było temu przeszkodzić. To też nie namyślając się, każę zaprzęgać, wózek wyprawiam po za miasto na drogę wiodącą do Rachmanowa, zalecając woźnicy zatrzymać się w wskazanym punkcie i czekać mego przybycia.

W towarzystwie zacnego księdza wikarego, udałem się niby na spacer; przeszliśmy groblę, na której już stały straże chłopskie, które nas wszakże nie zaczepiły, a po niedługim czasie znalazłem się przy czekającym mnie wózku. Pożegnawszy ks. wikarego, ruszyłem drogą do Rachmanowa.

Z pewną radością przekroczyłem próg starego dworu, w którym przyszedłem na świat, stanęły mi w myśli chwile mego dzieciństwa, tysiące wspomnień cisnęło się do głowy i serca. Jakże wiele tutaj zmieniło się od lat kilku, wszyscy i wszystko...

W Rachmanowie mieszkał rządca p. D. przybyły tu z Królestwa. Z dawnych sług i domowników pozostała tylko dawna nasza kucharka Marysia.

Pana D. pierwej nie znałem; musiałem mu więc dać się poznać, a w następstwie pozyskać dla sprawy narodowej, co mi przyszło i prędko i łatwo. Z Marysią jednak, która — jak i lud okoliczny — wiedziała doskonale o mnie i o celu moich po powiecie wycieczek — trudniejszą była sprawa. Już na samym wstępie do dworu, przywitała mię bardzo niechętnie, wyrażając bez ogródki, że nie może pojąć, aby syn tak zacnej matki, mógł zajmować się niegodziwemi sprawami, trzymać z Lachami, których ona nienawidzi, i gdyby mogła — w łyżce wody by potopiła. Musiałem tego wszystkiego wysłuchać, a dopiero gdy cokolwiek ochłonęła z gniewu, zabrać się do tego, żeby ją na swoją stronę przeciągnąć. Miałem kilka godzin mozolnej pracy, używałem całej siły mej wymowy, aby ją przekonać; ledwie nareszcie udało mi się wytłumaczyć całą sprawę — i upartą Marysię trochę lepiej dla Lachów i dla siebie usposobić.

Nawrócenie Marysi bądź co bądź uważałem za konieczne. Obawiałem się bowiem, aby mi nie chciała wyświadczyć nie-

dźwiedziej przysługi, i ratując moją duszę „zatraconą“ nie zdradziła przed chłopami i Moskalami.

Uspokojony nareszcie, co do zachowania się Marysi, — po napisaniu i wysłaniu niektórych rozporządzeń, udałem się na spoczynek, zaleciwszy woźnicy przygotowanie się do podróży w powiat i do Krzemieńca wczesnym rankiem.

Wyjazd z Rachmanowa był koniecznym. Wszedłszy bowiem w stosunek z generałem Wysockim, organizującym w Galicyi wyprawę, celem wkroczenia na Wołyń, musiałem teraz rozpocząć działanie na szerszą skalę, by poczynić odpowiednie przygotowania i do wkroczenia oddziału i do zasilenia tegoż ochotnikami miejscowymi.

Rano — nazajutrz około godziny trzeciej, wpada p. D. do mego pokoju, oznajmiając, że chłopi otoczyll dwór dookoła, i nie pozwalają wydalać się nikomu.

Nadto czyni mi p. D. wymówki, że bytnością moją w Rachmanowie naraziłem go na wielką odpowiedzialność, siebie zaś na to, że mię chłopi zwiążą i wydadzą Moskalom, że jego zaaresztują i do Żytomierza odstawią.

Tłumaczę mu jak mogę, uspokajam tem, że mnie jedynie złe spotkać może, że odpowiedzialność całą biorę na siebie, jemu zaś włos z głowy nie spadnie. Zaklinam go tylko, aby — gdy ja z chłopami będę rozmawiał, wcale się nie pokazywał, a zarazem aby — niepostrzeżenie — kazał memu woźnicy konie zaprzęgać. Z panem D. uspokoiłem się już, gdy z drugiej strony napada znów na mnie „poczciwa“ Marysia z płaczem, wyrzekając na mój, na swój los, na niepoczciwych „buntowników“ i t. p. Perswazye moje nie odnoszą skutku; przed „wymowną“ Marysią ledwie do słowa przyjść mogę; tłumaczę, proszę, grożę nareszcie, że jeśli się nie uspokoi, to pana D. ją i siebie oddam chłopom i niech się dzieje co chce. Ostatnim argumentem trafiłem do celu — Babina uspokoiła się, wcisnęła w jakiś kąt dworu, przyrzekając, póki się wszystko nie uspokoi, nie pokazywać się wcale. Tego tylko właśnie pragnąłem.

Widząc, że konie zaprzężone, że woźnica rozumie położenie, postanowiłem wyjść do gromady. Jakoż otwieram drzwi, staję w ganku, i rzucając śmiałe spojrzenie na chłopów, dwór otaczających, witam: „jak się macie dobrzy ludzie“.

— „Nasz panycz, — nasz panycz“ odzywają się głosy z gromady, niektórzy zdejmują czapki, powtarzając „nasz panycz“.

To przyjazne usposobienie gromady, dodaje mi otuchy. Mój woźnica podjechał tymczasem bliżej, z kozła spogląda na mnie i widzę z jego fizyognomii, że pewnym jest wydostania się z pomiędzy chłopów, a tej pewności i ja nie tracę.

— Słuchajcie dobrzy ludzie — odzywam się — nadszedł czas zrobienia obrachunku z rządem moskiewskim. Za stoletni przeszło ucisk, niewolę, za prześladowanie świętej wiary katolickiej, za zdzierstwa czynowników, za zabrane nam cerkwie i kościoły, za mordowanie księży, panów i chłopów, za Sybir i katorgę, za hańbione nasze mołodyce, za pędzonych w sołdaty mołojców, za nawracanie knutem i pałkami do prawosławia, za moskiewskich brodatych popów, których rząd nasłał dlatego, by ostatnią kopiejkę z biednego chłopa wyciskali, zagrabiali, za te wszystkie bezprawia dziś im zapłacim. Ich kupy, ale i my mamy siłę.

Chłopi słuchają w milczeniu, na wspomnienie cerkwi zdejmują nawet czapki. Korzystam z tego poważnego nastroju i mówię dalej:

— Tam het za Bugiem, nad Wisłą, w Królestwie Polskiem, wre już bój z Moskalami, leje się krew polska; do bitwy stanął i pan i rzemieślnik i chłop z kosą. Moskwa drży, choć ma wojsko, karabiny i armaty. Więc i nam trzeba się łączyć, i nam czas upomnieć się o nasze krzywdy. Mamy i my już nasze oddziały zbrojne, silne i liczne około Kijowa, Dubna, Białej-cerkwi i innych. Każdy dzień dostarcza nowych ochotników do boju z Moskalami. Musimy pobić Moskala, musimy zwyciężyć. Kochani, dobrzy ludzie słuchajcie: tym co z nami pójdą i trzymać z nami będą, wywalczymy wolną ziemię, na tych zaś coby nas zdradzić i Moskalom zaprzedać chcieli, mamy siłę, na zdrajców mamy szubienice! Cieszę się, żem was tu spotkał, cieszę się, że mogę wam powiedzieć, co się dzieje, a powiedzieć prawdę. I Moskale będą wam o tem opowiadać, — będą was bałamucić. Powiedzą wam, że: pany się zbuntowały przeciwko carowi, który chce was obdarzyć wolnością, a pany na to nie pozwalają. Aby was dalej gnębić, będą was namawiać przeciwko Lachom, a może nawet brodate popy moskiewskie rozdawać wam będą, w cerkwiach poświęcane noże, byście rżnęli buntowników. Strzeż was Bóg! Nie słuchajcie słów nieczystego ducha, nie kalajcie waszych rąk krwią bratnią. Wy dobrze wiecie — kochani — czy Moskalom wierzyć można. Ufajcie temu, który się między wami urodził, i pośród was wychowywał, a który

teraz daje wam radę z całego serca. Wierzcie słowom, „waszego panycza“. A teraz dobrzy ludzie, mnie czas w drogę. Żegnam was i Bogu polecam, niech was ma w swojej opiece, a pamiętajcie o „waszym panyczu“.

Tymczasem mój woźnica podjechał; uścisnąłem ręce kilku bliżej stojących, siadłem na bryczkę, gromada się rozstąpiła. Opuściłem Rachmanów. Lud któremu nakazano mię osaczyć i ze dworu nie wypuścić, nietylko rozkazu nie posłuchał, ale mię serdecznemi pożegnał słowy: z Bogiem — szczęśliwej drogi!

Tu powiedzieć muszę, że owe bandy chłopskie — często uzbrojone w kosy, widły, drągi itp. zbierano po wsiach na rozkaz „sprawnika“ (naczelnika powiatu). Gromada miała obowiązek otaczać dany dwór, lub miejscowość i pilnować, pod najsurowszą odpowiedzialnością — aby nikt literalnie nie mógł się wydostać po za ten żywy łańcuch, dopóki nie nadejdzie oddział wojska, lub kozaków i nie dokona rewizyi.

Lud wołyński, lubo względem panów i wogóle Lachów podejrzliwy i nieufny, wrogo przecież wobec Moskwy był usposobiony; nie wszędzie i nie zawsze ochotnie zbierał się w nakazane bandy tak, że częstokroć kozactwo spędzało ich nahajkami, lub nie chcąc drażnić, patrzono na tę niechęć przez szpary.

Pamięć na dawny ucisk, na straszne prześladowanie Unitów, zabieranie cerkwi i kościołów, obsadzanie parafii popami sprowadzanymi z głębi Rosyi, nie znającymi miejscowego języka, dzikich obyczajów, popami, którzy nawrócony — ogniem, mieczem i knutem — na prawosławie lud, obdzierali, grabili, — nie wygasła dotychczas i można na pewno twierdzić, że przyjdzie kiedyś czas, gdy ten lud upomni się o swoje prawa, i pomści dawne krzywdy!

Ślepców dziadów-lirników dziś niema. Niema tych, co chodzili od wsi do wsi, i przygrywając na lirze, śpiewali to o sławie Ukrainy, to przepowiadali przyszłe rzeczy, i przypominali w pieśniach okrucieństwa Moskali. Lud wszędzie słuchał pieśni, marzył o wolności i o sławie, i niby patrzył jak:

Moskowskie generały
Cerkwi Boży obdirały,
Brały strybło, brały złoto,
I woskowy swiczy...

Dziad śpiewał, lud słuchał, a to co od ślepca się nauczył, dzieciom i wnukom powtarzał.

Spory już kęs drogi ujechałem, kiedy (jak mię później wieść doszła) w Rachmanowie zjawili się kozacy. Gromada zapytana, czy nikt z dworu nie wypuszczony — odpowiedziała: „ni dusza żywa“, a dokonana rewizya, znalazła jedynie we dworze pana D. i staruchę Marysię. Łowy się nie powiodły, dzięki poczciwej gromadzie, która też niebawem się rozeszła, kozactwo pociągnęło dalej; p. D. i Marysia uszczęśliwieni, wyjrzeli na świat; a jam pędził w dalsze strony, od dworu do dworu, nawołując i zachęcając do czynu.

Na zakończenie, muszę nadmienić, że swobodny wyjazd z Rachmanowa zawdzięczyć mogę jedynie znajomości miejscowego ludu, jego natury i charakteru. Lud wołyński, jak wogóle lud polski, jest więcej skryty, nieśmiały i że się tak wyrażę wstydliwy; woli zawsze gdy jest zaczepiony, niźli miałby sam zaczepiać. W tym wypadku byłem prawie pewny ocalenia, bo wiedziałem, że gdy wyszedłszy do gromady zapytam, w jakim celu się zebrała, kto ją przysłał, i jakie ma rozkazy, otrzymam odpowiedź, jakiej następstwem będzie, że nie ruszę ze dworu i będę wydany Moskalom. Przez zachowanie się zaś, tak jakbym o niczem nie wiedział, i niczego się nie domyślał, rzecz wzięła zupełnie inny obrót. Gromada nie przygotowana na to, co odemnie wprost usłyszała, wolała zrzec się mego aresztowania, jak sama wystąpić, i przyznać się wręcz do tego, że ma rozkaz strzeżenia mię i nie wypuszczania ze dworu. Na to nie pozwalała ta właśnie nieśmiałość, o jakiej wyżej wspomniałem.

Lwów w styczniu 1903 r.



URBAŃSKI.

List powstańca z obozu.

Wielmożny Pan Władysław Bielański, urzędnik przy Towarzystwie ubezpieczeń ogniowych
na ulicy Sławkowskiej w Krakowie (sklep z naftą).

Dnia 7. sierpnia 1863.

Najukochańszy Władziu!

Nie wiem, czy pierwszy list odemnie otrzymaliście, nie było jednak nic w nim ciekawego, dziś jednak mogę podzięko-

wać Bogu, że mi pozwala żyć i o sobie dać drogiemu Przyjacielowi wiadomość.

Po drugim dniu marszu naszego z pod Chełma, stanąwszy w Wychawce i chcąc kilka wolnych chwil nie zaniedbać, muszę Ci napisać, jak bitwa nasza pod Chełmem wypadła.

Oddział nasz jest pod nazwiskiem Ćwieka, złączony z oddziałem Eminowicza i Ruckiego, wszedł dnia 5. sierpnia o godzinie 9 rano do Chełma, nie wypocząwszy, ani posiliwszy się, dostaliśmy wiadomość o nadejściu wroga, pocieszyliśmy się jednak tem śniadaniem, wyszliśmy o 5 wiorst drogi naprzeciw przywitać, w Drybutyczach zaczęła się salwa, Moskale mieli dobrą pozycyę, zostali jednak odparci, i ponownie 5 razy się upierali jednakowoż nadaremnie, ani wieś, ani las, ani góra nic im nie pomogła, goniliśmy ich 12 wiorst, nasi mieli stratę 12 zabitych, 42 ranionych; Moskali 50 rannych spalili w karczmie a na 11 wozach powieźli jeszcze ranionych, których jeszcze uwieść zdołali, bez czapek, bez lanc pouciekało psiarstwo do Krasnostawu, a my po 5 godzinnej walce udaliśmy się zaraz w drogę, gdyż 11 rot Moskali i 2 działa za nami w pogoń posłali.

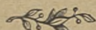
Spodziewamy się lada chwila starcia, bo krok w krok za nami idą. Ja dziękuję P. Bogu, żem wyszedł cały, musisz wiedzieć, żem prowadził kosynierów do szturmu, bo kapitan, stary już człowiek nie zdołał lecieć. Kosynierzy, gdy silny ogień na nas przypuszczono, pierzchli a ja z jednym kosynierem zostałem na ofiarę wystawiony — nie bałem się, zawołałem: kto kocha ojczyznę i Boga niech idzie zemną, i wnet 17 zuchów stanęło przy mnie, lecz na nieszczęście Moskale i tych się zlękli i wcześniej mykli, nie chciawszy jeńców.

Rucki nie porozumiał się w tej potyczce i partya jego dała ognia do nas, zatem dla tego taka strata nasza.

Kończąc tak krótko, całuję Cię serdecznie, łącząc swoje uszanowanie i ucałowanie rączek godnej mameczki i sióstr p Skwirczyńskich, a przez dobroć Twoją p. Kwiatkoskim, Reczkoskiemu, i bratu Godlewskiemu niech Reczkoski napisze list do Hubickich odemnie, bo ja nie mam więcej czasu.

Twój

Urbański.



Powyższy list posiada wszelkie cechy autentyczności. Pisany jest na kawałku niebieskiego bibulastego papieru, mocno spłowiałego,

O. WACŁAW KAPUCYN (†).
(EDWARD NOWAKOWSKI).

Duchowieństwo polskie na wygnaniu w Tunce (Syberya).

(Wyjątek z obszerniejszej pracy).

. . . .

W kraju dalekim, z imienia tylko światu znanym, w Syberyi, wśród wiecznie śniegiem pokrytych gór Sajańskich, od ośmiu lat (pisane w r. 1874 P. R.) niemała liczba, bo stu kilkudziesięciu kapłanów katolickich najdotkliwsze powolnego konania ponosi męczeństwo, i nikt prawie dotąd ani wspomni o nich.

Sądzimy przeto, że uczynimy publiczności przysługę, skreślając kilka słów o nich.

Jeśli bowiem o sprawach pospolitych tak pożądane są wiadomości, to juściż tembardziej o sprawach kościoła, o ludziach którzy przez poświęcenie się swoje Bogu, stanęli pomiędzy Bogiem a ludzkością, żeby ludzkość tę do Boga słowem, czynem, a nadewszystko przykładem życia własnego prowadzić. Historya więc duchowieństwa nietylko jest pożądaną, lecz poniekąd niezbędną, konieczną; a cóż dopiero naszych wygnańców? Wyrwani z pośród narodu, którego mieli opiekować się zbawieniem, przerzuceni na drugi koniec świata, zamknięci w kotlinie gór niebotycznych, niby w żywym grobie, strzeżeni pilnowani, żeby żaden głos, żaden ich jęk stamtąd się nie wydobył i nie oznajmił światu o ich istnieniu, za życia pogrzebani; oni, co aureolą swego męczeństwa mogliby światu przyświecać, czyż nie powinni być światu przypomnieni? a wreszcie historya tegoczesna Polski, jak Mickiewicz w przedmowie do Dziadów powiada, z dawnych sejmów, z dawnych placów boju przeniosła się dzisiaj prawie całkiem do więzień. Tam zostają bowiem ci, co życie swoje Polsce ponieśli w ofierze. I jak historya Mamertyńskich więzień stanowiła główną część historyi pierwszych wieków

---

bez koperty; adres znajduje się na tym samym papierze i według pieczątki pocztowej, na nim znajdującej się, nadany został w Jarosławiu w d. 27 sierpnia 1863 r. i w tymże dniu w Krakowie doręczony został. Nic nam nie jest wiadomo, o losie jego autora ani adresata, gdyż otrzymaliśmy go z rąk 3ciej osoby. (Przyp. Red.).

chrześcijaństwa, tak dzisiaj historya Syberyi w niemałej części do historyi Polskiej należy.

. . . .

. . . .

Spis Duchowieństwa Polskiego znajdującego się w Tunce.

A) Księża świeccy.

I. Z archidyecezyi Warszawskiej.

1. Ludwik Czajewicz, kanonik honorowy, proboszcz z Piaseczna. 2. Andrzej Delest, administrator, prob. z Bąkowa, z robót katorżnych. 3. Andrzej Kalisty, wikary z Latowic. 4. Ignacy Kaczorowski, prob. z Sulejowa, z robót kat. 5. Władysław Polkowski, kan. honor., prob. z Mszczonowa, z robót kat. 6. Teofil Świątkowski, wik. z Kutna. 7. Wincenty Serementa, wik. z Kobiela. 8. Józef Siekierzyński, wik. z Tarczowa, z robót kat. 9. Józef Stecki, kan. honor., wik. kość. św. Karola Bor. z Warszawy, z robót katorżnych.

II. Z dyecezyi Kujawskiej:

1. Paweł Knapiński, prob. z Wiewiec. 2. Władysław Klimkiewicz, wik. z Myśliborza. 3. Jan Rusecki, administrator z Borkowa. 4. Teodor Rohoziński, prob. z Tuliszkowa, z robót kat.

III. Z dyecezyi Płockiej:

1. Jan Gronkiewicz, prob. z Rościszewa, z robot kat. 2. Seweryn Gardylewicz. prob. z Zaręb, z robót kat. 3. Krużmanowski, z Glinowiecka, z robót kat. 4. Feliks Kowalewski, prob. z Lutocina, z robót kat. 5. Józef Kowalewski, prob. z Wąsowa. 6. Walenty Manelski, prob. z Lubonidza, z robót kat. 7. Jan Pomiechowski, prob. z Dobrzejewic, z robót kat. 8. Stanisław Pomirski, wik. z Płoniów, z robót kat. 9. Franciszek Rogoziński, kapelan z Opinogóry. 10. Kasper Renner, wik. ze Szreńska, z robót kat. 11. Franciszek Szmeiter, profesor seminaryum w Pułtusku. 12. Jan Uszyński, kan. honor., prob. z Kleczkowa. 13. Narcyz Wilewski, kan. honor., dziekan, prob. z Wyszkowa.

IV. Z dyecezyi Lubelskiej:

1. Józef Błażowski, prob. z Wilkowa. 2. Aleksander Kieroński, wik. z Końskiej Woli. 3. Mikołaj Kulaszyński, prob. z Łaszczewa. 4. Jan Liniewicz, wik. z Kurowa, z robót kat. 5. Stanisław Matraś, wik. z Krzeszowa.

V. Z dyecezyi Podlaskiej:

1. Felicyan Augustynowicz, wik. ze Skrzeszowa, z robót kat. 2. Józef Broniszewski, prob. z Komorówka. 3. Celestyn Godlewski, wik., z robót kat. 4. Paweł Krajewski, kan. honor., podkustoszy kap. Janowskiej, b. sekretarz biskupa Szymańskiego. 5. Walenty Nawrocki, prob. z Uszcza. 6. Józef Rozwadowski, wik. z Janowa, z robót kat. 7. Leonard Szymański, wik., z robót kat.

VI. Z dyecezyi Augustowskiej:

1. Stanisław Rakowski, wik., z robót kat. 2. Stanisław Dąbrowski, prob., z robót kat. 3. Bartłomiej Grykietys, profesor seminaryum Sejneńskiego, z robót kat. 4. Walenty Osiński, surrogat kap. Sejneńskiej, prob. z Sokołowa, z robót kat. 5. Alek. Szepietowski, prob. z robót kat. 6. Józef Zambrzycki, z robót kat. 7. Franciszek Żukowski, prob. z Raczek.

VII. Z dyecezyi Sandomierskiej:

1. Walenty Barabasz, prob. ze Skrzyńska. 2. Izydor Ciągliński, wik. z Bodzentyna, z robót kat. 3. Aleksander Jankowski, wik., z robót kat. 4. Mateusz Kasprzycki, wik., z robót kat. 5. Kornel Kaczmarski, prob. w dobrach Józefa Gołuchowskiego, z robót kat. 6. Józef Szczepański, prob. z Rogowa, b. regens seminaryum sandomierskiego. 7. Ignacy Szymański, prefekt szkół radomskich, nauczyciel religii w gimnazyum, z robót kat. 8. Józef Tuszewski, wik. 9. Fryderyk Włocki, wik. 10. Wojciech Zakrzewski, prob. z Lisowa.

VIII. Z dyecezyi Wileńskiej:

1. Władysław Bajkowski, wik. z Prozorowa. 2. Jacek Borzym, administrator Perlejewa. 3. Jan Hodakiewicz admin. Korycina. 4. Franciszek Kozłowski, wik., z robót kat. 5. Jan Narkiewicz, ekspijar, dziekan Kobryńca, prob. w Jeziorosach, na Żmudzi. 6. Romuald Skibiński, wik.,

z robót kat. 7. Onufry Syrwid, prob. z Wasiliczek, z robót kat. 8. Feliks Wasilewski. 9. Antoni Wierzbicki, wik., z robót kat. 10. Antoni Wełnisty, wik., z robót kat. 11. Józef Zadórski, prob. w Panach.

IX. Z dyecezyi Żmudzkiej:

1. Leopold Dylewicz, wik., z robót kat. 2. Adam Gałkiewicz, z robót kat. 3. Franciszek Gienutowicz, wik. w Worniach. 4. Symeon Janikiewicz, altarzysta z Szydłowa. 5. Onufry Jasiewicz, prob. z Ejsogoły, z robót kat. 6. Jakowicz, z robót kat. 7. Franciszek Moczulski, wik. z Niemokszt. 8. Adam Mackiewicz, wik., z robót kat. 9. Wincenty Nugarewicz, wik., z robót kat. 10. Antoni Opólski, z robót kat. 11. Józef Pawłowski, prob., z robót kat. 12. Konstanty Pieślak, wik., z robót kat. 13. Jan Pacewicz, prob., z robót kat. 14. Józef Rózga, wik., z robót kat. 15. Józef Rajunić, wik., z robót kat. 16. Szczepan Rudzki, wik., z robót kat. 17. Ferdynand Stulgiński, dziekan, prob. z Onikszt, magister teologii, z robót kat. 18. Justyn Siesicki, wik., z robót kat.

X. Z dyecezyi Łucko-Żytomierskiej:

1. Feliks Czarkowski, wik. z Jachny, pod Kijowem. 2. Floryan Godlewski, kanonik. 3. Lucyan Malewicz, wik., z robót kat. 4. Józef Nosalski, prob. 5. Onufry Piotrowski, administrator nabruski, z robót kat.

XI. Z dyecezyi Podolskiej:

1. Erazm Kluczewski, magister teologii, prof. religii w gimnazyum Niemirowskiem, z robót kat.

XII. Z archidyecezyi Mohilewskiej:

1. Bugień, admin. kościoła w Smoleńsku. 2. Kazimierz Giedrojć, admin. Słobodzińska: 3. Antoni Kawecki, prob. a potem wik. 4. Augustyn Łapo wik. a potem prob. 5. Kasper Wojtkiewicz, wik., z robót kat.

XIII. Z dyecezyi Mińskiej.

1. Andrzej Kazimierz Bartoszewicz, magister teologii, wik. w Słucku. 2. Władysław Kamieniecki, wik. w Mińsku. 3. Józef Pisanko, wik. w Berezynie.

XIV. Z dyecezyi Tarnowskiej (w Galicyi):

1. Ignacy Oskard, z robót kat.

B) Duchowieństwo zakonne.

Księża Augustynianie:

1. Gabryel Zimny, z Lublina.

Bernardyni:

1. Paulin Domański, lektor w Radomiu, z robót kat. 2. Roch Klimkiewicz, z Radomia, z robót kat. 3. Gwido Komorowski, ze Strzegocina, z robót kat. 4. Firmin Mędzkiewicz, z Warszawy, z robót kat. 5. Justyn Mielechowicz, z Radomia. 6. Filip Markowski, z Warszawy, z robót kat. 7. Piotr Piotrowicz, gwardyan z Cytowian, z robót kat. 8. Jerzy Reichenbach, z Dantowa, z robót kat.

Franciszkanie:

1. Leon Godlewski, z Warszawy. 2. Dyonizy Tronowski, z Lublina.

Karmelici bosi:

1. Kajetan Brudziński, z Lublina, z robót kat.

Karmelici trzewiczkowi:

1. Anastazy Jadachowski, z Gustawskiej Woli.

Dominikanie:

1. Jędrzej Bartoszewicz, administrator probostwa w Malucinie. 2. Edmund Czosnakiewicz, admin. probostwa w Goleszynie (dyec. płocka). 3. Wincenty Kochański z Litwy. 4. Jan Klimowicz, z Warszawy, z robót kat. 5. Filip Mokrzycki, z Litwy, z robót kat. 6. Alfons Pliszczyński, z Lublina, z robót kat. 7. Piotr Piskorski, z Lublina.

Reformaci:

1. Edward Abratowski, z Królestwa, z robót kat. 2. Jan Kanty Czyżewicz, gwardyan klasztoru Płockiego. 3. Wincenty Cichaczewski, gwardyan klaszt. Smolany. 4. Łukasz Gąstalski. 5. Ambroży Grzymało, z Żuromina z robót kat. 6. Stanisław Korecki, z Wielunia, z robót kat. 7. Teodor Kurkiewicz, z Żuromina, z robót kat. 8.

Gerwazy Renis, z Królestwa, z robót kat. 9. Rafał Tomaszewicz, ze Stobnicy. 10. Anatoli Zienkiewicz, z Królestwa, z robót kat.

Kapucyni:

1. Bazyli Lasota, z Lędu. 2. Eugeni Nienałtowski, wik. z Lędu. 3. Emilian Ołtarzowski, gwardyan z Lędu. 4. Cyryak Słotwiński z Lędu.

Misyonarze:

1. Rafał Drewnowski, profesor filozofii w seminaryum płockiem, a później w warszawskiem. 2. Franciszek Kamiński, prof. seminaryum w Warszawie.

Kanonicy Lateraneńscy:

1. Bolesław Filipowicz, z Wilna, z robót kat. 2. Walenty Pajdowski, z Kraśnika.

Pijarowie:

1. Jan Brzozowski, z Radziejowa. 2. Jan Grądzki, z Radziejowa.

Filipini:

1. Konstanty Piwarski, prob. klasztoru Studzianny, z robót kat.

Klerycy i Braciszkowie różnych zakonów i profesi:

Augustynianie: 1. Michał Rejewski, z Ciechanowa.

Bernardyni: 1. Adryan Nowicki, dyakon, z Wilna. 2. Cyryl Skalski, profes-kleryk, z Warszawy.

Dominikanie: 1. Anioł Sosnowski, profes-kleryk, z Warszawy.

Kapucyni: 1. Karol Chodkiewicz, profes-braciszek z Lędu.

Kameduli: 1. Feliks Kułakowski, profes-dyakon z Bielan.

Karmelici: 1. Wawrzyniec Drozdys, dyakon, z Warszawy.

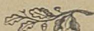
Klerycy i Braciszkowie nie mający profesyi:

1. Eliasz Garbowski, nowicyusz zakonu Karmelitów bosych z Warszawy, z robót kat. 2. Michał Palajkis, nowi-

cyusz zak. Karmelitów bosych z Warszawy. 3. Pichelski, nowicyusz zak. Reformatów z Warszawy, z robót kat. 4. Aleksy Fiałkowski, braciszek zak. Kapucynów, z Lędu. 5. Konrad Peszyński, tercyarz zak. Kapucynów. 6. Wacław Nowakowski, kleryk zak. Kapucynów z Lubelskiego, z robót kat.

Duchowni prawosławni:

1. Mikołaj Moroz, błahoczynny (dziekan) z gubernii Mińskiej. 2. Teodozy Dymiński, monach z monasteru Supraślskiego.



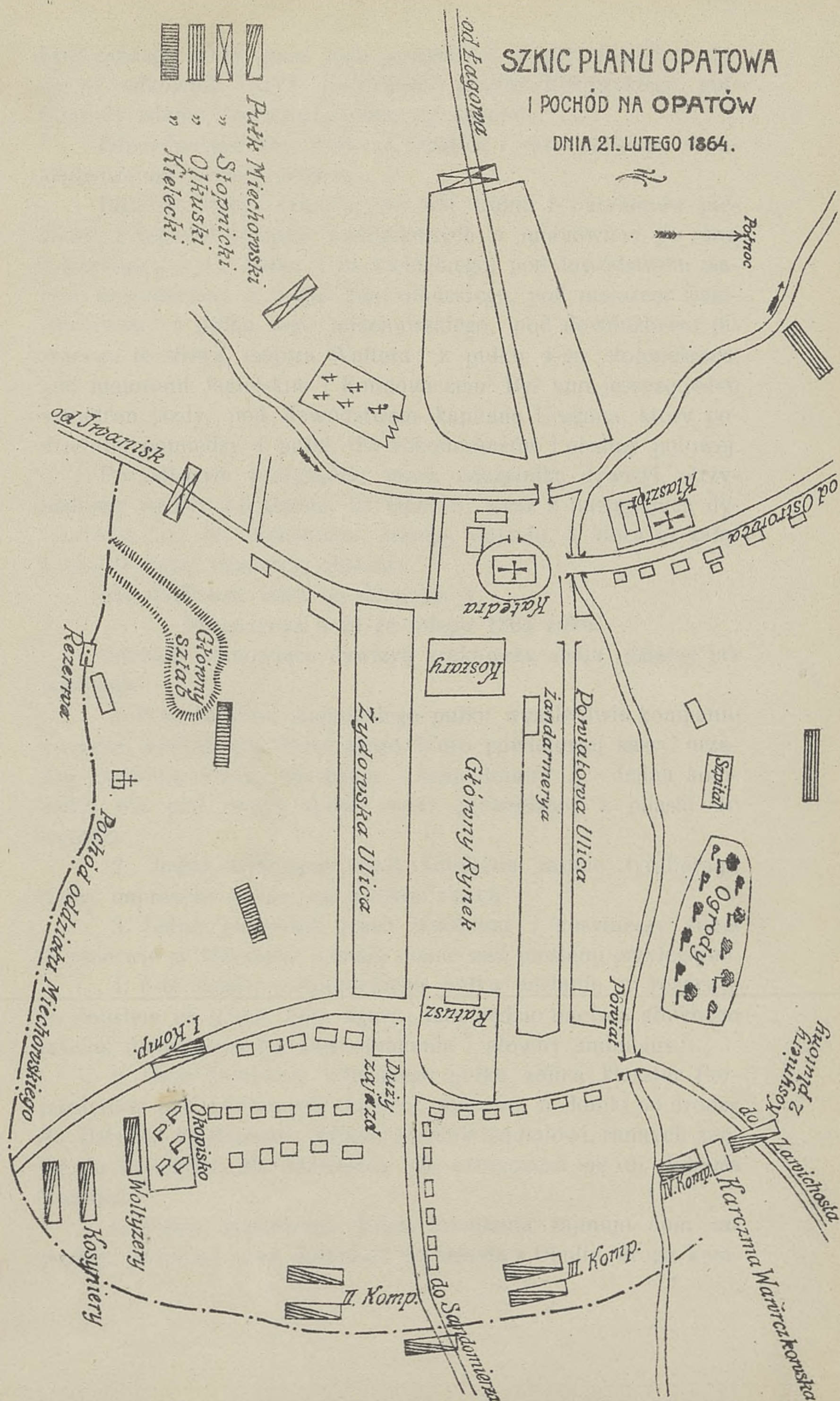
MAJOR JÓZEF WALTER.

Zdobycie Opatowa 24 lutego 1864 r.

W miesiącu lutym 1864 r. zbierały się w Sandomierskiem coraz większe siły powstańcze. Za rozkazem głównodowodzącego generała Bosaka, formowano pułki, z zaleceniem unikania wszelkich bitew. Tak wzrastające siły polskie, Moskale rozbić chcieli i w tym celu ściągali coraz większe zastępy w miastach tegoż województwa. Liczne pułki moskiewskie ciągnęły z Lublina, Zamościa, Częstochowy, Kalisza, Iwangrodu, Warszawy i Łodzi, posuwając się ku Kielcom i Radomiu. Nieprzyjaciel obsadził miasteczka, nie mające dotychczas załogi. Po 20-tym lutym wyruszyć miały pod naczelnem dowództwem Bellegarda silne ze wszech stron dążące kolumny ku Cisowu, centralnemu punktowi sił generała Bosaka.

Świeżo mianowany naczelnik dywizyi krakowskiej, pułkownik Topór (Zwierzdowski), postanowił uderzyć na Opatów, za namową swego szefa sztabu pułkownika Kurowskiego, i zająć to miasteczko, rzekomo dla ukarania go, za niezapłacenie podatku, na wezwanie Rządu Narodowego. Wezwani na naradę wojenną komendanci pułków, kieleckiego, olkuskiego, miechowskiego i stopnickiego, oświadczyli się wręcz przeciwnymi projektowi zawładnięcia Opatowem, tak ze względów wojskowych, jakoteż z powodu ewentualnego zniszczenia miasta, które, choćby zdobyte wielkiemi ofiarami, nie mogłoby było być utrzymane w naszem posiadaniu.

Pułkownik Kurowski, ów nieszczęsny dowódca z pod Miechowa, odpowiadając na zarzuty komendantów, insynuował im


SZKIC PLANU OPATOWA
I POCHÓD NA OPATÓW
DNIA 21. LUTEGO 1864.
Północ
od Łagowa
od Ostrowca
Klasztor
Katedra
Koszary
Powiatowa Ulica
Żandarmerya
Główny Rynek
Żydowska Ulica
Szpital
Ogrody
Powiat
Ratusz
Duży zajazd
Kosyniery 2 plutony
do Zawichosta
Karczma Wawrzczkowska
IV. Komp.
III. Komp.
II. Komp.
do Sandomierza
I. Komp.
Okopisko
Woltyżery
Kosyniery
Pochód oddziału Miechowskiego
Rezerwa
Główny sztab
od Iwanisk
Pułk Miechowski
„ Stopnicki
„ Olkuski
„ Kielecki

brak odwagi, który przez nich przemawia; a gdy dowódca dywizyi, pułkownik Topór, podtrzymał projekt Kurowskiego, pułkownicy zdaniu dowódcy poddać się musieli.

Zdecydowano więc atak na Opatów i dano rozkazy, skoncentrowania czterech pułków.

Dnia 21. lutego zebrano we wsi Dubni 8 batalionów piechoty, z pułków powyżej wymienionych a mianowicie po dwa z każdego; t. j. z pułku 1-go kieleckiego, pod dowództwem majora Rosenbacha; z pułku 2-go olkuskiego, pod majorem Denisiewiczem; z pułku 3-go miechowskiego, pod dowództwem piszącego te słowa, majora Waltera; z pułku 4-go stopnickiego, pod majorami Jagielskim i Eminowiczem. Był tam jeszcze jeden szwadron jazdy, pod dowództwem kapitana Uragana, który podzielono pomiędzy 4 pułki, dla rekonesansów i obsługi polowej.

Po odbytym przeglądzie przez naczelnika dywizyi, otrzymaliśmy rozkaz wyruszenia na Opatów, wraz z następującą dyspozycyą, co do wykonania samego napadu, a którą to załączony tu szkic Opatowa, objaśnia.

Oto dosłowny tekst tej dyspozycyi:

Dyspozycya z 21-go lutego 1864 roku.

Oddziały stanowiące dywizyę krakowską mają działać jak następuje:

1. 5-ty batalion stopnickiego pułku wyszle dwie kompanie po ulicy powiatowej, które zajmą biuro powiatowej kasy i urządzą barykadę między koszarami i linią domów A. Jedna kompania ma pod swoją opieką most prowadzący z miasta do szpitala.

2. Jedna kompania tegoż batalionu zajmie tyralierami domy, naprzeciw koszar na wielkim rynku.

3. Jedna kompania tegoż batalionu i kosynierzy staną w rezerwie w klasztorze i mają dozór nad mostami przyległymi.

4. 6-ty batalion stopnickiego pułku zostanie w rezerwie za miastem na górce, koło figury; tam będzie miejsce głównego sztabu, dokąd przysłać zawiadomienia i główny ambulans.

5. Dwie kompanie olkuskiego pułku zajmą klasztor Bernardynów pod czerwonym dachem, rezerwą, a domki po drodze do Ostrowa tyralierami; działać przeciw szpitalowi, rannych znosić do klasztoru; dla opatrzenia ich, przeznacza się ob. doktora Szmidta.

6. Pułku kieleckiego jedna kompania zajmuje dom zajezdny, położony przy dojeździe do miasta z Okolin, druga kom-

pania stanie z tyłu za koszarami głównemi, bijąc Moskali, którzyby uciekali, a trzecia kompania zostaje w rezerwie, koło cmentarza żydowskiego i śledzi ruchy, jednak idzie na pomoc tylko wtenczas, kiedy rzeczywista jest tego potrzeba.

7. Pułk miechowski przechodzi po za koszarami głównemi i stoi za miastem na wzgórzu koło karczmy Wawrzkowskiej. Dowódca powinien posłać rozjazdy po drogach do Sandomierza i Zawichosta. W razie gdyby jedną z tych dróg postępowali Moskale, to wysłać tyralierów i śmiało ich atakować, siła Moskali nie może być większa jak jedna kompania.

8. Szwadron olkuski odkomenderuje 10 szeregowców przy jednym oficerze do oddziału miechowskiego obyw. majora Waltera, 3 szeregowców przy oficerze do oddziału kieleckiego ob. majora Rosenbacha, 6 szeregowców przy oficerze do głównego sztabu i reszta najdzielniejszych i odważnych pod dowództwem ob. rotmistrza Uragana, pójdzie przed oddziałem olkuskim i zaatakuje stajnie kozackie koło szpitala.

9. Kompanie działające koło głównych koszar, powinny mieć siekiery i urządzić naokoło barykady z drzewa i podpalić stosy.

10. Dalsze rozkazy przysłane będą przez adjutanta albo oficerów sztabu.

Naczelnik Dywizyi krakowskiej
Obyw. pułkownik Topór.

Do nadesłania właściw.

(Pieczęć z napisem; Pułk 1 Chmielińskiego kielecki).

Pułk miechowski składał się z 4 kompanii karabinierów, 1 komp. woltyżerów i 1 komp. kosynierów — miał dodanych 40 kawalerzystów na obsługi i rekonesanse. Mniej więcej tak samo był uformowany każdy pułk. Pułk miechowski był jeden z najsilniejszych.

Pułk miechowski szedł w następującym kierunku:

Wymaszerowawszy z gościńca od Iwanisk skręcił ku stronie wschodniej, obchodząc miasto, by zdążyć na swoje stanowisko do karczmy Wawrzkowskiej, jak na planie bitwy wskazano.

Posuwając się koło cmentarza żydowskiego, został pułk zaatakowanym przez Moskali, którzy tamże zajęli stanowisko i po za kamieniami grobowymi się poukrywali. Odkomenderowano jedną kompanję na ochotnika, zgłosiła się kompanja woltyżerów (16 i 17-letni młodzieńcy). Po odbytej modlitwie i otrzy-

maniu błogosławieństwa, od obozowego kapelana, jakoteż przemowy dowodzącego pułkiem, wystąpiła kompanja woltyżerów, rozwinięta w łańcuch, wsparta jednym plutonem kosynierów i jednym plutonem pierwszej kompanii karabinierów, jako rezerwą. Dwa plutony pierwszej kompanii zajęły pozycyę z zachodniej strony od żydowskiego cmentarza i domków żydowskiej ulicy; zaś jeden pluton pierwszej kompanii i jeden pluton kosynierów zajęły pozycyę na cmentarzu żydowskim. Reszta kompanij i kosynierzy zajęli stanowiska następujące: Druga kompanja pomiędzy drogą do Okulina i drogą do Sandomierza, frontem ku domom miasta, posuwając się naprzód łańcuchem tyralierskim; trzecia kompanja i czwarta przeszły przez gościniec do Sandomierza prowadzący i zajęły pozycye następujące: Trzecia kompanja rozwinęła łańcuch tyralierski ku domom między gościńcem sandomierskim a rzeczką Opatówką, posuwając się naprzód ku nieprzyjacielowi, ukrytemu po domach; czwarta kompanja zajęła karczmę Wawrzkowską, komenderując pół kompanii ku budynkowi powiatowemu, dla zaatakowania znajdujących się tam Moskali; zaś dwa plutony kosynierów pozostały w Wawrzkowskiej karczmie z jednym plutonem 4-tej kompanii w rezerwie.

Oddział cały posuwał się w rozwiniętym łańcuchu tyralierskim prawie bez straty żołnierza, ku domom zajętym przez Moskali, od strony atakujących pułków, stopnickiego i olkuskiego płonące domy oświetlały pozycyę moskiewską naprzeciw miechowskiego oddziału ustawioną, tak, że atakujący pułk miechowski, w cieniu nocy ukryty, był dla Moskali zupełnie niewidzialny, my zaś widząc Moskali, oświetlonych łuną pożaru, braliśmy celnie każdego na strzał.

Woltyżery rozwinąwszy łańcuch tyralierski, postępowali z podziwienia godną pogardą śmierci naprzód, w kierunku cmentarza, i nie trwało kilkanaście minut, a cmentarz został przez nich zdobyty. Wypędziwszy Moskali z zajętego stanowiska, zajęli takowy i ostrzeliwali Moskali, którzy się schronili do poblizkich domów i stamtąd dawali do nas ognia.

Na powtórny rozkaz pułkownika Kurowskiego, by podpalić domy przez Moskali zajęte, dowódca mimowoli był zmuszony, dać wszystkim komendantom kompanii rozkaz, podpalenia domów, zajętych przez nieprzyjaciela, z których tym sposobem zostali Moskale wypędzeni. To podpalenie było jednak z korzyścią dla Moskali, gdyż teraz dopiero została pozycya pułku miechowskiego

od łuny pożaru oświetlona; Moskale zaś cofający się z domów płonących, skoncentrowali się w magistracie, zająwszy stanowisko w oknach i zatarasowawszy bramy, strzelali z okien, do oświetlonych pożarem żołnierzy pułku miechowskiego. Toż samo działo się z innymi naszymi pułkami.

Pułkownik Kurowski dał rozkaz, zdobyć szturmem magistrat. Kilkakrotnie przypuszczony szturm został za każdym razem przez Moskali odparty. Moskale strzelali do atakujących, którzy znajdowali się właśnie w pełnem świetle, rzucanem przez pożar. W szturmie tym stracił pułk miechowski 94 żołnierzy zabitych i rannych, pułkowego adjutanta, czterech oficerów zabitych i sześciu rannych. Inne pułki poniesły podobne straty. Z powodu tak wielkich strat i zmęczenia żołnierzy po tak długiej bitwie, bo od godziny 3-ciej popołudniu do 6-tej rano, dano rozkaz odwrotu. Zaczęło dnieć, a Moskalom nadchodziły ze wszech stron posiłki; wszystkie więc polskie pułki się cofnęły. A tak zdobywszy Opatów, ponieśliśmy klęskę.

Pułk miechowski ściągnąwszy całą siłę, cofnął się przez drogę do Iwanisk ku gościńcowi do Łagowa i pospiesznym marszem zdążał do Jeleniowa a stamtąd ku klasztorowi Św. Krzyża. Przedarłszy się po przez tyraliery moskiewskie jenerała Czengerego, który wyruszył na pomoc Moskalom w Opatowie, (po drodze napadł oddział dowódzcy Łady, który się spóźnił do ataku na Opatów i przez Czengerego został rozproszony) posunął się oddział miechowski do Św. Krzyża, a stamtąd w lasy koło klasztoru Św. Katarzyny, gdzie zajął dobre stanowisko i dłuższy czas przebywał, zbierając rozbitków z innych oddziałów. W ten sposób oddział miechowski na nowo uzupełniony został. Pułk stopnicki i olkuski cofnęły się od Opatowa wprost w góry, gdyż były zaatakowane przez nadeszłe od Zawichosta i Sandomierza moskiewskie posiłki, połączone z opatowskim garnizonem; oddziały te zostały po części rozbite, dowódca pułkownik Topór przy szturmie w Opatowie ranny, leżąc i lecząc się w domu obywatelskim w okolicy, został przez Moskali schwytany i rozstrzelany.

Tak to zakończyła się owa nieszczęsna wyprawa, poczęta w chorym mózgu pułkownika Kurowskiego, który rozpocząwszy swą karyerę smutnym atakiem Miechową, zakończył ją jeszcze smutniejszym, zdobyciem Opatowa.

Była to ostatnia wielka bitwa, która zdecydowała o upadku powstania.

Ustrzyki dolne w marcu 1903 r.



LUDWIK WEEBER.

Wyprawa Czechowskiego.

Z końcem lutego i początkiem marca 1863 r. przedstawiały dwory szlacheckie, w pasie pogranicznym Galicyi, istne obozy powstańcze.

Od Tarnowa począwszy ruch niezwykły, transporta broni i prowiantów dniem i nocą. Michałówka, Piskorowiec, Sieniawa, Dzików, główne stacye partyj powstańczych w kierunku Poluchowa, gdzie wielkie lasy hr. Zamojskiego połączone z zakordonowemi, ułatwiały formacyę oddziałów i przejście granicy.

Patryotyzm i ofiarność obywateli ziemskich w tym pamiętnym roku przechodziła wszelkie granice możności i pochłonęła niejedną fortunę rodzinną, bo oprócz podatku, przyjęć i podwód ustawicznych dla swoich, ile zapobiegliwości, ile wytwornej gościnności wymagały te załogi wojskowe, przeważnie konnicy węgierskich huzarów, których sztaby stanowiła sama prawie szlachta i arystokracya.

Zaroiły się wreszcie lasy poluchowskie życiem obozowem, rozlegał się łoskot rozbijanych pak z bronią, rżenie koni, nawoływania komendy i stanął oddział uzbrojony, podzielony na kompanje, gotów do przejścia granicy.

Dwie pierwsze kompanje miały broń kalibrową, zaopatrzoną w bagnety, była kompanja karabinierów, kosynierów i około 50 konnicy.

U słupów granicznych, naprzeciw Tarnogrodu, miasteczka zakordonowego, pożegnaliśmy strony rodzinne, pochyleniem chorągwi; odczytano nam manifest Rządu Narodowego, chwilę jeszcze za nami powiewały chustki i wznosiły się czapki, żegnających nas rodaków.

W Tarnogrodzie witała nas serdecznie ludność mieszczańska, przy pięknej pogodzie wyszliśmy i stanęli obozem w lasach ordynackich, przypierających do wioski Potoka.

Po chłodnej nocy był mglisty ranek, więc rozgrzewamy się przy ogniskach gorącą herbatą, której szafarzem był oficer z wojska rosyjskiego, Nikiforow, przez nas Rykow zwany.

Nasz pułkownik, siwowłosy, rozmawiał właśnie z małym Tadziem Romanowiczem o malowidłach Brandta, gdy nadbiega towarzysz z piechoty od brzegu lasu, że w mgle porannej od wsi majaczeje coś, jakby Moskale. Każden chwyta za broń, staje do komendy i na rozkaz dany przez dowódcę zajmujemy tyralierką krzaczysty brzeg lasu.

Z mgły porannej wśród pola wynurza się i postępuje z odległości 500 kroków szeroki łańcuch Moskali; zahuczało głucho i zaszumiały koło nas, przeważnie górą, pierwsze kule moskiewskie. Z zapartym oddechem kierujemy pierwsze strzały nasze w grupę jeźdźców skupioną przy cerkwi, widzimy konia z tej grupy bez jeźdźca pędzącego polem, po szczerbach zaś atakującej nas linii widoczną jest skuteczność naszych sztućców belgijskich, a z tem potęgował się zapał młodzieńczy i dobra otucha.

Z tyralierów naszych nie zginął żaden, ale z kompanii karabinierów Matejki, pada czterech odrazu, gdy w zwartej kolumnie przechodzili przez otwartą polanę, i wtedy ugodził także postrzał śmiertelny majora Englerta.

Było już koło południa, kiedy zadudniały bębny moskiewskie, ucichły strzały; jasne wyjrzało słońce i pełna dobrej otuchy maszerowała wiara nasza, dalej lasem ku Jedlinkom.

Po marszu dwugodzinnym, stanęliśmy obozem; pluton konnicy odkomenderowano do strzeżenia mostku na pobliskiej Tanwi.

Tam wpada na nich oddział konnicy rosyjskiej i z szaloną brawurą pędzi na nasz obóz w lesie. Gęstym ogniem karabinowym zawróceni ku Tanwi uciekają, a za nimi błyszczą i migają w słońcu ruchliwe pałasze naszej kawaleryi; przy mostku nastąpił mały odwet i kilku kozaków spadło do wody; straty w ludziach nie mieliśmy żadnej, bo tylko dwa woły na rzeź prowadzone, zginęły nam w lesie.

Maszerujemy dalej ku Jedlinkom, polegli nasi z nami na furgonach. Ledwo się jednak wychyliła z lasu nasza awangarda, huknęły znowu strzały i trzecie już w dniu tym spotkanie trwało aż do zmroku. Zajęliśmy okop leśny od pola, a pokładłszy się w rowie tego okopu, mieliśmy ochronną strzelnicę. Byli też między nami w tym rowie doskonali strzelcy myśliwi, taki Manasterski, Walter, Wybranowski, zależało tu bardzo na szybkiem

chwytaniu na cel, bo sprytnie manewrowali Moskale, po każdym strzale skacząc z krzaka dymiącego, za inny krzak w polu.

Tak trwało aż do zmroku i znów ozwały się bębny do odwrotu, kilka luźnych koni kozackich przepędziło koło linii naszej, a z rannych był u nas jeden tylko Stanisław Podlewski.

O zmroku aż do późnej nocy maszerujemy dalej ku Hucie Krzeszowskiej; czujność podwojona, oprócz przednich idą i boczne większe patrole, ale bezsenność i wyczerpanie sił już nam się bardzo czuć daje. Nad rankiem stajemy na leśnej polanie, z karczmą przy rozstajnych drogach, daremne starania komendy, o jakiego miejscowego przewodnika. Jaki to jednakże zapał rycerski ożywiał tę młodzież mimo tylu trudów, świetny miałem dowód za chwilę, gdy byliśmy w ogniu rotowym zasadzki moskiewskiej, a w starciu na bagnety biegłem z pomocą Mansfeldowi Lewickiemu (zginął w wyprawie na Radziwiłów). Ale nieuprzedzając wypadków, od owej karczmy zmienia komenda kierunek pochodu na lewo i lasem wchodzimy w zagłębioną drożynę leśną; niejeden z nas drzemie oparty o brzegi drożyny; skupia się sztab dla narady, bo do majora Dąbczańskiego, stojącego konno przed nami, podjeżdża wachmistrz Hilchen i pokazuje świeże ślady od gwoździ obuwia piechoty rosyjskiej, a w tem z nienacka huknął ogień rotowy, błyska i dymi się z za każdego drzewa, w odległości jakich 200 kroków. Kapitan Szlarski wskazuje nam najbliższy pagórek, za nim rozwijamy linię tyralierską, ale niepodobna ostać się przed atakiem strzelców finlandzkich, żołnierzy doborowych; cofamy się od drzewa do drzewa, strzelając i nabijając, jak wówczas powoli.

Wtedy to byłem świadkiem tej walki powstańca z Moskalem. Zahuczał mi strzał bliski, kula świsnęła koło mnie; składam się do strzału w niedaleki kłąb dymu, gdy w krzaku zoczyłem kepi francuzkie i rude bokobrody Moskala; strzelić nie mogłem, bo raptem zasłania mi je żółta zawiesista konfederatka Mańcia Lewickiego; błysły skrzyżowane bagnety i nim do nich dobiegłem, już kepi Moskala leżało na ziemi, a on krwią zbroczony, oparł się o drzewo.

„Pożałujsta pardon“! „i patrz jak skłułem Moskala!“ ozwało się razem. Mańcio ocierał bagnet i szliśmy razem po grząskiej polanie; tu leżał martwy już Józio Dąbczański, brat młodszy majora; ogarnął nas przestrach zbłąkania, bo naszych niewidać; owładła nami jedynie żądza ocalenia się; wtem miga się przed nami w zaroślach biały koń Hilchena, tam zwracamy się, łą-

czymy z kompanją i razem już spieszymy w stronę bitwy, której wrzawę słychać teraz na prawo; na walkę już nie natrafiamy, strzały coraz rzadsze i dalsze, więc dalej prowadzi nas major Żalplachta, a na prawo i lewo od naszej drogi leśnej, strzelamy do grup zbłąkanych i uciekających przed nami żołnierzy moskiewskich; słyszymy opodal znaną nam świstawkę Lama i łączymy się z jego przerzedzoną kompanją; przybyło nam jeszcze kilku z naszej konnicy, między nimi był ciężko ranny Zenon Lewicki, na koniu fornalskim wziętym od furgonów.

Piechota rosyjska była w tej bitwie tak rozbita i rozproszona po lesie, że w grupach z pod różnej komendy zdążała przez dwa dni do Janowa, gdzie ich dowódca w tej bitwie pułkownik Miednikow przyzwolił na honorowy pogrzeb majora Englerta.

Na drugi dzień po tej bitwie stanął nasz oddział u słupów granicznych Galicyi; a wycieńczenie żołnierzy i brak amunicyi zmusił nas do złożenia broni Austryakom.

Powyższe trzy utarczki nasze i ta bitwa ostatnia, dały dowody męztwa i patryotyzmu naszych żołnierzy.

Po tej wyprawie z Czechowskim byłem pod Jeziorańskim, następnie pod Krysińskim, aż za Bugiem na Litwie, a w lipcu znalazłem się w obozie Ćwieka czyli Cieszkowskiego.

Na stanowisku adjutanta przy boku Walerego Kozłowskiego, zastępcy Ćwieka, któren dla kuracyi wyjechał do Biaritz, miałem inną służbę, zamiast karabina, tekę z mapami. Połączona z tem jednak służba profosa, była czasem przykrzejszą, od służby żołnierskiej.

Lecz to nie należy do obecnego opowiadania.

Lwów 10 marca 1903 r.



FELIKS WIŚNIEWSKI.

W oddziale Czachowskiego.

(Urywek z pamiętnika) [1].

Przebieg bitwy pod Grochwiskami dnia 18 marca 1863 r. jest dość znanym. Tu wspomnę, że znowu takież jak pod Mie-

---

[1]) Szczupłe ramy Księgi. z żalem nie pozwoliły nam zużytkować cennych danych, które zawiera pamiętnik Sz. Autora, począwszy od bitwy miechowskiej (17 lutego 1863 r.) aż do bitwy opatowskiej (24 lutego 1864 r.). Przypisek Redakcyi.

chowem fatum, rozproszyło ten liczny, a w bitwie zwycięzki korpus. Kilka szczegółów z tej dramatycznej chwili, na które żywem okiem patrzałem, podnieść mi wypada. Ja służyłem w tak zwanym emigracyjnym 3-cim batalionie strzelców pod majorem Grudzińskim, w którym było wielu weteranów walk z r. 1848 i ostatniej kampanii włoskiej, wzbraniających się rang oficerskich, zwykle rozdawanych gołowąsym protegowanym — paniczykom.

Pełniąc służbę od samej Goszczy w aryergardzie, nigdziejuż nie mogliśmy się spotkać z posiłkiem, wypróżnianym wszędzie aż do dna przez korpus główny. W Chrobrzu spełnialiśmy znowu służbę posterunkową. W następnym dniu już pod granatami, przeszliśmy most na Nidzie — paląc go za sobą, dla odcięcia krok w krok za nami postępujących Moskali. W obozie pod Grochowiskami spędziliśmy zimną noc, nie mając co do ust włożyć, a zrana otrzymaliśmy rozkaz pozostać, jakoby w rezerwie w lesie grochowiskim.

Żywo staje mi w pamięci, jak stukonny sztab stanął na wzgórku przy leśniczówce, a podczas gdy kolumny nasze rozwijały się na polach i z obu stron nastąpił grzechot tyralierski, gdy naraz powstał jakichś ruch w sztabie... i na własne oczy widziałem, jak pułkownik Czapski brał się do szabli na Dyktatora, osłupiałem ze zdumienia, i nikt z moich kolegów tego wytłumaczyć sobie nie zdołał, a to był wybuch przygotowanej miny kontrrewolucyjnej, tak ze strony partyi białych, jak i zwolenników Mierosławskiego.

Bitwa na froncie wrzała, żuawi parli bagnetem moskiewskie kolumny, grały działa i warczały, przenoszące aż do nas kartacze, gdy naraz usłyszeliśmy tuż za sobą tyralierski ogień i sygnał moskiewski do ataku... był to nieodstępujący nas cień — kolumna Bagrationa! Rezerwy nasze zwróciły front; pomnę ks. Agrypina Konarskiego, naszego kapelana, jak z pistoletem w jednej, a z krzyżem Chrystusa w drugiej dłoni, to zachęcał walczących, to znowu błogosławił umierających. Trup padał gęsto. Rozstawione w lesie sągi drzewa były dla nas szańcem, wreszcie wyparto nas bagnetem na bagnistą łąkę, za którą ciągnący się lasek olszynowy, zasłonił nas, ale ukryć nie mógł. Ile tam padło, pod rotowym ogniem, w oddaleniu kilkudziesięciu kroków, ofiar, nigdy się nie dowiedziałem, ale mała garstka nas wychyliła się do grubszego lasu, a ku wieczorowi śnieżyca — położyła kres walce.

Gromadka 30 ludzi z oficerem Staweckim i ks. Konarskim na czele, skierowała się pod osłoną nocy w kierunku na Jędrzejów — i po wielu trudach idąc śladem pułkownika Czachowskiego, który w ten sam sposób odłączył się od głównego korpusu, wpartego do Galicyi, po tygodniowej tułaczce, dotarliśmy do gór Świętokrzyzkich.

Znamiennem jest, że i Moskale w ten sam sposób rozbici, tułali się w małych grupach po okolicy, a tych wystraszonych rozbitków — można było z łatwością rozbrajać i znosić.

Im więcej zbliżaliśmy się ku Łysej Górze, tem weselsze dochodziły nas wieści, że tam spotkamy świeże kohorty Węgrów i Włochów pod komendą jenerała Klapki i Menotiego Garibaldiego, cóż więc za rozczarowanie nastąpiło, gdy w jakiejś ubogiej wioszczynie, zamiast spodziewanej legii węgierskiej, zastaliśmy około stu ludzi, tak jak my zgłodzonych i obdartych, pod komendą Czachowskiego.

Tutaj rozpoczyna się działalność wojenna tego dzielnego partyzanta — na własną rękę. Z rozbitków i nowych zaciągów zorganizowany oddział, łącząc się w miarę potrzeby z partyami Kononowicza, Grylińskiego i wielu innymi drobniejszymi oddziałkami, operował na szerokiej przestrzeni kraju województwa sandomierskiego, aż ku Mazowszu, stoczył kilka — skądinnąd znanych szczęśliwych bitew, srogo karał szpiegów i odstępców, rzucając postrach na Moskali.

Podsuwał on się pod same Kielce, 15 kwietnia stoczył bitwę pod Grabowcem, pod Stefankowem 20 kwietnia rozbił moskiewską kolumnę, a wziętego do niewoli jej dowódzcę Nikifirowa z sześcioma Smoleńcami, jako winnych mordów i rozbojów, dokonanych w lutym w Suchedniowie i Wąchocku, kazał powiesić w obozie pod „Piekiełkiem".

Najboleśniejszą stratą w tej bitwie była śmierć kapitana Grzmota (Dobrogojskiego) b. oficera rosyjskiego, którego dla odwagi i przymiotów serca, kochaliśmy jak prawdziwego ojca — cześć jego pamięci!

Karność oddziału Czachowskiego, jego generalne marsze i kontrmarsze wśród zewsząd otaczających go kolumn nieprzyjacielskich, o ile wyrobiły żołnierza — o tyle tak wyczerpywały z sił ludzi, że powszechnie modlono się o bitwy, dla znalezienia w nich śmierci, jako mniej groźnej, od nadludzkich wysiłków; co pewnie koledzy z tych czasów poświadczą, zwłaszcza że i surowość dowódcy, częstokroć przechodziła swą miarę.

Wreszcie doszło do tego, że w początkach maja ze wszech stron wyruszyły wojska dla otoczenia i zgniecenia tego oddziału. W dniach 5, 6 i 7 maja stoczyliśmy z temi kolumnami bitwy pod Borią, Ostrowcem i Rzeczniowem. W walce pod Ostrowcem zginął major ros. Klewcow, a pięciu dragonów kazał pułkownik Czachowski rozstrzelać w odwet za to, że mimo przestrzeżenia jenerała Uszakowa, aby nie dopuszczał do pastwienia nad jeńcami polskiemi — katusze i dobijania rannych, trwały dalej.

W ostatniej bitwie rzeczniowskiej, w której batalion Galicyan pod komendą majora Łopackiego, kapitanów Rogojskiego i Wujka, kilkakrotnie odparł bagnetem atakujące kolumny, a inne bronie z równą walczyły brawurą, zdziesiątkowane i zbiedzone wojska narodowe cofając się po kilkogodzinnej walce pod osłoną nocy, straciły łączność pomiędzy sobą i oddzielnie wysuwały się z matni.

Czachowski z uszczuploną garstką postanowił przejść Wisłę do województwa lubelskiego. Gdy jednak i to okazało się niemożliwem, kazał piechocie złożyć broń, dla ukrycia, a żołnierzom rozproszyć się pojedynczo, aż do późniejszego powołania, by samemu w kilkadziesiąt koni łatwiej przerżnąć się w bezpieczniejsze okolice.

Straszną była ta chwila złożenia broni — żołnierz nawykły do trudów i bojów, nie chciał się z nią rozstać, aż wezwany surowym rozkazem pułkownika, z którym nigdy nie można było żartować, że siłą zmusi do posłuszeństwa — zrozpaczony żołnierz wśród jęku i płaczu złożył broń w kozły i rozproszył się pojedynczo dla czasowego ukrycia się pomiędzy, bardzo w tych okolicach życzliwym dla powstania, ludem.

Piszący te wspomnienia, przeprawił się przez Wisłę na brzeg lubelski pod wsią Piotrowinem z kilkoma kolegami, pomiędzy którymi był Edward Webersfeld i Ujejski, a błąkając się w lesistych okolicach Rachowa, w czasie po rozgromieniu oddziałów Czerwińskiego i Żalplachty i równoczesnem Jeziorańskiego pod Kobylanką — obdarci i głodni po tylu trudach, bezwiednie zbliżyliśmy się na granicę galicyjską, gdzie zostaliśmy aresztowani, przez wojskowy kordon austryacki, pod komendą nieludzkiego strażnika skarbowego i odstawieni do Rozwadowa, a potem wstrętnymi etapami o brudnych więzieniach, do miejsc urodzenia.

Szczawnica w marcu 1903 r.



WŁODZIMIERZ WITOWSKI.

Pod Sowią górą.

(Bodzechów).

Urywek z pamiętnika r 1863.

Dnia 14-go grudnia 1863 r. wieczorem stanęliśmy w Pokrzywnicy, w sile około trzystu jeźdźców.

Jądro tej jazdy stanowili krakusi Chmielińskiego, pod komendą rotmistrza Krzywdy (Zygmunta Napoleona Rzewuskiego). Dzielni to byli jeźdźcy, wypróbowani w ogniu. Białe ich sukmany, a czerwone krakuski z pawiemi piórkami, nadawały im ten typ czysto mazowiecki, tak genialnie pochwycony przez wielkiego mistrza Jana Matejkę, w obrazie bitwy pod Racławicami.

Nazajutrz 15-go, od wczesnego rana powstał ruch w obozie, wyszedł bowiem rozkaz świeżego przekucia koni na ostro; w kuźni też o kilkaset kroków od dworu, przy drodze położonej, pracują kowale zawzięcie, bo koni dużo na tak małą kuźnię.

— Widocznie zanosi się na spotkanie z Moskwą — szepczą pomiędzy sobą wiarusy.

Przez całą też noc prawie przybywali co chwila gońcy do generała Bosaka, których wspólnie z pułkownikiem Chmielińskim, przyjmował w swoim gabinecie; a adjutant Chmielińskiego, major Piotr Doliński, pisał depesze i rozporządzenia, które przybyli gońce rozwożą do miejsc przeznaczenia.

Mimo dwudziestokilkostopniowego mrozu, większość wiary na dworze, przy kotłach, w których gotuje się strawa; śpiew, wesołość na okół... Niktby nie sądził, że ku tej garstce podąża moskiewski generał Czengery z siłą pięciu tysięcy piechoty i jazdy, oraz kilku dział.

Z południem ruch gońców zupełnie ustał, więc chwila wypoczynku dla generała i jego szefa sztabu, a po spożytym obiedzie, znaleźli się razem generał, jego szef sztabu z adjutantem, i piszący te słowa podporucznik, pełniący wówczas służbę oficera ordynansowego przy generale.

Generał cokolwiek chmurny i zamyślony. Rozmawiano o zbliżającym się Czengerym, o konieczności spotkania z tak przeważającemi siłami. Generał mówił o zawodach w dostawie broni, o trudnościach nagromadzenia sił większych, i mimowoli

rozmowa zeszła na ton smutniejszy, dziwnie odbijający od wesołości wiary na dworze...

Około trzeciej po południu. Chmieliński oświadczył, że czas w drogę.

Rozległa się też za chwilę pobudka i rozkaz wymarszu.

Późnym wieczorem dotarliśmy do Michowa, przeznaczonego na spoczynek nocny. Rozstawiono wedety, i znowu co chwila nowi gońce przybywają, a jak poprzedniej nocy, z mapą w ręku pracują Bosak, Chmieliński i jego adjutant.

Reszta oficerów zabawia się wesoło w innych pokojach dworu późno w noc, a przewodzi im Francuz, lekarz sztabowy dr. Montaigüe; aż w końcu nie rozbierając się, każdy spoczął, gdzie mógł i jak mógł.

Nazajutrz 19-go, zaledwie świtać poczęło, obudził nas strzał, który padł na wedecie. Strzał ten zabrzęczał tylko jak mucha nad uchem; lecz dziwne to usposobienie żołnierza, że gdy najszaleńszy gwar obozowy nie przeszkadza do snu twardego, strzał najdalszy lub pobudka, które zda się zaledwie dosłyszeć by można, otrzeźwiają odrazu.

Wypadliśmy więc z pokoi do stajen; rotmistrze spieszą do Chmielińskiego po rozkazy, a za chwilę cała wiara ustawiła się szwadronami, gotowa do wymarszu.

Nie słychać jednak dalszych strzałów, tylko w oddali długi łańcuch jakiejś jazdy, w zmroku porannym, na białem tle śniegu jak wąż się wije, i widocznie powolnym kłusem ku nam podąża.

Wytężamy wzrok: to kozactwo, a jednak zamiast przeciwko nim, Chmieliński rozkazał powolny ruch w przeciwnym kierunku.

Wtem oddziela się od owego kozactwa i przypada do stojących na uboczu generała Bosaka i pułkownika Chmielińskiego, dzielny jeździec na pięknym karym koniu z białą gwiazdką na czole.

Był to major Antoni Wielobycki, który przyprowadził nowo zorganizowany oddział naszych kozaków, pod dowództwem majora Denisiewicza.

Ubranie Wielobyckiego było cokolwiek fantastyczne, przez ramię zarzucona rotunda z amarantowego sukna, obrócona na wierzch długim włosem czarnych, rosyjskich baranków; jako mundur biała sukmanka, a na głowie czerwona krakuska, krakusów Chmielińskiego. Cała postać nadzwyczaj sympatyczna,

a do konia, gdyby przykuty. Stałem wówczas o parę kroków od generała i patrzyłem na składanie raportu, które miało cechę taką, jak gdyby Wielobycki był starym żołnierzem... Widać, że od dłuższego czasu służył pod Chmielińskiem, a może miał to i we krwi! Odrazu też, chociaż widziałem go po raz pierwszy, chwycił mnie za serce, a zarazem owładnął mną jakiś dziwny żal, gdym dojrzał wyraz smętny jego oczu; jak gdybym przeczuwał, że to ostatni dzień jego życia!..

Kozactwo nasze się zbliżyło. Było ich stu; chłopy dorodne i z fantazyą, konie dobrane, umundurowanie i uzbrojenie jednolite, lance długie bez proporców, a na głowach czapki baranie zupełnie takie, jak u moskiewskiego kozactwa. Wiara ta tak łudząco podobną była do moskiewskich kozaków, że w oddaleniu łatwo można się było pomylić; dowiedziałem się też później, że był to pomysł Chmielińskiego, mający na celu właśnie możliwość takiej pomyłki dla Moskali.

Dwór i zabudowania gospodarskie w Michowie, leżą w głębokim parowie, wzdłuż którego sączy się strumyk, wpadający pod Bodzechowem do rzeki Czarnej.

Wydobywszy się z tego parowu, w ciągu może godziny znaleźliśmy się na szerokiem płasko-wzgórzu, a wnet potem spostrzegliśmy ku nam zbliżającą się jazdę moskiewską.

Była to awangarda Czengerego.

Zaraz też, tak Chmieliński, jak i Moskale rozrzucili tyralierów, i rozpoczął się ogień ze stron obydwóch.

Cofając się, zostawialiśmy za sobą świeże łańcuchy tyralierów, które zastępowały, cofające się wpierw rzucone łańcuchy; i tak szło wszystko w najwyższym porządku, od świtu do godziny drugiej po południu, w którym to czasie znaleźliśmy się w Bodzechowie, doznawszy tylko nieznacznych strat w zabitych i rannych ludziach i koniach.

Według planu Chmielińskiego, ustępowanie nasze, miało na celu połączenie się z oddziałem piechoty, około 400 ludzi pozostającym pod dowództwem majora Liwocza (Karola Zaykowskiego), który według otrzymanego rozkazu, podążał ku nam, z głębi lasów, po lewym brzegu rzeki Czarnej położonych, (na wschód od Bodzechowa), — gdzie od dłuższego czasu przebywał dla uzupełnienia w ludziach i uzbrojeniu, jako i dla wyćwiczenia żołnierzy.

Oddział ten nie przybył na czas do Bodzechowa, a jak to później wyjaśnił sąd wojenny, przed którym stanął major Li-

wocz, — nie przybył z tego powodu, że zastąpił mu drogę oddział moskiewski, wprawdzie niezbyt silny, — ale rozprawienie się z nim powstrzymało pochód oddziału Liwocza przez kilka godzin, po upływie których, dalsze jego ku nam podążanie, stało się bezcelowem.

W owej bowiem chwili, gdy tyralierzy nasi znajdowali się jeszcze na wyżynie od strony północno-zachodniej Bodzechowa, a gros naszej jazdy, około czterystu koni, posuwało się w ścieśnionych szeregach, pomiędzy opłotkami, na drodze w pośrodku wsi samej, ku grobli na parę metrów wysokiej, prowadzącej do mostu na rzece Czarnej; z głębi parowu ciągnącego się od Mnichowa, aż niemal bezpośrednio w głąb części północnej Bodzechowa, wpadł najniespodziewaniej flankowym ruchem na kolumnę naszej jazdy, czerkies, rotmistrz rosyjski, Asiejew [1]) na czele, na ochotnika wybranych, czterdziestu dragonów, z niesłychanym impetem, tak, że zaledwie kilka strzałów rewolwerowych padło i rozpoczęła się walka na białą broń.

Walka ta trwała krótką chwilę a była rozpaczliwą, bo chociaż nasi byli liczebnie prawie dziesięćkroć silniejsi, to jednak wskutek ściśnięcia w zbitą masę pomiędzy opłotkami, nie mogli się rozwinąć; a przytem, po stronie moskiewskiej, składającej się z owych na ochotnika wybranych jeźdźców, była przewaga żołnierza przywykłego do podobnych awanturniczych wycieczek, przedsiębranych pod dowództwem głośnego już wówczas, wskutek swej osobistej a nieustraszonej odwagi, Asiejewa, o którym, jak to zwykle w takich wypadkach bywa, chodziła pomiędzy żołnierstwem moskiewskiem, a także i pomiędzy naszymi gadka, że się go „żadna kula nie ima“.

Niespodziewany ten atak, w połączeniu z fatalną pozycyą pomiędzy opłotkami, wznieciły wprawdzie popłoch pomiędzy naszymi, ale dopiero po chwili, gdy dał się słyszeć silniejszy ogień po za nami na płaskowzgórzu, a pozostawione łańcuchy naszych tyralierów, ustępując przed naciskiem silniejszych kolumn dragonii i kozactwa, przypadły do nas, nie wiedząc, że tu już Asiejew usiłuje zastąpić nam drogę odwrotu, jazda nasza, siłą bezładnej masy, przedarła się przez tę garstkę dragonii.

Straty nasze w owej chwili nie były zbyt dotkliwe, lecz znający służbę wojskową, wiedzą, jak wytrawnej potrzeba jazdy,

---

[1]) Ten sam Asiejew w innej potrzebie dawniejszej, w starciu na pałasze, obciął rękę posłowi Józefowi Męcińskiemu.

ażeby po pierwszym podobnym popłochu, ład napowrót wprowadzić.

Atak Asiejewa sprowadziła zdrada, jak to się później wyjaśniło. Gdy bowiem Czengery, po naszem odejściu wszedł do Michowa, znalazł się zdrajca[1]), który objaśniwszy go o położeniu miejscowem, oświadczył gotowość przeprowadzenia dragonii parowem ku Bodzechowu, po wąskiej, zaledwie dla pieszych odpowiedniej ścieżce.

Czengery umiał zużytkować sytuacyę, gdyż wysyłając Asiejewa tą drogą, zamierzał prawdopodobnie nietylko znieść most na rzece Czarnej, wysoko nad poziomem wody się wznoszący, czem, wobec wprawdzie w tem miejscu głębokiej i o bardzo stromych — prawie prostopadłych brzegach, lecz wówczas zamarzniętej rzeki, pochód nasz mógł tylko utrudnić; zaś następnie atakiem Asiejewa na czoło naszej kolumny, chciał bezwątpienia wziąść nas we dwa ognie, by o ile możności powstrzymać, jeżeli nie zupełnie odciąć dalszy nasz pochód ku rozległym lasom; względnie przeszkodzić połączeniu się z naszymi oddziałami piechoty tam rozłożonej, o których przecież musiał mieć wiadomość. Asiejew jednak spóźnił się o pół godziny — i mógł już tylko atak flankowy wykonać. Gdyby zaś połączenie się nasze z naszą piechotą, o czem powyżej wspomniałem, przed tym atakiem było nastąpiło; całodzienna wzorowa walka naszej jazdy, w której prawie wszystkie szwadrony po kolei w tyralierach się znalazły, a przytem do owej chwili stosunkowo bardzo nieznaczne straty nasze, spotkaniu temu z Czengerym, bezwątpienia innyby było nadało obrot. Jak to bowiem już kilka razy przedtem pokazał Chmieliński, kombinowanemi ruchami swych oddziałów jazdy, z rozłożonemi po lasach oddziałami piechoty, przeważające siły moskiewskie zwyciężał i rozpędzał na cztery wiatry.

Gdy z powyższego zamięszania, jak już wspomniałem, siłą bezładnej masy, przedarli się nasi przez dragonię Asiejewa i wydobyli się z pomiędzy opłotków, generał Bosak i pułkownik Chmieliński ruszyli groblą przez most ku wschodowi,

---

[1]) Był to małomieszczanin z tamtych okolic, skazany później wyrokiem sądu wojennego z dwoma innymi na karę śmierci, którą też wykonano w obecności oddziału piechoty w którym się znajdowałem. Zbrodniarz zatwardziały do ostatniej chwili drwił ze słów kapłana do niego zwróconych, bluźniąc Bogu i Ojczyźnie.

zaś równocześnie z płaskowzgórza po stronie północno-zachodniej Bodzechowa, waliła się moc jazdy moskiewskiej.

Generał Bosak zatrzymał się przy końcu grobli, a względnie na początku drogi wchodzącej w las, o kilkaset kroków za mostem, u stoku piaszczystego wzgórza, zwanego „Sowią górą“, na którem znajdują się zabudowania folwarczne, zaś o jakie trzysta kroków od mostu na prawo grobli, stanął pułkownik Chmieliński, i począł wołać na naszych „stój! za mną — formuj się!“, co też usłyszawszy niektórzy oficerowie, powtarzali za Chmielińskim.

Jakkolwiek było to w chwili, w której zapanowała krótka ale dziwnie złowroga cisza, zdająca się wskazywać, że obie strony walczące zamierzają uczynić coś stanowczego, to jednak komenda ta sprowadziła do boku Chmielińskiego zaledwie może dziesięciu jeźdźców i to kilku oficerów, pomiędzy którymi zapamiętałem Piotra Dolińskiego, Antoniego Wielobyckiego, Jana Prędowskiego, a także paru szeregowców.

Tymczasem położenie stawało się z każdą chwilą fatalniejsze, gdyż Moskale, jak zwykle dla postrachu poczęli strzelać od strony Bodzechowa całemi salwami, w gruncie nieszkodliwemi i nie było na razie widocznem, czy zamierzają przeprawić się za nami dalej przez most; lecz nasza jazda, zdemoralizowana najpierw niespodziewanym atakiem flankowym Asiejewa, a dalej hukiem strzałów, nie zważała na komendę, a może i nie słyszała nawoływań Chmielińskiego i oficerów; lecz widząc o paręset kroków dalej stojącego tuż pod lasem generała Bosaka, odznaczającego się wysoką białą konfederatkę z kitą piór czaplich, pędziła ku niemu.

Asiejew tymczasem zebrał swych dragonów, i na ich czele ze znaną brawurą popędził przez most i rzucił się na tę garstkę jeźdźców stojących obok Chmielińskiego. Atak tej dragonii na ich ciężkich koniach, a rozgrzanej już pierwszem powodzeniem, był szalony, a przytem Asiejew musiał się domyślać, że to któryś z naszych wodzów, a może też i wiedział, że to Chmieliński, który odróżniał się od innych swoim szarym długim płaszczem i grubemi srebrnemi bulionami na ramionach. Padły też obustronne strzały rewolwerowe w oddaleniu zaledwie kilkunastu kroków, spadło wówczas z koni kilku dragonów i paru naszych, lecz nie mogliśmy się oprzeć temu natarciu!. Kto też pozostał żyw i cały, lub mógł jeszcze utrzymać się na koniu, zwrócił się ku lasowi; lecz o parę zaledwie kroków za

sobą, ujrzał nową zaporę, rów szeroki na parę metrów, a przeszło metr głęboki.

Działo się to około trzeciej godziny po południu, mróz był szalony, śnieg trzeszczał pod nogami, brzegi rowu śniegiem i lodem pokryte, jak to zwykle bywa u nas w drugiej połowie grudnia. Przesadzając rów, klacz Chmielińskiego, pieścidełko arabskie, splątała się i runęła wraz z jeźdźcem w głąb rowu...

Jeden z dragonów, widząc zapewne srebrne buliony na ramionach, z okrzykiem przypadł tuż za Chmielińskim, a gdy ten zerwał się na nogi dla obrony, przyskoczyli inni dragoni i Chmieliński otrzymał z całym impetem wymierzone cięcie w głowę, tak, że ciężko ranny, upadł powtórnie; zaś w tej zamieszce, klacz jego lotem strzały pomknęła za nami, a dragoni porwawszy co prędzej rannego, zwrócili się ku swoim, których dalsze zastępy wówczas właśnie zaczęły przechodzić przez most i rozstawiać się po obu stronach grobli.

Gdy to wszystko stało się w daleko krótszym czasie, aniżeli da się opowiedzieć, generał Bosak widząc ujęcie i uprowadzenie Chmielińskiego przez dragonów, chciał dla jego obrony zaraz w pierwszej chwili, z nieliczną gromadką jeźdźców, która przy nim się zatrzymała, uderzyć na Asiejewa; lecz w końcu zrozpaczony i niemal zmuszony przez otaczających go oficerów, zgodził się na dalszy odwrót, który wobec coraz to bardziej napierającej Moskwy, stał się nieuniknionym, chcąc bodaj w części uratować naszą jazdę, wśród której szeregów wszelki porządek zniknął — a z chwilą ponownego ruchu dragonii, przeciwko nam skierowanego, usiłowania naszych oficerów, celem przywrócenia porządku najmniejszego nie znajdowały posłuchu.

Ogarnął też nas nieopisany smutek, bo czuliśmy wszyscy, co czekało dzielnego Chmielińskiego, jakkolwiek w swoim czasie przyczynił się był, do zdobycia Kaukazu przez Moskwę!

W owej to chwili rozpoczął się najzupełniej bezładny odwrót, a kto widział umykającą w boju jazdę, ten wie, co to znaczy.

Tymczasem wszelkie strzały ucichły, a zrównawszy się z Wielobyckim, zapytałem, czy nie byłoby dobrze, abyśmy obadwa w kilka koni zawrócili jako rekonesans, dla zobaczenia, co znaczy ta cisza i co Moskwa robi? Czy posuwa się za nami, lub czy wobec lasu, bojąc się zasadzki, Czengery syt chwały ze zdobytego jeńca, Chmielińskiego, pozostawia nas dalszym losom?

Zwróciliśmy się też zaraz wraz z adjutantem Dolińskim, i z fornalem a wiernym sługą Wielobyckiego, nazwiskiem Gronostaj, który, jako krakus szeregowiec, na krok nie odstępował swego ukochanego pana.

Gdy nasi popędzili dalej, znaleźliśmy się we czwórkę na tej samej drodze, którą przebyliśmy przed chwilą, a wnet ucichł także tentent biegu naszej jazdy, i cisza ogólna zapanowała.

Była to bowiem właśnie chwila, w której generał Bosak i pozostali z nim oficerowie, zdołali wkońcu na polanie w pośród lasu położonej, cokolwiek w ukryciu ustawić pozostałą resztę naszej jazdy, — a działo się to około czwartej po południu.

Drożyna którą przebywaliśmy we czwórkę, była tak wązką, że wskutek z dwóch stron wystających gałęzi świerkowych, ażeby mieć ruchy swobodne, musieliśmy jechać dwójkami: Wielobycki i piszący te słowa w pierwszej dwójce, — a za nami Gronostaj i Doliński; miejscami las młodych świerków był tak gęsty, że w niego wjechać było niemal niemożebne.

Jak więc ostrożność nakazywała, postępowaliśmy jak najciszej, para za parą w odstępie kilku kroków, z rewolwerami w ręku, gdy wtem — na bardzo wązkiem miejscu, z obu stron gęsto zarośniętem. a w silnem załamaniu drogi, znaleźliśmy się najniespodziewaniej oko w oko z dragonią, na której czele z rewolwerem w ręku stał Asiejew... widocznie nas oczekujący.

Padły obustronne strzały... Wielobycki runął z konia [1]), pozostali trzej zwróciliśmy konie, lecz w tej chwili padły znów strzały, a koń mój spiął się i runął na ziemię, widocznie śmiertelnie raniony; sam zaś dziwnem zrządzeniem Opatrzności będąc nietknięty, zerwałem się i jednym susem znalazłem się w gąszczu świerków, przyczem upadłem, zaś grad kul za mną posłany, przeszedł górą; gdy Asiejew nie troszcząc się dalej o mnie, ze swymi dragonami popędził za Dolińskim i Gronosta-

---

[1]) Rotmistrz Krzywda w pamiętnikach swoich o roku 1863 podaje inaczej szczegóły dotyczące Wielobyckiego. Jako koledzy z czasów owych zeszliśmy się później w jednym zawodzie, a gdy przypominając sobie powyższe wypadki, każdy upierał się przy swojem, była chwila, że sam zacząłem powątpiewać o tem co widziałem.

Dopiero niedawno wyczytawszy zdanie jednego ze starszych krytyków francuskich: „że uczestnicy jednych i tych samych wypadków wojennych, wynoszą z nich często nadzwyczaj od siebie odbiegające wrażenia i tak je podają dalej“ — zdecydowałem się pozostać przy tem — co widziałem sam.

jem, przecisnąłem się wśród gąszczu kilkadziesiąt kroków w głąb lasu, a wsunąwszy się w jak najgęstszy klomb młodych świerków, nabiłem wystrzelony rewolwer i przygotowałem się na wszelką ewentualność.

Tymczasem po chwili w okolicy polany zagrzmiały gęste strzały, to Asiejew i jego dragoni przywitani zostali przez naszych, lecz jak zawsze, jego samego „kula się nie chwyciła“, — i tylko stracił kilku dragonów i parę koni, a sam z resztą pomknął nazad ku swoim. W powrocie tym spotkał kozaków, którzy po pierwszych jeszcze strzałach za nim podążali, i słyszałem wśród ciszy, z jaką radością obdzierali napotykane po drodze trupy zabitych i znęcali się nad rannymi. Gdy zaś właśnie zmrok zaczął zapadać, więc Asiejew zabrał kozactwo to i wszyscy ustąpili z lasu, a wnet przy ciszy wieczornej, dolatywał tylko gwar z niedalekiego, w Bodzechowie rozłożonego, obozu moskiewskiego.

Wówczas to postanowiłem bez zwłoki podążyć za generałem Bosakiem — lecz gdzie go znaleźć? Kędy się zwrócić, ażeby nie spotkać patrolujących Moskali?

Wnet też i noc zapadła, — lecz gdy chodzi o wolność, a może i o życie, zmysły ludzkie dziwnie się potęgują, więc instynktem wiedzie się człowiek nawet w nieznanym sobie lesie. Pamiętając o przysłowiowym wówczas respekcie Moskali przed lasem, a starając się zachować jak najciszej, ażeby brzękiem pałasza nie poruszyć otaczającego mnie spokoju i ciszy, puściłem się przeżegnawszy i oddawszy w opiekę Bogu Najwyższemu, w stronę przeciwną Bodzechowu, ku wschodowi, a w tym kierunku, z którego dochodziło mnie zaledwie dosłyszane szczekanie psa.

Po paru godzinach błąkania się po lesie, zapadając nieraz w śniegu po pas, zobaczyłem w końcu słabe światełko, a pies zaczął silniej ujadać. Zbliżałem się więc ostrożnie do okna tej samotnie w lesie stojącej chaty, lecz brzęknąłem przytem przypadkowo silniej pałaszem, a pies szczególnym trafem się uciszył; — spojrzałem do okna — lecz w oświetlonej izbie pusto.

W owej to chwili wypadł z chaty przestraszony chłop, tamtejszy gajowy, jak się pokazało duszą i ciałem nam oddany. Przeraził go szczęk broni, bo sądził, że to patrol moskiewski, i wówczas uciszył psa.

Przekonawszy się zaś, że to swój, wprowadził mnie do komory, gdzie zasłyszawszy ów szczęk, ukryto rannego rotmistrza Jana Prędowskiego.

Przy przesadzaniu rowu pod Sowią górą, dragon go dopadł i ciął w głowę, lecz Prędowski był dzielnym jeźdźcem, i jakkolwiek zaćmiło mu się w oczach, do których krew pociekła, ścisnął konia ostrogami, rów przesadził, a koń poniósł go na oślep, tak że sam Prędowski nie wiedział, jak się znalazł przy tej chacie. Tu dopiero przybywszy zemdlał i spadł z konia, — a poczciwi ludziska ocucili go i w chacie ukryli.

Lecz gdy Bodzechów był zbyt blisko, więc należało nie czekać rana, ale coprędzej się oddalić. Po posileniu się też po całodziennym głodzie, kawałem razowego chleba i mlekiem, jakie na szczęście w chacie się znalazło, udałem się z gajowym do najbliższego przysiołka, gdzie przewodnik wskazał mi dom sołtysa; a sam nie czekając powrócił, ażeby odprowadzić rannego rotmistrza w miejsce bezpieczne. Wziąwszy podwodę, sam sołtys odwiózł mnie jeszcze wśród nocy do najbliższego obozowiska naszej piechoty, pod dowództwem majora Liwocza, skąd po krótkiem wytchnieniu i po zasięgnięciu języka, nową podwodą udałem się do radkowickich lasów, gdzie we dworze, wczesnym rankiem zastałem już generała Bosaka, z rozbitkami naszej jazdy, której niestety brakło w większéj połowie.

Gdym się stawił przed generałem, ten żywo się zerwał, mówiąc: „To ty żyjesz? Zapewniano mnie, żeś poległ na drodze w lesie!“

Raportowałem mu wszystkie wiadome mi szczegóły tak dnia jak i nocy ubiegłej, poczem z goryczą rzekł generał: „Biedny Chmieliński, straciliśmy go, bo jazda nasza nie dotrzymała placu, a piechota nie przyszła na czas“.

Gdy po przyjęciu i wysłaniu kilku gońców, generał sam pozostał, zwróciłem się do niego z prośbą o przeniesienie mnie do piechoty, której oddziały rozłożone były po lasach. „Znowu straciłem konia“, rzekłem do generała — „zaś Grochowiska, gdzie wpędzono nas kartaczami w moczary, a później Rybnica i Jurkowicie, gdzie po dwakroć zabito mi konia, a nareszcie dzień wczorajszy przekonały mnie, jak smutną jest rola kawalerzysty bez konia, — gdy przeciwnie karabin, to najlepszy, i do ostatniego tchnienia nieodstępny przyjaciel-obrońca“.

Na to odrzekł generał z początku ostro: „Już i w tobie odzywa się szlachecka żyłka niesubordynacyi, nie tam chcesz

być, gdzie każą, ale według swej fantazyi!" Lecz po chwili milczenia dodał: „Chciałem, ażebyś pozostał nadal ze mną, ale za zasługi twoje dotychczasowe, przenoszę cię do piechoty oddziału majora Rębajły".

W parę godzin później, generał po naradzie z obecnymi rotmistrzami, rozkazał stanąć w pogotowiu do wymarszu całej jazdy, i przemówił, stojąc na podwyższeniu ganku przed dworem, w te słowa:

„Straciliśmy pułkownika Chmielińskiego, jednego z najwierniejszych synów naszej Ojczyzny, a z najdzielniejszych naszych dowódców. Strata ta niepowetowana po części jest waszą winą; zgromadziłem was około siebie, bo zamierzałem z pomocą znaczniejszej ilości jazdy, akcyę dalszą prowadzić, ale widzę, żem się na was zawiódł, — więc was porzucam i rozdzielam pomiędzy oddziały, po kraju porozkładane. Tam pełnić będziecie służbę wywiadowczą i tam znowu się zobaczymy".

Po tej surowej przemowie, wszedł generał do dworu, i zaraz też zgromadzona jazda opuściła Radkowice, a dziwnem zrządzeniem losu, drogę do oddziału piechoty dzielnego, — wówczas majora (później mianowanego pułkownikiem) Rębajły (Karola Kality) przebyłem na tej samej klaczy, która była powodem śmierci Chmielińskiego.

Dzieliłem też odtąd losy tego oddziału, aż do upadku powstania i oprócz w innych przeprawach, brałem udział w codziennych jego walkach od 21 grudnia 1863 r. do 24 marca 1864 r.

Lwów w marcu 1903 r.



WALERYAN WOLSKI.

I. Bitwa pod Stefankowem.

Oddział Czachowskiego obozował w lasach Niekłańskich, gdzie zgromadziły się oddziały Kononowicza, Wiśniewskiego i Stamirowskiego.; w lesie zwanym Piekło, wypoczywał Czachowski po tygodniowym forsownym marszu.

Tutaj właśnie doszła go wieść, że Nikiforow, który palił miasteczka, idzie do Końskich na pomoc, wioząc z sobą trzy jaszczyki prochu; Czachowski w lot powziął postanowienie, ukarania tego dzikiego zwierza.

Zaraz po północy z dnia 22. na 23. kwietnia 1863, zabrał na ochotnika oddział piechoty Łopackiego, kosynierów z Konstantym Olszewskim, kawaleryę Bertolego i Stamirowskiego i oddział konnicy Antoniego Wielobyckiego.

Po kilkogodzinnym marszu, weszliśmy do lasu nadzwyczaj gęstego, przez który płynęła rzeczułka, las ten zwano Stefanków.

Wchodząc na wązką drożynę, były kapitan wojska rosyjskiego Dobrogojski. (Grzmot) zakomenderował: „Kawalerya naprzód!“ — Uszykowaliśmy się w czwórki i zaledwie posunęliśmy się trochę naprzód, spotkaliśmy oddział Moskali.

Ci zobaczywszy, że mamy samą kawaleryę, stanęli. Stamirowski widząc, że Moskale stanęli, wysunął się naprzód i zaczął im różne figle płatać, wyzywać i besztać.

Przez ten czas nasza piechota formowała się w lesie. Wtem Czachowski, dopadając do nas, zakomenderował: „kawalerya na prawo i lewo w las!“ i ledwośmy się rozjechali, Moskale dali ognia, raniąc Stamirowskiego. Nim nazad wyjechaliśmy z lasu, kosynierzy zrobili z Moskalami taki porządek, że ciężko było przez kupę zabitych przejechać. Część Moskali uciekając strzelała, część zaś uciekła na bagna i tam krzyczeli, że są ranni; kosynierzy jednak na to nie zważali i bili każdego, który im wlazł pod rękę. Czachowski zwijał się przez cały czas bitwy, nie zważając na niebezpieczeństwo i zagrzewał młodzież do walki.

Zabraliśmy 3 jaszczyki prochu i 3 wozy karabinów. Tym sposobem cały nasz oddział został uzbrojony w karabiny. Z naszej strony zginęło tam kilku, a między nimi Dobrogojski.

Gdy przyprowadzono do Czachowskiego rannego Nikoforowa, ten przywitał go nahajką i rzekł doń: łajdaku, podpalaczu, jako oficera odesłałbym cię do szpitala, lecz jako rabuś będziesz wisiał.

Tak się też i stało. — Gdy powróciliśmy do obozu w Piekle, gdzie pozostała reszta oddziału, przywitani zostaliśmy z największym entuzyazmem.

Zwołano sąd wojenny na Nikiforowa i skazano go na karę śmierci.

Kozakowi rannemu dał Czachowski 10 rubli i odesłał go z listem do Uszakowa.

Przed zachodem słońca wykonano wyrok na Nikiforowie, a oddział wyruszył w lasy koneckie.

W bitwie tej między innymi brali udział: Bolesław Turski, Wojciech Turski, Adolf Czachowski, syn pułkownika, Edward Webersfeld, Gabryel Lipski i Waleryan Wolski.

II. Bitwa pod Bodzechowem.

W dniu 15. grudnia przybył do Mnichowa na nocleg, oddział majora kawaleryi, Antoniego Wielobyckiego, wraz z kozakami Denisiewicza.

We wsi tej miano ostro okuć konie, gdyż był mróz i gołoledź. Tejże samej nocy zaalarmowano nas fałszywie, kowale umknęli, a cały obóz wyruszył w dalszy pochód, chcąc połączyć się z oddziałem kawaleryi Chmielińskiego; jednego z najdzielniejszych i najodważniejszych dowódzców. Przybyliśmy tam rankiem, pułkownik wyszedł naprzeciw nas, zaprezentowaliśmy broń, a Chmieliński orzekł głośno, iż nas teraz żadna siła Moskala nie rozbije. Niebawem zawezwał nas, obozujący tam, jenerał Bosak (Hauke) zapraszając na śniadanie. Zaledwo zabawiliśmy chwilkę, a już doniesiono, iż Moskale otaczają nas ze wszystkich stron. Postanowiono, przedrzeć się do Sienna, rozsypując się; to było niemożliwe, wróg otaczał nas coraz szczelniej.

Wtedy zarządził jenerał, by major Wielobycki udał się z swą kolumną do Bodzechowa, dokąd to pozostała jedyna wolna droga wśród wąwozów. Z kolumną tą pojechał również pułkownik Chmieliński. My, stara kawalerya pod wodzem Bosakiem, mieliśmy również cofnąć się do Bodzechowa, rozsypani w tyraliery, prażeni z trzech stron kulami moskiewskiemi, przysuwaliśmy się do wskazanej miejscowości.

Bosak jeździł śród gradu kul, a komenderując szpicrutą nakazywał dobitnie: „tylko strzelać wolno, a celnie“.

Do Bodzechowa było około dwóch mil, pochód ten trwał wśród nieustannego ognia moskiewskiego, nie wyrządzającego jednak tak wiele szkód od 6 do 12 w południe. Teraz Moskale puścili na nas kawaleryę. Jenerał krzyknął na koń! Zaledwo go dosiadłem, mój koń dostawszy kulą moskiewską w ucho, pada — krzyknąłem więc do kolegi Rudzkiego — dawaj mi konia! Przyprowadził mi jednego — wsiadam i ten pada podemną rażony kulą. Sam nie wiem, w jaki sposób dosiadłem trzeciego konia, gdyż dragoni wpadli już na nas szarżą. Kolumna nasza

i dragoni w ataku tak zostali ściśnięci, iż walka stała się niemożliwą — konie przytykały do koni, nogi w strasznym ścisku, pałasza nie można było wydobyć. W pędzie takim *en carrière* 300 koni, Moskale i Polacy pomięszani wpadli w opłotki, po za któremi moskiewska piechota prażyła nieustannym ogniem. Strzelali, przykładając bagnet do nóg, do boków przejeżdżających. Trupy pozostawały na koniach ściśnięte z żywymi, niemogąc paść, gdyż nie było miejsca. Kiedy ułanowi naszemu przechyliła się chorągiewka lancy, aż na grzbiet konia poprzedzającego, na którym jechał Lipski, koń podrażniony chciał dać szczupaka, wspiął się, a Lipski ściągając go, wbił sobie w nogę ostrze lancy. Tak było ciasno, iż nie mógł jej wyciągnąć i dopiero przybywszy na miejsce, uwolnił się od straszliwego bolu. Łatwo zrozumieć, iż pod strzałami moskiewskiemi padali i dragoni moskiewscy. Spostrzegł to dowódzca Miediunow, rozpiął szynel i pokazując czerwoną szarfę, krzyknął: „Rebiata, łożitieś na koń!“ Moskale i my Polacy, wszyscy usłuchaliśmy komendy, kładąc się na konia i tak wpadliśmy na wąski mostek ponad rzeczką przechodzącą przez wieś. Mostek cały był zasłany trupami koni i ludzi — prawdopodobnie z kolumny Wielobyckiego. Popędziliśmy jeszcze kłusem i wpadliśmy do naszych. Stał tam jenerał Bosak, Wielobycki i wielu innych. — Nagle usłyszałem głos jenerała, zwrócił się do Wielobyckiego i rzekł: Majorze odwróć się! czy nie słychać już strzałów? Wielobycki odwraca się i w tej samej chwili dostaje moskiewską kulą w same czoło — pada martwy. Był to ostatni strzał moskiewski. Nagle przestałem rozróżniać otoczenie, osłabłem, ciemno mi się zrobiło przed oczyma, zemdlałem i zleciałem z konia. Później dopiero dowiedziałem się, iż byłem ciężko ranny w nogę. Odwieziono mię do Sienna i tam leżałem na poczcie.

Dowiedziałem się potem, iż kolumna, która nas poprzedziła, stoczyła walkę z Moskalami, a sam Chmieliński otrzymawszy dwa cięcia w głowę, upadł pod lasem. Byłby uszedł niewoli, ale widząc przejeżdżających dragonów, strzelił dwa razy z rewolweru i dwóch położył trupem. Chwycono go, zawieziono do Radomia i tam został rozstrzelany. Gdyby nie nasz oddział piechoty Liwocza, który odciągnął od nas trzy kompanje Moskali, idących na nas od miasteczka Sienna, wycięto by nas

wszystkich w pień, albowiem zamknięto by nam drogę do Bodzechowa.

Tak odbyła się krwawa bitwa pod Bodzechowem, w której byłem porucznikiem kawaleryi.



(†) WŁODZIMIERZ WOLSKI.

I. Marsz Żuawów.

Nie masz to wiary, jak w naszym znaku
Na bakier fezy, do góry wąsy,
Śmiech i manierek brzęk na biwaku,
W marszu się idzie, jak gdyby w pląsy.
Lecz gdy bój zawre, to nie na żarty,
Znak i karabin do ręki bierzem,
A Polak w boju kiedy uparty
Stanie od razu starym żołnierzem.
Marsz, marsz Żuawy!
Na bój, na krwawy,
Święty a prawy —
Marsz Żuawy, marsz!

Pamięta Moskwa, co Żuaw znaczy,
Drżąc, sołdat jego wspomina imię;
Sporo, bo nakłuł carskich siepaczy
Brat nasz, francuski Żuawek w Krymie.
Miechów, Sosnówkę, Chrobrz, Grochowiska,
Dzwoniąc też w zęby wspomni zbój cara —
Krwią garstka doszła mężnych nazwiska,
Garstka się biła, jak stara wiara.
Marsz, marsz Żuawy i t. d.

Kiedy rozsypiem się w tyraliery
Zabawnie pełzać z bronią, jak krety;
Lecz lepszy ogień gęsty a szczery.
I lepszy rozkaz: marsz na bagnety!
Bo to sam bagnet w ręku aż rośnie,
Tak wzrasta zapał w dzielnym ataku,
Hura! hej hura! huczy radośnie,
Górą krzyż biały na czarnym znaku!
Marsz, marsz Żuawy i t. d.

W śniegu i błocie mokre noclegi,
Choć się zasypia przy sosen szumie,
W ogniu rzednieją dyablo szeregi,
Chociaż się zaraz szlusować umie.
A braciom ległym na polu chwały,
Mówimy: w krótce nas zobaczycie!
Pierw za jednego z was pluton cały
Zbójów, nam odda marne swe życie.
Marsz, marsz Żuawy i t. d.

Po boju spoczniem na wsi, czy w mieście,
Cóż to za słodka dla nas podzięka,
Gdy spojrzy mile oko niewieście,
Twarz zapłoniona błyśnie z okienka!
Bo serca Polek, bo ich urodę
Żuaw czci z serca, jak żołnierz prawy,
I choćby za tę jedną nagrodę,
Winien być pierwszy wśród boju wrzawy.
Marsz, marsz Żuawy i t. d.

Nie lubim spierać się o czcze kwestye,
Ale na marne carskie dekrety,
Jakieś koncesye, jakieś amnestye,
Jedna odpowiedź: marsz na bagnety!
By ta odpowiedź była dobitną,
Wystosowana zdrowo a celnie,
Niech ją Żuawy najpierwsi wytną,
Bagnety nasze piszą czytelnie.
Marsz, marsz Żuawy i t. d.

Słońce lśni jasno, albo z za chmury,
Różne są losy nierównej wojny;
Żuaw ma zawsze uszy do góry,
Z bronią u boku zawsze spokojny.
Kiedyśmy mogli z dłońmi gołemi,
Oprzeć się dzikiej hordzie żołnierzy,
To z bronią wyprzem ich z polskiej ziemi
Nie do Żuawów — kto w to nie wierzy.
Marsz, marsz Żuawy i t. d.

II. Marsz sybirski.

Ostro po mrozie stąpajmy w szeregu
Jako straż przednia męczarni i nędzy,
Jeżeli który zmarzły padnie w śniegu,
Nie płaczmy po nim, on odpocznie prędzej.
A my pod kolbą, pod batem sołdatów,
Na długo, długo pójdziem w step daleki,
Zanim pod knutem dzikszych jeszcze katów
Nie odpoczniemy w kopalni na wieki.

Ten brat naczelny z pomiędzy nędzarzy,
Co strat i cierpień swoich nie wymienia,
Co niewieściemi łzami nie pogwarzy
O żonie, dzieciach — na co te wspomnienia?!
Ten najdzielniejszy, który wie, że zbrodnia
Wrogów się wzmoże, jak z wichrem zawieja,
Że w sroższych mękach nadziei pochodnia
Wytli się, zgaśnie — po co ta nadzieja?!

Ten nasz bohater, co rzewność pokona,
Kiedy mu w myśli stanie ojców strzecha,
Płacząca matka i starzec... i ona
Łzami zalana — na co ta pociecha?!
Ten najmężniejszy, który się nie spodli
Jak bojaźliwy żołnierz podczas bitwy,
Co zdjęty strachem bezwiednie się modli
O marne życie — po co te modlitwy?!

Ten nasz przewódca, który się nie łudzi —
Choć ludów carskich niewola zmalała
Z naszych męczarni — aby okiem ludzi
Spojrzały na nas — po co nam ta chwała?!
Ten najdzielniejszy, co pierwszy dostrzeże,
Iż Moskal, co ci klął przyjaźń przed Bogiem,
Ukąsi milczkiem, jak drapieżne zwierze
W przyjazne serce — na co przyjaźń z wrogiem?!

Z ziemi, gdzie dymią zgorzeliska czarne,
Gdzie sterczą z gruzów szubieniczne słupy,
Idziemy śmiało — jak duchy cmentarne,
Martwi na męki — jak chodzące trupy.

Kiedy nam w sercach nawet głos rozpaczy
Już brzmi za cicho przy brzęku kajdanów,
Jednak, nędzarze, patrzym na siepaczy
Okiem aniołów na hordę szatanów.

Przed nami śnieżne bez granic przestrzenie
Lub bór dziewiczy ciemny pas rozrzuca,
Wkoło nas wichru stepowego tchnienie
Wysysa oddech, pożera nam płuca.
Nad nami błyska na wieczornem niebie
Północna, krwawo zrumieniona zorza...
I na całunach śniegów wkoło siebie
Widzimy krwawe plamy, krwawe morza.

I kat tej jednej nie wydrze nam wiary,
I knut w nas głosu tego nie oniemi,
Że za męczarnie nasze i ofiary
Krwi morza muszą spłynąć w carskiej ziemi.
Z tą wiarą będziem przykuci kopali,
Będziem kilofem rąbać skały, ściany,
Jeśli załamie się i nas przywali,
To się zagrzebią pod nią — te szatany.

Bo choć zaleją brzeg rzeki powodzie,
Rzeka się musi zawrócić do łoża,
Choć dzicz się pastwi na wolnym narodzie,
Nie da go zalać dłoń dziejów, dłoń Boża.
Choć ta dzicz drzewem szerokich gałęzi,
Z pniem grubym, z czołem patrzącem w obłoki,
Ale grunt, który korzenie mu więzi,
Już mu nie starczy na pożywne soki.

A drzewo takie pada samo w lesie
Olbrzymim trupem — wtedy podejść blizko,
To kilka dłoni olbrzyma podniesie
I spróchniałego rzuci na ognisko.
Niechaj potrząśnie raz wolności ręka
Carskiej budowy kunsztownemi wroty,
Wyłamie — to wraz spaczy się, popęka,
Runie zlep strachu, zbrodni i ciemnoty.

Ostro po mrozie stąpajmy w szeregu,
Jako straż przednia męczarni i nędzy,

Jeżeli który zmarzły padnie w śniegu,
Nie płaczmy po nim, on odpocznie prędzej.
A my pod kolbą, pod batem sołdatów
Na długo, długo pójdziem w step daleki,
Zanim pod knutem jeszcze dzikszych katów
Nie odpoczniemy w kopalni na wieki.



DR. NAPOLEON WRONOWSKI.

Węgrów-Siemiatycze.

Należąc do organizacyi od początku roku 1861, jako student akademii medyko-chirurgicznej w Warszawie, znałem wszystkie braki i niedostatki tejże organizacyi i nietajnem mi było, że przygotowania do nieuniknionego, zbrojnego powstania były prawie żadne. Broni jednem słowem nie było, a mój wrodzony pesymizm nie dozwalał mi wierzyć, iż pięściami i kijami zdobędziemy karabiny i armaty, a tak zdobytą bronią, wypędzimy wroga.

Dlatego to ze smutkiem i niewiarą w powodzenie, dowiedziałem się o powziętem postanowieniu, przez Komitet Centralny, postanowieniu uderzenia na wroga, w dniu 22 stycznia. Pomimo tego poczucie obowiązku przemogło: 22 stycznia kuryerką pocztową wyjechałem z Warszawy i bez przeszkód stanąłem w Węgrowie.

W dniu tym powstanie rzeczywiście wybuchło na dwudziestukilku punktach kraju; było ono taką niespodzianką dla naszych wrogów, iż choć z różnem powodzeniem było rozpoczęte, Moskale przestraszeni, ściągać się zaczęli w większe załogi w znaczniejszych miastach. Tym sposobem w mniejszych miasteczkach oddziały powstańcze swobodnie formować się mogły. Tak było i z Węgrowem, gdzie zastałem około 500 ludzi, wprawdzie bez należytej broni, pod dowództwem Madlińskiego, szlachcica, czy też lekarza z okolicy.

Formowano się, przekuwano kosy, wiązano stare strzelbiny, manewrowano, ż pełną otuchą w sercu. Oddział składał się głównie z ludzi proskrybowanych, którzy woleli raczej śmierć ponieść, jak się poddać hańbiącej służbie, w szeregach wroga.

Z tem wszystkiem widać było niezaradność; oczekiwano jakichś wskazówek, jakichś rozkazów, które skądś nadejść miały, — jednem słowem nie wiedziano co robić, z kilkudziesięciu strzelbami, paruset kosami i tyluż kijami.

Tymczasem Moskale się opamiętali, i dnia 3-go lutego zaatakowały Węgrów wojska z Międzyrzeca, pod dowództwem pułkownika Papaafanasopulo. A było tego coś dwie kompanje piechoty, 4 działa i sotnia kozaków.

Natchniona głęboką wiarą w swoją dobrą sprawę, młódź proskrybowana dzielnie atak odpierała, a była chwila, że zdawało się, iż bohaterowie z pod Racławic zmartwychwstali w Węgrowie. Cztery działa zionęły ogniem, niosąc śmierć i zniszczenie, tak w miasteczku, jak w szeregach powstańców, gdy kapitan kosynierów Mucha rzucił się z swoją kompanją, na dwa z nich bliżej, bo o 500 kroków stojące. Moskale wyrzucili chmurę kartaczy na dzielną garstkę, lecz to biegu jej nie wstrzymało. Działa te byłyby wzięte z pewnością, gdyby Moskale nie ocalili ich, pospiesznym odwrotem.

Tak więc atak był odparty, Moskale cofnęli się o jaką milę od Węgrowa, oczekując na posiłki, które im z Warszawy wysłano w sile 3 batalionów piechoty, 6 dział i 2 sotni kozaków, jak sam Berg w swoich zapiskach przyznaje.

Oddział węgrowski spodziewał się tych posiłków i dlatego nic mu nie pozostawało, jak opuścić Węgrów, czemu Papaafanasopulo wcale nie przeszkadzał.

Piszący te słowa, wraz z niejakiem Lisikiewiczem, zostali wysłani przez dowódcę, dla odszukania naczelnika województwa podlaskiego, pułkownika Lewandowskiego, w celu otrzymania od niego dalszych rozkazów.

Lewandowskiego znaleziono pod Łukowem w lesie, obozującego na czele kilkudziesięciu ludzi, wyznał on, że nie miał dotąd żadnych instrukcyj; po naradzie zwinął swój obóz i poszedł w kierunku Łosic, gdzie doktor powiatowy Czarkowski także paręset ludzi zgromadził; nie było bezpiecznem po napadzie na Węgrów, długo zostawać w Łosicach, trzeba było się połączyć w większe siły, a jedynym punktem były Siemiatycze; bo i Rogiński przyparty w Białej przez oddział moskiewski, pod ogniem rotowym i armatnim, musiał się cofnąć na drugą stronę Bugu; tak więc wszystkie oddziały podlaskie skoncentrowały się w końcu stycznia w Siemiatyczach.

Siemiatycze to małe miasteczko, o kilka wiorst od Bugu, t. j. od granicy Kongresówki położone; wówczas posiadało dwa kościoły, katolicki i prawosławny i dwa otoczone murem cmentarze; oprócz tego pałac właściciela Fencza (Fenshave) na południowej stronie miasta. Od strony Bugu i Białegostoku miasto było otoczone małymi pagórkami, na północ zaś i zachód częścią ornem polem, częścią bagniskami, przez które prowadziła grobla do lasu, jedynego schroniska dla powstańców w razie odwrotu. W dniu 6. lutego, w którym się skoncentrowano, Cichorski i Rylski, którzy już od kilku dni znajdowali się w Siemiatyczach, nie wiedzieli nic o ruchach wojska moskiewskiego, byli nawet pewni, że Moskale jeszcze kilka dni zostawią ich w spokoju; myśleli, że rozgłos o wielkiej sile powstańców zebranych w Siemiatyczach, którą w okolicy na 5000 tysięcy podawano, zmusi Moskali do ostrożności, ale nastąpiło rozczarowanie. Właśnie o godzinie $3^1/_2$ po południu dał się słyszeć strzał pistoletowy i galopująca pikieta dała znać o nadejściu Moskali; szli oni od Białegostoku i zatrzymali się naprzeciwko cmentarzy. Nie atakowali jednak, tylko ograniczyli się na ostrzeliwaniu miasta z armat, a ponieważ celowali na miasto, kule górowały ponad powstańcami, którzy obsadzili cmentarze, położone daleko niżej, jak samo miasto; jednocześnie nadeszła ogromna chmura, polał rzęsisty deszcz i zrobiło się zupełnie ciemno; powstańcy nie odpowiadali, bo nie mieli armat i zachowywali się zupełnie cicho. Moskale sądzili prawdopodobnie, że strzały armatnie wystraszyły mieszkańców z miasta i zaczęli się ku niemu zbliżać, przyszli tak blisko, że powstańcy spostrzegłszy ich, dali ognia na kilkanaście kroków. Dwóch żołnierzy znaleziono nazajutrz zabitych pod samym murem cmentarnym; przekonawszy się, że powstańcy nie uciekli, Moskale zaczęli się cofać, powstańcy szli naprzód, w celu ścigania cofającego się nieprzyjaciela, ktoś z powstańców dla dodania odwagi, krzyknął „hura“, inni to powtórzyli, Moskale skorzystali z tego, i zaczęli ostrzeliwać kartaczami same cmentarze, oprócz tego piechota otworzyła ogień rotowy; ze strony powstańców padło dwudziestu kilku ludzi, między nimi Mikołaj Śnieżyński, student akademii medycznej. Ogień nieprzyjacielski, ciemność, błoto, deszcz rzęsisty niepozwoliły powstańcom iść naprzód, cofnęli się więc za mury cmentarne. Moskale jeszcze z jakie pół godziny strzelali z armat i wszystko ucichło. Obie strony jednak pozostały na swych stanowiskach, wysłany rekonesans już umundurowany na wzór polskich uła-

nów kawaleryi, chociaż bardzo nielicznej, przyniósł wiadomość, że Moskale stoją na pozycyi, stąd wniosek, że z brzaskiem zaczną znowu atak. Powstańcy więc wszyscy zostali na stanowisku; z brzaskiem dnia wysłano drugi rekonesans, który przyniósł wiadomość, że Moskale pozycyę opuścili, za dnia już trzeci rekonesans oznajmił, że Moskale stoją w wiosce oddalonej o 4 wiorsty. Wtedy Lewandowski postanowił przyjąć bitwę we dnie, zachwycony odwagą swych żołnierzy, którzy pomimo nocy, ognia nieprzyjacielskiego i strat około 50 ludzi w zabitych i rannych, na pozycyi wytrwali; spodziewał się on ataku z tej samej strony, co dnia poprzedniego i stosownie do tego rozmieścił wojsko na stanowiskach, sam osobiście wskazując oddziałom gdzie stać mają.

Mieszkańcy okoliczni dostarczyli żywności, zimnego mięsiwa, chleba i wódki, nawet pop prawosławny szczerze czy nieszczerze, życzył zwycięztwa powstańcom, dzielił się szynką, jajami z dowódcami i adjutantami; żołnierz był wesół i pełen dobrej nadziei.

Około godziny 9tej z rana od strony cmentarzy ukazała się kolumna moskiewska, trzymając się od miasta mniej więcej na strzał armatni, ale nie zajęła wczorajszej pozycyi, tylko stanęła od strony pałacu Fencza; a prawdopodobnie aby powstańcom drogę od Bugu zagrodzić, jednocześnie, jak się później przekonano, jenerał Nostitz z oddziałem piechoty i kozaków, posuwał się od strony Brześcia, prawdopodobnie, aby uderzyć na Siemiatycze od strony grobli, jedynej drogi, do odwrotu powstańców. Na szczęście nie przyszedł na czas, zapewne z powodu deszczu, błota i ciemności. Moskale zaczęli ostrzeliwać granatami miasto, zmiana frontu dla świeżego, niewyćwiczonego żołnierza, wywołała naturalne zamięszanie, pomimo tego, jako tako obsadzono część miasta około pałacu Fencza, kryjąc się za płotami i domami.

Kilka domów pokrytych słomą lub gontami, zapaliło się od rakiet moskiewskich, to wywołało popłoch i cofanie się przez groblę w oddziałach bliżej stojących, a więc więcej na ogień nieprzyjacielski wystawionych. Podziałało to i na inne oddziały, które także zaczęły się cofać ku grobli, wtedy Moskale skoncentrowali rotowy i armatni ogień na groblę, co wywołało bezładną ucieczkę; kosynierzy dobiegłszy do lasu, rzucali kosy i rozbiegali się w różne strony, najwięcej było pomiędzy nimi tych, którzy z bliskiej okolicy pochodzili.

*

Około 500 ludzi jednakże zdołało się w lesie zebrać i jako tako do porządku przyprowadzić, maszerowano całą noc, zatrzymawszy się chwilę tylko w jakiejś osadzie dla odpoczynku; od 30 bowiem godzin przeszło żołnierze byli na nogach. Nad ranem oddział natknął się na kozaków Nostitza, który sam nie wiedział, czy jest atakowany i według opowiadań miejscowych ludzi, był nawet w strachu, sądząc, że powstańcy pobiwszy Maniukina dowodzącego pod Siemiatyczami, rzucili się na niego. To wachanie się Nostitza, pozwoliło powstańcom zmienić kierunek, udając się do puszczy Białowiezskiej.

Pewna jednak część oddzieliła się i pod Cichorskim (Zameczkiem) skierowała się w Płockie a pod Rylskim i Krysińskim napowrót na Podlasie.

Maniukin tymczasem opanowawszy Siemiatycze, spalił je i zrabował, a pałac Fencza, wraz z kilkudziesięcioma powstańcami z dymem puścił.

Niesłychane okrucieństwa spełnili wtedy Moskale w Siemiatyczach.

Partya Rogińskiego, w której znajdował się i piszący te wyrazy, nie miała szczęścia w Białowiezskiej puszczy: wojska Nostitza wszystkich wyłapały i przez Brześć i Grodno znalazłem się ku końcowi 1863 r. w jenisejskiej gubernii, skąd dopiero po dziewięciu latach powróciłem.

Lwów w styczniu 1903 r.



WYSSOGOTA ZAKRZEWSKI.

Wyprawy Taczanowskiego.

40 lat minęło! Ile to trosk, nędzy, prześladowań, przeszliśmy od tego czasu. I to dlaczego? Dlatego, że kraj nasz kochaliśmy z całej duszy, że zasłanialiśmy piersią naszą Ojczyznę, i chcieli wywalczyć dla niej niepodległość. Najboleśniejszem jednakże było prześladowanie własnych naszych rodaków! Do dziś dnia, niecni ci synowie Ojczyzny starają się spaczyć wyobrażenia o nas, młodego pokolenia; wystawiając nas jako waryatów, którzy w otchłań nieszczęść wepchnęli Ojczyznę własną! A gdzież ci byli, którzy później błotem nas obrzucali, gdyśmy za niepodległość Ojczyzny walczyli? W mysich dziurach się

kryli, lub za granicę uciekali, pod pozorem misyj dyplomatycznych.

Inaczej powstanie nasze byłoby się skończyło, gdyby cały naród był zgodnie powstał i walczył, nie rachując na cudzą pomoc, w przekonaniu, że dobra sprawa zawsze musi odnieść zwycięstwo. Sami Moskale przyznają, że była chwila, w której byli przekonani, że panowanie ich nad Polską się skończyło. I pamiętniki Moskali z tych czasów świadczą o tem. Pamiętnik Berga wyraźnie powiada, że car Aleksander mówił: „Oddałbym im już Polskę, ale oni i Litwy i zabranych krajów także żądać będą“. My, którzyśmy walczyli, widzieliśmy dobrze, że Moskale przez dłuższy czas nie śmieli się wychylać z większych miast, gdzie byli skoncentrowani i dopiero, gdy spostrzegli bezmyślne postępowanie większej części naszych wodzów, nabrali otuchy i rozpoczęli systematyczne gnębienie pojedynczych oddziałów! A cóż było przyczyną takiego postępowania? Fatalna idea interwencyi zagranicznej! Ta idea nas zgubiła i przyprowadziła do upadku nasze powstanie!.. Tylko ten naród wolnym będzie, który własnym ufa siłom i tylko na własne siły rachuje!

Zarzucają nam, żeśmy powstanie wywołali! Czy to prawda? Nigdyby powstanie wtedy nie było wybuchło, gdyby nie było branki, a kto brankę wywołał? Któż był ojcem tej myśli? Wielopolski; gdyby nie on, nawet Moskale nie byliby śmieli użyć tego środka, do przytłumienia budzącego się ducha. On był przyczyną nieszczęścia naszego kraju! Jego duma! Niedawno jeszcze gorzką ironią serca nasze przepełniło, powtarzane przez gazety oświadczenie grabarza cesarstwa francuskiego Oliviera, który kadził koledze swemu grabarzowi Polski! Doprawdy ci dwaj nieszczęśni ludzie godni są siebie, choć ani jeden, ani drugi nie miał intencyi zgubić swego kraju. Jedna jest tylko droga dla prawego syna Ojczyzny, gdy naród walczy, stanąć w szeregu i zasłaniać piersią zagrożoną Matkę. Naprowadzać na kraj swój obcych hord, nie godzi się!

Przechodzę do przedstawienia czynności powstańczych oddziałów Taczanowskiego, w których miałem zaszczyt służyć. Znałem generała Taczanowskiego dobrze jeszcze przed powstaniem, był to człowiek dzielny, mający wrodzoną żyłkę żołnierską; od młodości służył w wojsku najprzód pruskiem, później w powstaniu 48 roku, a w końcu, gdy Włochy rozpoczęły walkę

o swą niepodległość w Rzymie, ogłosiły rzeczpospolitą, pospieszył Taczanowski do Rzymu i dzielnie bronił jako major „miasta wiecznego“ przeciw Francuzom. Służył on wtedy w równej randze z Garibaldim i miał część muru miasta, oddaną sobie do obrony. Po zdobyciu Rzymu, gdzie się Taczanowski walecznością odznaczył, powrócił do Wielkiego Księstwa Poznańskiego i osiadł w majątku swoim Książęcej Woli; gdzie go nieraz odwiedzałem. Kiedy powstanie wybuchło, oczywiście udał się zaraz Komitet narodowy do Taczanowskiego z żądaniem, aby objął komendę nad oddziałami, które z Księstwa miały wkroczyć w Kaliskie. Po długiem wahaniu przyjął wreszcie Taczanowski dowództwo. Po różnych przejściach ze strażą graniczną pruską, przeszedł granicę i stanął w Pyzdrach. Skoro tylko o przyjściu Taczanowskiego wiadomość w okolicy się rozeszła, taka masa ochotnika się zgłaszała, że były dnie, w których po paręset ochotników musiano dla braku broni nie przyjąć. Prawie w tym samym czasie przeszły granicę jeszcze dwa oddziały Junga de Blankencheim i Seifryda; stanęły obozem koło Kaźmierza i Sleszyna, miały być także pod naczelnem dowództwem Taczanowskiego. W kilka dni po przejściu granicy przez Junga, spotkał tenże 400 Moskali, uderzył na nich, pobił i resztę przez pruską granicę przepędził. W parę dni potem uderzyli Moskale na pozycyę Taczanowskiego pod Pyzdrami i po 8-mio godzinnej walce pobici zostali. Podczas tej bitwy podziwiał cały oddział osobistą odwagę Taczanowskiego, bo widział go, jak przejeżdżał stępo przed całą linią tyralierów naszych, będących w ogniu, a podczas tego niebezpiecznego spaceru zatrzymywał się raz po raz, aby młodym swoim adjutantom wykładać pozycyę Moskali; koń jednego z adjutantów Moniuszki został zabity o krok od Taczanowskiego, który uśmiechał się z zadowolenia, że ani jeden z jego adjutantów nie drgnął. Uderzenie kawaleryi i kosynierów rozstrzygnęło bitwę na naszą korzyść, a główną korzyścią z odniesionego zwycięstwa było zaufanie żołnierzy do naczelnika, który odwagą i zimną krwią dowiódł, że jest godzien być naszym wodzem.

W parę dni po tej bitwie posłał mnie Taczanowski z rozkazami do obozu Junga i właśnie w dniu gdy tam byłem, Moskale uderzyli na ten oddział i rozbili go. Przez ten czas stał Seifryd o paręset kroków tylko ze swoim oddziałem i nietylko nie przybył z pomocą Jungowi, ale srogą karą groził tym żołnierzom, którzy z szeregów Jungowi na pomoc się wyrywali!

Ponieważ i do Seifryda miałem rozkazy, dojechałem do niego i słyszałem jak mówił: „Nie mogę ryzykować mego oddziału, muszę się zachować, aby podtrzymać powstanie aż do interwencyi“, Po tem oświadczeniu, chociaż wyraźny rozkaz mu przyniosłem, aby maszerował do Pyzdr, w przeciwną stronę ruszył!

Potem wysłany zostałem przez Taczanowskiego na rekwizycyę koni, miałem pod moją komendą 7-miu kawalerzystów, a że myślałem, że dobrze się naszej sprawie przysłużę, gdy będę niepokoił Moskali, werbowałem sobie ochotników, napadałem na małe patrole moskiewskie, bardzo szczęśliwie alarmowałem, to Kalisz, to Sieradz, to Konin i ogromnie się cieszyłem, gdy widziałem, jak garnizony kilkotysięczne, całemi nocami pod bronią stały. Werbunek mój coraz lepiej się powodził, tak, że już całą sotnię atakować mogłem, wprawdzie parę razy Moskale mój oddział rozbili, lecz zwykle po potyczce odnajdowaliśmy się i to bez wielkiej straty.

Po zrekwirowaniu potrzebnych koni, powróciłem do Pyzdr i któż opisze moje zdziwienie, gdy Taczanowski okropnie na mnie się pogniewał, że niepotrzebnie niepokoiłem Moskali, bo drażniąc ich, sprowadzę ich jeszcze na niego i rozbiją go, zanim przyjdzie interwencya. Niedługo potem ruszyliśmy w pochód i maszerowaliśmy ciągle forsownemi marszami, to do Zagórowa, to do Chocza, to do Rychwału i to bezustannie z takim pospiechem, jakby nas kto gonił. Dziwiły mnie bardzo te marsze i kontrmarsze, bo wiedziałem, że Moskale w kilku miastach siedzą i boją się sami z nich wyjść. Te ciągłe forsowne marsze, często przez dwa dni nie dozwalały ugotować dla wojska obiadu, a ponieważ nas było przeszło 2000 ludzi, żołnierz z głodu upadał; rozpoczęła się dezercya po stukilkudziesięciu ludzi nieraz w jedną noc uciekło

Błagaliśmy Taczanowskiego, aby lepiej choć krwawą bitwę stoczył, bo nawet większa bitwa tyleby ludzi nie kosztowała, ale napróżno. „Choć mały oddział mieć, ale do interwencyi dotrzymać“, to była stała jego odpowiedź. Nareszcie uciekając przed tymi, co nas nie gonili, wpadliśmy przypadkiem na Moskali, pod miastem Rychwałem. Zajęliśmy czemprędzej obronną pozycyę na górach, a Moskale walili z armat ze strachu, choć kule do nas nie dochodziły! Ogień armatni trwał całą noc, pomimo tego, żeśmy się około północy cichaczem wynieśli — umykając ku Włodysławowu, a stamtąd do miasta Koła. Moskale widząc, że uciekamy, poszli za nami, złączyli się z posił-

kami, dążącemi im w pomoc z Konina i zaatakowali nas w Kole. Ludzie nasi byli zbyt znużeni i nie chcieli iść dalej, skutkiem czego Taczanowski postanowił bronić się. Kilkakrotne uderzenia Moskali odparliśmy szczęśliwie, a przenocowawszy, pomaszerowaliśmy do wsi Ignacewa, gdzie Taczanowski postanowił bitwę przyjąć (8. V. 63).

Gdy się bitwa rozpoczynała, został Taczanowski przypadkiem od oddziału odcięty, bitwa bez wodza, pomimo dzielnego oporu, źle się skończyła, wyparli nas Moskale z pozycyi, lecz nie ścigali, ponieważ wielkie straty ponieśli. Niestety jeden z ostatnich granatów wysadził w powietrze nasz wóz z prochami tak, że zostaliśmy bez ładunków. Skutkiem tego musiał się oddział rozejść.

Druga wyprawa Taczanowskiego z samą kawaleryą, była w ogóle niczem więcej, jak ciągłą rejteradą, mowy nie było nigdy o zaczepieniu Moskali, choć liczebnie mniejsze oddziały moskiewskie posuwały się za nami, wprawdzie w wielkim porządku, ale cofaliśmy się ciągle; żołnierz demoralizował się coraz bardziej, tak, że nieraz wypowiadał posłuszeństwo oficerom, aż nareszcie Nemezis pod Kruszyną nas dognała. Moskale zastąpili nam drogę, nie mieli wielkiej liczebnej przewagi; dwa razy atakował nas pułk huzarów Olgi na prawem skrzydle; jeden atak został świetnie odparty, drugi szwadron, który szarżował, został do szczętu zniesiony. Całe wojsko nasze drżało tylko, aby uderzyć na Moskali, zewsząd wołano: „Uderzmy, a rozbijemy ich w puch“. Do dziś dnia pamiętną mi jest ta chwila, napewno bylibyśmy rozbili Moskali, taka panowała ochota! Lecz Taczanowski się wachał: „A nuż nie damy im rady?“ Moskale, widać było, że już myślą o odwrocie!.. Ta chwila wachania zdecydowała bitwę; Moskale wysunęli naprzód rakietników, obłok kongrewskich rakiet spadł na nasze głowy. Zamęt zrobił się nie do opisania, w dwóch minutach całe nasze wojsko poszło w rozsypkę i jednym pędem (20 mil drogi) znaleźliśmy się za granicą!

Cóż było powodem naszego rozbicia? Brak odwagi żołnierza? Nie! Sam na własne oczy widziałem, jak 12-stu naszych ułanów ścigało i wyłapało do nogi 45 „objeszczyków“ pod Choczem. Widziałem, jak Tadeusz Jaraczewski i nas 15-stu na sotnię kozaków uderzyło, a ci tak ohydnie drapnęli, że ścigaliśmy ich aż pod sam Konin, 40 kilku zostało z nich zabranych w niewolę; dodaję, że przy tych napadach prawie się nie bronili.

Pod Kruszyną jeden szwadron huzarów liczący około 250 ludzi, został przez jeden nasz szwadron (125) ludzi tak rozbity, że ani jeden człowiek nie wrócił do swoich! A huzary księżnej Oligi to przecież gwardya cesarska, chłop w chłopa, koń w konia! Zachowanie oddziału, aż do interwencyi i dlatego unikanie spotkań z Moskalami, to była zguba powstania, to zgubiło Taczanowskiego, to zgubiło prawie wszystkie oddziały. Moskale gdy się spostrzegli, że się ich boimy, zamiast atakować, kryjemy się po borach i uciekamy; nabrali otuchy, a gdy posiłki z głębi Rosyi im nadeszły, pojedyncze oddziały jak raki z kosza wybrali.

Mówią, że powstanie upadło, bo chłopi byli przeciwni powstaniu i to nieprawda, setki chłopów zgłaszało się do naszych oddziałów, ale gdy później pojęli swym prostym rozumem, że takie prowadzenie powstania niema sensu, nic dziwnego, że byli przeciwni dalszemu pustoszeniu kraju.

Ten naród tylko może wywalczyć swoją niepodległość, który zna swoje siły i im ufa: „Bóg wysoko, a Francuz daleko“. Bóg nie jest wysoko, ale w nas! W sercu każdego, co walczy za swoją Ojczyznę; ale tych tylko wspiera, co Jemu ufają i o swych siłach nie wątpią.

Dwudziestokilko-milionowy naród, do wolności dojść musi i dojdzie! Nie porywać się z motyką na słońce, ale gdy naród walczy, niech każdy, któremu Ojczyzna matką, stanie do szeregu, a *Mali non praevalebunt*. (Źli nie zwyciężą).

Morituri te salutant patria!



JAN ZANIEWSKI (†).

Żydzi na Podlasiu w 1863 r.

Należy uczynić wzmiankę o zachowaniu się Żydów wobec powstania w r. 1863. Otóż system moskiewski pędził ich w kierunku przychylnym dla ruchu narodowego. Z natury swej i polityki tradycyjnej trzymają się oni strony mocniejszego; — biją czołem przed władzą i siłą bez względu na to, jakaby ona była, w ten sposób prześliznęli się oni przez wieki historyczne.

W Królestwie jednak, pomimo potęgi Moskali, jako rządu, przechylili się na stronę Polaków z różnych powodów. Najprzód gdy po rozbiorze Polski w Austryi i Prusach, Żydzi stali się gorliwymi sojusznikami owych rządów, w celach germanizacyjnych: to pod zaborem moskiewskim, nie przypadła im rola rusyfikatorska, co zaś do rządu krajowego, to ten był do r. 1863 wyłącznie polski, system ten sam był za Księstwa Warszawskiego.

Moskale zajmowali stanowiska gubernatorów i naczelne władze, ale byli nieliczni, wszystkie urzęda w ręku dawnych urzędników Księstwa Warszawskiego i Królestwa Kongresowego; obok gubernatora; po większych miastach był urząd naczelnika wojennego, zwykle jenerała załogi wojskowej, nie mający żadnego wpływu na rządy krajowe; a co do języka rosyjskiego, to dla mieszkańców znajomość jego była zbyteczną, gdyż od najwyższej do najniższej instancyi, był tylko język polski — tak dalece, że przy powiatach był jeden urzędnik „jako tłumacz języka rosyjskiego“ dla pism przychodzących z Rosyi. Nie było jeszcze wówczas prasy moskiewskiej — jej korespondentów ostrzegających o niebezpieczeństwie, jakie grozi Moskalom w Polsce, z powodu wyższości cywilizacyi Polaków nad Moskalami; potęga prasy nie była tam znaną i nie wywierała żadnego wpływu na kierunek sfer rządowych.

Pułki stały załogą nieraz kilkanaście lat w jednej i tej samej okolicy — oficerowie z natury rzeczy polszczyli się, chociaż drzwi domów prywatnych były dla nich zamknięte, pomimo to w miejscach publicznych pomiędzy oficerami język polski był przeważnie używany — z wyjątkiem, gdy zachodziła potrzeba użycia słowa grubiańskiego.

Co zaś do prostych żołnierzy, to ten fakt przytoczę, że raz rozmawiałem z jednym sołdatem i bardzo mi się podobał jego polski język z akcentem krakowskim, byłem pewny, że to jakiś Bartosz, z pod granicy księstwa krakowskiego, pytam się przez ciekawość.

— A z której wy gubernii, pewnie z kieleckiej?

— „Z saratowskiej paniczku“.

Dopiero z dalszej rozmowy dowiedziałem się, że pułk ich stał w tamtych okolicach lata i tak tam mowę zmienili.

— Żydzi czując panowanie ducha polskiego i jego przewagę nad Moskalami, a przytem wszystkie nitki rządzenia w ręku Polaków — uważali Moskali tylko za załogę wojskową, potrze-

bną dla utrzymania prawa posiadania tego kraju — więc byli patryotami, widząc zresztą, że powstanie rozwija się, że Moskale licho je tłumią — o interwencyi obcych mocarstw coraz więcej piszą — przeto pomimo zmiennych losów walki, zawsze uważali, że z tym ruchem potrzeba liczyć się. Z Warszawy wychodził kierunek dla Żydów na prowincyi, rabin Maiseles był zdeklarowany patryota polski; Rządowi Narodowemu i jemu był podległy rząd polsko-żydowski.

Na Podlasiu objawiał się udział Żydów w sposób więcej wpadający w oczy — w każdem miasteczku obok narodowego naczelnika miasta, był Żyd pomocnikiem naczelnika — osobistość nieznana Moskalom, pomimo wielkiej chęci wykrycia go.

Za dowództwa jenerała Mamajewa, w Radzyniu i w powiecie ruchy i czynności narodowe odbywały się ze względną swobodą. Urzędnicy Rządu Narodowego pełnili służbę, jakby w czasach normalnych — oddział żandarmów dodany do pomocy, wykonywał dekreta władz.

— Przytoczę ciekawy obrazek doręczenia nominacyi pomocnika miasta w Parczewie. Pewnego dnia przyjeżdża konny oddział żandarmeryi narodowej — w miasteczku zrobił się ruch, oddziałek stanął przed domem poważnego Żyda, Mojsze Borucha. Oficer zsiadł z konia, przywitany przez gospodarza wszedł do wnętrza pomieszkania i uroczyście przemówił:

Obywatelu! Rząd Narodowy uznając twój patryotyzm i uczciwość obywatelską, mianuje ciebie pomocnikiem naczelnika miasta — oto dekret — podaj rękę, że przyjmujesz — poczem powiem ci nazwisko, tego kto jest naczelnikiem miasta.

Było to zbyteczne, gdyż on już dawno wiedział, kto nim był.

Po załatwieniu się urzędowem, ugościł oficera i towarzyszów, a ci wkrótce odjechali. — Wiele mówiono w miasteczku o tej wizycie, aż wieczorem szkolnik zaczął stukać do wszystkich drzwi — dzień niezwykły, rzecz nadzwyczajna — wszyscy Żydzi zbiegli się do bóżnicy. Tam rabin przy torze, przy nim zapalone czarne świece — obok stoi Mojsze Boruch — pozamykano drzwi.

Wtedy rabin zaczął od klątwy. — „Jeżeli kto słowo powie nieprzyjaciołom Moskalom, o tem co tutaj będzie się mówić, to przeklinam jego — jego żonę, dzieci, wnuki, wszelkie interesa nie będą mu się wiodły, pogrzebany nie będzie po śmierci!“ — je-

dnem słowem przedstawił najstraszniejsze klątwy na zdrajców, — a potem ogłosił ogółowi.

„Oto Mojsze Boruch, urzędnik Rządu Narodowego — macie jego rozkazów słuchać, i tego co tutaj będzie czytał“.

W wielu wypadkach Żydzi przy swoim sprycie oddawali w powstaniu przysługi, jakich kto inny nie byłby w stanie oddać. Że moskiewski proch strzelniczy, przechodził do obozów polskich, to było zasługą Żydów. W okolicach położonych przy granicy pruskiej i austryackiej, proch z zagranicy przychodził; zaś w głębi na Podlasiu ze składów moskiewskich. — Nie jestem w możności powiedzieć, ile kosztował ten proch — ale bardzo drogo. Zwykle Żydzi szynkarze prowadzili konszachty z sołdatami — biedny sołdat miał pół kopiejki żołdu dziennie, nie miał za co napić się wódki, aby zapomnieć o swojej niedoli, — otóż szynkarz, oprócz zapłaconego półkwaterka wódki, daje mu gratis drugi i rozpoczyna rozmowę: A dużo wy macie patronów w torbie? „Nu zawsze sześdziesiąt“. — Aj waj! to wy macie majątek w tej torbie! — „Czort biery“ taki majątek, ani „stakańczyka“ wódki za to nikt nie da.

Aj! ja wam dam, — macie 60 ładunków, z trzydziestu wysypiecie proch, a nasypiecie piasku — kula zostanie ta sama, jak przyjdzie bitwa to będziecie strzelać raz z prochem, a drugi raz z piaskiem; a oficer? on będzie leżał za wami i będzie kontent, jak nie dostanie kulki w łeb. — Rozumowanie żydka trafiło do przekonania sołdatom i odtąd rozpoczynała się taka manipulacya. Sołdat wchodzi do szynku, siada na ławie, pośpiewuje coś z nad Donu i pyta, a gdzie wy macie wodę? — „A tam w drugiej izbie“. — Tam już siedzi Żydówka, sołdat wyciąga z kieszeni paczkę prochu oddaje jej. Żydówka daje znak szynkarzowi, ile przyniósł — sołdat dostaje flaszkę wódki i niesie do koszar do podziału z kolegami. — Gdy uzbierała się beczułka prochu, potrzeba odwieźć go do obozu polskiego; — otóż znający te stosunki mieszkańcy, wiedzieli kiedy proch wiezą — najprzód jedzie Żyd bidką, (wózek jednokonny na 2 kołach) — to była pikieta na zwiady. W karczmach i dworach pyta się, czy tu niema Moskali? Gdy w jakim dworze lub na plebanii nie chcą mu dać wyjaśnienia, wyciąga karteczkę z pieczęcią Rządu Narodowego, że N. N. wiezie proch i wzywa wszystkich obywateli, aby mu pomoc udzielili. Karteczkę taką zwykle trzymał w dziurze w dyszlu, — dziurka ta była zabita kołkiem i zamazana błotem, potem jechał drugi taki sam, — aż nareszcie je-

dzie maziarz, smoła po drodze ciecze, a w środku tej smoły znajduje się baryłka z prochem — jeżeli spotkał się z Moskalami, to dostał nahajką po plecach, aby ustąpił na bok.

Było to dowcipne; — ale jeden fakt sprytu żydowskiego warto zanotować, tak połączony jest z wielką odwagą cywilną. Otóż organizacya narodowa w powiecie Radzyńskim miała dostarczyć 500 tornistrów — wielki kłopot — skąd tu wziąść — a więc zawołano Żyda, odważnego handlarza końmi itd...

Po dłuższem gadaniu z członkami rządu powiatowego, Żydek wziął na ambicyę, podparł brodę ręką i powiedział. Co to za taki wielki kłopot, ja panom dostarczę 500 tornistrów, już pokrytych, tylko zeszyć ich, — a co do zarobku, to abym ja tylko nie stracił — to ja go nie potrzebuję, bo to taki teraz czas, że wszystko robi się za honor, — ale abyście panowie wiedzieli, jaki ja jestem — to ja pojadę do Lublina do samego pułkownika Szelkina i od niego kupię.

— Zwaryowałeś Żydzie! toż to gorszy od tygrysa, ściga oddziały polskie po kilkanaście mil.

A ja pokażę, że ja jemu dam radę. Wziąwszy więc karteczkę z pieczątką, że „Obywatel Srul Szwarcer wiezie dla oddziału polskiego tornistry“ pojechał do Lublina.

Pułk Szelkina stał w koszarach, w byłym klasztorze Świętego Krzyża. Po wielu trudnościach ze strony warty i dyżurnych oficerów, znalazł się przed obliczem groźnego pułkownika.

„Czto ty Jewrej?“ (co Żydzie).

Ja jestem proszę jaśnie pułkownika kupiec od skór, może potrzeba dla pułku na buty, na tornistry, ja tanio sprzedam.

— Ach! ty durak! ja mam wszystko skarbowe.

Nu a może są do sprzedania jakie stare buty, albo tornistry?

Moskal popotrzył badawczo na Żyda, zaraz domyślił się, że on chce kupić tornistry dla powstańców; — dobra okazya, okraść swój rząd, a pieniędzy trzeba na karty i t. d. przeto kazał sobie przynieść klucze od magazynu, zaprowadził tam Żyda, pokazując z ironicznym uśmiechem stosy skrojonych tornistrów powiada. — „No kupisz to, co tu widzisz?“

Żyd z filuteryą przygląda się skórkom cielęcym z sierścią i westnąwszy powiada: To mogłoby być na buty, gdyby wyprawić na jucht — to byłoby na pięty, a to na przodki.

— Widząc Moskal, że z Żydem da się zrobić interes, sprzedał 500 tornistrów, wystawił pismo, że Srul Szwarzer wie-

zie skóry dla pułku, do wyprawy na buty, do garbarni w Międzyrzeczu i wzywa oddziały wojskowe, aby mu przejazdu nie tamowały, ale owszem w razie potrzeby pomocy udzieliły.

To znaczy jak pułkownik kradnie, to aż miło!

Z takiemi dokumentami Żyd udał się w podróż na Podlasie, do miejsca dostawy tornistrów. W drodze zatrzymywali go kolejno Polacy i Moskale; — pierwszym pokazywał kartkę z pieczęcią „Rządu Narodowego“ — drugim zaś z dwugłowym carskim orłem. — I tak dostarczył tornistry, sztuka po 5 zł. polskich i 10 groszy (1 złr. 33 ct.).



DR. WACŁAW ZAREMBA.

Wyprawa Garczyńskiego i więzienia pruskie.

Na początku roku 1863, mając lat 17, byłem uczniem gimnazyum w Trzemesznie w W. księstwie Poznańskiem. Młodzież tegoż gimnazyum na wskróś patryotyczna, zaraz po nadejściu wiadomości o wybuchu powstania w Królestwie, gorączkowo gotować się zaczęła, do niesienia czynnej pomocy walczącym. Lano kule, robiono ładunki, rymarze szyli ładownice i pasy, kowale ostrzyli ukradkiem, z domu przywiezione, szable i kordelasy. Że w przygotowaniach tych o jednolitości, o jakimkolwiek systemie mowy być nie mogło, dodawać chyba nie potrzebuję. Każda kula do każdej lufy powinna się była stosować — ładunki każdy robił, jak mu się zdawało, że najlepiej robi. O obchodzeniu się z bronią palną w ogóle, mało który z nas miał dokładne pojęcie.

Na hasło wyruszenia, długo też czekać nie potrzebowaliśmy, bo w końcu lutego, pewnego dnia przyszedł rozkaz „dzisiaj wieczorem“. Zapowiedziano nam już poprzednio, że za wsią Miatami, położoną o małe pół mili za Trzemesznem, podwody na nas czekać będą i że z miasta po dwóch, po trzech wymykać się mamy. Ponieważ miałem swój własny pałasz, pistolety i mantelzak, co prawda wyładowany mnóstwem niepotrzebnych rzeczy, z kilku kolegami, również własną broń posiadającymi, wyjechaliśmy do Miat najętą furmanką.

Cztery wyższe klasy gimnazyalne opustoszały nagle, gdyż oprócz kilku słabeuszów, reszta do powstania poszła, co było

powodem następnego zamknięcia przez władze pruskie, tego tyle lat chlubnie rozwijającego się naukowego zakładu.

W Miatach wozy wysłane słomą, zaraz nas też zabrały i przewiozły do ruchocińskich lasów, położonych przy samej granicy Królestwa.

W ruchocińskim lesie zebrało nas się około 350. Strzelców i kosynierów podzielono na kompanje i dano każdej dowódzcę. Konnicy było ze wszystkiem 35 koni. Ja wstąpiłem do konnicy. Rozdano nam zaraz lance a raczej świeżo ostrugane dość ciężkie drągi, grotami żelaznymi na końcach opatrzone. Samo się przez się rozumie, że o robieniu lancą żaden z nas najmniejszego pojęcia nie miał, tak samo o obrotach kawaleryjskich. Za to każdy z nas umiał dobrze konno jeździć, bo owych 35 ludzi składało się z synów obywatelskich, na wsi wychowanych, z ekonomów, pisarzy gospodarczych i dwóch lub trzech dawniejszych ułanów czy huzarów pruskich.

Komendę nad nami objął zaraz, na miejscu mianowany porucznikiem, były wachmistrz kirasyerów pruskich, Jan Glogier, żołnierz odważny i dbający o swych podkomendnych. Smutnie ten biedak podobno skończył; w późniejszych czasach powstania, obrażony niesłusznymi, ostrymi wyrazamy dowódcy, tak sobie to wziął do serca, iż przy najpierwszej sposobności spotkania się z nieprzyjacielem, sam w pojedynkę rzucił się na wojsko i też w jednej chwili zarąbany został. Cześć pamięci dzielnego i odważnego żołnierza!

Ustawianie, dzielenie, rozdawanie broni i t. p. dużo czasu zajęło, tak że już dobrze dniało, gdyśmy w pochód ku granicy ruszyli. Prusacy, jak się zdaje, dobrze byli powiadomieni o przejściu oddziału, którego na szczęście pochwycić im się nie udało. Wielu z nas widziało wznoszące się ku niebu z tej strony granicy rakiety. Jest więcej aniżeli prawdopodobnem, że to były umówione znaki władz pruskich z moskiewskiemi, ponieważ w kilka dni później spotkaliśmy się z tak przeważającemi siłami Moskali, że widocznem było, iż naumyślnie starano się je zewsząd zebrać w takiej sile, ponieważ nie wiedziano nic pewnego o liczbie naszego oddziału.

Straż przednią, ze szpicą na czele, tworzyła konnica nasza. Męczący to był pochód, bo owe ciężkie lance trzeba było w ręku trzymać — na rozdzielenie bowiem obsad przy strzemionach, do utkwienia lancy i rzemieni ramieniowych, czasu już nie stało. Dostaliśmy je dopiero w czasie dnia, na postoju w polu. Szczę-

ściem wysłużony ułan pruski, będący w oddziale, dał nam wskazówki jak owe obsady, czyli trzewiczki do strzemion przymocować mamy.

Dowództwo nad całym naszym oddziałem objął Józef Garczyński, major z wojny krymskiej — żołnierz osobiście odważny, lecz przyzwyczajony komenderować wyćwiczonym, regularnym żołnierzem, a nie powstańcami, nie mającymi pojęcia o służbie i obrotach wojennych.

Wolno postępując, z powodu zdążającej za nami piechoty, przedostaliśmy się do kaźmierskich lasów, pod Biniszew, gdzie połączyliśmy się z oddziałem Kazimierza Mielęckiego, liczącym mniej więcej 300 ludzi.

W obozie Mielęckiego panowała radość ogromna, gdyż tego samego dnia, 1-go marca, w godzinach popołudniowych, udało mu się odeprzeć atakujących go Moskali. Dnia tego rotmistrz Miśkiewicz, dowodząc połową tylko konnicy, bo drugą połowę wysłano na patrole — na czele pietnastu kawalerzystów, uderzył na moskiewską piechotę, dając tym sposobem czas strzelcom, do rozwinięcia się w szyk bojowy. Nieprzyjaciel osłupiał, widząc 15 ludzi na siebie szarżujących; tak że obawiając się jakiejś zasadzki, nie strzelali nawet do atakujących i dopiero za powrotem do lasu salwę dali i to zupełnie nieszkodliwą. Strzelcy tymczasem na skraju lasu rozłożeni, celnym ogniem zbliżających się nieprzyjaciół przyjęli, tak iż atak Moskali odrazu znacznie osłabł. Pomimo to bitwa trwała aż do zmroku, poczem Moskale zabrawszy swoich rannych i zabitych, cofnęli się.

Za przybyciem naszem cały obóz zagrzmiał od powitalnych okrzyków. Dla okazania wielkiej radości i nasi strzelcy zaczęli w górę strzelać i Bóg wie ile kul i loftek w jednej chwili na marne w powietrze poleciało.

Prosty żołnierz nic zazwyczaj nie wie, z jakich powodów taki lub owaki rozkaz jego przełożeni wydają i nieraz bardzo trudno przychodzi rozkazy te wykonywać. To też i nam zmęczonym i niewyspanym niebardzo się chciało, pomimo że jeszcze prawie noc była, konie do nowego marszu szykować i za danym znakiem na koń siadać. Niejeden się kiwnął na koniu i dopiero zahaczenie lancy o gałęzie drzew i pociągnięcie rzemienia na prawe ramie założonego, budziło go na chwilę.

W godzinach przedpołudniowych przeszła nasza konnica wieś Dobrosołów. Za wsią ku folwarkowi, tworząc straż przednią, przeszliśmy drogę wywyższoną po nad łąkami położonemi z jednej strony drogi. Na drogę tę weszła już także nasza piechota, gdy niespodzianie przygalopował Ederstein, adjutant Mielęckiego, z rozkazem zawrócenia natychmiastowego, ponieważ Mielęckiego moskiewskie wojsko silnie napiera. Zakomenderowano zwrot i wyciągniętym kłusem przejechaliśmy obok naszej piechoty, stojącej na owej drodze. Oddział Mielęckiego już w pełnej utarczce się znajdował.

Zaledwie stanęliśmy na stanowisku pod Dobrosołowem, odrazu grad kul nas obsypał. Kule jednakże mocno górowały i rzadko która trafiała w ludzi lub konie. Kazimierz Brodnicki z Dzicimiarek, znakomity jeździec i doskonały strzelec a nienależący do żadnej komendy, przyjechawszy do nas, z najzimniejszą krwią się odezwał: „To tylko muszki koledzy — nie zważajcie na nic!“ i przy tej sposobności z konia zmierzył ze sztucera i wygarnął do jakiegoś kozunia lub piechura, który po tym strzale pewnie kozła przewrócił. Tego samego Kaz. Brodnickiego widziałem później podczas bitwy, jak jakiegoś rannego przed sobą na siodle trzymając, do wozu go dowiózł i tam złożył. W 25 lat później na jubileuszowym obchodzie w Poznaniu, zapytałem go się, co go spowodowało do takiego miłosiernego czynu. „Co pan chce — leżał biedak na ziemi, mając obiedwie nogi przestrzelone. Znając mnie, jako rzemieślnik z sąsiedniego miasteczka, zawołał mnie po nazwisku — trzeba było ratować biedaka“.

Pod morderczym ogniem moskiewskiej piechoty niedługo staliśmy, bo nas wprowadzono pomiędzy chałupy wiejskie, gdzie mniej byliśmy na kule narażeni. Tutaj dopiero widziałem co znaczy świeży i niewyćwiczony żołnierz, wprowadzony w bój, bez poprzedniego przygotowania. Przed rozpoczęciem bitwy, jeszcze jako tako w szeregu można nas było utrzymać — lecz świst kul, widok rannych i ich jęki, tak denerwująco podziałały na nas, że po opuszczeniu pierwotnego stanowiska, wszelkie usiłowania naszego porucznika Glogiera, ażeby jakiś ład wprowadzić, przez pewien czas zostały zupełnie daremnemi. Kilka koni rannych, lub pozbawionych jeźdźców, o których nie wiem, czy zabici, lub ranni z koni się zsunęli, przyczyniało się nie mało do tego bezładu. Konie te nie chcąc opuścić swych czwo-

ronogich towarzyszy, cisnęły się gwałtem w środek, psując wszelki porządek.

Piechota nasza tymczasowo rozciągnęła się na łące w długą linię i szła na Dobrosołów. Szczupły oddział Mielęckiego nie był w stanie wytrzymać naporu przeważających sił nieprzyjacielskich, tak, że gdy część naszej piechoty do budynków podwórzowych w Dobrosołowie doszła, już je przez rosyjską piechotę obsadzone znalazła. Przez łąki ciągnął się dość szeroki rów pełen wody i błota. Wielu przechodząc przez ten rów zamaczało się, niektórzy wcale przez niego przedostać się nie mogli, czy nie śmieli, a iluż padło zanim do Dobrosołowa doszło! Od kolegów służących w piechocie, dowiedziałem się później, że z kompanii zaledwie kilkunastu do budynków dotarło, ażeby na wązkim końcu stodoły spotkać się twarz w twarz z ustawionem już wojskiem. Cóż tych kilkunastu miało tam zdziałać? Oddział Mielęckiego, pomimo dzielnej obrony, także już z Dobrosołowa został wypartym i odwrót na całej linii się rozpoczął w największym nieładzie.

Co prawda, naprzeciwko nas, 650 ludzi, stały dwa bataliony piechoty, szwadron huzarów, dwa działa i nie wiem, ile sotni kozaków — razem co najmniej licząc 1500 wyćwiczonego żołnierza. Gdyby na natłoczoną groblę, czyli drogę przez łąki, Moskale byli skierowali wówczas kilka strzałów kartaczami, byliby mogli strasznego spustoszenia narobić.

Popłoch wzmógł się jeszcze więcej, gdy już dość daleko za Dobrosołowem, furgon, na którym znajdował się proch, w powietrze wyleciał. Widocznie karabinowa kula musiała w beczułkę z prochem uderzyć. Huk i kłąb dymu naraz się podnoszący, dał powód do pogłoski, że armaty na tyłach — co tem większy popłoch wywołało.

Naszą konnicę starał się porucznik Glogier przeprowadzić w bok Dobrosołowa za pagórek, celem lepszego uchronienia od kul nieprzyjacielskich. Lecz ogólne rozprzężenie niewyćwiczonym kawalerzystom już się było udzieliło, tak, iż za ów pagórek ledwie kilkunastu nas doprowadził — skąd znowu pomimo nawoływań kilku umknęło, a szczególniej, gdy ów furgon za nami eksplodował i pogłoska o armatach na tyłach się rozeszła. Z porucznikiem pozostało nas pięciu: Łukasz Ciesielski, Malczewski, ja i jeszcze dwóch innych, których nazwisk już nie pamiętam. W skromnej tej liczbie, pozostałej z 36, po-

łączyliśmy się, z cofającą się także, ale wolnym krokiem z kawaleryą Mielęckiego, tworząc niejako tylną straż całego oddziału.

Tak doszliśmy do Mieczownicy. Tutaj w lasku, a właściwie zagajeniu, 28-miu z najdzielniejszej młodzieży poznańskiej oparło się raz jeszcze wrogowi. I inni z oddziału Mielęckiego się zatrzymali, chcąc oporu spróbować. Drugie to starcie nie mogło mieć widoków powodzenia, bo i cóż mogło zdziałać tych kilkudziesięciu, przeciw blisko 1500 regularnego wojska! Nie wiem nawet, kto nimi dowodził. Ludzie z oddziału Mielęckiego odstrzeliwując się, powoli się cofnęli — owych zaś 28, nie poddając się, bohaterską śmiercią zginęło. Dwóch tylko dających jeszcze znaki życia, lecz straszliwie pokaleczonych, po odejściu Moskali pomiędzy drzewami znaleziono. Byli nimi czeladnik kominiarski z Witkowa. który miał brzuch rozpruty, lecz pomimo to podobno się wyleczył i kolega mój z Trzemeszna Klemens Winiewski, późniejszy ks. proboszcz w Panigrodzie w powiecie wągrowieckim. Tego okrytego 19 ranami z placu uniesiono. Od niego samego o szczegółach tej krwawej bitwy się dowiedziałem.

Wogóle bitwy pod Dobrosołowem i Mieczownicą do najkrwawszych w powstaniu 63 r. należały. Przeszło 100 padło, co czyni, że na 650 ludzi tworzących oddziały Garczyńskiego i Mielęckiego, prawie co szósty padał — procent niezwykle wysoki. Moskale po barbarzyńsku mordowali rannych, leżących na polu i obdzierali natychmiast, tak, iż kto ranny jeszcze w czasie bitwy na wóz się nie dostał, ten od moskiewskiego bagnetu ginął niechybnie. Syn mecenasa Trąpczyńskiego ze Środy, Kazimierz, już referendaryusz przy sądzie, dostał pod Dobrosołowem postrzał w nogę. Brat jego Bolesław starał go się uprowadzić z pola — gdy wtem drugą kulą Kazimierz zostaje ciężej ranny. Moskale byli niedaleko, bo zaledwie na 600 kroków — szli ławą szeroką, dobijając rannych i obdzierając zabitych. Kazimierz zwracając się do brata, prosił go, ażeby go zostawił, bo jego już nie uratuje, a sam zginie. Bolesław chciał go jeszcze z ziemi dźwignąć. „Nie! odwróć się i patrz co się dzieje“. Bolesław zwrócił się ku Moskalom — a w tem strzał huknął i Kazimierz, nie chcąc żywym wpaść w ręce wrogów, a uratować brata, sam sobie z pistoletu kulą głowę roztrzaskał.

Kolega mój z Trzemeszna, Stanisław Müller, odłączył się w odwrocie od reszty cofających się a goniony przez kilku żołnierzy moskiewskich, przybył na brzeg jeziora powidzkiego,

które dość szerokim pasem ciągnie się wzdłuż granicy. Podczas pogoni, zrzucał z siebie co mógł, ażeby goniących zatrzymać. Dopadli go wreszcie nad brzegiem jeziora i tutaj zaraz jeden z żołnierzy pchnął go bagnetem w gardło. Pchnięcie było silne, a ponieważ szło z dołu, bagnet przebił gardło i wyszedł z lewej strony oka. Müller ostatnim wysiłkiem zdołał się wyrwać oprawcom i rzucił się do wody. Będąc doskonałym pływakiem, pomimo odniesionej ciężkiej rany, pomimo bardzo jeszcze zimnej wody, przepłynął całą szerokość jeziora. Widziałem go w dwa czy trzy lata później — miał twarz zeszpeconą i wykrzywioną okropnie.

W Mieczownicy przyszło do bardzo niemiłego starcia, pomiędzy Mielęckim a Garczyńskim. Co mówili do siebie, jakie zarzuty sobie robili, powtórzyć tego nie umiem, bo stałem za daleko — lecz było widocznem, że starcie zaczęło już być groźnem, naraz adjutant Mielęcklego, Ederstein, wpadł pomiędzy nich, gdy już nieledwie do pałaszy się brali i zawołał: „Panowie tam się bijcie, tam macie Moskali“. Co dalej z Garczyńskim się stało, nie umiem powiedzieć. My zawróciliśmy ku granicy pruskiej, widząc bezustannie za sobą długą, ciemną linię nieprzyjaciela.

Nad samą granicą, nim wjechaliśmy w lasy, moskiewskie armaty na pożegnanie strzeliły do nas kilka razy, lecz bez wszelkiego skutku.

Granicę przeszliśmy o samym zachodzie słońca, a w lesie ruchocińskim poschodziliśmy dopiero z koni, ktore zupełnie wyczerpane, pokładły się na ziemi, nie chcąc nawet dotknąć podanego im obroku. Tutaj złożyliśmy broń, którą miano zakopać, lub przenieść w inne miejsce. Co się z nią stało, nie jest mi wiadomem, bo od tej chwili wolno nam było rozejść się, gdzie kto chciał. Ja skierowałem się ku Ruchocinowi.

Było już zupełnie ciemno, gdy do tamtejszego rządcy, mieszkającego w głównym dworze zaszedłem. Lecz ledwo zdążyłem, zjeść kolacyę mi podaną, gdy wpadł do pokoju chłopak z wiadomością „pruskie wojsko we wsi“! Biedny rządca tracąc zupełnie głowę, kazał mi przez ogród uciekać, zapewniając, iż tuż za ogrodem jest las, do którego łatwo się przedostanę. Co prawda, nie miałem wcale ochoty dostać się Prusakom w ręce i dlatego pomimo strasznego znużenia, puściłem się przez ogród, chcąc do owego lasu się przemknąć. Księżyc świecił, pomimo zamglonego nieba, dość jasno. Przeszedłem szczęśliwie ogród,

wdrapałem się na płot, rozglądając się, czy niebezpieczeństwa niema. Na pozór cicho było i żywej duszy nie widziałem. Do lasu widniejącego z dala, było jeszcze dość daleko. Za płotem przeszedłem przez drogę i puściłem się wprost polem ku lasowi. Lecz jeszcze nie uszedłem ani 25 kroków, po oranej roli, gdy naraz zabrzmiały głosy: „halt! oder wir schiessen“ — i z rowu przydrożnego pokazało się kilkunastu pruskich piechurów, którzy mnie zaraz w swe delikatne rączki wzięli. „Da haben wir dich, du verfluchter Koschinier“ — zawołali, bezustannymi nocnymi pościgami rozdrażnieni żołnierze. Dwóch chwyciło mnie za ręce, trzeci z tyłu poczęstował kilku silnemi uderzeniami kolbą. Zaprowadzono mnie do oficera, który najpierw szczelnie zrewidować mnie kazał, czy nie mam broni przy sobie. Mój śliczny pałasz, leżał tymczasem pewnie w lesie, a pistolety razem z mantelzakiem pozostawiłem we dworze. Na zapytanie śmiało zaprzeczyłem, że do powstania nie należałem i że nic o powstańcach nie wiem — lecz zdradziły mnie ostrogi, które też natychmiast rozmyślnie mi poudeptywano.

Oficer kazał mnie prowadzić za sobą, wydawszy poprzednio rozkaz, związania mi powrozem rąk w tyle. Podczas marszu na przeznaczone miejsce zboru, żołnierze urządzali sobie ze mną małą zabawkę. Huzar, jadący za mną, dawał koniowi ostrogi, tak, iż uderzony piersiami konia, a mając ręce skrępowane, padałem naprzód, ku wielkiej uciesze, otaczających mnie piechurów, którzy uderzeniem kolb, do spieszniejszego podniesienia się z ziemi zmuszali.

Na miejscu zbornem zastałem także dwóch moich kolegów gimnazyalnych, tj. Michała Michalskiego i Paulusa. Nas trzech powierzono dwom huzarom, ażeby nas do miasteczka Witkowa odprowadzili. Z początku oficer, dla większej pewności chciał nas za szyję sznurami do siodeł przywiązać — lecz osądziwszy, że zbici i znękani „Koschiniere“, skrępowani powrozami nie uciekną, kazał moje i Michalskiego ramię do ramienia powrozem związać — z tyłu nam więzy zdjęto, a za to Paulusowi skrępowano ręce w tyle. Dodając zaś szyderstwo do srogości, oficer podał mi końce sznura, zwieszającego się od zawiązanych rąk Paulusa, mówiąc, że go poprowadzę jak wieprza na targ, i że za niego mnie robi odpowiedzialnym. Huzarom kazał nabić ostrymi nabojami karabiny i dał rozkaz bezwarunkowego zastrzelenia, wrazie cienia nawet starania się o ucieczkę.

O huzarach nam towarzyszących, muszę przyznać, że z możliwą względnością z nami się obchodzili. Widząc zupełnie wyczerpane siły nasze, pozwolili chwilę odpocząć w jakiejś wsi, gdzie ludzie, pomimo późnej już pory, z domów powychodzili, by połapanych „kosynierów“ oglądać — również i wody do napicia się, przynieść pozwolili.

Doszliśmy tak do Witkowa. W mieście tem otoczyła nas dokoła piechota, ponieważ miejscowa ludność bynajmniej przyjaźnie usposobioną dla pruskiego wojska się nie okazywała. towarzysząc naszemu pochodowi bezustannym krzykiem i złorzeczeniami. Wojsko ścisnęło nas trzech dokoła, zapewne z obawy, ażeby nas nie odbito i nie uwolniono.

Późno już nocą, zaprowadzeni i zamknięci zostaliśmy w policyjnem więzieniu, przeznaczonem dla włóczęgów i złodziei. Poprzednio zdjęto nam krępujące nas więzy. Na wąskiej drewnianej pryczy, bez słomy nawet, spędziliśmy noc, zasnąwszy odrazu kamiennym snem prawdziwie.

Na drugi dzień rano przeprowadzono nas pod wojskową eskortą do elementarnej szkoły miejskiej. Tam zastaliśmy dużo tejże samej nocy pochwytanych powstańców, a także i obywateli ziemskich, aresztowanych w obywatelskich domach w Karzewie i Ruchocinie. Oprócz nas młodych, a było nas kilkudziesięciu, byli tam panowie Witold Turno, poległy później pod Kołem, późniejszy patron kółek włościańskich Maksymilian Jackowski, Józef Krasicki, Zygmunt Malczewski, Ludwik Heinrich, z oddziału zaś Mielęckiego jego adjutant Ederstein, Mieczysław Ulatowski, Zabrodzki, Kotarski, Bogusz, Kłobukowski i wielu innych, których nazwisk już nie pamiętam.

W szkole było nam już wygodniej, bo i słoma się znalazła, zacne zaś polskie obywatelstwo z Witkowa żywności i innych wygód, wedle możności nam dostarczyło. Przy drzwiach i oknach stało po dwóch żołnierzy z karabinami. Pomimo tak licznych posterunków, ten, ktorego znaliśmy pod nazwiskiem Trzcińskiego, a który rzeczywiście zwał się Boguszem, niewytłumaczonym dla nas sposobem, znikł w nocy. Miał podobno ważne papiery i kasę obozową Mielęckiego przy sobie. Wszelkie dochodzenia i śledztwo nic nie wykryło, znikł z naszej izby, gdzie nas 14 wieczorem spać się położyło, a rano tylko 13 się dorachowano.

Ze szkoły pozwolono nam listy pisać do naszych rodzin. Listy te nakazano nam otwarte pozostawić, a podoficer zabie-

rał je do rewizyi. Przy tej sposobności zaszedł charakterystyczny wypadek. Pan Maksymilian Jackowski pisał list, gdy mu któryś z kolegów zwrócił uwagę, ażeby w donoszeniu wiadomości był ostrożnym, ponieważ listy przez władzę będą czytane. Pan J. po krótkim namyśle, rozpoczętą kartkę papieru rozdarł i do palącego się ognia w piecu wrzucił — poczem drugi list napisał. Gdy podoficer przybył, ażeby listy pozabierać, jeden z żołnierzy odzywa się, wskazując na pana J. „ten jeszcze jeden list napisał“. Podoficer z całą brutalnością pomorskiego chłopa, zażądał oddania napisanego listu. Nie pomogły tłumaczenia, że kartka została w ogień wrzucona i odwoływanie się do świadectwa wszystkich kolegów. Podoficer rozłoszczony, ustawia żołnierzy rzędem, każe odwieźć kurki nabitej broni i zmierzyć do pana J., wrzeszcząc, że każe strzelać, jeżeli drugiej kartki nie dostanie. Byłoby może do katastrofy przyszło, gdyby jeden z żołnierzy nie był zreflektował rozwścieczonego podoficera. Podobne postępowanie oburzyło wszystkich, a pana J. najwięcej, który też zaraz skargę do wyższej władzy na owego brutala podał. Zdziwienie jego wszakże musiało być niemałe, gdy po pewnym czasie odebrał od wyższej władzy odpowiedź: „ponieważ odnośny podoficer z broni palnej użytku nie zrobił, nie widzimy powodu robić go odpowiedzialnym“. Śmiem mocno powątpiewać, czy w razie zastrzelenia pana J. owa odpowiedzialność byłaby bardzo surowo osądzoną.

Po dwudniowym pobycie w szkole, przewieziono nas pod eskortą dragonów do Gniezna. Tutaj osadzono nas w obszernych i jasnych podziemiach ratuszowych. Polskie obywatelstwo Gniezna prześcigało się w dostarczaniu nam wszelkich możliwych potrzeb, czemu ówczesny burmistrz, zacny człowiek, bynajmniej się nie sprzeciwiał. Względnie dobre te czasy miały się skończyć niezadługo. W czasie bowiem naszego pobytu w sueterenach, wyprzątnięto kryminalne więzienie, przeprowadzając złoczyńców do więzienia w Trzemesznie, a gdy pierwsze i drugie piętro było gotowem na nasze przyjęcie, nas tamże umieszczono. Inspektor więzienny, człowiek bez serca i lubiący, jak się zdaje, dokuczać więźniom, jego opiece powierzonym, odrazu dał nam uczuć cały ciężar swej żelaznej ręki. Popakowano nas do cel, jak śledzie w beczki — nasza np. położona na drugiem piętrze, z oknem zakratowanem, a do połowy deskami zabitem, musiała pomieścić siedmiu. Byli nimi: Ludwik Heinrich, ja, Mieczysław

Ulatowski, Bronisław Zalewski, Kłobukowski, Ksawery Budziński i Kelniciński.

Dość powiedzieć, że gdyśmy się do spoczynku na noc ułożyli, na pięciu więziennych siennikach, nie odznaczających się szerokością, musiało nas leżeć sześciu, tj. prawie ramię na ramieniu — siódmy na poprzek w nogach naszych się rozkładał. Była to przerażająca ciasnota, bez względu zatem na stan powietrza, okno dniem i nocą musiało pozostać otwartem — inaczej podusić się było można — nieraz też deszcz i śnieg na głowę nam się w nocy sypał. Dla uprzyjemnienia nam naszego pobytu, inspektor kazał z poddasza codzień sienniki na noc do cel znosić, a rano je wynosić. Przy tem przenoszeniu i włóczeniu sienników po sieniach i schodach, podnosiły się tumany pyłu, skutkiem czego zaraz w pierwszym tygodniu wielu z nas na cierpienia gardła, oczu i kanału oddechowego zapadło.

Stołu nie mieliśmy wcale, tylko dano nam maleńką ławkę drewnianą, właśnie wystarczającą, ażeby dwóch siedząc na jej końcach naprzeciwko siebie, w maryasza lub w pikietę grać mogło. Reszta siedziała na podłodze lub stała. Wąska deska od okna była naszym magazynem. Leżały tam bochenek chleba, smalec wieprzowy, kupeczka soli, butelka z wodą, grzebienie, szczotki od włosów, rzeczy, tytoń i t. p. Codzień około 9-tej rano wschodził do celi dozorca z posługaczem zasądzonym kryminalnie na więzienie, niosącym ogromny kosz. Tutaj zapisywał sobie, co kto chciał mieć zakupionem w mieście i przèd obiadem znowu przychodził, — ażeby zakupione rzeczy oddać.

Były to bardzo ciężkie chwile z początku. To też niektórzy zapalczywsi hardo się stawiali. Lecz na to w pruskich więzieniach bardzo skuteczne posiadają lekarstwo. Pamiętam, że gdy raz towarzysz z celi Ksawery Budziński, nie chciał się ugiąć w obec jakiegoś dokuczliwego przepisu — dozorca na rozkaz inspektora przybył w towarzystwie dwóch silnych ludzi z kajdanami w ręku — kazał je obejrzeć, a potem zapytał, czy chce, aby mu te „paciorki“ założono i odprowadzono do podziemia, gdzie w zupełnej ciemności, przykuty do ściany, o chlebie i wodzie, przez trzy dni sam posiedzi. Argument taki *ad oculos* przedłożony, łamał upór i najzapalczywszych.

Czas jednakże wszystko łamie i łagodzi. Tak samo i nasze twarde położenie początkowe, z czasem złagodniało. Dobre słowo i pieniądze i w pruskiem więzieniu nie są bez wpływu; to też pomimo surowego zakazu palenia światła wieczorem

i świece przy zasłoniętem kocem oknie się znalazły i stół z dwoma krzesłami nam przyniesiono. Przez szpary patrzano, gdy dwa sienniki pozostały na dzień w celi, z których kanapę do siedzenia dla siebie robiliśmy.

Tak mijały dnie i tygodnie, przerywane od czasu do czasu braniem nas pojedynczo na przesłuchy i do spisywania protokołów. Były to formalności, bo czy się kto przyznał do udziału w powstaniu lub nie przyznał, na jedno to zupełnie wychodziło.

Trochę rozmaitości w codziennem naszem życiu przyniosła ucieczka z więzienia wspomnianego już wyżej, p. Kazimierza Brodnickiego. Wychodząc cokolwiek później z celi na podwórze więzienne, spotkał przy małych drzwiach zamkniętych zawsze na klucz, dziewczyny niosące ogromny kosz z bielizną od prania. Mało myśląc wchodzi w kosz, dziewczyny przykryły go bielizną, a mając klucz od drzwi, wyniosły go do sieni sąsiedniego domu. Stamtąd już mu łatwo było przebiedz przez ulicę, do przeciwległego hotelu Chróścickiego, gdzie pomoc się znalazła, ażeby go dalej wyprawić. Śledztwa i hałasu było niemało z tego powodu, lecz, o ile wiem, nie dowiedziano się wtenczas, jakim sposobem p. Br. za mury więzienne się wydostał.

Powoli brak ruchu i powietrza szkodliwie zaczął oddziaływać na niektórych z nas. I na mnie przyszła kolej zapadnięcia na jakąś gorączkę. Przeniesiono mnie do osobnego pokoju, lecz stan mój się nie poprawiał. Zacny dr. Wachtel, który będąc więziennym lekarzem, gdzie i jak mógł nam pomagał, oświadczył, że albo mnie trzeba umieścić w lazarecie, albo też uwolnionego oddać rodzinie, ponieważ niebezpieczeństwo życiu memu zagraża. Prokurator chcąc się pozbyć tak mało miłego lokatora, wybrał to drugie i złamanemu chorobą oświadczono, że jestem wolnym. Taczając się nieledwie skutkiem słabości, dowlokłem się do hotelu Wnukowskiego, gdzie właśnie mnóstwo obywatelstwa ziemskiego było zgromadzonem — zaczęto mnie się wypytywać o rozmaite rzeczy, lecz P. Edmund Mikorski z Kruchowa, widząc mnie tak zniszczonego chorobą i osłabionego, wziął pod swoją opiekę i za jego staraniem do domu rodzinnego się dostałem. Tutaj do reszty choroba mnie zmogła, przykuwając na dwa przeszło miesiące do łoża. Rekonwalescencya długo trwała, bo jeszcze tygodnie całe, pokurczone i zbolałe członki skutkiem reumatyzmu, nieledwie kaleką mnie czyniły.



ALEKSANDER ŻDANOWICZ.

Od Małogoszcza do Goszczy.

Pierwsza wiadomość o wybuchu powstania doszła do czytelni, założonej staraniem zwolenników Mierosławskiego w Turynie, 22 stycznia przed wieczorem. Było nas 32 członków, a żaden nie posiadał potrzebnych funduszów na powrót do kraju, więc po krótkiej naradzie, wysłaliśmy tegoż samego wieczora Wład. Stępowskiego do Paryża po pieniądze. Siódmego dnia o 4-ej rano Stępowski powrócił i przywiózł od Mierosławskiego po 300 franków dla każdego z nas, wraz z instrukcyą, ażeby gromadzić się w Poznańskiem, w okolicach Gopła.

O 8-ej rano było już nas kilku w drodze, mianowicie: Mikulicz, Nawrocki, Kober, Kubicki, Mielnicki, Bogusławski, Kowalewski i ja, — Jechaliśmy gromadnie przez Włochy i Szwajcaryę, ale począwszy od Bazylei rozdzieliliśmy się po dwóch razem, aby nie zwrócić na siebie uwagi policyi. Ja trzymałem się w towarzystwie z Dymitrem Kowalewskim, artystą malarzem.

Zatrzymaliśmy się w Heidelbergu parę godzin, aby odwiedzić Asnyka i zaczerpnąć świeżych wiadomości o powstaniu, oraz dla informacyi co do dalszej podróży. W Berlinie nocowaliśmy u medyka na ukończenie Lewenhardta, który radził nam ominąć Poznań, z powodu wielkiej tam czujności policyi, więc podług wskazówek doktora, pojechaliśmy do Wrocławia, a stamtąd koleją do samego obozu w Dąbrowie; gdzie Teodor Cieszkowski ranny przy zdobywaniu Sosnowca, formował małe oddziały i odsyłał je w głąb kraju. Nie było tam na razie żadnego wakansu oficerskiego, o co zresztą wcale nie dbałem.

Oddziałek złożony ze 150 ludzi, gotów był do wymarszu i tejże samej nocy wyruszyliśmy. W Wolbromiu i Olkuszu oddziałek zwiększył się o blisko setkę ludzi rozbitkami z pod Miechowa. Skierowaliśmy się ku oddziałowi Jeziorańskiego.

Oddziałek nasz wcielonym został do batalionu kosynierów Dąbrowskiego. Zaraz z wieczora ruszyliśmy pod Małogoszcz i stanęliśmy obozem na cmentarzu, położonym na wysokiem wzgórzu, gdyż miasteczko zajęte było przez oddział Langiewicza — dopiero nazajutrz o świcie zeszliśmy do miasta, gdzie rozdano po miarce wódki, kromce chleba i kawałku słoniny i natychmiast wysłano nas na stanowiska, gdyż Moskale już

zajmowali opłotki i skrajne zabudowania miejskie i to tylko garstce strzelców z oddziału Jeziorańskiego, winni byliśmy, że nas ze wszystkiem nie oskrzydlili i nie zamknęli w miasteczku. Strzelcy nasi cofnęli się w porządku bez pospiechu i wtedy tylko, gdy trzy czwarte miasta już było w płomieniach. Cała ta bitwa była dla nas ciężkim mozołem, gdyż zmuszeni byliśmy zajmować przez kilka godzin zupełnie nagie wzgórza, wystawieni bezpotrzebnie na silny ogień artyleryi i piechoty moskiewskiej. W owym czasie oddziały Langiewicza i Jeziorańskiego uzbrojone były przeważnie kosami, zaledwie piąta część posiadała broń palną różnego kalibru, a po większej części były to strzelby do polowania, więc niedalekonośne i dlatego na odległość strzału karabinowego nie mogliśmy dawać skutecznego odporu, a nic tak nie demoralizuje żołnierza, jak bezczynność wobec śmierci. Mimo to od godziny 7-ej rano, do 1-ej po południu bataliony zachowywały swą łączność, zmieniały tylko posterunek, posuwając się to wyżej to niżej na pochyłości wzgórza, dla utrudnienia regulowania celu artyleryi moskiewskiej, która szczęściem dla nas, bardzo źle strzelała. Już około 2-ej, kosynierzy rażeni gęstym ogniem piechoty nieprzyjacielskiej i pod wrażeniem jęków rannych, lub umierających, okazywali wielkie zdenerwowanie i chwiać się zaczęli — a gdy ściągnięto wszystkie oddziały na sąsiednie, a wynioślejsze wzgórze pokryte lasem, na skraju którego dwa nasze działa i jedna długa śmigownica starem żelaztwem bezustannie pluły w oczy Moskalom — wtedy, żadna jedność zbiorowa, ani batalion, ani kompanja szeregu nie utrzymywała; wszystko się pomięszało, komendy żadnej nie było, jednak strzelcy z własnego popędu zajęli brzegi lasu na dwóch przeciwnych pochyłościach wzgórza i pukali do strzelców finlandzkich, którzy byli na przodzie.

Ja nie mając nic lepszego do czynienia, poszedłem dopomagać kanonierom w ich ciężkim mozole, tembardziej, że kilku z nich już ubyło. Działa nasze celowane przez doświadczonych oficerów Dąbrowskiego z artyleryi pruskiej i Wiercieńskiego z artyleryi moskiewskiej, dotkliwe szkody przynosiły Moskalom; za każdym strzałem widać było między nimi wielkie zamięszanie, mimo to pchano ich naprzód. Około godziny 4-tej już zabrakło amunicyi, działa ucichły i tylko jeszcze śmigownica dała kilka strzałów. To ośmieliło Moskali — strzelcy finlandzcy poczęli skupiać się, aby pójść do ataku i zabrać nam działa. W owej chwili Dąbrowski ugodzony kulą w piersi padł zabity,

zostało nas tylko pięciu z Wiercieńskiem, a koń tylko jeden; inne powybijane zostały kartaczami. Chwila była krytyczna — oczekiwaliśmy z kosami przy działach, pewni, że nas tu wszyststkich skłują i działa zabiorą; już nas dosięgali, gdy z gromkiem: hurra! kosynierzy prowadzeni przez Śmiechowskiego uderzyli z boku z takim impetem, że Moskale zmięszani, słaby opór stawiali. Śmiechowski wrzeszczał: „bijcie dobrze bugry!" a „bugry" też bili tak skutecznie, że niedłużej jak po pięciu minutach, Moskale tył podali, zostawiając na placu kilkunastu rannych i zabitych. Wtedy bez komendy kosyniery chwycili za lawety i ściągnęli działa z pozycyi, powlekli je do stawu i zatopili, gdyż nie było sposobu wyciągnąć ich na bardzo stromą górę, a innego przejścia nie było.

Do śmigownicy zaprzęgli jedynego konia, który uszedł śmierci i dopomagając ciągnąc i popychając z tyłu, ocalili ją. Wszystkie oddziały cofnęły się przez tę górę. Straciłem je z oczu, gdyż zatrzymałem się przy koledze rannym, którego niepodobna było unieść, bo miał kość pacierzową złamaną i prawą nogę zdruzgotaną powyżej kolana.

Prosił mię, abym mu dał fajkę zapalić, jeżeli mam — uczyniłem zadość jego życzeniu i pozostałem z nim dość długą chwilę. bo mi okrutnie było żal tego biedaka. Wreszcie on sam dał mi odprawę mówiąc: mnie tutaj dobiją, choć i bez tego niewiele mi się należy, ale ty umykaj, aby cię nie chwycili, bo już wielki czas.

Ze łzami w oczach ucałowałem biednego straceńca i podążyłem w ślad za swoimi. W drodze spotkałem kapitana kosynierów Józefa Brauna, lekko rannego w pierś i po zamianie kilku słów, rozeszliśmy się, każdy swoim szlakiem; po niedługiej chwili dotarłem do schyłku wzgórza i lasu, gdzie szeroka, bagnista łąka z rzeczką w pośrodku, odgraniczała wzgórzu Małogoszcza od dalszego pasma gór i wąwozów pokrytych lasami.

Z drugiej strony rzeczki spostrzegłem kilku naszych, krzątających się około towarzysza rannego, ku nim więc skierowałem kroki, ale zaledwie wyszedłem na otwarte miejsce, przywitany zostałem kilkunastu strzałami na raz, jakby na komendę i to na odległość może 50 kroków.

Żadna kula mię nie drasnęła, ale zapewnić mogę, że żaden zając tak chyżo nie biega, jak ja skakałem po moczarach, aby dopaść rzeczki, w którą buchnąłem bez namysłu i skąd mię koledzy wyciągnęli za pomocą drążka od kosy, bo dno

rzeczki było lodem obmarzłe i żadną miarą sam wyleźć nie mogłem.

Obrałem dobry kierunek, gdyż w wąwozie naprzeciwko zastałem Langiewicza i Jeziorańskiego wraz ze sztabem i około 300 ludzi — znalazła się tam i śmigownica, którą z radości uściskałem, jak starą przyjaciołkę.

W wąwozie czekaliśmy więcej niż godzinę, aby dać czas innym ściągnąć się na punkt zborny, ale zaledwie kilku tylko nadeszło. Postarano się już o przewodnika i ruszyliśmy w drogę. Trudno mi opisać męki tego dwudniowego pochodu pomoczeni; prawie bez odpoczynku, bez żywności i bez snu. Ja i wielu innych idąc spaliśmy, karambolując się wzajemnie — zdaje się niepodobne do prawdy, a jednak tak było: szliśmy jak automaty spiąc. Nazajutrz około wieczora przywieziono nam do lasu beczkę wódki, a dopiero drugiego dnia około 3-ej po południu zatrzymaliśmy się na skraju lasu, gdzie była gorzelnia i tam dano nam ziemniaków zaparzanych parą — obrzydliwego były smaku, tembardziej, że nie mieliśmy do nich soli, ale i te nas posiliły. Tegoż samego dnia wieczorem rozlokowaliśmy się na nocleg w jakiejś wsi i... o! jakże ja tam smacznie spałem! — pod dachem, w ciepłej izbie i w łóżku, na grochowinach chłopskich — to mi się nie zdarzyło już od 3-ch tygodni!

Nie pomnę dokładnie, ale zdaje mi się, że wędrówka nasza przez wertepy i manowce, dniem i nocą z małymi odpoczynkami, trwała około tygodnia, zanim przybyliśmy na nocleg do zamku Pieskowej Skały. W czasie pochodu raz jeden tylko przechodząc przez głęboki jar, pod Suleszowicami, o kilka wiorst na zachód od Miechowa, kawalerya nasza miała utarczkę z kozakami, z których jednego chwyciła.

Zamek Pieskowej Skały zbudowany na wysokim granitowym złomie, był jakby półwyspem — otoczony z trzech stron głęboką doliną, przerżniętą strumieniem. Jedna tylko strona była przystępna, drogą wiodącą od głównego wejścia do lasu, ale i ta droga z obu stron była bardzo stroma, — snać był to dawny nasyp, utworzony ręką ludzką. Przy wejściu był most murowany sklepiony. Z jednej strony zamku znajdowały się małe drzwi jednoskrzydłowe, dające wyjście na ścieżkę wiodącą w dolinę do zabudowań dworskich i browaru. Mówiono mi, że i od strony Pałki Krakusa były drzwiczki małe, sekretne, dające wyjście na jakąś karkołomną ścieżkę, wśród stromych

skał, gdzie tylko bardzo świadomi postawienia każdego kroku, mogli się awanturować, tego jednak sprawdzić nie miałem czasu.

W pochodzie od Małogoszcza do Pieskowej Skały, oddział nasz odrósł liczebnie na nowo, zasilany bądź to rozbitkami, którzy nas w drodze doganiali, bądź nowo przybyłymi, dość, że było nas przynajmniej tylu, co pod Małogoszczem.

Nazajutrz około 6 rano, kilku kawalerzystów naszych poprowadziło poić konie na dół do strumienia i paru z nich pochwycili Moskale. Langiewicz kazał się zbierać i około 7-ej wyszedł z zamku, Jeziorański wślad za nim, pozostawiając dla obrony około 50 ludzi, z nakazem, aby wstrzymać Moskali pod zamkiem jak najdłużej; w tej liczbie strzelców było około 20-tu. Kowalewski miał komendę nad strzelcami, ja nad kosynierami. Z tymi ostatnimi nie było co robić, przy obronie zamku; zostawiono nas zapewne dla okazu, aby Moskali utrzymać w przekonaniu, że cały oddział tam się znajduje.

Kowalewski postawił kilku strzelców przy bocznych drzwiach, a u głównego wejścia pozostała reszta i kosyniery. Około 9-tej nadciągnęła piechota moskiewska i idąc doliną gęsiego, linią tyralierską, zaczęli oskrzydlać zamek z obu stron. Gdy się tylko znaleźli na odległość strzału, nasi poczęli razić ich z góry, dość celnie, zaś kule moskiewskie nas nie dosięgały — najwyżej celowane uderzały w parapet murowany mostu. Procesya ta gęsia trwała parę godzin, bo Moskale bardzo ostrożnie i powoli posuwali się: zatrzymywali, cofali wstecz, to znowu szli naprzód, słowem, zrozumieć nie mogliśmy tego wahania się, aż około południa wszyscy przedefilowali z dwóch stron zamku, zostawiając na widoku tylko rotę piechoty, dla strzeżenia bocznych drzwi. Położenie nasze zaczęło być drażliwe, bo Moskale mogli zająć jedyną drogę, prowadzącą do zamku, zaatakować i wybić nas co do nogi, bo w 50-ciu niedługo mogliśmy byli stawiać opór, trzem tysiącom. Kowalewski już od godziny gdzieś zniknął — mówiono mi później, że wyszedł sekretnemi drzwiczkami na skałę, naprzeciw Krakusowej Pałki, i albo spadł i zabił się, albo go kula zmietła, dość że go więcej nie zobaczyłem. Bardzo byłem zafrasowany co czynić, kiedy ujrzałem na dziedzińcu jednego z naszych adjutantów sztabowych; Miecznikowskiego, który najspokojniej wysypiał się do południa, a teraz siodłał konia, aby gonić za oddziałem. Prosiłem go, aby zapytał Jeziorańskiego, co mamy z sobą robić, bo nas tu niechybnie Moskale wyduszą, jeżeli dłużej w zamku pozostaniemy. Mieczni-

kowski spiął konia ostrogami i z kopyta ruszył szybkim galopem — wkrótce znikł nam z oczu. W niespełna godzinę powrócił i zatrzymawszy się w oddali, dawał nam znaki, aby natychmiast wychodzić. Puściliśmy się pędem gęsiego po tej, że tak powiem, grobli, i szczęśliwie, bo bez żadnej straty połączyliśmy się z oddziałem, w chwili ukończenia potyczki strzelców i kosynierów oddziału Jeziorańskiego z Moskalami. Starcie się było bliskie tj. na bagnety, więc kosy miały tu ostatnią racyę, Moskale straciwszy przeszło 200 ludzi w zabitych i rannych, cofnęli się w popłochu. Strzelcami dowodził tu major Grudziński, kosynierami Dąbrowski i Pióro. W odwrocie z zamku jeden tylko kosynier ranny był lekko w rękę.

Później, będąc już w szpitalu w Krakowie, opowiadano mi, że po naszem wyjściu, pozostało w zamku po różnych kątach i komnatach, których było bez liku, około stu powstańców, używających błogiego snu, i ci wszyscy wymordowani zostali, a zamek spalony. Kiedym był tam, ani mi na myśl nie przyszło, aby który z powstańców, zagrożony co chwila utratą życia, pozwalał sobie podobnych wygódek.

Po bitwie poprowadzono nas na wysokie lesiste wzgórza, i nakazano zaraz z wieczora porozpalać wielkie ognie, które pozostawiliśmy, a sami cichaczem pomaszerowaliśmy do miasteczka Skały, gdzie kawalerya pochwyciła nawpół pijanego moskiewskiego kapitana straży granicznej. Od niego dowiedzieliśmy się o siłach Moskali i o stratach pod Pieskową Skałą, było ich około 3.000 ludzi i ośm armat, tych jednak użyć nie mogli. Powiedział nam również, że ostrzeżeni przez placówki, o naszem zbliżaniu się, Moskale pospiesznie opuścili miasto i zostawili na cmentarzu tylko dwie roty piechoty, aby nas powstrzymać. Moskalisko myślał, że go powiesimy, a co najmniej rozstrzelamy, ale że poczciwą miał gębę, więc któryś zawołał: zostawmy go w spokoju przy jego flaszce z wódką, on nam nie może szkodzić! — i zostawiliśmy, nakazując tylko, aby się z domu nie ruszał.

Cmentarz miejski, miał kształt kwadratu podłużnego, węższym bokiem dotykał miasteczka, a mur dłuższy z prawej strony, idąc od miasta, z zewnątrz podsypany był śniegiem bardzo wysoko, zaledwie wystawał po nad śniegiem na pół łokcia. Langiewicz po krótkiej naradzie, postanowił atakować, chciał wziąść te dwie roty w niewolę. Zebrawszy dokładne dane o położeniu, podsunął się cichaczem ze swoim oddziałem przez parów, ro-

dzaj głębokiej drogi, pod sam mur, i usadowili się wszyscy chyłkiem na nasypie śniegowym.

Nas zaś, to jest oddział Jeziorańskiego, poprowadził Śmiechowski polem; mieliśmy obejść i otoczyć cmentarz, aby zamknąć Moskalom odwrót. Kiedy znaleźliśmy się na wysokości cmentarza w odległości mniej więcej 300 kroków, wstrzymano nas, — i tak oczekiwaliśmy przynajmniej kwandrans czasu. Na cmentarzu jasno było jak w dzień, natomiast nie mogliśmy dostrzedz co się działo na zewnątrz. Strzelcy nasi zniecierpliwieni oczekiwaniem, wystąpili naprzód i rozpoczęli silny ogień przeciw Moskalom, na co oni odpowiedzieli salwą rotową, ale to nas nie zrażało i pukanina szła dalej, aż przybiegł ktoś ze starszyzny sztabowej z zakazem strzelania, gdyż nasi byli pod cmentarzem.

A to i my tam chodźmy! krzyknąłem, i kilkunastu nas pobiegło pędem pod mur, gdzie popadaliśmy na kolana i pochyliliśmy się jak i inni, aby uniknąć kul. Znalazłem się tuż przy narożniku od strony pola, tu zaznaczam że tylko jedną zajmowaliśmy stronę, a trzy inne były zupełnie wolne. Tutaj nowe oczekiwanie bezpotrzebne; bo mogliśmy skoczyć przez mur, a z pewnością zwycięstwo byłoby przy nas. Wtem o kilka kroków na lewo, słyszę, ktoś chrapliwym i ciągnącym się jednostajnie głosem powiada: Wydusimy ich tu jak szczury w jamie! — poznałem głos Langiewicza.

— Nic nie wydusimy, jeżeli nie skoczymy przez mur, odparłem. — Stul tam pysk — jeszcze Langiewicz nie zdążył dokończyć jednego ze swoich zwykłych komplementów, kiedy huknęło nam nad uszami kilka strzałów i o trzy kroki zaledwie odemnie, dwóch naszych wywróciło koziołka — pchnąłem najbliższego Moskala kosą w pierś, ale tylko się zachwiał, kosa natrafiła na coś twardego; ja umknąłem za oddziałem, który przed tym niespodziewanym napadem cofnął się ku miastu, za najbliższe stodoły, odprowadzany silną ulewą kul z cmentarza. Zrobiło mi się bardzo ckliwo, jakiś żal i wstyd opanowały mię, że zaledwie kilka strzałów danych wprawdzie, znienacka i ze strony uważanej za zupełnie bezpieczną, zdołały wypłoszyć cały oddział z pod muru. Noc była bardzo ciemna i żadnej twarzy rozeznać nie mogłem; naraz, w tłumie kosynierów usłyszałem głos dobrze mi znany kolegi, którego od ławki szkolnej nie spotkałem — był to Jan Lipiński, do dziś żyjący w Paryżu — zacząłem go wołać po imieniu i po nazwisku i tym sposobem

zetknęliśmy się. Był on również oficerem kosynierów, lecz w oddziele Langiewicza — znajdował się więc w pośrodku swoich ludzi. Skorzystałem z tego i naparłem, aby zachęcić kosynierów do powrotu pod mur cmentarny; byle ich tylko namówić, a ja sam podjąłem się poprowadzić. Namawianie długo nie trwało, chętnych było bardzo wielu — krzyknąłem więc: naprzód za mną! i ruszyliśmy pędem lecz niestety! hołotka ruszając z miejsca wrzasła: hurra! Moskale odpowiedzieli salwą dwurotową — ja już przebiegłem z połowę drogi, gdy stało się ze mną coś nadzwyczajnego, jakby grom uderzył we mnie; coś mię gwałtownie szarpnęło za włosy, ręka lewa wyskoczyła w górę i opadła bezwładnie i krew się we mnie wzburzyła — zrozumiałem, że jestem ranny — padłem więc w bruzdę, aby przeczekać ogień moskiewski i tak przeleżałem z dziesięć minut — rękę miałem strętwiałą, jak drewno, ale upływ krwi z rany otrzymanej tuż obok pachy, przyprowadził mię do równowagi. Słyszałem wyraźnie, jak oficerowie nakazywali Moskalom, aby oszczędzać ładunków i zaprzestać ognia — wtedy podniosłem się z trudem i wróciłem za stodoły — zapytałem o sztab, powiedziano mi, że dowódzcy nasi odbywają naradę wojenną w pobliskim domku; udałem się tam i w pierwszej izbie znalazłem ułożonych pokotem na podłodze około 15 rannych, z samej inteligencyi i bardzo pięknych ludzi, z których wielu już dogorywało. Między nimi znajdował się niedawno zmarły we Lwowie Gustaw Reutt, ranny w stopę poniżej kostki.

Ruszyliśmy w pochód przededniem, a o świcie stanęliśmy w Ojcowie, na kilkochwilowy odpoczynek.

Wkrótce wymaszerowaliśmy do Smarzewic na odpoczynek całodzienny, gdzie złożono sąd wojenny na chłopów i jednego z nich kazano powiesić za zabójstwo i rabunek Ojcowa, po wyjściu obozu Kurowskiego na Miechów.

Późnym już wieczorem stanęliśmy w Goszczy, skąd po dwóch, czy trzech dniach pobytu, odesłano wszystkich rannych do Krakowa, ja znalazłem pomieszczenie w Szpitalu św. Łazarza. Tym sposobem wojaczka moja przerwaną została na dwa miesiące.

Gorlice w lutym 1903 r.



JÓZEF ZIEMIAŃSKI.

Pod Teodorem Cieszkowskim.

Po rozbiciu pod Miechowem dowlokłem się do Skały, tak sponiewierany, że mi śmierć, kiedym się tam w rynku u piekarza w cieple położył i zasnął, była pożądaną. Ledwiem zasnął, rejwach w Skale, wołają uciekać, bo Moskale idą, będą palić i mordować. Dostałem się na wóz, pędzący z naszymi do Ojcowa. Kiedy zajeżdżamy do Ojcowa na dół, przed nami uciekają na wozach, inni powstańcy pozostali w Ojcowie, bo Moskale mieli się już znajdować po lasach wyżej Ojcowa. Umykamy na tych wozach nocą, nie wiedząc dokąd. Dowieziono nas już późno do Olkusza, złożono w „Rządzie Narodowym", jak tablica opiewała. Mile nas tam przywitano: „jesteście dezerterami, nasi Miechów zdobyli i tam się organizują, jutro się nad wami sąd odbędzie". Zniesiono mnie z wozu na stół w tej rządowej izbie, następnie zaniesiono, czy zawieziono do szpitala na noc. Obudziwszy się rano, spostrzegam, że się pod kocami nikt nie rusza, nadszedł posługacz, pytam, dlaczego tu taki spokój, nikt się nie rusza? odpowiada: a bo oni już nie wstaną, a wywieźć na cmentarz nie ma kto, bo się miasto Moskali spodziewa i kto może, to się wynosi. Rzeczywiście ku wieczorowi kazano uchodzić. Lekarz opatrzył mi nogi, orzekł, że trochę odmrożone (bom ginął od zimna) dano mi chłopskie buty i mały kożuszek i kazano zabrać konie, po dragonach pozostałe. Dostał mi się stary siwy, którego oddałem komuś, jadącemu wozem, za odwiezienie mnie do Dąbrowy górniczej.

W Dąbrowie zeszło nas się około 150, przybył i Cieszkowski Teodor, stanął na czele i dowiózł nas na wozach do Siewierza, gdzieśmy pilnując się, przebyli 2, może 3 dni. Był tu już „Rząd Narodowy"; zaciągnęliśmy wartę na głównym odwachu, gdzie napisałem list do rodziny w Galicyi. W odziale tym byli sami Królewiacy jak Sucheccy z Potoka, Mazaraki i Rybicki.

Z Siewierza ruszyliśmy ku pruskiej granicy, mianowicie ku miasteczku Koziegłowom, zatrzymując się dla odpoczynku na skraju lasu, przed stacyą kolejową Poraj.

W Koziegłowach obozowaliśmy na rynku późno w nocy, mieszkańcy serdecznie nas witali. Słyszeliśmy strzały, ale nas

upewniono, że to Prusacy za przemytnikami strzelają. Jeżeli mnie pamięć nie zawodzi, tośmy jeszcze tej nocy przybyli do Panek, wsi fabrycznej na skraju powiatu wieluńskiego. Pierwszą noc przebyłem w odlewarni żelaza, nazajutrz zaciągnęło się warty.

Oddał mi Cieszkowski komendę warty i kazał się nad ranem zbudzić. Miał kwaterę na piętrze. Cieszkowski wyjechał z lepszymi strzelcami ku pruskiej granicy na obławę, która się nie powiodła. Towarzysze na podłodze spali, tak, że trzeba było dobrze kopnąć w bok, by się obudzili dla zmiany warty. Koło południa usłyszeliśmy strzały od strony stawu, podjazd kozacki wpadł na naszą placówkę, nasi dali ognia, kiedym dobiegł, kozaków już nie było widać, jednakże któremuś z nich się coś dostało, bo zgubił janczarkę, która się do rąk naszych dostała. Za długim stawem uszykowali artyleryę i dalej ognia przez staw do nas. Staliśmy chwilę, bo kule syczały tylko górą. Kiedy kule działowe coraz niżej syczały, nadto z obawy, że nas z tyłu zajdą, puściliśmy się hurmem przez wieś ku lasowi, bo nie miał kto nami dowodzić. Za nami kobiety z dziećmi w poduszkach, szlochając, biegły także ku lasowi. Artylerya objechała staw i dalej posyłała kule pomiędzy nas. Wtem nadjeżdża od naszej prawej strony Cieszkowski, z swoją eskortą, wstrzymuje nas uciekających, każe się sformować i przewodnika szpiega za szyję na pasek wziąść z dodatkiem, by po pierwszym strzale nieprzyjacielskim, jemu w ucho strzelić. Mamy się na prawo ku lasowi, słyszę, jak donośnie woła ten szpieg: „na lewo panowie, na lewo, bo się spotkamy z Moskalami". Domyślam się, że z drugiej strony piechota ciągnęła ku Pankom. Po parogodzinnym marszu, obskoczyliśmy komorę na pruskiej granicy, lecz Moskali nie zastaliśmy, bo się na noc do Prus chowali. Szpiega zapewne podniesiono na gałęź.

Jeśli się nie mylę, tośmy znowu do Koziegłów wrócili, skąd do miasteczka Mrzygłodu. W drodze jakiś obywatel na koniu witał Cieszkowskiego, a na zapytanie, czy się tu znajdują Moskale, mówi: jest ich tu ze stu, ale im dacie radę, bo to staruchy. Wtem jeden z młodszych naszych jeźdźców trącił koniem starego towarzysza z emigracyi, który ledwie łaził i popędził dalej, lecz wnet się wrócił i długo staruszka błagał o przebaczenie, widziałem wreszcie, jak mu stary podał rękę, jakby przewidział śmierć, bo po północy padł w Mrzygłodzie. Widziałem go już nieżywego pod studnią przy kościele. Przed zgonem

miał swoje oszczędności, jednemu z kolegów powierzyć, na ofiarę do kościoła.

Przybywszy do Mrzygłodu, rozmieściliśmy się na noc po domach w rynku. Rozkazano nie rozbierać się i mieć broń pod ręką. Około północy wychyliłem się na podsienie, był spokój, położyłem się napowrót. Jeszczem nie zasnął, kiedym usłyszał strzały, któryś się z naszych wychylił na podsienie, padł. Ja i inni uszliśmy tyłem, przeskakując płot. Około kościoła już był pożar, jasno — niebezpiecznie było nam się gromadzić wewnątrz obmurowania. Słyszymy z za miasta wołanie: „Jezus, Marya! Jezus, Marya!“ Puściliśmy się za tym głosem, a już we wszystkich pierzejach paliło się, w rynku było jasno, jak za dnia. Był to głos Cieszkowskiego, który zakomenderował „w miasto“ dla wyparcia Moskali. Wypędziliśmy ich w pole, oni strzelali, ale nam to, zdaje mi się, mało szkodziło, mówię, zdaje mi się, bo było bardzo ciemno. My do miasta, Moskale znowu za nami. Zwróciliśmy się do nich i daleko w pole znowu ich wypędziliśmy. W mieście jasno, tylko psy wyją, ani żywego ducha, przed domem, gdziem spał, leżał stary kapitan, Moskal, zabity, nie miałem odwagi obmacać go; przyszli towarzysze, obrali go ze wszystkiego. Pod studnią leżał ów stary emigrant, kto więcej, nie wiem, bo było zbyt ciemno. Mieszkańcy z dziećmi i chudobą powynosili się zawczasu po za ogrody. Przededniem zgromadziliśmy się z Cieszkowskim nad jakimś stawiskiem, znaleźli się i dwaj młodzi oficerowie moskiewscy; Serwatowicz i Kulesza, Litwini. Cieszkowski, ranny jeszcze pod Sosnowcem, tak był osłabiony, że nie mógł dosiąść konia, zrobiliśmy nosze z kos, jeźdźcy naprzód łamali lód, a my idąc w bród, nieśliśmy go aż do Włodowic. Z Włodowic dostaliśmy się do Szczekocin, skąd wozami do Pilicy na noc na zamek, lecz po spożyciu, w oficynach zamku, pęcaku, zawieziono nas do Wolbromia. Z Wolbromia, jeśli się nie mylę, pieszo dążyliśmy ku Pieskowej Skale. Tu w drodze podjechał konno sam Langiewicz. Mile nas przywitał, stałem przed frontem mego plutonu, pytał, ażali mamy dobre sztućce, zalecał odwagę, a pójdzie wszystko dobrze. Wreszcie wcielił nas do swego oddziału i marsz do zamku w Pieskowej Skale.



JÓZEF BENTZ.

Panasówka — Batoż.

(Dokończenie do stronnicy 63-ej) [1].

Wybierałem tedy nieboszczyków i wraz z trzema kolegami, na karabinach znosiliśmy ich z pola walki i kładli na furgony.

Nazajutrz, wczesnym rankiem doszła wiadomość, że rozgromieni Moskale, otrzymawszy znaczne posiłki, następują znowu. Lelewel, snadź nie czując się na siłach, nakazał pospieszny pochód i to pochód skryty, by ujść oku przeważającego wroga. Maszerowaliśmy tedy łożyskiem potoków, lasami, wertepami, przez cały piątek i sobotę. W niedzielę, 6 września stanęliśmy pod wsią Batożem, gdzie miał nastąpić dłuższy odpoczynek.

Zaczęło się zwykłe życie biwakowe: gotowanie obiadu, czyszczenie broni, naprawianie odzieży, starszyzna zaś udała się do kościoła na nabożeństwo, poczem złożyła wizytę proboszczowi. Wtem padł strzał alarmowy. W obozie wszczęło się zamięszanie, wszyscy potracili głowy, tembardziej, że sztab był nieobecny. Sytuacyę uratował dzielny i wielkiej w całym oddziale zażywający powagi kapitan Czaplicki. Zaprowadziwszy dorywczo jaki taki ład, rzucił się z wybornie wymustrowaną swoją kompanją naprzeciw Moskali i rozpoczął gorączkowy ogień, wstrzymując całą olbrzymią masę nieprzyjaciół. Tymczasem nadbiegli główni dowódzcy, i sprawiwszy oddział, powiedli nas szybkim krokiem naprzód, nadążył też Czaplicki, któremu z całej kompanii zostało 20 ludzi. Około południa znaleźliśmy się w lesie, w którym natrafiliśmy niebawem na głęboki parów. Kozłowski radził w tem miejscu przyjąć bitwę. Sprzeciwił się temu z początku Lelewel, lecz widząc zupełne wyczerpanie żołnierzy, musiał się zgodzić! Rozstawiono nas po obu brzegach parowu. Ukryci w trawie i krzakach, z bronią przy oku, czekaliśmy, w nadziei, że nieprzyjaciel puści się naprzód parowem i wpadnie w pułapkę. Ale Moskale, czy to ostrzeżeni przez szpiegów, czy to domyślając się zasadzki, obeszli parów z boku i całą masą rzucili się z tyłu, na linię naszych, zajmującą brzeg lewy. Mro-

---

[1]) Szanowny Autor raczy wybaczyć nam, niezależną od naszej woli pomyłkę, która spowodowała rozkawałkowanie jego pracy na dwie części, a to tem więcej, iż podpis jego położony w dwóch miejscach, wprowadził w błąd i drukarza i korektora. Przyp. Red.

wie moskiewskie pokryło ich jednym zamachem, wszczął się bój zażarty, lecz krótki. Garstka naszych padła niemal do jednego, a wśród innych i Lelewel.

My, stojący na przeciwnym brzegu, naprożno usiłowaliśmy przyjść ginącym z pomocą; ogarnęła nas rozpacz, a gdy się rozeszła wiadomość, że Lelewel zginął, wszystko poszło w rozsypkę.

Jeden z najpotężniejszych oddziałów partyzanckich przestał istnieć.



SPIS RZECZY.

CZĘŚĆ II.

Wspomnienia, listy i różne osobiste dokumenty.

Spis ofiarodawców na kosztą obecnego wydawnictwa.

		kor.	gr.
1.	Amborski Jan . .	5	—
2.	Anc Bolesław . . .	5	—
3.	Barancewicz Antoni .	10	—
4.	Bentz Józef . . .	10	—
5.	B. W.	100	—
6.	Dr. Bobek Jan . .	10	—
7.	Chamiec Jaxa Antoni	20	—
8.	Chełmoński M. . .	12	90
9.	Cieślikowski Jan . .	20	—
10.	Czaplicki Henryk .	5	—
11.	Czernicki Józef . .	10	—
12.	Dr. Deskur Jan . .	10	—
13.	Długoszewski Boleśł.	14	—
14.	Domaszewicz Leszek	10	—
15.	Dziedzicki Ludwik .	20	—
16.	Fiedler Tadeusz . .	5	—
17.	Fusek Michał . . .	10	—
18.	Gałęzowski J. (20 fr.)	19	05
19.	Gasztowt Wacław (5 fr.)	4	66
20.	Glisczyński Hipolit .	3	—
21.	Grabiński Józef . .	20	—
22.	Jankowski Józef . .	10	—
23.	Jankowski Kazimierz	20	—
24.	Janowski Józef-Kajet.	10	—
25.	Jarmund Kazimierz .	5	—
26.	Jerzmanowski Erazm	400	—
27.	Jodłowski Stanisław	5	—
28.	Kahane Sanbra Filip	10	—

		kor.	gr.
29.	Kalita Karol . . .	4	—
30.	Kamińska Amelja .	10	—
31.	Kasprzycki Piotr .	20	—
32.	Karwowski Władysł.	4	—
33.	Kądzielski Stanisław	4	—
34.	Kessler Eugeniusz .	10	—
35.	Kinel Ignacy . . .	5	—
36.	Klebert Edward . .	10	—
37.	Klemensiewicz Edm.	20	—
38.	Kojałowicz Edmund	10	—
39.	Korytko Eug. (20 fr.)	19	05
40.	Kraussowa . . .	5	—
41.	Dr. Kwaśnicki Aug.	10	—
42.	Dr. Laskowski (20 fr.)	19	05
43.	Dr. Lewakowski Karol	50	—
44.	Lewicki Bolesław .	4	—
45.	Łucka A.	1	—
46.	Machalski Maurycy .	10	—
47.	M. A.	5	—
48.	M. R.	4	—
49.	Manasterski Seweryn	20	—
50.	Olewiński Wincenty .	20	—
51.	Dr. Opolski Wiktor .	20	—
52.	Oxiński Józef . . .	10	—
53.	Rakowska Wincenta	10	—
54.	Rubach Bolesł. (5 fr.)	4	66
55.	Rudzki Władysław .	4	—
56.	Simon Artur . . .	10	—

	kor.	gr.
57. Śliwiński Hipolit . .	50	—
58. Sokulski Justyn . .	4	—
59. Suszycki Zenon . .	100	—
60. Świerczewski Erazm	10	—
61. Szulc Przem.-Aleks.	20	—
62. Szydłowski Szymon .	20	—
63. Szyszkowski Władysł.	10	—
64. Dr. Tarnawski Leonard	20	—
65. Teleżyński Aloizy .	10	—
66. Teodorowicz Józef .	15	—
67. Weeber d'Ehrenzweig Ludwik	5	—
68. Wiśniewski Leonard	50	—
69. Wiśniewski Feliks .	12	—
70. Zakrzewski Wacław	5	86
71. Ziemiański Józef .	5	03
Razem	1443	26



Ważniejsze błędy.

Stronica	Wiersz	Zamiast	Winno być
Pieczęć	3	1861	1862
25	6—7 z góry	kur-erów	kuryerów
53	9 od dołu	Ociosenkami	Ociesenkami
57	4 od góry	Ducheńskiego	Duchińskiego
59	18 „	woru	dworu
59	8 od dołu	niedostatecznie	niedostateczne
60	14 od góry	Aryegarda	Aryergarda
63	6 od dołu	Józef Benz	Józef Bentz
98	18 od góry	Hadajkowski	Hałajkowski
103	3 „	Vilmes	Bilmes
107	14 „	couti-que-coute	coûte-que-coûte
108	18 „	prosili	nieprosili
110	15 od dołu	do	od
122	14 „	Gliszczyński	Gliscżyński
141	7 od góry	użyteczną	nieużyteczną
146	4 „	żebyć	żebyś
150	12—13 „	Był.......... Mierosławskiego	(Był.......... Mierosławskiego)
155	5 „	Junoska	Junosza (†)
201	2 „	Pomiędzy Jakutami	Pomiędzy Tunguzami
214	1 „	Lenartowicz	Lenartowicz (†)
227	15 od dołu	zgromadziliśmy	zgromadzaliśmy
228	10 od góry	Użanowskiego	Elżanowskiego
228	10 od dołu	Użanowskiego	Elżanowskiego
241	1 „	Pankonie	Panteonie
251	3 „	miała ty być	miała to być
307	2 od góry	Szubstę	Szuksztę

Stronica	Wiersz	Zamiast	Winno być
307	3 od góry	Orła	z Orła
315	18 od dołu	Wasta	Warta
315	6 „	na bankietach	na blankietach
322	12 „	Ruckiego	Rudzkiego
322	3 „	Ruckiemu i w następ.	Rudzkiemu
334	6 „	rozciągających	rozciągających
342	5 od dołu	Kaźmierza	kamienia
344	10 od góry	przyczytawszy	przeczytawszy
355	10 od dołu	Drażdżewem	Drążdżewem
355	5 „	kolinem	kolnem
356	9 od góry	Chonelami	Chorzelami
364	11 od dołu	Łągowo	Łagowa
373	7 „	otoczona	otoczonej
381	5 od góry	zgranicy	granicy
422	1 od dołu	Maki	Matki
424	14 od góry	oboczu	uboczu
424	17 od dołu	grażdanin	dworzanin
428	9 „	Jołyszem	Turą
431	21 od dołu	Jenisiejskowi	Krasnojarskowi
431	12 od dołu	Jenisejska	krasnojarska
432	2 od góry	obłasti	wołosti
432	13 „	obłasti i w następnych	wołosti
479	1 od dołu	Bereżynie	Berezynie
490	6 „	Grochwiskami	Grochowiskami
494	11 od góry	mazowiecki	małopolski









